

PATRICIA SHAW

Rzeka Słońca

Prolog

Wielka rzeka śpiewała, błyszcząc w słońcu. Jej źródła tryskały w tajemniczych, porośniętych gęstą dżunglą górach Irukandji, później woda spadała z wielkich granitowych urwisk i niosła życie w głąb spieczonego łądu, tocząc się na zachód przez ziemie dzikiego ludu Merkinów.

Merkinowie byli dumni ze swojej rzeki. Zwali ją Rzeką Słońca, gdy bowiem opadała po letnich nawałnicach, słoneczne promienie budziły w niej złote iskry. W górskich jeziorach i szczelinach skalnych, wzdłuż całego koryta i w wysychających na równinie odnogach migotały żółtawe kamyki; tworzyły magiczny deseń na piaszczystych brzegach, lśniły w kryształowo przejrzystej głębinie.

Wysoko u źródeł rzeki, w niedostępnych górach, dymne rody szczepu Irukandji spoglądały czasem na zachodnią równinę, lecz nie przyciągała ona ich uwagi. Woleli patrzeć wprost w poranne słońce, podziwiać niezrównany błękit oceanu i zmarszczki fal na wysuniętych daleko w morze rafach koralowych. Do oceanu spływała z gór inna rzeka, karmiąc się po drodze licznymi potokami. Nazywali ją po prostu Zieloną Rzeką, bo nim wpadła do zatoki, przybierała barwę nawisłego nad jej brzegiem listowia. Irukandji nie wiedzieli, że ponad sto lat wcześniej, niż rozegrały się niniejsze wydarzenia, pewien biały żeglarz nazwał tę zatokę imieniem swego statku - Endeavour.

Irukandji często schodzili z gór, by łowić ryby na morskich płycznach, daleko bezpieczniejszych niż rojąca się od krokodyli Zielona Rzeką. W owych czasach gady te były ich jedynym wrogiem. W ciągu wielu pokoleń zyskali opinię śmiałych i okrutnych wojowników. Nikt nie odważył się wkroczyć nieproszony na ich ziemie.

Teraz wszakże groziło im niebezpieczeństwo. Od czasu do czasu widywali jakieś dziwne istoty, schodzące na brzeg z wielkich łodzi, żeby czerpać wodę z ich strumieni. Niewidzialni strażnicy pozwalali obcym odejść bez przeszkód, ufni w swą zdolność do obrony plemiennego terytorium. Jednakże gońcy i kupcy z innych wielkich plemion przynosili wciąż niepokojące wieści. Mówili, że obcy posuwają się przez ich ziemie na południe, i choć nie wyglądają na wojowników, są podstępni i groźni.

Wódz Tajatella naradził się ze starszyzną i zwołał wielki wiec. Obwieścił na nim, że dumny lud Irukandji nie będzie dłużej tolerować zagrożenia.

- Dość! - krzyknął Tajatella. Wojownicy tupali nogami na znak zgody, pieśń niosła się echem nad zboczami gór.

Zabić przeklętych! Zepchnąć ich z powrotem w morze!

Część pierwsza

Rok 1862

Szkuner "White Rose" żeglował spokojnie po wodach cieśniny Whitsunday. Kapitan Otto Beckman widział z dala dymy płonących w górach ognisk, lecz na szczęście nie musiał się tym przejmować. Całe wybrzeże Queensland zamieszkane było przez Aborygenów, nie zagrażali oni jednak statkom. Niemiecki żeglarz nie potrafił zrozumieć, dlaczego Anglicy osiedlają się w tak dzikich, odludnych miejscach, jak na przykład Somerset na przyłądku York. Otaczała je nieprzenikniona dżungla, w której grasowały hordy czarnych dzikusów. Jedyny, jakże rzadki kontakt ze światem zapewniały osadnikom statki dowożące zaopatrzenie i te, które po prostu zawijały do Somerset po drodze, jak "White Rose".

Beckman wzdrygnął się i przeżegnał. Śmierć w morzu wydawała mu się do przyjęcia, była na swój sposób czysta - ale zostać posiekany na kawałki przez krwiożerczych pogan? Gott! Trzeba być szaleńcem, żeby tu zamieszkać. A mimo to John Jardine, były urzędnik policyjny z Rockhampton, obecnie oficjalny przedstawiciel władz kolonii w Somerset, uparcie twierdził, iż jego maleńka osada się utrzyma, ba, stanie się drugim Singapurem. Z pomocą buntujących się żołnierzy, lekarza wojskowego oraz kilku nieustraszonych pionierów wznosił miasto. Zbudował już koszary, szpital i piękną rezydencję z widokiem na malowniczy szlak wodny, znany pod nazwą Przesmyku Albany. Obecnie zajęty był wytyczaniem ulic na wykarczowanym już terenie oraz przydziałem parcel dla przyszłych mieszkańców miasta.

- Pan powinien też kupić sobie działkę, Beckman - mówił. - Za marne dwadzieścia funtów ma pan piękny kawałek ziemi. A jaki widok! Znakomity interes, mówię panu!

Interes? Pomimo optymistycznych wizji, roztaczanych przez tego twardego, przedsiębiorczego człowieka, Beckman nie wierzył, że maleńki port przetrwa. Nie chciał jednak robić sobie wroga z Jardinea Somerset, póki istniało, stanowiło dogodną przystań. Szlak handlowy pomiędzy Batawią a Brisbane był zyskowny, lecz bardzo niebezpieczny, zwłaszcza okolice Cieśniny Torresa. Azjatyccy piraci spadali niczym jastrzębie na powolne statki handlowe, mozolnie żeglując wśród raf, rozbitkowie zaś lądowali na samotnych wyspach, zdani na łaskę i niełaskę tubylców, albo ginęli z pragnienia na rozpalonych do białości koralowych atolach. Jardine ocalił życie wielu z nich, patrolując te wody własnym żaglowcem z oddziałem wojska i nierzadko z narażeniem życia odpierając napastników. Tak, John Jardine to doprawdy niezwykły człowiek. Ponadto, co nie było bez znaczenia, Somerset miało liczne źródła dobrej, słodkiej wody.

- To miło, że pan o mnie pomyślał - odparł Beckman. - Istotnie, perspektywa jest bardzo kusząca, ale mam dom w Brisbane i tam już chyba wrosłem.

- Nie szkodzi. Niech pan to spokojnie przemyśli. Zdaje się, że tym razem na pokładzie "White Rose" jest pańska żona? Serdecznie zapraszam na kolację.

- Niestety, to niemożliwe. Małżonka rozchorowała się w Batavii.

- Batavia? Brudna dziura. Chce pan, żeby zbadał ją nasz lekarz?

- Nie, dziękuję. Najgorsze ma już za sobą, ale wciąż jeszcze cierpi na pewne dolegliwości i woli nie opuszczać statku.

Jardine przyjrzał mu się uważnie, po czym parsknął śmiechem.

- Ach, rozumiem. Ma biegunkę, tak? Rzeczywiście, trochę to krępujące dla damy. Dla wszystkich, prawdę mówiąc. To wina nieświeżej mąki albo wody. Lepiej niech pan nabierze wody u nas, a tamtą czym prędzej wyleje. W Batavii zwierzęce truchła gniją w studniach i nikogo to nie wzrusza. Cóż, wobec tego proszę przyjść bez żony. Przenocuje pan w rezydencji. Nieczęsto mamy gości, trzeba to uczcić.

Uczcili to godnie. Beckman wciąż jeszcze odczuwał ból głowy na samo wspomnienie gościnności Jardine'a. Gussie chętnie by się z nim wybrała, nie ośmieliła się jednak zejść na brzeg. Biedna Gussie, ten rejs był dla niej męczarnią. Beckman większość czasu spędzał na morzu, ona tkwiła w domu, w Brisbane. Ta poczciwa kobieta i świetna gospodyni nie potrafiła jednak zawierać znajomości. Zresztą hałaśliwi, ordynarni sąsiedzi, w większości dawni skazańcy, przerażali ją. Dokuczała jej samotność; ich syn Frederick zamierzał także emigrować do Australii, lecz w ostatniej chwili jego żona zmieniła zdanie. Gussie tęskniła więc za rodziną i statecznym, uładowym życiem, jakie wiedli w Hamburgu. Przygnębiona, coraz bardziej drażliwa, błagała męża, żeby zabrał ją ze sobą w rejs, i Otto w końcu się zgodził. Przypomniawszy jej wprawdzie, iż jest podatna na chorobę morską, ale była nazbyt podniecona wyjazdem, żeby się tym przejmować.

Chorowała prawie przez cały czas. Beckman miał nadzieję, że jej stan się poprawi, kiedy zejdą na ląd. Okazało się jednak, że bagniste wyziewy Batavii zaszkodziły jej jeszcze bardziej; smród portowych ścieków wymieszany z aromatem egzotycznego kwiecia sam w sobie przyprawiał o mdłości. W końcu Gussie zapadła na tropikalną gorączkę, która osłabiła ją do tego stopnia, że musiano ją odnieść z powrotem na pokład.

Beckman westchnął. Ta nieszczęsna kolacja z Anglikiem! Po wysłuchaniu kilkugodzinnej opowieści o atakach dzikich tubylczych plemion - nonszalancko określanych przez Jardine'a mianem "Jardiganów" albo "Gumkodinów" - na osady białych, Otto spędził bardzo niespokojną noc. Aborygeni jawili mu się we śnie w postaci okrutnych

trolli, krzyki nocnych zwierząt, dolatujące ze spowitego mrokiem buszu, nieustannie przypominały o grożącym niebezpieczeństwie. Otto nie mógł się doczekać, kiedy wróci na statek. Rum, wino, porto - nie wypił tyle na raz od lat.

Rozgorączkowany i spocony, przewracał się w łóżku aż do świtu. Gdy nareszcie zaczęło dzień, spostrzegł jakiś ruch w ciemnym kącie pokoju. Wytężył wzrok, przy czym ból omal nie rozsadził mu orbit, i nagle zerwał się na równe nogi. Kapitan był tęgi, podobnie jak jego żona, zaczynał też odczuwać już brzemień lat, poruszał się więc zwykle powoli i dostojnie, aczkolwiek wciąż miał szybki refleks. Zanim zwinięty w kłębek wielki wąż zdążył wypełznąć z nocnego legowiska, Otto złapał odzież i nagi wypadł z domu.

Rano był w wyjątkowo podłym nastroju. Poganiał wioślarzy, zrugął pierwszego oficera, pośpiesznie pożegnał się z gospodarzem i kazał natychmiast stawiać żagle. Kiedy "White Rose", podrygując na falach, złapała południowy wiatr, Beckman odetchnął z ulgą. Rześki powiew wybijał mu chłodny poranny capstrzyk na przekrwionej, zaczerwienionej twarzy.

Teraz, w tydzień później, za nic by nie przyznał, że postąpił wtedy zbyt pochopnie.

- Co takiego, panie Swallow?! - ryknął, wspierając się na kole sterowym.

- Zaczyna brakować nam wody, sir.

- A niby to dlaczego ma nam braknąć wody? - Kiedy kapitan był wściekły, jego niemiecki akcent stawał się wyraźniejszy.

- To przez ten pośpiech w Somerset, sir. Ludzie opróżnili wszystkie beczki z batawiskiej wody, ale zdążyli napełnić tylko jedną. Mieli skończyć rano, tylko że w zamieszaniu wypadło im to z głowy.

- Wypadło im z głowy! Cóż to za brednie? Czy zapomnieli też podnieść kotwicę? Albo postawić żagle? O rumie jakoś zawsze pamiętacie!

- Bardzo mi przykro, sir.

Kręcący się po pokładzie marynarze wymieniali złośliwe porozumiewawcze uśmiešky, przysłuchując się, jak kapitan beszta pierwszego oficera. Beckman z furią obrócił się do nich:

- Słuchajcie, łachmaniarze! Śmiejecie się, co? Myślicie, że jedna beczka wody starczy nam do najbliższego portu? Głupcy! - Gniewnym gestem wskazał spokojną szafirową toń. - Wydaje wam się, że groźny bywa tylko ocean, a teraz to majówka, bezpieczna przejażdżka wzdłuż brzegu, tak? Pod powierzchnią cieśniny są rafy, które w każdej chwili mogą wydrzeć bebechy ze statku. Mam nadzieję, że Bóg nas od tego uchowa, ale jeśli wpadniemy

na rafę, wyzdychamy z pragnienia. W tym upale nie potrwa to długo. Tak więc nie będę płynął dalej bez zapasu wody. Zrozumiano?

- Tak jest - mruźli marynarze, spuszczać głowy.

- Pan, panie pierwszy, powinien otrzymać chłostę, zamiast tego jednak pozwolę panu naprawić błąd. Uda się pan po wodę i weźmie ze sobą tych zapominalskich. Proszę podać mi nazwiska ludzi, którzy zaniedbali swoje obowiązki.

Swallow oblizwał wargi.

- Ja ponoszę za to pełną odpowiedzialność, sir.

- Poradzi sobie pan sam z wiosłami i noszeniem baryłek?

- No... nie, panie kapitanie.

- Czekam na nazwiska.

Wśród marynarzy podniósł się szmer zaciekawienia; wykręcali głowy, żeby zobaczyć tych, którzy zostaną wywołani.

- Billy Kemp... - zająknął się Swallow - i eee... George Salter i Dutchy Baar.

- Dobrze. Rano rzucimy kotwicę w ujściu rzeki Endeavour. Wedle map w pobliżu brzegu mają tam być liczne źródła słodkiej wody. Wy czterej zajmiecie się jej dostarczeniem. - Beckman zmarszczył nos. - Cóż to znowu za smród? - Zdesperowany potrząsnął głową. - A, to ty, Gaunt!

Chłopiec okrętowy gapił się na niego bezmyślnie, trzymając w ręku cuchnący kubek. Bez trudu można było zgadnąć, skąd go niesie: Gussie znów wymiotowała.

- Wylej to! - wrzasnął Beckman - bo za chwilę sam powędrujesz za burtę! I wyszoruj wiadro!

Odwrócił się z niesmakiem. Do dziś nie potrafił pojąć, jakim sposobem dał się przekabacić temu staremu szachrajowi Willy'emu Gauntowi, i zabrał na pokład jego syna idiotę. Marynarze nadali mu przydomek "Gapa", które zresztą trafiało w samo sedno; chłopak zwykle tkwił w jakimś kącie i czekał, aż ktoś po raz setny wytłumaczy mu, co ma robić. Odnosiło się wrażenie, że nic nie jest w stanie do niego dotrzeć. Na swoje szczęście Gapa miał jedną zaletę: był miły dla Augusty. Doglądał jej, bez protestów ścierał wymioty i uprzątał kubły, chętnie biegał tam i z powrotem, nosząc jej kawę i suchary, a ponadto prał nie gorzej od Chińczyków z Brisbane. Gussie też go lubiła i to już było coś.

Beckman wrócił do sterówki i pochylił się nad mapą. Badał bieg linii brzegowej przy ujściu Endeavour. Nie mógł ryzykować, że je przeoczy.

Willy Gaunt zawczasu ułożył życiową karierę syna. Edmund zacznie jako chłopiec okrętowy, spędzi kilka lat na przednim pokładzie, zarobi trochę forsy i zyska doświadczenie, wyróżniając się sprawnością, dyscypliną i odwagą, w ślad za czym pójdą kolejne awanse niczym pewne kroki po utartej ścieżce wzwyż. Na samym szczycie otrzyma cenny patent, uprawniający go do objęcia dowództwa na własnym statku.

Koncept ten poraził go pewnego dnia blaskiem objawienia. Był to pierwszy prawdziwy pomysł, jaki kiedykolwiek zaświtał w głowie Willy'ego, a przy tym tak piękny, że Willy nie posiadał się z emocji. Dotychczas mozolnie borykał się z losem, nad którym miał nie większą kontrolę niż kamień toczący się po bruku. W ponurej nędznej dzielnicy Liverpoolu, gdzie się wychował, miejscowi musieli staczać boje o kromkę powszedniego chleba z hordami wygłodniałych imigrantów z Irlandii. Kradzieże były na porządku dziennym. Zręcznego złodzieja podziwiano, wychwalano, zazdroszczono mu. Willy nie był ani wybitny, ani nieudolny - po prostu wykonywał ten zawód, nie myśląc nawet, że walczy o byt, ponieważ pojęcie to również nie mieściło mu się w głowie.

Brama więzienia odcięła go od wychudzonych, dygoczących w zimowym wietrze ziomek, mimo to Willy nadal był między swymi. Z krzywymi minami dreptali przed barierkami sal sądowych niczym bydło na targu, podczas gdy urzędnicy sprzedawali ich jednemu nabywcy, jaki brał udział w licytacji: australijskiej kolonii.

Willy obojętnie przyjął fakt, iż został globtroterem. Do portu w Sydney dostarczono ich statkiem, dalej szedł pieszo - aż do samego więzienia nad zatoką Moreton. Po drodze mijali groby innych skazańców. Skierowano go do pracy w Brisbane i wkrótce stracił rachubę mijających dni, aż pewnego ranka znudzony urzędnik poinformował go, że za niecały rok odzyska wolność.

Jego żona, Jane Bird, również karnie zesłana do Australii, uzbierała dziesięć gwinei na dom, w którym mogliby wychowywać syna. W tym czasie Willy wdrożył się już do pracy, toteż z przyzwyczajenia pracował nadal, najmując się to tu, to tam. Poza tym, również z przyzwyczajenia, od czasu do czasu handlował kradzionymi rzeczami.

Wolność wiele znaczyła dla Willy'ego. Jako młody chłopak nie był w stanie jej docenić, ponieważ w ogóle rzadko trzymał się myśleniem. Teraz miał podpisany dokument stwierdzający, iż Willy Gaunt jest wolnym człowiekiem. Miał też syna, przed którym rysowała się świetlana przyszłość. Edmund zostanie kimś, postanowił Willy, może nawet sam będzie rozkazywał innym.

Jane umarła, kiedy chłopiec miał dziesięć lat, na łożu śmierci błagając męża, żeby zadbał o syna. Zresztą Willy także bardzo kochał Eddiego i był dumny z tego dziecka, które wyuczyło się czytania i pisania nie gorzej od bogatych paniczek. Dotrzymał obietnicy złożonej Jane. Kilka wspartych drobną przysługą słówek szepniętych tu i ówdzie na nabrzeżu sprawiło, iż dotarł w końcu przed oblicze kapitana Beckmana, dowódcy "White Rose", niewielkiego klipra, kursującego głównie na szlakach przybrzeżnych. Bystrooki Willy błyskawicznie ocenił Niemca: przyzwoity gość, któremu można zaufać. Musiał wprawdzie wysilić cały swój dar wymowy, w końcu jednak przekonał kapitana, żeby dał jego synowi szansę. Wkrótce potem Edmund został wpisany na listę załogi "White Rose" jako chłopiec okrętowy. Tak zaczęła się jego marynarska kariera.

Co drugi dzień Edmund miał nocną wachtę. Biegał z rozkazami, kontrolował latarnie, stanowił dodatkową parę oczu.

- Młode oczy! - prychnął kiedyś z ironią kapitan Beckman. - Co prawda przeważnie nie wiedzą, czego mają wypatrywać, ale przynajmniej nie są zaćmione kradzionym rumem.

Tak więc Edmund siedział wysoko na rei, obserwując spokojne, oświetlone księżycem wody cieśniny Whitsunday. Czuł się o wiele lepiej, odkąd przestał nimi kiwać gwałtowny ocean. Cała reszta załogi obawiała się długiego na tysiąc mil pasa raf koralowych, który ciągnął się wzdłuż wybrzeży Queensland, Edmund wszakże był im wdzięczny. Stanowiły falochron, pozwalający "White Rose" sunąć gładko jak po stole, co znacznie poprawiło stan jego żołądka.

Od chwili kiedy statek wypłynął z zatoki Moreton przy ujściu rzeki Brisbane na otwarte morze, Edmund większość czasu spędził przewieszony przez reling. Prawdę mówiąc, sam nie wiedział, co było gorsze: dolegliwości żołądkowe czy palący wstyd. Nigdy nie przypuszczał, że choroba morska przerobi go na nędzny ochłap, bezwładny jak wyżęta szmata i modlący się o rychłą śmierć. Najchętniej cierpiałby w samotności, skulony pod szalupą, ale pierwszy oficer Swallow nie chciał o tym słyszeć.

- Do roboty, chłopcze. Jeśli wyrzucisz z siebie wszystko, nie będzie już czego zwracać i po kłopotcie. Rusz się, mówię, i nie rzygaj na pokład, bo pasy każę z ciebie drzeć.

Tylko żona kapitana, pani Beckman, okazała mu nieco zrozumienia. Nic dziwnego, ona także chorowała bez przerwy, sumitując się, że Edmund musi opróżniać po niej kubły. W cieśninie Whitsunday oboje jakby nieco odżyli i dalszy rejs do Somerset na półwyspie York obył się bez sensacji, za to teraz, w drodze powrotnej, kapitanowa znowu była chora. Tym razem czyściło ją z obu stron.

Tak, pani Beckman zdecydowanie była szczurem lądowym, toteż załoga wyśmiewała ją, czyniąc za jej plecami nieprzystojne uwagi. Edmund uważał, że to nieludzkie z ich strony, marynarze jednak żywili nadzieję, iż po tej nauczce żona kapitana zostanie grzecznie w domu. Nie życzyli sobie kobiety na pokładzie, zwłaszcza tłustej Niemki. To przynosi pecha, powiadali, stanowi zły omen. Bez przerwy mówili o omenach i znakach, każde zdarzenie miało rzekomo coś wieszczyć. Edmund nie był niedowiarkiem, co to, to nie. Opowieści kolegów przerażyły go nie na żarty i zrobiłby wszystko, byle zapewnić sobie bezpieczeństwo. Przehandlował swoją codzienną rację rumu na ząb rekina, który nosił teraz na szyi. Dał mu go Billy Kemp, twierdząc, że Edmund robi świetny interes. Jeśli masz przy sobie taki ząb i wypadniesz za burzę, żaden żarłacz nawet się do ciebie nie zbliży. "Spadają szybciej niż majtki portowej dziwki" - mówił Billy. Było to krzepiące. Edmund śmiertelnie bał się rekinów.

Jakiś ruch na pokładzie wyrwał go z drzemki. Zsunął się na pokład, czując przyjemny chłód budzącej się przed świtem bryzy. Morze było różowe aż po horyzont - naprawdę różowe; Edmunda nigdy nie przestało zadziwiać, że ocean może przybierać takie barwy. Niebo po wschodniej stronie znaczyły szaro-różowe pręgi, ciągnące się daleko w nicość. Edmund nieraz się zastanawiał, co jest tam, po drugiej stronie oceanu.

- Nie stójże jak kolek, durniu, pomóż! - Billy Kemp popchnął go w stronę szalupy. - Odwiąż łódź, chłopaki w tym czasie wyniosą baryłki.

Billy zawsze się szarogęsił. Można by pomyśleć, że jest oficerem, a nie zwykłym marynarzem. Edmund niezdarnie wziął się do rozplątywania lin, lecz jak zwykle zastąpiły go inne, szybsze ręce i szalupę po chwili opuszczono na wodę. Wytoczono beczułki; pokład zaroił się ludźmi, z których część pomagała przy pracy, część chciała się tylko pogapić. Edmund modlił się w duchu, żeby znaleźli wodę. Nie chciał umierać, dławiąc się opuchniętym językiem, który nie mieści się w ustach, a taka właśnie jest śmierć z pragnienia, jak mu opowiadano.

Kapitan z kamienną twarzą przyglądał im się z mostka. W ogóle trudno było stwierdzić, co sobie myśli albo jaką ma minę pod tą gęstą, schludnie przystrzyżoną brodą. Z całej twarzy widziało się tylko chłodne, stalowoszare oczy. Edmund obiecywał sobie w duchu, że w przyszłości on też będzie nosił brodę. Taki zarost jest lepszy niż maska.

Pierwszy oficer Swallow miał rewolwer w kaburze u pasa. Edmund wzdrygnął się. Cieszył się, że sam nie płynie. Kotwiczyli daleko od brzegu, ale ląd wyglądał nieprzystępnie, wręcz wrogo.

Pani Beckman z głośnym sapaniem wdrapała się na pokład, przytrzymując fałdziste spódnice. Też chciała zobaczyć, jak osada szalupy wiosłuje w stronę cienkiego paska białej plaży.

- Czy nie możemy podpłynąć trochę bliżej? - spytała męża.

- To zbyt ryzykowne. Musimy się trzymać żeglownego kanału. Dobrze dziś wyglądasz, moja droga.

- I dobrze się czuję. O tej porze jest bardzo przyjemnie, dopiero później zacznie się ten okrutny upał.

- Powinnaś zostać na świeżym powietrzu, to o wiele zdrowsze. Każ chłopakowi, żeby wyniósł ci fotel i podał herbatę na pokładzie.

Edmund za późno się zorientował, że o nim mowa, i nie zdążył w porę czmychnąć. Ze zwieszoną głową podreptał do kambuza. Przez pół nocy stał na wachcie i teraz powinien smacznie chrapać, ale jak raz dostanie się w łapy kuka, będzie musiał wydawać śniadanie dla załogi, sprzątnąć kabiny i wykonać wszystkie inne cholerne roboty, które mu wrzepią. Będzie miał diabelne szczęście, jeśli zdoła choć na chwilę zdrzemnąć się przed zmrokiem.

Marynarze z szalupy spoglądali nerwowo na strome zielone góry, które majaczyły nad linią brzegu. Ich szczyty niczym gruby popielaty szal osnuwała mgła, unosząca się nad wilgotną dżunglą. Mięiste zielone namorzyny wychodziły daleko w morze, lecz po południowej stronie ujścia rzeki lśniła w słońcu biała piaszczysta plaża.

Billy Kemp pierwszy znalazł się w łodzi. Język przysychał mu do podniebienia; odkąd odkryto, że beczułki są puste, Beckman nie zezwolił wydać winowajcom ani kropli wody. Teraz więc, otoczony kuszącą, acz niezdatną do picia morską wodą, Billy nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie ruszą. Miał już wiosło w dulce, zanim wskoczyli inni.

- Ruszcie tyłki - warknął. - Im szybciej obrócimy tam i z powrotem, tym lepiej.

- Bierz wiosło, Dutchy - rozkazał Swallow.

Dutchy wyszczerzył zęby do Billy'ego.

- Ciągnij mocno, chłopcze, bo warto. Pierwsi dotrzemy do wody i nażłapiemy się po same uszy!

- A co będzie, jeżeli jej nie znajdziemy? - zmartwił się George Salter.

- Och, zamknij jadaczkę, wypierdku! - sarknął Billy. - Pan Swallow wie, gdzie jest woda, prawda?

Pierwszy oficer kiwnął niepewnie głową.

- Tak sędzę. Kapitan Cook obozował tu przez trzy miesiące.

- Jezu Chryste! - jęknął George. - To było sto lat temu!

- Wiem - uciął Swallow. - Mówię, że on pierwszy znalazł tu pitną wodę, ale po nim było jeszcze wielu. Podobno jest przecinka prowadząca do źródeł.

- Każdy szlak do tej pory na pewno już zarósł - zauważył Billy. - W tym klimacie las rozprzestrzenia się jak pożar. Zresztą to nieważne, niedawno skończyła się pora deszczowa. Ta cholerna góra na pewno jest pocięta żlebami jak szkielet. Każdym z nich będzie płynął strumień.

- Skąd wiesz? - zapytał George.

Billy zignorował go, ochoczo podejmując wyzwanie, jakim było dotrzymanie tempa wielkiemu Holendrowi. Dutchy był silny jak byk, jego potężne opalone ramiona lekko ciągnęły głęboko zanurzone wiosło, toteż ciężka łódź mknęła szybko w stronę brzegu.

Skąd Billy wiedział? Wiedział wiele o wodzie, a jeszcze więcej o jej braku. Susza była ich powszednią dolą na tej przeklętej, zapomnianej przez Boga farmie, która miała być spełnieniem marzeń jego ojca. Kempowie nie skalali się nigdy przestępstwem, nie nosili szram po bacie lub kajdanach. Wydawało im się, że mają świat u stóp. Jako wolni osadnicy radośnie przybyli na australijski brzeg i dali się namówić na zakup farmy w okolicach Bathurst, niewiele większej od pocztowego znaczka. To było szaleństwo. Teraz Billy wiedział już, że w tym kraju trzeba kupić ogromny szmat gruntu albo nie kupować wcale. Za późno. Mama i tato śnili o kawałku ziemi, który będą stopniowo powiększać - kiedyś, jak się wzbogacą. Marzenia ściętej głowy!

Ich nędzne gospodarstwo od początku nie miało najmniejszych szans na przetrwanie. Mimo to walczyli dalej. Garstka owiec topniała z dnia na dzień - osłabłym z głodu i pragnienia zwierzętom kruki wydziobywały oczy, w końcu zaś porywały je dzikie psy dingo. A Billy patrzył, jak wraz z farmą stopniowo dogorywa jego rodzina. Kiedy młodszy brat zmarł od ukąszenia węża, matka załamała się do reszty. Całymi dniami włóczyła się po okolicy szukając syna, nawoływała swego chłopca tak często, że papugi-przedrzeźniacze podchwyciły okrzyk. Małe papużki faliste popiskiwały w krzakach: "Harry! Gdzie jesteś, Harry!" Spryciarom kakadu wychodziło to jeszcze lepiej. Łagodne niczym kury, oswojone z obecnością ludzi, przysiadały na drzewach albo dreptały po zakurczonym obejściu, krzycząc chórem: "Harry! Hej, Harry! Wróć do domu, Harry!" Ich głosy brzmiały czysto i wyraźnie jak dzwon! W takich warunkach każdy by zwariował. A deszcz? Nigdy nie widzieli deszczu. Zapomnieli, jak wygląda zieleń, wszędzie był tylko pył i proch. Kiedy padła ostatnia owca, ojciec zszedł nad wyschnięte koryto strumienia i palnął sobie w łeb.

- Teraz ostrożnie - rzekł Bart Swallow - miejcie oczy otwarte. Okolica wydaje się bezludna, ale nigdy nic nie wiadomo. Jest odpływ, trzymajcie się z daleka od tamtych skał i przybijcie do plaży. Powoli i bez hałasu.

- Podejrzewa pan, że tam są czarnuchy? - spytał George.

- Nie mam zamiaru tkwić tu tak długo, żeby się o tym przekonać - odparował pierwszy oficer.

Wyciągnęli na brzeg łódź i wyrzucili z niej trzy beczułki.

- Popilnuję łodzi - odezwał się Billy. Nie miał ochoty na przechadzkę w głąb dżungli, na pewno roi się tam od węży.

- To ja tu wydaję rozkazy, Kemp - upomniął go Swallow. - Chodź ze mną, Dutchy, będziesz nosił beczki. Wy dwaj strzeżcie szalupy. - Wyjął dwie maczety i wręczył jedną wielkiemu Holendrowi. - Wygląda na to, że będziemy musieli wyciąć sobie przejście.

- Jak mamy pilnować szalupy bez broni? - zapytał Billy. - Jeśli zaatakują nas dzicy, mamy w nich rzucać garściami piasku, czy jak? Niech mi pan da pukawkę.

- On ma rację - potwierdził George. - Powinniśmy byli wziąć ze sobą parę karabinów.

- Nie ma takiej potrzeby. - Swallow odpiął pas z kaburą. - Zostawię wam rewolwer. Weź go, George, tu jest amunicja. Gdyby coś się działo, strzelajcie, wrócimy w te pędy.

Kiedy Swallow i Dutchy ruszyli w dżunglę, Billy parsknął śmiechem.

- Nasz pierwszy oficer to idiota. Zapomniał o broni, zupełnie tak samo jak przedtem o wodzie. Skąd mieliśmy wiedzieć, czy nie kazał komuś innemu napełnić beczulek? Chodź do cienia, usmażymy się tutaj na amen. Ten piasek odbija słońce jak lustro.

Powlekli się w ślad za towarzyszami w stronę lasu i opadli na kłujący dywan rzadkiej morskiej trawy. Dutchy i Swallow zniknęli w gęstwinie drzew oplątanych lianami grubymi niczym liny okrętowe, słychać było jednak, jak przedzierają się w głąb lądu. Billy miał nadzieję, że nie zajmie im to wiele czasu; ostatecznie to nie piknik. Zerknął na George'a, który przypiął kaburę i wyjął z niej rewolwer.

- Jest naładowany?

- Jasne.

- To uważaj, żebyś nie odstrzelił sobie nogi. Lepiej mi go daj.

- Odwał się. Potrafię strzelać. Myślisz, że zjadłeś wszystkie rozumy, Kemp. Założę się, że nie potrafisz nawet trafić kruka w locie.

- Jeśli ty zestrzelisz kruka - zaśmiał się leniwie Billy - dam ci złoty zegarek. Te ptaki mają więcej rozumu od ciebie, kołku.

Oparł się o drzewo, tak żeby widzieć łódź. Strzelanie? Strzelać potrafi każdy - z wyjątkiem taty Kempa. Nawet skończyć ze sobą nie umiał. Kiedy Billy przedarł się przez wyschnięte zarośla i zbiegł nad strumień, znalazł go z odstrzeloną połową twarzy, całego we krwi. Rzucił się na kolana w kałużę krwi, objął starego, a wtedy łypnęło na niego to błagalne oko. Ojciec jeszcze żył. Psiakrew! To było najgorsze wspomnienie Billy'ego. Wziął strzelbę i dokończył dzieła. Musiał. Tak samo, jak musieli dobijać biedne, zdychające, oślepienie owce.

Ależ jest spragniony! Usta wyschnięte miał na proch. Wstał i z zadartą głową ruszył wzdłuż plaży, starając się trzymać w cieniu. Szukał orzechów kokosowych. Łyk mleka z pewnością by im nie zaszkodził, lecz w zasięgu wzroku nie było ani jednej palmy.

- Wiadomo - mruknął pod nosem. - Ze statku widać tysiące tych cholernych drzew, ale jak człowiekowi potrzeba jednego, to go nie znajdzie.

Kiedy wrócił, George drzemał z głową zwieszoną na pierś. Billy splunął i mocno kopnął go w zębra.

- Ładny z ciebie strażnik!

- Co ty? - kwiknął George, zrywając się na nogi. - Odpoczywałem sobie, to wszystko.

Stado czerwono-niebieskich papug zerwało się z krzaków i z wrzaskiem uleciało nad morze. Billy gwizdnął z podziwem. Te to umieją latać! Zakręciły jak na komendę i wystrzeliły z powrotem w stronę lądu długim stromym łukiem. Billy kiwnął głową. W pobliżu musiała być kania, wystawiły ją do wiatru.

Wspiął się na grubą gałąź pandanu i westchnął, ponagłając w duchu Dutchy'ego i Swallowa. Na pewno do tej pory znaleźli już jakieś źródło słodkiej wody. Przymrużył oczy; piasek lśnił oślepiającą bielą. Z namorzynów na dalekim krańcu plaży wyłoniła się jakaś postać. Tubylec maszerował zupełnie beztrąsko i, chwala Bogu, był sam. Billy obserwował go, nie chcąc na razie niepotrzebnie straszyć George'a. Czarnuch łowił ryby. Do licha, całkiem nieźle mu to szło! Od czasu do czasu wchodził nieco w morze, stał nieruchomo jak lśniący czarny posążek, potem nagle włócznia opadała niczym błyskawica i wynurzała się z łupem, który lądował w plecionym saku. Kiedy Aborygen przybliżył się nieco, Billy zorientował się, że jest to zaledwie wyrostek. Po chwili dzikus schylił się nad wypełnionym już koszem i na tle błękitnych fal zarysowały się wyraźnie małe wypukłości piersi. Kobieta! Goła jak Ewa w raju i bez listka figowego!

Billy uśmiechnął się szeroko, oblizał spieczoną wargę i zsunął się z gałęzi. Czarna dziewczyna wyprostowała się, spoglądając na pustą szalupę. Ciało miała smukłe niczym

węgorz. Zaciekawiona, odłożyła włócznię i podeszła ostrożnie, żeby sprawdzić, co to takiego.

Billy złapał George'a za łokieć.

- Pst! Cicho! Patrz, co my tu mamy! - Pociągnął kolegę głębiej w zarośla. - Niezły kawałek dupci, co, stary?

George wybałuszył oczy i kiwnął głową, z wysiłkiem przelękając ślinę.

- Złapiemy ją - szepnął Billy - ale musimy działać błyskawicznie. Zaciągniemy ją tu, pod drzewa.

George ponownie kiwnął głową, dygocząc z podniecenia.

- Poza tym - ciągnął Billy - dziewczucha może nas zaprowadzić do wody; będziemy mieli się czym pochwalić tamtym.

Rozdzielili się, żeby osaczyć zdobycz. Przemknęli ukradkiem pod osłoną krzewów, potem nagle wyskoczyli na plażę z dwóch stron.

Billy zdążył zauważyć śmiertelne przerażenie na twarzy dziewczyny, zanim obróciła się i zderzyła z George'em. Ale i dla niego była zbyt szybka. Wywinęła się i rzuciła w morze.

- Za nią! - wrzasnął Billy, sadząc wielkimi susami przez płyciznę. Zanurzyli się po pas, nim wreszcie ją dopadli. Walczyła jak szatan; przypominało to próbę złapania barakudy gołymi rękami. Zęby miała równie ostre. Wymierzyła celnego kopniaka w brodę George'a, przewracając go do wody. Billy parsknął śmiechem, zdołał jednak porwać ją w objęcia. Poczul gładki, jedwabisty dotyk młodych piersi.

- Trzymaj ją, chłopie - wykrztusił George, nachylając się, by złapać dziewczynę za nogi. Ta jednak wiała się i szamotała, wciągając ich coraz głębiej w morze. Fale przewalały się im nad głowami i wkrótce Billy nie dotykał już dna. Kilka stóp dalej George wpadł w panikę.

- Ratunku! Billy, pomóż mi! - Zniknął pod wodą, po chwili ukazał się ponownie, machając na oślep rękami. - Nie umiem pływać!

Zbity z tropu Billy rozluźnił uchwyt i nagle dziewczyna wyrwała mu się i zniknęła. Rozejrzał się gorączkowo. Ani śladu. Słońce, migocząc w rozkołysanej wodzie, oślepiło go.

- Psiakrew! - mruknął, bardziej ubawiony niż zirytowany. Podpłynął do George'a i wyciągnął go z powrotem na płyciznę.

- Ty cholerny idioto. Utopisz się kiedyś w wannie.

- Gdzie ona jest? - wykrztusił George.

- Niech mnie, jeśli wiem.

- Dobrze jej tak, jeśli pójdzie na dno - jęknął George. - Ta zaraza omal nie złamała mi szczęki. Kopała jak muł.

- Nie utonie - mruknął Billy, wychodząc na suchy piasek. - W wodzie czuła się jak ryba. Po prostu dała dyla.

George nagle ruszył biegiem.

- Gdzie lecisz? - zawołał za nim Billy.

- Po jej połów! - odkrzyknął przez ramię. - Będziemy mieć świeże ryby!

Billy wzruszył ramionami. Dużo go obchodziły ryby. Gdzie ten osioł podział rewolwer? Pewnie zostawił go pod drzewami przy łodzi. Może to i lepiej. Mieliby się z pyszna, próbując wytłumaczyć, w jaki sposób zgubili cholerną pukawkę.

Był już blisko szalupy, gdy z zarośli wypadł z wrzaskiem Dutchy.

- Wiejemy! - ryknął w biegu.

Billy'emu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Skoczył i z całych sił pchnął łódź. W parę sekund Dutchy znalazł się przy nim.

- Wskakuj! - wysapał. - Szybko!

- George! - wrzasnął Billy - Wracaj!

Rozejrzał się za Swallowem, ale Dutchy wyciągał już wiosło.

Billy w swoim życiu był już w dostatecznie wielu paskudnych sytuacjach, by wiedzieć, że w takich razach człowiek najpierw ucieka, a potem dopiero pyta "dlaczego?". Holender z wysiłkiem napierał na drąg, odpychając łódź od brzegu.

- Zaczekaj na nich, draniu! - krzyknął Billy, lecz już w następnej chwili zmienił zdanie, na plażę wypadła bowiem horda rozwścieczonych, wymalowanych na biało dzikusów. - Prędeż, na miłość boską, biegnij! - wrzasnął do George'a.

George biegł, ba, nieomal frunął przez płycizny, starając się dopaść łodzi, którą Dutchy w pojedynkę kierował na pełne morze.

- On nie umie pływać! - krzyknął Billy.

W tym samym momencie przestało to mieć znaczenie. Zobaczył ramię, zataczające wdzięczny łuk w powietrzu. Zahipnotyzowany patrzył, jak wyrzucona włócznia sunie gładko w powietrzu i wbija się w plecy George'a. George krzyknął, uniósł rozpaczliwie ręce i zwałił się twarzą w morze. Włócznia sterczała w górę niczym wątył maszt.

Wyjące dzikusy rzuciły się za nimi w wodę, dzidy furkotały w powietrzu. Billy pocił się przy ciężkim wiosle, przekonany, że oddalają się w istic żółwym tempie, że czarni dopadną ich i wywrócą łódź. Teraz jednak szalupa była lżejsza, na plaży zostały trzy beczki i dwóch ludzi. Gdzie się podział Bart Swallow?

Z każdym uderzeniem wiosł zwiększali dystans dzielący ich od napastników, lecz statek był daleko, za przyładkiem, i Billy bał się, że dzicy będą ich ścigać w czólnach. Wzdrygnął się na myśl o pozostawionym w dżungli pierwszym oficerze, choć rad był, że to właśnie Dutchy uciekł; gdyby nie jego potężne mięśnie, nigdy nie udałoby im się ująć pogoni.

- Co się stało z pierwszym? - zapytał w końcu, kiedy statek znalazł się w zasięgu wzroku.

- Dostali go - odparł Dutchy przez zęby.

- Nie żyje?

Holender obrócił się do niego z wściekłością.

- Mieliście stać na warcie! Wybiegłem, licząc na osłonę ogniową, a tu patrzę, w łodzi nie ma nikogo. Przez was mnie też omal nie zabili, przeklęty durniu!

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że to moja wina! To George miał rewolwer, nie ja. Zresztą nie odszedłem daleko, więc nie zwałaj wszystkiego na mnie.

Znad relingu wychylały się ku nim głowy marynarzy. Dutchy złapał linę.

- Nie jesteś wart aż takiej fatygi - wycedził szyderczo.

Gniew kapitana wznosił się i opadał falami jak wzburzony ocean. Beckman był wstrząśnięty gwałtowną śmiercią swoich dwóch ludzi, wściekły, iż wybrali się na ląd niedostatecznie uzbrojeni; odczuwał też pomieszaną z wyrzutami sumienia ulgę na myśl, że dowodzący nimi oficer był jedną z ofiar - w przeciwnym bowiem razie musiałby dopełnić miary przemocy, skazując go na chłostę.

W obecności drugiego oficera, Henry'ego Tuckera, oraz Augusty, która siedziała speszona w kącie kajuty kapitańskiej, Beckman wysłuchał drobiazgowej relacji Dutchy'ego i Kempa.

- Znaleźliśmy wodę - mówił Dutchy - idąc prosto przed siebie. Wypatrywanie ścieżki w tej gęstwinie nie na wiele się zda. W sumie poszło nam całkiem łatwo, natrafiliśmy na strumień, dostatecznie głęboki, żeby wtoczyć do niego beczki. Napelniliśmy jedną i... przysięgam, kapitanie, w ogóle nic nie zauważyłem ani nie słyszałem, aż tu nagle pan Swallow wstaje i bum! Ta cholerna włócznia nadleciała dosłownie znikąd i trafiła go prosto w gardło. Przeszła na wylot. Więc nawiałem co sił w nogach z powrotem tą samą ścieżką.

- I tak po prostu porzuciłeś swojego oficera? - spytał Tucker.

- A pan by może został, co? - warknął Dutchy. - Łatwo udawać bohatera, jak się siedzi za piecem. Głupie gadanie. Jasne, że uciekłem, nie rozglądałem się nawet za maczetą.

- Dlaczego Saltera nie było przy łodzi? - Kapitan po raz kolejny wrócił do nurtującej go kwestii.

- Odszedł kawałek plażą - rzekł Billy. - Nie byłem jego zwierzchnikiem, żeby mu rozkazywać. A to on miał rewolwer.

- Więc dlaczego go nie użył?

- Bo za bardzo był zajęty przebieraniem nogami, panie kapitanie.

W opowieści Billy'ego Kempa coś nie grało, Beckman był tego pewien. Marynarz wyraźnie unikał jego wzroku. Ale z drugiej strony... on też przeżył nie lada wstrząs.

Tucker poskrobał się po rudej brodzie.

- Gdyby George zaczął strzelać do tych dzikusów i położył choć jednego trupem, mógłby ich odstraszyć.

- Mhm. Jemu niech pan to powie - sarknął Billy.

Beckman był zmartwiony. Podniesienie kotwicy bez próby odnalezienia ciał i wyprawienia marynarzom przyzwoitego pochówku zakrawało na tchórzostwo, ale czy mógł sobie pozwolić na to, żeby ryzykować życie kolejnych ludzi?

- Spiszę raport - rzekł. - Wy dwaj podpiszecie go w obecności świadków.

W końcu odprawił tylko modły za dusze dzielnych towarzyszy, okrutnie zamordowanych nad rzeką Endeavour, prosząc Boga, by okazał im miłosierdzie, skoro nie było im dane dostąpić go w życiu. Odmówił też modlitwę dziękczynną za ocalenie pozostałych marynarzy, po czym Augusta zaintonowała kilka hymnów. Następnie kapitan rozkazał zaciągnąć całodobową straż nad resztką zapasów słodkiej wody.

- Teraz niech Bóg ma nas w swojej opiece - rzekł do załogi. - Wody jest bardzo mało i od tej chwili będziemy musieli ją ściśle racjonować. Niech pan każe stawiać żagle, Tucker.

Tucker zaczął wykrzykiwać rozkazy i załoga rzuciła się do roboty. Nikomu nie było żal opuszczać złowrogiego brzegu. Żagle, rozwinięte w rekordowo krótkim czasie, wydeły się i załopotwały na pożegnanie, kiedy wszakże Beckman ujął koło sterowe, zaskoczył go okrzyk: "Człowiek za burzą!"

- A cóż to znowu, na miłość boską! - ryknął.

Tucker wbiegł na mostek.

- Nikt z naszych nie wypadł - zawołał. - Ktoś jest w wodzie przed nami, wprost na kursie. To musi być Bart albo George, widocznie udało im się uciec.

- Niemożliwe - mruknął Beckman, jednakże musiał się upewnić. - Nie stójcie tak, ludzie, szalupa na wodę!

Ponownie opuszczono łódź. Gdy po krótkim czasie wciągnięto z niej na pokład ociekające wodą ciało, okazało się, iż nie są to zwłoki jednego z marynarzy, zniesione do morza z ujścia rzeki, lecz mała, chudziutka aborygeńska dziewczynka.

Kagari zauważyła dziwne czółno i szła właśnie w jego kierunku, gdy złe duchy pojawiły się zniemacka i skoczyły wprost na nią.

Przerażenie ją oślepiło, zdarło słońce z nieba, pozostawiając otchłań, ziejącą niczym paszcza. Ogarnęła ją ciemność. Kagari chciała krzyknąć, lecz z jej ust wydobywał się tylko wściekły niezrozumiały bełkot i zgrzytanie zębów. Ręce demonów oplątały ją jak węże, szarpiąc na wszystkie strony.

Ona wszakże знаła zwyczaj węży, czyż bowiem nie nadano jej imienia Kagari na cześć kukabury, śmiejącego się ptaka, zwanego także łowcem - zabójcy i pożeracza tych jadowitych stworzeń? Był to potężny totem, o wiele potężniejszy niż przykuty do ziemi gad. Toteż Kagari zmieniła swoją postać; jej smukłe ciało zwinęło się wężowym skrętem i dało nura w morze, wymykając się prześladowcom. Gdy dotyk ciepłych fal przywrócił jej siły, wyprężyła się niczym włócznia i spłynęła jeszcze niżej, w głębinę.

Srebrzystobłękitne wody zatoki przy ujściu wielkiej rzeki ukryły ją przed oczyma demonów. Oślepiąca, z bijącym sercem, ślizgała się nad koralowym łożyskiem morza, na przemian kuląc się i prostując, tak właśnie jak robią to węże morskie. Wstrzymywała oddech, aż w końcu płuca zbuntowały się i zmusiły ją do wynurzenia się na powierzchnię.

Nagła fala gorąca powiedziała Kagari, że słońce wciąż jest na niebie, nie widziała jednak światła. Wstrząsnęła nią nowa fala zgrozy. Złe duchy odebrały moc jej oczom! Czy odtąd już zawsze będzie kroczyć w ciemności? Prowadzona za rękę i karmiona, jak jej brat Meebal, któremu za młodu odebrało wzrok trujące drzewo i którego źrenice były teraz puste, zasnute potworną bielą i obmywane strużkami ciekących bez ustanku łez.

Za bardzo się bała, by marnować czas na żalobę po bystrych ongiś oczach. Ruch fal powiedział jej, że zwrócona jest w stronę brzegu, ale wiatr przyniósł jej uszom ohydne dźwięki, świadczące, że Żli wciąż tam są, nadal chlapią się w wodzie, szukając swej ofiary. Zanurkowała ponownie, głęboko, w koralową otchłań. Żyjące w głębinach węże nie potrzebują oczu, żeby omijać ostre krawędzie raf, które mogą je rozedrzeć na strzępy. Jej także niepotrzebny jest teraz wzrok.

Tuż obok gnieździła się ławica drobnych ryb, ich życzliwe milczenie przywróciło jej spokój. Coś trąciło ją pyskiem. Zmartwiała, sądząc, że to rekin ludojad, po chwili wszakże zdała sobie sprawę, iż po prostu duża krowa morska szuka towarzystwa. Kagari przesunęła dłonią po jej grzbiecie, chcąc się upewnić, czy nie znajdzie na nim osławionej trójkątnej płetwy. Od własnej brawury zaszumiało jej w głowie. O, rekin z pewnością nie bawiłby się

w uprzejmości, podwójny łuk ostrych zębów już dawno przeciąłby ją na pół. To jednak była samica długonoga, najłagodniejsze z morskich stworzeń po długonosych, popiskujących, uśmiechniętych delfinach, które zawsze podróżują całymi rodzinami. Kagari przytuliła się do swej przewodniczki i wraz z nią znów wypłynęła na powierzchnię.

Gdzie są jej współplemieńcy? Na pewno wkrótce za nią zatęsknią i zaczną jej szukać. Zobaczą koszyk z rybami na brzegu. Wiedzą przecież, że z własnej woli nigdy by nie zostawiła połowu, żeby gnił w słońcu albo służył za żer morskim ptakom. Lecz jeśli złe duchy wciąż są na plaży? Kagari otrząsnęła wodę z twarzy i od nowa zaczęła trzeć oczy, desperacko usiłując cokolwiek dojrzeć. Czy to koszmarny sen? Majak o ciemności, w której nawet krzyk zgrozy jest bezgłówny? Rozgarniała rękami wodę, w nozdrzach czuła powietrze. Nie, to nie jest sen. Znajduje się daleko od brzegu, za bardzo przerażona, by pozwolić falom nieść się z powrotem w stronę lądu. Musi się uspokoić, odegnąć od siebie ten potworny strach i czekać. Kagari jest silna. Jej ojciec, Wogaburra, miał wiele dzieci, lecz ona była jego ulubienicą, wiedział bowiem, że władcy Snu obdarzyli ją częścią jego czarodziejskich mocy. Nie dorównywała mu, rzecz jasna, to byłoby nie do pomyślenia, wyróżniała się jednak spośród innych podobnie jak on, gdy był chłopcem.

Wogaburra wyrósł wyższy niż ktokolwiek w plemienu i stał się wielkim wojownikiem i łowcą, ale starsi wkrótce poznali w nim mędrca. Pozwolili mu wejść w świat tajemnic, w końcu zaś przyznali, że oto objawił się nowy czarownik, który posiada moc przekraczającą ich zrozumienie; człowiek, któremu winien okazywać szacunek cały szczerp Irukandji. Obecnie imię Wogaburri budziło strach, jego zaklęcia bowiem mogły leczyć lub zabijać, przynosić szczęście bądź nieszczęście. Był także prorokiem, wypatrywał w przyszłości grożących plemienu niebezpieczeństw.

Kagari uśmiechnęła się. Czary jej ojca są potężne, złe duchy niech się strzegą! Nawet wódz Tajatella czuje się pewniej, gdy Wogaburra znajduje się u jego boku i broni go przed złem.

Kagari rozmyślała o demonach na brzegu. Musiały to być duchy, bowiem Irukandji od dawna nie mieli wrogów. Ich kraina była najpiękniejszą i najobfitszą pod słońcem. Wiedzieli o ziemiach zimnych, ziemiach suchych i głodnych, ponieważ w dawnych czasach stamtąd właśnie przybywali nieprzyjaciele. Nieraz napadali na nich straszliwi ludzie z północy, którzy chcieli porwać kobiety Irukandji, lecz plemię odpierało kolejne ataki i pod wodzą swoich wielkich naczelników dało agresorom nauczkę, której tamci nigdy nie zapomną. Tak, tylko złe duchy mogły o tym nie wiedzieć. Irukandji byli dumni ze swoich wojowników, budzących największy strach na całej ziemi; nie było na świecie ludu, który

rozmyślnie wkroczyłyby na ich teren bez zezwolenia. Od czasu do czasu zwiadowcy przyprowadzali kupców. Kiedy siedzieli później przy ognisku, wyglądali śmiesznie, spłoszeni jak małe ptaszki.

Jej matka Luka, nieśmiała, uśmiechnięta kobieta, najlepsza śpiewaczka w rodzinie, będzie się o nią martwić. Zniknięcie Kagari złamie jej serce. Na pewno wszczęła już alarm.

Piekące słońce okryło jej twarz skorupą soli, toteż Kagari zanurkowała ponownie, zagubiona i samotna. Ślizgała się pod wodą, nie zmierzając w żadnym konkretnym kierunku. W pewnej chwili przemknął ponad nią nagły chłód, jak wtedy, gdy chmura zakryje słońce i odsłoni je znowu... ale chmury nie poruszają się przecież tak szybko. Nagle doznała objawienia. To było czó!no! Ojciec jej szukał! Pośpiesznie wynurzyła się na powierzchnię, machając rękami, wołając do niego, by zawrócił.

Gdy tylko poczuła dotyk dłoni, wciągających ją do łodzi, Kagari zrozumiała, że popełniła błąd. Wystarczył sam zapach: złe duchy śmierdziały obrzydliwie, ich chrapliwe głosy dudniły jej w uszach. Czując nadciągającą zgubę, znów zaczęła walczyć; kopała i gryzła, lecz byli zbyt silni. Któryś z nich wymierzył jej miazdzący cios w tył głowy. Opadła bezwładnie na deski - mała dziewczynka, otoczona przez potwory.

Niezależnie od tego, jak bardzo niechętnie załoga "White Rose" przyjęła na pokładzie panią Beckman, nikt jej nie uchybił, przynajmniej wprost. Kobieta stanowi kontrastowy element w każdym nieokrzesanym męskim gronie, zwłaszcza w koloniach, gdzie było ich tak mało, że mężczyźni chlubili się galanterią wobec dam. Nieraz przywoływali tkliwe wspomnienia swoich matek i babek, szanowanych i kochanych nie tylko dlatego, że dobrze gotowały.

Pozycję Augusty Beckman określało stanowisko jej męża, toteż gdy zdecydowanym krokiem przemaszerowała przez pokład, pracując łokciami niby parą wioseł, fale mężczyzn rozstały się przed nią i odsłoniły wyłowioną z morza dziewczyninę - gołą, mokrą i lśniąca na deskach pokładu niczym smukły czarny żółw.

- Gott im Himmel! - wykrzyknęła kapitanowa, wstrząśnięta myślą, że tłum mężczyzn wpatruje się w małe sterczące piersi i okryte puchem włosów łono. Rzuciła się na kolana, usiłując przysłonić fałdzistą spódnicą nagość tego dziecka. - Przynieście jakiś koc!

Nachyliwszy się nad Aborygenką, pani Beckman stwierdziła, iż ta oddycha w miarę swobodnie. Owinęła ją kocem.

- Jest na wpół utopiona - oświadczyła zgromadzonym wokół gapiom.

- Bez obaw, psze pani - odparł jakiś głos. - Nie utopiła się. Szarpała się jak wściekły kot, Taffy może zaświadczyć i pokazać pani, jak go podrapała. Musieliśmy ją wyłowić, więc puknęliśmy ją lekko w łeb, żeby się uspokoiła.

- Mogliście ją zabić! - oburzyła się pani Beckman. Upewniwszy się, że koc okrywa wszystko, co należy, powiedziała do męża: - Ottonie, zanieśmy ją do mojej kajuty.

- Oczywiście - przytaknął i sam podniósł lekkie bezwładne ciało.

Kiedy Beckmanowie zniknęli z pokładu, jeden z mężczyzn sarknął:

- Po co tyle fatygi? To przekłeta dzikuska, tak samo jak ci, co zabili dwóch naszych kumpli. Najlepiej byłoby ją wrzucić z powrotem do wody. Niech rekiny się nią zajmą.

Edmund był wstrząśnięty.

- To przecież dziecko! Nie możecie tego zrobić!

- Z małych kociąt wyrastają tygrysy ludojady. W tej dziewczce płynie krew morderców. A ty co na to powiesz, Billy? Byłeś na brzegu, omal cię nie dostali.

Billy Kemp trzymał się na uboczu. Był to dla niego dzień wstrząsających przeżyć. Omal nie zemdlał, gdy rozpoznał tę samą dziewczynę, którą wraz z George'em ścigali po plaży. Chryste, gdyby odzyskała przytomność i wskazała na niego palcem, miałby się z pyszna! Zwłaszcza że niektórzy z tych cholernych czarnuchów bełkotają łamaną angielszczyzną. Nie, nie chce jej na statku. Skoro utrzymała się w wodzie tyle czasu, niechże tam zostanie.

- Jasne - bąknął. - Pismo mówi: "oko za oko", nie? Wyrzućcie ją za burtę.

Potężny cień zamajaczył tuż nad nim. Dutchy.

- Nie zrobiła ci żadnej krzywdy - zauważył Holender, po czym zwrócił się do pozostałych: - Chcecie z zimną krwią utopić dziecko? To czym, pytam, różnicie się od tych dzikich pogan? Zostawcie ją staremu, on już będzie wiedział, co z nią zrobić.

Ujął Billy'ego za ramię i odprowadził na bok.

- Patrzysz na tę małą, jakbyś zobaczył ducha, Kemp.

- No cóż - próbował się roześmiać Billy. - Dziewucha jest goła jak święty turecki, nie zauważyłeś, kolego?

- Nie jestem twoim kolegą - warknął Holender. - A tak przy okazji: cóż to taszczył George, idąc plażą? Widziałem, jak coś rzucił, zanim zaczął biec.

Billy przeraził się nie na żarty. Jezu Chryste, ten drań ma oczy jak jastrząb!

- A skądże ja mam wiedzieć?

- A dlaczego miałbyś nie wiedzieć? Przecież patrzyłeś na niego, prawda? Bo widzisz, Kemp, ja przez cały czas rozglądam się wokół siebie. I wiele rzeczy dostrzegam. Na

przykład zadrapania na twoich rękach i szyi. Nie miałeś ich, zanim popłynęliśmy na brzeg.

- Dutchy złapał dłoń Billy'ego i pociągnął ku sobie. - Świeże zadrapania, takie same jak u Taffy'ego.

- Włazłem w krzaki - syknął Billy. - Puść mnie, to boli.

- Wobec tego posłuchaj mnie uważnie, gnojku. Jeśli spróbujesz zrobić krzywdę tej małej albo będziesz podburzał do tego innych...

- To co? - Billy splunął mu pod nogi. - Polecisz do kapitana i opowiesz mu nową historyjkę?

- O nie, to byłoby za proste. Odpuść sobie, bo inaczej pewnej ciemnej nocy to ty znajdziesz się za burtą. Rozumiesz? - Dutchy odepchnął go i odszedł.

- Jesteś rąbnięty, wiesz? Wariat! - wrzasnął za nim Billy.

- Billy! - Gaunt, chłopiec okrętowy, podbiegł do niego z dumą. - To ja pierwszy zawołałem! Wypatrzyłem ją w wodzie!

- Moje gratulacje - prychnął wściekle Billy.

Dziewczynka otworzyła oczy i wydała głośny udręczony jęk. Gussie wtuliła ją stanowczo w koję i delikatnie położyła jej palec na ustach.

- Cicho. Ciii...

Jęk urwał się. Otto podał żonie kubek.

- Pij, malutka, to woda. Musisz się napić wody.

Ale pacjentka nie wykazywała chęci do współpracy. Wyrывała się i szamotała, rozlewając zawartość kubka. Nie zrażona tym Gussie zmoczyła chusteczkę i wycisnęła ją nad spieczonymi wargami dziewczynki. Z zadowoleniem stwierdziła, że mała zlizuje krople. Po chwili chciwie zaczęła ssać tkaninę.

Gruchając uspokajająco, Gussie obmyła jej twarz i położyła mokry okład na czole.

- Patrz na te włosy - odezwała się, odgarniając długą poskręcaną grzywę. - Nigdy nie widziały grzebienia.

Beckman roześmiał się.

- A czegoś się spodziewała, matka? To dzikuska. Nie bardziej ułożona niż jej włosy, lepiej więc uważaj. Kiedy ocknie się na dobre, pewnie będzie chciała cię pobić.

- Potrafię dać sobie radę z taką kruszyną. - Gussie z uśmiechem naprężyła mięśnie.

- To dobrze. Jeśli wydostanie się z kajuty, wyskoczy za burtę, a drugi raz nie będę wysyłał po nią łodzi.

Dziewczynka gorączkowo tarła powieki.

- Pieką ją od soli - skomentował Otto.

- Jak to możliwe, że znalazła się tak daleko od brzegu? - w głosie Gussie zabrzmiało zgorzzenie. Oburzał ją podobny brak rodzicielskiej opieki.

- Widocznie pływała i zniósł ją prąd. Endeavour to wielka rzeka. Będę musiał znaleźć bezpieczne miejsce, żeby wysadzić to dziecko na brzeg, gdy tylko dojdzie do siebie.

- I jak trafi do domu?

- Ci ludzie znają swoją ziemię. Nie zabiorę jej przecież do Sydney.

Gussie spojrzała na ciemną twarzyczkę o młodzieńczych, regularnych rysach.

- Ma najwyżej dwanaście lat. To może być dla niej niebezpieczne.

- Nic więcej nie mogę zrobić - uciał Otto. - I tak ma szczęście, żeśmy ją wyłowili.

Przyślę tu Gaunta z zupą.

- O tak. Odrobina cieplej zupy na pewno dobrze jej zrobi.

Dziewczynka dygotała teraz jak przestraszony szczeniak, Gussie poklepała ją więc lekko po plecach i uczyniła wysiłek, by osuszyć jej włosy, ale znów została odepchnięta.

Przez całą noc Gussie siedziała przy dziewczynce, mocowała się z nią, coraz to od nowa układając ją w koi; nie przejęła się też, gdy mała ze strachu zmoczyła łóżko. Wymieniła mokre koce na świeże i czuwała nad dzieckiem, które rzucało się we śnie i krzyczało coś w dziwnym gardłowym języku.

Augusta cieszyła się, że wreszcie może się na coś przydać w tym pływającym domostwie. Bardzo prędko odkryła, iż załoga krzywo patrzy na jej obecność na pokładzie. Nie wspomniała o tym Ottonowi. Przez morską chorobę sprawiała tylko kłopot, zamiast być użyteczną. Na początku myślała, że pomoże w kuchni - była bardzo dobrą kucharką - ale kiedy wreszcie poczuła się nieco lepiej i zeszła do kambuza, napotkała nieprzejednany opór ze strony kuka. Otto delikatnie zwrócił jej uwagę, aby się nie wtrącała. Na "Białej Róży" nie było dla niej miejsca, teraz o tym wiedziała - cóż, kiedy czuła ciarki na myśl o powrocie do pustego domu w Brisbane.

Otto kupił ładny domek przy Charlotte Street, niedaleko rzeki, i Augusta nie mogła się doczekać, kiedy uczyni z niego prawdziwe ognisko rodzinne. Niestety, nic nie ułożyło się po jej myśli. Sąsiedztwo stanowił zapijaczony plebs - to było i tak delikatne określenie. Najgorsze były kobiety: same żyły w gnoju, ale nie szczędziły zniewag gospodarnej Niemce. Gussie miała nadzieję, że będzie uprawiać kwiaty i warzywa, oczyściwszy zachwaszczony kawałek ziemi na tyłach domu, lecz i ten zamiar spalił na panewce.

Któregoś dnia zakasała rękawy, wyszła na podwórko ze szpadlem i łopatą i wzięła się do karczowania chaszczy. Augusta nie bała się ciężkiej pracy. Po południu była zadowolona z postępu robót. Zajmie jej to nie więcej niż tydzień, potem spali chwasty i widłami wkopie popiół w ciężką wilgotną glebę.

Nazajutrz jej głośnie krzyki postawiły na nogi całą okolicę. Szarpiąc się z oporną kępą paproci, Gussie wypłoszyła z niej dwa wielkie węże. Jeden nawet uniósł się na ogonie niemal do wysokości jej pasa, syknął, wysunął rozdwojony język i zaczął kołysać głową w tył i w przód, gotując się do ataku. Gussie uciekła w panice.

Sąsiedzi zbiegli się, zaciekawieni, lecz żaden nie kwapił się do szukania węży.

- Nie wiadomo, ile ich tam jest! - mówili, cofając się niepewnie, chociaż, trzeba przyznać, jeden z mężczyzn zapuścił się w chaszczę i odzyskał narzędzia ogrodnicze Gussie.

- Lepiej niech pani dobrze zamyka drzwi - zaśmiała się jakaś kobieta. - One wchodzą do domów!

Gussie czuła, że sąsiadka chce ją przede wszystkim nastraszyć, aczkolwiek zdawała sobie sprawę, że istotnie jest taka możliwość. Węże ją przerażały, nękały w koszmarnych snach. Mogła jeszcze znieść tarantule, ktoś jej bowiem powiedział, iż te wielkie włochate pająki żywią się komarami, tolerowała mrówki, karaluchy i małe jaszczurki. Ale węże? Nigdy.

Stopniowo zmieniała się w zamkniętą w czterech ścianach pustelnicę. Nie miała przyjaciół, których mogłaby podjąć obiadem, sprzątany dla zabicia czasu dom lśnił jak z pudełka, ona zaś liczyła rozpaczliwie każdy dzień do powrotu Ottona.

Teraz, siedząc bezsennie przy rozgorączkowanym dziecku, miała czas na przemyślenia. Z tej odległości sąsiedzi z Charlotte Street nie wydawali się aż tak źli. Kimże zresztą byli? Biednym angielskim motłochem. Starając się obiektywnie oceniać własne czyny, Gussie nie mogła pojąć, jak doprowadziła się do takiego stanu. W Hamburgu była wesołą, energiczną osobą, otoczoną rojem krewnych i przyjaciół, dumną ze swych marynat, wypieków i wędlin. Jej kiełbasy zdobyły nawet nagrodę na dorocznym festynie! A oto dwa lata w Brisbane zrobiły z niej rozdygotaną, płacziwą kluchę. W gruncie rzeczy żaden z sąsiadów nigdy nie zrobił jej nic złego, ba, nawet nie wszedł do niej bez pukania. Dumna ze swego niemieckiego dziedzictwa, Augusta przeżyła wstrząs, gdy odkryła, że Anglicy (dla niej wszyscy byli Anglikami, choć niektórzy, urodzeni w kolonii, określali się mianem Australijczyków) gardzą nią, mimo iż jest żoną szanowanego kapitana statku. A jednak Otto nigdy nie stał się przedmiotem kpin, jakie ona musiała znosić. Tchórze, ot co! Ale czy sama była od nich lepsza? Ukrywała się w domu, zerkając na nich trwożnie zza firanek,

prała i prasowała pościel co tydzień, żeby jakoś wypełnić sobie czas, i skarżyła się mężowi, jak bardzo jest samotna...

Kiedy wróci do Brisbane, to wszystko się zmieni. Będzie chodzić, gdzie zechce, z podniesioną głową. Zrobi więcej przetworów i rozda sąsiadkom. To je zaskoczy. Jest świetną kucharką, przekonają się o tym. Będzie też robić sery, jak dawniej w kraju, i część z nich sprzedawać.

Spoglądając w przeszłość, Gussie nie posiadała się ze zdumienia, iż straciła tyle czasu, do cna odarta ze swego prawdziwego "ja". Przecież jeszcze nawet nie miała pięćdziesięciu lat, a zachowywała się jak bojaźliwa myszka, wymykając się ukradkiem z domu tylko po to, by czasem zajść do kościoła. Bywało, że kiedy skończyły się zapasy, wołała nie jeść, niż wypuszczać się na ulicę. Wychodząc, chowała twarz pod wielkim kapeluszem, bała się... właściwie czego?

Gdy sobie to wszystko uświadomiła, Augusta stanęła przed następnym problemem. Jak powiedzieć Ottonowi, że w końcu zdecydowała się pozostać w domu? Co sobie o niej pomyśli? Najpierw całymi miesiącami wylewała przed nim swe żale, płakała, że sama nie da sobie rady, a teraz znów zmienia zdanie. Mąż pewnie uzna ją za wariatkę, jeśli już tak nie sądzi. Czyż nie błagała go, żeby zabrał ją ze sobą na statek?

Dziewczynka obudziła się z krzykiem i znów zaczęła się szamotać, Gussie więc musiała ją okiełznać. Przypominało to próbę poskromienia bełkoczącego furiata. Augusta wiedziała jednak, iż mała nie jest szalona, a tylko przeraziła się, kiedy słońce wzeszło i odkryła, że znajduje się w obcym miejscu.

Edmund przyniósł śniadanie, skwapliwie korzystając z okazji, żeby pogapić się na Aborygenkę. Ku swemu zdumieniu Gussie stwierdziła, że jest głodna. Choroba morska nagle przestała ją nękać i wrócił jej apetyt.

- Dobrze, że jesteś - powiedziała. - Podaj mi mięso w cieście i bekon.

- To dla kapitana - odparł Edmund, stawiając przed nią jak zwykle herbatę i suchary.

- Dla kapitana przynieś drugą porcję, Edmundzie. Dziś mam ochotę na coś solidnego.

Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu i pośpieszył do kambuza.

Gussie zjadła trochę pieczeni, upewniając się, że dziewczynka poczuje jej zapach, po czym podsunęła jej pod nos plasterk ciepłego bekonu. Z radością zobaczyła, że Aborygenka drgnęła i łapczywie zaczęła gryźć mięso. Potem usiadła, macając wokół siebie rękami.

Szuka jedzenia po omacku! Gussie zaskoczona wtykała kolejne kawałki bekonu i pieczeni do głodniałych ust, jakby karmiła bezradne kurczę. Ta mała jest ślepa!

- Grzeczna dziewczynka - przemówiła do niej. - Weź teraz kawałek do rączki. O, tak, trzymaj. Jedz sama. Teraz trochę chlebka, proszę. - W ten sposób karmiła małą, dopóki nie przyszedł Otto.

- Nie będziesz mógł wysadzić jej na brzeg - oznajmiła. - To dziecko jest niewidome.

- Niemożliwe. Niech spojrzą.

Kapitan pomachał ręką przed oczyma dziewczynki. Mrugnęła, trudno jednak było stwierdzić, czy cokolwiek widzi. Wziął ręczne lustro i ustawił tak, że musiała je zauważyć.

- Jeszcze nie widziała własnego odbicia w czymś takim, matka. Lustro nam powie.

Po chwili potrząsnął głową.

- Niech nam Bóg pomoże, ta mała rzeczywiście nie widzi. Możliwe, że oślepla od słońca. Powinnaś założyć jej bandaż na oczy.

- Lepiej nie, wystraszę ją jeszcze bardziej, a dopiero co udało mi się ją uspokoić. Nic nie działa tak dobrze jak pełna miska. - Gussie się uśmiechnęła. - Zasłonię dokładnie bulaje, to powinno wystarczyć. Czy odzyska wzrok?

- To może stwierdzić tylko lekarz. Będziemy musieli dowieźć ją do Rockhampton i tam zostawić.

- U kogo?

- Bóg jeden wie. To już nie mój problem. Wysadzimy ją na brzeg i na tym zakończymy całą sprawę. Bardziej martwi mnie w tej chwili kwestia wody. Bardzo cię proszę, nie marnuj jej. Wydzielam ludziom po jednym kubku dziennie. Jeśli będziesz spragniona, napij się trochę wina. Zresztą wina też niewiele już zostało.

W ciągu paru następnych dni Gussie zauważyła, że wzrok dziewczynki zaczyna się poprawiać. Dokonywała nadludzkich wręcz wysiłków, by powstrzymać małą od ciągłego tarcia powiek. Jej pacjentka odzyskiwała siły; zrobiła nawet kilka chwiejnych kroków po kajucie.

Gussie zdążyła już ją polubić. Czekwała na okazję, by poinformować męża o decyzji, jaką podjęła.

Jako chrześcijanka powinna się zatroszczyć o tę pogańską duszyczkę. Nie mogą przecież porzucić jej w Rockhampton. Zabierze ją do domu, nauczy języka i pokaże, jak żyć po bożemu w przyzwoitej rodzinie. Oprócz tego sama będzie wreszcie miała towarzystwo. Otto z pewnością jej tego nie odmówi, skoro już dowiodła i sobie, i jemu, że kiepski z niej materiał na żeglarza.

- Zdecydowałaś się jednak pozostać panią domu? - zapytał przekornie, kiedy mu o tym powiedziała.

- Tak, mój drogi. Będę się opiekować tą małą.

- Raczej ją poskramiać, chcesz powiedzieć. Wciąż bardzo źle widzi, nie odzywa się i jest całkiem dzika. Nie możemy nawet wypuścić jej z kabiny. Z równym powodzeniem mogłabyś próbować oswoić węża.

Ciekawe, dlaczego przyszedł mu na myśl właśnie wąż. Dziewczyna bynajmniej nie nasuwała takich skojarzeń, zwłaszcza gdy się widziało jej strome jędrne piersi i zaokrąglone już po kobiecemu biodra. Całe szczęście, że Gussie jest na pokładzie. Komu z tej bandy mógłby powierzyć opiekę nad dojrzewającą nastolatką? Być może zresztą Gussie ma słuszność, chcąc ją przygarnąć. Smarkula nie dałaby sobie rady w Rockhampton, a Otto nie widział sposobu odwiezienia jej z powrotem nad rzekę Endeavour - chyba że wsadziłby ją na idący w tamtą stronę statek. Szanse, że odbędzie tę drogę nietknięta, były nikłe.

- Zastanowię się nad tym - rzekł. - Muszę to przemyśleć.

Kagari leżała nieruchomo. Czowała pod sobą kołyszące się trzewia wielkiej łodzi duchów, rozpoznawała dotyk drewna, przyciskając mocno policzek do jego niezwyklej gładzi. Jej rozszerzone nozdrza chwytały słodko-kwaśny zapach ludzkich stóp, bijący z desek, które dawno zatraciły swe soki. Zewsząd atakowały ją zapachy tak silne, że po namyśle uznała, iż nie są to wcale duchy, a raczej nieprzyjacielscy wojownicy. Huczały nad nią twarde grzechoczące głosy, przeradzające się czasem w piskliwy śmiech. W końcu uciszyła je jakaś kobieta, wykrzykując coś w dziwnym języku.

Owinięto ją miękkimi ciepłymi skórąmi jak niemowlę i przeniesiono w mrok.

Kiedy się obudziła, wciąż była ślepa. Dotykały jej obce, złe ręce. Zawołała o pomoc tak głośno, jak tylko zdołała, wydała z siebie przeciągły krzyk dingo, który będzie się niósł na wietrze dotąd, aż usłyszy go jej ojciec. Łzy spłynęły jej po twarzy. Zadygotała, tym razem już nie z zimna, lecz ze strachu. Potem poczuła wodę sączącą się do jej ust - słodką czystą wodę, ssła ją więc i ssła pomimo piekącego bólu biednych splekanych warg.

Wiele dni i nocy - nie umiała powiedzieć, ile - spędziła na tej olbrzymiej łodzi, którą miały teraz nabrzmiące deszczem wichry, śpiewając na przyjście wielkiego ducha wiatru, tak mocarnego, że mógł unieść ocean i rzucić go na ląd; tego samego, który targał dżunglą, wyrywając drzewa z korzeniami i rozrzucając je wokoło niczym wodorosty. Jej współplemieńcy są już pewnie daleko, schronili się w górskich jaskiniach. Kagari chlipnęła, powstrzymując łzy. Nie wolno jej rozpaczać. Gdy tylko nieprzyjaciele dostatecznie zbliżą się do brzegu, ucieknie im i jakoś dotrze do domu.

Przerażenie nieco osłabło, gdy wzrok jej się przejaśnił i zdołała wreszcie rozejrzeć się w tym dziwnym miejscu. Przez większość czasu oczy miała zamknięte, lecz gdy była pewna, że dziwna ta kobieta nie patrzy na nią, ukradkiem badała otoczenie.

Nakarmili ją. Nikt już nie próbował jej uderzyć. Zbiło ją to z tropu jeszcze bardziej niż poprzedni atak. Mężczyźni przychodzili i patrzyli na nią, po czym odchodzili, ale kobieta była przy niej cały czas - karmiła ją, gruchała do niej jak dziecko, zwilżała jej głowę chłodnymi szmatkami i przez cały czas mówiła, jakby Kagari mogła ją zrozumieć. Kagari doszła do wniosku, że kobieta również jest tu więźniem i że jest szalona. Odziana od stóp do głów w stopy płacht, pociła się przez cały czas w gorącym zaduchu ciemnego więzienia i bez przerwy nakrywała Kagari skórąmi, choć ta próbowała je z siebie zrzucić. Mimo to dziewczynka czuła się tu bezpieczna; to tylko z zewnątrz dolatywały wrzaski ludzi, którzy ją schwytali.

Deszcz wciąż bił mocno o łódź, lecz do środka, co dziwne, nie przesączyła się nawet jedna kropla. Morze było coraz bardziej wzburzone, wiatry nabierały mocy. Kagari z radosnym dzieciennym podnieceniem czuła, jak wielka łódź szybko mknie po falach. Nigdy w życiu nie zetknęła się z takim tempem; nieomal widziała wielkie wody pędzące pod dnem łodzi. Na szczęście, skoro zbliżał się ojciec wiatrów, ci wojownicy byli dość sprytni, by przed nim uciec.

Westchnęła i wtuliła się w kącik koi. Przyglądała się otaczającym ją przedmiotom, próbowała odgadnąć, z czego są zrobione i do czego służą. Bała się czegokolwiek dotykać, każda z tych rzeczy mogła być złym totemem.

Kobieta jak co dzień rozpuściła włosy o zadziwiającej barwie piasku - Kagari nigdy nie widziała podobnych - by je wyszczotkować i ponownie upiąć. Kagari lubiła ją wtedy obserwować; ten rytuał nie wiadomo dlaczego działał na nią krzepiąco.

Wzrok Kagari ślizgał się po gładkich powierzchniach nieznanymi sprzętów, precyzyjnie wyczuwając ciemne sęki i słoje drewna, z którego zrobiony był duży płaski przedmiot stojący na środku, a także rzeźbione siedzenia, których używali ci ludzie. Zdumiewały ją mocne ściany, mieszczące w sobie wielkie kanciaste misy. Misy te z łatwością wysuwały się i wsuwały, a kryły wszelkiego rodzaju skarby. Jej spojrzenie zatrzymało się na przymocowanym do ściany malowidle. Jego twórca był bez wątpienia najlepszym artystą na świecie. Irukandji także malowali na pniach drzew i ścianach jaskiń - niektóre z tych jaskiń były zbyt święte, by mogła tam wejść kobieta, ale Kagari słyszała, że ukryte w ich mroku obrazy są piękne, barwne i opowiadają dzieje przodków. To malowidło jednak stanowiło szczyt doskonałości. Każdy mógł zobaczyć, że przedstawia wielką łódź na maleńkim morzu. Możliwe, że była to nawet ta sama łódź, którą płynęli. Odkrycie to wprawiło ją w podniecenie. Zachichotała w uznaniu dla własnej przenikliwości.

Szalona kobieta usłyszała jej śmiech i podskoczyła ku niej z rozradowaną miną. Widocznie ucieszyła się, że Kagari potrafi się śmiać. Uściskała ją, a potem pośpieszyła do jednej z owych mis i wróciła z maleńkim podarunkiem, wskazując Kagari, że ma go zjeść. Ponieważ żadna z rzeczy, które dawali jej do jedzenia, jeszcze jej nie otruła, Kagari włożyła to coś do ust. Z zachwytem poczuła znajomy smak miodu i orzechów. Mniem, to jest dobre. Budgeri.

Uśmiechnęła się z entuzjazmem.

- Budgeri - powiedziała, wyciągając rękę po jeszcze.

Kapitan Beckman miał pewne obiekcje co do zabrania dziewczynki do domu. Nie, żeby władze się sprzeciwiały, nikt nie zwracał uwagi na czarnych. A jeżeli jakaś miłosierna kobieta, na przykład Gussie, chce dać schronienie czarnemu dziecku... ostatecznie czyż nie to właśnie usiłują robić misjonarze? Sprawa była jednak bardziej skomplikowana. Ta smarkata miała w sobie arogancję, rzadką u tubylców, niezwykłą nawet u białej dziewczynki w jej wieku. Oboje uznali, że ma około dwunastu lat. Była wysoka i wciąż rosła, a mężczyzna nie mógł nie zauważyć, że jej ciało przybiera bardzo kuszące kształty (oczywiście Otto nie wyraził tej myśli na głos). Jej wąski podbródek miał surowy, władczy zarys, a oczy, teraz już patrzące bystro (choć Gussie, by podeprzeć swe racje, upierała się, że dziewczyna nadal źle widzi), błyszczały zuchwale. Te wielkie ciemne oczy miały połysk złota, choć bardziej wilgotny niż metaliczny, i poważny niewzruszony wyraz. A może sposób, w jaki nosiła głowę, stwarzał takie wrażenie? Tak, to chyba to. Jej głowa, wciąż omotana gęstą skołtunioną czupryną, którą Gussie stopniowo rozplątywała, osadzona była dumnie na długiej zgrabnej szyi, wzniesiona nieruchomo - nie zwieszona, przekrzywiona czy zadarta, jak to bywa u małych dziewczynek. Gdy na kogoś patrzyła, trzymała głowę idealnie prosto. Otto sam tego spróbował i nie było mu łatwo. Siła mięśni, zdecydował, na pewno wrodzona, która pozwala im przeżyć w dziczy. Nadawało jej to wyraz spokoju, w rzeczywistości całkowicie mylnej; mała nadal była kompletnie zagubiona.

Zmarszczył brwi. Augusta stała przy relingu, przyglądając się ruchowi na nabrzeżu, i czekała cierpliwie, aż mąż odprowadzi ją na brzeg. Beckman czuł ulgę, że zgodziła się na przyszłość zostać w domu. Gdybyż tylko porzuciła ten pomysł z zatrzymaniem dziewczynki!

Podszedł, żeby z nią porozmawiać. Być może teraz, po powrocie do cywilizacji, Gussie będzie widzieć sprawę w innym świetle.

- Właśnie sobie myślałem - rzekł cicho - że moglibyśmy przekazać dziecko czarnym tu, w Brisbane, a oni zabiorą ją z powrotem do buszu, gdzie jej miejsce.

- Uważasz ją za jakieś zwierzę? - prychnęła gniewnie. - Wiewiórkę, którą można puścić wolno w lesie?

- Nie, nie. Nie o to mi chodziło. Myślę tylko, że będzie jej lepiej wśród swoich.

- To nie są jej swojacy. Sam mi to mówiłeś. Należą do różnych plemion. Równie dobrze mógłbyś zawieźć ją do Berlina i tam zostawić na pastwę losu.

- Gdzie ona teraz jest? - To było zasadnicze pytanie.

- Zamknięta na klucz w kajucie.

- Otóż to. Będziesz musiała ją zamykać, bo inaczej ucieknie.

- Nie ucieknie. Dopilnuję jej. To nie pierwsza Aborygenka, która zamieszka wśród białych. - Gussie wskazała grupkę tubylczych chłopców w potarganych europejskich łachach, którzy biegli ze śmiechem przez zatłoczone nabrzeże, kręcąc nad głowami lassem.

- Popatrz na nich. W Brisbane jest wielu krajowców, którzy mówią po angielsku.

- Tak, i jaki jest ich los? Nie udawaj, że nie wiesz. Żyją w pogardzie i nędzy.

- Mojej dziewczynki to nie spotka, już ja o nią zadbam. Ochrzciliam ją i nadałam jej imię na cześć żony gubernatora, lady Bowen. To taka piękna kobieta.

- Nazwałaś ją Diamentina?

- Nie. Po prostu Diamond.

Otto skinął głową z aprobatą. Jemu także imponowała hrabina Diamentina. Brisbane mimo dumnej nazwy miasta było w rzeczywistości dzikim pogranicznym fortem na skraju dżungli; Otto sam się wahał, czy powinien przywozić tu żonę. Ale to nie odstraszyło żony pierwszego gubernatora Queensland. Był teraz rok 1862, rezydowała tu już od trzech lat. Ta błękitnokrwista arystokratka krążyła po obskurnym mieście w sukniach, które wzbudziłyby zazdrość w Paryżu. Oprawę jej słynnej urody stanowiły jedwabie, koronki i tak wspaniała biżuteria, że nieokrzesany motłoch wpatrywał się w nią jak w bóstwo. I co najdziwniejsze, wszyscy ją kochali. Uwielbiali ją! Sam Bowen pozostawał nieco na uboczu, zajęty tworzeniem zrębów nowego stanu, jego śliczna żona natomiast wyprawiała przyjęcia, spotykała się z ludźmi, zawsze z uśmiechem i przyjaźnie wyciągniętą ręką.

Gussie ma wyczucie. Imię Diamentina byłoby pretensjonalne, wręcz nieodpowiednie, za to Diamond brzmi bardzo ładnie. Cóż, w gruncie rzeczy nie mają wielkiego wyboru. Diamond znajdzie się w dobrych rękach.

Edmund Gaunt zadzierał nosa przez całą resztę tego okropnego rejsu, kiedy to omal nie umarli z pragnienia na nędznych racjach wody, a potem jeszcze musieli umykać na południe przed huraganowym wiatrem. Pani Beckman pochorowała się tylko raz, on natomiast przez cały czas czuł nudności i nawet marzył o tym, żeby raz porządnie się wyrzygać i mieć wreszcie spokój. Poza tym jednak miał powody do dumy: był jedynym członkiem załogi, który codziennie widywał Aborygenkę, a wszyscy mężczyźni łaknęli wieści o niej. Zwłaszcza Billy Kemp.

- Czuje się lepiej, powiadasz?

- O tak. Już je.

- I co mówi?

- Nic nie mówi, Billy. Nie zna angielskiego.

- Ani słowa?

Innych bardziej interesowały kwestie stroju. Nagabywany bez ustanku Edmund odpowiadał cierpliwie, że pani Beckman trzyma dziewczynkę w koi. Później, kiedy doniósł, że mała już wstaje, znów zaczęli zasypywać go pytaniami.

- Chodzi na golasa?

- Nie. Pani Beckman dała jej sukienkę.

- A majtasy? Nosi coś pod spodem?

Nawet Edmund musiał się roześmiać, kiedy wyobraził sobie tę chudziutką dziewczuszkę w wielkich pantalonach pani Beckman. W duchu uznał jednak, że marynarze są okropni - to wstyd, żeby stare chłopcy śliniły się na myśl o takim dziecku, tylko dlatego że widzieli ją bez odzienia i że jest czarna. Poza tym... jeśliby chcieli zobaczyć naprawdę śliczną dziewczynę, powinni obejrzeć jego sąsiadkę, Perfy Middleton. Była dużo młodsza od niego, lecz ładna, i z dnia na dzień robiła się coraz ładniejsza. Miała długie jasne włosy, gęste jak len.

Edmund często obserwował ją na podwórku, kiedy myła głowę w jednym wiadrze i płukała w drugim. Zawsze ta sama ostrożna procedura: z mokrych włosów ciekły strugi wody, potem okrywał je ręcznik, z którego po chwili wybuchała kaskada złotych połyskujących pierścionków. Następnie przychodziła kolej na czesanie, mocowanie się ze splątanymi kosmykami, grymasy i marszczenie brwi. Zawsze marzył, by na tym poprzestała, tak pięknie wyglądała, kiedy rozpuszczone włosy otulały ją jak miękka peleryna, lecz ona nieodmiennie splatała je w warkocz, tak równiutko, że gotów był posądzać ją o czary. Jakim sposobem udawało jej się ujarzmić niesforne pasma? A później jej matka wyglądała na ganek i wołała "Perfy!"

Ojciec Edmunda nie lubił Middletonów. Przede wszystkim nie cierpiał żołnierzy. Tato Perfy był sierżantem w armii i Willy Gaunt uważał, że się zeszmacił. Przybył tu w kajdanach, mawiał, tak samo jak wszyscy, poślubił więźniarkę jak Willy, a kiedy wypuszczono go na wolność, przystał do ciemiężców.

- Sprzedawczyk! - prychnął Willy. - Podlizuje się władzom.

- On przecież nie jest żadną władzą, tato. To zwykły żołnierz.

- Też mi żołnierz! - Willy splunął z pogardą. - A gdzie niby jest wojna? Ci faceci to kukielki w rękach władz. Co dobrego zrobiła dla nas armia? Nic. Pracują dla hodowców, strzegą ich ziemi, a bogaczy nie kosztuje to ani grosza. Gdyby Middleton był uczciwy, wstąpiłby do policji.

- Myślałem, że nie lubisz policjantów?

- Nikt nie lubi policjantów, synu, nie słuchasz, co do ciebie mówię. Ale przynajmniej człowiek wie, za co im płacą.

Edmund żałował, że jego stary nie utrzymuje stosunków z sąsiadami i vice versa. Willy pękał ze śmiechu, ilekroć słyszał imię ich córki.

- Perfection! Wyobrażasz sobie, dać dziecku takie imię! Ci ludzie to cholerne snoby, powiadam ci. Wyżej toto sra, niżli dupę ma!

Edmund śmiał się razem z nim, choć w głębi ducha płonął ze wstydu. Uważał, że Perfection to śliczne imię. Perfection Middleton. Cała ona. Najdoskonalsza, iście perfekcyjnie piękna dziewczyna mieszka tuż obok niego, a on nigdy do niej nie przemówił. Gdybyż choć raz na niego spojrziała!

Którejś nocy na statku opowiedział o niej Billy'emu Kempowi. Billy też się śmiał.

- Zaczekaj, aż sam ją zobaczysz - powiedział wtedy Edmund, Billy'ego jednak nie interesowała Perfy. Choć oczywiście Billy też był stary, miał co najmniej dwadzieścia lat i od dawna już pływał po morzu.

Po śmierci starego porzucili farmę, ot tak, po prostu. Billy zaprzągnął starą klacz do wozu, na który załadował dobytek: te parę gratów, które warto było jeszcze wlec ze sobą. Potem podłożył ogień pod dom zbudowany przez ojca. Niech dranie wezmą ziemię, ale dom będą musieli postawić sobie własny. Miał wtedy piętnaście lat, mniej więcej tyle co ten zasmarkany gnojek Eddy. Czy kiedykolwiek w życiu był równie młody i głupi jak on? Wątpił w to.

Matka w ogóle nie wiedziała, co się dzieje, dawno pomieszało jej się w głowie. Siedziała na wozie, nie pytając dokąd jadą, i ani razu nie obejrzała się za siebie.

Zabrał ją do Sydney. Wynajął zatęchłą norę w dzielnicy Rocks, najgorszej w całej Australii, za to taniej. Sprzedał klacz i wóz, po czym zaczął zarabiać na życie dla nich dwojga. Było ciężko. Grzebał po śmietnikach, kradł, włóczył się po mieście, obrabiając kieszenie przechodniów, lecz przynajmniej matka miała co jeść. W papierach ojca znalazł kwit na dwanaście funtów - dowód zakupu tej jałowej ziemi. Świat był pełen oszustów. Kempowie trafili na J'A. Gandertona, pośrednika z Paddlington.

Billy specjalnie udał się do jego biura. Znalazł parterowy, elegancko odmalowany pawilon z werandą, wzdłuż której stały drewniane tablice, oferujące wspaniałe tanie posiadłości ziemskie. Uśmiechnął się. "Co dobre dla gęsi, dobre i dla gąsiora" - mawiał jego ojciec. Jasne. Dlaczego nie?

Tej samej nocy spalil biuro Gandertona.

Część druga

Kagari przywiązała się do nowej matki, choć nadal tęskniła za rodziną i pięknem wiecznie zielonej dżungli. Pewnego dnia opuści tę brzydką duszną wioskę i odnajdzie drogę powrotną do domu. Ależ będzie miała co opowiadać swoim bliskim! Stanie się ośrodkiem zainteresowania; ludzie przybędą z bliska i z daleka, żeby przysłuchiwać się jej w zadziwieniu. Wogaburra będzie dumny ze swej córki, z dziewczyny, która widziała tak wiele i odważnie przewędrowała obozy białych plemion. Przez całe życie Kagari słyszała opowieści o odwadze i brawurze Irukandji, znała imiona wszystkich śmiałych wojowników i nieustraszonych kobiet, o których była mowa w legendach, i zawsze płonęła z chęci, by o niej także śpiewano kiedyś pieśni.

Nie powie im jednak, że kiedy ją schwymano, panicznie się bała, a gdy przywieziono ją do tego domu, przerażona zaszyła się w kącie drewnutni i nie chciała wyjść. Po kilku dniach biały wódz spróbował ją stamtąd wyciągnąć, lecz podrapała go i pogryzła do krwi. Dopiero jego kobieta zdołała ją od niego oderwać. Kobieta była bardzo silna, wyglądała na grubą i niezdarną, miała za to siłę mężczyzny i Kagari się to spodobało. Po jakimś czasie zaczęła podziwiać tę swoją panią, która umiała tyle mądrych rzeczy i gotowała potrawy, jakimi zachwyciliby się nawet władcy duchów.

Nazywali ją Diamond. Było to dziwaczne imię, lecz przyzwyczała się do niego, tak samo jak - po pewnym czasie - przywykła do całej reszty.

Któregoś dnia pani przyprowadziła ze sobą kilka rozchichotanych czarnych dziewcząt, ale pochodziły one z innego plemienia i Kagari nie rozumiała ich języka. O wiele łatwiej było jej poznawać nowe słowa od pani, która bez przerwy ją czegoś uczyła, robiąc z tego świetną zabawę. Później Kagari spotkała przy furtce te same czarne dziewczyny; wytłumaczyły jej na migi, że jest w dobrym miejscu i nie powinna się stawiać, w końcu więc doszła do wniosku, iż pojmano ją na żonę dla białego mężczyzny. Kiedy w plemieniu brakowało młodych kobiet, mężczyźni, zamiast żenić się ze starymi, szli na wyprawę i chwyтали dziewczęta z innych plemion. Często bywała świadkiem ich powrotu, zadowoleni i dumni pokazywali swoje śliczne onieśmiałe branki. Nowe dziewczęta przyjmowano do rodziny i po jakimś czasie czuły się wśród Irukandjich jak u siebie. Rzadko zdarzało się, by uciekały. Dżungla pełna była niebezpieczeństw.

Czas mijał, lekcje trwały i wkrótce Diamond dobrze poznała język białych ludzi, wciąż jednak nie było ani śladu męża.

Augusta Beckman nie miała zamiaru pozwolić, by jakikolwiek mężczyzna, czarny czy biały, dobrał się do Diamond. Trzymała w domu strzelbę i wywijiała nią wściekle, jeżeli któryś wszedł na podwórko albo podkradł się pod werandę. Krzyczała głośno, żeby się wynosili.

- Strzeż się tych mężczyzn - mawiała do Diamond. - Narobią ci tylko dzieci i będą cię bić. To źli ludzie!

A przecież jej mąż był dobry. Często wypływał swoim ciężkim statkiem, a kiedy wracał do domu, zajmował się zbijaniem i rzeźbieniem mebli. Polerował drewno, aż przybierało barwy, które zadziwiały Diamond. Tylko raz nastąpiło między nimi starcie. Kapitan i jeszcze inny mężczyzna oczyszczali z ciernistych krzaków i wysokiej suchej trawy podwórko za domem. Znaleźli tam pięknego długiego węża. Kapitan złapał toporek, by zabić zwierzę, lecz Diamond rzuciła się na niego i przewróciła na ziemię. Nie głodowali, nie potrzebowali mięsa, a wąż był nieszkodliwy, miał lśniące czarne łuski i połyskliwe, jasne, mądre oczy. Mężczyźni cofnęli się z okrzykiem zgrozy, gdy Diamond owinęła węża wokół szyi i ramienia, kojąc jego strach dotykiem ciepłej skóry. Nikt jej nie powstrzymywał, kiedy poszła do lasu, aby znaleźć dla węża nowy dom. Ten incydent stał się prawdziwym początkiem jej nowego życia. Uświadomiła sobie, że nie jest więźniem i nikt nie będzie zabraniać jej spacerów, o ile tylko uprzedzi panią, dokąd się wybiera. Wkrótce nauczyła się znajdować drogę pomiędzy domami tej wielkiej wioski.

Codziennie rano pani uczyła ją prawdziwego języka angielskiego, nie łamanej gwary, jaką posługiwali się czarni. Pokazała też Diamond litery, służące do czytania i pisania, i kupowała jej książki z obrazkami, za którymi Diamond przepadała. Czuła, że te lekcje sprawiają starszej pani jeszcze większą przyjemność niż jej samej; zawsze przystępowała do nich z wielkim zapalem i nawet zmywanie naczyń mogło poczekać. Za każdym razem, gdy kapitan wracał do domu z rejsu, Diamond opowiadała mu, czego się nauczyła, i recytowała ładnie brzmiące wierszyki. Były bardzo zabawne, lecz kapitan się nie śmiał - zachwycony klaskał w ręce, a pani promieniała.

- Widzisz? - mówiła. - Powiadają, że czarni nie potrafią się niczego nauczyć, a Diamond potrafi. Moja Diamond jest mądrą dziewczynką.

Kapitan uśmiechał się serdecznie.

- Ma świetną nauczycielkę, Gussie. Powinnaś uczyć w szkole.

Pani pęczniała z dumy i wypinała pierś niczym indor.

Ich mała rodzina była bardzo szczęśliwa. Diamond pomagała pani w domu i w ogrodzie, i miała własną alkówkę na werandzie.

Innym czarnym w Brisbane powodziło się o wiele gorzej, wielu z nich chorowało i cierpiało głód. Nigdy nie słyszeli o plemienu Irukandji, co sprawiło Diamond wielki zawód, i nic nie wiedzieli o kraju daleko na północy. Byli to w gruncie rzeczy bardzo mili, życzliwi ludzie, jednakże żalosny żywot, jaki pędzili, włóczęg się po brudnych zaułkach, niepokoił ją.

- Dlaczego nie wróćcie do własnego kraju? - pytała.

- Tu nasz kraj - wzruszali ramionami. - Biali ludzie go zabrac.

Pewna stara Aborygenka powiedziała jej dokładnie to samo, co zwykle powtarzała pani:

- Ty dobra dziewczyna, czysta dziewczyna, Diamond. Teraz ty kobieta, ty trzymać się z daleka od czarny i biały chłop. Chłop przyjsć, ty powiedz "won".

Kiedy pani po raz kolejny wystąpiła z tym samym ostrzeżeniem, Diamond oświadczyła:

- Wiem. Mam powiedziec "won".

W pierwszej chwili pani była zaskoczona, potem wybuchnęła śmiechem, jej pulchne podbródki trzęsły się z uciechy. I oczywiście kiedy kapitan znów pojawił się w domu, pani specjalnie kazała Diamond powtórzyć przed nim swoją odpowiedź. Zawsze relacjonowały mu ze szczegółami wszystko, co się działo pod jego nieobecność, a on wysłuchiwał tego z przyjemnością. Tym razem również parsknął śmiechem.

- Pewnego dnia znajdziemy dla Diamond dobrego męża - rzekł, lecz, co dziwne, pani wcale nie wydawała się z tego zadowolona.

Na najbliższy powrót kapitana zaplanowały uroczyste przyjęcie, z pysznym lukrowanym owocowym tortem, świecami i cukierkami. Obie nie mogły się już doczekać. Augusta zaprosiła wstępnie kilka znajomych pań z rady parafialnej, uprzedzając, że termin przyjęcia pada w ostatniej chwili. Panie nie miały nic przeciwko temu. "Herbatki" Gussie były bardziej wystawne niż zwykłe angielskie podwieczorki, a jej domowy jabłecznik odznaczał się bajeczną mocą, co dodatkowo podnosiło radosny nastrój.

Wszystko było przygotowane. Pani zdążyła nawet wyhaftować piękny adamaszkowy obrus. Potem wzięła się do wyszywania monogramu Diamond na dwóch ozdobionych koronką powłoczkach, które dla niej zrobiła.

Czas zaczął się dłużyć. Zawsze tak było, przypominała sobie Diamond, kiedy "White Rose" spóźniała się z powodu sztormu albo nie planowanych uprzednio przystanków z dodatkowym ładunkiem. Nigdy nie były na sto procent pewne, kiedy mają oczekiwać kapitana. Żyły wtedy w ulotnym, nierealnym świecie niczym dwa obłoki na pustym niebie.

A potem Diamond miała sen. Przyleciał po nią jej ptak, kukabura, i bez wysiłku pofrunęła z nim wysoko w góry, w kruchą ciszę deszczowego lasu, w którym gdzieś, nie wiadomo gdzie, żył jej lud. "Kagari! Kagari!" - wykrzyczała w głos swoje imię, mącąc ciszę. Czowała bliskość pobratymców, lecz nie odpowiadali. Na rozdziawionym kielichu rosiczki usiadła pszczoła, mszystozielone wargi kwiatu zamknęły się szybko, więząc owada. Niespodziewanie Kagari wyczuła za sobą jakiś drobny ruch, a gdy się odwróciła, ujrzała kapitana, który zdążył ku niej w szarobiałej poświacie, ale minął ją, nie zatrzymując się. Bała się wyciągnąć rękę, by przerwać ten majestatyczny pochód. Wtem tuż za kapitanem, głośno sapiąc, nadbiegła pani Beckman z podkasaną spódnicą. Jej jaskrawy wielobarwny ubiór raził śmiesznością w tej katedrze zieleni.

Natychmiast cykady wybuchły przenikliwym świergotem, ptaki zerwały się do lotu, a Kagari zawołała: "Tu jestem, proszę pani!"

Pani przystanęła, obejrzała się za nią, potrząsnęła głową i pobiegła dalej, niknąc w rozgrzanej mgłę. Wówczas las również zniknął i Kagari znalazła się na pustyni, w kamiennej, pozbawionej życia krainie.

Kiedy się obudziła, otumaniona i przygnębiona tym dziwnym snem, na palcach weszła do jadalni i usiadła w kącie na podłodze, żeby strzec pani i odpędzać złe duchy, wiedziała już bowiem, że kapitan nie żyje.

Mężczyźni pochylali głowy, miętosili w dłoniach kapelusze, speszeni mamrotali wyrazy współczucia.

- "White Rose" poszła na dno, psze pani.

- Piękny statek. I wspaniałego miał kapitana. Zginęli w morzu.

- Wpadł na rafę, wie pani. Podobno wpędził go na nią huragan.

- Skąd wiemy? Dwoje ludzi ocalało. Dopłynęli do brzegu.

- Niedaleko przylądka Manifold. Straszna rzecz. Straszna rzecz.

- Skąd wiemy? Telegraf, psze pani. Oficer portowy w Rockhampton wysłał depeszę.

Był okropny sztorm.

Pani Beckman to nie wystarczało. Wypytywała ich wciąż od nowa, zapadając się coraz głębiej w wielki fotel, kuląc się z dłońmi splecionymi ciasno na podołku, aż w końcu bez reszty owładnęła nią rozpacz, wszelka nadzieja pierzchła.

Zdawało się, że Diamond nie zdoła jej pocieszyć. Pani leżała w łóżku i szlochała albo krążyła po domu jak ćma. Kiedy znajomi przychodzili złożyć jej kondolencje, wpadała w histerię, a nocami wołała imię męża, zawodząc z żalu.

Diamond nigdy dotąd nie brała pod uwagę, że w jej życiu mogą nastąpić jakieś zmiany. Nie mieściło się to w jej pojęciu świata, zarówno świata białego człowieka, jak i świata Irukandji. Kiedy wszakże pierwsza fala bólu opadła, pani zmuszona była stawić czoło nowej sytuacji. Prawie codziennie wychodziła do miasta.

- Mam do załatwienia parę spraw - mówiła do Diamond. - Jestem teraz wdową, muszę sama użerać się z bankiem i właścicielami ładunków.

Wieczorami pisała długie, smutne listy do Niemiec.

W ciszy swej alkówki Diamond również płakała za kapitanem. Trudno było jej sobie wyobrazić życie bez niego. Będą takie samotne...

Po jakimś czasie przyszła kolejna fala łez. Pani znów płakała, nieomal bez przerwy, każdy drobniak wyprowadzał ją z równowagi. Diamond przypuszczała, że minie długi czas, nim pogodzi się ze stratą męża.

- Muszę sprzedać dom - rzekła do Diamond zamierającym głosem; zdawać się mogło, że obawia się wypowiedzieć te słowa.

- Gdzie się podziejemy?

- W tym cały kłopot. Nie mam żadnych pieniędzy na życie. Otto zaciągnął dług w banku, żeby kupić statek. - Pani Beckman chlipnęła i wytarła nos wielką chustką, po czym zrobiła głęboki wdech. - Diamond, to jest tragiczny dzień. Nigdy się nie spodziewałam, że coś takiego nas spotka.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Muszę wrócić do Niemiec i zamieszkać z moim synem i synową. Diamond była zdumiona.

- Będzie pani mieszkać z tą kobietą, o której mówi pani, że jest zła? W jej domu?

- To dla mnie jedyne wyjście. Życie bywa ciężkie i gorzkie. - Gussie ujęła Diamond za rękę. - Muszę ci to powiedzieć: nie będę mogła zabrać cię ze sobą.

Czy nie tak było we śnie? Czyż Pani nie uciekała od niej do innego, dziwnego świata, dążąc za kapitanem?

- Czy ty to rozumiesz, Diamond?

- Tak - odparła dziewczyna, żeby nie robić jej przykrości.

- Szukałam wszędzie, żeby znaleźć ci miejsce, gdzie mogłabyś zamieszkać. Było bardzo trudno... bo w ogóle brakuje miejsc pracy - dodała zbyt szybko, by zabrzmiało to przekonująco. - Ale w końcu znalazłam. Będiesz tam bezpieczna. - Pani uśmiechnęła się pośpiesznie. - W każdym razie bezpieczniejsza niż gdziekolwiek indziej.

- Co to za miejsce? - spytała Diamond z ciężkim sercem.

- Dom gubernatora. Dzięki Bogu, kapitan miał wielu wpływowych znajomych w Brisbane, będziesz więc pracować u gubernatora. To wielki zaszczyt.

- Ale... nigdzie jeszcze nie pracowałam. Co mogłabym robić?

- Będziesz pomagać w pralni. Jesteś dobrą, grzeczną dziewczynką, toteż wkrótce się przekonają... - Pani urwała i objęła Diamond za szyję. - Serce mi pęka na myśl, że zostaniesz tu sama, ale cóż innego mogę zrobić?

Sama! Diamond była przerażona. Będzie całkiem sama, bez rodziny! A jeżeli nie da sobie rady w tej pracy? Co się z nią wtedy stanie? Pani znów płakała i Diamond upomniała się w duchu. Musi być dzielna, nie może przysparzać pani jeszcze więcej bólu.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała. - Proszę, niech pani nie płacze. Nic złego mnie nie spotka.

- Pić mi się chce...

- Pst, Lauro Stibbs. Bądź cicho - upomniała ją Perfy.

- Dlaczego? I tak nas nie usłyszą.

Perfection Middleton siedziała wyprostowana, z uniesioną głową i łopatkami ściągniętymi z tyłu, jak nauczył ją ojciec. Kolana i stopy trzymała razem, matka bowiem zawsze powtarzała, iż tylko bezwstydnice rozsuwają kolana tak, że widać im pantalone. Perfy wnioskowała z tego, że miasto Brisbane pełne jest bezwstydnic. Pantalony widywało się wszędzie - od strojnych do całkiem prostych, we wszelkich kształtach i rozmiarach. W upalne dni kobiety siadywały przed domem, wachlując się rąbkiem halki; pracując w ogrodzie, podkasywały spódnice, żeby nie brudzić ich w kurzu, a nawet jeździły okrakiem, po męsku, na wielkich półdzikich koniach.

Matka bardzo troszczyła się o wychowanie Perfy. Kiedy wychodziły do miasta, wpychała jej bawełnę do uszu, żeby w pobliżu tawern i innych zakazanych miejsc nie słyszała plugawych przekleństw. Kazała jej też nosić czepki ze sztywnym szerokim rondkiem, w których Perfy mogła patrzeć tylko prosto przed siebie i czuła się skutkiem tego jak dorożkarski koń. Pani Middleton nie lubiła Brisbane. Kiedy jej mąż został skierowany do garnizonu w tym mieście, nie zdawała sobie sprawy, że ongiś tu właśnie, nad zatoką Moreton, znajdowała się niesławna kolonia więzienna, najgorsza po wyspie Norfolk! I mimo iż owe straszne dni odeszły już w przeszłość - system karny został zlikwidowany dziesięć lat wcześniej, nim Jack i Alice Middletonowie przybyli do Australii - matka zaklinała się, że wciąż czuje obecność tych biednych umęczonych dusz. Duchy skazańców, mówiła, nigdy nie opuszczą tego miejsca. Rzecz jasna co trzeci mieszkaniec Brisbane utrzymywał, iż na własne uszy słyszał brzękanie łańcuchów i upiorne wrzaski, rozlegające się na ulicach o północy, lecz ojciec twierdził, że to bujda, a Perfy była skłonna mu wierzyć. Pogląd, iż duchy miałyby hałasować akurat o północy, był jej zdaniem mocno podejrzany i zdawał się dowodzić, że wszystko to czcze wymysły. Taką miała w każdym razie nadzieję.

Matka jednak wciąż żyła pod brzemieniem wstydu, że została przetransportowana do Sydney jako przestępczyni. Ojciec również. Takie były fakty. Perfy dowiedziała się o nich od kolegów tego wiecznie usmarkanego Edmunda Gaunta, z którym chodziła do szkoły w Fortitude Valley. Nie uwierzyła w ani jedno słowo i pędem przybiegła do domu.

- Dzieci mówią, że wy też jesteście przestępcami. Nie przyplłynęliście tu jako skazańcy, prawda?

- Jako banici, kochanie - odparła matka i był to jedyny komentarz, jaki Perfy kiedykolwiek usłyszała od niej na ten temat.

Ojciec okazał się nieco bardziej rozmowny.

- Nie masz się czym martwić, dziewczyno. Większość z nas wyjechała z Anglii przymusowo, więc nie denerwuj matki. To były straszne czasy, lepiej o nich zapomnieć. Uczciwie pracujemy na chleb i możemy wysoko nosić głowy.

Perfy wytrzeszczyła oczy, zaintrygowana i trochę wstrząśnięta.

- Ale dlaczego musieliście opuścić Anglię? Coście zrobili?

- To, do czego zmusiła nas konieczność, nic ponadto.

Perfy była rozczarowana. Uwielbiała opowieści przygodowe. W głębi duszy żałowała, że ojciec nie był śmiałym rozbójnikiem, który w czarnej opończy, łopoczącej na nocnym wietrze, grasował po gościńcach i traktach na swym wiernym rumaku. A to pech!

Ponieważ matka nie cierpiała Brisbane, ojciec zbierał pieniądze na kupno małej farmy, co również nie mieściło się w stylu współczesnego Robin Hooda. Teraz i Perfy musiała podjąć pracę, żeby pomóc rodzicom. Miała to być pierwsza w jej życiu posada, toteż starała się zachowywać jak najlepiej. Modliła się w duchu, żeby ją przyjęto. Mama byłaby rada, że jej córka pracuje w domu gubernatora, u pięknej hrabiny Diamentyny.

Perfy zerknęła na swe trzewiki. Nie były nowe, ale wypucowała je do połysku i wymieniła sznurówki. Laura miała nowe buty, kupione specjalnie na tę okazję; jej ojciec był kowalem i stać go było na to. Co zaś się tyczy Amy Campbell - ostatniej z tria, usadowionego na ławce pod drzewem mangowca w najlepszych białych sukienkach - stopy Amy zdobyły pantofelki. Prawdziwe pantofelki. Perfy spozierała na nie z zazdrością. Nigdy nie miała pantofelków, prawie wszyscy nosili sznurowane trzewiki, ponieważ pantofle prędko niszczyły się na zakurzonych drogach i były bezużyteczne w porze deszczowej. Amy mogła się tym nie przejmować, stary Jock Campbell był właścicielem największego magazynu w mieście, nie musiał więc płacić za buty dla córki.

- To niesprawiedliwe, że każą nam tu siedzieć tyle czasu - jęknęła Laura.

Amy przyznała jej rację.

- Założę się, że minęła już godzina, a w tym słońcu niedługo całkiem się roztopię. Zresztą i tak wcale nie zależy mi na tej pracy.

- Ta kobieta kazała nam siedzieć i czekać - przypomniała jej Perfy. - Myślę, że to ochmistrzyni. Wygląda na bardzo groźną.

- Phi! - prychnęła Amy. - Przypomina kruka, ot co! Zwłaszcza z tym wielkim nosem! Jestem spocona jak prosię.

- Nie chcesz chyba, żeby usłyszano, jak mówisz takie rzeczy, skoro idziesz tu na służbę - szepnęła Perfy.

- Myślisz, że ktoś usłyszy? - zaprotestowała Amy. - Ten przeklęty pałac jest o dobre pięćdziesiąt jardów stąd. Nie rozumiem, dlaczego nas tu trzymają. Mogliby przynajmniej pozwolić nam usiąść na tylnej werandzie. Powinnyśmy iść do domu i poskarżyć się na nich.

Perfy była zgorziona.

- Mamy się spotkać z hrabiną! Możesz sobie iść do domu, panno Campbell. Ja zostaję, choćbym miała tu siedzieć do wieczora. - W głębi duszy Perfy miała nadzieję, że Amy naprawdę sobie pójdzie. Odpadłaby jedna konkurentka.

- Patrz, kto idzie! - szturchnęła ją w bok Laura.

Wszystkie trzy głowy odwróciły się jak na komendę. W wejściu dla dostawców pojawiła się wdowa Beckman. Na tle obsypanego jaskrawym kwieciem szpaleru uroczyńów wyglądała niczym mroczne widmo. Spływający z kapelusza czarny woal całkowicie zasłaniał jej twarz. Ochmistrzyńi również nosiła czarną suknię, lecz była chuda i wysoka. Tęga Niemka w szerokiej staromodnej krynolinie stanowiła jej doskonale przeciwieństwo. Pani Beckman rozejrzała się wokół niepewnie i na palcach ruszyła przez trawnik w ich stronę. Towarzyszyła jej wysoka ciemnoskóra dziewczyna.

Dziewczęta przyjrzały się jej uważnie. Była w ich wieku, może trochę młodsza. Tak dobrze ubranej Aborygenki jeszcze dotąd nie widziały. Miała na sobie cienką białą bluzkę i długą czarną spódnicę spiętą schludnie paskiem w talii, na nogach zaś trzewiki i czarne pończochy! Tubylcze kobiety zawsze chodziły boso.

- Dzień dobry, dziewczynki. - Pani Beckman uniosła gęstą woalkę. - Gdzie mogę znaleźć ochmistrzyńię, panią Porter?

- Chyba tam - Amy wskazała rezydencję.

Starsza pani zawahała się, nie wiedząc, co dalej czynić. Twarz miała czerwoną i oblaną rześistym potem. Perfy zrobiło się jej żal.

- Może zechce pani usiąść?

- Nie, dziękuję ci, moja droga. - Pani Beckman zadarła głowę. Słońce bezlitośnie zbliżało się do ławki, na której dziewczętom przykazano czekać. - Przejdę tam, do cienia. - Ruszyła w kierunku ogrodowego fotela pod okapem szopy.

Aborygenka stanęła za jej krzesłem jak wartownik. W niczym nie przypominała włóczących się po mieście czarnych kobiet, które garbiły się i stawiały stopy do środka.

Stała prosto, z podniesioną głową, niczym posąg. Jej krótko ostrzyżone włosy, gęste jak zgrabny filcowy kapturek, podkreślały ostro zarysowany profil. Robiła wrażenie tak silnej i pewnej siebie, że Perfy poczuła się zmieszana.

- Chyba nie przyprowadziła tu tej dziewczuchy, żeby dostać dla niej posadę? - szepnęła Amy. - Nie zatrudnią czarnej.

- A po cóż by innego przyszła? - odparła Laura i znów zamilkły. Nawet ptaki ucichły, chroniąc się wśród listowia przed prażącym w zenicie słońcem, trzy kandydatki na pokojówki natomiast bohatercko czekały w wyznaczonym miejscu. Perfy czuła z rozpaczą, jak pot ścieka jej strumyczkami spod pach i po szyi, plamiąc świeżo wykrochmaloną i odprasowaną sukienkę. Pocieszyła się myślą, że to samo dzieje się z pozostałymi.

Nareszcie kobieta w czerni, która jak zgadywały, musiała być panną Porter, pojawiła się na kuchennych schodach i skinęła na grubą Niemkę, która nieomal podbiegła do niej.

- Pani Beckman?

- Tak.

- Szuka pani posady dla swojej podopiecznej? Czy to ona?

- Tak. To dobra dziewczyna i zręczna pracownica.

Ochmistrzyni zmierzyła Diamond srogim wzrokiem.

- Niechętnie zatrudniam czarne, są głupie jak kołki.

- Nie ona! - Gussie z miejsca poczuła antypatię do wrednej baby, nie chciała jednak wszczynać awantury. - Lady Bowen spełni chrześcijański uczynek, przyjmując...

- Łatwo pani wymagać dobrych uczynków od hrabiny, ale czy ta dziewczyna nie jest czasem poganką?

- Została ochrzczona i zna Biblię - uśmiechnęła się Gussie. - Nazwaliśmy ją Diamond ze względu na szacunek, jakim darzymy dobrą lady Diamentinę.

Pani Porter chrząknęła.

- Lepiej niech pani od razu wybije to sobie z głowy. Pani hrabina byłaby bardziej urażona niż zadowolona.

Oczy Gussie zwięzły się.

- Dziewczyna ma na imię Diamond i proszę uprzejmie o tym nie zapominać.

- Doprawdy? Zakładając, że w ogóle przyjmę ją do pracy.

Z bijącym sercem Gussie oparła się pokusie, żeby odepchnąć tę kobietę i osobiście ruszyć na poszukiwanie lady Bowen.

- Mój świętej pamięci mąż - rzekła zimno - był przyjacielem premiera. Pan Herbert rozmawiał z jej wysokością o Diamond i zapewnił mnie, iż zostanie przyjęta. Jeśli chce pani podważyć słowo premiera, proszę samej się do niego udać.

Ochmistrzyni skrzywiła się.

- Będzie musiała pracować w pralni, nie wpuszczamy krajowców do domu.

- Tak mi powiedziano - oznajmiła spokojnie Gussie.

Tobie też, dodała w myśli. Ochmistrzyni popisywała się swoją władzą. Cóż, obie mogą prowadzić tę grę.

- A teraz będę wdzięczna, jeśli pokaże mi pani miejsce, gdzie Diamond będzie spać - dorzuciła.

- Droga pani! Tylko dwie osoby z personelu mieszkają w rezydencji: ja i kucharka. Mamy własne pokoje i żadna z nas nie zamierza go dzielić z czarnuchą.

Gussie gniewnie odrzuciła woalkę.

- Nie podoba mi się słowo "czarnucha". Uważam, że jest obraźliwe.

- Och, na litość boską, tubylcy sami go używają!

- Tak, ale w języku angielskim brzmi niewłaściwie.

- To już nie moje zmartwienie. Rzecz w tym, że dziewczyna nie może tu mieszkać.

- Musi. Ja wracam do Niemiec, a ona nie ma tu nikogo.

- Żadnej rodziny? Skąd pochodzi?

- Z daleka, z północy kraju.

- Może to i lepiej, nie będą nas nachodzić jej krewni, żebrząc o datki. Potrafią być potwornie dokuczliwi. Cóż, sądzę, że znajdę dla niej jakiś kąt.

Gussie wiedziała, że wygrała to starcie, i postanowiła odejść, zanim ochmistrzyni zmieni zdanie. Zamierzała jej powiedzieć, że Diamond nie tylko dobrze mówi po angielsku, ale potrafi też czytać i pisać, wewnętrzne przeczucie ostrzegło ją jednak, że rozsądniej teraz o tym nie wspominać. Możliwe, iż babsko poczułoby do Diamond jeszcze większą niechęć.

- Przyprowadzę ją jutro. Przyniesie swoje rzeczy - oznajmiła. - Napiszę też list do lady Bowen z podziękowaniem za jej dobre serce. Na zawsze zachowam ją w swych modlitwach.

Wychodząc, skinęła głową trzem dziewczynkom pod drzewem. Bardzo miłe panienki. Ochmistrzyni to wiedźma, lecz Diamond będzie tu miała dobre towarzystwo i opiekę. Gdzież młoda dziewczyna mogłaby się czuć bezpieczniej, jeśli nie pod dachem samego gubernatora?

Poirytowana przez stanowczą Niemkę, pani Porter skróciła do minimum rozmowę z trzema kandydatkami na pokojówki. Nie było między nimi wielkich różnic - wszystkie trzy chodziły do tej samej szkoły i trafiły tu z rekomendacji tej samej nauczycielki. Ochmistrzyni ustawiła je w rzędzie pod drzewem mangowca i przepytowała w ciągu kilku minut. Czas uciekał, a ona i kucharka lubiły się napić po kufelku porteru, zanim zaczynał się ruch przy lunchu.

Zdecydowała się na młodą Middletonównę. Jego Ekscelencja docenił fakt, że wybrała córkę brytyjskiego żołnierza, choćby tylko sierżanta. Jego Ekscelencja był zdania, iż należy nagradzać żołnierzy i marynarzy pełniących służbę tak daleko od domu. Tak, o wiele lepiej zatrudnić właśnie ją niż córkę kowala czy kupca.

- To wszystko - zakończyła. - Dziękuję wam za przybycie. Panno Middleton, może pani zacząć od jutra. Proszę być tutaj punktualnie o szóstej rano.

Perfy była zła. Tylko jedna z nich mogła dostać tę pracę, nie miały więc powodu stroić takich fochów. Odmaszerowały w przeciwnym kierunku, pozostawiając Perfy, która teraz sama musiała wracać do domu.

Szła przez Queen Street, licząc kroki. Mila ma tysiąc siedemset sześćdziesiąt jardów - w ten sposób ustali, która droga do pracy zajmie jej najmniej czasu. Pewnie szybciej będzie przez ogród botaniczny. Dostała posadę! I pomyśleć, że mama tak się gryzła, wątpiła nawet, czy Perfy powinna się o nią starać. Była pewna, że notable nie zechcą u siebie zatrudniać córki banitów. Biedna mama, przejmuje się tyloma głupimi drobiazgami i zawsze ją martwi, co ludzie pomyślą. Czasami było to wręcz irytujące. Kogo to obchodzi, co sobie pomyślą! I kimże zresztą są ci tak zwani "ludzie"?

- Panienko! Panienko!

Perfy odwróciła się i ujrzała panią Beckman, która śpieszyła za nią w towarzystwie czarnej dziewczyny.

- Panienko! Będziesz pracować w domu gubernatora?

- Tak - oznajmiła z dumą Perfy. - Zaczynam od jutra.

- A, to dobrze. Z kim mam przyjemność?

- Nazywam się Perfy Middleton.

Niemka rozpromieniła się i uścisnęła jej rękę. Dłonie miała gorące i lepkie, lecz Perfy nie chciała robić jej przykrości, uwalniając się zbyt obcesowo.

- Ja jestem Augusta Beckman, a to Diamond. Też od jutra zaczyna pracę.

Perfy dygnęła starszej pani i skinęła głową dziewczynie.

- Jak się masz?

- Bardzo dobrze, dziękuję paniencie - odparła Diamond bez cienia zwykłej u tubylców nieśmiałości. - Będę pracować w pralni.

- To miłe - wymamrotała Perfy.

- Powinnyście się zaprzyjaźnić, dziewczęta - oznajmiła pani Beckman.

Diamond uśmiechnęła się z aprobatą niczym starsza siostra, co do reszty zmieszało Perfy, która czuła, że powinno być dokładnie na odwrót. Poza tym nikt nie przyjaźni się z czarnymi.

- Gdzie mieszkasz? - zapytała pani Beckman. -

- W Fortitude Valley.

- Aha. My też idziemy w tamtym kierunku, możemy zatem iść razem.

Perfy nie miała wyjścia. Żałowała, że nie podała innego adresu; mogła też powiedzieć, że musi jeszcze coś załatwić, teraz wszakże było już za późno. Pani Beckman usta się nie zamykały. Po drodze opowiedziała Perfy o śmierci ukochanego męża, kapitana, i tragicznym zatonięciu "White Rose".

- Tylko dwóch ludzi zdołało się uratować - westchnęła.

- Tak, wiem - wtrąciła Perfy. - Edmund Gaunt mieszka tuż obok nas.

- Edmund? Pamiętam go. Zaczynał na "White Rose" jako chłopiec okrętowy, wiele lat temu. Mówiono mi, że inny marynarz uratował mu życie.

- Billy Kemp. Spędzili dwa dni na czymś w rodzaju tratwy, a potem zobaczyli ich Aborygeni, wypłynęli po nich na czółnach i ściągnęli na brzeg. Chłopcy mieli wiele szczęścia. - Perfy zamierzała właśnie dodać, że jak głosiła plotka, Edmund i Billy bardziej wystraszyli się dzikusów niż utonięcia, lecz w porę przypomniała sobie o obecności Diamond. - Krajowcy byli dla nich bardzo mili - dodała, zerkając na czarną dziewczynę. Nie doczekała się jednak żadnej reakcji. Diamond przyjęła to obojętnie.

Pani Beckman miała łzy w oczach.

- Gdybyż zdołali ocalić i mego drogiego Ottona!

- To był straszny sztorm - rzekła Perfy. - Edmund jest tak przerażony, że nie chce już wracać na morze. On i Billy wybierają się na pola złotonośne, ale pan Gaunt, ojciec Edmunda, nie chce na to zezwolić. Powiada, że Edmund będzie marynarzem i już!

- Szkoda, że ci młodzieńcy nie przyszli mnie odwiedzić - stwierdziła ze smutkiem pani Beckman.

- Dopiero co wrócili - wyjaśniła Perfy. - Nie mamy wiele do czynienia z Gauntami, ale Billy Kemp zatrzymał się u nich... Zrobił na mnie wrażenie bardzo miłego kawalera.

Było to grube niedopowiedzenie. Perfy była zauroczona Billym Kempem, bohaterem, który często zagadywał ją przez płot. Wyglądał na awanturnika i był strasznie bezczelny - od pierwszej chwili mówił do niej "Perfy", jakby znał ją od urodzenia. Był też na swój sposób przystojny. Spłowiałe od słońca włosy spadały mu postrzępionymi kosmykami na opaloną twarz. Ciemne włosy noszone w ten sposób wyglądałyby po prostu niechlujnie, za to włosy Billy'ego, prawie białe, miały pewien zbójcki styl. A jego złośliwy uśmieszek nieodparcie fascynował Perfy.

Laura i Amy, przyjrzawszy mu się ukradkiem zza firanki, określiły Billy'ego mianem tupeciarza i gbura, aczkolwiek po namyśle uznały ostrożnie, że "pewnym kobietom" może się on podobać.

Pani Beckman zatrzymała się przy furtce dobrze utrzymanego domku.

- Tu mieszkamy - oznajmiła. - Może wstąpisz na herbatę?

- Dziękuję pani, ale nie mogę. Mama będzie się niepokoić, jak mi poszło.

- Oczywiście. Dam ci trochę kwiatów, zaniesiesz mamie. Diamond, zetniesz kilka róż dla pani Perfy?

Aborygenka skinęła głową i weszła do środka. Pani Beckman zwróciła się do Perfy:

- Bądź dobra dla Diamond - rzekła półgłosem - a Bóg ci to wynagrodzi. Za dwa dni muszę wyjechać do Niemiec i serce mi pęka na myśl, że ją zostawiam. To bardzo mądra dziewczyna, umie czytać, pisać i rachować tak samo jak wy, pani Perfy. W pralni będzie się marnować, ale nic innego nie zdołałam dla niej znaleźć.

Diamond wróciła z nożycami i zaczęła ścinać pełne czerwone i różowe kwiaty. Owinęła bukiet w kolorowy papier i wręczyła go Perfy.

- Pani Beckman właśnie mi mówiła, że chodziłaś do szkoły - bąknęła Perfy, żeby coś powiedzieć.

Diamond błysnęła zębami w uśmiechu.

- Nie chodziłam do szkoły. Pani mnie uczyła. Czarnych dziewcząt nie przyjmują do szkół, prawda, pani Perfy?

Middletonówna wytrzeszczyła na nią oczy. Po raz pierwszy Diamond zwróciła się do niej bezpośrednio, i choć zrobiła to grzecznie, Perfy dosłyszała w jej głosie jakąś ostrzejszą nutkę, która zrodziła w niej potrzebę, by się bronić.

- Raczej nie - rzekła. - Ale też rzadko są one podobne do ciebie. Nie nadawałaby się do szkoły. Chcę powiedzieć, że nie zostały wychowane na modłę białych ludzi.

- I tak by mnie nie przyjęli - odparowała Diamond. - Zresztą nie żałuję. Wątpię, czy polubiłabym szkołę. Podobno tam biją dzieci, prawda?

- Oj, tak, słowo honoru! - Perfy z ożywieniem zareagowała na znajomy temat. -
Mnóstwo razy dostałam linijką po łapach, a to boli.

Diamond była zaintrygowana.

- Mnie nikt nigdy nie uderzył - oświadczyła. - Miałam bardzo dobrą nauczycielkę.
Kapitan zawsze mawiał, że pani jest wyjątkowa.

Pani Beckman westchnęła.

- Musimy wziąć się do pakowania. Wy, dziewczęta, jesteście takie młode i niewinne,
ale życie nieraz jeszcze przysporzy wam zgrzyot. Musicie być silne i walczyć o swoje.

Perfy przypomniała sobie uwagę pani Beckman, gdy zaczęła pracować w rezydencji gubernatora. Łatwo było jej mówić, że muszą walczyć o swoje! Ktoś, kto miałby ochotę wojować z panią Porter, z miejsca wyleciałby na zieloną trawkę.

Perfy nosiła do pracy czarną sukienkę, którą uszyła jej matka, na miejscu zaś otrzymała wykrochmalony biały fartuszek i czepek. Jej grube warkocze nie mieściły się pod małym czepeczkiem i Perfy miała trudności z ich upięciem, ale pani Porter szybko się z tym uporała: złapała ją za włosy i skręciła je tak mocno, że omal nie wyrwała ich z cebulkami, po czym wbiła w nie szpilki, kalecząc skórę na głowie.

Ochmistrzyni była szorstka dla wszystkich dziewcząt: popychała je, szturchała w plecy, biła po buzi małą kredensową, jeśli półmiski nie błyszcząły jak lustro. Perfy słyszała ponadto, że czarna dziewczyna z pralni ma z nią ciężkie życie.

Zdaniem Perfy winę za to wszystko ponosiła lady Bowen. Dom był naprawdę piękny, zbudowany z jasnego piaskowca, miał wdzięczne krużganki na obu piętrach od frontu, z tyłu zaś roztaczał się wspaniały widok na rzekę. Hrabina postawiła sobie za punkt honoru, żeby rezydencja była równie doskonała wewnątrz, jak i z zewnątrz. W rezultacie siejąca postrach ochmistrzyni miała wolną rękę w dysponowaniu służbą, a co gorsza, hrabina bez przerwy chwaliła ją za to, że tak gładko zarządza domem. Pani Porter jednak nigdy nie ośmieliła się pomiatać mężczyznami - kamerdynerem i lokajami, którzy musieli nosić śmieszne czerwono-niebiesko-białe liberie z atlasowymi spodniami do kolan i białymi pończochami. Nawet kucharka uważała, że wyglądają w nich idiotycznie, ale to było typowe dla hrabiny. Sama wymyśliła dla nich te stroje. Możliwe, że na zewnątrz była miła, urocza i życzliwa ludziom - odwiedzała nawet przytułek dla ubogich - lecz odbijała to sobie w domu. To był jej pałac i obowiązywał w nim ceremoniał, jakiego nie powstydziliby się dwór królewski. Hrabina nigdy nie rozmawiała ze służbą; wszelkie polecenia wydawała za pośrednictwem pani Porter.

Niedzielne popołudnia Perfy miała wolne, lecz ochmistrzyni rzadko wypuszczała ją wcześniej. W rezydencji panował wtedy spokój, toteż pani Porter zarządzała na przykład pastowanie podłóg albo sprzątanie pokoi na parterze. Perfy i Anna, druga pokojówka, spędzały więc "wolny" czas na kolanach, zeskrobując nożykami z podłóg starą warstwę pasty, a następnie nakładając nową.

Perfy widywała Diamond na podwórku, nie miała jednak okazji zamienić z nią choćby paru słów, dopóki nie przyszła jej kolej, by odnieść do prania obrusy i pościel.

Diamond nie jadała ze służbą, posyłano jej posiłki do pralni. Nie było to takie złe, przynajmniej nie musiała jeść pod jastrzębim okiem pani Porter.

- Jak się masz, Diamond? - spytała Perfy, zrzucając toból na podłogę pralni.

- Dobrze - usłyszała w odpowiedzi.

Diamond pakowała bieliznę do kotła z wrzącą wodą. Miała na sobie długi fartuch z szarego perkalu, w którym wyglądała okropnie. Perfy udała, że tego nie zauważa.

- Gdzie sypiasz?

- Tutaj. Dali mi szopę, która przylega do zmywalni. Nie jest źle, wysprzątałam ją i powiesiłam firanki w oknach. Pani Porter oczywiście zaraz mi je zdjęła, ale założyłam je z powrotem. Zezłościła się i zabrała mi wszystkie książki. Ma panienka jakieś książki, które mogłabym pożyczyć? Obojętnie jakie.

- Tak, naturalnie. Przyniosę ci kilka.

Po chwili zamaszystym krokiem wróciła praczka. Rękawy miała podwinięte, pot ściekał jej strumykami z szyi w głęboko wycięty dekolt.

- Boże mój, ależ to cholerne słońce daje nam popalić. Wyjmij tę partię z kotła, Mary, powinna już być czysta.

- Ona ma na imię Diamond - wtrąciła Perfy.

- Tutaj będzie się nazywać Mary - ucięła praczka. - Pani Porter nie zezwala czarnuchom na żadne fanaberie. Dziewczyna i tak ma szczęście, że dostała pracę. A ty czego tak sterczysz, panienko, nie masz nic do roboty?

Kilka dni później Anna powiedziała jej, że "Mary" stoi na podwórku i chce się z nią zobaczyć. Perfy przeszła przez kuchnię do tylnych drzwi, przy których czekała Diamond.

- To dla panienki - rzekła, wręczając Perfy schludnie zawiniętą paczuszkę. - Od pani Beckman. Nie miałam okazji wcześniej tego oddać.

- Dziękuję - powiedziała Perfy zaskoczona. Otworzyła paczkę i jęknęła z zachwytu. - O rety... Diamond, jakie to śliczne!

Pani Beckman uszyła dla niej piękną kremową jedwabną bluzkę z kołnierzykiem z podwójnej koronki i perłowymi guziczkami.

- Cudna! - emocjonowała się Perfy. - Prześliczna!

W kuchennych drzwiach pojawiła się pani Porter.

- Co tu się dzieje?

- Diamond przyniosła mi prezent od pani Beckman - wyjaśniła Perfy, pokazując bluzkę. - Czyż nie jest piękna?

- Odlóż to! - warknęła ochmistrzyni. - A dziewczyna ma na imię Mary, nie będę się powtarzać. - Odwróciła się do Diamond. - Gdzie byłaś dziś po południu?

- Musiałam oddać klucze do domu pani Beckman.

- Kto ci pozwolił oddać się z posiadłości?

- Zrobiłam to w czasie przeznaczonym na odpoczynek. Nie było mnie tylko godzinę. Pani Porter z rozmachem uderzyła Aborygenkę w twarz.

- Nie pyskuj do mnie, dziwko. I nie waż się więcej wychodzić gdziekolwiek bez mojego pozwolenia. Wiem, do czego jesteście zdolne, wy nędzne czarne gnidy!

Perfy osłupiała; nie wiedziała, jak się ma zachować, gdzie podziać oczy. Ochmistrzyni bynajmniej nie krępowała się jej obecnością. Diamond stała prosto, z podniesioną głową, w jej ciemnych oczach płonęła taka furia, że Perfy zastanawiała się, jak to możliwe, by pani Porter tego nie dostrzegła. Diamond powiedziała kiedyś, że nikt jej jeszcze nie uderzył. Cóż, czasy się zmieniają.

Diamond delikatnie przesunęła czubkiem języka po rozciętej górnej wardze. Prócz tego w jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

- A ty czego tu stoisz? - wrzasnęła pani Porter do Perfy. - Wracaj do roboty!

Perfy zaczerpnęła głęboki wdech.

- Nie ma pani prawa jej bić - rzekła.

Tym razem to ochmistrzyni rozdziawiła usta ze zdumienia.

- Coś ty powiedziała?

- Słyszała pani.

- Ty zuchwała dziewucho! Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób! Natychmiast mnie przeproś albo zabieraj manatki. I to już!

Perfy spojrzała na Diamond. Aborygenka ledwie dostrzegalnie skinęła głową.

- Przepraszam - powiedziała Perfy. Słowo to z trudem przeszło jej przez gardło.

- No, myślę! Za karę w niedzielę po południu wyszorujesz spizarnię.

Perfy zastanowiła się przelotnie, czy kiedykolwiek będzie miała choć trochę wolnego czasu. Praca, jak się okazało, była dziesięć razy gorsza od szkoły.

Tego samego wieczoru u sąsiadów odbyła się straszliwa kłótnia; stary pan Gaunt złorzeczył pod niebiosa. I to jakimi słowy! Alice Middleton pośpiesznie zamknęła okno, po czym wróciła do cerowania.

- Dobrze, że ojciec tego nie słyszy - stwierdziła.

- I cóż by na to poradził? - zapytała przekornie Perfy.

- Poszedłby tam i przypomniał Willy'emu Gauntowi, że w tym domu są damy.

Perfy uśmiechnęła się. Stary Gaunt bez przerwy się z kimś wyklócał, a ojciec nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Matka chciała po prostu podkreślić status Middletonów w sąsiedztwie.

- Nie ma na tym świecie lepszego człowieka niż twój ojciec - dodała obronnym tonem Alice. - I nie musisz robić min, co z tego, że już kiedyś to mówiłam?

"Kiedyś?" - zaśmiała się w duchu Perfy. Co najmniej raz w tygodniu. Zupełnie jak gdyby, wychwalając męża, matka usiłowała zagłuszyć echo kryminalnej przeszłości.

- Z całego serca życzę ci, moja droga, żebyś znalazła sobie takiego dobrego męża jak twój ojciec.

Perfy westchnęła. Kochała ojca i też miała taką nadzieję, lecz mama nieco przesadza z tymi wykładami.

- Amy Campbell powiada, że wyjdzie za hodowcę.

Alice odłożyła cerowanie.

- Za kogo?

- Jeszcze sobie żadnego nie upatrzyła.

Pani Middleton wyraźnie się odprężyła.

- Uff! Głupia dziewczyna! Powinna znać swoje miejsce. Ci bogaci panowie biorą za żony panny z własnej sfery.

Perfy też tak przypuszczała. Widywała w mieście starszych ranczerów w towarzystwie żon i córek. Jeździli powozami, mieszkali w najlepszych hotelach i przechadzali się Queen Street, zadzierając nosy. Za to młodzi! Ależ byli przystojni! Wjeżdżali do miasta galopem na pięknych koniach, żeby się "zabawić". Nie wszyscy byli równie bogaci. Czasem pojawiali się w Brisbane ludzie z najdalej wysuniętych osad, uzbrojeni po zęby i obdarci, lecz mimo to dumnie siedzący w siodle. Prowadzili za sobą liczną obstawę, udając, że nie zauważają, iż oczy wszystkich zwrócone są na nich, a ludziska pękają z ciekawości, kim są i skąd przybyli.

- Hodowcy zatrzymują się czasem w domu gubernatora - rzuciła Perfy.

- No tak, nic w tym dziwnego. Jak mówię, bogacze lgną do siebie - odparła Alice. - Jacy oni są?

- Wydają się mili, ale nie wolno nam z nimi rozmawiać. Rzadko ich widuję, sprzątamy pokoje, dopiero gdy wyjadą.

Wrzaski u sąsiadów ucichły. Perfy wyszła na dwór i przysiadła na kuchennych schodkach. Jest za gorąco, żeby siedzieć w domu. Poza tym musiałaby wziąć się do cerowania, a serdecznie tego nie znosiła.

Owocozerne nietoperze szamotały się i skrzeczały wysoko w koronie starego kauczukowca, szerokie skrzydła łopotały na nocnym niebie jak ciemne proporce. Matka bała się nietoperzy, choć były niegroźne, za to Perfy obserwowała je zafascynowana. Wiele lat temu zachodzili w głowę, skąd biorą się pestki owoców mango, rozrzucone po całym podwórku. Dopiero po pewnym czasie odkryli, że to właśnie latające lisy, jak je nazywano, kradły owoce z drzew w sąsiedztwie i raczyły się nimi na gałęziach rosnącego obok domu kauczukowca.

W krzakach przy płocie rozległ się szelest i Perfy wytrzymała wzrok. Kot? Nie, coś większego. O wiele większego.

- Kto tam? - zawołała, zastygłszy w bezruchu, gotowa czmychnąć do domu.

Z mroku wynurzył się mężczyzna.

- Nie bój się, Perfy - zaśmiał się półgłosem. - To tylko ja.

Rozpoznała głos, nim jeszcze zobaczyła twarz.

- Billy! Co ty tu robisz?

- Zaczekaj - Pochylił się, szukając czegoś. - A, tu jest.

- Co? - Perfy wstała ze schodka.

- Bambetle Eddy'ego. - Billy podniósł tłumoczek i podszedł do niej.

- Co robią jego rzeczy na naszym podwórku?

- Ja je tu wrzuciłem. Pryskamy stąd, będziemy szukać złota. Staruszek nie chce puścić Eddy'ego. Uparł się go wysłać z powrotem na morze, ale po ostatnim obaj mamy już dość żeglowania. Następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia. W tym morzu są rekiny wielkie jak konie.

- To musiało być straszne. Słyszałam, że ocaliłeś Eddy'emu życie.

- Przede wszystkim starałem się ocalić własne. - Billy podrzucił w górę tłumoczek. - Wymknąłem się ukradkiem, żeby stary się nie domyślił, że dajemy nogę. Jak tylko zaśnie, Eddy wyjdzie od frontu. Wybacz, jeśli cię przestraszyłem.

- Nic nie szkodzi.

Billy zawiadliwiecznie zsunął marynarską czapkę na tył głowy. Stał teraz tuż obok Perfy, która poczuła niepokojący dreszczyk.

- Lepiej już pójdę - rzekł, beczelnie szczerząc do niej zęby. - Życzysz nam szczęścia?

- O, naturalnie. Mam nadzieję, że wrócicie bogaci.

Miękko wyciągnął rękę, ujął ją pod brodę i pocałował w usta. Jego wargi były zaskakująco chłodne, pocałunek delikatny, niespieszny, jak gdyby mieli przed sobą

mnóstwo czasu, aż do skończenia świata. Po chwili Billy wyprostował się i kpiarsko skinął głową.

- O! Takiego właśnie szczęścia najbardziej potrzeba mężczyźnie. - Bezgłośnie przemknął za węgiel domu i wyszedł na ulicę.

Zaskoczona Perfy pozostała w miejscu, jakby wrosła w ziemię. Czuła, że powinna być na niego zła. Jak śmiał to zrobić? Bogu dzięki, że matka nie wyjrzała za nią na dwór.

Później, leżąc już w łóżku, długo wspominała uścisk Billy'ego Kempa i ten pocałunek, i kraśniała ze wstydu. Nigdy w życiu nikomu nie przyznałaby się do tego, że Billy ją pocałował, a co gorsza - że bardzo jej się to spodobało. Szkoda, że odszedł tak prędko. W głębi duszy czuła jednak, iż nie był to odpowiedni kandydat na adoratora, raczej prawdziwy typ spod ciemnej gwiazdy.

Diamond była wściekła. Ją samą zdumiewała ta niepoahamowana furia. Żegnając się z panią Beckman, potrafiła zapanować nad smutkiem, dzięki temu że nie pozwoliła sobie o tym myśleć, teraz natomiast, mimo iż bardzo się starała, wszystkie jej myśli obracały się wokół pani Porter. Nienawidziła jej; ta kobieta, fałszywa i okrutna, była złem wcielonym. Diamond mogła znieść nawet Hanne, swoją bezpośrednią szefową. Pracznka była co prawda zrędna i codziennie rano wkraczała do pralni, tupiąc tak srodze, jakby szła do boju, lecz i ona śmiertelnie bała się ochmistrzyni. Nie mogła ryzykować, że utraci pracę. Mąż odszedł od niej, zostawiając ją z szóstką dzieci, które musiała wykarmić. Kiedy w pobliżu nie było nikogo, Hanna stawała się rzeczowa, tolerancyjna, a nawet rozmowna. To właśnie od niej Diamond usłyszała o tym, jaką despotką jest pani Porter i jakie ciężkie życie ma z nią mała Annie z pokoju kredensowego.

- Lepiej z nią uważać - mówiła Hanna. - Każe ci coś zrobić, a jeśli jej wysokości się to nie spodoba, udaje, że nic o tym nie wie, i całą winę zwała na służbę. Kucharkę już nie raz tak przerobiła. Bardzo dobrze prasujesz, Mary, muszę ci to przyznać, ale uważaj przy krochmaleniu. Jeśli wszystko nie będzie gładziutkie i lśniące, wywalą mnie z roboty. Ty wiesz, że kiedy któraś z nas choć na chwilę urwie się z pracy, ta cholerna baba obcina nam wypłatę? Kucharka podejrzewa, że różnicę zatrzymuje dla siebie. No tak, ty nie musisz się tym przejmować...

Rzeczywiście, Diamond to nie dotyczyło, bo w ogóle nie dostawała ani grosza. Zakładano z góry, że czarni pracują w zamian za wyżywienie i dach nad głową. Tak było w zwyczaju; Diamond uważała, że zwyczaj ten jest niesprawiedliwy, ale nie była w stanie go

zmienić. Dobrze choć, że wciąż miała dziesięć funtów od pani Beckman, bezpiecznie schowane w kufierku.

Wokół pałacu roztaczał się piękny ogród. W wolnych chwilach Diamond lubiła siadywać w jego głębi, słuchając świergotu ptaków i przyglądając się krzątaniu owadów i drobnych zwierząt. Po ciągłym pośpiechu w pracy ich towarzystwo wpływało na nią kojąco, dziś wszakże nie potrafiła się uspokoić.

Pani Porter uderzyła ją w twarz, i to nie tylko w obecności Perfy, kucharka także przyglądała się temu z kuchni. Diamond czuła się potwornie upokorzona. Czy chcą ją do reszty złamać, upodlić tak samo jak inne czarne kobiety pracujące w mieście? To możliwe. Powinna stąd odejść. Ale dokąd? Uciec i skończyć w brudnych, zapchlonych ruderach na skraju Brisbane, gdzie mieszkają Aborygeni? Diamond wiedziała, że jeśli pani Porter jeszcze raz ją uderzy, odda cios. Była silna, bez trudu pokonałaby tę czarną wronę, jak nazywano za plecami ochmistrzynię. Cóż za obraza dla wron! Jednakże Diamond wciąż miała w pamięci ostrzeżenia pani Beckman, żeby była bardzo ostrożna i pokorna. Czarne kobiety, które wdały się w jakąś awanturę, trafiały do więzienia. Samo wspomnienie więzienia przerażało Diamond jeszcze bardziej niż groźba piekła, o którym opowiadała jej Gussie. Więzienie stało w mieście, każdy mógł je obejrzeć, co się zaś tyczy piekła, jakoś nigdy nie udało jej się ustalić, gdzie ono jest.

Brazowy wąż prześliznął się obok niej, spiesząc do swojego gniazda. Diamond często go widywała, był to największy z okolicznych węży, stary podlec o gębie pełnej jadu. Żywił się szczurami i myszami, które zapędzały się tu znad rzeki. Diamond mu zazdrościła. Był wolny, ona tkwiła tu jak w pułapce.

Niedługo później wybuchła awantura o obrusy.

Hanna poszła już do domu, a Diamond właśnie kończyła prasowanie w zmierzchającym świetle, kiedy do pralni wpadła pani Porter z trzema wielkimi obrusami pod pachą.

- To ma być wyprasowane?! Kpisz sobie ze mnie, dziewczko? Masz je natychmiast wyprasować jeszcze raz, i to porządnie!

Obrusy prasowała Hanna, lecz nie było sensu dyskutować o tym z ochmistrzynią. Diamond skinęła głową i wzięła szczypczyki, żeby dołożyć do żelazka węgielków z dogasającego żaru pod piecykiem.

Kiedy się pochylała, pani Porter zdzieliła ją pogrzebaczem w plecy.

- Nie odwracaj się do mnie tyłem, ty bezczelna czarna małpo!

Gorący węgielek wypadł ze szczypców wprost na bosą stopę Diamond i ból oparzenia był o wiele gorszy niż uderzenie w plecy. Dziewczyna odskoczyła, strząsając węgiel ze stopy. Reszta żaru posypała się na drewnianą podłogę.

- Zmieć to! - wrzasnęła pani Porter. - Chcesz podpalić dom?

Diamond złapała szczotkę i szybko pozmiatała węgle pod czujnym okiem ochmistrzyni.

- Obrusy mają być wyprasowane, zanim pokojówki przyjdą rano do pracy, więc bierz się do roboty. Zrozumiałaś?

- Tak, proszę pani - odparła cicho Diamond.

Kiedy księżyc stał już wysoko na niebie, wróciła do ogrodu i usiadła pod drzewem, gdzie mieszkał stary wąż. Gnieździł się pod rozrośniętymi korzeniami starego figowca i w nocy wyprawiał na łowy.

W trawie zaszeleścił sznur. Wąż czujnie wystawił łeb, nieświadomy, że tym razem to on jest zwierzyną łowną. Diamond mocno złapała go za kark. Wił się, pluł i szczyrzył zęby jadowe, lecz był bezradny. Dziewczyna cicho ruszyła ku otwartemu oknu na tyłach domu, potrząsając gwałtownie węzem, co rozwścieczyło go do tego stopnia, że ugryzłby nawet pień. Potem wrzuciła go do środka.

Kiedy Perfy rano przyszła do pracy, w pałacu panował chaos. Nocne krzyki pani Porter obudziły zarówno gubernatora, jak i lady Bowen. Oboje pospiesznie zbiegli na dół, wyprzedziła ich tylko zajmująca sąsiedni pokój kucharka. Gdy wszakże się zorientowała, że ochmistrzyni wrzeszczy: "Wąż!", zostawiła latarnię i w panice uciekła na korytarz.

Pełniącego nocną służbę lokaja wysłano po doktora. Nie dało się nałożyć opaski uciskowej, ponieważ nieszczęsna kobieta została ukąszona w szyję, lady Bowen zaordynowała więc okłady z mydła. Obudzono śpiącego w wozowni kamerdynera i choć bardzo się ociągał, kazano mu szukać węża. Pacjencie podano brandy - najlepszą, jaka była w domu - w nadziei, że okaże się dość silna, by złagodzić ból i uciszyć rozpaczliwe krzyki. Żadne z tych działań nie odniosło skutku. Pani Porter straciła przytomność i zanim jeszcze doktor galopem zajechał przed dom, odeszła na łono Stwórcy.

- Niech spoczywa w pokoju - powiedziała kucharka, relacjonując ów dramat pozostałym służącym, którzy rano przybyli do pracy. - Bóg z pewnością ma w opiece jej duszę i nie chcę tu słyszeć, żeby ktokolwiek mówił źle o zmarłej.

Nowa ochmistrzyni w skrytości ducha uznała ten incydent za zdumiewający uśmiech losu. Następczyni pani Porter uciekła do kolonii przed wstydem, jakim okrył ją

narzeczony, zrywając zaręczyny i łamiąc dane cztery lata wcześniej słowo. Jeden z dalszych krewnych uzyskał dla niej list polecający do gubernatora Queensland. Zapukała do drzwi pałacu w najodpowiedniejszej chwili. Była zdumiona ładem - ba, luksusem! - panującym w tej maleńkiej mieścinie na skraju głuszy i oczarowana urokiem hrabiny, która potrafiła utrzymać swój dom na tak wysokim poziomie. Personel także był bardzo uprzejmy; nawet czarna dziewczyna, pierwsza Aborygenka, jaką spotkała, znakomicie mówiła po angielsku.

- I co, jak się pani u nas podoba? - zagadnęła ją kucharka.

- Doprawdy, jest cudownie. Wszyscy są tacy mili...

Co ważniejsze, adiutant gubernatora, kapitan królewskiej marynarki, był kawalerem. Przyszłość rysowała się zaiste w jasnych barwach.

Część trzecia

Bracia Buchanan i ich poganiacze wjechali na ranczo Sherwood, położone tylko sto mil na północ od Brisbane; długa podróż dobiegała końca. Przebyli z bydlęciem prawie tysiąc mil, utrzymywali jednak wolne tempo, pozwalając zwierzętom paść się wokół szlaku, i dotarli do punktu spędu ze stratą zaledwie kilku sztuk. Cała reszta była w znakomitej kondycji.

Wyruszając z domu, Buchananie martwili się, czy dostaną odpowiednią cenę. Przy siedmiuset sztukach bydła coroczny przepęd mógł ustawić ranczo finansowo albo doprowadzić je do ruiny. Chociaż Caravale należało do najlepszych gospodarstw na północy, możliwości sprzedaży w tamtejszym regionie były ograniczone i hodowcy musieli kierować się do Brisbane. I tak mieli szczęście. W czasach ich ojców bydłące szlaki ciągnęły się jeszcze dalej, do Sydney lub nawet Melbourne.

Darcy i Ben zdecydowani byli nie sprzedawać poniżej siedmiu funtów za sztukę. Ustalili marszrutę, prowadzącą przez złotonośne pola Gympie, gdzie chcieli zbyć tyle zwierząt, ile tylko się da, resztę zaś doprowadzić do Brisbane. Siedem funtów za głowę, dobre sobie! Rzeźnicy dosłownie bili się o bydło, żeby wykarmić rzeszę oszalałych kopaczy zgromadzonych na odkrywce, która wyglądała jak chaotyczne zbiorowisko ludzkich mrowisk. Sprzedali całe stado po dziesięć funtów za łeb. Marsz zakończył się już tutaj, w Gympie.

Z sakwami wypakowanymi gotówką i złotem ruszyli dalej, chcąc jak najprędzej odsadzić się od desperatów kręcących się wokół odkrywki. Pospiesznie przebyli pięćdziesiąt mil dzielące ich od rancza Sherwood, zatrzymując się tylko, by napoić konie na odsłoniętym odcinku brzegu rzeki, gdzie nie groziła im zasadzka. Drogi z pól złotonośnych do głównych miast były ulubionym terenem łowieckim bandytów.

Jim Kendall z Sherwood życzliwie powitał gości. Przez wiele lat przyjaźnił się ze świętej pamięci Teddym Buchananiem i ucieszył go widok jego synów, których cenił i za to, że - jak wieść niosła - ciężko pracowali, by poszerzyć założone przez ojca ranczo.

- Co słychać w Caravale? - spytał.

- Nie może być lepiej - odparł Darcy. - Pogoda dopisuje.

- To świetnie. Ty też nieźle wyglądasz, Darcy. Nabrałeś wreszcie trochę mięśni. A to jest Ben, co? - Jim uściśnął dłoń młodszego z braci. - No, no! Kiedy widziałem cię po raz ostatni, miałeś mleko pod nosem, a dziś - patrzcie tylko, co za byczek! Jezu, jak ten czas leci! Ile masz lat, Ben?

- Dwadzieścia jeden, proszę pana.

- To by się zgadzało. Ty zatem masz dwadzieścia pięć, Darcy? Jesteś już żonaty?

Darcy roześmiał się.

- Jeszcze nie. Brakuje mi czasu na chodzenie w zaloty. Zresztą która by mnie zechciała?

- Ho, ho, nie mów tego mojej żonie. Wyszwałaby cię, zanimbyś się obejrzał. Zwłaszcza teraz, kiedy wszystko wskazuje na to, że zbijecie prawdziwą fortunę.

Darcy wybałuszył oczy ze zdziwienia.

- Jaką fortunę?

Jim wyszczerzył zęby, lecz nie puścił pary z ust.

- Najpierw zajmijmy się waszymi ludźmi.

Kiedy poganiacze zostali przedstawieni i oddani pod opiekę pracownikom Sherwood, Kendall spytał:

- Co teraz? Rum czy prysznic?

- Jedno i drugie - wypalił Ben.

- Dobra myśl - odparł gospodarz i poprowadził ich na tyły domu do natrysków. Sherwood było jednym z najelegantszych domów w okręgu i pani Kendall nie patrzyła łaskawym okiem na ludzi siadających do stołu w zakurzonej odzieniu, w którym byli na szlaku. Przebierano się tu również do kolacji, a ponieważ trudno było oczekiwać, że podróżni będą wozic w sakwach fraki, na gości czekało zawsze kilka kompletów świeżo odcyszczonych wieczorowych ubrań.

- O co chodzi z tą fortuną? - wrócił do tematu Darcy.

- A, racja - bąknął niewinnie Jim Kendall. - Otóż, wystaw to sobie, nad rzeką Cape znaleziono złoto.

- Co takiego? - Nagi, okryty tylko warstwą mydła Darcy z rumorem wyskoczył spod natrysku.

- Dobrze słyszysz, synu. Tuż pod waszym progiem, około stu mil od Caravale.

- Cholera! Niepotrzebnie gnaliśmy bydło taki kawał drogi!

- Bez obaw, wcale nie na próżno. Dostaliście dobrą cenę. Trochę potrwa, nim poszukiwacze się zorientują, jak dotrzeć do Cape, a do tego czasu będziecie już w domu, gotowi na ich przyjęcie.

- Nie do wiary! - Darcy pokręcił głową. - Lepiej już wracajmy - rzekł do brata.

- Wykluczone! W porze deszczowej i tak mamy związane ręce, a ty obiecałeś mi wakacje w Brisbane. W styczniu wszyscy zjeżdżają do miasta, dlaczego tylko nas miałyby brakować?

Na kolacji było dziewięć osób. Jim otworzył szampana, żeby uczcić wizytę braci Buchananów. Katherine Kendall ongiś bardzo lubiła Teddy'ego. Był zarazem twardym człowiekiem buszu, jak też cennym nabytkiem w salonie, miał poczucie humoru i dobre maniery, a do tego mocną głowę. Szkoda, że zmarł tak młodo. Darcy miał wtedy ledwie czternaście lat, a Ben chyba jedenaście. Straszna szkoda. Cornelia Buchanan jednak się nie poddała, a teraz miała już wyrękę w synach. Wszyscy twierdzili zgodnie, że młody Darcy ma niespożyte siły, pracuje jak galernik, a co ważniejsze, zdaje się wiedzieć, co robi.

Katherine nie знаła osobiście Cornelii, ale Jim i jego znajomi, którzy często bywali na północy, wyrażali się o niej z najwyższym uznaniem. Ta Szkotka, powiadano, ma mnóstwo ikry. Katherine żywiła głęboki podziw dla kobiet, które miały odwagę towarzyszyć mężom na odosobnionych placówkach, narażone na wszelkiego rodzaju niewygody i zagrożenia, z których nie najmniejsze stanowili włóczący się po okolicy tubylcy. Kilkakrotnie pisała do pani Buchanan zapraszając ją do Sherwood, lecz do odwiedzin jakoś nie doszło. Katherine to rozumiała. Dzielił ich szmat drogi, a Cornelia ostatnimi czasy nie jeździła już do Brisbane.

Katherine przebiegła wzrokiem po twarzach gości. Obok chłopców Buchanana siedział Ginger Butterfield z rancza Bli-Bli i John Henry Champion, poseł do parlamentu, który robił wrażenie bez przerwy zawianego; dalej jej córki: Fiona z mężem Jackiem i młodsza Kitty, która była jeszcze panną. Nie uszło jej uwagi, że Kitty często zerka na Darcy'ego i obdarza go mnóstwem uśmiechów. Co za ulga, przedtem zagięła parol na Gingera, ale na nieszczęście Ginger wciąż durzył się we Fionie. Bardzo ciężko przeżył jej zaręczyny z Jackiem, zarządcą rancza Kendallów.

Katherine westchnęła. Ona i Jim również nie byli tym zachwyceni. Woleliby Gingera w roli zięcia - był jedynym synem i spadkobiercą wielkiej posiadłości Butterfieldów. Ach, te dzisiejsze dziewczęta! Nigdy nie słuchają dobrych rad. Lecz Darcy jest nieomal równie dobrą partią. Do tego wysoki, przystojny, odrobinę nieśmiały'... I nic w tym złego. Dzięki temu jest o wiele miłszy od tego bufona Bena, który zanadto się puszy jak na swój wiek.

Służąca wniosła pieczeń wołową i Jim wstał, aby ją pokroić.

- Wygląda smakowicie. Podawaj mi talerze, Kitty. A wy, chłopcy, częstujcie się winem. Polecam clareta. - Krzesząc iskry, przejechał nożem po stalowym dwuzębny widelcu. Nie poprawiało to ostrości noża, ale robiło imponujące wrażenie.

- Wkrótce będą urodziny Kitty, Darcy - zagaiła Katherine. - Byłoby nam bardzo miło, gdybyście z Benem zatrzymali się u nas w drodze powrotnej i wzięli udział w przyjęciu.

- Dziękuję, pani Kendall - odparł Darcy - ale planujemy wracać statkiem. Popłyniemy do Bowen i tam dopiero przesiądziemy się na konie.

- Szkoda...

- Poza tym trochę niepokoję się o matkę. Ci poszukiwacze złota, których widzieliśmy w Gympie, wyglądali na typy spod ciemnej gwiazdy. Nie chciałbym, żeby była sama, kiedy tacy ludzie zaczną się kręcić wokół rancza.

- Przecież nie jest tam sama - roześmiał się Ben. - Ja na twoim miejscu martwiłbym się o poszukiwaczy złota. Jeśli któryś zapędzi się w pobliże domu, ryzykuje, że mama wpakuje mu kulkę.

Oczy Kitty rozbłysły.

- Podobno wasza matka zastrzeliła kiedyś człowieka. Czy to prawda?

- Kitty! - upomniała ją ostro Katherine, lecz Ben nie wydawał się urażony.

- Święta prawda - potwierdził. - Byliśmy wtedy mali, a ojca akurat nie było w domu. Jeden z poganiaczy dostał napadu szału, wdarł się do holu i próbował zaatakować mamę. Położyła go trupem na miejscu, ledwo przekroczył próg.

- O mój Boże - mruknęła Katherine. - Jakie to straszne.

Co prawda w tych dzikich okolicach kobiety z konieczności trzymały pod ręką broń, rozlew krwi zaś był chlebem powszednim, stanowczo jednak nie pochwałała rozprawiania o tym przy obiedzie.

Buchananowie spędzili w Sherwood dwa dni, po czym wyruszyli do Brisbane. Towarzyszyli im Jim Kendall, Ginger Butterfield i pół tuzina poganiaczy z Sherwood. Darcy był rad z towarzystwa; wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki gotówka nie spocznie bezpiecznie w banku.

- Gdzie chcesz się zatrzymać? - zapytał go Ginger.

- W najprzystojniejszym hotelu, jaki znajdę.

- To najlepiej w "Victorii" - rzekł Ginger. - Ale dlaczego nie mielibyście jechać ze mną do gubernatora? O tej porze roku, kiedy sezon zabaw już się skończył, pałac jest prawie pusty. Jestem pewien, że lady Bowen nie będzie miała nic przeciwko temu. To cudowna kobieta.

- Nie, dziękuję - odrzekł Darcy. - Wolę mieszkać w gospodzie i robić to, co mi się spodoba.

- Mów za siebie - wtrącił Ben. - Ja chętnie skorzystam z zaproszenia. Naprawdę mógłbyś to załatwić, Ginger?

- Jasne, że tak. Gubernator często zatrzymuje się w Bli-Bli, kiedy objeżdża prowincję. Takie przysługi świadczone są wzajemnie, stary, zapamiętaj to sobie. Pewnego dnia może zechce skorzystać z waszej gościnności w Caravale.

Ben trącił konia kolanem i zbliżył się do brata.

- Nie odrzucaj tego typu zaproszeń - rzekł cicho. - Nic nas to nie będzie kosztować, poza tym, sam rozumiesz, siedziba gubernatora...

- Chodzi ci o nawiązanie odpowiednich znajomości? - roześmiał się Darcy.

- I cóż w tym złego?

- Nic, jak przypuszczam, ale będzie tam cholernie sztywno.

- Kitty Kendall często tam zagląda - rzekł Ben z chytrym uśmiechem.

- A co ona ma z tym wspólnego?

- Jesteś ślepy, Darcy? Dziewczyna ma na ciebie oko! Chętnie zatańczyłaby z tobą raz czy dwa.

- Kitty to miła dziewczyna, tylko straszna snobka. Nie zabrałbym takiej żony do Caravale.

- A czego to brakuje Caravale? Mamy elegancki, komfortowy dom. Każda kobieta byłaby dumna, mogąc w nim mieszkać.

- Ale dziewczęta takie jak Kitty lubią towarzystwo. Nawet jeśli wychowały się na ranczo, nie potrafią się obyć bez innych kobiet.

- Marudzisz - syknął Ben. - Kitty to doskonała partia, głupcze. Mama byłaby zadowolona.

Darcy odwrócił się w siodle i spojrzał na młodszego brata tak, jakby ujrzał go po raz pierwszy w życiu.

- Mama? Chyba żartujesz! Mamie nie spodobałaby się nawet księżniczka!

Ben wyszczerzył zęby.

- No cóż, prędzej czy później będzie musiała obniżyć wymagania. Podejrzewam zresztą, że się mylisz. Byłaby zachwycona Kitty.

- Wobec tego sam się z nią ożeń. Ja znajdę sobie jakąś zwykłą, miłą dziewczynę.

Ginger wstrzymał konia.

- Szukasz żony, Darcy?

- Tak - poinformował go Ben. - Najchętniej brzydkiej.

- Tego nie powiedziałem - zmarszczył się Darcy, lecz Ginger parsknęła śmiechem.

- Nie będziesz miał z tym żadnego problemu. W Brisbane jest zatręsenie brzydkich panien, a każda z nich skakałaby pod niebiosa, mając szansę poślubić młodego bogatego dżentelmena.

Darcy nie kontynuował dyskusji. Zapalił papierosa i wysforował się naprzód. Nie potrafił im tego wytłumaczyć. Zgadzał się, trzeba zachowywać pewien poziom także na prowincji, lecz nie przepadał za całą tą pompą. Trudno, żeby ranczerzy stroili się co wieczór jak do opery. Człowiek powinien szanować swój dom, to zrozumiałe, zresztą sam czuje się lepiej, gdy siada do kolacji świeżo umyty i w czystej odzieży, nie należy wszakże przesadzać z wyszukaną etykietą. W tym klimacie - a u nich na północy jest jeszcze goręcej - sztywne koszule, ciasne krawaty i wieczorowe surduty są niczym narzędzia tortur, którym nie ma zbytnej ochoty się poddawać. O, Ben uwielbia te ceregiele. Darcy postanowił, że musi zbudować jeszcze jeden dom w Caravale. Miejsca nie brakuje. Postawi własną siedzibę na wzgórzach nad rzeką i będzie tam mógł żyć po swojemu, a Ben wraz ze swą przyszlą żoną niech przestrzegają królewskich form, jeśli im to odpowiada. Zaśmiał się, wyobrażając sobie, jak Ben poradzi sobie z przekształceniem półdzikich czarnych służących w nieskazitelnie ułożone pokojówki w wykrochmalonych fartuszkach i białych rękawiczkach. Północ to inny świat i tak zawsze będzie, a im prędzej Ben to dostrzeże, tym lepiej.

Kiedy skręcili na trakt do Brisbane, zaczął padać deszcz. Życiodajny deszcz. Darcy miał nadzieję, że Caravale również otrzyma swoją porcję wilgoci. Jeźdźcy w nieprzemakalnych płaszczach i obwisłych, nasiąkniętych wodą kapeluszach wyglądali jak szare widma. Większość mężczyzn nosiła szerokoskrzydłe filcowe kapelusze na wzór amerykański, bardzo dobre w słońcu, lecz na deszcz nie tak odporne jak skórzane. Poglądy Darcy'ego na modę cechował daleko posunięty praktycyzm.

Brisbane przyprawiło go o nie lada wstrząs. Nie był tu od czterech lat - zwykle wysyłali ze stadem poganiaczy - i z trudem rozpoznał miasto, tak się rozrosło. Na tonących w błocie ulicach nawet przy tej pogodzie kłębiły się tysiące ludzi, konno, pieszo i w powozach. Wylewali się z barów, wystawali pod okapami dachów. A ten hałas! W nocnym powietrzu niosły się dźwięki katowanych bezlitośnie pianin, zagłuszane przez krzyk i głośnie śmiechy, które dobiegały z rzeszście oświetlonych szynków i tawern. Nie wyglądające na damy kobiety kiwały do nich z ganków.

- Jezu! - sapnął Darcy - Ale wrzawa! Co tu się dzieje?

- Złoto - wyjaśnił lakonicznie Ginger, zwalnając do stępa, by nie stratować któregoś z pijaków zataczających się na drodze i wymachujących do nich butelkami. - Złoto z Gympie. Miasto zapchane jest dziś górnikami. Mądrzejsi nie szaleją, reszta przyjeżdża tu z urobkiem, wydaje krocie na kobiety i whisky, po czym musi wracać na odkrywkę i dorabiać się od początku.

- Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem - rzekł Darcy, rozglądając się dookoła.
- Można by przypuszczać, że to wieczór sylwestrowy.

- Dla nich tak - rzekł Ginger. - Nieustający bal. Brisbane przeżywa teraz rozkwit. Lepiej jedź z nami, Darcy, nie znajdziesz wolnego pokoju w mieście.

- Jakoś sobie poradzę. Weź ze sobą Bena. I naszą gotówkę. Podejrzewam, że będzie bezpieczniejsza w domu gubernatora niż wśród tej hołoty.

Ben zawahał się.

- Nie mogę jechać do pałacu w tym stroju, Ginger.

- Możesz, możesz. Wyjaśnię wszystko lady Bowen. Rano znajdziemy ci jakąś przyzwoitą odzież. Tu jest hotel "Victoria", Darcy. Marnie widzę twoje szanse.

Darcy był tego samego zdania, patrząc na tłum, który oblepiał chodnik przed dużym piętrowym budynkiem.

- Dam sobie radę - powtórzył. - Spotkamy się jutro o dziesiątej w banku, Ben. Na razie.

Podjechał do stajni na tyłach hotelu i z pomocą funtowego banknotu zdołał ulokować w niej konia.

- Jak nazywa się właściciel hotelu? - zapytał.

- Brian Flynn - odparł stajenny.

Darcy dźwignął sakwę, przerzucił strzelbę przez ramię i skierował się ku tylnemu wejściu do hotelu. Wetknął głowę do kuchni.

- Gdzie mogę znaleźć pana Flynn'a?

W obszernej kuchni panowała pośpieszna krzątanina. Pół tuzina kobiet zwijało się jak w ukropie, nakładając jadło na białe talerze, inne tkwiły przy baliach do zmywania i ze szczękiem stawiały opłukane już naczynia na ławach. Kelnerki wbiegały i wybiegały, dźwigając wielkie tace. W końcu jedna z kobiet podniosła głowę i zaśmiała się:

- Tuż za panem!

- Mówiłem wam, dziewczęta, żebyście zamykały drzwi na zasuwę. - Przysadzisty, łysiejący mężczyzna wyminął Darcy'ego i sam zamknął drzwi. - Pan wchodzi czy wychodzi?

- spytał.

- Wchodzę - odparł szybko Darcy. - Czy pan Flynn?

- Tak, to ja. Do tego hotelu nie wnosi się broni palnej.

Darcy poprawił strzelbę na ramieniu.

- A co mam z nią zrobić? Zostawić ot tak, przy siodle?

- Nie obchodzi mnie, co pan z nią zrobi. Proszę jej tu nie wnosić, i już.

- Czy mógłbym wobec tego zostawić ją w pańskim kantorze?

- Chryste wszechmogący, toż to nie żadna cholerna szatnia! No dobrze - zmitygował się Flynn. - Niech pan mi to da. Odbierze pan rano. Do baru tędy.

- Wolalbym najpierw wynająć pokój - rzekł Darcy.

- Podobnie jak setka innych - odparował Flynn, taksując go wzrokiem. - Niech pan idzie do pensjonatu pani Wattle, trochę dalej przy tej samej ulicy. Baba nie lubi górników, ale kowboja może przyjmie.

- Płacę gotówką - zauważył Darcy, lecz Flynn potrząsnął głową.

- Wszyscy dziś płacą gotówką.

Darcy nie dawał za wygraną.

- Wolalbym zatrzymać się tutaj. Powiedziano mi, że to najlepszy hotel w mieście. Przyjechałem z daleka.

- No to masz pecha, synu. Słuchaj, postawię ci drinka, ale naprawdę nic więcej nie jestem w stanie zrobić. A tak w ogóle skąd jesteś?

- Z północy. W linii prostej będzie ponad tysiąc mil.

- A niech to diabli! - zdziwił się Flynn. - To już chyba zupełne pustkowie. A konkretnie skąd?

- Z Caravale.

Tym razem udało mu się zainteresować hotelarza.

- Caravale? Czy to nie był majątek Teddy'ego Buchanana?

- Zgadza się. Nazywam się Darcy Buchanan, jestem jego synem.

Flynn cofnął się nieco, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

- No, niechże skonam! Syn Teddy'ego! Tak właśnie myślałem, jakby znajoma gęba, tylko za diabła nie mogłem dociec, czyja. Syn Teddy'ego! Teddy, niech spoczywa w pokoju, był kiedyś moim kumplem. Cóż... gdybym nie znalazł dla ciebie miejsca, pewnie by wrócił z za grobu i straszył mnie po nocach, nie?

Rano po wypitym uprzedniego wieczora grogu Darcy miał najpotworniejszego kaca, jakiego kiedykolwiek w życiu doświadczył.

- I co, dostałeś jakieś łóżko? - spytał Ben, kiedy spotkali się w banku.

- Tak. Pokój w "Victorii".

- Dobry Boże! - zdziwił się Ginger. - Jak ci się to udało?

- Widocznie zrobiłem na nich dobre wrażenie - odparł Darcy. - A jak tam hrabina?

- Nie miałem przyjemności jej poznać. Wyjechała do przyjaciół nad morze.

- Nie dziwię się - rzekł Darcy. - Bóg jeden wie, co opętało tych ludzi, żeby budować miasto w dolinie, gdzie nie dociera nawet najbliższy podmuch wiatru.

- Wyglądasz trochę blado, stary - zaśmiał się Ginger. - Miałeś ciężką noc?

- Tak... o ile pamiętam - westchnął Darcy. - Dobra, załatwmy najpierw interesy.

Złożyli pieniądze w banku, potem udali się do magazynu Campbella, który od ostatniej wizyty Darcy'ego również powiększył się o kilka nowych działów.

- Najpierw odzież - zaznaczył Ben.

Prowadzeni przez Gingera, Buchananowie zakupili "miejskie" stroje oraz robocze drelichy i mocne buty do noszenia na ranczo.

- Skoro obowiązki mamy już za sobą - orzekł Ginger - chodźmy do mojego klubu i strzelmy sobie po kielichu. Można tam również bardzo dobrze zjeść.

- Idźcie. Ja muszę jeszcze zamówić resztę rzeczy z listy - powiedział Darcy, po czym ruszył na poszukiwanie Jocka Campbella, który od lat był dostawcą Caravale.

- Cieszę się, że cię widzę, Darcy - powitał go właściciel sklepu. - Jak tam matka, zdrowa?

- Tak, dziękuję panu. - Darcy sięgnął do kieszeni. - Tu mam jej listę zakupów, tym razem bardzo obszerną. Matka prosi o bieliznę pościelową, ręczniki, moskitiery i Bóg jeden wie, co jeszcze. Ja z kolei sporządziłem spis rzeczy potrzebnych w gospodarstwie. Narzędzia, żywność... Nadal pan tym handluje?

- Tak, młodzieńcze. Mam wszystko, czego mógłbyś sobie życzyć, brakuje mi tylko ludzi do pracy. Większość subiektów uciekła na złotonośne pola. Powiedzmy, że przygotuję to na poniedziałek.

Darcy potrząsnął głową.

- Jutro odpływa statek do Bowen i chciałbym wysłać nim całe zakupy. Im prędzej je nadam, tym prędzej dotrą na ranczo. W Bowen ma na nie czekać przewoźnik z zaprzęgiem.

- Rozumiem. Dobra, zajmę się tym. Wpadnij jutro rano, przejrzymy wszystko i zobaczysz, czy nie trzeba ci czegoś jeszcze. Mam mnóstwo nowych towarów, które na pewno przypadłyby do gustu twojej matce, i chciałbym ci je bez pośpiechu pokazać.

- Ale jutro jest niedziela.

- Tym lepiej. Nikt nam nie będzie przeszkadzał. Nie mogę przecież zawieść stałego klienta.

- To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, panie Campbell.

- Żaden kłopot. A w ogóle co u ciebie słychać, Darcy? Wciąż marnujesz się w kawalerskim stanie?

- Gdybym miał żonę, to ona by robiła sprawunki, nie ja - roześmiał się Darcy. - Do zobaczenia rano.

Klub Gingera był zarazem główną kwaterą Stowarzyszenia Hodowców. Spotkali tam starych znajomych, a także poznali nowych. Później poszli na wyścigi, co naturalnie trzeba było uczcić.

Następnego dnia Darcy po raz kolejny obudził się w hotelu, mając uczucie, jakby po głowie przebiegło mu stado spłoszonego bydła. Jęknął. Jock Campbell! Musi iść do sklepu i dopilnować zamówienia. Gdyby miał choć trochę rozumu, wsiadłby na statek razem z przesyłką i popłynął do domu. Na pewno nie wypocznie, jeśli co dzień rano będzie go męczył taki kac!

Hester Campbell biegła w kółko i co chwila wpadała z kuchni do pokoju jadalnego, gdzie Amy nakrywała do stołu. Porcelana i sztucze brzęczały podnieconym chórem.

- Czy srebra są czyste? Wyrównajże ten obrus! Lilie postaw na środku. Szkoda, że nie mam żadnych przyzwoitych kwiatów. Na Boga, dziewczyno, co ty wyprawiasz? Łyżki do zupy kładzie się po zewnętrznej stronie, ile razy mam ci to powtarzać? Ach, ten twój ojciec! Zaprasza gości dosłownie za pięć dwunasta! Co ten człowiek sobie o nas pomyśli? Gdybym wiedziała wcześniej, przygotowałabym uczciwy niedzielny obiad. Ledwie wróciliśmy z kościoła, a ten żąda ode mnie cudów. Powiedziałam mu, że mamy tylko zimną pieczeń, a on mi na to, że panu Buchananowi nie będzie to przeszkadzać. Co on tam wie! Idź, przynieś mi więcej pomidorów. Nie, ja je cienko pokroję, a ty siekaj cebule. I nie ruszajcie wieprzowiny, ty i Ross, ledwo wystarczy jej dla mężczyzn. Dodam wołowiny, cóż począć. Pan Buchanan pomyśli, że jesteśmy nędzarami. Ci bogaci hodowcy mają rzesze służby i piją wino do obiadu. Nazywają go lunchem. Boże drogi, ciasto się przypała...

Gadanie matki wyprowadzało Amy z równowagi. Ona także żałowała, że nie mają więcej czasu na przygotowanie uczy, która zrobiłaby wrażenie na Darcym Buchananie, ale ostatecznie najważniejsze było to, że złoży im wizytę. Amy widziała go w sklepie w towarzystwie brata i Gingera Butterfielda, który również był bardzo dobrą partią. Kawalerowie do wzięcia, do wyboru, do koloru, lecz Darcy był najprzystojniejszy. Wyższy, jakoś bardziej męski niż tamci. I pomyśleć, że tatko okazał się na tyle przytomny, żeby go zaprosić! Wymarzona szansa, żeby zawrzeć znajomość z eleganckim - i bogatym - dżentelmenem.

Amy, odkąd sięgała pamięcią, pomagała w sklepie. Próbowwała dostać pracę poza domem, lecz trudno było o przyzwoitą posadę. Znała wszystkich klientów, zwłaszcza hodowców bydła, głównie jednak ze słyszenia, albowiem większość z nich rzadko zjeżdżała do miasta. Wysyłali po prostu zamówienia pocztą albo robili zakupy z katalogów. Ranczo Caravale figurowało w księgach magazynu Campbella od lat i nigdy nie zwlekało z zapłatą. Niektórzy hodowcy żyli jak królowie i tak też chcieli być traktowani, gdy przychodziło do płacenia rachunków. "W złym sezonie nie mogą zapłacić, a w dobrym nie chcą" - mawiał ojciec. Nigdy nie realizował następnego zamówienia, jeśli poprzednie nie zostało opłacone, i śmiał się, kiedy obrażony klient przenosił się do innego sklepu. "Niech kto inny się z nimi szarpie" - prychał.

Darcy Buchanan! Przyjaciółki zzielenieją z zazdrości, kiedy o tym usłyszą!

Amy miała na sobie nowiuiteńką, wziętą prosto ze sklepu suknię z beżowej tafty, ozdobioną grubą brązową lamówką przy kołnierzu i mankietach. Uzupełniał ją krótki wyszywany baskijski gorsecik. Było parno, Amy wolałaby lżejszy, błękitny muślin, lecz matka orzekła, że tafta jest bardziej elegancka.

- Wystroiłaś się, żeby złapać męża?

No tak. Ross, młodszy brat Amy, zawsze musi wyskoczyć z czymś takim.

- Mamo, każ mu się zamknąć! Czy on musi siedzieć z nami przy stole? Wyślij go do innego pokoju.

Pani Campbell także ubrała się z tej okazji w swoją ciemnobrązową niedzielną suknię. Szyję na razie owinęła ręcznikiem, mającym wchłaniać pot, krzątała się bowiem wokół piekarnika, próbując uratować blachę słodkich drożdżowych bułeczek.

- Zachowuj się przyzwoicie, Ross, bo inaczej ojciec weźmie na ciebie pasa.

- W ogóle nie pozwalacie mi się odzywać! Chciałem tylko zapytać, czy Amy wyjdzie za tego gościa z buszu.

- Idź włożyć czystą koszulę - poleciła Hester. - W takim stanie na pewno nie usiądziesz przy stole. I wyszoruj paznokcie!

- Mamo... - Amy cofnęła się przezornie, widząc, że matka bierze się do ubijania śmietany. - Czy spotkałaś się kiedyś z panią Buchanan?

- Nie. Już od dawna w ogóle nie przyjeżdża do miasta. Twój ojciec poznał ją wiele lat temu. Powiada, że to wielka dama. Jej mąż był bardzo wytwornym dżentelmenem, niezmiernie lubianym w Brisbane. Wyjmij ze spiżarni dżem truskawkowy, ten lepszy. I zważaj dziś na swoje maniery. Jeśli poślubisz człowieka w rodzaju Darcy'ego Buchanana, wejdiesz w wyższe sfery. Nie będziesz musiała do śmierci liczyć się z każdym groszem, jak twój ojciec i ja...

Hester wciąż jeszcze mówiła, gdy Amy wymknęła się z kuchni. Przejrzała się w lustrze, stojącym w holu. Matka sporym nakładem starań ułożyła jej włosy w "myszkę", jak to nazywała, wywijając je do góry, przez co zdawały się gęstsze. Amy wyglądała w tym uczesaniu doroślej i bardzo wytwornie. Nie będzie go zmieniać; w końcu ma już siedemnaście lat. Uznała, iż w tym ważnym dniu naprawdę prezentuje się jak dama.

Nie było jak się z tego wykręcić. Jock Campbell nalegał, by został na obiedzie, Darcy'emu zaś nie wpadała do głowy żadna przekonująca wymówka. W gruncie rzeczy nie miał żadnych planów na ten dzień, a nie widział sensu w wymyślaniu kłamstw.

- Przynajmniej tak mogę się zrewanżować za to, że musiałeś przyjść tu w niedzielę - rzekł Jock, kiedy wszystkie paki i skrzynie pełne towarów dla Caravale zostały władowane na wóz, który miał je przewieźć na nabrzeże, pod burtę "Samsona".

Darcy zdecydował się skorzystać z zaproszenia.

- Jeśli nie sprawię kłopotu, bardzo chętnie, dziękuję.

- Nie sprawisz mi kłopotu, młodzieńcze. Lubię przyjmować swoich dobrych klientów.

Zaprowadził Darcy'ego do domu i przedstawił rodzinie: Amy, którą Darcy widział już przelotnie w sklepie, młodszemu synowi Rossowi, a także żonie, która gorączkowo zakrzętała się wokół gościa, ceremonialnie zapraszając, by usiadł.

- Pomyślałem, że najpierw napijemy się zimnego piwa - wtrącił Jock, rzucając pytające spojrzenie na Darcy'ego, który z wdzięcznością skinął głową. Potwornie go suszyło.

- Możecie się napić przy stole - oznajmiła pani Campbell. - Proszę mi wybaczyć skromne przyjęcie, panie Buchanan, ale Jock mnie nie uprzedził, a dziś na lunch mamy tylko zimne mięsiwo.

- Nic nie szkodzi. - Darcy zerknął na zastawiony półmiskami stół. Królowała na nim zimna pieczeń w asyście pokrojonych w plastry pomidorów, rozpostartych na liściach sałaty i przybranych krążkami cebuli, rzodkiewką i przeróżną zieleń. Oprócz tego podano konfitury, chleb, masło i gorące drożdżowe bułeczki. - Wygląda bardzo smakowicie.

Jock nalał piwa do wysokich szklanek. Było lodowate i Darcy nareszcie nieco odżył. Poczul też apetyt. Kątem oka zauważył na kredensie ociekający bitą śmietaną biszkopt i uśmiechnął się. Był to jego ulubiony smakołyk.

- Przyniosę zupę - zerwała się pani Hester. - Przynajmniej ona jest gorąca. Dobra szkocka polewka.

Amy niepewnie obróciła się na krześle, lecz matka machnięciem ręki kazała jej usiąść z powrotem.

- Zostań tu, kochanie. Jest nas tylko pięcioro, dam sobie radę z podawaniem.

Pani Campbell postawiła wazę na stole i właśnie miała usiąść, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Poszła otworzyć.

- O, Perfy! - zdziwiła się. - Co cię sprowadza? Nie widziałam cię od wieków.

- To prawda - brzmiała odpowiedź. - Zawsze utknę w pracy w niedzielę po południu, a tylko wtedy mam wolny czas. Czy zastałam Amy?

- Tak...

Darcy zwrócił uwagę na ton pani Campbell. Zaciekawilo go, dlaczego ten ktoś najwyraźniej nie jest tu mile widziany.

- Czy mogłabym się z nią zobaczyć?

Cisza. Cały pokój zamarł, czekając na odpowiedź. W końcu niezręczne milczenie przerwał Ross.

- Chodź, Perfy! - zawołał. - Jesteśmy w jadalni.

Dziewczyna weszła do stołowego pokoju i przystanęła zmieszana.

- Och, przepraszam. Nie wiedziałam, że macie państwo gości. To znaczy, chciałam powiedzieć, gościa.

Darcy wstał. Jock siedział jak kamień u szczytu stołu, Hester manewrowała wokół przybyłej, jakby otarcie się o nią mogło wywołać pożar. Dziwne; widać było, że dziewczyna ma zwyczaj wpadać tu po sąsiedzku.

- Jak leci, Perfy? - spytał Ross z całą beztroską nieświadomego międzyludzkich napięć czternastolatka.

- Dziękuję, Ross, dobrze - odparła. - Wiecie co, ja już pójdę. Wpadnę później.

Ross odwrócił się do siostry ze złośliwym uśmiechem.

- Nie zaprosisz jej na lunch? Zwykle ją zapraszasz.

Amy obląła się rumieńcem.

- Oczywiście że tak. Usiądź z nami, Perfy.

- Przyniosę nakrycie - rzekła Hester, wydymając cienkie wargi.

Ross odsunął Perfy krzesło, podczas gdy Jock dokonał prezentacji.

- To jest pan Buchanan, z którym prowadzę interesy. Panna Perfy Middleton.

- Na pewno przeszkadzam - bąknęła speszona Perfy. - Przyjdę kiedy indziej.

- Siadaj - poleciła jej Hester. - Zupa stygnie.

Odkąd dziewczyna przekroczyła próg, Darcy nie mógł oderwać od niej oczu. Los w rzadkim akcie łaski pozwolił mu napawać się jej widokiem w czasie, gdy Campbellowie wahali się, czy ją przyjąć. Dosłownie pławił się w płomiennym blasku, otaczającym słodką twarzyczkę w aureoli krętych włosów o barwie miodu, spadających na plecy długą gęstą kitą, przewiazaną niebieską wstążką. Blask ten bił jednak przede wszystkim z oczu, ciemnobłękitnych jak szafiry. Niewiarygodne!

A teraz, kiedy siedziała obok niego, nie mógł sobie przypomnieć jej imienia. Jak mógł dopuścić, żeby wyleciało mu z pamięci coś równie istotnego? Zrozpaczony przysłuchiwał się pogawędce przy obiedzie. Dziewczyna była przyjaciółką Amy, chodziły

razem do szkoły. Pani Campbell wypytywała go o ranczo. Jock rozważał dobre i złe skutki gorączki złota. W końcu Hester podała herbatę i ciasto: sięgając po cukier Darcy przewrócił cukiernicę. Hester zerwała się i zaczęła biegać wokół niego ze szczotką i małą mosiężną szufelką, robiąc przy tym tyle szumu, że lekko poirytowany Darcy mruknął: "Na pewno nie zostaną plamy". Usłyszał obok siebie stłumiony chichot.

Rozmowę zdominował Jock, który wsiadł na swego ulubionego konika, wyśpiewując peany na cześć Szkocji, co przykuło uwagę Darcy'ego. Jego matka była Szkotką; nigdy nie mówiła, skąd właściwie pochodzi, i w ogóle rzadko wspominała ojczyznę. Stwierdziła tylko, że jest tam zimno jak w żabim zadku, a wszyscy Szkoci to podli, zawzięci purytanie. Darcy uśmiechnął się pod nosem. Z jego obserwacji wynikało, że trafiając do Australii, ulegali radykalnej przemianie. Większość znajomych Szkotów chlała whisky wiadrami.

Młody Ross Campbell umiał na pamięć opowieść o górach i wrzosowiskach Szkocji, toteż przez dłuższą chwilę wiercił się na krześle, a potem, przerywając ojcu w pół słowa, raptownie zmienił temat:

- Co słyhać u gubernatora, Perfy?

Darcy poczuł ulgę. A więc tak ma na imię!

- O ile wiem, pozostaje w dobrym zdrowiu - brzmiała lakoniczna odpowiedź.

- Perfy pracuje w rezydencji lorda i lady Bowen - wtrąciła Hester, podkreślając słowo "pracuje", tak aby gość nie miał co do tego żadnych wątpliwości. - Jest pokojówką.

- Zatem musiała pani spotkać mego brata Bena. Właśnie tam się zatrzymał - rzekł pośpiesznie Darcy, wdzięczny losowi za pretekst, by zwrócić się wprost do niej.

Przymrużyła oczy, zastanawiając się przez chwilę.

- Pan Buchanan... Oczywiście! Dzieli pokój z panem Butterfieldem. To pański brat?

- Tak.

- Mhm... Cóż, prawdę mówiąc, widziałam go z daleka, ale nie miałam przyjemności go poznać. Nie wolno nam rozmawiać z gośćmi.

- A gdzie pan się zatrzymał, Darcy? - wtrąciła Hester, usiłując przejąć kontrolę nad tokiem rozmowy.

- W hotelu "Victoria".

- A, właśnie, panie Campbell - odezwała się równocześnie Perfy. - W rezydencji zaczyna brakować pościeli i przebąkują o nowych zakupach. Powinien pan tam skoczyć i zamienić słówko z ochmistrzynią.

- Doprawdy? Cóż, chyba wpadnę tam jutro. Mam świeżą dostawę najlepszego płótna z Manchesteru. Nigdzie nie dostaną takiego po niższej cenie.

- Ochmistrzyńi bardzo lubi czekoladki - poddała niewinnie Perfy.

Jock zaśmiał się. Już dawno przebaczył Perfy to wtargnięcie. Interes przede wszystkim.

- Jeszcze herbaty, Darcy? - zagadnęła Amy.

- Nie, dziękuję, Amy. Słowo daję, to ciasto było pyszne.

- Amy je upiekła - wtrąciła słodko Hester.

Darcy stłumił śmiech, bo Ross ironicznie uniósł brwi, zadając oczywisty kłam temu stwierdzeniu.

- Może jeszcze ciasta?

- Nie, dzięki, naprawdę muszę już iść. To był najlepszy lunch, jaki jadłem od wieków.

Darcy liczył, że Perfy - co za dziwne imię! - także wyjdzie i będzie mógł odprowadzić ją do domu, ale nie miał aż tyle szczęścia.

Rozczarowany, udał się do pałacu gubernatora. Przysiadł na pobliskim ogrodzeniu i patrzył, jak sprzed rezydencji odjeżdża sznur powozów. Potem znalazł Gingera i Bena na frontowej werandzie.

- Widzę, że mieliście tu dziś bal - zauważył.

- Lunch na dwadzieścia osób - wyjaśnił Ginger. - Bajeczny. Nie wiesz, co tracisz.

- Ktoś musiał się zająć sprawunkami - odciął się Darcy. - Chciałem to mieć już z głowy. Gdzie jego ekscelencja?

- Zażywa sjesty - rzekł Ben. - Jutro znów wydaje prośzone śniadanie, żeby przedstawić gości z prowincji premierowi. Tym razem powinieneś się pokazać. Trzeba znać właściwych ludzi.

- Dobry pomysł - odpowiedział.

Ben, który oczekiwał sprzeczeki, zdumiał się.

- Przyjdziesz?

- Za nic w świecie nie przepuszczę takiej okazji - odparł jego brat.

Darcy klął swoje pieskie szczęście. Lunch istotnie był wspaniały, ale on oczywiście musiał siedzieć koło tego idioty Clive'a Jenkinsa z rancza Southbend, graniczącego z Caravale. Clive był wielkim przyjacielem Bena i razem wypłatali tyle głupich kawałów czarnym i białym pracownikom rancza, że Darcy wielokrotnie wypraszał sąsiada z domu, nie przebierając w słowach. Nieraz miał ochotę oddać Clive'a na pastwę rozwścieczonych poganiaczy.

Na dodatek siedział tyłem do drzwi i musiał się obracać, ilekroć weszła któraś z podających do stołu kobiet. Wiedział, że Perfy pracuje jako pokojówka, lecz miał nadzieję, że każą jej również pomagać w jadalni. Dziwniejsze rzeczy się zdarzają, powtarzał sobie. Najwyraźniej jednak nie dziś.

Lunch ten był imprezą wyłącznie dla panów. Rej wiedli politycy, zachłannie polujący na wyborców i korzystający z dość rzadkiej okazji, by przekonać o swoich zaletach właścicieli wielkich posiadłości ziemskich, których głos bardzo się liczył na prowincji.

- Znałem pańskiego ojca - zagaił mężczyzna z drugiej strony Darcy'ego. Był to osławiony piniacz Charles Lilley, poseł do parlamentu z Fortitude Valley, znany pod przezwiskiem "Lilijka".

- Tak, słyszałem o tym, proszę pana - odparł uprzejmie Darcy.

- Chciałem zamienić z panem słówko, panie Buchanan - ciągnął Lilley. - Herbert to nie najgorszy premier, z nikim innym zresztą nie mieliśmy dotąd okazji go porównać, ale czy nie sądzi pan, że jest mało skuteczny? Zbyt powolny jak na mój gust. Cóż, pewnego dnia ja zostanę premierem, wspomni pan te słowa. Izbie potrzebny jest zastrzyk młodej krwi. W Bowen już tworzy się nowy elektorat, a pan byłby właściwym człowiekiem do tej roboty.

- Nie ja, panie Lilley. Ja mam pełne ręce roboty w Caravale.

- Nie zdoła pan oderwać Darcy'ego od gospodarstwa, panie Lilley - wtrącił Clive, który przysłuchiwał się rozmowie. - Już prędzej Ben byłby tym zainteresowany.

- Kto to jest Ben?

- Mój brat - poinformował go Darcy. - Siedzi tam, obok Gingera Butterfielda.

- Będę musiał z nim pomówić - rzekł Lilley i ku zadowoleniu Darcy'ego przestał go nagabywać.

Ben był jeszcze bardzo młody, zbyt młody, i nie miał pojęcia o polityce, jednakże który z tych mężczyzn się na niej znał? Był to pierwszy parlament w dziejach Queensland i wszyscy byli nowicjuszami w tej grze. Ben zaczynał się buntować przeciwko wykonywaniu poleceń starszego brata. Działalność publiczna wypełni mu czas i nauczy odpowiedzialności. Czasem potrafi być zupełnie nieobliczalny. Ponadto Ben ochoczo powita szansę częstszego bywania w Brisbane i obracania się w tych jego ukochanych wyższych sferach. "Tak - pomyślał Darcy - Buchananów stać już na polityka w rodzinie. Namówię Kennedych, żeby pchnęli go we właściwym kierunku".

Nie przypuszczał, że lunch może trwać tak długo. Wreszcie kwadrans po czwartej przenieśli się na chłodną werandę od wschodu, gdzie cukierkowo wystrojeni lokaje

podawali porto i cygara. Darcy nie mógł uwierzyć, że dorośli mężczyźni pozwalają robić z siebie takie dziwolągi. Powiedział to na głos.

- Zamknij się, Darcy - syknął Ben. - Chcesz, żeby wzięto cię za wiejskiego prostaka? Słuchaj, mam fantastyczną nowinę. Lilley chce wysunąć moją kandydaturę na posła z okręgu Bowen. Zostanę politykiem.

- Albo alkoholikiem, jeśli będziesz musiał często uczestniczyć w tych spędach.

- Och, dajże spokój! Ci ludzie mają władzę. Musimy zrobić na nich dobre wrażenie. Korona ci z głowy nie spadnie, jeśli przejdiesz się i szepniesz kilka pochlebnych zdań o mnie przyjacielom Lilleya.

Darcy zrobił, o co go proszono. Ruszył spacerkiem po werandzie, zagadując starych i nowych znajomych, aż w końcu dotarł do gubernatora, któremu złożył uszanowanie, podziękował za wyśmienity poczęstunek, po czym wymknął się nie zauważony.

Okrażył pałac, znalazł wejście dla dostawców i wszedł na podwórze. Jakaś czarna dziewczyna zdejmowała pranie ze sznura. Zbliżył się do niej.

- Przepraszam, szukam panienki o imieniu Perfy. Znasz ją?

Aborygenka odwróciła się i uśmiechnęła:

- Tak, pracuje tutaj.

- Jak ma na nazwisko? - zapytał. - Znam tylko jej imię.

- Middleton. Perfy Middleton. Nie może się pan z nią teraz zobaczyć, w pracy nie pozwalają nam przyjmować gości.

- O której wychodzi?

- Zwykle kończy o szóstej.

- O szóstej? To niedługo. Zaczekam. Czy możesz jej powiedzieć, że czeka na nią Darcy Buchanan?

- Naturalnie. Gdzie będzie pan czekał?

- Koło bramy.

Stał w cieniu pod drzewem i zapalił papierosa. No, no! Choć właściwie, skoro mają tu kapiących złotem lokajów, to nie powinien być zdziwiony, że czarna dziewczyna spokojnie zwraca się do niego jak do równego sobie i przemawia nienaganną angielszczyzną bez śladu gwarowych naleciałości. Jeśli już miałby doszukiwać się jakichkolwiek skaz w jej wymowie, byłby to chyba odrobinę niemiecki akcent. Darcy najchętniej wychyliłby teraz wiadro zimnej wody, żeby spłukać wypite wino, nie chciał jednak opuszczać posterunku i ryzykować, że panna Middleton mu umknie. Miał nadzieję,

że nie będzie się na niego gniewać o to niespodziewane najście. Musiał się z nią ponownie spotkać, porozmawiać... Zaczął się martwić, o czym będą rozmawiać.

Perfy nie miała nic przeciwko jego odwiedzinom, spieszyło ją raczej to, iż zastał ją w roboczej odzieży, czarnej spódnicy i białej bluzce. Wychodząc na ulicę, uzupełniła ten strój szerokim słomkowym kapeluszem, przewiązanym czerwoną wstążką.

- Wygląda pani cudownie - zapewnił ją - tak ładnie i świeżo, podczas gdy ja się pocę w tym grubym paradnym ubraniu.

- Wobec tego niech pan zdejmie surdut.

Miał ochotę ulec pokusie, ale mężnie ją zwalczył.

- Nie mogę towarzyszyć damie w samej koszuli.

Roześmiała się.

- I dokądże to zamierza mi pan towarzyszyć?

- A dokąd pani sobie życzy?

- Do domu. Jestem zmęczona.

- A zatem do domu. Prowadź, czarodziejko.

- Chłodniej będzie, jeśli pójdziemy przez park - stwierdziła. - O ile to panu odpowiada, panie Buchanan.

- Proszę mówić do mnie Darcy. \$~a propos, co to za imię: Perfy?

- Zdrobnienie do Perfection. Moi kochani rodzice wyczytali je w jakiejś gazecie i obdarzyli nim swe dziecko.

- Podoba mi się to imię. Pasuje do pani.

- Wszyscy tak mówią. - Skręcili w ulicę; Perfy zerknęła na niego z łobuzerskim uśmiechem. - W końcu oznacza "doskonałość", czyż nie? Nie wypada im mówić, że do mnie nie pasuje.

Ujęła go pod ramię; uważnie patrząc pod nogi, szli błotnistą, rozjeżdżoną drogą, prowadzącą w stronę ogrodów botanicznych.

- Słyszałam, jak mówili w kuchni, że jest pan na przyjęciu - podjęła. - Chciałam się zamienić z jedną z usługujących do stołu dziewcząt, ale ona się nie zgodziła.

- Dlaczego chciała pani to zrobić? - W głosie Darcy'ego dało się słyszeć ledwie uchwytnie wyzwanie.

- Och, sama nie wiem... Na przykład po to, żeby dać panu sójkę w bok. Albo patrzeć, jak pan rozsypuje cukier.

Darcy wybuchnął śmiechem.

- Przypuszczała pani, że ją odszukam?

- Miałam taką nadzieję.

Uwielbiał ją. Uwielbiał tę szczerą, otwartą dziewczynę, która mówiąc do niego, patrzyła mu prosto w oczy. Nie było w niej ani krzty głupiej, pretensjonalnej kokieterii. Do tego była zabawna. I, o Boże, taka śliczna - nawet gdy miała włosy ulizane pod kapeluszem.

- Jak długo pracuje pani w domu gubernatora?

- Już dwa lata.

- Lubi pani tę pracę?

- Nieszczęśliwie.

- Dlaczego?

- A czy pan chciałby sprzątać cudze pokoje przez siedem dni w tygodniu?

Darcy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wątpię, czybym się do tego nadawał. Choć dla młodej panny... myślę, że to chyba niezła praca.

- Nudna i nisko płatna - oświadczyła Perfy. - Pokojówki w hotelach zarabiają dużo więcej od nas. To naprawdę świństwo. Ci ludzie uważają, że praca dla nich to zaszczyt.

- Myślałem, że osoby o takiej pozycji hojniej wydają swoje pieniądze.

- Nasze pieniądze - poprawiła go.

- Co?

Perfy przystanęła.

- Panie Darcy! Chyba nie sądzi pan, że ich ekscelencje płacą z własnej kieszeni za utrzymanie tego pałacu i rozrywki w wielkopańskim stylu?

- Nie, rzeczywiście, chyba nie. Ale z drugiej strony, panno Perfy, gubernator stanu musi przecież żyć na poziomie odpowiednim do swego stanowiska.

Stała tak blisko niego, że żałował, iż nie ma odwagi jej pocałować. Okazja trwała ledwie chwilę i minęła.

- Niedobrze mi się robi, kiedy o tym myślę - ciągnęła z oburzeniem Perfy. - W tym mieście panuje przerażająca nędza. Imigranci i zbankrutowani poszukiwacze złota lądują tu całymi rodzinami bez grosza przy duszy, do tego gorączka złota sprawiła, że wszystko jest okropnie drogie, ale rząd mimo to żyje po królewsku i wyprawia bankiety dla bogaczy.

- Robią tylko to, czego się od nich oczekuje. Nie zdziałaliby wiele, gdyby przeznaczyli "nasze" pieniądze na bezpłatne garkuchnie dla ubogich.

- Pan się ze mnie śmieje! - fuknęła Perfy, przyspieszając kroku.

Dogonił ją.

- Nic podobnego - zaprzeczył gorąco.

- Ach, jakież w ogóle sens ma ta rozmowa! Zresztą co pan może o tym wiedzieć? Wy, hodowcy, nie macie pojęcia, z czym ludzie naprawdę muszą się borykać.

Darcy'emu przyszły na myśl spieczone równiny pełne zdychającego z pragnienia bydła. Ileż razy musieli dobijać biedne zwierzęta, żeby skrócić ich cierpienie, a potem kopali olbrzymie doły, żeby zmieścić w nich setki sztuk, zakopywali dorobek wielu lat pracy w ziemi twardej jak kamień szlifierski.

- Nikt nie jest wolny od kłopotów, Perfy - rzekł. - Robi pani wrażenie osoby tak radosnej, a mimo to chyba nie jest pani szczęśliwa. Dlaczego?

Perfy podeszła do parkowej ławki.

- Nie wiem. Chyba po prostu ten pałac działa mi na nerwy. Nie chcę jeszcze wracać do domu, czy możemy na chwilę usiąść?

- Oczywiście. - Usiadł obok niej, wyciągając przed siebie długie nogi. Nie silił się na rozmowę, wystarczało mu, że Perfy akceptuje samą jego obecność. Te chwile ciszy, spędzone z nią wśród zieleni, miały wielką wagę. Przypominały moment, w którym dziki mustang nareszcie się uspokaja i pozwala do siebie zbliżyć. Kiedy można wyciągnąć rękę i pogłaskać go, nie ryzykując, że kopnięciem rozwali ci głowę.

Delikatnie ujął jej dłoń.

- Powiem pani coś - rzekł. - Pewnego dnia podaruję pani pięknego białego konia, na którym będzie pani galopować jak wiatr. Na pewno wtedy poczuje się pani lepiej.

- Tak - podchwyciła - białego bojowego rumaka w kapie i pięknie zdobionej uprzęży, takiego, na jakich jeździli dawniej rycerze. Byle nie kazał mi pan wkładać zbroi - zachichotała. - Trochę na to za gorąco.

- Zrobione - rzekł.

- Obiecuje pan?

- Obiecuje.

- Och, do diabła - sposepniała. - Znów zaczyna padać. Mam już dość tego deszczu.

Darcy zdjął surdut i zarzucił jej na ramiona.

- Moja droga panno, jeśli mamy zostać przyjaciółmi, może pani do woli narzekać na gubernatora, ale nigdy na deszcz.

Miasto Brisbane wydawało się teraz ożywione i w dobrym humorze. Krople deszczu wystukiwały na blaszanych lub łupkowych dachach radosny rytm. Mężczyźni i kobiety biegli ze śmiechem, żeby schronić się przed ulewą, konie otrząsały się i rżały z rozkoszą, zza zamglonych okien dobiegały wesołe rozmowy.

Darcy wykąpał się i ubrał wyjątkowo starannie. Większość dnia spędził w stajniach, rozmawiając z innymi hodowcami i nasłuchując nowin, a przede wszystkim oglądając uważnie wystawione na sprzedaż sztuki. W rezultacie kupił medalowego byka i piękne stadko zarodowych ogierów, dużych, silnych zwierząt o inteligentnych oczach. Był z nich bardzo zadowolony i od razu oddał je pod opiekę poganiaczom z Caravale, nakazując, by przez całą drogę do domu pilnie ich strzegli. Uwaga ta nie była w zasadzie potrzebna, byli to bowiem ludzie, na których mógł polegać, dość przy tym rozsądni, by przyłączyć się do innych grup ciągnących na północ.

Dziś znów miał się spotkać z Perfy. Wyszedł na ulicę i zatrzymał dorożkę, nie mógł przecież przechadzać się z dziewczyną po ulicy w ulewnym deszczu.

Kiedy Perfy wyszła z rezydencji, czekał na nią z parasolem. Ujął ją pod ramię i ruszyli biegiem do powozu.

- Darcy, jak to przemyślnie z pana strony - rzekła. - Myślałam, że zmoczy nas do nitki. Proszę mi powiedzieć, skoro pański brat zatrzymał się u gubernatora, dlaczego i pan tam nie zamieszkał?

Darcy zapukał w okno, dając dorożkarzowi sygnał do odjazdu.

- Hm, czy ja wiem... Być może uznałem, że i mnie ten dom będzie działać na nerwy.

Perfy roześmiała się, odrzucając głowę w tył.

- Pan mi dokucza.

- Skoro mamy powóz, pomyślałem, że moglibyśmy się udać na przejażdżkę. Nie widziałem Brisbane od lat. Co pani na to?

- Z przyjemnością. - Oparła się wygodniej.

Darcy żałował, że zamiast tego lepkiego upału nie panuje chłód, bo wtedy mógłby usiąść bliżej i objąć ją ramieniem. Zwykły flirt to co innego, kiedy wszakże człowiek zaczyna traktować to poważnie, każdy jego czyn zawiera pierwiastek paniki. Powóz toczył się wolno wzdłuż George Street. Darcy udawał, że ogląda miasto, lecz w rzeczywistości zbierał odwagę na przeprowadzenie decydującej rozmowy. Być może powinien odłożyć ją na inny dzień, dyskretnie zacisze dorożki było jednak idealnym miejscem na oświadczenie. Już samo to słowo sprawiało, że zaczynał się denerwować. A tam, do licha, zdecydował się nagle. Musi w końcu to z siebie wykrztusić, a im prędzej będzie to miał za sobą, tym lepiej.

- Perfy, czy mogę panią o coś spytać?

- Tak, słucham.

- Hm... Będę w mieście tylko parę tygodni, potem wracam na ranczo. Do Caravale. I Bóg jeden wie, kiedy znów tu zawitam. Tak więc... chciałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

"Tchórz! - pomyślał. - Wycofać się w takiej chwili!"

- Myślałam, że już jesteśmy przyjaciółmi.

- Świetnie. Bardzo się cieszę. Myślałem jednak o czymś więcej. Byłbym zaszczycony, gdyby rozważyła pani możliwość poślubienia mnie.

Zaskoczył ją całkowicie. Niebieskie oczy przyjrzały mu się uważnie.

- Trochę to niespodziewane... - bąknęła niepewnie. - Prawie mnie pan nie zna.

- Istotnie. Przykro mi, że wprowadziłem panią w zakłopotanie... - Darcy nagle potrząsnął głową. - Nie, to nie tak. Myślę jedno, a mówię co innego. Prawda jest taka, że się zakochałem i nie chcę odjeżdżać stąd bez pani.

Perfy wygładziła spódnice i przyjrzała się swoim dłoniom.

- Owszem, wprowadził mnie pan w zakłopotanie - szepnęła. - Młoda dama powinna w takiej sytuacji rzec: "Muszę to przemyśleć" i po pewnym czasie dać panu odpowiedź, ale obawiam się, że w tym czasie będzie pan już w drodze powrotnej do domu.

- To prawda. Można to uznać za szczególny przypadek.

- Tak... - Przynęła się bliżej. - Naprawdę nie odjechałby pan beze mnie?

Patrzył na nią przez chwilę, nim zrozumiał. Roześmiał się.

- Nie widzę takiej możliwości - rzekł i pocałował ją.

W ów wtorkowy wieczór świat był cudownym miejscem dla zakochanych. Układali plany w dorożce, sunącej powoli przez dolinę i dalej, brzegiem Breakfast Creek, aż do samego końca bitej drogi.

W powietrzu unosiła się mgiełka, pozostałość deszczu, który w końcu ustał. Arogancki perłowozielony kawałek nieba wyrzwał spomiędzy chmur jak diabełek z pudełka albo twarzyczka dziecka, zarazem łobuzerska i niewinna, zupełnie nie na miejscu w posępnym dramacie burzy. Ciemne złowieszcze chmury zsunęły się pośpiesznie niczym zakurzona kurtyna i zakryły niebo.

Stwierdzenie, iż rodzice byli zaskoczeni, byłoby grubym niedopowiedzeniem. Kiedy Perfy oznajmiła im, że zdecydowała się poślubić mężczyznę, którego zna od dwóch dni - człowieka, o którym dotąd nawet nie słyszeli - zareagowali mieszaniną najprzeróżniejszych uczuć: oszołomieniem, niedowierzaniem, zmartwieniem, oburzeniem, wreszcie gniewem, który doprowadził do wybuchu nieuniknionej rodzinnej awantury. Perfy uznała, że równie dobrze może im powiedzieć także resztę: ślub odbędzie się za parę tygodni, jak tylko Darcy zdoła wszystko załatwić.

- Co ludzie powiedzą? - biadała Alice. - Pomyślą, że żeni się z tobą pod przymusem!

- Jak mogą tak myśleć? - zdziwiła się Perfy. - Przecież dopiero co go poznałam.

- Boże wszechmogący! - wrzasnął Jack. - Dziewczyno, czy ty w ogóle słyszysz to, co sama mówisz? Nie znasz tego człowieka!

- Owszem, znam. Jest wysoki, przystojny i naprawdę uroczy.

- Uroczy! - wykrzyknęła z irytacją matka. - Włóczył się z tobą po jakichś zaułkach!

- Wcale się nie włóczyliśmy. Odprowadził mnie tylko z pracy do domu.

- To jakiś rolnik, powiadasz. Skąd? - zainteresował się ojciec.

- Posiadłość nazywa się Caravale. Leży, jak mi się zdaje, w pobliżu Bowen. A poza tym Darcy nie jest żadnym rolnikiem tylko hodowcą bydła.

- Co za różnica, u licha? Omamił cię słodkimi słówkami! Czy masz pojęcie, jak wyglądają takie gospodarstwa? To prymitywne samotne chałupy, osaczone ze wszystkich stron przez hordy dzikich krajowców!

Alice zamyśliła się.

- Nie wszystkie, Jack - wtrąciła. - Podobno niektóre domy w tych wielkich majątkach są bardzo eleganckie.

- Owszem, zgadza się: tam, gdzie mają kupę szmalu. To przekłete snoby, powiadam ci. I trzymają się własnej sfery. Oto, co przyszło nam z tego, że pozwoliliśmy córce pracować u wielkich państwa: przewróciło jej się w głowie. Sparzysz się, dziewczyno, i to boleśnie, ja ci to mówię.

Kłótnia przybierała na sile. W końcu Perfy wrzasnęła:

- I tak za niego wyjdę! Jutro Darcy przyjdzie prosić o moją rękę.

- I co, pewnie mam wam dać swoje błogosławieństwo? - pienił się Jack. - Akurat wam na nim zależy! Już mi wyluszczyłaś, ile o nie dbacie!

- Wiem, przepraszam. Ale musisz się z nim spotkać, tato. Polubisz go.

- Czy powiedziałaś mu, jak twoja matka i ja znaleźliśmy się tutaj? Powiedziałaś mu?
- Nie, jeszcze nie. Nie widzę powodu, dla którego miałyby to mieć znaczenie.
- Może jego przodkowie też byli banitami - mruknęła Alice. - Perfy ma rację, Jack.

Nie ma potrzeby grzebać się w przeszłości.

- Nie rozumiem doprawdy, o co robicie taki szum - rzekła Perfy. - Mam zamiar mu powiedzieć.

- Nie sędzę, aby to było mądre, Perfy - wtrąciła pośpiesznie matka. - Kim są jego rodzice? Poznałaś ich już?

- Jego ojciec nie żyje, a matka mieszka na ranczo.
- Jak duże jest to ranczo? - spytał Jack. - I co na nim hodują, kangury?
- Bydło. Prawdę mówiąc, nie wiem, ile mają ziemi.
- Ha! Właśnie! Drobnostka, o której zapomniał nadmienić! Perfy miała tego powyżej uszu.
- Idę spać. Jutro będziesz mógł go o wszystko wypytać.
- Nie będzie mnie w domu - warknął sierżant Middleton.
- Owszem, będziesz - oznajmiła stanowczo jego żona.

Ben Buchanan był wściekły. Nie do wiary! Darcy oświadczył się pokojówce! Na dodatek służącej gubernatora!

- Oszalałeś? Czy może robisz to specjalnie, żeby mnie postawić w niezręcznej sytuacji? Zazdrościsz mi, bo Liley chce poprzeć moją kandydaturę do parlamentu!

- A tak, Liley. Słyszałem co nieco na jego temat. Nie jest zbyt popularny wśród naszych, wiesz? Ma dość radykalne pomysły. Chce zmusić właścicieli ziemskich, żeby oddali wielkie połacie swoich majątków w dzierżawę biednym imigrantom.

- Gdzie słyszałeś te bzdury?

- W halach targowych. Liley może i jest błyskotliwym adwokatem, ale Opatrzność poskaąpiła mu zdrowego rozsądku.

- Mów sobie, co chcesz. To ty zachowujesz się jak osioł, chcąc poślubić tę osobę.

Gdzie ją poznałeś? W knajpie?

Darcy zmarszczył brwi.

- Uważaj, co mówisz, Ben, bo oberwę ci uszy. Poznałem wczoraj jej rodziców. Ojciec jest sierżantem w armii. Bardzo miły człowiek. - Darcy uśmiechnął się na wspomnienie. - Prawdę mówiąc, on także nie był zachwycony, ale ma o wiele lepsze maniery od ciebie.

Wysłuchał mnie, po czym stwierdził, że jego zdaniem postępujemy zbyt pochopnie. Kiedy jednak mu wyjaśniłem, że muszę wracać do Caravale, w końcu wyraził zgodę.

- Ja myślę! Pochwaliłeś się majątkiem? Co powiedziałeś? "A, to tylko stare, maleńkie ranczo hodowlane, ma zaledwie tysiąc mil kwadratowych!" Dziwię się, że nie przykuł cię do krzesła i od razu nie wezwał pastora! Jesteś kurą znoszącą złote jaja, Darcy, wymarzonym łupem dla tego rodzaju kobiet i ich rodzin!

- Skończyłeś?

- Nie. Proszę cię, zastanów się, co chcesz zrobić. Na początek powinieneś uświadomić sobie, że twoja żona nie zostanie przyjęta u gubernatora. - Ben uśmiechnął się złośliwie. - Nie wiadomo, którymi drzwiami miałyby wejść.

- W nosie mam gubernatora. A także to, co ty o tym myślisz. Jeśli nie chcesz być moim drużbą, poproszę Gingera.

Darcy z ulgą spostrzegł, że Ginger właśnie wchodzi do hotelu. Zaprosił obu na lunch w "Victorii", żeby oznajmić im radosną nowinę, nie przypuszczał wszakże, iż Ben zareaguje tak ostro. Ginger nie ośmielił się być równie napastliwy.

Ben milczał ponuro, kiedy jego brat opowiadał o wszystkim przyjacielowi.

- Domyślam się, że Ben nie skacze z radości - zauważył Ginger.

- Lepiej niech pilnuje swego nosa - odparował Darcy.

- Czy mogę ci coś zasugerować? - spytał Ginger. - Skoro oświadczyłeś się pannie Middleton i ona cię przyjęła, jesteście zaręczeni. Dlaczego na razie nie chcesz na tym poprzestać? To całkiem naturalny i rozsądny zwyczaj, że narzeczeństwo trwa rok lub coś koło tego. Naprawdę nie powinieneś poganiać tej dziewczyny, Darcy. Ustalcie datę ślubu na przyszłą wiosnę.

Darcy słuchał cierpliwie, zdając sobie sprawę, że Ginger ma dobre intencje.

- Omówiliśmy już tę możliwość, ale nie chcemy rozstawać się na tak długo. Prawdę mówiąc, w ogóle nie chcemy się rozstawać. Perfy zgodziła się wyjść za mnie tu, w Brisbane, i jechać ze mną do Caravale. O niczym więcej nie marzę. To wspaniała, serdeczna dziewczyna. Bardzo ją kocham i ona mnie też.

- Czy ty to słyszysz? - parsknął szyderczo Ben. - To najbardziej naciągana bajka, jaką w życiu słyszałem. Czekaj, aż matka się dowie, że zamierzasz się ożenić z jakąś cholerną posługaczką. Chyba krew ją zaleje!

Darcy zerwał się i palnął Bena pięścią, przewracając go wraz z krzesłem.

- Ostatni raz wyraziłeś się lekceważąco o Perfy - rzekł, stając nad bratem. - Albo, do cholery, nauczysz się zachowywać przyzwoicie, albo następnym razem wybiję ci wszystkie

zęby. - Odwrócił się do przyjaciela. - Przepraszam cię, Ginger. Mają tu bardzo dobrą kuchnię. Zamówcie sobie lunch, ja stawiam. Muszę się przejść, żeby trochę ochłonić. - Zawahał się i dodał: - Spróbuj wbić trochę rozumu do tego tępego łba mojego braciszka. Ja naprawdę wcale nie muszę bronić Perfy. Sam się przekonasz, jakim jestem szczęściarzem, gdy ją poznasz.

Wyszedł, ignorując zaciekawione spojrzenia pozostałych gości. Kiedy znalazł się na ulicy, nagle dotarło do niego, co powiedział Ginger. Zaręczony! Dobry Boże! Przecież się zaręczył! Powinien był kupić narzeczonej pierścionek i dać go jej wczoraj wieczorem, kiedy Jack Middleton w końcu się ugiął i uściśnął mu dłoń. Polubił ojca Perfy; matka była bardzo nieśmiała, ale też miła. Ładne rzeczy musieli sobie o nim pomyśleć!

Pomaszerował wzdłuż Queen Street, aż znalazł sklep jubilerski. Tam nerwowo obejrzał wszystkie pierścionki, jakie były na wystawie.

- Wezmę ten - orzekł w końcu. - Jeśli rozmiar nie będzie właściwy, czy może go pan dopasować?

- Naturalnie, proszę pana - odparł jubiler.

- A jeśli się nie spodoba, czy będę go mógł wymienić?

- Oczywiście, choć wątpię, by tak się stało. Każda młoda dama byłaby zachwycona, otrzymawszy tak piękny pierścionek.

Darcy przyjrzał się jeszcze raz, by się upewnić.

- Kamienie są prawdziwe, czy tak?

- Ma pan na to moje słowo, sir, są najlepszej jakości. - Jubiler podniósł pierścionek do światła. Duży szafir zalśnił w oprawie z błyszczących diamentów.

- Jest ładny - rzekł Darcy. - Proszę go zapakować.

Perfy była niewiarygodnie szczęśliwa. I zdenerwowana. Złożyła tygodniowe wymówienie w pracy, a następnie pokazała wszystkim swój przepiękny pierścionek zaręczynowy. Nawet hrabina zeszła na dół, żeby go obejrzeć.

- Wielkie nieba! - rzekła, unosząc ciemne brwi, po czym dodała: - Uważaj, żebyś go nie zgubiła. - Jak gdyby Perfy była głupim dzieckiem, którego nie można spuścić z oka!

Matka z pomocą swoich przyjaciółek szyła jej suknię ślubną, kompletowała także resztę wyprawy: stroje codzienne i wizytowe, nocne koszule i bieliznę. Ponieważ w czasie gdy Perfy kończyła pracę, wszystkie sklepy były już zamknięte, panna młoda niewiele miała do powiedzenia w tej materii. Składając wypowiedzenie, popełniła błąd: powinna była odejść z dnia na dzień, ochmistrzyńi przekonała ją jednak, by została, dopóki nie zatrudnią kogoś

na jej miejsce. Oczywiście, było nie do pomyślenia, aby utarty porządek w pałacu mógł ulec zakłóceniu. Wieczorami Perfy musiała stać bez ruchu, podczas gdy szwaczki upinały na niej suknie jak na krawieckim manekinie. Panie były jeszcze bardziej podekscytowane od niej.

Pierścionek wprowadził je w zachwyt, który sięgnął zenitu, gdy odkryły, iż młodzi Buchananowie są bogatymi hodowcami bydła, Caravale zaś - jednym z największych majątków na północy.

- Dziewczyna dobrze ustawiła się w życiu, Alice - powtarzały bez ustanku, aż Perfy poczuła się zażenowana tymi uwagami i zmęczona entuzjazmem matki.

- Zawsze chcieliśmy mieć gospodarstwo - mówiła Alice. - A teraz nasza Perfy zamieszka na pięknym ranczu. Darcy, jej narzeczony, to taki kochany chłopak! Powiada, że możemy przyjeżdżać, kiedy tylko zechcemy, i siedzieć tak długo, jak nam się spodoba!

Jack Middleton przyjmował to z uśmiechem.

- To wszystko przez ciebie, Perfy - chichotał. - Pozwól paniom, niech się nacieszą.

Darcy postanowił, że przyjęcie weselne odbędzie się w hotelu "Victoria". Jack wziął go na stronę.

- Przykro mi, synu, ale nie stać mnie na to. Planowałem urządzić przyjęcie w domu. Alice przygotowałyby dania.

- Nie, Jack, to ja was zapraszam. Zabieram wam córkę, więc przynajmniej odwdzięczę się dobrym poczęstunkiem. Poza tym zostało niewiele czasu, a pani Middleton i tak ma mnóstwo pracy.

- Jeśli jesteś pewien, że to wypada... - zawahał się Jack.

- Oczywiście że tak. Aha, chłopcy wyprawiają mi wieczór kawalerski w gospodzie Carmody'ego obok portu. W sobotę wieczorem, w przeddzień ślubu. Mam nadzieję, że przyjdiesz?

Jack potrząsnął głową.

- Nie gniewaj się, Darcy, ale raczej nie. Jestem trochę za stary na takie imprezy. Wy, młodzi, bawcie się dobrze.

Później, w obliczu tragedii, która uwieńczyła ów wieczór, Jack gorzko sobie wyrzucał, że nie przyjął zaproszenia. Wysoko cenił Darcy'ego, widział w nim syna, którego się nie dochował. Przypadł mu do serca ten młody człowiek - uczciwy, sympatyczny i prawdziwy dżentelmen. Jack jednakże znał życie i nie chciał się narzucać.

Dla Perfy ostatni tydzień w pracy ciągnął się upiornie, lecz gdy dobiegł końca, miała wreszcie czas, by się rozejrzeć, zastanowić nad tym, co się wokół dzieje, a nawet pójść na

przechadzkę nad rzekę i usiąść pod urokliwym baldachimem swojej ulubionej płaczącej wierzby. Rozmarzona, płała się w luksusie, jakim były dla niej te chwile. Miała uczucie, że lada moment się skończą, znów będzie musiała wstawać o piątej i gnać przez całe miasto do roboty, i tak przez całą wieczność.

Darcy wpadł ją odwiedzić.

- Ja już jestem gotowy, teraz musimy wyposażyć ciebie.

- Co masz na myśli? Mama przygotowuje mi wyprawę.

- Wiem, w garderobie wre jak w ulu, ale nawet Alice nie potrafi uszyć butów do konnej jazdy. Pomyślałem też, że pewnie zechcesz sobie kupić amazonkę. Drogę z Bowen do Caravale przebędziemy konno. Powozy są zbyt wolne i niewygodne. Potrafisz jeździć konno?

- Oczywiście.

- Po damsku?

Perfy zawahała się. Nie cierpiała jeździć po damsku, lecz wiedziała, że inaczej nie przystoi.

- Wolisz jeździć po męsku?

- Jeśli to możliwe...

- Oczywiście że możliwe. Pytam, bo wiele pań jeździ teraz po męsku i dlatego kupują sobie bardzo sprytne spódnico-spodnie. To rozwiązuje problem. Sprzedają je w sklepie u Harveya, jak zresztą wszelki rynsztunek jeździecki. Chciałabyś rzucić okiem?

- Darcy, ja nie mogę sobie pozwolić na kupno takich strojów.

- Nie "ja", kochana. My. Na północy nie sposób dostać tego rodzaju rzeczy, a ponieważ będą ci potrzebne, musimy je kupić teraz. Mam rację?

Nie była tego pewna, ale to on decydował. Zabrał ją do Harveya, gdzie pysznie się bawiła, wedle jego rad kupując "wsiowe ciuchy", jak je nazywał. Zauważyła, że zamiast zapłacić gotówką, podpisał tylko rachunek i polecił odesłać zakupy do domu Perfy.

Po wyjściu ze sklepu wstąpili jeszcze do kancelarii prawniczej Jauncy'ego i Bascombe'a. W rozkosznie chłodnym biurze Perfy została przedstawiona Henry'emu Jauncy'emu, starszemu panu z łysiejącą głową i jasnym gęstym wąsem, który z uśmiechem uściskał jej rękę.

- Jestem wielce rad, że mogę panią poznać, panno Middleton. Gratuluję ci, Darcy. Masz doprawdy szczęście, trafiając pod pantofel takiej pięknej dziewczyny.

Darcy rozpromienił się.

- Przy niej się usatkuję, to fakt. - Zwrócił się do Perfy. - Czy nie pogniewasz się, jeśli zostawię cię tu na chwilkę? Muszę podpisać pewne dokumenty. Zaraz wrócę.

Usiadła pod wielkim ozdobnym zegarem na wypolerowanej ławce, przypominającej bardziej kościelną stallę niż normalne siedzenie. Dla zabicia czasu zaczęła się przyglądać pogrążonym w pracy urzędnikom. Ciekawe, co takiego notują w tych wielkich księgach? Może informacje o przestępcach i rabusiach? A może po prostu spisują klauzule długich skomplikowanych umów dzierżawnych, o których opowiadał jej Darcy.

Zgodnie z obietnicą wrócił po krótkiej chwili, a pan Jauncy odprowadził ich aż do drzwi.

- Nie mogę się już doczekać niedzieli - powiedział. - Moja żona także. Uwielbia wesela.

- Teraz, moja miła - rzekł Darcy - odwaliliśmy robotę, więc idziemy na lunch. Zaprosiłem Gingera Butterfielda i Bena. Chcę, żebyś ich poznała. Ginger będzie moim drużbą. Wiem, widziałaś już ich przelotnie, ale dziś zostaną ci oficjalnie przedstawieni.

Perfy zastanawiała się w duchu, dlaczego drużbą Darcy'ego nie został jego brat. Cóż, ostatecznie to pan młody wybiera. Ona sama prosiła na druhnę Amy Campbell, lecz Amy z nieco kwaśną miną oświadczyła, że w tę właśnie niedzielę wyjeżdża z rodzicami, Perfy zwróciła się więc do Laury Stibbs - obecnie już szacownej pani Gooding - która z radością zgodziła się pełnić obowiązki weselnej starościny.

Perfy nigdy nie była w wielkim hotelu. "Victoria" wydała jej się nazbyt przeładowana ozdobami, pełno tam było lamowanych złotem portier z czerwonego aksamitu i szerokich, także czerwonych chodników, biegnących wzdłuż korytarzy i krzyżujących się w holu. Zachichotała nerwowo, krocząc takim chodnikiem czuła się, jakby szła na audiencję do króla. Nie cieszyła się zbyt na spotkanie z Benem i Gingerem. Bała się, że będą ją traktować z góry, jak bezczelną uzurpatorkę.

Ginger czekał już przy stoliku. W restauracji było tłoczno, lecz zauważył ich z daleka i wstał na powitanie. Wyrażał się z przesadną wręcz elegancją, mimo to Perfy natychmiast go polubiła. Nie było w tym nic dziwnego, zachowywał się ujmująco, bez żenady prawil jej komplementy, sprawiając, że i ona poczuła się swobodniej. Zamówił szampana z lodu na cześć szczęśliwej pary.

- Jeszcze nigdy nie piłam szampana - przyznała się Perfy.

- Tym lepiej - odrzekł Ginger. - Uwielbiam, kiedy ludzie próbują nowych rzeczy. Proszę zatem skosztować i powiedzieć, jak pani smakuje.

Perfy podniosła do ust kryształowy kieliszek.

- Pyszny!

- Znakomicie! - rozpromienił się Ginger. - A zatem do dzieła, Darcy, stary druhu. Byłbym niepokieszony, gdybym musiał odesłać tę butelkę.

Wypili szampana, a Bena wciąż nie było. Zamówili więc dania, nie czekając na niego.

- Cały Ben, zawsze się spóźnia - bąknął Darcy.

- Och, znasz go przecież - przyszedł mu w sukurs Ginger - ostatnio tak się rozpolitykował, że zapomina o bożym świecie.

Podano zupę, potem ostrygi i pieczone kurczę, potem znów szampana, Ben wszakże nadal się nie pojawiał. Co prawda i bez niego świetnie się bawili; Ginger i Darcy docinali sobie bezlitośnie, opowiadając urocze, zabawne historyjki z czasów swego dzieciństwa. Mimo to Perfy czuła rosnące napięcie.

- Czy coś się stało? - zapytała.

Darcy potrząsnął głową, zaciskając usta.

- Oczywiście że nie - zapewnił ją Ginger. - Ben pewnie o nas zapomniał, lecz bynajmniej mi go nie brakuje. Pudding jest wyśmienity, nie sądzicie?

Perfy zerknęła na niego sceptycznie. Była zaręczona z Darcym już od dziesięciu dni, a Ben dotąd się nie pokazał. Kto wie, czy celowo jej nie unika. Przeszły ją ciarki na myśl o spotkaniu z panią Buchanan ową wielką damą mieszkającą na ranczo. Jeśli nawet Ben jej nie akceptuje, jak odniesie się do niej teściowa?

Lunch przebiegł jednak w miłej atmosferze; Ginger sięgnął szczytów jako dusza towarzystwa, od innych stolików także podchodzili znajomi, gratulowali Darcy'emu, podziwiali urodę jego narzeczonej i prawie wszyscy zapraszali ich z wizytą. Było to naprawdę ujmujące. Darcy patrzył na Perfy urzeczony, pewien, iż dziewczyna nie ma nawet pojęcia, jak prześlicznie wygląda, jak cudownie skrzą się jej szafirowe oczy, gdy się śmieje. Widział, jak spoglądali na nią inni ludzie. Kobiety uśmiechały się ze szczerą aprobatą, mężczyźni zaś trącali go w bok, mówiąc: "Szczęściarz z ciebie, łobuzie!" Starsza pani Partridge oznajmiła: "No, no, alez tworzycie piękną parę! Będziecie mieli śliczne dzieci, więc nie traćcie czasu!"

Właściwie Darcy był zadowolony, że Ben się nie zjawił i nie zepsuł przyjęcia. A to drań! Nie wysilił się nawet na prezent zaręczynowy, jakkolwiek przejaw dobrej woli w stosunku do Perfy. Darcy przysiągł sobie, że jeśli Ben pozwoli sobie na kolejny afront, ukreśli mu ten cholerny łeb.

- Nic nie mówisz - zauważyła Perfy, gdy odprowadzał ją do domu.

- Trzeźwieję - zaśmiał się.

- Ach, tak. Darcy, chciałabym ci coś powiedzieć.

- Zmieniłaś zdanie? - zązartował.

- Nie bądź niemądry. Chodzi o to, że... czy wiesz, że moi rodzice zostali wygnani z Anglii? Przybyli do Sydney jako banicy wiele lat temu.

- Nie, nie wiedziałem o tym - skłamał. Ben oczywiście wykopał gdzieś tę informację, stała się przyczyną jeszcze jednej kłótni. - Czy to cię martwi?

- Mnie? Nie. Pomyślałam tylko, że powinnam ci o tym powiedzieć.

- No więc powiedziałaś, ale i tak ich lubię, więc nie myślę zamieniać ich na innych. Podobno mój pradziadek był piratem, krwawym okrutnikiem, który rabował statki u wybrzeży Tasmanii.

- Jakie to podniecające!

- Tak, ale nie wspominaj o tym mojej matce. Niezbyt jej to imponuje.

- Skąd pochodzi?

- Ze Szkocji. Co prawda o Szkocji także nie chce rozmawiać. Z tego co wiem, przyłynęła tutaj jako młoda panna w odwiedzinach do swojej ciotki. Poznała Teddy'ego, mego świętej pamięci ojca, i pobrali się. Mam wrażenie, że jej rodzina była dość zamożna, bo ojciec zawsze mawiał, że kiedy ją poznał, była śliczna i bardzo elegancko ubrana, co nie było takie znów częste w Sydney w tamtych czasach. Czymkolwiek jednak zawiniła wobec niej szkocka rodzina, Cornelia nigdy im nie wybaczyła. Do dziś Szkocja dla niej nie istnieje.

- Ma na imię Cornelia? Bardzo ładnie.

- Chyba tak, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. - Darcy wzdrygnął się. Matka potrafiła okazać, że coś się jej nie podoba, a zważywszy, że Ben nie omieszka dolać oliwy do ognia, Perfy może mieć z nimi poważny problem. On sam nie będzie mógł spędzać całego czasu w domu i pilnować, żeby jej nie dręczyli. Na ranczo tak wielkim jak Caravale zarówno on, jak i Ben wiele czasu spędzali poza domem. Bywało, że nie wracali i przez tydzień, zwłaszcza gdy kontrolowali ogrodzenia albo piętnowali bydło. Zawsze było tyle pracy! Często zostawali na noc w stanicach brygadzystów, kilkadziesiąt mil od domu. Darcy zdecydował, że od razu zbuduje dom dla siebie i Perfy. Póki jeszcze jest w Brisbane, skorzysta z okazji i zaopatrzy się w plany.

- O czym tak dumasz? - spytała. - Dam grosik za twoje myśli.

- Buduję w myślach nasz dom - odparł. - Musimy mieć własny dom, miejsce, gdzie będziemy sami. Już nawet wiem gdzie; będziemy mieli pyszną zabawę, planując wszystko

od podstaw, dokładnie tak jak chcemy. Każę zacząć roboty, jak tylko przyjedziemy do Caravale.

Zobaczył, że na twarzy Perfy odmalowała się ulga. Objął ją.

- Wszystko będzie dobrze, kochana. Nie ma się czym martwić.

Ben Buchanan z czterema kolegami grał w karty na zapleczu oberży Carmody'ego. W miarę jednak jak w butelkach whisky pokazywało się dno, stopniowo tracili zainteresowanie grą, przejawiali natomiast coraz większy entuzjazm dla nowego pomysłu Bena. Kawalerski psikus, to będzie bomba! Najlepszy w historii!

Dawid Cran nie był tego taki pewien.

- Naprawdę zamierzasz to przeprowadzić, Ben?

- Tak. Ten kawał zaćmi wszystkie poprzednie.

- Nie uważasz, że jest nieco przesadny?

- I kto to mówi? - wtrącił się Clive Jenkins. - Facet, który tuż przed ślubem skąpał Craiga Bottomleya w bielidle.

- Byłem pijany. Ale porwać Darcy'ego... Jezu, facet nas zabije! Nie, na mnie nie liczcie. - Dawid wziął surduty i niepewnym krokiem skierował się ku drzwiom. - Dziękuję, bawcie się sami.

- Trzymaj dziób na kłódkę! - zawołał za nim Clive. - A zwłaszcza nie mów nic Gingerowi, ostatnio zrobił się z niego straszny sztywniak.

- Będę milczał jak grób - obiecał Dawid. - Słowo honoru.

Clive czknął głośno.

- Przepraszam was, panowie. Nie zapominajmy, że to Ginger i jego kumple złapali męża Fiony Kendall, tego, jak mu tam, i przywiązali go na golasa do drzewa w buszu. Gdyby nie natknęli się na niego jacyś czarni, pewnie tkwiłby tam do dzisiaj.

Neville Roberts parsknął śmiechem.

- Tak, pamiętam. Ginger był wściekły, bo sam chciał się żenić z Fioną. - Neville sięgnął po następną butelkę. - I powinien był się z nią ożenić. Fiona popełniła głupstwo, wychodząc za zarządcę. Kendallowie nigdy się z tym nie pogodzili.

- A jak myślisz, co poczuje moja matka, kiedy Darcy sprowadzi do domu tę swoją pokojówkę? - wtrącił Ben. - A potem się dowie, że jej rodzice to więzienne ptaszki? Chłopak całkiem zwariował!

Piątym członkiem zgromadzenia był Les Stohr z rancza Tambaroora pod Rockhampton. Les bawił się w Brisbane jak nigdy dotąd i uważał, że miał szczęście,

trafiwszy na Bena Buchanana. Ben przedstawił go wszystkim ważnym osobom, zabierał na przyjęcia do majątku Russellów, a raz nawet do gubernatora. Najwyraźniej ze wszystkimi był tu za pan brat i całe miasto zdawało się należeć do niego.

- Nie rozumiem tego Darcy'ego - pokręcił głową Les. - Słyszałem, że Kitty Kendall ma na niego chrapkę.

Clive gwizdnął przez zęby.

- Kitty Kendall? To dopiero kąsek!

- Nie rozdrapujcie mi ran - jęknął Ben. - A co na to ten osioł? Wpada w bagno po uszy, oświadczając się tej awanturnicy na pierwszej randce.

- Na pierwszej randce? - Neville zamrugął zmętniałymi oczyma.

- Zgadza się - rzekł Ben. - Teraz nie potrafi z tego wybrnąć. To cholerne wesele to jeden wielki skandal. Darcy żeni się z pokojówką, starościna zaś ma być córka Stibbsa, wicie, tego kowala. Bóg jeden wie, jaka jeszcze hołota się zwali. Cieszę się, że matki nie ma w mieście.

- Powinieneś żałować, że jej tu nie ma - rzekł Les. - Od razu zrobiłaby z tym porządek.

- Tak, chyba masz rację - zgodził się Ben. - Dlatego my musimy coś przedsięwziąć, ot, choćby spłatać mu takiego figla i dać czas na wypłatanie się z kabały.

- Podsunąć wymówkę - dodał Clive.

Neville nie był w stanie pojąć, w czym leży problem.

- Dlaczego po prostu sam się nie wycofa, nie powie jej, że sprawy idą trochę za szybko? W ostateczności mógłby jej przecież zapłacić, żeby się odczepiła? Chyba nie zrobił jej jeszcze bachora, co?

- Nie, nic z tych rzeczy - rzekł Ben. - Po prostu dał się zapędzić w kozi róg i teraz mu się zdaje, że powinien postąpić po rycersku. - Przeczesał dłonią spocone włosy - Chryste, ale tu gorąco.

- Napij się wina - poradził mu Neville. - Ta whisky jest do luftu. Boli mnie po niej głowa. Więc jaki jest plan, Ben? Wyłuszc nam go jeszcze raz od początku.

- Plan jest prosty. Kiedy skończy się popijawa, łapiecie Darcy'ego, wiążecie i dostarczacie na pokład "Louise". To statek przybrzeżny, wychodzi w morze wczesnym rankiem w niedzielę. Rozmawiałem już z kapitanem, wszystko jest przygotowane. Wysadzą go w Rockhampton...

- Chwileczkę - przerwał Neville. - Nie będzie łatwo obezwładnić Darcy'ego.

- Chryste, Nev, was będzie trzech, a on jeden. Les jest silny jak byk.

Les wyszczerzył zęby.

- To akurat nie problem. A co ty będziesz robił, Ben?

- Ja będę czekał na was na statku. Tam po prostu wrzucimy chłoptasia do kabiny, którą dla niego zarezerwowałem.

- Nie zdąży na ślub - zarechotał Neville.

- I o to właśnie chodzi - wyjaśnił Ben. - W końcu to tylko kawał; jeśli jest aż tak bardzo zakochany, może wrócić i wziąć z nią ślub, nic już na to nie poradzimy. Ale przynajmniej damy mu szansę jeszcze raz wszystko przemyśleć, bez ciągłej presji, jaką wywiera na niego ta dziewczyna. Jeśli otrzeźwieje i dojdzie do wniosku, że małżeństwo z nią to nie najlepszy pomysł, ma idealne wyjście z sytuacji. Po prostu pojedzie do domu.

- Uważam, że plan jest znakomity - rzekł Clive. - Świetny, jak pragnę zdrowia! I nikomu nie stanie się krzywda. W gruncie rzeczy, tak sobie myślę, oddamy mu prawdziwą przysługę.

Im dłużej o tym rozmawiali, tym większa ogarniała ich wesołość.

Wieczór kawalerski w oberży Carmody'ego nie zaczął się zbyt przyjemnie, chociaż Tom Carmody zadał sobie wiele trudu, aby zadowolić trzydziestu młodych dżentelmenów zebranych w Sali Kupieckiej. Przygotował moc zakąsek i zgodnie z instrukcją dostarczył pełen wybór swych najlepszych trunków w odpowiedniej ilości, a ponadto jeszcze parę beczulek piwa. Upewnił się też, że otrzyma zapłatę, nalegając, by Ben Buchanan uścił ją z góry. Carmody widział już w życiu dość takich przyjęć, by wiedzieć, że pijani w sztok biesiadnicy rozchodzą się cichcem, restaurator zaś musi potem ścigać dłużników.

Gdy tylko Ben wszedł do sali, Darcy stanął przed nim z rozwścieczoną miną.

- Gdzie się ukrywałeś?

- Nie ukrywałem się, byłem zajęty. Spotykałem się z wieloma ważnymi osobistościami tego miasta, podczas gdy ty uganiałeś się za spódniczkami. Z przykrością zauważam, że nie byłeś mi zbyt pomocny.

- Nie wykręcaj się. Jawnie ignorowałeś Perfy. Powiniennem cię porządnie sprać, ty mały gnojku.

- Panna Middleton jest czarująca - wtrącił Ginger. - Przemiała dziewczyna, na pewno ją polubisz. Szkoda, że nie miałeś czasu, by ją poznać.

- Ależ była taka okazja - wycedził Ben. - Sprzątała nasze pokoje w domu gubernatora, nie pamiętasz?

- Ty podły draniu - warknął Darcy.

- A co, mam udawać, że jej tam nie widziałem? Jesteś zbyt drażliwy, braciszku. Sam dopraszasz się o kłopoty. Wyskakujesz z tym ślubem jak Filip z konopi i oczekujesz, że wszyscy będą się nad tobą rozczulać. A do tego jeszcze rzucasz się jak wściekły! Na temat twojego małżeństwa mam do powiedzenia tylko tyle, że nie powinienes być się tak z nim spieszyć. Jeżeli okaże się nieudane, będziesz mógł przeklinać wyłącznie swój zły los.

Inni goście jowialnie ściskali Darcy'emu dłoń i składali gratulacje. Zastanawiał się, czy naprawdę jest zbyt drażliwy. Może Ben ma w tej kwestii nieco racji, co do reszty jednak się myli. Kocha Perfy, czas nie robi tu żadnej różnicy. Choćby dziś; żał mu każdej chwili spędzonej z dala od niej, ale musi tkwić na tym przyjęciu. Należy jednak oddać sprawiedliwość Benowi - zrobił ten gest, by uczcić jego wesele wraz z przyjaciółmi.

Darcy westchnął. Trzeba zająć się gośćmi.

- Komu szampana? - zawołał.

Po kolacji pianista intonował znane piosenki, biesiadnicy zaś ochoczo włączyli się do chóru. Trzy baletnice w skąpych orientalnych kostiumach, przybyłe specjalnie z Królewskiego Teatru, zaprezentowały zgromadzonym panom egzotyczne tańce, a potem zostały, by wziąć udział w zabawie. Początkowy oficjalny nastrój szybko przerodził się w hałaśliwą wesołość. Darcy także świetnie się bawił. Było to wspaniałe pożegnanie z wolnym stanem, najlepszy kawalerski wieczór, w jakim kiedykolwiek brał udział. Nie przejął się, gdy zaczęło mu szumieć w głowie, chociaż pośród niezliczonych toastów zauważył tu i ówdzie ukradkowe poszturchiwania i stłumione chichoty. Zastanawiał się, jaki kawał mu szykują. Zawsze przy takich okazjach dręczono biednego durnia, jakim był przyszły żonkoś; bogaty repertuar zwariowanych dowcipów obejmował na przykład publiczne ściągnięcie portek albo kąpiel w nadmanganianie potasu, przez co skóra delikwenta barwiła się na fioletowo. Tym razem wszakże kawalarze nie dopną celu. Darcy miał się na baczności. Zwolnił tempo picia, by nie stracić przytomności umysłu.

Nad ranem goście zaczęli chwiejnie wytaczać się na dwór. Ktoś zwymiotował i siłą wyrzucono go z sali. Ginger usnął pod stołem z głową wspartą na piersi innego biesiadnika, a pijany pianista leżał na instrumencie.

Dziewczęta zniknęły; rozglądając się po pobojuwisku, Darcy stwierdził, że Ben także poszedł.

- To by było na tyle - rzekł do ostatnich trzech gości, którzy jeszcze trzymali się na nogach: Clive'a, Neville'a i niedźwiedziowatego Lesa Stohra. - Pora spać.

Wraz z tą trójką wyszedł na tylne podwórze, żeby opróżnić pęcherz, potem zaś zgodził się pomóc Clive'owi w osiodłaniu konia.

Wówczas to skoczyli na niego, śmiejąc się niczym wariaci. Darcy zdał sobie sprawę, że to właśnie jest kawał, przed którym miał się strzec.

- O nie, nic z tego! - zawołał. Kątem oka spostrzegł, że Clive trzyma linę. - Cokolwiek zamierzacie - wrzasnął, usiłując się wyrwać - i tak wam się nie uda. No, puście mnie!

W swej determinacji, żeby wziąć nad nim górę, stawali się coraz bardziej bezwzględni i szamoczącego się z nimi Darcy'ego zaczęła ogarniać złość.

- Odczepcie się! - syknął, zgrzytając zębami, i chwycił Clive'a za włosy. Clive w rewanżu zdzielił go pięścią.

Wielki Les złapał go wpół, lecz Darcy mu się wyszarpnął, pomagając sobie kopniakiem. Z zadowoleniem usłyszał, że Neville wrzasnął z bólu. Potem ktoś uderzył go w bok głowy. Był to silny cios, który nie miał już nic wspólnego z żartami, Darcy więc obrócił się i zaatakował. I od tej chwili głupi incydent przekształcił się w autentyczną bijatykę.

Darcy solidnie wziął się do roboty. Powalił na ziemię Clive'a, Neville kopnął w jądra, w mroku rozległy się wrzaski i przekleństwa. Wciąż jednak na niego nacierali, boksowanie Lesa przypominało bicie cysterny na wodę. Walka toczyła się już bez pardonu. Darcy miał krew na rękach, rozkwasił komuś nos. Był pewny, że zaczyna zyskiwać przewagę, że lada moment uwolni się i będzie mógł zwiać, kiedy coś ciężkiego wyrznięło go w potylicę. Runął na ziemię pod ścianą oberży, trafiając głową prosto w kamienną obmurówkę szamba. Przez kilka sekund nie mógł złapać tchu, czuł, jak krew ścieka mu po twarzy. Niech no tylko złapie oddech, wstanie i naprawdę spuści baty tym draniom. W końcu udało mu się wciągnąć w płuca odrobinę cennego powietrza. Wydał z siebie przeciągłe, ostatnie westchnienie.

Jack Middleton, który spędził tę noc na wachcie w koszarach, słyszał o bójce pod oberżą.

W tym mieście nie było to niczym nadzwyczajnym, bijatyki zdarzały się co noc, ale ponieważ tam właśnie odbywało się kawalerskie przyjęcie Darcy'ego, postanowił w drodze powrotnej wstąpić do policyjnego aresztu. Darcy mógł znaleźć się w gronie młodzieńców zgarniętych przez gliny.

"Nie mogę dopuścić, żeby mój zięć siedział za kratkami - powiedział sobie Jack. - Jeśli jest między nimi, szepnę słówko do właściwego ucha i wyciągnę go stamtąd, zanim sędzia wstanie z łóżka".

Kukabury, wielkie australijskie zimorodki, skrzeczały i pohukiwały na niego z wysokich drzew kauczukowych. Nazywano je także "budzikiem Buszmena" i Jack zawsze się cieszył, słysząc je podczas nocnej warty, oznaczało to bowiem, że służba zbliża się do końca. Odzywały się pierwsze, ich pokrzykiwania rozbrzmiewały dokładnie na pół godziny przed świtem, jak w zegarku. Koguty nie miały przy nich nic do powiedzenia.

Następnie dopiero budziły się kruki i miodojady, każde witając dzień na inną modłę. Duże ptaki śpiewające, jak srokacze i dzierzbowrony, czekały na światło dnia. Jack doszedł do wniosku, że lubią mieć krąg słuchaczy. Uśmiechnął się. Jedynym, co dodawało uroku temu nieokrzesanemu miastu, były ptaki. Kochał ptaki. Tam, w głębi lądu, na ranczo Darcy'ego gnieździ się pewnie więcej gatunków ptaków, niżby człek umiał zliczyć. Nie mógł się już doczekać, kiedy znajdzie się w prawdziwym buszu, choć w domu głośno się do tego nie przyznawał.

Dziwne, jak się wszystko potoczyło. Miły facet, ten Darcy; Jack miał nadzieję, że Perfy docenia swoje szczęście, często jej to powtarzał. Spoglądając zaś wstecz, błogosławił

sędziego, który zesłał ich do tego kraju. Nie wiedział, jaką przysługę wyświadcza Middletonom.

Konstblem na służbie był Gunner Haig.

- Słyszałem, że u Carmody'ego była jakaś rozróżba - zagał Jack. Podobno zgarnął paru chłopaków.

- Tak. Tym razem pogłupieli synowie ranczerów. Co prawda w tej chwili nie są tacy bojowi, siedzą i beczą.

- Którzy to?

Haig obrócił rejestr do góry nogami i Jack odczytał trzy nazwiska, wskazane grubym kciukiem policjanta. Uśmiechnął się z ulgą.

- Narzeczony mojej córki był tam tej nocy, to na jego cześć urządzili popijawę. Pomyślałem, że lepiej sprawdzę.

Gunner zerknął na niego.

- Jak się nazywa?

- Buchanan - odrzekł Jack z dumą. - Darcy Buchanan.

Gunner głośno przełknął ślinę.

- Tak? Słuchaj, Jack, może byś się napił herbaty? Chodź. - Z zawodową zręcznością Gunner szybko wyprowadził Jacka do znajdującej się na tyłach posterunku kuchenki, gdzie na ciepłym piecu stał imbryk. - Zawsze powiadam, że nie ma jak filiżanka herbaty - ciągnął. - Zdaje się, że te ciołki po prostu się popiły i zaczęły pracować po pyskach. Wiesz, jak to zwykle bywa. - Nalał czarnej herbaty do kubka i wręczył Jackowi. - Tyle że bójka wymknęła się spod kontroli. Szef jest teraz w oberży, przesłuchuje resztę biesiadników, a Carmody dla odmiany przyleciał tutaj i groził, że wystrzela aresztantów jak kaczki. Prawdziwy dom wariatów.

- Ktoś został ranny?

Jack odstawił nie tkniętą herbatę na stół. Zaczynał się domyślać, o co chodzi.

Twarz Gunnera zrobiła się niezdrowo żółta.

- Mówią, że to był wypadek. Podobno upadł i uderzył się w głowę.

- Nie żyje?

Gunner kiwnął głową.

- Darcy, tak? Darcy Buchanan?

Konstabl westchnął.

- Przykro mi, chłopie. Tak, właśnie on. Naprawdę cholernie mi przykro, Jack.

Sierżant Middleton stał sztywno na baczność, jak gdyby właśnie ogłaszano wydany na niego wyrok. Nie rzekł ani słowa, stał bez ruchu, jak kamień. Czekał, aż wstrząs minie, bo wiedział, że w końcu minie. Skazaniec, później żołnierz, zdążył się oswoić z nagłą śmiercią. Szok pełnił rolę szafca, chroniąc mężczyznę przed zalewem żalu. Jeszcze chwila i będzie mógł przemówić, ufny, że głos mu nie zadrży.

Jack Middleton i Irlandczyk Carmody siedzieli z posepnymi minami w ostatnim rzędzie sali sądowej, gdzie jako świadkowie i strony uczestniczyli w paradzie brytyjskiej sprawiedliwości, którą pogardzali, lecz od której byli całkowicie zależni.

Zeznanie Carmody'ego kilkakrotnie było przerywane uwagami koronera, że oberżysta winien powstrzymać się od krewkich a nieprzystojnych wyrażań, jak też że nie prosi się go o prywatne opinie na temat zamieszanych w sprawę osób. W końcu ustalono, że Carmody słyszał początek przepychanki i zaryglował drzwi oberży, by awanturnicy, skoro już wyszli na podwórze, nie dostali się z powrotem do środka. Położył się do łóżka, ponieważ jednak hałas się wzmagił, a bójkowicze pozwalali sobie na "nieparlamentarne" wypowiedzi, żona posłała go na dół, żeby ich przepędził. Zanim znalazł klucze, posłyszał, że jeden z mężczyzn dobija się do tylnych drzwi, wołając o pomoc. Wyszedł na podwórze, ujrzał dwóch pijaków chwiejących się na nogach i trzeciego rozciągniętego na ziemi. Zbadawszy tego, który leżał, stwierdził, że delikwent nie żyje. Tak, to był denat, Darcy Buchanan.

Następnie oberżysta wyjął myśliwską strzelbę, zastraszył nią mężczyzn, zamknął ich w piwnicy i wezwał policję. Tak, w trakcie spełniania tego obywatelskiego obowiązku być może dopuścił się kilku rękoczynów na zatrzymanych przestępcach, ale było to nie do uniknięcia.

Trzech zatrzymanych złożyło zeznania, tu i ówdzie okraszone łzami, następnie zaś przez miejsce dla świadków przewinęła się procesja dżentelmenów, którzy byli obecni na uroczystości. Nikt nie zdołał wnieść do sprawy żadnych nowych faktów dotyczących bójk, wszyscy wszakże, nie wyłączając brata ofiary, podkreślali, że trzech aresztanci są szanowanymi członkami społeczeństwa, mają dobre charaktery i nie byli wcześniej karani, a wdając się w spór z panem Darcym Buchananiem, nie mieli złych intencji.

Kiedy stwierdzenie to padło po raz kolejny z ust kolejnego świadka, Carmody uznał, że tego już za wiele.

- A to niby co ma być, jak nie ich cholerne prywatne opinie! - ryknął, po czym został szybko wyprowadzony z sali.

Jack czekał wraz z nim pod drzwiami, do chwili gdy Gunner Haig opuścił salę. Dowiedzieli się od niego, że koroner wydał orzeczenie, iż śmierć nastąpiła wskutek wypadku. Jack patrzył, jak przyjaciele Darcy'ego posepnie wychodzą na ulicę i mieszają się z tłumem.

- Czy ci trzej zostaną jakoś ukarani? - spytał. - W końcu, przypadkowo czy nie, zabili przecież człowieka.

- Nie - odrzekł Gunner. - Za wielu bogatych panów wmieszanych jest w tę sprawę.

- A brat Darcy'ego? Dlaczego on nie domagał się kary?

- Podobno jest w szoku, nie wie, co się wokół niego dzieje. Poza tym ci trzej młodzieńcy to ścisła elita, a gubernator nie wystąpi przeciwko hodowcom. Miałby się z pyszna, gdyby oni sprzysięgli się przeciw niemu. Zresztą to naprawdę był wypadek.

- Jak cholera! - sarknął Carmody. - I co z tego? Gdyby rzecz dotyczyła mnie albo Jacka, albo nawet ciebie, Gunner, trafilibyśmy za kratki. Z ciężkim wyrokiem.

Jack przytaknął skinieniem głowy. Wciąż był wstrząśnięty śmiercią Darcy'ego, a powrót do sali sądowej przyprowadził go o skurcz żołądka. Nigdy nie wyzwolił się od strachu, że z takiego czy innego powodu znów dostanie się w łapy sędziów. Dlatego właśnie wstąpił do armii. Jeśli nie możesz ich pokonać, przyłącz się do nich - mówi znane porzekadło. W wojsku czuł się bezpieczny, stały za nim rzesze. Jack nie odważyłby się protestować w sądzie jak Carmody, chociaż wiedział, że oberżysta ma rację. Ale Irlandczycy byli inni, lubili szumieć. Carmody także trafił tu jako skazaniec; dostał ciężkie roboty i odsłużył je w łańcuchach. Jack miał względne szczęście. Został pomocnikiem murarza, a ci z oczywistych przyczyn nie mogli pracować skuci.

- Kiepsko wyglądasz - zauważył Carmody. - Chodź do mnie, Jack, obrócimy butelczynę najlepszej irlandzkiej whisky.

- Dobry z ciebie chłop - odparł Jack - ale muszę wracać do domu. Moja córka bardzo ciężko to znosi.

- Biedula. Za nią też dam na mszę.

Kobiety były tak wytrącone z równowagi, że Jack nie umiał ich uspokoić ani też pocieszyć. Mimo protestów żony nalegał, aby Perfy wzięła udział w pogrzebie. Wszystkie łązy świata nie zdołają przywrócić życia Darcy'emu, ceremonia pochówku zaś w jakiś sposób przypieczętuje nieodwracalność jego śmierci, co może pomóc w gojeniu się ran. Perfy wciąż mówiła o Darcym tak, jak gdyby był jeszcze pośród żywych.

Okazało się wszakże, że nie było jej dane zobaczyć, jak składają go do grobu. Zemdląca zaraz na samym początku mszy. Musieli odnieść ją do wynajętego przez Jacka powozu i zawieźć do domu.

Jeden z przyjaciół Darcy'ego, pan Ginger Butterfield, złożył jej wizytę. Przyniósł bukiet przepięknych białych róż. Perfy stwierdziła, że nie czuje się na siłach z nim rozmawiać.

- A właśnie że porozmawiasz - oświadczył stanowczo ojciec. - To, że bez przerwy wypłakujesz oczy, jest całkiem naturalne. Nie będzie ci miał tego za złe, przecież wie, co czujesz. Jeśli był tak uprzejmy, że przyszedł, ty również zdobądź się na uprzejmość i przyjmij go.

Perfy otrzymała list kondolencyjny od gubernatora, ale Ben się nie odezwał.

- Podejrzewam, że ten biedny chłopak przeżywa to tak samo ciężko jak Perfy - powiedziała Alice. - A wyobraź sobie, co czuje ich biedna matka! To musi być dla niej straszne, jest tak daleko i nie może nawet pomodlić się na jego grobie... - Tu rozpląkała się ponownie.

Tygodnie mijały, przez dom Middletonów przewinęły się tłumy ludzi składających kondolencje, a Perfy wyglądała coraz gorzej. Nie mogła ani jeść, ani spać, nie miała ochoty nawet zadbać o swój wygląd; całe dni spędzała zamknięta w pokoju, wpatrując się w ścianę.

Pewnego dnia do drzwi Middletonów zapukała Diamond, pytając, czy może się zobaczyć z Perfy. W owym czasie Alice odprawiała już gości, ich widok przyprawiał Perfy o nowe ataki płaczu, tak silne że często kończyły się konwulsjami.

- Przykro mi, ale Perfy nie czuje się na tyle dobrze, by z kimkolwiek rozmawiać - wyjaśniła Alice.

- Tak, słyszałam - odrzekła Diamond. - Pomyślałam, że może zdołam jej pomóc. Panna Perfy była dla mnie zawsze bardzo miła.

- Nie wiem, w jaki sposób mogłabyś jej pomóc - westchnęła Alice, ale Jack odciągnął ją na bok.

- Na litość boską, skoro ta dziewczyna uważa, że może pomóc, wpuść ją. Jeśli tak dalej pójdzie, Perfy skończy w domu dla obłąkanych. Już wygląda, jakby postradała zmysły.

Słyszeli przez drzwi, jak Aborygenka nuci półgłosem posępną monotonną pieśń i bez przerwy mówi, tak miękko i cicho, że słowa splatały się w ledwie dosłyszalny szmer, równie monotony jak jej śpiew. Z ust Perfy nie dobył się nawet szept.

- To brzmi jak jakiś pogański rytuał - protestowała Alice.

- Nic mnie to nie obchodzi, choćby nawet był chiński czy indiański - rzekł twardo Jack. - Pewnie po prostu coś jej opowiada. Czarni znają mnóstwo rozmaitych baśni.

- Dlaczego ona to robi?

- Na litość boską, nie wiem. Żeby ją zająć, zaprzątnąć czymś jej myśli. Przynajmniej nie rozdziera szat.

Odtąd Diamond przychodziła codziennie po pracy. Po jakimś czasie udało jej się wyciągnąć Perfy z domu. Zabierała ją na ciche wieczorne spacerunki. Jack nie miał pojęcia, o czym ze sobą rozmawiają, lecz stan Perfy zaczął się poprawiać. Diamond skłoniła ją nawet do jedzenia. Siadywała z nią pod drzewami w ogrodzie, obierała ze skórki jabłka i owoce mango i robiła z nich maleńkie kanapeczki, które Perfy uwielbiała w dzieciństwie. Jack miał wrażenie, że Diamond wyciąga jego córkę z depresji poprzez dziwny proces powtórnego dorastania. Jakkolwiek to osiągnęła, miał jej za co być wdzięczny.

Kancelaria Jauncy'ego i Bascombe'a wystosowała do Perfy list z prośbą, by zechciała pofatygować się do ich biura. Jack postanowił jej towarzyszyć. Niepokoił się o wszystkie te kosztowne ubrania, które kupił Darcy: wysokie buty, stroje do konnej jazdy, kapelusze i tak dalej, wszystkie wciąż schludnie ułożone w pudełkach. Perfy powiedziała wtedy, że Darcy tylko podpisał rachunek - zrobiło to na niej ogromne wrażenie. Toteż widok stosu zakupionych dóbr w kącie pokoju córki przyprawiał Jacka o nieustający ból głowy. A jeśli Darcy nie zdążył zapłacić? Boże, a ten pierścionek? Mężczyzna musi trzeźwo patrzeć na takie rzeczy. Jeżeli Darcy zginął, zanim uregulował rachunki, ktoś inny musi je spłacić i - na Boga! - nie będzie to Jack Middleton. Powie im prosto z mostu, adwokatom i Perfy, że wszystko trzeba zwrócić do sklepu i położyć kres całej sprawie. Szkoda pierścionka, a co się tyczy podróżynych strojów, i tak nie będą już Perfy potrzebne.

Punktualnie o godzinie drugiej wprowadził córkę do gabinetu Jauncy'ego.

Adwokat natychmiast złożył jej serdeczne wyrazy współczucia, na co Perfy, jak można się było spodziewać, wybuchnęła płaczem. Kiedy wreszcie się uspokoiła, dwaj mężczyźni rozpoczęli oględny wymianę zdań. Jauncy wyjaśnił, że Darcy był nie tylko jego klientem, lecz także przyjacielem. Adwokat prowadził jego interesy, tak jak poprzednio interesy zmarłego Teddy'ego Buchanana. Następnie wymienili uwagi na temat pogody, która ochłodziła się nieco po deszczach, i łagodnej jesieni, jakiej należało oczekiwać w tym klimacie. Kołnierz najlepszej kurtki mundurowej pił Jacka w szyję, mimo to sierżant ze stoickim spokojem czekał, aż spadnie cios.

Kiedy wyszli z biura, kręciło mu się w głowie, a Perfy uczepona jego ramienia, cała się trzęsła.

- To, co powiedział... czy to byłoby w porządku?

- Bez wątplenia - odparł. - Chodźmy do domu. Marzę o herbacie.

- Nie ma co do tego wątpliwości - powtórzył w domu żonie. - Darcy sporządził ostatnio nowy testament, podpisał go i złożył u adwokata. Perfy jest bogata. Zostawił jej cały swój majątek. Pieniądze w banku i połowę Caravale. Tak, to było do niego podobne. W pierwszym rządzie zatroszczył się o to, by ją zabezpieczyć.

- Kto jest właścicielem pozostałej połowy? - spytała Alice.

- Brat Darcy'ego, Ben.

- A matka?

- Hm - mruknął Jack - Jauncy powiedział mi w zaufaniu, że stary Buchanan pod koniec życia nie utrzymywał zbyt dobrych stosunków ze swą połówicą, toteż majątek zapisał w całości synom, z zastrzeżeniem, że pani Buchanan może pozostać w Caravale do śmierci albo tak długo, przypuszczam, jak zechce.

- O nieba! - Alice postawiła czajnik z powrotem na piecu. - To co my mamy robić?

- Chciałabym zobaczyć to ranczo - odezwała się cicho Perfy.

- Ono leży o tysiąc mil stąd - zauważyła Alice, porozumiewawczo marszcząc brwi do męża. - Nie możesz jechać sama tak daleko. Poza tym tylko by cię to przygnębiło.

- Matka ma rację, Perfy - wtrącił łagodnie Jack. - To wszystko jest i tak dla ciebie bardzo ciężkie. Jeśli pojedziesz tam, gdzie on mieszkał, będzie to coś w rodzaju rozdrapywania ran. Nie masz jeszcze na to dość sił.

- Mimo to chcę jechać - powtórzyła z uporem Perfy.

Jack udał, że nie słyszy.

- Najlepiej byłoby - rzekł - gdyby Perfy sprzedała swój udział w ranczo. Buchananowie pewnie zechcą go odkupić, tak powiedział adwokat, a Perfy będzie miała gotówkę w banku. I mnóstwo czasu na decyzję, co zrobić z pieniędzmi.

- Będzie cię stać na to, żeby kupić sobie farmę - wtrąciła Alice, lecz Perfy milczała. Patrzyła na pierścionek na palcu, ten sam pierścionek, o który ojciec tak się bał, czy nie będzie go trzeba zwrócić. Adwokat ani słowem nie wspomniał o rachunkach. Co prawda w tej chwili nie miało to już znaczenia, Perfy była teraz bogatą kobietą.

- Chyba napiję się brandy zamiast tej herbaty, Alice - oznajmił Jack. - Po tym wszystkim trochę kręci mi się w głowie.

Kiedy emocje wreszcie nieco opadły, stary Will Gaunt, nieznośny sąsiad Middletonów, przyszedł złożyć Perfy wyrazy współczucia i nawet przyniósł jej dojrzałego melona.

- Cudom nie ma końca - mruknęła pod nosem Alice, Jack zaś doszedł do wniosku, że wypada mu poczęstować gościa kieliszkiem.

- Nie odmówię - rzekł Will. - Zresztą mam do ciebie słówko, Jack.

Obaj mężczyźni wycofali się do ogrodu z pintową butelką rumu i dwoma małymi kieliszkami; Jack nie miał ochoty wlewać zbyt wiele trunku w starego moczymordę.

- Dobrze, że deszcz wreszcie ustał - zagaił rozmowę.

- Ano. Chociaż tutaj deszcz jakoś mi nie przeszkadza. W kraju przemroziłby człeka do szpiku kości.

- Mnie tego nie musisz mówić. Miałeś ostatnio wieści od swojego chłopaka, Eddiego?

- O tak - odparł Will. - Wiesz, że potrafi zupełnie dobrze pisać.

- Jak mu się powodzi?

- Beznadziejnie, jak przepowiedziałem. Nie dorobił się w Gympie złamanego szeląga, więc razem z tym wariatem Kempem spakowali manatki i przenieśli się galopem nad Cape. Tak bardzo chciałem, żeby Eddie został marynarzem. Ech, te dzieciaki, tylko kłopot z nimi! - Gaunt urwał i poklepał Jacka w kolano. - Nie miałem na myśli twojej dziewczuszki, rzecz jasna. Ta ma serce ze złota. Słyszałem, że bardzo się przejęła śmiercią tego młodzieńca?

Jack kiwnął głową.

- Nic dziwnego - rzekł Willy. - Takie chłopisko skoszone w wiośnie życia, rzecz można... - Zerknął na Jacka z ukosa. - Lubieś go?

- Tak.

- Chodzi mi o to, czy... no, czy był takim samym cholernym snobem, jak to zwykle ranczerzy?

- Właśnie w tym rzecz, że nie - odparł Jack. - Przyjął nas takimi, jakimi jesteśmy. To był naprawdę dobry chłopak, nie żaden pozer.

Will zapalił brudną glinianą fajkę.

- Często włóczę się po nabrzeżach - rzucił.

Jack ponownie skinął głową. Nie miał ochoty podtrzymywać tego tematu, albowiem powszechnie było wiadomo, że Gauntowi lepi się do rąk wszystko, co nie jest przybite gwoździami.

- Słyszę to i owo - podjął Will ze znaczącym błyskiem w oku, po czym pozornie skierował rozmowę na inny temat: - Bardzo szybko uwinęli się ze śledztwem. Raz-dwa,

ukręcili łeb całej sprawie. I dranie, co to niby przypadkowo zabili chłopaka, wrócili grzecznie do domu, pod matczyne spódnice.

- Zgadza się - mruknął Jack.

- Faktem jest, że to był wypadek - ciągnął Will - bójka, która skończyła się fatalnie. Ciekaw jestem, czy wiesz, o co im poszło? - Gaunt zmarszczył czoło, mierząc Jacka twardym, badawczym wzrokiem.

Jack potrząsnął głową.

- Żaden z nich wiele nie pamiętał, a i strach ich obleciał, kiedy wytrzeźwieli. Mówili coś o siodłaniu konia... tylko tyle udało mi się dowiedzieć.

- Bo tyle tylko udało się wykryć glinom, ale ja słyszałem co innego. Młody Buchanan miał zarezerwowaną kajutę na "Louise", która rankiem odpływała do Rockhampton.

Jack złapał Willa za koszulę.

- Nie waż mi się tak mówić! Darcy nie uciekłby od Perfy!

- Hej, hej, spokojnie! - Will go odepchnął. - Nie Darcy, chłopie, tylko jego brat. Widzi mi się, że to on namówił kumpli, żeby porwali Darcy'ego i przywieźli go na statek, bo w ten sposób chłopak nie mógłby stawić się na ślub.

- To nie ma sensu. Po co miałby to robić?

- Ruszże głową, człowieku! Ben Buchanan to dopiero kawał snoba! Postanowił wywieźć Darcy'ego, zanim ten narobi rodzinie kłopotów. Podobno był na "Louise", czekał tam na kolegów. Czekał, aż dostarczą jego brata! - Will postawił pusty kieliszek.

Jack nappełnił go odruchowo, całkowicie zbity z tropu.

- Nie - powiedział w końcu. - Cały kłopot z plotkami polega na tym, że ani rusz nie pasują do faktów.

- Pasują, pasują - rzekł Will - i nie bierz sobie tego tak strasznie do serca, powtarzam tylko, co słyszałem. - Zawahał się. Nie był pewny, czy powinien mówić dalej, lecz Jack ponaglił go ruchem głowy. Sierżant Middleton sam doszedł już do pewnych wniosków, ale chciał je usłyszeć od kogo innego.

- Ów Ben Buchanan - podjął Will - powiedział kapitanowi "Louise", że jego brat chce popełnić... jak on to nazwał? Mezalians, czy coś w tym guście.

- Mezalians - powtórzył Jack jak echo.

- Otóż to. Chcieli zabrać Darcy'ego do domu, rozdzielić go z dziewczyną. Widzisz, kiedy posłyszałem, że w porcie mówią o zabitym, oczywiście zaraz nadstawiłem ucha. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, o kogo chodzi, ale nie trzeba mi było wiele, żeby dodać dwa do dwóch. Tylko słuchaj, chłopie, ode mnie tego nie słyszałeś, pamiętaj.

- Zapamiętam - mruknął Jack. - I zapamiętam sobie też Bena Buchanana.

Will Gaunt łakomie oblizwał sobie wargi.

- Tak trzymać - uśmiechnął się. - Cóż, nie zawadzi znać fakty.

Kiedy tego wieczoru zasiedli do kolacji, Jack przyjrzał się Perfy. Gdzie się podziało to promienne dziecko, wielkimi oczyma patrzące na świat? Była blada jak ściana, zaciśnięte usta nie do poznania odmieniły jej twarz.

- Wciąż chcesz zobaczyć to ranczo? - spytał.

- Tak, chcę - odparła stanowczo.

- O Boże, tylko nie zaczynajcie od nowa! - fuknęła Alice.

- Tak sobie myślałem... - bąknął Jack - może Perfy nie powinna się spieszyć ze sprzedażą udziału. Pamiętajcie, co mówił Darcy? Skoro w pobliżu rancza znaleziono złoto, jego cena wkrótce się podwoi. Gdy tysiące górników ruszą na odkrywki, hodowcy bydła zarobią fortuny. Wołowina będzie na wagę złota. Trzeba będzie jakoś wykarmić te rzesze, a w okolicy nie ma żadnych miast.

- Zgadza się - odezwała się Perfy. - To samo mówił Darcy.

- Czy wolałabyś zatrzymać swoją część rancza, kochanie? - spytał ojciec.

- Powinnam. Darcy chciał, żebym je miała.

- Nie widzę żadnego powodu, dla którego mielibyśmy pochopnie się go pozbywać - mruknął Jack.

- Oszalałeś, Jack? - wykrzyknęła Alice. - Perfy nie może przecież jechać tam sama. Middleton odchylił się w krzesło.

- Nie musi jechać sama. A gdybym tak wystąpił z armii i na początek wszyscy pojechalibyśmy do Bowen, żeby rozejrzeć się w tamtych stronach?

- Bowen? - zdumiała się jego żona. - A gdzie będziemy mieszkać?

Jack obrócił się do córki.

- Stać cię na to, żeby kupić dom. To będzie nasza baza. Co o tym sądzisz? Podobno jest to ładne nadmorskie miasteczko, a twoja matka zawsze marzyła o wyjeździe z Brisbane.

Perfy uśmiechnęła się po raz pierwszy od wielu tygodni.

- Mnie też nic tu nie trzyma, tatusiu. Byłoby cudownie, gdybyśmy nareszcie mieli własny dom.

Alice miała na ten temat inne zdanie.

- Kupno domu to jedno, ale zatrzymanie połowy Caravale to już całkiem inna sprawa. Mierzysz za wysoko, Perfy. Pamiętaj, że nie masz teraz do czynienia z Darcym.

Domyślasz się chyba, jak ci ludzie zareagują na wieść, że połowa ich majątku należy do kogoś, kogo nawet nie znają? Zniszczą cię, dziecko, i właściwie trudno ich za to winić. Powinieneś mieć więcej rozsądku, Jack, i nie namawiać jej do tego.

- Odłożmy to do jutra - rzekł, chcąc uniknąć dalszej dyskusji.

W zapadającym zmierzchu wyszedł przed dom i patrzył na klucz wielkich białych pelikanów, zmierzających do swych gniazd na wyspie. Na tle różowo-fioletowego nieba stanowiły przepyszny widok. Alice miała rację, a raczej miałaby ją w normalnych okolicznościach, lecz jeśli Perfy się wycofa, Ben Buchanan dopnie swego - za cenę życia własnego brata. Wymaże skutki "mezaliansu", któremu chciał zapobiec. Perfy nie może się o tym dowiedzieć. Wciąż rozpaczała po Darcym i Jack nadal obawiał się o jej zdrowie psychiczne. Czasem znajdowali ją w sieni lub na podwórku; stała wpatrzona w przestrzeń, nie słyszała, co do niej mówią, i nie pamiętała, co miała zamiar robić. Gojenie się ran musi potrwać, Perfy jest jednak młoda, wkrótce się otrząśnie - pod warunkiem, że nie dotrze do niej druga, o ileż brzydsza część tej historii. Ba, nawet on wciąż nie mógł się z tym pogodzić. Żalosa, niepotrzebna śmierć Darcy'ego była wszakże bezpośrednim skutkiem jego miłości do Perfy. Jeśli dziewczyna zda sobie z tego sprawę, całą winę przypisze sobie, to zaś mogłoby mieć nieobliczalne następstwa.

Zdaniem Jacka zamach na Darcy'ego był także zamachem na rodzinę Middletonów. Nie byli dość dobrzy dla Buchanánów, co? To się jeszcze okaże.

- Nie pozbędziesz się nas tak łatwo, draniu - szepnął. - Jesteśmy teraz współnikami.

Początkowo, w przyływie furii, miał ochotę zabić Bena Buchanana, lecz wkrótce oprzytomniał. Żadna zemsta nie jest warta powrotu do więzienia. Trzeba działać w jedwabnych rękawiczkach. Będzie im ścisnął dłonie i prawil dusery, jeśli okaże się to konieczne, lecz tym razem to Middletonowie będą ustalać reguły gry. Czy mu się to podoba, czy nie, pan Buchanan będzie musiał ulec - tak, to jest właściwe słowo - ulec życzeniom panny Middleton. Jack zaśmiał się. Dopóki Perfy nie uzna, że chce sprzedać udział, pięćdziesiąt procent zysku z tego pięknego rancza będzie wpływać na jej i tak zasobne konto w banku.

Pralnia stała się dla Diamond domem, jej małym, białym, lnianym światem. Rządziła w nim już od roku, to jest odkąd praczka wyszła za mąż za jakiegoś farmera i rzuciła pracę. Teraz to Diamond miała pomocnicę, a raczej ich szereg. Aborygeńskie dziewczęta, zwykle tylko o dwa lub trzy lata młodsze od niej, pozostawały o wiele lat w tyle, gdy przychodziło do tłumaczenia, czego się od nich oczekuje.

Diamond załamywała nad nimi ręce. Większość prac wykonywała sama, kryjąc niezręczność pomocnic i desperacko usiłowała wpoić im nie tylko poczucie obowiązku, ale też ciekawość świata i świadomość własnej wartości. Podczas pracy próbowała poprawiać ich angielski, lecz ku swemu zdumieniu i zakłopotaniu stwierdziła, że dziewczęta odnoszą się do niej z niechęcią.

Miała teraz więcej swobody, nikt jej nie kontrolował. Po pracy mogła wychodzić, gdzie i kiedy jej się spodobało, wciąż jednak była bardzo ostrożna, przechadzając się wieczorem po mieście. Pamiętna niedawnej szarpaniny, kiedy to z trudem udało jej się wyrwać i uciec podchmielonym mężczyznom, zaczęła nosić duży ostry nóż, przypięty w pochwie do łydki pod długą spódnicą i halką. Siedząc w swym przytulnym pokoju za pralnią i obserwując ćmy trzepoczące się wokół naftowej lampki, Diamond uśmiechnęła się na wspomnienie kolejnego razu, gdy jacyś mężczyźni zaatakowali ją po zmroku. Wyciągnęła nóż i sama się na nich rzuciła. Czmychnęli przerażeni.

Odwiedzała czasem obozowisko czarnych, brudną kolonię lepianek, gnijących namiotów i rdzewiejących szalasów z blachy falistej. Gdy się tam pojawiała, witały ją gwizdy i pohukiwania mężczyzn oraz rzucane spođe łba wrogie spojrzenia kobiet. Diamond nie zrażała się tym, szukała matek lub krewnych swoich pomocnic z pralni, aby błagać je o współpracę. Tłumaczyła im, że dziewczęta muszą przychodzić do pracy porządnie umyte i że nie wolno im bumelować, kiedy mają na to ochotę. Zamierające szczątki plemiennej dyscypliny były jednak zbyt słabe, by sprostać wymogom stawianym przez pracodawców. Czarne robotnice opłacano w naturze - mące, herbacie i cukrze. Sumiennie odnosiły paczki do obozu, do podziału między wszystkich członków plemienia lub rodu, i rzadko wracały do pracy, póki miały co jeść.

Diamond nie zamierzała rezygnować. Wiedziała, że wcześniej czy później to lub następne pokolenie pojmie wreszcie zasady współżycia z białymi ludźmi, jeśli tylko da mu się szansę. Czarni będą musieli się dostosować, żeby przeżyć. Ale czy ona sama jest dobrym przykładem? Ubiera się schludnie i mówi poprawnie, lecz mimo to w zamian za swą pracę

otrzymuje tylko wikt i dach nad głową, a także - z czego jasno zdawała sobie sprawę - gwarancję bezpieczeństwa. Żaden kolonista nie ośmieliłby się wtargnąć na teren posiadłości gubernatora. Diamond nie miała pieniędzy, nie miała też gdzie pójść; była więźniem na własne życzenie.

Ostatnio wszakże coraz więcej rozmyślała o swoim plemienu. Aborygeni w Brisbane mieli przynajmniej siebie. Mimo całej swej nędzy mogli śmiać się, żartować i darzyć uczuciem. Ona, Diamond, była sama. Nikt w tym mieście nawet nie słyszał o narodzie Irukandji. Był to dla niej wstrząs, zwłaszcza gdy odkryła, że wielu tutejszych Aborygenów współczuje jej, ponieważ jest samotna.

Miała teraz, jak obliczyła, prawie osiemnaście lat. Niechętnie wyobrażała sobie spędzenie reszty życia w tym mieście, coraz więcej myśli poświęcała więc swojej rodzinie. Zastanawiała się, czy już o niej zapomnieli. Snuła fantazje o tym, jak wraca do domu; witają ją matka i ojciec, i brat Meebal, i wszyscy inni członkowie plemienia. Potem odbędzie się wielkie świąteczne coroboree, a ona opowie im o swych przedziwnych losach. W końcu powrót do domu stał się jej obsesją. Pewnego dnia uda się na północ - wiedziała tylko tyle, że musi iść na północ - i tam ich znajdzie. Kapitan Beckman nigdy nie wspominał, gdzie ją znalazł, a pani nie wiedziała. Właściwie Diamond nie wypytywała o to; w tamtych czasach po prostu żyła z nimi, akceptując fakt, że jest ich dziewczynką. Najbardziej interesowała ją i intrygowała pani oraz to, co ją otaczało. Nigdy jednak nie zapomniała swego prawdziwego imienia - Kagari.

Usłyszawszy w kuchni rozmowę o paniencie Perfy, Diamond bardzo się zmartwiła. Kobiety mówiły, że w głowie jej się pomieszało z żalu po śmierci narzeczonego. Podobno zdarzało się to wielu ludziom, którzy nigdy nie wracali już do zdrowych zmysłów; włóczyli się po ulicach albo oddawano ich do domu wariatów, będącego piekłem na ziemi.

Diamond zebrała się na odwagę, by odszukać dom Perfy i zapukać do drzwi. Dziewczyna rzeczywiście osuwała się w świat mgieł, nawet jej nie rozpoznała. Diamond czuła w jej pokoju pustkę i chłód; ciepło miłości zostało stąd wywiane tak nagle, że Perfy pozostała w próżni, wpatrzona w odbijające nicość lustro.

Diamond usiadła na podłodze pod oknem, przez które wpadał zapach jaśminu i ostatnich letnich kwiatów kapryfolium, i zaczęła mówić o tym, skąd biorą się kwiaty, festony rozwieszane przez duchy dla pokrzepienia zasmuconych serc. Jej głos szemrał rytmicznie, podobny odległemu dudnieniu bębnow. Mówiła o mgłach, wilgotnych oparach zielonego lasu, oponczach skrzących się od czarów. Potrafili je dojrzeć tylko wybrani ludzie, którzy przeszedłszy raz przez mgłę, na zawsze już pozostawali uświęceni.

Nie wspominała imienia Darcy'ego, lecz mówiła o jego wiecznym miejscu w przyrodzie, o tym, że Matka Ziemia potrzebuje go, by odrodzić świat.

- Być może jest teraz wielkim orłem albo wysokim drzewem, albo nawet duchem gromu.

- Nie - odezwała się cichutko Perfy. Diamond poczuła ogromną ulgę; jednak słucha.

- On jest skałą. Nie, lepiej przylądkiem, chroniącym piękną zatokę. Mam nadzieję, że tym właśnie jest. Tak się boję, Diamond. Za każdym razem, kiedy o nim myślę, wyobrażam go sobie w grobie, jedzonego przez robaki, i to jest potworne.

- Nie mów tak.

- Podobno włosy rosną im jeszcze po śmierci! - krzyknęła histerycznie Perfy.

Diamond objęła ją mocno.

- Jego nie ma tu, na ziemi. Narodził się na nowo, odszedł z duchami, żeby dumnie zająć przeznaczone mu miejsce. Masyw przylądka, o którym mówiłaś - duchy wiedzą, że to jego siedziba.

- Opowiedz mi jeszcze raz o siostrach Oonji, które stworzyły źródło - poprosiła Perfy.

- W czasie długiej, trwającej wiele lat suszy siostry splotły ramiona i zbierały w nich rosę. Duchy wejrzały na nie życzliwym okiem i po pewnym czasie źródło przebrało, stało się wodospadem, a wodospad strumieniem, który z kolei zmienił się w wielką rzekę, i ludzie już nigdy więcej nie cierpieli pragnienia. Siostry Oonji wciąż stoją u źródła jako dwie lśniące skały i co roku ludzie zanoszą im kwiaty w podzięce.

Diamond opowiadała jej wiele legend wygrzebanych z pamięci, fascynujących opowieści o wiecznym Śnie, o bohaterach, którzy jako duchy połączyli siły z Matką Ziemią, wyzywając do walki gromy i błyskawice, i innych bezcielesnych nieprzyjaciół. W nagrodę Matka Ziemia pozwoliła im na zawsze pozostać wśród ukochanych ludzi.

- Burrumgillie - mówiła Diamond - był kiedyś dzielnym wojownikiem. Dziś to wielki kanion o stopach tonących w zieleni.

Nadając imiona skałom, rzekom i szczytom, skalistym iglicom, wielkim starym drzewom i wijącym się jak węże lianom, Diamond nie miała pojęcia, że opisuje krainę Irukandji rozpościerającą się od ujścia Endeavour po górny bieg rzeki, nazwanej później Palmer.

Zabierała Perfy na spacer; razem przyglądały się pracowitym owadom, podziwiały organizację kolonii mrówek, zastanawiając się, kto im mówi, za którymi zwiadowcami mają podążać. Diamond wskazywała ptaki i opowiadała o tym, co potrafią: na przykład

jaskółki pikowały nad wodą, zbierając wilgoć na skrzydłach; otrząsały ją potem nad ziemią, żeby z powstałego błota lepić gniazda. Wołała wracające do swych gniazd zimorodki, a te jej odpowiadały ku uciesze Perfy. Dziewczyna śmiała się i klaskała w dłonie. Z dnia na dzień nabierała sił.

Do drzwi pokoiku przy pralni zapukał jeden z lokajów.

- Wiadomość dla ciebie - burknął. - W sumie nie mam obowiązku za tobą latać, ale to od Perfy. Wyjeżdża i chce się z tobą spotkać przed odjazdem.

Minęły miesiące, odkąd Diamond widziała Perfy. Jej wizyty były coraz rzadsze, aż ustały. Kiedy pani Middleton powiedziała jej, że Perfy stopniowo zaczyna godzić się ze śmiercią Darcy'ego, Diamond wiedziała, że czas dokona reszty. Podobnie jak pani Beckman, Perfy także musiała żyć dalej. Diamond nie zdziwiła się, że Perfy wyjeżdża. Wszyscy biali ludzie w końcu gdzieś odjeżdżali. Nawet gubernator i lady Bowen wybierali się za morze. Co prawda nie tak prędko, ale już było to postanowione. "Wracają do domu", mówiono, choć przez cały czas Diamond myślała, że tu właśnie jest ich dom. Na ich miejsce pojawią się nowy gubernator i nowa pani, lecz na razie nikt nie wiedział, kto to będzie, i służba się niepokoiła. Zmiany ich przerażały, zwłaszcza ochmistrzynię, która bała się, że nowi państwo mogą przywieźć własną zarządzającą. Najwyraźniej wszyscy mieli domy gdzie indziej: gubernator w Anglii, podobnie jak większość tutejszych białych, pani Beckman w Niemczech. Diamond od nowa zaczęła się zastanawiać, gdzie też znajduje się jej dom.

- Zamieszkamy w Bowen - oznajmiła Perfy.

- A gdzie to jest?

Perfy rozejrzała się bezradnie. Wszędzie stały pudła, skrzynie, kufry, spiętrzone w sterty meble. W końcu znalazła mapę w blaszanym pudełku, zawierającym dokumenty rodzinne.

- Tu - rzekła. - To małe miasteczko na wybrzeżu, na północ od Brisbane.

"Północ". To słowo przykuło uwagę Diamond. "Północ" - zaśpiewało jej w uszach. Ledwie słuchała wyjaśnień Perfy, że Darcy zostawił jej w spadku dużo pieniędzy i że Middletonowie kupili już dom w Bowen.

- W jaki sposób? - Diamond uczyniła heroiczny wysiłek, by podtrzymać rozmowę.

- Ojciec zwrócił się listownie do pośrednika, niejakiego pana Watlingtona, z zapytaniem, czy może polecić jakiś przyzwoity dom do kupienia. Pan Watlington odpisał, że mieliśmy wielkie szczęście, bo Bowen jest zapchane poszukiwaczami złota, dążącymi nad rzekę Cape, i w całym mieście nie ma wolnego łóżka, ten dom jednak właśnie

wystawiono na sprzedaż i jest naprawdę ładny. Namawiał nas, żeby kupić go od ręki, bo inaczej musielibyśmy wstrzymać się z przyjazdem do Bowen, aż gorączka złota minie i znajdzie się tam jakieś odpowiednie dla przyzwoitej rodziny lokum.

- To miłe - mruknęła z roztargnieniem Diamond. Bowen leżało na północy.

- Tatko poszedł do banku i zlecił im przekazanie pieniędzy - terkotała dalej Perfy - tak więc nareszcie mamy własny dom. Mama jest tak podekscytowana, że o niczym innym nie może myśleć.

- Zawsze myślałam, że ten dom należy do was.

- Nie. Wynajmowaliśmy go tylko. Mama i tatko mieli naprawdę ciężkie życie, a przecież zawsze byli dla mnie tacy dobrzy, więc strasznie się cieszę, że w końcu mogę coś dla nich zrobić.

- Tak, naturalnie - przytaknęła Diamond bezmyślnie.

Ofiarowała im pomoc. Pani Middleton chciała przed wyjazdem porządnie wysprzątać każdy kąt, żeby nowi lokatorzy nie obnieśli jej na językach. Diamond wyszorowała piec drucianą szczotką od środka i z wierzchu, a kiedy skończyła, Perfy pociągnęła go czernidłem.

- Pojadę odwiedzić ranczo - rzekła.

- Jakie ranczo?

- Jestem teraz właścicielką części rancza Darcy'ego. Zapisał mi swój udział.

Pani Middleton posłyszała tę uwagę.

- Nie myśl, że dam się wam wyciągnąć w tę głuszę. To setki mil od miasta i nie ma tam nawet porządných dróg. Zostanę i będę się zajmować domem.

- Mogę jechać z wami? - spytała szybko Diamond.

- Dokąd? - zdziwiła się Perfy.

- Tam, dokąd jedziecie. Bogate domy mają pokojówki, przecież panienka wie. Odwiedzając gubernatora, często przywoziły ze sobą własne służące.

Perfy obróciła się do matki.

- Co o tym myślisz, mamó?

Alice Middleton przystanąła i spojrzała na Aborygenkę.

- Nigdy nie mieliśmy służby. Jesteśmy prostymi ludźmi.

- Och, proszę! Mogę robić wszystko, co pani każe. Nie chcę całego życia spędzić w pralni.

Alice podniosła głowę znad sterty garnków i patelni, które usiłowała upchnąć w pudle. Ponownie przyjrzała się Diamond.

- Może to i nie jest taki zły pomysł. Jeśli masz jechać z ojcem do Caravale, lepiej, żebyś miała damskie towarzystwo. Poza tym - dodała - podobno to ogromnie wielcy państwo. Mogą oczekiwać, że młoda panienka będzie miała pokojówkę. Tak, tak właśnie mogą sądzić. - Alice uśmiechnęła się. - Jeśli Jack się zgodzi, ja nie widzę przeszkód.

Kiedy Diamond wychodziła, Perfy szepnęła do niej:

- Tatuś na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu. Ojej... słuchaj, Diamond, czy ty umiesz jeździć konno?

- Nie.

- Wobec tego będziesz musiała się nauczyć. Ale tym zajmiemy się już w Bowen.

Część czwarta

Maszerując główną ulicą Bowen, Herbert Watlington czuł się szczęśliwym człowiekiem. Owa główna ulica była właściwie tylko wyboistą rynną zaschniętego blocka, po ustaniu deszczów skrzepłą niczym Pompeje. Rzeka głębokiej po kolana brei, rozbełtanej kołami wozów i nieustającym przebieraniem końskich kopyt, w ciągu jednego dnia wyschła i spiekła się na kamień pod wściekłym naporem uwolnionego od monsunowych chmur słońca. Bawiła go myśl, że ulica nosi nazwę Herbert Street. Dobry znak.

Deszcze w końcu poszły precz. Uśmiechnął się lekko, jakiś przechodzień odpowiedział mu uśmiechem, uchylając kapelusza. Rozbawienie Herberta jednak spowodowane było wspomnieniem ojca, który ze słowem "precz!" wyrzucił go z domu i kazał emigrować do kolonii, aby zatrzeć hańbę. Pułkownik Watlington wyobrażał sobie ten kraj jako olbrzymi przytułek dla biedoty, gdzie skazani plebejusze i ich lepiej urodzeni bracia w występku ze schylnymi głowami znoszą pokutę, czekając z utęsknieniem na dzień, gdy skandale zostaną zapomniane, grzechy odpuszczone, oni zaś będą mogli wrócić na łono Matki Anglii. Jakże się mylił! Herbert istotnie przez pewien czas cierpiał niedostatek, lecz ogólnie uważał swoją karierę w Queensland za bardziej radosną niż smutną. Ten kraj i zamieszkujący go ludzie byli, w jego oczach, absolutnie bulwersujący. Roilo się tu od bandytów i drani wszelkiej maści, a przy ich wyczynach jego własne grzeszki można było zaiste uznać za niewartą wzmianki błahostkę.

Jezdnia przypominała zaorane gumno. Herbert szedł uważnie, patrząc pod nogi, nie miał bowiem ochoty znów zwichnąć sobie kostki. Ponadto przewracając się na ulicy, zniszczyłby eleganckie jasne ubranie, które w tym chaotycznym ludzkim zbiorowisku wyróżniało go jako dżentelmena i człowieka interesu.

Minęli go stępa trzej zarośnięci po oczy jeźdźcy, jeden z nich zawołał:

- Jak leci, Herbie?

Herbert uniósł szeroki kapelusz z przesadnym szacunkiem, żeby ich rozśmieszyć.

- Znakomicie, panowie, znakomicie! - odparł.

Brodacze wyszczerzyli zęby z uciechy.

- Przywieźcie mi próbkę złota! - wrzasnął za nimi, co było standardowym żartem w Bowen, oni zaś ze śmiechem pomachali mu na pożegnanie.

Nie musiał pytać, dokąd się wybierają. Wierzchowce zaopatrzone na szlak, liny, broń i zrolowane koce przytroczone schludnie do siodeł, a do tego juczny koń, który dotrzymywał im tempa. Bowen pełne było poszukiwaczy złota, udających się nad rzekę

Cape, a także - co istotniejsze - ludzi powracających z odkrywek, żeby przehulać forszę. Herbert lubił Bowen, tę bezpretensjonalną nadmorską miejscowość z główną ulicą szeroką niczym boisko do krykieta. Zastanawiał się, jak wyglądała, nim opadła ją górnicza szarańcza.

Próbował sobie wyobrazić, co stałoby się z jego rodzinną wioską nad zatoką Lyme, gdyby nagle odkryto tam bogate złoża złota o dwadzieścia mil od brzegu. Dwadzieścia mil w Anglii odpowiadało dwustu w tym niesamowitym kraju. Tamtejsi mieszkańcy odnosili się z rezerwą do obcych i wszyscy byli niezmiernie poważni i bogobojni. Ależby miał uciechę! Cóż za zgrozę wzbudziłyby na sennej prowincji hordy awanturników, dobijające się do zapleśniałych gospód! A do tego rzędy szeroko otwartych, hałaśliwych burdeli i dziewczęta głęboko wychylone z balkonów, żeby kusić klientów! Herbert przypomniał sobie, że miał wstąpić do Glorii Molloy.

- A oto i mój chłopiec! - zawołała, przyciskając go do znanego mu dobrze biustu, którego nie był w stanie pomieścić żaden gorset. - Wejdz, mój złoty - mrugnęła do niego porozumiewawczo, wprowadzając go do swojego prywatnego saloniku. - Poznajcie się, panowie. Pan Barney O'\$day; pan Herbert Watlington.

Tępgłowy Irlandczyk, rozpromieniony charakterystycznym uśmiechem głupka o kieszeniach pełnych świeżo wykopanego złota, dźwignął się z sofy i wyciągnął brudną dłoń.

- Miło mi pana poznać.

Herbert ostrożnie ujął podaną mu rękę, po czym ewakuował się na fotel przy oknie. Facet śmierdział.

- Napijesz się z nami kawy i koniaku? - zapytała Gloria. - Barney właśnie przyjechał do miasta, zupełnie wykończony, biedak, a wszystkie hotele są zapchane po dach.

Przybrała irlandzki akcent, bezczelnie pochlebiając gościowi, Herbert więc przyszedł jej w sukurs swoją najlepszą angielszczyzną wyższych sfer. Doskonale wiedział, czego Gloria od niego oczekuje, odgrywali to rutynowo wiele razy.

- Kawa i koniak? Wyśmienicie, moja droga. Ależ, panie O'\$day, z pewnością zdołał pan znaleźć jakieś lokum?

- Nawet kawałka pryczy - jęknął Barney. - A tak tęskniłem do porządnego łóżka i kąpieli! Wie pan, ile miesięcy spędziłem na odkrywce?

Gloria podała kawę i nalala do trzech kieliszków najlepszego koniaku.

- Ach, te odkrywki! - wzdrygnął się Herbert. - Nie musi mi pan o nich opowiadać.

- O tak - podchwyciła Gloria. - Pan Watlington sam poszukiwał złota, ale wrócił z niczym.

- Omal nie umarłem z głodu - oznajmił Herbert. - Nie znalazłem ani ziarenka kruszcu, a z podłego jedzenia tak się rozchorowałem, że nie byłem w stanie unieść łopaty.

- Bo to i nie miejsce dla dżentelmena - przyświadczył Barney. - Ciężka harówka, ot co. Poza tym, słowo daję, nigdy nie widziałem naraz tylu bandziorów i złodziei na wolności.

- Przyjechał pan odwiedzić naszą małą osadę? - zagadnął Herbert.

- Tak, na kilka dni. Chcę się trochę zabawić, a potem wracam. W tej chwili całkiem dobrze mi idzie i kiedy skończę przekopywać działkę, będę bogatym człowiekiem.

- Miał pan więcej fartu ode mnie - rzekł Herbert. - Ja do Bowen przywlokłem się pieszo, bez grosza przy duszy, wygłodzony i wyczerpany, lecz tu zrządzeniem losu spotkałem Glorię, tę piękną istotę o anielskiej duszy, która się mną zaopiekowała.

Była to nieomal prawda. Poszukiwanie złota zakończyło się kompletną klęską, a potem jednak Herbert poznał gościa zwanego Prędkim Jackiem, który nieźle się obłowił i zapłacił mu za eskortowanie go do Bowen. Facet musiał upaść na głowę, ponieważ w razie niebezpieczeństwa Herbert najpewniej czmychnąłby gdzie pieprz rośnie, nie troszcząc się o obronę swego pracodawcy. Na szczęście bandyci byli widocznie zajęci gdzie indziej.

W czasie następnych, szaleńczych tygodni, kiedy pomagał Jackowi wydawać pieniądze, Herbert poznał Glorię Molloy, czy raczej to ona wyłowiła go z tłumu. Miała pianino, lecz nie miała pianisty, zaś ten Anglik, który włóczył się z Prędkim Jackiem, grał jak sam szatan. Gloria z miejsca zaoferowała mu posadę, a ponieważ Herbert całkowicie wysupłał się już z forsy, nie miał natomiast najmniejszej ochoty wracać na złotonośne pola, został u niej. Często sypiał w jej wielkim miękkim łóżku. Jak na kobietę około czterdziestki, a więc piętnaście lat od niego starszą, Gloria wciąż była atrakcyjna. Patrzył na nią teraz, gdy paplała z Barneyem, dosłownie spijając każde słowo z jego warg.

Irlandczyk kraśniał z zachwytu. Między burdelami panowała ostra konkurencja, a Gloria nie zamierzała pozwolić, by wymknął jej się nowy, obiecujący klient. Nadszedł czas, aby Herbert wypowiedział swą kwestię.

- Chyba uda ci się znaleźć jakieś łóżko dla Barneya? - zapytał niewinnie. - Musi przecież się wyspać.

Glory potrząsnęła głową.

- Doprawdy, panie Watlington, wie pan przecież, że mam swoje zasady. Nie mogę sobie pozwolić na wyłączenie z interesu choćby jednego pokoju, chyba to rozumiesz, Barney, mój złoty. Wszystkie są ciągle zajęte, mój dom jest najlepszy w mieście.

- Ależ, moja droga - rzekł z naciskiem Herbert - jestem pewien, że pan O'Sday zapłaci ci dobrą cenę. Ostatecznie cóż za pożytek z pieniędzy, jeśli nie można za nie dostać tego, czego się pragnie?

- To racja - potwierdził gorliwie Barney, wyciągając sakiewkę z wewnętrznej kieszeni wystrzępionej kamizelki. - Czy to wystarczy na początek, panno Molloy? Proszę to zatrzymać i dać mi znać, kiedy trzeba będzie dopłacić.

Gloria błyskawicznie skonfiskowała złoto.

- Cóż, chyba w drodze wyjątku...

Barney zerwał się na nogi.

- Nie pożałuje pani. Zatańczę na pani weselu, moja śliczna!

- Charlene! - zawołała Gloria i rozpromieniony Barney został uprowadzony przez hożą dziewczynę o bujnych jasnych włosach i okrągłych pośladkach.

- Chciałam się z tobą widzieć - zwróciła się Gloria do Herberta - bo Giesler wystawił dom na sprzedaż.

Gloria nie tylko sprawiła Herbertowi nową odzież, opłacała też czynsz za niewielkie biuro w budynku przylegającym do hotelu Palace.

- Doszłam do wniosku, że z twoją aparycją i wyszukaniem słownictwem powinienes zająć się przedsiębiorczością - oznajmiła mu pewnego dnia.

- A co konkretnie masz na myśli?

- Nie jestem pewna, co dokładnie znaczy to słowo, ale brzmi bardzo szacownie. Chcę, żebyś został pośrednikiem handlowym. Mógłbyś zająć się na przykład gruntami rolnymi i inwentarzem.

- Czym?! Nie znam się na rolnictwie i nie cierpię krów!

Gloria przez chwilę rozważała jego słowa.

- Moim zdaniem, Herbie, przedsiębiorczość to skłanianie ludzi do wydawania pieniędzy, a tych pieniędzy jadą do Bowen całe wozy. Wobec tego zajmij się nieruchomościami.

- Niby jak?

Kiedy Gloria Molloy powzięła jakąś decyzję, wprowadzała ją w życie, nim ktokolwiek zdążył mrugnąć. Tak więc Herbert od kilku miesięcy zajmował się "przedsiębiorczością". Gloria, która wiedziała o wszystkim, co dzieje się w mieście, była nieoceniona w roli cichego współnika.

Dom Gieslera był najładniejszym budynkiem w mieście. Właściciel zbudował go na wzór brytyjskich rezydencji w Indiach. Jeszcze w kraju Herbert widywał szkice i fotografie

identycznych budowli: przestronnych, chłodnych domostw o obszernych werandach i francuskich oknach, które wpuszczają do środka chłodną bryzę.

- Dlaczego Giesler chce sprzedać dom?

- Ponieważ, mój drogi, zdobył fortunę w złocie. Jest teraz tak bogaty, że wraca z rodziną do Niemiec, by tam żyć długo i szczęśliwie.

Herbert był zaskoczony.

- Nie słyszałem o tym.

- Oczywiście że nie, bo Giesler nie jest głupi. Nie pisał ani słowa nikomu - uśmiechnęła się - z wyjątkiem pana Tolleya, mojego ulubionego dyrektora banku. A teraz słuchaj, Herbie: pójdziesz do niego i ponarzekasz trochę, jak ty to potrafisz. Powiedz mu, jak ciężko jest sprzedać dom w obecnych czasach, kiedy wszyscy są w ciągłym ruchu, po czym kupisz go dla mnie za okrągłe sto funtów. Tylko kup go na swoje nazwisko, bo ode mnie Giesler zażąda więcej.

- Spróbuję, ale dom jest naprawdę więcej wart.

- Oczywiście, tylko że Giesler chce się go szybko pozbyć.

- Dobrze. Wpadnę tam. Chcesz się przeprowadzić?

- Słodki Jezu, skądże! Kiedy Giesler wyjedzie, potroimy cenę i sprzedamy dom. Tak czy owak zarobisz, więc bądź grzecznym chłopcem i biegnij do niego.

Transakcja była łatwa, Giesler dorzucił jeszcze wszystkie meble za dodatkowe dziesięć funtów. Gloria miała rację, Niemiec zbyt się cieszył powrotem do kraju, żeby targować się o cenę. Herbert starannie zlustrował budynek, nie dając po sobie poznać, że jest oczarowany atmosferą tego pięknie zaprojektowanego wnętrza o wysokich stropach i dużych, przestronnych pokojach, idealnych w tym klimacie. Importowane meble też były dobrej jakości, stał tu nawet fortepian. Herbert wystukał krótką gamę chromatyczną i westchnął. Instrument był nastrojony, w przeciwieństwie do rozklekotanego pianina Glorii.

- Gra pan? - zapytał uradowany Giesler. - Jaka szkoda, że dopiero teraz się o tym dowiaduję.

Herbert przeszedł się po pokojach. Z rozkoszą zatrzymałby ten dom na własność, lecz nie stać go było jeszcze na sto funtów, karciane długi wciąż wisiały mu nad głową. Ponadto Gloria była jego współpracowniczką i protektorką w tym ledwie ucywilizowanym mieście, nie odważyłby się wystawić jej do wiatru. Lubiała go, chętnie trzymała przy sobie, mawiała, że dodaje klasy jej lokalowi.

Nim jeszcze rodzina Gieslerów wyjechała, Tolley naraił Glorii klientów z Brisbane, którzy planowali sprowadzić się do Bowen, rodzinę o nazwisku Middleton. Herbert wynegocjował warunki sprzedaży z biurem prawniczym Jauncy'ego i Bascombe'a w Brisbane, uzyskując cenę dwustu osiemdziesięciu dziewięciu funtów, powiększoną o dodatkowe sześćdziesiąt funtów za meble.

- Dlaczego ci Middletonowie przenoszą się tutaj? - Gloria jak zwykle chciała wiedzieć wszystko.

- Przecież mamy tu gorączkę złota, moja droga, czyżbyś o tym zapomniała? - roześmiał się Herbert.

- Gdyby chodziło im o złoto, nie przywoziliby pieniędzy ze sobą i nie kupowali drogiego domu.

- Może to urzędnik stanowy, nowy agent celny albo geodeta.

- Nie chce mi się wierzyć - zadumała się Gloria. - Ci ludzie nie miewają aż tyle pieniędzy.

Kilka tygodni później wkroczyła do jego maleńkiego biura, wystrojona w jaskraworóżową taftową suknię i wielki, ozdobiony kwiatami kapelusz, spod którego kipiały jej gęste czarne loki.

- Powinieneś wystawić ogłoszenia na zewnątrz - upomniała go.

- Jakże znów ogłoszenia?

- Dobry Boże, Herbercie, nie możesz tylko siedzieć tu i dumać o niebieskich migdałach. Wystaw na werandę parę zwykłych tablic i napisz na nich: "Ziemia na sprzedaż", "Tani dom na sprzedaż".

- Nie mam żadnych domów na sprzedaż, w całym mieście brakuje lokali.

- Znajdą się, jeśli brzękniesz ludziom twardą gotówką pod nosem. Sprzedadzą wszystko, gdy złoto sypnie się im na kolana. Ale nie po to przyszedłam. Dowiedziałam się, kim są ci Middletonowie. Znasz ranczo Caravale?

- Słyszałem o nim.

- Właśnie. Jego współwłaścicielami byli dwaj bracia, bogaci hodowcy bydła. Jeden z nich został zabity w Brisbane, i cóż się okazało? Zapisał cały swój majątek narzeczonej - w tym połowę rancza większego od Irlandii.

Herbert uśmiechnął się. Gloria nigdy w życiu nie była w Irlandii.

- I zgadnij, kto jest ową szczęśliwą spadkobierczynią? - ciągnęła Gloria. - Panna Middleton. Dlatego przyjechali do Bowen! - zakończyła triumfalnie.

- I co z tego?

Widząc jego ewidentny brak zainteresowania, Gloria zmarkotniała i wzruszyła ramionami.

- Myślałam, że cię to zaciekawia. Wystaw wreszcie te cholerne tablice!

Herbert odprowadził ją do drzwi. Zazdrościł tej prostej kobiecie z gminu. Ludzie oglądali się za nią, gdy mijała ich zamaszystym krokiem, dzierżąc zdobną falbankami szkarłatną parasolkę niczym dumny pawi ogon. Sunęła po wyboistej drodze pewnie jak kozica. Ale niech no tylko w zasięgu oka pojawił się jakiś nadziany dżentelmen, już biedna Gloria dreptała bojaźliwym kroczeniem, dopraszając się oparcia, jakie daje silne męskie ramię. Nigdy nie przepuściła obiecującej okazji. I nigdy się nie zawiodła. Gloria Molloy wiedziała, kim i czym jest, i była z siebie dumna. Herberta strasznie to irytowało. On sam również wiedział, kim jest: angielskim dżentelmenem, który czasowo przeżywa ciężki okres. Problem polegał na tym, że nikomu tym nie imponował. Ludzie akceptowali go, ponieważ był przyjacielem Glorii - ludzie, do rozmowy z którymi w normalnych warunkach by się nie zniżył. To bolało. Tęsknił za szacunkiem, za należną mu z urodzenia pozycją społeczną, przynajmniej taką, jaką można osiągnąć w tym kraju. Wymagało to jednak sporych pieniędzy. Najgorsze zaś było to, że Gloria doskonale go rozumiała; współczuła mu i między innymi dlatego zafundowała mu to szemrane pośrednictwo handlu nieruchomościami - po to, by oboje mogli więcej zarobić. Herbert marzył tylko, by przestała opowiadać ludziom, że jest "przedsiębiorcą". Było to takie plebejskie określenie!

Uzaliwszy się nad sobą, wyjął talię kart i przetasował je zręcznie na biurku, zastanawiając się od niechcienia, gdzie można nabyć taką rzecz jak tablicę.

Cornelia Buchanan wybiegła na werandę, krzycząc i wymachując laską.

- Konie weszły do sadu! - zawołała. - Wypędźcie je stamtąd, psy!

Dwaj czarni ogrodnicy, Jumbo i Łazarz, przeskoczyli przez płot i puścili się biegiem za końmi.

- Który to otworzył tę cholerną bramę? - wrzasnęła. - Czekać no, wygarbuję ja wam skórę!

Trzy konie, świadome, że weszły w szkodę, rozbiegły się na różne strony, ocierając się o pnie, skubiąc gałązki i tratując młode drzewka.

- Nie płoszczcie ich! - krzyknęła Cornelia. - Nie macie ani krzty rozumu, psiakrew? Podejdź do nich spokojnie, na palcach, Jumbo, i wyprowadź je, zanim zniszczą cały sad.

Z niesmakiem obróciła się do Mae, gospodyni.

- Te cholerne czarnuchy nigdy się nie zmieniają, nawet za milion lat. Mówiłam im, żeby nie zostawiali otwartej bramy.

- Proszę się nie martwić, pani Buchanan - wtrąciła Mae. - Zaraz je połapią.

- Ciekawam, od jak dawna konie urzędują w sadzie? Jeden z nich to Kliper, wierzchowiec Darcy'ego. Dostanie wzdęcia, jeśli nażre się za dużo jabłek.

- Ten koń to zbój - zaśmiała się Mae. - Potrafi sam otworzyć bramę.

- To żadna wymówka, powinni zamykać ją na łańcuch. Powiedz Jumbo, że jeśli się to jeszcze raz powtórzy, zostanie ukarany. Surowo ukarany.

- Tak jest, powtórzę. - Gospodyni wyduła wargi w ten sposób, który zawsze irytował Cornelię. Mae była nazbyt łagodna dla czarnych. Współczuła im, też coś! Mieszkała w Caravale dopiero od dwóch lat, nie było jej tu w czasach, gdy Cornelia wraz z Teddym próbowali przekształcić połać dzikiego pustkowia w dochodową posiadłość. Aborygeni nie stwarzali wtedy tylko kłopotów, lecz zagrożenie. Ileż to nocy Cornelia spędziła ze strzelbą na straży, podczas gdy Teddy objeżdżał busz! Klęła w żywy kamień czarnych, którzy włóczyli się wokół domu, i klęła Teddy'ego, który przywiózł ją do tej zapadłej głuszy. W ciągu niewielu lat majątek rozkwitł, jak to przepowiedział Teddy, miała teraz piękny dom, lecz nigdy nie zapomni czasów, gdy mieszkała w szałasie, gotowała nad ogniskiem i całymi miesiącami widywała wyłącznie czarne twarze.

Usadowiła się ostrożnie w wygodnym wiklinowym fotelu. Znów dawał jej się we znaki ból w krzyżu, pozostałość po upadku z konia wiele lat temu.

- Na starość będzie panią łamać w plecach - powiedział jej wtedy lekarz. - Od czasu do czasu, zwłaszcza na zmianę pogody.

Dużo tam wiedział, bolało jak diabli, i to prawie stale. Niektórych rzeczywiście łupało w krzyżu na deszcz; bóle Cornellii, tego była pewna, wróżyły kłopoty.

Żwirowym podjazdem zbliżał się zarządca, Tom Mansfield. Czego ten tu znowu chce? Mansfield miał pod sobą część pastwisk, lecz pod nieobecność Darcy'ego i Bena sprawował pieczę nad całym Caravale. Tym razem nie miał wiele do roboty, zwłaszcza iż pora deszczowa się opóźniała, oprócz pilnowania granic rancza przed najnowszą plagą, jaką byli poszukiwacze złota. Cornelia zauważyła mimochodem, że w końcu nauczył się porządnie wycierać buty przed wejściem na werandę.

- Dzień dobry pani - rzekł. - Przywiozłem pocztę. Spotkałem na drodze karawanę przewozową. Zmierzają do Charters Towers. Chłopcy bardzo się ucieszyli na mój widok, oszczędziłem im nadkładania drogi. - Wręczył Cornellii pękata płócienną sakwę.

- Czas, żeby zaprowadzono tu wreszcie porządne usługi pocztowe, zamiast kazać nam czekać, aż ktoś będzie miał interes w okolicy.

- Mówi się już na ten temat - rzekł Tom.

- Od dawna się o tym mówi.

- Wciąż gorąco i parno - zauważył, nie spuszczać oczu z sakwy.

Cornelia ani myślała otwierać jej przy nim. Wciąż jeszcze miała tu jakąś władzę.

- W pobliżu zachodniej granicy znaleźliśmy martwego wołu - ciągnął. - Pewnie zaszlachtowali go ci cholerni górnicy. Nie zadali nawet sobie trudu, żeby zakopać ścierwo. Nie byłbym zaskoczony, gdyby się okazało, że prócz tego skradli też parę sztuk. Przewoźnicy mówią, że będzie jeszcze gorzej. Podobno górnicy ciągną nad Cape jak szarańcza, wloką ze sobą rodziny i cały dobytek, a nie mają pojęcia o życiu w buszu. Wielu nie ma nawet zapasów żywności.

Cornelia niecierpliwie stuknęła laską.

- Biadolenie nic tu nie pomoże. Znasz swoje obowiązki. Jeśli ktoś spróbuje skraść nam bydło, zastrzel go.

- To nie takie łatwe. Rzeźnicy nad Cape nie zwracają uwagi na cechy, a nie mam dość ludzi, żeby szczelnie obstawić granice.

- Zatrudnij czarnych. Każdy z nich sprzedałby własną matkę, byle wsiąść na konia.

- Nie mogę dać im broni, to wbrew prawu.

- Więc daj im dzidy - roześmiała się Cornelia. - Pewnie już zapomnieli, do czego to służy, bo żyją z naszej łaski, przekłete obiboki. Zresztą złoto wkrótce się wyczerpie i wszyscy ci durnie potulnie wrócą do domów.

- Wcale na to nie wygląda. Podobno w dorzeczu Cape nadal odkrywają nowe złoża. Rachuje się, że ich wartość przekroczy te z Ballarat.

- Zobaczmy - rzuciła Cornelia, odprawiając go gestem. Mansfield zawsze musiał znaleźć sobie powód do narzekań.

Co za pech: wybierając ziemię pod swoją posiadłość, Teddy Buchanan wytyczył działkę o powierzchni tysiąca mil kwadratowych. Ze wschodu na zachód Caravale rozciągała się na trzydzieści pięć mil. Gdyby poszedł jeszcze trochę dalej, złotonośne tereny byłyby dziś własnością Buchananów, leżały tylko około stu mil na zachód. Pławiliby się w milionach. Była to jeszcze jedna rzecz, której nigdy nie wybaczy mężowi.

Otworzyła sakwę, odrzucając na bok gazety, katalogi sklepowe, listy do pracowników rancza, rachunki. Rachunki nie obchodziły jej, od dnia gdy się dowiedziała, że Teddy pominął ją w testamencie i zapisał wszystko chłopcom. Wszystko: posiadłość i dom, jej dom! Po tylu latach nie dostała nic, co mogłaby nazwać własnym. Łajdak! Na szczęście miała dobrych synów; Darcy i Ben kochali matkę i niczego by jej nie odmówili. Wciąż była panią Caravale, nadal mogła spełniać swoje zachcianki, ilekroć miała na to ochotę. Ale jak długo jeszcze? Co będzie, kiedy chłopcy przywiozą do domu żony? Niech panny nawet nie myślą, że uda im się ją zepchnąć do kąta! Niedoczekanie!

List od Bena. Nareszcie, czas już był najwyższy! Napisany na ładnym czerpanym papierze. Czytając go, Cornelia westchnęła ze zdumienia. Ciasno pisane słowa tłoczyły się jakby w podnieceniu. Sprzedali całe stado za rekordową cenę, spędzili parę dni na ranczo Sherwood - bardzo eleganckim - a w Brisbane Ben zatrzymał się w domu samego gubernatora! Coś takiego! Już miała zawołać Mae, żeby podzielić się z nią nowinami, ale chciała jeszcze trochę nacieszyć się nimi w samotności. Czytała dalej. Ben starał się o nominację do parlamentu stanowego Queensland. Miał zostać posłem. Jej syn! Uszczęśliwiona rozparła się w fotelu. Ben będzie jednym z najważniejszych ludzi w Queensland. Może nawet gubernator odwiedzi ich w Caravale, gubernator i hrabina. Boże, będzie musiała kazać wyremontować dom, gruntownie go odnowić.

Potrząsnęła niewielkim dzwonkiem, żeby wezwać Mae.

- Możesz to wszystko zabrać, zostaw mi tylko katalogi. Zdaje się, że do ciebie też jest list. Aha, nie będę teraz piła herbaty, przynieś mi dżin i zimną wodę. I cytrynę pokrojoną w plasterki.

- Widzę, że ma pani wieści od Bena - zauważyła gospodyni. - Zatem dotarli bezpiecznie do Brisbane?

- O tak. - Cornelia doszła do wniosku, że ogłosi nowiny w odpowiednim czasie i we właściwej formie. Jeśli zdradzi je teraz Mae, zmarnuje się cały efekt. Będą o nich wiedzieli wszyscy sąsiedzi, zanim zyska szansę, by zobaczyć ich miny. - Strasznie bołą mnie dziś plecy, dżin złagodzi ból - dodała.

Zaczekała, aż Mae wróci ze srebrną tacą, na której stała kryształowa karafka i także kieliszek. Potem naląła sobie czystego dżinu, żeby uczcić tę okazję.

Dalej Ben pisał, że Darcy zadurzył się w jakiejś pannicy, choć on osobiście wątpi, czy cokolwiek z tego wyjdzie. Cornelia zmarszczyła brwi. Żałowała, że Ben zepsuł radosny nastrój listu tą złowieszczą uwagą. Cóż, chłopcy mają prawo uwodzić dziewczęta w Brisbane; nie oczekiwała, że będą żyli w celibacie.

Podniosła kieliszek do ust. Był to najlepszy dżin, jaki dało się kupić. Przełknęła go ze smakiem, wspominając dni, kiedy trunek po pensie za szklanekę przepalał jej gardło.

- Daleko zaszaś, Nellie - mruknęła z zadowoleniem. Dobrze, że Teddy już nie żyje i nie może cieszyć się wraz z nią. Dobrze mu tak. Nie pozostał nikt, kto mógłby cokolwiek zarzucić Corneli Buchanan...

Zima w Caravale była jej ulubioną porą roku. Ciepłe dni i chłodne noce, wolne od przytłaczającej letniej duchoty i deszczu, pozwalały swobodniej odetchnąć. Szczególnie też lubiła tę właśnie porę dnia. Mężczyźni byli zajęci na pastwiskach, guwerner zabrał chłopców na spacer do wodospadów, a co najdziwniejsze, czarnym służącym udało się w miarę sprawnie wykonać niezbędne prace, Cornelia miała więc teraz cały dom dla siebie. Nareszcie ukończony, ten piękny dom, serce Caravale, należał do niej. Była z niego dumna, i dumna także z siebie.

Ruszyła spacerkiem przez pokoje, dotykając mijanych przedmiotów z uczuciem zmysłowej, ekstatycznej radości. Głaskała politurowane meble, lśniące lampy, lustra w połączonych ramach, pękate sofy. Przechodząc obok lustra, roześmiała się. Widziała w nim tę samą głupią wiejską dziewczynę, która w wieku czternastu lat uciekła z domu, zneconą jaskrawymi światłami miasta, przekroczyła granicę i dotarła aż do Londynu, gdzie poznała Clema Bunna.

Cornelia skrzywiła się. Dlaczego akurat teraz przyszedł jej na myśl Clem Bunn? Wciąż nękały ją koszmarne sny o latach spędzonych w Londynie, ponure, brutalne sny, w których znowu zbierała odpadki na brudnych ulicach z żołądkiem ściśniętym z głodu,

kradła, zebrała, nagabywała przechodniów... albo śniła jej się piwnica, służąca im za mieszkanie, rojąca się od szczurów. Cornelia potrząsnęła głową i podeszła do biblioteczki, szukając jakiejś lekkiej zajmującej powieści, która odpędzi od niej myśl o nędzy. Tamto minęło. Teraz była żoną Teddy'ego Buchanana, potomka znanego rodu hodowlanych baronów z Nowej Południowej Walii, i matką dwóch pięknych chłopców. Byli z Teddym małżeństwem już od czternastu lat... Boże, jak ten czas leci!

Ona i Teddy zamawiali tuzinami książki z katalogów, mieli potem pyszną zabawę, przeglądając je, gdy nadeszły. Sporej części jeszcze nie czytała. Wybrała cienką książeczkę zatytułowaną "Perły serc" i rozsiadła się w wielkim fotelu Teddy'ego, opierając stopy na podnóżku. Mimo to wciąż nie mogła się uspokoić. Nostalgia. Nienawidziła ciemnych chmur wspomnień, które tak często przesuwały się nad nią, nie pojmowała, po co ludzie w ogóle mieliby myśleć o przeszłości. Teddy i jego przyjaciele zawsze wspominali dawne dni, zanudzając ją tym na śmierć, choć pewnego razu omal nie spadła z krzesła, kiedy ktoś napomknął o Walterze Mc\$kenzie. Walter na szczęście zmarł na serce cztery lata wcześniej. Nie dziwota, mówili, to był dopiero stary lubieżny cap! To właśnie Walter wyciągnął ją z cuchnącej czeluści dolnego pokładu i zakwaterował we własnej kajucie na resztę długiego rejsu z Londynu do Sydney. Nellie było z nim dobrze, przynajmniej przez jakiś czas. W Capetown ubrał ją jak księżniczkę w modne suknie, a ponieważ był żonaty, umieścił kochankę w należącym do niego domu na Potts Point. Nie mogłaby marzyć o lepszym starcie w Sydney; nie musiała się martwić o pieniądze ani robić nic prócz udawania wielkiej damy, tego zaś nauczył ją Walter w ciągu czterech miesięcy na morzu. Potem jednak zaczęli ją nachodzić koledzy Waltera, stare przyki. Sam Walter ich podpuszczał, jawnie zachęcał, by skorzystali z usług jego metresy. Cornelia wyrzuciła wszystkich na zbity pysk. Ona, Cornelia Crabtree (wróciła do panińskiego nazwiska) nie wpuściłaby ich do łóżka, nawet gdyby oddali jej całą forszę. Każdy głupi wiedział, że kiedy facet dzieli się kochanką, to chce się jej pozbyć.

Na szczęście mniej więcej w tym czasie poznała na wyścigach Teddy'ego Buchanana. Powiedziała mu, że mieszka u ciotki. Teddy był urzeczony elegancką, rudowłosą młodą Szkotką; błagał ją, żeby za niego wyszła i pojechała z nim do Brisbane, gdzie negocjował zakup ziemi w północnej części stanu. Teddy nie był najgorszy: wysoki, swobodny, zawsze wesoły. Pobrali się w Brisbane, a potem wyjechali na północ do jego posiadłości, która z początku była piekłem na ziemi, a teraz...

Nie do wiary, co ci mężczyźni potrafią zdziałać, kiedy zechcą. Teddy zmienił to dzikie pustkowie w wielkie ranczo, karmiące około dwudziestu tysięcy sztuk bydła.

Uśmiechnęła się. Uwielbiała swój dom i była szczęśliwa z Teddym. Nie można było go nie lubić, rozśmieszał wszystkich swoim sarkastycznym humorem, a przy tym nic nie było w stanie wyprowadzić go z równowagi.

Czasem zastanawiała się, jak czuł się Walter, kiedy poszedł do domu przy Potts Point. Zniknęła, pozostawiając dom wyszorowany na glanc i kompletnie pusty. Sprzedała wszystkie meble. To była odpłata, jaką wzięła za to, że napuszczał na nią swoich pijanych koleżków.

Biedny Walter, leży zimny w grobie, doprawdy, jakaż szkoda! A ona żyje sobie długo i szczęśliwie jako pani na Caravale.

Cornelia otworzyła książkę. Bohaterka o imieniu Gwendoline była sierotą, jej rodzice zmarli w przytułku dla ubogich i nieszczęsne dziewczę zostało całkiem samo... Cornelia przerzuciła kilka ostatnich stron. Chwała Bogu, wszystko kończyło się dobrze. Uspokoiwszy się, czytała dalej.

Ktoś zastukał kołatką do frontowych drzwi. Poirytowana odłożyła książkę i wyszła do holu, sprawdzając po drodze, czy strzelba Teddy'ego wisi na haku nad komodą i czy jest naładowana. Na tym pustkowiu człowiek zawsze musiał mieć się na baczności; obcy, biali czy czarni, mogli być niebezpieczni.

Brodaty poganiacz zamajaczył w drzwiach niczym czarny cień na tle bijącego z zewnątrz światła.

- Nie widział pan tabliczki na bramie? - zapytała ze złością. - Jest na niej napisane: "Nie wchodzić". Kwatery pracowników są z tyłu.

Bezczelny typ nie uczynił najmniejszego wysiłku, aby zastosować się do jej polecenia.

- Spokojnie, paniusiu, chciałem ino z panią pogadać.

- Już mój mąż z tobą pogada, jak się dowie, że kręcisz się wokół domu! - Cornelia miała zamiar osobiście dopilnować, żeby Teddy się o tym dowiedział.

- Nie ma co się tak wnerwiać. Grzeczna rozmowa nikomu nie zrobi krzywdy.

Cornelia chciała zamknąć drzwi, lecz mężczyzna szybko podparł je ramieniem.

- Daj spokój, Nellie, chyba nie wyrzucisz starego przyjaciela?

- Nie znam pana - syknęła, próbując zwalczyć obezwładniający strach. Nikt w tym kraju nigdy nie nazywał jej Nellie.

- Chcesz powiedzieć, że nie pamiętasz swojego własnego chłopca, Nellie Bunn? To ja, Clem. Nie poznajesz mnie?

- Nigdy o takim nie słyszałam - oznajmiła z bijącym sercem.

- No, no, nie bądź taka mądra. Poświęciłem sporo czasu, żeby cię znaleźć, i nie wygonisz mnie tak łatwo. Lepiej poproś mnie do środka.

- Nie.

- W takim razie będę musiał pogadać z Teddym. To znaczy, uważasz, on będzie słuchał. Mówić będę ja.

Cornelia cofnęła się o parę kroków i wpuściła go do holu. Zamknął za sobą drzwi, nie zdołała mu przeszkodzić.

- Czego chcesz?

- Cóż... - rzekł, opierając się o drzwi, jakby chciał je zabarykadować od wewnątrz. - Mamy rachunki do wyrównania, nie? Wpakowałaś mnie do pierdła i zwałaś z forszą.

- Nieprawda. Opuściłam cię, bo byłeś zapijaczoną świnią. A teraz wynoś się stąd.

- Nie tak szybko. Wiem, że to ty mnie wrobiłaś. Odsiedziałem pięć lat w Newgate. Miałaś mnóstwo czasu, żeby zniknąć, prawda? Ale ja jestem gotów puścić wszystko w niepamięć. Honorny ze mnie gość. Czy wiesz, Nellie, że jestem tu od dwóch tygodni, a ty nawet mnie nie zauważyłaś?

- Ciekawe, po co miałabym na ciebie patrzeć?

- Też racja. Ale od dzisiaj będziesz mnie zauważać, złotko, bo inaczej twój stary się dowie, że masz na tym ranchu dwóch mężów.

Cornelia stała twardo w miejscu, choć żołądek ze strachu podjechał jej do gardła.

- Pytałam, czego chcesz.

- Racja. Czego chcę? Powiem ci. Jesteś teraz bogatą kobietą, Nellie. Jeśli dostanę pięćset funtów, odejdę.

Cornelia zadygotała.

- Nie wytrąsnę ci z rękawa takiej sumy. Musiałabym poprosić męża.

- Nellie, taka chytra sztuka jak ty na pewno znajdzie jakiś sposób.

- A jeśli zdobędę forszę, przysięgasz, że nigdy tu nie wrócisz?

- Słowo dżentelmena.

Spojrzała na niego gniewnie. Wciąż widziała przed sobą nieznaną twarz, może z wyjątkiem jasnych wodnistych oczu.

- Ty kłamco. Za miesiąc wrócisz po następną działkę.

Clem roześmiał się.

- Nie będę się przed tobą zgrywał, Nellie. Fakt, to możliwe. Oczywiście mógłbym wybrać się do Gypmie i wygrzebać sobie parę wiaderek złota, wtedy pewnie nie byłbym tak potrzebujący. Ale widzisz, jesteś mi coś winna. Wierz mi, oddałem ci nieliczną przysługę,

trzymając dziób na kłódkę. W baraku nikt nie wie, że jestem małżonkiem szefowej. Możemy więc dalej być przyjaciółmi. Ładny dom tu macie - rozejrzył się. - Mogłabyś przynajmniej zaprosić mnie na kielicha. Nie wypada trzymać gościa na stojąco w sieni.

Cornelia cofnęła się jeszcze o kilka kroków, z przerażeniem patrząc na jego triumfalny uśmiech.

Co takiego powiedział? Że nikomu nie mówił o ich związku. Dobrze. Nie będzie miał więcej okazji.

Chwyciła strzelbę i wycelowała w niego, z zadowoleniem obserwując, jak Clem zmienia się na twarzy.

- Hej, czekaj, Nellie! Nie bądź głupia, dziewczyno. Już idę! - Sięgnął do klamki.

- Nigdzie nie pójdziesz - warknęła. - Cofnij się od drzwi. - Postąpiła krok w głąb holu. - Wejź, tylko bardzo powoli.

Zaczął się ostrożnie przesuwać do przodu. Strzeliła mu prosto między oczy.

Kiedy upadł w fontannie krwi i strzaskanych odłamków kości, upuściła strzelbę, zmierzwiła sobie włosy i podarła bluzkę i spódnicę. Potem zrzuciła na ziemię wazon lilii z postumentu oraz fotografie z komody, przesunęła chodnik w holu i z krzykiem wybiegła na dwór, kierując się w stronę obozowiska czarnych. Wiedziała, że gdy usłyszą o napaści na panią, narobią więcej zamieszania niż stado dzikich koni puszczone luzno w domu.

Teraz, dziesięć lat później, czytając list Bena, czuła się usprawiedliwiona. Nie zrobiła tego na próżno. Nie było skandalu. Panią Buchanan napadł intruz, który podstępnie wybrał sobie porę, gdy mężczyźni zajęci byli przeglądem bydła na pastwiskach, musiała więc się bronić.

Gdybyż nie Teddy i te jego cholerne skrupuły! Teddy przeprowadził drobiazgowe śledztwo, chcąc ustalić tożsamość napastnika, i niemal rok później rzucił jej w twarz słowa:

- Ten człowiek był twoim mężem. Nigdy się z nim nie rozwiodłaś. Nie jesteś moją żoną.

Buchananowie potrafili chronić dobre imię rodziny ze względu na dzieci.

Teddy przeniósł się do innej sypialni, nadal traktował żonę uprzejmie, acz chłodno, i nigdy więcej nie wrócił do tej sprawy. Cornelia zbyt się tym nie zmartwiła. Separacja od łoża nie była dotkliwą karą, a przy Teddym była bezpieczna.

Nalala sobie jeszcze jeden kieliszek dżinu, tym razem większy, wspominając z wściekłością otwarcie testamentu. Dopiero wówczas naprawdę ją ukarał. Nie zostawił jej nic, nawet jednego stołka. Od owego dnia żyła tu po prostu na łasce swoich synów. Dobrze, że to Ben ma zostać członkiem parlamentu, czasami jest ciężki do zniesienia. Nakłoni go,

żeby kupił dom w Brisbane, znalazł sobie żonę i osiadł na stałe w mieście. Darcy jest bardziej podobny do ojca. Wyszuka mu jakąś miłą cichą dziewczynę, która będzie robić, co jej każą.

Tak. Dżin zawsze poprawiał jej samopoczucie. Każdy problem da się przecież rozwiązać.

Burza piaskowa trzymała ranczo w oblężeniu. Duszący czerwony pył nadlatywał, mieciony wiatrem z interioru, i zawisał w powietrzu niczym całun, zaćmiewał słońce i zmieniał dzienne światło w upiorną pomarańczową mgiełkę. Ptaki milczały, dzikie zwierzęta chroniły się w norach, bydło skupiało się razem, zwieszając łby i osłaniając się wzajemnie, domostwo było uszczelnione niczym fort.

Cornelia całym sercem nienawidziła tych suchych nawałnic. Czasami trwały kilka dni, w domu robiło się nieznośnie duszno, a mimo podjętych środków zaradczych wiatr przenikał do wnętrza, pokrywając wszystko warstwą pyłu. Cornelia niespokojnie krążyła po pokojach, podpierając się laską. Ból w plecach ją wykańczał, w zębach zgrzytał piach; miała go pełno we włosach, w ustach, w nosie. Burze miały własny zapach, grzybiczny odór stęchlizny i zmurszałych kości, który przyprawiał ją o wymioty. Dziś na zachód od Caravale znajdowały się inne posiadłości, nieraz o wiele większe, nawet dziesięciokrotnie, jak jej mówiono. I tym lepiej. Cornelia przeciągnęła palcem po zbitej warstwie kurzu na kredensie.

- Nie śpieszno mi oglądać te rancza daleko na zachodzie - powiedziała do Mae - jeżeli cała ziemia od nich leci do nas.

- Chrząści jak piasek - dodała Mae.

- Do licha, to zwyczajny jałowy pył. Będziemy szorować z niego dom przez tydzień.

Mae odsunęła firankę i wyjrzała na dwór.

- Chyba się trochę przejaśnia - stwierdziła.

Widoczność była słaba, mimo to wydawało jej się, że dostrzega czterech zbliżających się jeźdźców. W kapryśnym świetle migotali i rozpływali się jak fatamorgana. Zdązali długim prostym traktem od głównej drogi pod dom. Mae wzdrygnęła się. Wyglądali jak upiory, ciemne widmowe sylwetki o rozmytych konturach, poruszające się wolno i rytmicznie.

- Ktoś nadjeżdża - szepnęła, jak gdyby się bała, że tamci mogą ją usłyszeć.

- Niemożliwe. Kto wybrałby się w drogę w taki dzień jak dziś? - Cornelia gwałtownym ruchem odgarnęła firankę i wbiła wzrok w tuman pyłu. - Nie podoba mi się ich wygląd - rzekła po chwili. - Przynieś strzelbę.

- Którą?

Cornelia miała nowego colta, ale zawsze pewniej obchodziła się z karabinem. Darcy kupił jej ostatni model. Chłopcy byli dumni z matki, miała wyśmienite oko i lubiła

współzawodniczyć z mężczyznami w strzelaniu do celu. Naładowała broń, obserwując nieznajomych.

Konie miały worki na głowach, żeby kurz nie zasypał im oczu, jeźdźcy zaś byli okutani szmatami, z kapeluszami naciągniętymi na oczy i chustkami na twarzach. Nie sposób było stwierdzić, kim są.

- Możliwe, że to bandyci - powiedziała Cornelia do Mae. - Biegnij do baraku i skrzyknij mężczyzn. No, rusz się!

Opuściła firankę. Przybysze zsiadli z koni przy bramie wiodącej na majdan. Z opuszczonymi głowami, dłońmi chroniąc oczy, powlekli się poprzez podwórze - za wolno, pomyślała - i weszli na werandę. Gdy zapukali do drzwi, Cornelia cicho odryglowała francuskie okno i stanęła w nim z bronią gotową do strzału.

- Nie ruszać się! - warknęła.

Zaskoczeni, obejrzeni się w jej stronę. Stała na werandzie o dziesięć stóp od nich.

Zastygli w miejscu, jakby zamienili się w kamień. Nadal nie była w stanie rozpoznać żadnego z nich.

- Pani Buchanan... - odezwał się jeden z mężczyzn, lecz Cornelia nie zamierzała pozwolić, żeby gadaniem rozproszyli jej uwagę.

- Milczeć! - rozkazała, trzymając ich na muszce. - Nie ruszać się, bo strzelę, i nie myślcie, że się zawaham.

W tejże chwili nadbiegli uzbrojeni pracownicy rancza, którzy otoczyli przybyszów, pytając, kto zacz.

Jeden okazał się sierżantem policji z Bowen. Towarzyszyło mu dwóch młodych Connorów, znanych z rancza South Bowen, i - co było największą niespodzianką - pastor Charlie Croft. Żaden wszakże nie śmiał się z nieporozumienia.

Kiedy kowboje opuścili broń, a Mae pobiegła przygotować poczęstunek, Cornelia wprowadziła gości do domu, przepaszając za chłodne powitanie.

- Nie ma potrzeby przepaszając, droga pani - wymamrotał wielebny Croft. - To najzupełniej zrozumiałe. I, śmiem twierdzić, rozsądne z pani strony.

- Bardzo rozsądne - dodał sierżant - zważywszy, jakie mamy czasy.

Przestępowali z nogi na nogę, mieli w dłoniach kapelusze i wciąż nie siadali. Cornelia miała wrażenie, że na zakurzonych twarzach widzi strach.

- Skąd droga prowadzi? - zapytała. - Paskudny dzień na podróż.

- Jedziemy prosto z Bowen - wypalił Dicky Connor. - Pędziliśmy na złamanie karku.

- Z Bowen? - zdumiała się Cornelia; w najlepszym razie oznaczało to trzy dni drogi. -

Dlaczego? Co się stało?

Pastor delikatnie ujął ją za ramię.

- Sądzę, że powinna pani usiąść, pani Buchanan.

Cornelia wyrwała rękę.

- Proszę mnie zostawić. O co chodzi?

Teraz z kolei do przodu wysunął się sierżant.

- Mamy dla pani złe wieści, pani Buchanan. Bardzo złe wieści. W Brisbane zdarzył się wypadek.

Pot na ciele Cornelii zmienił się w lepki lód. Zadygotała.

- Kto? Kto miał wypadek?

- Darcy - rzekł sierżant. - Wdał się w bójkę...

Zapadła cisza.

Bójka. Darcy brał już udział w bójkach. Ci milczący mężczyźni... Charlie Croft miał łyzy w oczach.

Podniosła głowę.

- Jest bardzo źle?

Sierżant westchnął głęboko.

- Przykro mi, proszę pani, ale Darcy nie żyje.

Darcy? To nieprawda. Miał przecież zaledwie dwadzieścia pięć lat.

- Kto tak twierdzi? - zapytała wyniośle, stawiając chłodny odpór tej wyszanej z palca bredni. - Skąd wiecie?

- Otrzymaliśmy depezę, proszę pani. Proszono, by natychmiast panią powiadomić.

- Gdzie jest Ben? - Cornelia wciąż broniła się przed hiobową wieścią.

- W Brisbane, szanowna pani. Cały i zdrowy. Został, żeby wszystkiego dopilnować.

To znaczy... pogrzebu. Tu obecny pastor przybył z nami, żeby odprawić nabożeństwo w Caravale...

- Oczywiście jeżeli pani sobie tego życzy - wtrącił Croft.

Cornelia patrzyła na niego. Inni jakby się cofnęli, skulili; dostrzegła ich z daleka, jak przez mgłę.

- Darcy nie żyje? - zapytała żałośnie, błagalnie. - Mój Darcy?

Podtrzymały ją czyjeś ręce.

Mae szlochała w głos, mężczyźni szeptali, sufit wirował, szum w głowie Cornelii nasilał się jak krzyk bólu. Zrobiła wysiłek, by nad sobą zapanować.

- Wybaczcie, panowie - rzekła, kierując się w stronę drzwi; rozpaczliwie usiłowała odegrać rolę, której wszyscy od niej oczekiwali, którą będą wspominać jeszcze przez wiele lat. Wzrok zaćmiła jej fala łez. - Mae, dopilnuj, żeby panowie zostali należycie ugoszczeni. - Odwróciła się ku nim z wysoko uniesioną głową. - Jestem panom niezmiernie wdzięczna za ich życzliwość.

Mae pobiegła za nią.

- Pani Buchanan, tak mi przykro. Czy mogę jakoś pani pomóc?

- Tak, podaj im napitki. I przyzwoity obiad. I dopilnuj, żeby mieli gdzie spać.

- Ale co z panią?

- Daj mi brandy - wychrypiała Cornelia - i zostaw mnie samą.

Po raz pierwszy w życiu Cornelia czuła tak wielki ból, a zarazem coś na kształt mglistego zdumienia, iż nie jest w stanie nad nim zapanować. Wzięła chusteczkę i zaczęła chodzić w kółko po pokoju. Usiadła na łóżku, podeszła znów do okna, lecz targający nią szloch nie ustawał. Darcy'ego nie ma! On i Ben byli jedynymi ludźmi, którym poświęciła serce, na których jej zależało. Co się stało? Chciała znać każdy szczegół, jednakże wstrząs był zbyt silny, w tej chwili nie zniosłaby opowieści o jego śmierci.

W oddali posłyszała głośnie jęki, a potem rytmiczne dudnienie bębnów, wznoszącą się kadencję didgeridoo. Czarni zaczęli opłakiwać Darcy'ego. Zawodzenie przybrało na sile, stawało się coraz bardziej przenikliwe. Żałobne obrzędy czarnych zawsze irytowały Cornelię, dziś niosły jej pociechę. Chciała krzyknąć pod niebiosa, lecz nie mogła. Aborygenki zrobią to za nią, będą krzyknąć i jęczeć, i rwać włosy z głowy, bo one także kochały Darcy'ego.

Cornelia poddała się hipnotycznej, donośnej inkantacji; nasłuchiwała monotonnych powtórzeń i basowych tonów, wtapiających się bez echa w brunatny, ciemniejący pejzaż. Po chwili i ona zapadła w mrok.

Ben wiedział, że powrót do domu będzie trudny, ale czegoś takiego się nie spodziewał. Rozpaczliwie i zgoła obłąkańczo żałował, że nie ma z nim Darcy'ego. Darcy potrafił sobie radzić z matką, umiał tworzyć wrażenie, jak gdyby był jej starszym bratem, łagodził jej humory delikatnymi, przekornymi docinkami. Ben czuł się bezbronny w obliczu jej przerażającego gniewu.

Bóg mu świadkiem, nie dość, że stracił brata, będzie jeszcze musiał żyć z brzemieniem winy. Gdybyż tylko... Do diabła, nie było sensu po raz tysięczny rozpamiętywać wszystkiego od początku. Tamci byli tak przybici, że nikt nie odważył się napomknąć o paskudnym dowcipie, który się nie udał. To zresztą jeszcze by pogorszyło sytuację. Nie chodziło tylko o odpowiedzialność karną, w końcu to naprawdę był wypadek. Jak zdołaliby spojrzeć ludziom w oczy? A Cornelia... Jezu, gdyby się dowiedziała... I tak było już dostatecznie źle.

Po pogrzebie musiał zatrzymać się jeszcze przez jakiś czas w Brisbane. Nerwy miał w strzępach, desperacko szukał porady prawnej. Cały jego świat się rozpadł. Modlił się, żałował, że nie może cofnąć czasu i naprawić swych błędów. Wciąż płakał po Darcym, a sumieniu ciążyło mu jak kamień, ale już zaczynał płacić. Pokuta rozpoczęła się od razu. Mógł odtąd zapomnieć o karierze politycznej, w pierwszym rządzie musiał zająć się Caravale. I oto był w domu już od tygodnia, lecz wciąż nie czuł się na siłach, by poinformować matkę o zaistniałej sytuacji. Wszystko stało na głowie, a on usiłował ogarnąć to wszystko rozumem i równocześnie uspokoić Cornelię.

Miała dość czasu na boleść. W Caravale zostało odprawione nabożeństwo, zjechali się ludzie z farm oddalonych o setki mil, żeby złożyć jej kondolencje, podobnie zresztą jak tabuny czarnych. Mae opowiedziała mu o tym.

- Wszyscy kochali Darcy'ego - załkała.

Ben poczuł się dotknięty. Miał wrażenie, jak gdyby ludzie porównywali go do Darcy'ego, stwierdzając, że nie dorasta mu do pięt.

Cornelia przywitała go w domu ze łzami, jednakże po paru godzinach rozpętało się piekło.

- Kto to zrobił? Kto zabił mojego syna?

- Mamo, wiesz, co się stało. Przywiozłem ci raport koronera.

- Jakie podjąłeś kroki?

- A cóż mogłem zrobić?

- Powinieneś być powystrzelać tych drani!

- Jasne! I dać się powiesić.

- Pozwoliłeś, żeby uszło im to płazem.

- Nie chcieli go zabić. To był wypadek. Nie sądzisz, że oni też nad tym boją?

- Jakżeby nie! Napisali do mnie. Zabili mi syna i jeszcze mieli czelność pisać! Oni i ich przekłeci rodzice! Jeżeli którykolwiek z tych ludzi postawi nogę na tej ziemi, sama go zabiję, skoro ty nie miałeś dość ikry, żeby to zrobić.

- Mamo, na litość boską!

- Jeśli nie chciałeś sam brudzić sobie rąk, mogłeś komuś zapłacić. Nadal możesz to zrobić.

I tak było stale, dzień po dniu. Żyła nienawiścią i marzeniem o zemście. Ginger Butterfield zaofiarował się, że odwiezie Bena do Caravale. Ben rad był, że odmówił, byłoby podłością narażać Gingera na te sceny. W owym czasie zresztą wolał jechać sam. Łaknął przyjaznej duszy i bał się, że w czasie długiej jazdy z Bowen do Caravale rozklei się i wyzna prawdę. Rozmowy przy ognisku, ciche noce spędzane w buszu... Cisza ziemi nagina człowieka, przejmuje nad nim władzę, wydziera zeń sekrety, jak gdyby tylko Bóg ich słuchał...

Ben był wytrawnym Buszmenem, potrafił wytyczyć pewną, prostą trasę, o wiele krótszą niż pełne niepotrzebnych zakrętów i zwrotów szlaki, którymi przemieszczały się karawany wozów i pieszych górników, dążących z rodzinami nad rzekę Cape. Podróżował więc przez busz samotnie, za całe towarzystwo mając przymilnego ogiera czystej krwi, którego kupił w Bowen, oraz małą zajadłą suczkę, siedzącą dumnie na końskim zadzie. Znalazł ją w zaułku za oberżą, pogryzioną i krwawiącą, gdzie łąpczywie wyjadała odpadki. Wkrótce jednak wylizala się z ran i mógł wieźć ją za sobą w siodle. Nazwał ją Blue.

- Wyrzuć tego psa z domu! - napadła na niego matka poprzedniego wieczoru. - Miejsce psów jest na podwórzu.

- Blue należy do mnie. Nie chcę puszczać jej do innych psów, dopóki się nie oswoi z nowym miejscem.

- Ma w sobie krew dingo, poznać to po jej oczach.

- Tak. Jest bardzo mądra.

- Darcy nigdy nie sprowadzał psów do domu.

- Owszem, bo one urodziły się na ranczo.

- Miał więcej rozumu od ciebie.

Ben zignorował tę uwagę.

- Chłopcy z Merri Creek zaczęli przepęd - powiedział. - Będą się trzymać szlaku, ale rano wezmę poganiaczy i przypilnuję, żeby nasze bydło nie wypuściło się z nimi na włóczęgę. Ten nowy szlak bydłący nad Cape biegnie tuż przy naszej północnej granicy.

Matka przebrała się do kolacji; ciemnorude włosy, przyprószone siwizną, miała starannie ułożone w fale. Do twarzy jej było w czerni, lecz Ben nie odważył się powiedzieć tego na głos. Zauważył, że piła; była w uszczypliwym nastroju, co i tak stanowiło ogromny postęp w porównaniu z wcześniejszymi atakami furii.

- Gdybyście się nie uparli na podróż do Brisbane do tych waszych wysoko urodzonych przyjaciół, sprzedalibyście bydło nad Cape i Darcy wciąż by żył.

- Nie zaczynaj od nowa. Wiesz doskonale, że znaleźli tam złoto już po naszym wyjeździe.

Cornelia podziobała widelcem w talerzu.

- Dlaczego ty mieszkałeś w domu gubernatora, a twój brat musiał gnieździć się w oberży?

Ben nie odpowiedział. Tłumaczył jej to dziesiątki razy.

- Myślałam właśnie - rzekła jedwabistym tonem - jak by to było, gdyby zabili ciebie, nie Darcy'ego?

- Przykro mi, że się zawiodłaś.

- Nie zrozumiałaś mnie, Ben. Chodziło mi o to, że Darcy nigdy by nie puścił tego płazem. Widzisz, Darcy był bardzo lojalny. Cenił sobie rodzinę.

Ben gniewnie odepchnął krzesło.

- Dość - uciął. - Pozwól, że ci powiem, jak bardzo lojalny był Darcy. Nie wspominałem ci o jego dziewczynie...

- Owszem, wspominałem o niej w liście. Zachowałam go.

- Świetnie, widzę, że masz dobrą pamięć, kiedy jest to dla ciebie wygodne. Nie wiesz jednak tego, że zamierzał się z nią ożenić. Ustalili datę. Wszystko było już przygotowane.

- Co? Nie wierzę!

Role się odwróciły. Ben poczuł niejaki zadowolenie na myśl, że teraz on wsadzi matce kilka szpil.

- To przyjęcie, po którym wywiązała się bójka, to był jego wieczór kawalerski.

- Darcy nie ożeniłby się, nie informując mnie o tym.

- Wkrótce byś się dowiedziała, miał zamiar przywieźć ją ze sobą do domu.

- Kim ona jest? Znam ją?

- Oczywiście że nie. Sam Darcy znał ją ledwie od tygodnia. Była pokojówką.

Cornelia spojrzała na niego. Potem potrząsnęła głową, jak gdyby chciała odsunąć tę sprawę na dalszy plan.

- No cóż... Darcy wiedział, co robi, nie był głupcem. Teraz to i tak nie ma znaczenia.

- Tak sądzisz? Pozwól, że wyprowadzę cię z błędu. Czekalem na sposobniejszy moment, żeby ci to powiedzieć, ale skoro najwyraźniej postanowiłaś dręczyć mnie przez resztę życia, pora, byś się dowiedziała, jak lojalny był Darcy. Zapisał tej dziewczynie cały swój majątek, w gotówce i nieruchomościach.

Cornelia zbieleła na twarzy. Mimo że bardzo dbała o cerę i nigdy nie wychodziła na dwór bez kapelusza, jej jasna, piegowata skóra ogorzała w ciągu lat spędzonych w buszu. Teraz była blada jak ściana.

- Coś ty powiedział? - syknęła.

- Powiedziałem, że ta przeklęta awanturnica jest teraz właścicielką połowy Caravale.

Jack Middleton był mile zaskoczony, kiedy wysiadł na ląd w Bowen - do niedawna noszącym nazwę Port Denison - wraz z Alice, Perfy i ich nową służącą, Diamond.

Na pierwszy rzut oka miasteczko zdawało się być pogrążone w chaosie. Przystań wypełniała najbardziej niechlujna zbieranina jednostek pływających, jaką w życiu widział. Kotwiczyły tam lugry i szkunery, małe łodzie żaglowe, kutry, barki, nawet skołatane azjatyckie dżonki. Nieco dalej od brzegu cumowało wyniośle kilka kliprów i pasażerski liniowiec "Duke of Roxburgh", którym tu przyплыли.

Mieli szczęście, że udało im się dostać bilety. Pokład zapchany był setkami poszukiwaczy złota. Dalszy rejs, jak oświadczył kapitan pasażerom pierwszej klasy, będzie przebiegał normalnie, aczkolwiek tego już Middletonowie nie mieli okazji sprawdzić, schodzili bowiem ze statku wraz z całą tą tłuszcą.

Niesłychanie długa keja ciągnęła się pod kątem prostym od brzegu zatoki, jednakże tłoczyło się przy niej tyle łodzi, że szalupa musiała przybić wprost do plaży. Marynarze zapewnili ich, że bagaże zostaną dostarczone później, toteż Jack poprowadził rodzinę w stronę miasta oczyszczoną ścieżką pomiędzy szpalerem palm i soczyście zielonych krzewów. Wyszli na szeroką główną ulicę, drzemiącą w popołudniowym słońcu. Schludna prowincjonalna osada robiła wrażenie, jakby jakimś cudem zdołała połączyć wszystkich poszukiwaczy złota, którzy wedle doniesień tu przybyli.

- Przepraszam, czy pan Middleton? - Podszedł do nich młody człowiek, odziany w schludne białe tropikalne ubranie i korkowy hełm.

- Tak, to ja - odparł Jack.

- Bogu dzięki. Właśnie pana szukałem. Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem Herbert Watlington, pośrednik.

- Witam - rzekł Jack. - To bardzo uprzejmie z pana strony, że wyszedł nam pan na spotkanie. Czy pokaże nam pan, gdzie jest ten dom?

- Oczywiście. Być może powinienem znaleźć dla państwa powóz, to spory kawałek drogi.

Jack odwrócił się do żony.

- Co powiesz, matka? Wolisz czekać na dorożkę, czy idziemy piechotą?

- Wolę iść - odparła Alice. - Muszę rozprostować nogi. Wciąż jeszcze niepewnie stąpam po tym rejsie.

Jack przedstawił rodzinę i wszyscy ruszyli dalej.

- Ależ ta ulica jest szeroka - zauważył. - Ledwo widać drugą stronę.

- Owszem, wygląda nieco dziwnie - przytaknął Watlington. - Za to jest niebywale wygodna, zwłaszcza rankiem, kiedy górnicy z końmi i dobytkiem ustawiają się w konwój. Codziennie wyrusza stąd karawana nad Cape. Podróżują razem, żeby się nie zgubić.

- Jak daleko stąd są odkrywki?

- Około trzystu mil w linii prostej, ale drogę przegradzają rzeki i wąwozy.

Jack kiwnął głową i obejrzał się za kobietami, które szły nieco wolniej, zaglądając do sklepów wtłoczonych pomiędzy oboje i banki. Zgadywał, że ten młody człowiek od niedawna przebywa w kolonii, jego akcent wciąż był zbyt gładki, a maniery zaiste komiczne. Ale, tu trzeba oddać mu sprawiedliwość, wywiązawszy się z umowy i zgarnąwszy należność, nie musiał dodatkowo się fatygować i wychodzić im na spotkanie.

- Od lat mieszkam w Queensland - rzekł - a wciąż nie potrafię sobie uzmysłwić rozmiarów tego stanu. Kapitan mówił, że z Brisbane do Bowen pokonaliśmy ponad tysiąc pięćset mil wzdłuż wybrzeża.

- To prawda - odparł Herbert entuzjastycznie. - Sprawdziłem na mapie, nim sam dałem temu wiarę. Bowen jest i tak dopiero w połowie drogi. Drugie tyle musiałby pan pokonać, żeby dotrzeć do przylądka York na północy. Queensland! - roześmiał się. - Zastanawiam się, czy nasza droga królowa ma pojęcie o ogromie krainy, nazwanej tak na jej cześć. Wątpię, czyby w to uwierzyła. Prędzej odesłałaby mierniczych z powrotem, żeby sprawdzili obliczenia.

- Jak daleko jest do najbliższego miasta? - spytał Jack.

- Najbliższe miasto? - Herbert spojrział na niego zdumiony. - Cóż, przypuśćmy, że można tak nazwać Townsville. Dwieście mil wzdłuż wybrzeża na północ. Leży nad zatoką Cleveland.

- Myślałem raczej o miejscowościach w głębi lądu.

- Drogi panie Middleton, w głębi lądu nie ma żadnych miast. W pobliżu odkrywek znajduje się osada zwana Charters Towers, aczkolwiek nie podejrzewam, by była czymś więcej jak tylko wysuniętą placówką handlową, zaopatrującą tamtejsze wielkie gospodarstwa hodowlane.

- Mówi pan poważnie? - Jack był zaskoczony. Żadnych miast? Jak mógł wywieźć Perfy w tę cholerną głuszę?

- Jak najbardziej - potwierdził Herbert. - Rzec można, iż tkwimy tu na najdalszych rubieżach cywilizacji. Trudno bowiem brać w rachubę górnicze osady. Byłem tam i wiem, z cywilizacją miejsca owe nie mają nic wspólnego. Dom państwa jest za rogiem. Oto Carter

Street. - Skręcili w przecznicę; przewodnik zaczekał, aż kobiety ich dogonią. - Chodźmy, moje panie. Wiem, że jest gorąco, ale to naprawdę już niedaleko. - Poprowadził ich uliczką i z szerokim teatralnym gestem oznajmił: - Voil~a!

- Gdzie? - zapytała Alice.

- Tuż przed nami, po drugiej stronie ulicy - odparł Herbert. - Chciałem, żeby najpierw przyjrżeli się mu państwo stąd.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła Alice, a Perfy złapała matkę za ramię.

- Jest przepiękny. Uroczy!

Jack zaniemówił. Dom - ich dom - miał wysokie stropy i werandę, która otaczała go ze wszystkich stron. Był obszerny i stał na co najmniej półakrowym soczystozielonym trawniku, wśród cienistych drzew i kwitnących krzewów. Od ulicy odgradzał go długi, starannie przystrzyżony żywopłot, z którego środka biegła wykładana kamiennymi płytami dróżka, prowadząca pod frontowy ganek.

- Człowiek, który to zbudował, był Prusakiem - rzekł Herbert - i osobnikiem dość niezwykłym.

Kiedy zwiedzali dom, Jack zastanawiał się, co pomyślałby o tym jego świętej pamięci ojciec. Oczy zaszyły mu mgłą na wspomnienie tego upartego starego capa, który dokonywał cudów, by wykarmić rodzinę z pensji górnika i utrzymać synów w ryzach za pomocą kopniaków i łajania. Boże, ileż to lat minęło... Stary pewnie w ogóle by się nie zgodził tu zamieszkać; zawsze sarkał na wszystkich, którzy próbowali wynosić się ponad swoją klasę.

Jack westchnął i zdjął surdut. Nie miał wielu cywilnych ubrań, zresztą w tym klimacie niezbędne były właściwie tylko spodnie i koszula. Jezu, jak gorąco! Nie wiedzieć czemu ogarnęła go tęsknota za kojącym chłodem Anglii, chęć, by znów ujrzeć przemianę pór roku, posłyszeć chrzęst jesiennych liści pod stopami, zobaczyć mgłę i okryte szronem drzewa. Tu było tylko bardziej lub mniej upalnie, sucho lub mokro, wszechobecną zieleń pokrywał kurz lub krople deszczu. Wzdrygnął się. Alice zawsze w takich chwilach mawiała: "Ktoś przeszedł po twoim grobie". Otrząsnął się z przygnębienia i wrócił do spraw bieżących.

- Chciałbym się zorientować, gdzie jestem - zwrócił się do Herberta. - Gdzie mógłbym zakupić mapę tej części świata?

- Mapy tego regionu są rzadsze niż białe kruki - odparł agent. - Proszę pozostawić to mnie, panie Middleton, osobiście poszukam dla pana mapy.

- Potrzebowałbym takiej, która ukazuje również wnętrze łądu, nie tylko okolice Bowen.

- Naturalnie. Czy jest pan zainteresowany kupnem ziemi w interiorze?

- To niewykluczone - rzekł Jack enigmatycznie.

- Wobec tego ja już się pożegnaj - bąknął Herbert. - Cieszę się, że pański nowy dom nie sprawił panu zawodu.

- To nie mój dom - sprostował Jack. - Właścicielką jest moja córka.

Obejrzał się. Ścieżką w stronę domu szły trzy kobiety z koszykami.

- A któż to znowu?

- Miejscowe panie. Jeśli nie liczyć górników, którzy przybywają i odchodzą, nasza społeczność w Bowen jest doprawdy nieliczna, toteż panie chcą zapewne przywitać nowych sąsiadów.

- Patrzcie państwo! - zdziwił się Jack.

Usunął się na bok, obserwując jak jego żona i Perfy witają gości. Alice była uszczęśliwiona. Imponowało jej, że przyjmują ją w tym mieście jako szanowaną obywatelkę. Miała to wypisane na twarzy. Będzie musiał zwrócić jej uwagę. Ale nie dziś. Dziś był najszczęśliwszy dzień w jej życiu.

Diamond cicho krzątała się po domu. Jej też się spodobał. Czula w nim jeszcze ślady obecności rodziny, która przedtem tu mieszkała; słyszała śpiew córek, słowa ojca, dobrego człowieka, który przypominał jej kapitana Beckmana, nucenie pani domu, Niemki, szczęśliwej w swej schludnie wyszorowanej kuchni. Przybyłe panie opowiadały właśnie Perfy i jej rodzicom o poprzednich właścicielach domu, lecz Diamond nikt nie musiał o nich mówić, wszędzie odcisnęły się ich kochające dłonie. Jaka szkoda, że pieniądze wywabiły ich z tej spokojnej przystani. Niepokoila się o nich, przeczuwając, że zbyt szybko, zbyt pośpiesznie odeszli z teraźniejszości w złowieszczą przyszłość.

Może zresztą myślała o swojej opiekunce. Gussie przysłała jej kilka smutnych listów. Pisała, że łamie ją w kościach chłód Niemiec i wciąż czuje się przygnębiona, nie będąc panią we własnym domu. Mieszka u rodziny, lecz synowa nie bardzo ją lubi. Diamond uznała, że to bardzo dziwne, i specjalnie dobierała słowa w swoich listach, chcąc tchnąć nieco radości w panią Beckman. Dopóki pracowała w pralni przy rezydencji, niewiele miała do opowiadania, teraz jednak zobaczyła tyle interesujących rzeczy, że nie mogła się już doczekać, kiedy je opíše.

Panna Perfy kupiła jej kilka bluzek i spódnic, nareszcie więc mogła się rozstać z brzydkimi fartuchami, powstał jednak problem w związku z nakryciem głowy. Pani Middleton utrzymywała twardo, że nie uchodzi, by kobieta pokazywała się poza domem bez kapelusza, ale każdy wyglądał idiotycznie, nasadzony na gęstą, mocno skręconą grzywę Diamond. W końcu Alice owineła jej głowę szalem na wzór turbanu i to zdało egzamin. W gruncie rzeczy wyglądała w nim tak dobrze, że miała teraz kilka szerokich bawełnianych szarf. Mijając lustro, zerknęła, by się upewnić. Tak, w turbanach naprawdę jest jej do twarzy, podkreślają jej miedzianą skórę i wysokie kości policzkowe, a całkowicie zakrywając włosy, dodają jej szyku. Co więcej, choć i tak jak na kobietę jest wysoka, te piękne turbany sprawiają, że wydaje się jeszcze wyższa, zwłaszcza iż chodzi z dumnie uniesioną głową. Najważniejsze jednak, że wszyscy są zadowoleni.

Middletonowie byli zbyt podekscytowani, by zauważyć rozczarowanie Diamond, gdy rozdzielano pokoje. W domu były cztery duże sypialnie i służbówka w przybudówce na podwórzu, obok pralni. "Miejsce dla pokojówki" - rzekł agent, odgadując jej pozycję. Diamond została więc umieszczona w służbówce. Wzruszyła ramionami. Skąd pomysł, że ta rodzina miałaby różnić się od innych? Czarni nie śpią w domach białych ludzi. Tylko że Diamond nigdy nie uważała się za czarną, w ogóle nie zastanawiała się nad kolorem swojej skóry.

Tak czy owak udało jej się pokonać szmat drogi na północ, a pomieszczenie było duże, wygodne i zbawiennie chłodne w nocy, zwłaszcza że zamiast szyb miało w oknach płócienne rolety. Ostatnio Diamond znowu sporo myślała o swoim plemienu. Teraz знаła już właściwe słowo. Została porwana. Nie żyła urazy do Beckmanów, którzy w swoim mniemaniu ją uratowali - i prawdę mówiąc, rzeczywiście tak było - od czasu do czasu tylko czuła drobne ukłucia gniewu. Pozbawiono ją jej miejsca na ziemi. Czuła, że pod pewnymi względami nie dorasta do pięt swoim współplemioncom - wiedzieli tyle rzeczy, które i ona powinna była poznać, a które czasami nieomal jej się nasuwały, były tuż, tuż, choć nigdy...

- Diamond! - zawołała Alice. - Chodź, szkoda czasu na dumania, mamy mnóstwo roboty!

W Caravale panował wzmożony ruch. Ostatnio w okolicy ciągle kręcili się obcy. Kupcy, nie mogąc się doczekać, aż przeznaczone na sprzedaż stada trafią do górniczych osad, przyjeżdżali na ranczo osobiście, pętali się po wygonach, targowali o ceny - co prawda Ben był trudnym przeciwnikiem, twardo stał przy swoim. Cornelia nigdy dotąd nie widziała, by pracował tak ciężko. Ba, po śmierci Darcy'ego nie miał wielkiego wyboru. Zamiast przygasać, gorączka złota nasilała się, odkrywki ciągnęły się już na przestrzeni trzydziestu mil wzdłuż rzeki Cape. Dokonano także nowych znalezisk, tym razem w pobliżu Charters Towers.

Złoto było wszędzie i właśnie w chwili gdy Caravale miała szanse zbierać krociowe zyski, stracili połowę rancza. Corneli wciąż nie mieściło się w głowie, że Darcy mógł im zrobić coś takiego, jednakże Jauncy, wykonawca testamentu, potwierdził, iż złożono już do rejestracji w Urzędzie Ziemskim tytuł własności na rzecz panny Perfection Middleton, odtąd współwłaścicielki Caravale wraz z Benem Buchananem.

Jakże Cornelia nienawidziła tej przebiegłej dziewczki! Wiele dni minęło, nim otrząsnęła się z szoku. Taka wieść tuż po śmierci Darcy'ego... To za dużo, zwłaszcza dla słabej kobiety. Zawsze gdy człowiek myśli, że nareszcie wszystko się ułoży, coś musi pójść źle. Cóż, Cornelia stawiała już czoło kłopotom, to dla niej nie pierwszozna. Ben zaangażował nowego adwokata, by obalić testament Darcy'ego, okazało się wszakże, iż jest to niewykonalne. Jedyną radą, na jaką ten zakopany w papierkach idiota się zdobył, była sugestia, by odkupić udział panny Middleton. Dobrze mu się mówi! Oczywiście ranczo prosperowało świetnie, lepiej niż kiedykolwiek, lecz to oznaczało również, że jego cena wzrosła. Jauncy przysłał rzeczoznawcę, który miał oszacować wartość ziemi oraz inwentarza. Nawet połowa stad należała teraz do tej ladacznicy! Ben musiał prowadzić staranne rachunki, by zadowolić nasłanego przez rejenta szpicla. Cornelia od dawna nie znosiła Jauncy'ego; to on ją powiadomił, że Teddy wykluczył ją z udziału w spadku, i odmówił dalszej dyskusji na ten temat. Teraz historia się powtarza. Nie byłaby zaskoczona, gdyby się okazało, iż to Jauncy zaszczepił ten pomysł w głowie Darcy'ego.

Jak mieli odkupić połowę ziemi i stad? Posiadali pewien fundusz w banku, ale stanowił on rezerwę na wypadek suszy, która w tym kraju przychodziła równie nieuchronnie jak śmierć. Poza tym gotówka była ciągle potrzebna, aby utrzymać interes na chodzie. Codziennie wieczorem zamartwiali się tym z Benem. Nie mieli dość pieniędzy, żeby spłacić tę intrygantkę - chyba że Ben zaciągnąłby kredyt, a tego śmiertelnie się bał.

"Kiedy już raz wpadniesz w szpony banku, przepadłeś" - mawiał Teddy. - "W końcu wydrą ci wszystko". I tu miał rację.

Któregoś wieczoru Ben rzekł do niej z rozpaczą:

- Jeśli weźmiemy pożyczkę pod hipotekę, żeby wykupić jej udział, to dodawszy do tego procenty, latami będziemy spłacać to, co prawnie powinno należeć do nas. Nie daj Boże paru suchych lat albo epidemii wśród bydła, nie będziemy mieli z czego zapłacić i wykończą nas do reszty.

Rolnicy nie bez przyczyny żywili niemal wrodzony strach przed bankiem. To na nic. Musieli wymyślić lepsze rozwiązanie.

Przez ostatnie kilka dni nie miała okazji porozmawiać z Benem. Na południowo-zachodnich rubieżach naruszono granicę. Karawany poszukiwaczy wytyczyły sobie poprzez rzadki busz szlak wiodący do odkrywek nad Cape; ciągnęli nim jeźdźcy, wozy, piesi i włóczędzy, którzy posuwali się za konwojem jak cienie. W rezultacie doszło do potyczki, użyto broni, jeden z poszukiwaczy złota został ranny, a koń Toma Mansfielda padł od kuli. W ramach odwetu Aborygeni z Caravale, którzy prawdopodobnie nie kiwnęliby palcem, gdyby zabity został biały człowiek, a nie koń, przewrócili prowadzące konwój wozy. Cornelia usłyszała o tym od czarnych służących. Te wiedziały o wszystkim, co się działo w promieniu stu mil. Ben zebrał posiłki i pojechał rozstrzygnąć zatarg.

- Ech, ci zwariowani poszukiwacze! - westchnęła Mae. - Połowa z nich w ogóle nie zna drogi. Czarni mówią, że prą na oślep przez busz i żądają prawa przejścia przez nasze tereny. Idąc dalej w tym kierunku, dotrą do rzeki w jej najszerszym miejscu i nigdy w życiu jej nie pokonają.

- Co Ben w związku z tym przedsięwziął?

- Podobno ściąga pnie zwalonych drzew na granicę i blokuje szlak.

- Dużo tym zdziała! Powinni jeszcze paru ustrzelić.

- Jest ich zbyt wielu, pani Buchanan - zauważyła Mae. - Przybywają tysiącami.

Wszystkie rancza mają ten sam problem. Ludzie mówią, że w tym tempie Charters Towers niedługo rozrośnie się w duże miasto.

Cornelia wybuchnęła śmiechem. Charters Towers! Ta nędzna dziura! Kiedy ostatni raz była tam na wyścigach z Benem i Darcym... Znów Darcy. Cornelia nie potrafiła sprecyzować swoich uczuć. Wciąż bolała nad jego stratą, brakowało jej obecności syna, jego uśmiechu... Był taki podobny do ojca, lecz zawiódł ją, odwrócił się od niej - tak samo jak Teddy. Ben był twardszy, obarczony mniejszą ilością skrupułów i, z czego ostatnio zdała sobie sprawę, odziedziczył po niej zdolność odpowiadania ciosem na cios. Nawet fizycznie

młodszy syn więcej po niej wziął: silnie zbudowany, z gęstą ciemnorudą czupryną. Darcy był wysoki, jasny i szczupły po Teddym, nazbyt hojny i zanedo dżentelmeński. Cornelia wiedziała, że Ben, wbrew pozorom, nie jest dżentelmenem.

Wrócił wykończony. Mae ściągnęła mu buty.

- Nie fatyguj się z przebieraniem do kolacji, siądziemy w kuchni - powiedziała matka. - Trzymamy dla ciebie ciepłą pieczeń i pudding z nerek. Możesz już iść spać, Mae.

Podawała mu mięso, zrumienione po wierzchu ziemniaki pur~ee, wielką porcję kalafiora w białym sosie i zielony groszek. Powstrzymała się przy tym od wygłoszenia macierzyńskiej uwagi, iż jest to jego najulubiejsze danie. Krojąc świeżo upieczony chleb, wysłuchiwała opowieści o kłopotach z poszukiwaczami złota: bydle szlachtowanym przy drodze, zabłąkanych sztukach spłoszonych przez intruzów, i bez słowa naląła dwa kieliszki wyśmienitego klareta, którym przewidująco napełniła karafkę. Sama też poczuła się lepiej, patrząc, jak stopniowo opuszcza go znużenie. Powiedział jej, że ponieważ Tom Mansfield stracił konia, sprzedał mu Klipera Darcy'ego.

- I mam kłopot z głowy - rzekł Ben. - Kliper zaczynał dziczeć, jeszcze trochę, a byłby się zmarnował. Poza tym za bardzo przypominał mi o Darcym.

- Naturalnie - przytaknęła. Darcy dałby konia Tomowi za darmo, ale to był Ben, ten mniej szlachetny, w obecnej zaś sytuacji o wiele bardziej przydatny.

- Ile lat ma ta panna Middleton? - zapytała.

- Dziewiętnaście albo dwadzieścia, nie wiem dokładnie.

- Tak właśnie myślałam. W dokumentach, które przysłał nam Jauncy, napisane jest, że do osiągnięcia przez nią pełnoletności majątkiem zarządza jej ojciec.

- Zgadza się.

- Kim on jest?

- Był sierżantem w armii. Odszedł ze służby, kiedy córka nagle została bogata. Zesłano go tu karnie na siedem lat za kradzież.

- Co ukradł?

- Włamał się do piekarni, skradł chleb i jakieś pieniądze. Co to ma za znaczenie? Ten człowiek jest złodziejem, notowanym przestępcą.

Cornelia opanowała dławiący ją śmiech. Amator! Nellie Bunn nie traciłaby czasu na tak nędzny łup, no i Nellie Bunn nigdy nie była tak głupia, żeby dać się złapać.

- Darcy o tym wiedział? - zapytała poważnie.

- Tak. Oznajmił, że ma to w nosie. - Ben spochmurniał. - Mamo, nie chcę już więcej o tym rozmawiać. Miałem dziś naprawdę ciężki dzień.

- Rozumiem. Nie będziemy rozmawiać o Darcym. Powiedz mi tylko... ten Jack Middleton, jakiego on jest stanu?

- Stanu? Co przez to rozumiesz?

- No, czy jest człowiekiem żonatym, czy na przykład wdowcem?

Ben oparł się głębiej w krzesło i wybuchnął śmiechem.

- Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. Facet jest żonaty, a jego połowica ma się całkiem dobrze.

Cornelia uśmiechnęła się i odgarnęła za ucho pukiel włosów.

- Zatem jedną możliwość możemy już wykluczyć.

Ben wytrzeszczył oczy.

- Naprawdę byłabyś gotowa wyjść za niego, gdyby był wolny?

- A, to był tylko taki luźny pomysł. Mielibyśmy większą szansę odzyskania Caravale.

W rzeczywistości było to coś więcej niż luźny pomysł, była to określona droga do rzeczywistego celu tej rozmowy.

Ben, wciąż się śmiejąc, nalał sobie drugi kieliszek klareta.

- Mamo, jesteś absolutnie niepoprawna!

- Prosiłam, żebyś nie mówił do mnie "mamo".

- Dobrze, czcigodna matko. A więc wyszłabyś za tego gbura, żeby zatrzymać Caravale?

- Dlaczego nie?

- To gorszące!

- Niekoniecznie, ale skoro jest żonaty, nie ma sensu tego roztrząsać.

- Też tak sędzę.

- A jego córka? Poznałeś ją?

- W zasadzie nie. Widziałem ją parę razy. Mówiłem ci, była pokojówką w domu gubernatora.

- Jak wygląda? Chcę wiedzieć, Ben. Wcześniej czy później i tak zetkniemy się z tymi ludźmi.

- Mówiąc szczerze, jest niebrzydka.

- Blondynka czy brunetka?

- Ma jasne włosy i właściwie całkiem niezłą figurę.

Cornelia pokiwała głową.

- A zatem mamy młodą, ładną dziewczynę, najwyraźniej chętną do małżeństwa, która za jakiś rok wejdzie w posiadanie połowy naszego rancza i zrobi z nim, co zechce, bo nie będzie już ograniczona kuratelą ojca.

- No i co?

- To, kochany synu, że moim zdaniem nadszedł czas, byś schował dumę do kieszeni i zastanowił się, czy sam nie powinienes się z nią ożenić!

- Oszalałaś!

- Pomyśl tylko: jeśli ty tego nie zrobisz, znajdzie się ktoś inny; zważ, że dziewczyna stanowi teraz bardzo dobrą partię. Wtedy będziemy musieli dodatkowo uporać się z jej mężem, a to może już nie być takie łatwe. Natomiast w przypadku gdy to ty ją poślubisz, odzyskasz Caravale i nie będzie cię to kosztować ani pensa.

- Nie. To wykluczone.

Cornelia postawiła na stole miskę chlebowego musu i przysunęła dzbanuszek ze śmietanką.

- Częstuj się - mruknęła. - Mnie nic do tego. Sam podejmiesz decyzję. Ale powiedziałaś, że nie jest brzydka, a ponadto, mój drogi, gdzie znajdziesz lepszy posag?

- To śmieszne. Czego ode mnie oczekujesz? Mam oświadczyć się listownie zupełnie nieznannej kobiecie?

- Nie. Na razie nie rób nic. Jauncy pisze, że panna Middleton skontaktuje się z nami w odpowiednim czasie. Założę się, że przylecą tu na złamanie karku, aby sobie obejrzeć swoją nową posiadłość. Wkrótce sami się odezwą, ostatecznie jesteś teraz jej współnikiem. Czekaj, aż ona wykona pierwszy ruch.

Część piąta

Chin Ying opuścił domostwo swej rodziny i w milczeniu ruszył przez warowny dziedziniec. Głowę miał spuszczoną, splecione dłonie ukryte w szerokich rękawach kaftana, wiedział bowiem, że obserwują go liczne oczy. Wezwanie, by stawiał się przed obliczem wielmożnego Cheonga, było wielkim zaszczytem; nowina obiegała już pewnie wszystkich mieszkańców dworu, począwszy od członków najszlachetniejszych rodzin, poprzez oficjeli, rozplotkowane konkubiny i eunuchów aż po najniższe szeregi służby.

Ying ubrał się z tej okazji w wykwintną szatę z pikowanej niebieskiej satyny, gęsto haftowanej w złote i czerwone smoki, którą w pasie przewiązał szeroką pomarańczową szarfą. Szata miała długie, spiczasto zakończone rękawy i sięgała do kostek. Wystawał spod niej tylko pomarańczowy rąbek najlepszej błękitnej spódnicy Yinga. Szeleszcząca tkanina muskała ziemię, kryjąc jego niegodne stopy w miękkich jedwabnych pantoflach. Okrągła czapeczka, starannie nasadzona na głowę, wyszywana była złotymi i srebrnymi paciorkami. Ying uważał, że gładkie nakrycie głowy byłoby w lepszym guście, lecz jego matka była innego zdania. Wielmożny Cheong i jego wielce szanowna małżonka kochali się w błyszczących ozdobach.

Ying przeszedł przez Czerwony Dziedziniec Radości do Pachnących Ogrodów, stamtąd zaś do Pawilonu Wonnego Lotosu, ignorując młode damy, przypatrujące się rybom w sadzawkach, które obejrzały się za nim i zaczęły coś szeptać, gdy je mijał. Jakież to niegrzeczne, pomyślał. Aleja Śpiewających Bambusów zaprowadziła go do Bramy Cynobrowych Perel, wejścia zarezerwowanego dla wysokiej rangi dworzan. Nie była ona naturalnie tak zdobna jak brama, z której korzystała rodzina wielmożnego Cheonga (na samą myśl o nich Ying z czcią pochylił głowę), lecz mimo to imponująca.

Wiele razy stał na zewnątrz, przy drodze, obserwując orszak, wylewający się przez główne wrota otoczonego murami dworzyszczą. Oszalał go przepych ceremonii, w której brali udział dostojni goście wielmożnego Cheonga, dumą napelniała wiedza, że również on sam jako wysoko urodzony szlachcic jest maleńką częścią tego godnego najwyższego podziwu pałacu. Sama brama była cudownie rzeźbionym dziełem sztuki, a mieszczącą ją basztę zdobiły czerwono-złote ornamenty. Naroża dachu, podobnie jak dachy wszystkich budynków za murem, wznosiły się ku górze na kształt skrzydeł, odwracając oko od faktu, iż wrota wykute były z grubego metalu, a wyżej, za dyskretnymi okiennicami, uzbrojeni strażnicy pełnili nieprzerwaną wartę na wypadek napaści bandytów albo wojsk sąsiednich chciwych feudałów.

Chin Ying mieszkał w tym pięknym grodzie od urodzenia. Przeżył tu całe swoje dwadzieścia sześć lat i było to szczęśliwe życie. Jako syn, wnuk i prawnuk kolejnych Wielkich Nadzorców Plonów, wkrótce sam miał wziąć na swoje barki ów niezmiernie zaszczytny obowiązek. Czuł, że zdoła się z niego wywiązać w sposób wybitny. Nieczęsto obarczano tak wielką odpowiedzialnością kogoś równie młodego, Ying wszakże nie wątpił, iż zostanie mianowany na to stanowisko. Po nagłej śmierci ojca był następnym w rodzie, ponadto znakomicie wykształcony. Studiował nie tylko filozofię, literaturę, sztuki plastyczne i muzykę, jak przystało na kulturalnego człowieka; nauczyciele wpoili mu też wiedzę matematyczną i dość egzotyczny język angielski. W Chinach obecnie było wielu Anglików. Ying dotychczas żadnego nie spotkał, aczkolwiek był świadom, że znajomość ich mowy przyda mu się na prowincji. Ojciec kilkakrotnie zabierał go ze sobą na objazd w czasie żniw i wyjaśniał najdrobniejsze szczegóły dotyczące zbioru i przechowywania zbóż oraz podatków i danin, jakie chłopcy mieli płacić ku pospólnemu dobru. Chin Ying był teraz wdzięczny ojcu za jego przezorność. Dzięki niej będzie kompetentnym Nadzorcą Plonów, a ponieważ jest jeszcze młody, w przyszłości być może zajmie wyższe stanowisko.

Kiedy jego ojciec przedwcześnie zmarł na serce, cała rodzina przeżyła wielki wstrząs, choć Li-wen, żona Yinga, nie potrafiła ukryć radości z ich nowego statusu. Zajęli główne pomieszczenie willi, matka bowiem, jak przystało wdowie, ustąpiła miejsca najstarszemu synowi i przeniosła się wraz z nianią Tan do tylnego skrzydła. Chin Ying był teraz głową rodziny, panem domu.

Dwaj słudzy poprowadzili go przez łukowaty most na Jeziorze Spokoju, obsadzonym niskimi płaczącymi wierzbami, do pawilonu na Purpurowej Wyspie, na której nigdy jeszcze nie stanęła jego stopa. Brama Księżycy, przynosząca szczęście kochankom, wiodła do komnat władcy. Tu kazano mu czekać. Ying drżał na całym ciele. Stopy tonęły mu w grubym dywanie, kątem oka dostrzegał wspaniałe jedwabie zdobiące ściany. Zaiste, jego pan jest człowiekiem wielkiej kultury.

Brzęknęły wiszące dzwonki i drzwi rozsunęły się, odsłaniając salę audiencyjną. Pod baldachimem w jej przeciwległym końcu siedział Wielmożny Cheong na podwyższonym tronie, górując nad wszystkimi, którzy znajdowali się w sali. Ying ukląkł z szacunkiem. Jego spojrzenie prześliznęło się po rzędach dworzan i urzędników, których paradne szaty tworzyły cudowną mieszankę czystych barw.

U stóp tronu przy zarzuconym pędzlami i zwojami papieru niskim stoliku siedział Wielki Skarbnik. Ojciec Yinga określał go mianem zramolałego starca, matka natomiast twierdziła, iż jest to zły, podstępny człowiek, mający oczy i uszy wszędzie w całej prowincji.

Na skinienie jednego z dworzan Chin Ying zbliżył się do niskiej złoczonej poręczy, odgradzającej przestrzeń uświęconą obecnością władcy. Tam powtórnie ukląkł i dotknął czołem podłogi.

- Powstań, Chinie Yingu - rzekł Wielki Skarbnik starczym, łamiącym się głosem.

Jeden ze sług podsunął przysłemu Nadzorcy Plonów niski wyściełany stołeczek, na którym pozwolono mu usiąść. Ying zajął miejsce z gracją i bez śladu skrępowania, choć serce pęczyło mu z dumy. Jakże wspaniałą oprawę ma jego nominacja! Wkrótce otrzyma złoty łańcuch, oznakę urzędu.

Ying nigdy dotąd nie znalazł się tak blisko swego władcy. Teraz mógł mu się nareszcie przyjrzeć; chciwie łowił szczegóły, świadom, iż po powrocie będzie musiał o wszystkim opowiedzieć Li-wen. Twarz Cheonga była niezwykle biała, upudrowana lub pokryta bielidłem, wyraźnie rysowały się na niej czarne brwi i cienkie wąsy, zwisające majestatycznie po obu stronach ukarminowanych ust. Na głowie miał wysoką tiarę w kształcie półksiężyca, którą pokrywał pomarańczowy jedwab haftowany złotą nicią i wysadzany drogimi kamieniami. Ubrany był w sztywną szatę z białej satyny, lamowaną lśniącym ciemnym futrem i przepasaną purpurową szarfą. Na gładkich dłoniach o długich paznokciach błyszczały wielkie pierścienie.

- To jest Chin Ying, panie - oznajmił skarbnik. - Pierworodny syn zmarłego nadzorcy.

Jego Wysokość leniwie poruszył wachlarzem, skarbnik zaś ciągnął:

- Po nagłej śmierci Wielkiego Nadzorcy Plonów odkryto nieścisłości w jego rejestrach i rachunkach.

Chin Ying omal nie zerwał się ze stołka. Możliwe, że ojciec nie zdążył dokonać ostatnich wpisów. Było to zrozumiałe. Czy do tego pił skarbnik? Na nieszczęście, nie mógł się odezwać, dopóki nie poproszą go o głos. Nerwowo zacisnął dłonie ukryte w rękawach.

- Szczegółowe badanie rejestrów z lat urzędowania zmarłego nadzorcy wykazało poważne nadużycia - podjął skarbnik. - W ciągu ubiegłego tygodnia inspektorzy przesłuchali podległych mu rolników i ich rodziny. Ustalili oni, że zmarły okradał cię, panie, poprzez przyjmowanie łapówek i sprzedaż ziarna na własne konto. Falszując księgi, zatrzymywał dla siebie fundusze należne Waszej Wysokości.

Tego już było za wiele dla Yinga.

- To nieprawda, czcigodny panie! - krzyknął. - Mój ojciec był człowiekiem honoru!

Skarbnik westchnął:

- Sam wolałbym, by to nie była prawda. Twój ojciec poślubił moją siostrzenicę, osobiście pobłogosławiłem ich związek. Teraz i ona została okryta hańbą.

Ying był wstrząśnięty i płonął ze wstydu, czując na sobie spojrzenia dworzan. Gorący rumieniec oblał mu twarz i szyję. Miał ochotę uciec, lecz nie było to możliwe. Ponownie lekceważąc protokół, wyszeptał:

- Czy jesteś tego pewien, panie?

- Twój ojciec żył wyjątkowo dostatnio - odparł skarbnik. - Każdy kto zwrócił na to uwagę, przypisywał to jego gospodarności. Twoja starsza siostra poprzez małżeństwo weszła do wyższej klasy. Przesłuchując jej teścia, odkryliśmy, iż zainkasował on dwa posagi, nim zgodził się przyjąć twą siostrę do swojego domu. Pierwszy został przekazany oficjalnie i opodatkowany. Drugi, tajny, stanowił o wiele większą kwotę. Ów człowiek dziś rano przyznał się naszemu wielmożnemu panu do tej nielegalnej transakcji i został stracony.

Stracony! Teść jego siostry! Ying miał uczucie, że zaraz zemdleje.

- Czy wiedziałeś o tym złodziejstwie i zdradzie?

- Nie, panie, nie - wyjąkał Ying. - Nie miałem pojęcia. I pokornie przepraszam! - Opadł na kolana. - W imieniu mojej rodziny błagam o wybaczenie.

- Przebaczenie nie ma tu nic do rzeczy - przemówił wysokim, przenikliwym głosem sam Wielmożny Cheong. - Mówimy o zadośćuczynieniu.

- Wasza Czcigodność, chętnie splączę, co trzeba - odparł Ying z twarzą wtuloną w dywan.

- Owszem, zapłacisz. Przedyskutowaliśmy twoją sprawę.

Ying odważył się zerknąć w górę. Biała twarz była twarda i posępna. Włosy Cheonga zwieszały się spod tiary w długich skreślonych pasmach, cienkich jak jego wąsy, oczy przyglądały mu się z chłodnym wyrachowaniem. Atmosfera przesycona była grozą. Ying wpadł w panikę. Czy on też ma zostać ścięty? Najchętniej padłby na twarz i błagał o darowanie życia, uznał wszakże, iż lepiej nie poddawać władcy niewczesnych pomysłów. Kolana go bolały, grzbiet pękał. Czuł, że nie wytrzyma długo w tej pozycji.

- W swej wielkiej dobroci - obwieścił skarbnik - Wielmożny Pan postanowił, co następuje...

Ying posłyszał pełen zaciekawienia szmer dworzan, skarbnik zaś podjął:

- Twoja willa i jej zawartość podlegają konfiskacie. Twoja matka, żona i służby zostaną zaraz przeniesieni do Brązowego Skrzydła.

Przez dwór przebiegł dreszcz. Ying narzucił sobie spokój, usiłując nie zachwiać się od ciosu. Brązowe Skrzydło było zbiorowiskiem brudnych kwater, wciśniętym pomiędzy mur kolektora ścieków a więzienie. Mieszkali tam poddani najniższej rangi, w hierarchii znajdujący się tylko o jeden szczebel wyżej od sług.

- Twoje siostry zostaną konkubinami, bracia zaś będą pracować jak chłopcy w magazynach zboża.

Cienkie wargi wielmożnego Cheonga rozciągnęły się w uśmiechu.

- Magazyny zboża. Właściwe miejsce - prychnął, a słuchacze skwapliwie pokiwali głowami. Cheong skinął na kanclerza, który wystąpił naprzód.

- Możecie się rozejść! - obwieścił.

Ying zaczął się podnosić, lecz skarbnik potrząsnął głową.

- Ty zostań.

Dworzanie zebrani w sali audiencyjnej wyszli pośpiesznie. Chin Ying, trzęsąc się z przerażenia, pozostał twarzą w twarz ze swym władcą, w obecności jedynie kanclerza i skarbnika, którzy mieli usłyszeć, jaki los go spotka. Wszyscy znali pogłoski o izbach tortur, o wymyślnej śmierci zadawanej tam za niektóre przestępstwa zamiast publicznego ścięcia toporem. Czyżby los Yinga miał być aż tak straszny, że dworzan wyproszone, by nie ranić ich delikatnych uszu?

- W jaki sposób zamierzasz spłacić to, co nakradł twój zbrodniczy rodzic? - odezwał się Wielmożny Cheong.

Głos Yinga był słaby i drżący.

- Panie, jeszcze nie wiem. To dla mnie wielki wstrząs, ale znajdę sposób.

- Dajesz nam obietnice bez pokrycia, ty nędzny świński chwoście. Nie ma sposobu, abyś bez naszego przewodnictwa naprawił wyrządzone szkody.

- Uniżenie przyjmę łaskawe przewodnictwo, panie, wierzaj mi.

- Z naszą pomocą możesz podźwignąć swoją matkę i żonę na wyższy poziom hierarchii, a także umożliwić braciom wstąpienie w szeregi pospolitych żołnierzy.

- Dzięki, o panie. A ja?

- Twój przyszły status zależeć będzie od twych wysiłków.

Cokolwiek to oznaczało, brzmiało w każdym razie tak, jak gdyby miał zachować głowę. Ying nienawidził tego człowieka.

- Najmiłościwszy panie, twoja mądrość jest nieskończona - rzekł.

- Jesteś młody i silny - ciągnął Cheong. - Pojedziesz w świat i przywieziesz mi złoto. Nie ńędzne garści złota, ale całe skrzynie. Na każdego członka twej rodziny zostanie spisany kontrakt. Ustalimy także limit czasu.

Ying rozejrzał się dokoła z przestraczem. Czy Cheong zwariował, czy też była to po prostu bardziej wyrafinowana forma tortur?

- Panie, z radością spełnię tve rozkazy, ale gdzie mam szukać takich bogactw?

- Widzisz? - oznajmił wyniośle Cheong. - Już potrzebujesz naszej rady. Złoto istnieje i ty je nam przywieziesz.

Tak, pomyślał z goryczą Ying. Krążyły pogłoski, że daleko za granicą dzicy Mongołowie mają złoto. I co z tego? Miałzeby udać się do kraju barbarzyńców i wykradać kruszec z ich namiotów? W takim wypadku czeka go niechybna, straszliwa śmierć z ich rąk.

- Wyprowadzić winnego - oznajmił nagle Cheong i Ying wraz ze skarbnikiem wycofał się z sali audiencyjnej tyłem, zgięty w niskim pokłonie.

Nie dano mu szansy, by mógł pobiec do domu i ogarnąć wzrokiem pełne rozmiary katastrofy. Nie pozwolono mu również udać się do przyjaciół (wątpliwe, czy jeszcze jakichkolwiek miał). Zamiast tego zaprowadzono go do biblioteki Wanga-tse, mędrca tak uznanego, że w ogóle nie przyjmował już uczniów. Poprzednio wykładał swą wiedzę najbliższym krewnym samego Cheonga, ponieważ jednak żaden nie wykazał się dostateczną inteligencją, a może po prostu chęcią zgłębienia nauk ścisłych, którym w głównej mierze poświęcił się Wang-tse, uczony mógł bez przeszkód kontynuować swe studia w samotności.

Wypili herbatę w towarzystwie mistrza, po czym skarbnik nareszcie uchylił rąbka tajemnicy.

- Pozostaniesz tu z Wangiem-tse, aż do chwili gdy będzie on mógł zaświadczyć, że opanowałeś trzy ważne dziedziny wiedzy: geografię, geologię, i... co było trzecie?

- Metalurgia - westchnął Wang-tse, najwyraźniej niezbyt zachwycony przydzielonym mu uczniem.

- Czcigodny nauczyciel wskaże ci, gdzie znajduje się złoto - ciągnął skarbnik - i wyjawi wszystko, co powinieneś o nim wiedzieć, włącznie z metodami dobywania kruszcu z ziemi. Czyż nie tak?

- Zaiste, tak - zaintonował ceremonialnie Wang-tse.

- Nie ma czasu do stracenia - ostrzegł skarbnik. - Pozostaniesz pod opieką mistrza, dopóki cię nie wezwę.

Po dwóch dniach, w ciągu których poza uczonym nie widywał nikogo, Ying został odprowadzony pod eskortą do apartamentów Wielkiego Skarbnika, aby tam oczekiwać na audiencję. W głowie mu huczało od informacji o owej wiecznej, niezniszczalnej i niezmiennej substancji, jaką jest złoto; o karatach i stopach, skałach kruszonośnych, rudach, żyłach, złożach aluwialnych i samorodkach. Jedyłą rzeczą, co do której nie miał wątpliwości, był fakt, iż czyste złoto ma dwadzieścia cztery karaty. Wang-tse zapalił się do tematu i dostarczył Yingowi skrzynkę zwojów zawierających uczone traktaty o złocie z zaleceniem, by Ying przestudiował je w trakcie podróży. Podróż miała być długa; Wang-tse pokazał mu jej cel na mapie.

Czekając na skarbnika, Ying usiłował przybrać śmiałą minę, choć był pogrążony w rozpacz. Krajem, do którego miał dotrzeć poprzez nawiedzane orkanami morza, był równie barbarzyński jak ziemia Mongołów daleki kontynent Terra Australis. To szaleństwo. Śmiechu warte! Ying nie wątpił, że Wang-tse śmieje się z tego pomysłu w głębi swej białej brody. Widział rozbawienie w oczach uczonego, kiedy ten patrzył na globus, przeglądał zwoje i wyszukiwał dla Yinga szczegółowe mapy prowincji znanej pod nazwą Queensland. Maleńka złota gwiazdka oznaczała tereny złotonośne, ciągnące się wzdłuż rzeki o niewiele mówiącej nazwie Cape.

- Nigdy nie zdołam odnaleźć tego miejsca - jęknął Ying.

- Owszem, znajdziesz je, bez obaw. Wielmożny Cheong tego dopilnuje - odparł Wang-tse.

- Ależ ta kraina jest zupełnie dzika, właściwie dotąd nie zbadana, jak sam mi powiedziałaś, i zamieszkała przez czarnych dzikusów.

- Rzekłbym, iż osoba w twojej sytuacji bezpieczniejsza będzie tam niż tutaj.

- Też tak przypuszczam. Powinienem być wdzięczny, że wielmożny pan zaszczylił mnie tym wielkim zadaniem.

- Zaszczycił? - powtórzył ironicznie starzec. - Wielmożny Cheong ma wielu ludzi, których mógłby wysłać na tę ekspedycję. Setki, może i tysiące naszych rodaków są już w drodze na owe złotonośne pola. Wielu z nich, związanych jak ty hołdowniczą przysięgą, ma przywieźć złoto swoim panom. Jedyłą rzeczą, która ocaliła cię od poniżenia, jakie stało się udziałem twoich braci, jest to, że nauczyłeś się języka Anglików. Ten kraj jest angielską kolonią.

Ying był oszołomiony i przerażony; nigdy dotąd nie przekroczył granic prowincji Hunan. Przypomniał sobie jednak, że Wang-tse użył słowa "ekspedycja". Ciekawe. Może nie będzie musiał jechać sam. Przyjrzał się swoim wypiełgowanym paznokciom.

Wielki Skarbnik w końcu go przyjął i udzielił mu dalszych instrukcji:

- Za trzy dni od dzisiaj, w pomyślnym dniu wskazanym przez gwiazdy, opuścisz dwór wielmożnego Cheonga i udasz się po złoto. Przydzielono ci dwóch osobistych służących. Będą nimi Yuang Pan i jego bliźniaczy brat, Yuang Lu. Pojedziesz konno, jak przystało wysłannikowi wielmożnego Cheonga. Zabierzesz ze sobą pięćdziesięciu kulisów, którzy będą kopać złoto w wyznaczonym miejscu.

- Jak dotrę w to miejsce, panie?

- Nie przerywaj mi. W Makau wejdiesz na pokład statku, będącego własnością wielmożnego Cheonga. Kapitan tego statku zawiezie cię do kraju, w którym znajduje się złoto.

- Czyli do Terra Australis, do prowincji Queensland. Najbliższy port morski nazywa się Bowen. - Ying uznał za stosowne pochwalić się świeżo nabytą wiedzą. - Zakładam, że statek wysadzi mnie w tym porcie.

- Niczego nie zakładaj z góry. Kapitan otrzymał odpowiednie rozkazy. Dopilnujesz, by je wykonał. Następnie udasz się na tereny złotonośne, wydobędziesz złoto, dostarczysz je na statek i wrócisz do domu.

Ying poczuł się raźniej. Była to dla niego nie tylko sposobność przywrócenia majątku i godności rodzinie, lecz także przygoda o heroicznym wymiarze. Spisze dziennik tej podróży, który później będzie przekazywany z pokolenia na pokolenie przez jego potomków.

- Teraz możesz odejść - usłyszał. - Możesz także zobaczyć się z rodziną. Nie wolno ci jednak z nikim rozmawiać na temat ekspedycji. Wystarczy, jeśli powiesz, że na jakiś czas wyjedziesz. Gorączka złota zatruwa umysły. Inni mogą ulec pokusie, by iść twoim śladem. Chciwość to niebezpieczna przywara, jak jasno dowiódł nam twój zmarły ojciec.

Matka i Li-wen czekały na niego w opustoszałym Długim Pawilonie. Ying zapłakał, gdy ujrzał je ubrane w tanie kolorowe bluzy i czarne spodnie noszone przez spólstwo.

- Moje drogie! - wykrzyknął, obejmując je. - Zaufajcie mi, wyratuję was z tego poniżenia.

Matka podejrzliwie zmierzyła go wzrokiem.

- Pozbawiono nas domu i całego dobytku, a ty wciąż jesteś odziany jak szlachcic.

- Słyszałyśmy, że oddano ci dwóch ludzi na usługi - dodała Li-wen. - Dlaczego? Podobno bracia Yuang zabrali dla ciebie z willi wszystkie piękne szaty, dzieła sztuki i

książki, nawet twoje przybory toaletowe. Nadal masz wszystko, czego potrzeba dobrze urodzonemu panu.

- O tym nic nie wiem - rzekł Ying.

- Kłamiesz! - załkała matka. - Czyżbyś mógł temu zaprzeczyć?

- Nie wolno mi mówić na ten temat.

- Czy bracia Yuang będą ci służyć? - zapytała Li-wen. - Mam prawo wiedzieć.

- Tak - odparł.

- Czy wiesz, kim oni są? - wtrąciła oskarżycielskim tonem matka. - Byli osobistymi sługami Hsueha Ko, który został ścięty. Teraz należą do ciebie. Co to ma znaczyć, zdrajco?

Ying z rozpaczą pokręcił głową.

- Mogę tylko powiedzieć, że wyjeżdżam, ale wrócę, by oczyścić nasze nazwisko z hańby.

- Oczyść je teraz! - wrzasnęła Li-wen. - To twój ojciec był złodziejem, nie mój, a jednak to ja zostałam ukarana. Nienawidzę cię!

Matka ujęła go za ramię.

- Powiadają, że jesteś w łaskach u Wielkiego Skarbnika, który jest potężnym człowiekiem. Dlaczego nie wstawisz się za nami? Dlaczego pozwalasz, by twoją rodzinę spotykał taki despekt?

- Uwierz mi, staram się.

- On nas sprzedał! Zadbał tylko o własną skórę. Nie pomoże nam, próżno go błagać.

- Li-wen splunęła na kraj jego szaty. - Twoja matka ma rację, jesteś zdrajcą.

Odwróciły się od niego z pogardą.

Dom biskupa wydawał się teraz dużo mniejszy: sufit niski, pokoje ciasne, a schody! Lew nie mógł oderwać oczu od schodów, po których ongiś skakał prężnie niczym starożytny atleta, wyęzając siły, by osiągnąć półpiętro w trzech i pół susach. Teraz wszystko jakby się skurczyło. Chłopiec wyrósł na potężnego mężczyznę.

- Powiedziano mi, że twój ojciec nie cierpiał, Lewisie - rzekł biskup. - Zginął jako męczennik Kościoła.

- Dziękuję waszej świętobliwości.

- Uklęknijmy. Pomódlmy się za niego i za twoją świętej pamięci matkę. Oboje oddali życie w służbie Bogu.

Lew uklęknął. Dlaczego wciąż zapomina języka w gębie w obecności tego starego człowieka? Czyżby krępował go tak istotny w chińskiej tradycji szacunek dla podeszłego wieku? Nie, zasłania się tylko tą wymówką; w rzeczywistości od dzieciństwa bał się biskupa. Bez przerwy mu powtarzano, że przy nim ma być cicho, nie przeszkadzać, nie wiercić się. Od czasu do czasu ten stary człowiek surowo odpytywał go z pacierzy. Syn misjonarzy musiał znać wszystkie modlitwy, wszystkie hymny, recytować na wrywki cytaty z Biblii. W każdym razie Lewisa utrzymywano w tym przekonaniu.

Biskup mamrotał pod nosem modlitwę. Będąc dzieckiem, Lewis zawsze przypuszczał, że im dłuższe modły, tym więcej punktów zarabia się w niebie. Uśmiechnął się do siebie. Kiedyś, dawno temu, rozmyślnie zepsuł swój recital, pomylił psalmy, zdenerwował biskupa, zawstydził rodziców i został surowo ukarany. Ojciec spuścił mu lanie, matka posłała do łóżka bez kolacji. Mimo to warto było, bawił się lepiej niż przy puszczaniu fajerwerków.

- Módlmy się za duszę Elizabeth Cavour - zaintonował śpiewnie biskup - która chętnie oddała życie, nawracając pogańskie dusze do Boga...

""Która zmarła na tyfus w brudnej chińskiej wiosce, poprawił go w duchu Lew. Zmarła, pozostawiając dziesięcioletnie dziecko pod opieką człowieka, który służył Kościołowi jak kulis.

- ""i za duszę Josepha Cavoura, który żył w ubóstwie na podobieństwo Pana Naszego i który przybył tu przez morze z naszej Matki Anglii, aby wspomóc naszą misję. - Głos biskupa przybrał na sile. - Joseph Cavour zasłużył na wywyższenie w Twym Królestwie, Panie. Wejrzyj łaskawie na człowieka, który został powalony przez nieprzyjaciół Chrystusowych.

Ojciec został zabity w jednej z tych cholernych rebelii na przedmieściach Xiangtanu - tylko z tego powodu, że się tam właśnie znalazł. Rozsiekany na strzępy ostrzami chińskich mieczy. Człowiek, który określił to słowem "powalony", był bardziej obłąkany niż jego rodzice, gdy zapędzili się do tego kraju, rzekł do siebie Lew.

Służący podali herbatę na małym, wykładanym laką stoliku. Dawniej dom biskupa jawił się Lewisowi jako pałac; był taki obszerny w porównaniu z kamienną wiejską chałupą, w której Cavourowie sprawowali rząd dusz nad swą nieliczną trzódką nawróconych Chińczyków. Teraz wszakże Lew widział ten dom takim, jaki był - po prostu zwykłym, piętrowym, praktycznie umeblowanym budynkiem, nakrytym popularnym na Wschodzie dachem o wygiętych ku górze okapach. Lew nie lubił biskupa, nienawidził wszystkiego, co ów człowiek sobą reprezentował, i przez wiele lat gardził nim za to, że pławi się w luksusie, podczas gdy podlegli mu misjonarze cierpią nędzę wśród chłopstwa, łowiąc dusze dla Pana. Rodzice Lewisa zmarnowali życie, płynąc pod prąd wielomilionowej rzeszy, która miała już własnych bogów. Mimo iż niektórzy, z ciekawości lub dla kaprysu, przyjęli chrześcijaństwo, po śmierci Josepha Cavoura fala zakryła wszystko, doszczętnie splukała jego nauki.

- Byłeś w Xiangtanie, Lewisie?

- Tak, wasza eminencjo. Znalazłem jego grób. Przyjaciele pochowali go w miejscu, gdzie dawniej stał kościół.

- Dawniej?

Lew poczuł złośliwą uciechę na widok spłoszonej miny biskupa.

- Tak - potwierdził. - Kościół spłonął do fundamentów. Dom także.

Nie był to akt wymierzony przeciw chrześcijanom, Lew wiedział o tym, napastnicy spalili całą wieś. Zdawał sobie jednak sprawę, że zniszczenie kościoła najbardziej zmartwi biskupa.

- Świętokradcy! Zniszczyli owoc ciężkiej pracy twojego drogiego ojca! Pan Bóg ich za to skarże.

Lew skinął głową.

- Myśleliśmy, że podejmiesz misję, Lewisie - ciągnął biskup. - Twój ojciec zawsze miał nadzieję, że pójdiesz w jego ślady, przejmiesz pałeczkę i poniesiesz ją dalej, jeśli tak można rzec. Ostatecznie wychowałeś się w Chinach, płynnie znasz język i, o ile wiem, także kilka dialektów. Masz więc znaczną przewagę nad nowymi ludźmi, którzy przybywają tu wprost z kraju. Sam byłem bardzo rozczarowany, słysząc, że udałeś się na morze.

"Uciekłeś na morze", powinien był powiedzieć.

- Mam już patent kapitański - wtrącił Lew. - I statek, który czeka na mnie w Makau.

Nie dodał, iż nie jest to piękny kliper, a chińska dżonka. Zbyt wiele lat zabrało mu dochrapanie się chociażby tego.

- To godne pochwały, Lewisie. Zostałeś kapitanem statku, powiadasz. Czy popłyniesz do Anglii?

Anglia. Lew nigdy nie widział Anglii. Znał wszystkie porty na Dalekim Wschodzie, jak Anglicy nazywali tę część świata, lecz nigdy nie widział własnej ojczyzny. Z winy biskupa i jemu podobnych przez całe życie był cudzoziemcem i za to czuł do nich żal. Nie dali mu zdrowego angielskiego wychowania, wyzuli go z należnych mu praw obywatelskich, a równocześnie przez napady nostalgii zaszczepili mu tęsknotę za tą zieloną i żyzną ziemią, spokojnym, praworządnym krajem.

- Nie - odparł.

Nie znał jeszcze portu przeznaczenia, aczkolwiek był absolutnie pewien, że nie leży on w Anglii. Omal nie parsknął śmiechem na samą myśl o tym, że miałby wpłynąć dżonką w ujście Tamizy.

- Chcieliśmy dać ci to na pamiątkę - rzekł biskup. - To przemówienie, które odczytałem na mszy żałobnej ku pamięci twojego drogiego ojca. Omówiłem w nim dzieło życia twych rodziców i ich wielki wkład w dobro naszego Kościoła w Chinach.

- Dziękuję - rzekł Lew, zerkając na otrzymany zwój. Utrzymany był w chińskim stylu, dobrze choć, że napisany po angielsku.

- Cóż, wyrósł z ciebie mężczyzna na schwał - powiedział biskup, ściskając mu dłoń. - Ale nie zapominaj o Matce naszej, Kościele, drogi chłopcze. Jej bramy są zawsze dla ciebie otwarte. Będę się za ciebie modlił.

Przechodząc przez most w drodze powrotnej z rezydencji biskupa, Lew wrzucił zwitek do mulistej rzeki.

W porcie zaczął się przepychać przez rozjazgotany tłum na nabrzeżu, rozglądając się za dżonką, której właścicielem był wielmożny Cheong, bogaty pan feudalny z dalekich rubieży prowincji Hunan. Człowiek musiał zachowywać daleko posuniętą ostrożność, prowadząc interesy z tymi wiecznie ukrytymi w cieniu łajdakami. Zgodnie z chińskim zwyczajem wszelkie sprawy załatwiano się wyłącznie przez pośredników - układnych, uśmiechniętych kupców z Makau, którzy bez wahania poderznąliby ci gardło, gdyby uznali to za stosowne.

Obiecał, że rozważy ich propozycję, choć postawił też własne warunki. Po pierwsze, najpierw musi obejrzeć dżonkę. Zapewnienia, że statek wielmożnego Cheonga to klejnot,

nie nie znaczyły; podpisawszy kontrakt, nie mógłby się już wycofać - nawet gdyby się okazało, że został dowódcą jakiegoś rozpadającego się wraku lub łupiny wielkości wiosłowego sampana. Po drugie, odmawia przewożenia kontrabandy, kobiet przeznaczonych do burdeli oraz więźniów. Patent kapitański był dla niego nazbyt cenny, by miał go narażać.

Człowiekiem, który kontaktował się z nim bezpośrednio, był "Mister Lien", jak sam siebie teraz nazywał, dumny ze znajomości angielskiego, nabytej na lekcjach u Josepha Cavoura.

- Niech pan nie będzie taki podejrzliwy, Lew - perorował Lien. - Osobiście pana zarekomendowałem i moi zwierzchnicy są niezmiernie zadowoleni, że przyjmie pan ofertę. Nie może mnie pan zawieść. Wielmożny Cheong to bardzo potężny człowiek i dobrze zapłaci.

- Pańska życzliwość zostanie nagrodzona, panie Lien. Doceniam pańską wiarę w moje umiejętności, ale potrzeba mi dokładniejszych informacji.

- Zapewniam, że wszystko jest zgodne z honorem i legalne.

- Dlaczego zatem nie chce mi pan powiedzieć, dokąd popłyniemy?

- Ponieważ nawet mnie nie udzielono tej informacji.

- I dziwi się pan, że jestem podejrzliwy! - zakończył tę dyskusję Lew.

"Mister Lien" stał dokładnie w miejscu, w którym się z nim umówił, tuż obok cuchnącego wózka z rybami. Zdawał się go nie zauważać, podobnie jak otaczającej go zewsząd wrzawy.

- Nie mogę znaleźć statku Cheonga - zaczął Lew. - Zdaje się, że nikt tu o nim nie słyszał.

- Proszę za mną. - Lien ruszył naprzód, bez wysiłku lawirując w tłumie. Jego warkocz, wystający spod stożkowatego kapelusza, kołysał się w rytm prędkich kroków. Rosły Lew musiał kluczyć i rozpychać się łokciami, żeby za nim nadążyć.

Wsiedli do zacumowanego przy nabrzeżu sampana.

- Tam - wskazał Lien, gdy wypłynęli z portu.

Lew wytrzeszczył oczy.

- To ta?

- Z pewnością.

- Dobry Boże!

Statek był duży, trzymasztowy. Zanim przybili do burty, Lew obstukał deski pięścią. Były zdrowe. Dzonki miały solidną konstrukcję i wodoszczelne grodzie pod pokładem,

dzięki czemu były praktycznie niezatapialne. Studiując budowę okrętów, Lew dowiedział się, iż wielu współczesnych skutników próbowało wykorzystać to samo rozwiązanie, z miernym wszakże rezultatem.

Dżonki strzegli uzbrojeni wartownicy, i nie bez powodu. Taki statek miał wielką wartość. Kiedy Lien i Lew weszli na pokład, marynarze rozstąpili się na boki i zgięli w pokłonie.

- To jest kapitan Cavour - oznajmił Lien.

Załoga oklaskami wyraziła swą radość.

- To zaś - Lien wskazał przysadzistego Chińczyka o ciemnej, przekrwionej twarzy stałego bywalca portowych tawern - jest pański pierwszy oficer, Hong.

Skośne oczy Honga przywitały Lewisa zimnym, twardym spojrzeniem. Cavour nagle uświadomił sobie, że załoga przeżyła szok, widząc angielskiego kapitana. Ukłonił się i powiedział po chińsku:

- Co taki stary, przeżarty solą matros robi na tym pięknym statku?

Kwadratowa twarz Honga stopniowo ułożyła się w uśmiech. Wyglądał teraz jeszcze bardziej złowieszczo, ponieważ brakowało mu kilku zębów, a jeden z ocalałych był złoty. Widząc jego reakcję, marynarze powtórnie zaklaskali w dłonie.

- Ta dżonka jest nowa! - wykrzyknął Lew, patrząc wokół na wypolerowane deski i lśniące mosiężne okucia.

Hong skwapliwie pokiwał głową.

- Tak jest, panie, nie było jeszcze piękniejszego okrętu.

Lien zmarszczył brwi, zgorzony, że marynarz nie pytany zwraca się do kapitana, Lew wszakże nie miał tego Hongowi za złe. Dokądkolwiek mieli płynąć, do obsługi tej ślicznotki będą mu potrzebni energiczni ludzie, nie bezwolne, służalcze kreatury. W tej chwili Lew już nie dbał o to, jaki będzie port przeznaczenia. O ile nie chowają w zanadru żadnych sztuczek, podpisze kontrakt. Zakochał się w tej dżonce. Wskazał gestem załogę i zwrócił się do Honga:

- Ci ludzie to dobrzy żeglarze?

Marynarze wstrzymali oddech, czekając na odpowiedź. Hong obrócił się i przyjrzał im uważnie.

- Może i dobrzy - przyznał, a Chińczycy odetchnęli z ulgą.

Lien z dumą sprowadził kapitana na pokład, aby pokazać mu salon, dzienną kajutę oraz dwie kabiny sypialne, umeblowane dziwną mieszaniną wytworów Wschodu i Zachodu. Ozdobne chińskie lampiony wisiały nad długim topornym stołem europejskiej

wysokości, co Lew odnotował z zadowoleniem. Nie przepadał za ulubionymi przez Chińczyków niskimi stolikami. Przy każdym z węższych końców stołu przybito do podłogi krzesła o wysokich lakowanych oparciach. Okna udrapowane były czerwonym aksamitem, a na zabudowanych w ścianie kojach, do których wchodziło się po trzech szerokich stopniach, leżała świeża pościel. Wejścia do kajut i do umywalni przystrajały zasłony z kolorowych paciorków. Lew pomyślał, że będzie się ich musiał pozbyć, kiedy wyjdą w morze; oszalałby, gdyby miał codziennie się z nich wyplątywać. Pod burtą stały rzędem lakowane szafki i ławy. To wszystko jednak było mało istotne. Lew zlustrował resztę statku, ze szczególną uwagą badając stan lin mechanizmu sterowego. Na pokładzie nie było nadbudówki, w razie sztormu więc czekały go ciężkie chwile, lecz tym większą przyjemność będzie miał z prowadzenia dżonki. Czuł, że może jej ufać. Wbiegł po schodkach na wysoki, otoczony relingiem kasztel i rozejrzał się wokół, pęczniąc z dumy. Jego dawni koledzy pokładliby się ze śmiechu na wieść, że został kapitanem dżonki, ale co, u licha? Dlaczego miałby się tym przejmować?

- Podoba się? - zapytał Lien.

- To naprawdę przyzwoity statek - odparł Lew po chińsku.

- Wobec tego musimy się pośpieszyć. Moi zleceniodawcy znają pańskie warunki i oczekują, iż pokornie przyjmie pan ofertę.

- Zobaczymy. - Lew złapał się na tym, że mówi jak ojciec. Ogarnął go smutek. Jego ostatnia wizyta w Xiangtanie miała być triumfem; chciał pokazać ojcu patent, udowodnić mu, że nie jest tylko jednym z wielu marynarzy objijających się po azjatyckich portach. Chciał, żeby ojciec był z niego dumny. Nie zdążył. Dlaczego tak bardzo go to bolało? I jakież miało to w ogóle znaczenie? Obsesją pastora Cavoura była droga do zbawienia, nie imponowały mu doczesne sukcesy. Lew uśmiechnął się gorzko. Cóż, jego ojciec osiągnął wymarzony cel. Jeśli Bóg ze swej strony dotrzymał umowy, dusza Josepha Cavoura została zaiste w porę ewakuowana z tego grzesznego świata.

Lew patrzył na zbliżający się do dżonki sampan. Wciąż jeszcze chciało mu się śmiać. Złoto! A on tak się martwił, że będzie musiał odrzucić ofertę, jeśli okaże się, iż szlachetni panowie mają nieczne zamiary. Kontrakt został podpisany, statek ubezpieczony; rejs przez morza południowe mógł okazać się ryzykowny. Naturalne zagrożenie było dostatecznie duże, lecz prawdziwe niebezpieczeństwo stanowili piraci. Lew zażądał nowoczesnej broni dla obrony statku i otrzymał ją. Skrzynki z karabinami, bronią krótką i amunicją zostały już załadowane, więcej nawet, niż zamówił. Utrata statku w drodze na południe byłaby pechem, utrata oczekiwanego transportu złota w drodze powrotnej - prawdziwą katastrofą.

Powinien był sam odgadnąć cel rejsu. Setki żaglowców wypływały z azjatyckich portów, kierując się ku złotonośnej Australii, zwiódł go jednakże typ statku. Większość poszukiwaczy wolała szybsze środki transportu. Doradcy Cheonga byli chytry: dżonka leniwie orząca ciepłe wody, nawet dżonka tych rozmiarów, nie przyciągnie większej uwagi. Zbyt wiele ich się błąka po Morzu Południowochińskim. Dopiero gdy ominą Sumatrę i wejdą na angielskie wody u wybrzeży Queensland, ich cel stanie się bardziej oczywisty.

Cel ów podniecał go bardziej niż cokolwiek w tym rejsie. Po raz pierwszy w życiu udawał się do kraju, w którym mówi się po angielsku. W azjatyckich portach wielu ludzi używało tego języka, lecz w Australii Lew przestanie być odstającym od reszty cudzoziemcem. Znajdzie się wśród rodaków jako jeden z wielu. Przez wiele lat marzył o tym, że gdy zdobędzie już patent kapitański, popłynie do Anglii; marzył tak uparcie, że na śmierć zapomniał o angielskich koloniach, leżących na południe od równika. Było to zrozumiałe. Zanim odkryto złoto, nikt o nie zbytnio nie dbał; były to placówki karne, od których lepiej było się trzymać z daleka. Teraz wszakże Lew się dowiedział, iż zaprzestano już transportu więźniów, system penitencjarny został zlikwidowany, a kolonie na wybrzeżu Australii zyskały niezależność finansową i bogaciły się z dnia na dzień. Złóża cennego kruszcu, rzecz jasna, dodały im wiatru w żagle; to właściwie dzięki nim owe kolonie znalazły się na mapach. Najważniejszą, jak wiedział, była Nowa Południowa Walia, on wszakże miał rozkaz kierować się do Queensland, nowego stanu na północy, przez to położonego o wiele bliżej Azji. Tym lepiej dla zainteresowanych.

- Witam na pokładzie, panie Chin - rzekł Lew, kłaniając się bez zmrżenia oka przesadnie wystrojonemu paniczykowi, za którym postępowało dwóch służących. Dzień był zimny, lecz doprawdy, ten facet wybierał się chyba w Arktykę! Miał na sobie lamowany futrem, wutowany kaftan z niebieskiej satyny, spod którego wystawała ciemnofioletowa

spódnica, gęsto wyszywana złotą i czerwoną nicią. Okrągły kapelusz także obrzeżony był futrem.

Chin odklonił się lekko, wdzięcznie, i rzekł po angielsku:

- Dzień dobry, kapitanie. Zechce pan wskazać mi moją kwaterę.

Nieodstępni słudzy stanęli z boku, gdy Chin oglądał kajutę.

- Ujdzie - stwierdził w końcu. - Teraz chcę odpocząć.

- Jak pan sobie życzy - odparł Lew i wrócił na pokład, by tam oczekiwać pięćdziesięciu kulisów, którymi dowodził ten człowiek.

Wreszcie do burty dżonki przybił konwój sampanów. Lew patrzył zdumiony, jak kulisi wnoszą na pokład pudła, kufry i skrzynie, wszystkie starannie oznaczone. Część zawierała sprzęt do wydobywania złota i te Lew odesłał do ładowni, ale jeden ze służących poinformował go, iż ostatnie dwadzieścia dwie skrzynki wypełnione są osobistymi rzeczami pana China i muszą zostać umieszczone w jego kajucie.

- Nie zmieszczą się w kajucie - rzekł Lew. - Wrzućcie je pod pokład.

W tej samej chwili Chin stanął w drzwiach. Zdjął płaszcz, był teraz odziany w grubo watowany kaftan z poszerzonymi ramionami, przepysznie szamerowany złotem, oraz czarne satynowe spodnie. Za pasem zatknięty miał piękny miecz w ozdobnej pochwie z kutasami.

- Wnieście je tutaj - rozkazał.

- Właśnie im wyjaśniłem, że nie starczy na nie miejsca w pańskiej kajucie - rzekł z naciskiem Lew.

- To oczywiste, ale środkowe pomieszczenie jest wolne.

- To pomieszczenie pełni rolę salonu i jadalni. Nie możemy zagracać go pakunkami.

Chin zmierzył go zimnym wzrokiem.

- O tym ja zadecyduję.

Lew wyprostował się i spojrzał na Chińczyka z góry.

- Ja jestem kapitanem i to ja dowodzę tym statkiem, nie pan.

- Widzę, że się nie rozumiemy. Jestem osobistym przedstawicielem wielmożnego pana Cheonga, właściciela tego statku. Pan został przez niego wynajęty, by doprowadzić dżonkę do portu Bowen.

- Brednie! - rzekł Lew po angielsku, nie troszcząc się, czy jego pasażer rozumie to słowo; na pewno i tak zorientuje się w intencji. - Co jest w tych skrzyniach?

- Moje osobiste rzeczy - podkreślił Chin.

Lew puścił to mimo uszu. Zerwał wieko z najbliższej rzeźbionej skrzynki i sięgnął do środka.

- Co pan tu ma, u diabła? - ryknął, przetrząsając satynowe i jedwabne suknie i kaftany, fałdzone płaszcze, przepięknie haftowane koszule, brokatowe pantofle. - Kostiumy operowe?

Chin wściekły podskoczył ku niemu. Jego dłoń powędrowała w kierunku miecza. Dwaj słudzy złowieszczo ustawili się tuż za nim.

Lew kopniakiem usunął z drogi kufer.

- Człowiek, który ryzykuje życie dla kilku barwnych szat, musi być kompletnym głupcem. Jeżeli dobiedzie pan na mnie miecza, wyrzucę pana za burzę.

- Nie pójdzie to panu łatwo, kapitanie - zauważył spokojnie Chin.

Lew pokręcił głową z niedowierzaniem. Jeszcze nie wypłynęli z portu, a już ma bunt na pokładzie.

- Pozwoli pan ze mną - rzekł. Kiedy zeszli pod pokład, gdzie nikt nie mógł ich słyszeć, zapytał: - Co poza odzieżą jest w tych skrzyniach?

- Przedmioty osobistego użytku, sztuce i naczynia z najlepszej porcelany, książki, bielizna, pościel...

- Dobrze - przerwał mu Lew. - Proszę mnie posłuchać: nie może pan umieścić ich tutaj. Nie mam zamiaru potykać się o nie na każdym kroku. Ponadto w czasie sztormu będą stanowić zagrożenie. Każ pan swoim sługom wypakować to, co będzie panu potrzebne w czasie rejsu, a reszta pójdzie do ładowni.

Chińczyk zaczął zdawać sobie sprawę, że kapitan ma rację, Lew ciągnął więc dalej:

- Jeszcze jedno: tam, dokąd płyniemy, nie będą panu potrzebne wszystkie te balowe szaty. Będzie się pan w nich rzucać w oczy jak rekin w fontannie.

- Szlachcic mojej rangi musi się ubierać ze smakiem - rzekł Chin, spoglądając wymownie na znoszone drelichowe spodnie Cavoura i jego spłowiałą czarną marynarską kurtkę.

- W australijskiej dziczy nie będzie pan miał komu imponować. Ważniejsze stanie się to, by utrzymać się przy życiu. Pozwolę sobie również zwrócić pańską uwagę na fakt, iż udajemy się w tropiki, nie na biegun północny. Będę zobowiązany, panie Chin, jeśli załatwi pan tę sprawę od ręki. Nie mam czasu na bzdury. - Lew skierował się ku schodom. - Jeśli będą tu się nadal poniewierać jakieś skrzynki, powędrują za burzę, proszę mi wierzyć.

Chin Ying kazał sobie przynieść wina i ciastek, po czym usiadł przy stole nad książkami i mapami, udając, że je studiuje, choć cały trząsał się ze złości. Ten barbarzyńca śmiał go upokorzyć! Ten arogancki, przerośnięty Anglik, który mówi po chińsku z plebejskim akcentem! Gdyby nie to, że kapitan był mu potrzebny, Ying z pewnością dobyłby na niego miecza. Jego słudzy, bracia Yuang, nosili w rękawach sztylety i byli mistrzami w sztuce walki. Jeden ruch i Cavour miałby ostrze w gardle. Wtedy by się okazało, kto rządzi na tym statku. Logika podpowiadała jednak, iż agenci wielmożnego Cheonga w Makau nie wybrali tego faceta bez powodu, aczkolwiek powód ów nadal był dla Yinga niejasny. Tak czy owak, zabicie go stworzyłoby kolejny problem i naraziło na szwank jego dostatecznie już kruchą pozycję.

Ying czuł się przygnębiony i samotny. Żałował, że nie może posłać po jakąś kobietę i zrelaksować się, pozwalając, by jej pieszczoty kołysały jego zranioną dumę. Rejs nie zapowiadał się najlepiej, a świadomość, iż przez wiele tygodni skazany będzie na wyłączne towarzystwo tego angielskiego gbura, pogłębiała jeszcze jego rozpacz. Do tego zdawał sobie sprawę, że na tak zwanym drugim brzegu tęczy może nie znaleźć nawet garści złota, nie mówiąc już o bajecznych skarbach, jakich spodziewa się Cheong. Co wtedy? Nie ośmielał się wybiegać myślą tak daleko naprzód.

Słudzy rozpakowali niezbędne mu rzeczy i na jego rozkaz usunęli skrzynki. Ying był zbity z tropu. Czyżby Cavour miał rację? Czy rzeczywiście zabrano nieodpowiednią odzież? Jeśli tak, ukarze swoich ludzi i w najbliższym porcie wyśle ich na brzeg, by zakupili, co trzeba. Nie zmieniało to faktu, że kapitan powinien był pilnować własnego nosa i nie wtrącać się do jego spraw.

Westchnął z ulgą, gdy posłyszał skrzypienie naprężających się desek i poczuł delikatne kołysanie. Dżonka ruszyła w drogę. Znienawidzony szyper zajrzał do jego kajuty, wielce z siebie rad. Najwyraźniej zdążył już zapomnieć o niedawnej kłótni.

- Wy płynęliśmy, panie Chin. Teraz niech się pan modli o pomyślne wiatry i zarazę na piratów.

Serce niespodziewanie skoczyło Yingowi do gardła. Nikt nie wspominał mu o piratach! Słyszał o mrozących krew w żyłach wyczynach morskich rozbójników; opowieści te były równie wstrząsające jak wspomnienie straszliwego najazdu Kubłaj Chana. Wówczas sto tysięcy Chińczyków wolało się utopić, niż poddać Mongołom. Może powinien od razu wyskoczyć za burtę i mieć to wszystko z głowy. Tylko że w Chinach jest jego rodzina...

Cavour ma około trzydziestu lat, jest zatem niewiele starszy od niego. Czy tak młody człowiek potrafi przewieźć ich bezpiecznie na drugą półkulę w tej wielkiej, powolnej

dżonce? Ying widział w Makau piękne statki - smukłe klipry o żaglach niczym skrzydła ptaków, niedościgłe liniowce, angielskie i portugalskie okręty wojenne... Tymczasem on tkwił na antycznej balii o żaglach, które przypominały zwinięte jeszcze kokony motyli. Potem mignęło mu pewne wspomnienie, które nieco podniosło go na duchu. Jako dziecko próbował rozerwać taki kokon, by zajrzeć do środka, i przekonał się, że jest twardy jak nie garbowana skóra. Może Cheong mimo wszystko wie, co robi.

Kazał sobie przynieść więcej wina. Podczas rejsu zachowa wyniosłą rezerwę, będzie zwracał się do kapitana tylko w razie konieczności. Ten człowiek w końcu zrozumie, że jest istotą niższą, pomimo iż zna się na nawigacji.

Na nieszczęście minęło nieco czasu, nim żołądek Yinga przyzwyczał się do rytmów oceanu. Przez pierwszy tydzień nie ruszał sil z kabiny, gdzie pałac się ze wstydu cierpiał pod opieką braci Yuang, którzy za pomocą coraz to nowych ziołowych naparów usiłowali przynieść ulgę swemu panu. Żaden jednak z tych środków nie wywarł dostrzegalnego wpływu na jego targane konwulsjami trzewia.

Po jakimś czasie odwiedził go Lew Cavour.

- Panie Chin, proszę wybaczyć, iż się narzucam, ale zalecałbym świeże powietrze na pokładzie. Jest ładny, rześki dzień.

- Wątpię, czy to będzie możliwe - jęknął Ying. - Czuję się niedysponowany.

- Morskie powietrze to jedyne lekarstwo - odparł kapitan. - Pomogę panu. - Zanim Ying zdążył zaprotestować, szyper wywłócił go z koi i poprowadził na niższy pokład, gdzie Ying z ulgą osunął się na stertę żagli w zacisznym słonecznym kącie. Jego słudzy nadbiegli w chwilę później z miękkimi poduszkami i pledem.

- Głowa do góry. Niech pan wystawi twarz na wiatr - komenderował Lew.

Wkrótce nękające Yinga mdłości ustąpiły i poczuł się lepiej, zawartość żołądka przestała co chwilę podjeżdzać mu do gardła. Odzyskał też wiarę, iż może mimo wszystko ujdzie z tego z życiem. Odtąd codziennie sadowił się na pokładzie. Stwierdził ze zdumieniem, że wyjścia te stały się dlań wytęsknioną rozrywką. Siły mu wracały, mógł już przespacerować się po deku albo usiąść z książką pod płócienną wiatą. Wkrótce jego stan poprawił się na tyle, że zaczął interesować się nawigacją, a także porażającą urodą otaczającego ich oceanu.

Z ciekawością obserwował kapitana. Człowiekowi temu brakowało oglady, nosił wyświechtane łachy, na nogach miał sandały niczym kulis. Jego czarne włosy nigdy nie były trefione, pewnie rzadko nawet czesane, myślał Ying pogardliwie, przyglądając się niesfornym postrzępionym kędziorkom, sterczącym Cavourowi znad kołnierza. Musiał

jednakże przyznać, iż wysoki Anglik jest człowiekiem niezwykłym. Emanował z niego nie tylko autorytet, którego można oczekiwać od dowódcy statku, ale także surowa prawość. Zimne niebieskie oczy błyszczały hardo, jak gdyby wyzywał świat, czy ośmieli się podać w wątpliwość jego słowo.

Cavour ma w sobie siłę, dumął Ying, która rodzi się z pewności siebie i wrodzonej inteligencji. Jaką rangę człowiek jego pokroju osiągnąłby na dworze wielmożnego Cheonga? Nie był chłopem ani szlachcicem. Zupełnie nie nadawał się na dworzanina; Ying był w stanie sobie wyobrazić, jaki wyraz przybrałyby oczy Cavoura na widok wszechobecnych dworskich pochlebstw, intryg i wzajemnego kopania pod sobą dołków. Nie byłoby dla niego miejsca ani wśród uczonych, ani poetów; Ying nie widział go też w roli wysokiego urzędnika, takiego jak ojciec, płaszczącego się przed Wielkim Skarbnikiem i jego skrybami.

Ying wciąż nie mógł pogodzić się z hańbą, jaką okryła go nieuczciwość ojca, równocześnie jednak rozmyślał nad rzeczywistym wymiarem godności Nadzorca Plonów. Wiecznie zgięty wpół przed Wielkim Skarbnikiem, musiał rozliczać się z każdego ziarna zboża i każdej daniny zebranej od wieśniaków, ślęczyć nad rachunkami, które prezentował co tydzień, żyłować zyski, znosić skargi, żądania, strach przed karą. Ying zastanawiał się, czy owo stanowisko - piastowane uczciwie lub nie - warte było wszystkich tych zmartwień i... nudy.

Jego myśli zatracąły niemal o herezję, jednakże rozwijał ten wątek z coraz większym zainteresowaniem. Nominacja dawała prestiż i majątek, lecz nie pozwalała nawet na chwilę wyrwać się z żelaznego uścisku skarbnika i wszechpotężnego Cheonga. Ying zdawał sobie sprawę, że już utracił nieco ze swej naiwnej wiary w to, iż życie na dworze feudała jest najwyższym szczęściem. Był teraz niczym ptak unoszący się nad ziemią, obserwował z góry kłębiących się niżej ludzi. Ale jakim był ptakiem? Nie śmiałyby się stroić w pióra orła czy nawet jastrzębia, aczkolwiek bez wątpienia miał szersze horyzonty niż szczebioczące w ogrodach wróble i skowronki. Odpowiedź na to pytanie wymagała dłuższej medytacji. Napisze filozoficzną rozprawę, w której ujmie swoje nowe poglądy na karierę urzędniczą. Nieuczciwość ojca trudno było traktować jako powód do radości, lecz Ying pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech. Co za brawura! Okpić skarbnika, zadrwić z samego Cheonga! On sam nigdy by się na to nie poważył.

Powrócił do rozmyślań o kapitanie Cavourze. Ostatecznie znalazłoby się dla niego miejsce w księstwie. Byłby dowódcą wojsk. Ying całkiem zapomniał o żołnierzach, żyli poza nawiasem, w koszarach rozsianych po terytorium podległym władzy feudała. Generałowie

odbywali regularne narady z wielmożnym panem i jego doradcami wojskowymi, lecz nie byli przyjmowani w towarzystwie. Uważano ich za nieodzowny dodatek, najemników nie lepszych od zaciężnych brygantów, to wszystko.

Ying obserwował, jak Cavour ciągnie liny, sprawując władzę nad rozpędzoną dżonką. Widok umięśnionych pleców kapitana sprawiał mu niemal fizyczną rozkosz. Jego edukacja seksualna rozpoczęła się w dzieciństwie, tak by wchodząc w wiek dojrzały, mógł już określić własne preferencje. Cavour, jak ocenił w duchu, jest silnie zmysłowy, lecz daleki od wyrafinowania, niedoświadczony w delikatnych niuansach rozkoszy. Ying podziwiał ciało tego mężczyzny po prostu jako harmonijną ludzką postać o doskonałej symetrii. Osobiście nie gustował w wypukłych bicepsach i masywnych torsach, które tak bardzo ukochali i z dumą portretowali europejscy malarze i rzeźbiarze.

Uśmiechnął się pod nosem. Tak. W armii Cheonga Cavour byłby generałem.

Pierwsze drgnienia ambicji wkradły się do duszy Yinga niby nocny rabuś - ostrożnie, niepewnie, z trudem zbierając się na odwagę. Ying, zawsze skłonny do autoanalizy, przyglądał im się z równą ostrożnością, smakował zdradzieckie pokusy, badał swe reakcje, szacował własną odwagę w odniesieniu do wyłaniających się możliwości. Nikt w Chinach nie komentował osławionej nieprawości generałów Cheonga, jakkolwiek krytyka, godząc pośrednio w samego władcę, mogła mieć groźne skutki. Rozmyślać wszakże mógł Ying bez przeszkód - zwłaszcza teraz.

W zadumie przeszedł na dziób statku, oglądając się na horyzont, za którym dawno już skryło się Makau.

- A zatem, wielmożny panie Cheong - mruknął z satysfakcją - ja też mam teraz generała, tylko że mój jest uczciwy. Może to i skromny początek, ale dla inteligentnego człowieka... kto wie?

Kiedy wielka dżonka bez wysiłku wśliznęła się na szafirowe wody cieśniny Whitsunday u wybrzeży Queensland, Ying po raz kolejny zadumał się nad przyjaźnią, która nawiązała się tak łatwo, tak naturalnie, pomiędzy nim a Lewisem Cavourem. Nie sposób było przejść obojętnie nad poczuciem humoru tego człowieka oraz jego entuzjazmem, który zrodził się w czasie wieczornych narad nad mapami.

Lew - rad, że Ying zna geografię regionu - nieomal od pierwszego dnia zapraszał go na konsultacje przy wykreślaniu kursu.

- Będzie to w pańskim własnym interesie, panie Chin. Radziłbym nauczyć się tego i owego na temat nawigacji, skoro ma pan okazję. Pierwszy oficer Hong jest doświadczonym

żeglarzem, ale statek musi mieć dowódcę. Gdyby coś mi się stało, życie załogi znajdzie się w pańskich rękach.

- Nie palę się zbytnio do tego rodzaju odpowiedzialności - bąknął niepewnie Ying, bardziej martwiąc się o własne bezpieczeństwo niż o kulisów.

- Jest pan wykształconym człowiekiem i ma pan mnóstwo czasu, żeby uczyć się nadal - odparł Lew. - Nie planuję dać się zabić, ale może mnie złożyć atak febry, której nabawiłem się w Singapurze. Nie chcę, żeby statek zszedł z kursu, zanim ją wypocę.

Ying obiecał sobie, że przejrzy apteczkę, która zawierała spory zapas różnych ziół i ekstraktów. Zadba o to, by kapitan był zdrowy. Na razie ślęczeli razem nad mapą, rozpostartą na długim stole. Opuszczając Cesarstwo Środka, udadzą się na południe przez Morze Południowochińskie, miną Indochiny, przeprawią się przez cieśniny Sumatry i skręcą na wschód, zostawiając za sobą Jawę z jednej, Borneo zaś i Celebes z drugiej strony. Na południe od Nowej Gwinei przejdą przez wąską Cieśninę Torresa na wody australijskie.

Kiedy Ying uświadomił sobie ogrom czekającej ich podróży, zakreśliło mu się w głowie.

- Gdzie możemy natknąć się na piratów? - spytał.

- Wszędzie. Będziemy musieli mieć się na baczności, dopóki nie wpłyniemy do cieśniny Whitsunday.

- To już jakaś ulga - zauważył Ying, a Lew parsknął śmiechem:

- Tak, cały tamtejszy szelf usiany jest groźnymi rafami, toteż piraci nigdy nie zapuszczają się za wielką rafę, nazywaną przez nich Barierową. Uważają, że to zbyt ryzykowne.

- Wątpię, czy choć na chwilę zmruję oko aż do końca rejsu - oświadczył Ying.

- Nie jest tak źle. Napije się pan wina? - Lew wyciągnął butelkę, lecz Chińczyk potrząsnął głową.

- Zabrałem ze sobą wyśmienite wina, jednakże zesłał je pan do ładowni. Za pańskim pozwoleniem, każę przynieść parę flaszek.

- Nie będę się sprzeciwiał - zaśmiał się Lew.

Był to niebiański wieczór na przestworze oceanu. Ying upił się na wesoło, jego troski pierzchły nad naporem radosnego podniecenia na myśl o czekającej go przygodzie.

- Myśli pan, że znajdziecie złoto? - zapytał go Lew.

- A cóż to ma za znaczenie? - odparł wesoło młody Chińczyk. Zaczynał się z niego wyłaniać zupełnie nowy człowiek.

Teraz, leniuchując półnago na pokładzie dżonki, Ying z zachwytem studiował królestwo błękitu, jakie przemierzali. Niebo było bezmierną połącią lazuru, zlewało się z zadziwiająco niebieskim morzem. Jedyne tropikalna zieleń, znacząca brzegi wysp, kontrastowała z wszechwładnym błękitem, zarazem go uzupełniając. Ying akwarelę utrwalił kilka widoków z podróży, lecz nie sprostał wyzwaniu, jakie rzucał ten pejzaż. W kraju jego obrazy uznano by za dzieła wysokiej klasy, on sam czuł wszakże, iż nie potrafi odmalować tego świata. Trzeba odwagi, by atakować papier kolorami tak czystymi i nasyconymi jak klejnoty; efekt mógł być ryzykowny, nazbyt ostry. Rozejrzał się dokoła, próbując rozstrzygnąć ów problem. Mimo bijących w oczy barw, morska sceneria przesycona była spokojem.

Rozważania te przywiodły mu na myśl kapitana, do którego zresztą zwracał się już po imieniu. Interesujące porównanie: Cavour również nie był taki szorstki, jakim się w pierwszej chwili wydawał. Jego osobowość przywodziła na myśl ten oszłamiający błękit. Niezależnie od tego, czy kłął, czy się uśmiechał, działał czy wypoczywał, nie dało się go zignorować, tak silną roztaczał aurę. A równocześnie miał w sobie coś groźnego, tak samo groźnego jak te zielone kuszące brzegi, na których, o czym Ying wiedział, czaiły się groźne hordy aborygeńskich dzikusów.

Zaatakowano ich trzykrotnie, z czego dwa razy napastnikami byli morscy piraci. Lew na okrągło wystawiał warty. Kiedy nieszkodliwie wyglądające łodzie rybackie podpłynęły zbyt blisko, załoga nagle otworzyła ogień i odparła piratów. Tak samo stało się i za drugim razem. Incydent na lądzie był bardziej niebezpieczny. Miał on miejsce w jawajskiej wiosce rybackiej, gdzie zeszli na ląd, by dokupić żywności i nabrać świeżej wody. Zostali po królewsku powitani przez tubylców, gdy jednak Lew i Ying w asyście braci Yuang weszli na teren wioski, otoczyli ich groźnie wyglądający wieśniacy, wymachując nożami i włóczniami. Na szczęście Lew przezornie zostawił w odwodzie grupę uzbrojonych marynarzy i kulisów, toteż bandyci musieli ratować się ucieczką.

Lew zastrzelił przywódcę i puścił wioskę z dymem, by ukarać Jawajczyków za to, iż pozornie przyjacielskim powitaniem zwabili nieświadomych podróżnych w zasadzkę. W chatach znaleźli posępne rzędy odciętych ludzkich głów. Później Lew usprawiedliwiał się, że kara ta, choć sroga, była konieczna. Ying skwitował to uśmiechem. Wielmożny Cheong kazałby stracić wszystkich: mężczyzn, kobiety i dzieci.

Co dziwne, nigdy nie rozmawiali o rodzicach. Lew ani razu o nich nie wspomniał, Ying zaś się nie dopytywał, tym samym z góry wykluczając dyskusję o swoim nieodżałowanej pamięci ojcu.

Lew podszedł do niego i trącił go w łokieć.

- Już niedaleko - powiedział. - Wkrótce będziesz musiał włożyć buty do marszu.

- Taki piękny dzień, a ty musisz go psuć - nachmurzył się Ying. Nie śpieszyło mu się do następnego etapu tej wędrówki. - Zastanawiałem się... Gdzie są pustynie? Moi nauczyciele przekazali mi, że ten kraj to jedna wielka, płaska, bezwodna pustynia.

- Za górami, jak sędzę.

- Zatem muszę przejść przez góry, żeby dostać się na tereny złotonośne?

- Nie martw się. Będziesz miał liczne towarzystwo. Każdy statek, który nas mijał, zmierzając do tych brzegów, załadowany był poszukiwaczami złota. Podobno gorączka jest większa od kalifornijskiej. Jutro zawiniemy do Bowen. Zaczynam żałować, że nie mogę jechać z tobą. Szukanie złota może być całkiem zabawne.

- Nie możesz tego zrobić! - wystraszył się Ying. - Za nic w świecie! Masz zostać w Bowen i strzec statku. Będziesz przecież musiał odwieźć mnie do Chin wraz ze złotem. Takie otrzymałeś rozkazy!

- Bez paniki - rzekł Lew. - Nigdzie się stąd nie ruszę. I nie bój się, odwiozę cię z powrotem do domu.

Gloria Molloy miała rację. Jak zwykle.

- Idź tam od razu - poleciła. - W tej chwili, o ile wiem, nikogo tu jeszcze nie znają, więc szybko się u nich zadomowisz.

Tak się też stało. Już po raz czwarty w tym miesiącu Middletonowie zaprosili Herberta na kolację. Stało się to cotygodniowym zwyczajem. Herbert pełnił rolę łącznika pomiędzy nowo przybyłymi a miastem, pomógł też Jackowi w zakupie trzech koni dla rodziny i wynajęciu stajni w pobliżu. Potem sam się zaofiarował, że nauczy Perfy i jej czarną pokojówkę jeździć konno. Herbert pysznił się swoim talentem hippicznym i wyraził to głośno - niestety, kunsztownie sformułowane zdanie nie wywołało należytego oddźwięku.

- Co to znaczy: "hippiczny"? - zapytała obojętnie Perfy.

Lekcje jazdy konnej były mocnym przeżyciem same w sobie. Perfy zaczynała z głęboką wiarą, że da sobie radę, tymczasem się okazało, że niedostatecznie panuje nad wierzchowcem i nie potrafi poprawnie siedzieć w siodle. Pokojówka dla odmiany była przekonana, że nie zdoła utrzymać się na końskim grzbiecie, gdy jednak przewyciężyła już strach przed zwierzęciem, szło jej całkiem nieźle.

Herbert nie posiadał się z uciechy, że nowe znajome i sąsiadki pani Middleton traktują go jak szacownego handlowca. Nie miały pojęcia, że zaczynał jako grajek u Glorii Molloy. Skąd zresztą miałyby wiedzieć? Ich mężowie regularnie bywali w lokalu Glorii, ale przecież nie mogli wprost oznajmić żonom, że poznali Herberta w burdelu. Męska zmowa milczenia działała równie skutecznie w tym pogranicznym miasteczku, jak w Anglii. Na szczęście Jacka Middletona nie interesowały pikantne rozrywki, wystarczał mu dom i rodzina.

Przeglądając mapy okolicy, Jack w końcu napomknął o Caravale, jak również o tym, że Perfy jest współwłaścicielką rancza i czekają tylko na akt notarialny. Herbert kiwał ze zrozumieniem głową. Tak, formalności mogą ciągnąć się miesiącami, ponieważ wszystkie dokumenty wystawiane są aż w Brisbane. Szalenie interesowała go ta sprawa. Nie wątpił, iż Middletonowie sprzedadzą udział w ranczo, i w głębi ducha liczył, że to on będzie pośredniczył w transakcji; miał szansę zainkasować potężną prowizję. Dowodziło to również, że Perfy istotnie jest majątną panną, a co za tym idzie - świetną partią.

Była nawet ładna na swój prowincjonalny sposób, za to okropnie zmienna. Czasem chętna do rozmowy i wtedy nad podziw wygadana, innym razem popadała w długie

pośepne milczenie. Herbert postanowił się do niej zalecać, lecz pierwsze kroki okazały się niezmiernie trudne.

- Na razie bądź jej tylko przyjacielem, mój drogi - doradziła mu Gloria. - Każda dziewczyna potrzebuje przyjaciela, zwłaszcza gdy jest to przystojny dżentelmen, na dodatek mile widziany przez rodziców.

- Łatwo ci mówić. W tej dziewczynie mieszkają dwie różne osoby. Nigdy nie wiem, której się spodziewać.

- Ach, tym się nie przejmuj! Młode damy często w ten sposób kokietują kawalerów. To tylko takie gierki.

Herbert wcale nie był o tym przekonany. Nie śmiałyby przy tym wspomnieć Glorii, że Perfy Middleton, córka zwykłego sierżanta, raczej nie odpowiada jego pojęciu "damy". Ojciec Herberta był emerytowanym pułkownikiem regimentu gwardii Coldstream, w którym też jako oficerowie służyli jego dwaj bracia. To powinno zrobić wrażenie na Jacku Middletonie i podeprzeć kandydaturę Herberta, gdy przyjdzie na to czas.

Wyszedł z biura i ruszył ulicą, rozważając, czy nie powinien zaopatrzyć się w pistolet. Bowen się zmieniało. Można było przewidzieć, że napływ poszukiwaczy złota wszelkiej maści doprowadzi do licznych burd i zamieszania. Mimo iż roilo się od pijaków i wartogłowów, dwaj miejscowi policjanci jak dotąd byli w stanie zapanować nad sytuacją. Ostatnio wszakże w mieście pojawiły się setki Chińczyków. Gdzie się człowiek obejrzał, widział czarne warkocze i słyszał śpiewne trajkotanie. Dochodziło też do coraz gwałtowniejszych zatargów. Awanturnicy świetnie się bawili, tłukąc synów Niebiańskiego Imperium, jak Chińczycy sami siebie nazywali, ci zaś brali odwet za pomocą noży, które ogólnie były uważane za niesportową broń. Dodając do tego powszechne złodziejstwo i włóczące się wokół miasta bandy, człowiek nie czuł się bezpieczny na ulicy po zmroku.

Ranczerzy zawsze wjeżdżali do miasta uzbrojeni i nikt się temu nie dziwił: broń była nieodzowna w razie napaści w buszu. Teraz jednak coraz liczniejsi mieszkańcy Bowen także nosili przy pasach rewolwery, przemoc bowiem rozpanoszyła się i w mieście. Zagrożenie było namacalne, niejeden został pozbawiony portfela, winą zaś, słusznie czy też nie, zawsze obarczano Chińczyków. Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Policja zwróciła się o pomoc do żołnierzy stacjonujących na północy, w Townsville, lecz ci odpowiedzieli, że mają tam własne kłopoty. Odkryto właśnie nową, krótszą drogę z Townsville do odkrywek nad Cape i osada gwałtownie się rozrastała. Ci z górników, którym się powiodło, wywozili swoje złoto przez Townsville zamiast przez Bowen, czyniąc je lepszym celem napadów rabunkowych.

- O, Herbercie, właśnie o panu myślałem - zaczepił go Sam Tolley.

- Czym mogę służyć? - zapytał łaskawie Herbert. Na przedmieściach Bowen rozparcelowano właśnie pod zabudowę nową połąć ziemi i Herbert sprzedawał działki niczym świeże bułeczki. Wciąż jeszcze ciągnęły się za nim karciane długi, lecz zdołał już zgromadzić kilkaset funtów na koncie w banku Tolleya.

- Chodzi o Middletonów - wyjaśniał bankier. - Podobno dostali już tytuł współwłasności Caravale, który mają zamiar sprzedać.

- Pierwsze słyszę - rzekł Herbert. - Nie wspomnieli mi o tym.

- Dajże spokój, Herbercie. Sprzedadzą udział i sam dobrze o tym wiesz. Ty i Gloria już weszycie za nabywcą, który dysponowałby taką gotówką.

- To dla mnie nowość - powtórzył stanowczo Herbert.

Tolley zatknął kciuki w kieszonkach kamizelki i uśmiechnął się złośliwie.

- Jeśli się mylę, tym lepiej. Znasz Bena Buchanana?

- Nie miałem przyjemności.

- Fakt. Ale on o tobie słyszał. I wolę cię z góry ostrzec: Buchanan nie ma zamiaru pozwolić, żebyś przepuścił pół jego majątku.

- To już będzie zależeć od Middletonów.

- Nic podobnego, chłopcze. Jesteś tu nowy, więc lepiej się naucz, kto tu rządzi. Hodowcy to potężne lobby. Jeśli ci mówią, żebyś nie wchodził jednemu z nich w drogę, powinienes posłuchać dobrej rady.

- Dlaczego akurat ja? Middletonowie sami mogą znaleźć kupca.

- Niech próbują - zachichotał Tolley. - A ty, młody człowieku, wykaż się rozsądkiem i trzymaj się z dala od tej sprawy.

Herbert ruszył dalej. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było narażenie się któremuś z wielkich ranczerów. Ci ludzie sami stanowili dla siebie prawa. Sprzedaż Caravale nie była aż tak istotna jak jego zaloty do Perfy Middleton, choć nie zamierzał łatwo dać się spławić.

Perfy i jej matka pracowały w ogrodzie. Większa część żywopłotu przed domem została całkowicie stratowana.

- Niechże pan tylko spojrzy na ten bałagan! - powitała go Alice Middleton. - Mieliśmy tu straszną awanturę zeszłej nocy. Ludzie pobili się na ulicy i cały tłum wpadł do naszego ogródka. Zniszczyli nam żywopłot. Jack uprzętnął już wszystkie połamane gałęzie, ale jaka szkoda!

- Rzeczywiście szkoda. Powinna była pani posłać po mnie. Pomógłbym Jackowi sprzątać.

- W zasadzie już skończyliśmy - rzekła Perfy. - Musimy tylko zasadzić nowe krzewy. Tatuś strasznie się zezłościł. Rano poszedł wprost do rusznikarza po naboje. Powiada, że drugi raz to się nie powtórzy.

- Ależ gorąco! - sapnęła Alice, rozwiązując czepek. - Zostaw to, Perfy. Przyniosę lemoniady.

Herbert wyjął Perfy z rąk uchwytu taczek.

- Pozwoli pani, że ja to zrobię.

Poszła za nim na tyły domu, żeby mu pokazać, gdzie ma wyrzucić połamane korzenie i resztki liści. Potem przyglądała się, jak Herbert myje ręce w beczce z wodą.

- Ślicznie pani dziś wygląda - zauważył.

- Pewnie jestem rozczochrana - odparła. - Nie cierpię ogrodnictwa.

- Nie jest to najlepsze zajęcie na upał - zgodził się. - Co prawda w chłodzie też nigdy tego nie próbowałem - dodał ze śmiechem.

- Czym się pan zajmował w Anglii?

- Mniej więcej tym samym co tutaj - skłamał. - Sprzedają domów.

- Aha. - Wydawała się usatysfakcjonowana odpowiedzią, nagle jednak obróciła się do niego. - Mama uważa, że jest pan wygnańcem. Co to takiego?

Herbert osłupiał. Wściekły, udał rozbawienie.

- Droga Perfy, doprawdy żałuję, że nim nie jestem. Człowiek taki wysyłany jest do kolonii przez rodzinę, która płaci mu za to, żeby trzymał się z dala od domu. Mój ojciec nie zdobyłby się na taką hojność. - Herbert nie mógł się powstrzymać, by nie dodać z goryczą: - Przykro mi, że rozczarowałem pani mamę.

- Nie miała zamiaru pana krytykować - zapewniła Perfy, prowadząc go z powrotem na frontową werandę, gdzie rodzina zwykle siadywała wieczorami. - Nic podobnego. To znaczy, nie miałyby panu za złe, gdyby pan rzeczywiście był wygnańcem. Zresztą kimże jesteśmy, by krytykować bliźnich? - dodała sentencjonalnie i spytała: - Dlaczego przyjechał pan do Queensland?

Herbert przełknął ślinę, przypominając sobie sfalszowane czekie, które jego ojciec musiał spłacić, aby uchronić go przed więzieniem.

- Złoto, moja droga - rzucił niedbale. - Pomyślałem, że wydobywanie złota będzie prostszym sposobem zarabiania na życie. - W rzeczywistości o gorączce złota usłyszał dopiero po przybyciu do Brisbane. - Okazało się jednak - ciągnął - że nie mam za grosz uzdolnień w tym kierunku, wróciłem więc do zawodu, który znam, to jest do handlu nieruchomościami.

Całkiem zgrabnie mi to wyszło, pomyślał. Boleśnie odczuł uwagę o rzekomym wygnaniu. Alice trafiła za blisko, by mógł przyjąć to spokojnie.

- Skoro już o tym mówimy, chętnie zadałbym to samo pytanie - rzekł nadspodziewanie ostro. Tak dalece przyzwyczyił się do odgrywania wesółka, duszy towarzystwa, że ten cierpki ton zaskoczył nawet jego.

- Przepraszam, Herbercie - powiedziała Perfy. - Zdaje się, że pana uraziłam.

- Nic a nic. Po prostu czasem mnie to irytuje. Ludzie przeważnie myślą dobry humor i staranne maniery ze słabością. A ja nie jestem słabym człowiekiem.

Znów nie było to całkiem zgodne z prawdą, lecz Herbert szczerze marzył o tym, by być silny i zdecydowany. Zawsze wołał Czarnego Rycerza od zmanierowanego Lancelota.

- Naturalnie, że nie jest pan słaby. - Perfy za wszelką cenę usiłowała go pocieszyć. - Bardzo pana polubiłam. Co się zaś tyczy naszego przyjazdu do Bowen, to przenieśliśmy się tutaj, bo mam kawałek ziemi na zachód od miasta. - Powiedziała to tak zdawkowo, jak gdyby chodziło o sklepik za rogiem. - Ranczo nazywa się Caravale. Może pan o nim słyszał?

- Ojciec pani wspominał o nim, ale nie znam tego rejonu.

- To kawał drogi stąd. Niedaleko terenów złotonośnych.

- Tak mi się właśnie zdawało. Absolutny koniec świata. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak ludzie w ogóle mogą tam mieszkać.

- A dlaczegoż by nie?

Znów ten nacisk w głosie. Jej życzliwe niebieskie oczy potrafiły się robić lodowate.

- Hm, choćby z tego względu, że to straszne odludzie.

- To właśnie mnie pociąga - ucięła. - Kiedy dokumenty będą gotowe, pojedziemy tam.

- Gdzie? - zapytał głupio.

- Do Caravale, roztrzępane. Mama nie może jechać, podróż byłaby dla niej zbyt uciążliwa, zresztą woli zostać w Bowen. Wybieramy się z ojcem. Nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę ranczo. Powinien pan pojechać z nami.

Na werandzie ukazała się Alice z lemoniadą, ratując go od konieczności udzielenia odpowiedzi. Caravale! Ostrzeżenie Sama Tolleya zabrzmiało mu w uszach niczym żałobny dzwon i Herbert poczuł dreszcz zgrozy. Ben Buchanan, ów mglisty jegomość z głębokiej prowincji, przybrał nagle aż nadto realny kształt. Jako wróg. Niech to diabli! Perfy lubiła go na tyle, by zaprosić na wspólną wyprawę, lecz pchać się jawnie na terytorium Buchanana? Nie ma mowy. Będzie musiał wymyślić jakiś przekonujący wykręt.

- Po co tyle fatygi? - zapytał. - Możecie przecież bez trudu sprzedać ranczo, nie tłukąc się aż taki kawał drogi.

- A kto powiedział, że chcę je sprzedać?

- Oj! Nie wiem, po prostu przyjąłem to za pewnik.

- A ja nie. Połowa rancza należy do mnie i mam zamiar ją zatrzymać.

Nie wiedzieć dlaczego, ta deklaracja wystraszyła go jeszcze bardziej.

Jack Middleton uważał, że ma obywatelski obowiązek wziąć udział w zebraniu mieszkańców miasta, poświęconym narastającemu w Bowen bezprawiu. Wspaniała plaża i wielkie cierniste drzewa dodawały miastu urody, ożywiając je swymi barwami, szkoda tylko, że przeludnienie, nawet czasowe, rodziło tyle problemów.

Miejscowy sędzia, Arnold Fletcher, powitał go w swoim biurze nowiną, że zebranie odwołano; sierżant policji i jego zastępca zostali wezwani za miasto, ponieważ ograbiono transport złota. Policyjny patrol przeczesywał teraz wzgórza w poszukiwaniu rabusiów.

- Napije się pan? - Nie czekając na odpowiedź, Fletcher nalał rumu do dwóch kieliszków. - To zebranie i tak byłoby cholerną stratą czasu.

- Nie sądzę - odparł Jack.

- Powinniśmy być ostrożni, to ciągle gadanie o bezprawiu i dopominanie się o straż obywatelską przysporzy miastu złej sławy.

- Złej sławy? - Jack parsknął śmiechem. - Miasto zatłoczone jest jak mrowisko, brakuje żywności, w dzień i w nocy na ulicach wybuchają burdy. Areszt pęka w szwach, a szpital pełen jest ludzi podziurawionych kulami lub nożem. Nie wspomnę już o cmentarzu.

- Tego można się było spodziewać. Na odkrywkach jest tysiąc razy gorzej.

- Nie jesteśmy na odkrywkach, panie Fletcher. To jest, a raczej powinno być, praworządne miasto. Przyzwoite kobiety nie są bezpieczne na ulicach bez eskorty.

Fletcher duszkiem wychylił swój rum i ponownie napełnił kieliszek.

- A co możemy zrobić? Ustawić w porcie tablicę z napisem: "Wstęp wzbroniony"? Miejscowi kupcy powiesiliby nas na najbliższym drzewie.

Jack wyjrzał przez okno. Na ulicy zebrał się tłumek, słyhać było kolejną awanturę.

- Nie chodzi tylko o hołotę, jaka się tędy przewala. Są i konflikty rasowe. Ciągłe utarczki między białymi a Chińczykami.

Fletcher przygładził wąsa.

- No tak, to się zdarza, rzadko jednak widuję w sądzie synów Państwa Środka. Zwykle od razu rozplývają się w mroku, a jak przyjdzie co do czego, nagle przestają mówić po angielsku. Trudno sobie z nimi poradzić.

- Przechodziłem przez ich obóz. Wydają się bardzo zorganizowani i schludni.

- Najlepiej ich po prostu ignorować, Jack. Zanim pojawiły się tu żółtki, w skórę zbierali Aborygeni. Teraz kolej na Chińczyków. Wiesz, jaka jest hołota, kiedy się schleje. Byle co może sprowokować ich do bitki: kłótnia, kradzież konia albo siodła. Muszą się na kimś odkuć, więc idą, leją paru żółtków, puszczają z dymem kilka namiotów, nazywają się morowymi facetami i wracają do knajp.

- A jeśli Chińczycy zdecydują się na odwet?

- E, tam. - Fletcher uśmiechnął się pobłaźliwie. - Nie odważą się walczyć z białymi. To zbyt wiele krętacze na ucziwą rozróbę. A o zmroku wszyscy są naćpani opium. Chiny to chyba okropny kraj, wszyscy leżą tam pokodem, pogrążeni w makowych snach. To nie dla nas, Brytyjczyków.

- Jest pan w błędzie - sprzeciwił się Middleton. - To my sprzedajemy im opium. Chiny rozpaczliwie usiłują powstrzymać jego napływ do swojego kraju.

- Bzdura. Nie wiem, gdzie słyszałeś tę bajeczkę, Jack. Ktoś cię nabrał. Chiny to jedno wielkie pole makowe.

- Opium sprowadza się z Indii - rzekł Jack ze znużeniem. Ponownie wyjrzał przez okno. - Co tam się, u diabła, dzieje?

Gdy wyszli na zewnątrz, zobaczyli jaskrawo ubranego Chińczyka, krocącego główną ulicą w asyście dwu innych żółtków z warkoczami, przyodzianych w czarne piżamy. Za nimi truchtał długi szereg tragarzy w spiczastych kapeluszach z sitowia, zawiązanych pod brodą.

- Co to ma znaczyć? - Fletcher wyszedł na środek drogi, by zatrzymać procesję.

Prowadzący Chińczyk zatrzymał się, pozostali poszli za jego przykładem bez żadnego dostrzegalnego rozkazu, niczym ptaki w kluczu. Kosze kołysały się na bambusowych tykach.

- Dzień dobry panu - rzekł Chińczyk z ukłonem.

- Widziałeś pan kiedyś coś takiego? - zawołał Fletcher, oglądając się na Jacka.

- Czy coś jest nie w porządku, proszę pana? - zapytał uprzejmie Chińczyk.

Fletcher rozdziawił usta.

- Coś ty za jeden?

- Nazywam się Chin. - Chińczyk skłonił się ponownie z rękami ukrytymi w obfitych fałdach jaskrawoczerwonej, wyszywanej złotem szaty o poszerzanych, wатовanych ramionach. - Pochodzę z Hunan. Udaję się na tereny złotonośne, a ci ludzie będą dla mnie wydobywać kruszec.

Jack podszedł do nich i skinął głową Chińczykowi.

- Nie ma to jak znaleźć sposób na ułatwienie sobie życia - roześmiał się.

- Niech diabli porwą taki sposób! - oburzył się Fletcher. - To nie są żadni uczciwi górnicy, to kulisi. Chyba z pięćdziesięciu! Jeśli każdy Chińczyk zacznie zatrudniać rzesze wyrobników, w końcu nas zadeczą.

- Żadne prawo tego nie zabrania - zauważył Jack. - Niech go pan lepiej puści.

Na ulicy gromadzili się zaciekawieni gapie. Fletcher popełnił błąd, zatrzymując Chińczyków; Jack wyczuwał wzbierającą wokół agresję.

- Odeślijcie ich z powrotem tam, skąd przyszli! - wrzasnął jakiś głos.

- Ruszajcie dalej - zwrócił się Jack nagłoco do pstro odzianego przywódcy, lecz jakiś człowiek wyrwał się do przodu, chwycił świeży, dymiący jeszcze kawał końskiego nawozu i rzucił nim w Chińczyka, plamiąc gnojem cały przód pięknego jedwabnego okrycia. W tej samej chwili wysoki marynarz zdzielił go pięścią. Awanturnik rozciągnął się jak długi.

- Tędy, szybko - krzyknął Jack, wskazując pobliską uliczkę, w powietrzu fruwało bowiem coraz więcej pocisków: grudy nawozu, ziemi, a nawet kufle, skutkiem czego sam również wolał salwować się ucieczką.

Skrećwszy za róg, krzyknął do Chińczyków, żeby biegli dalej, sam zaś się zatrzymał. Tłum ludzi runął za nimi w uliczkę.

- Pobawiliście się i wystarczy! - zawołał Jack. - Wracajcie do swoich spraw.

- To wolny kraj, możemy chodzić, gdzie się nam spodoba - odkrzyknął mu ktoś.

- Zjeżdżaj z drogi, baranie! - wrzasnął inny i tłum ruszył naprzód. Rozwścieczeni mężczyźni potracali go w wąskim zaułku, Jack bał się, że go przewrócą, lecz podtrzymały go czyjeś silne ręce. Nieznajomy łokciami i kopniakami torował sobie drogę, aż wreszcie wydostali się ze ścisku.

Zasapany Jack oparł się o kamienną ścianę. Tłuszcza pognała aż na koniec uliczki, wrzeszcząc i szydząc z uciekających Chińczyków, lecz w świetle dnia nikt nie ośmielił się forsować granic obozowiska przybyszów z Kraju Środka.

- Miłe miasto, nie ma co! - prychnął nieznajomy i Jack zdał sobie sprawę, że jest to ten sam marynarz, który znokautował górnika na ulicy.

- Następnym razem niech pan powie swojemu chińskiemu koledze, żeby nie maszerował przez miasto niczym cesarz.

Lew Cavour wybuchnął śmiechem.

- Ostrzegałem go, proszę mi wierzyć. Będzie niepokieszony, kiedy mu powiem: "A nie mówiłem?" Pójdę lepiej zobaczyć, czy nie rozerwali go na sztuki. Harmider chyba już ucichł.

- Pójdę z panem - oznajmił Jack, wypychając do spodni potarganą koszulę. - I dziękuję, że wyciągnął mnie pan z tego cholernego stampede. [Popłoch w stadzie bydła] Co za idioci! Nazywam się Jack Middleton - wyciągnął rękę. - Pan też jest poszukiwaczem złota?

- Ja? Niech Bóg broni! Jestem marynarzem. Lew Cavour, do usług. - Uścisnęli sobie dłonie. - Mój statek cumuje tu w zatoce.

- Tak? Który to?

- Nie ma imienia. Zwykle po prostu nazywam go Dżonką. Zawinęliśmy do Bowen dziś rano.

- Ta wielka dżonka? Widziałem ją, jest wspaniała! I pan nią dowodzi?

- Tak.

- Nigdy jeszcze nie spotkałem Brytyjczyka, który żeglowałby dżonką - stwierdził Jack zaintrygowany.

- My, Angole, wszędzie jakoś dajemy sobie radę - Lew wyszczerzył zęby. - A ten chiński dżentelmen i jego świta to moi pasażerowie.

- Nie wydaje się pan zaniepokojony. Nie lubi pan Chińczyków?

Wyszli z zaułka i skierowali się w stronę otwartego placu zastawionego namiotami, ignorując posępne spojrzenia górników.

- Uwielbiam Chińczyków - rzekł Cavour - ale nie martwię się o nich. Potrafią sami się o siebie troszczyć. Nie chciałbym być w skórze tego durnia, który rzucił mierzwą w China Yinga. Znajdą go, wie pan. Utrata twarzy... o, to paskudna sprawa!

Ying siedział sztywno na niskim ogrodzeniu biegnącym od kamiennej bramy księżycowej, którą Chińczycy zbudowali, aby przyniosła pomyślność osadzie. Płaszcz leżał na ziemi, Ying miał teraz na sobie długą tunikę zapiętą na guzik aż po szyję.

- Odrażający ludzie - prychnął z wściekłością. - Będę musiał spalić ten płaszcz.

- Bez wątpienia - przyznał Lew.

- Przykro mi z powodu tego zajścia - wtrącił Jack. - Jestem mieszkańcem Bowen, my też nie lubimy rozrabiaków.

Ying wstał i uklonił się. Lew przedstawił mu Jacka.

- Z wdzięcznością przyjmuję pańskie przeprosiny - rzekł z powagą Chińczyk.

- Co teraz? - zagadnął go Lew.

- Słudzy przygotowują dla mnie namiot. Zostanę w tym mieście tylko do chwili, gdy zgromadzę prowiant i wynajmę przewodnika, a potem udam się w głąb lądu.

- Trzeba ci w czymś pomóc?

- Nie. Dziś podejmę studia nad metalurgią. To najbardziej pilne.

Lew odprowadził Jacka z powrotem do miasta.

- Dobrze, że pan go przeprosił - rzekł. - On wie, że to nie pańska wina, ale pomogło mu to trochę ochłonąć.

- Wydawał się dość spokojny.

- Akurat!

- Czy musi pan już wracać na statek?

- Nie. Wyszedłem na brzeg, żeby zwiedzić miasto, tylko że nie ma tu wiele do zwiedzania, prawda?

- Fakt. To w gruncie rzeczy niewielka miejscina, co prawda strasznie teraz przeludniona, ale...

- Przeludniona? Tak pan mówi? Mnie wydaje się pusta po wieczornym ścisku, jaki panuje w Chinach.

- Ile ludności liczą Chiny?

- Jak się ocenia, około trzystu trzydziestu milionów.

- Boże wszechmogący! A ja właśnie niedawno się dowiedziałem, że liczba białej ludności w tym ogromnym stanie wynosi zaledwie około dwunastu tysięcy!

Lew przystanął i spojrzał na niego.

- To niemożliwe.

- Sam się pan przekona, że tak jest, kolego. Proszę posłuchać: muszę wracać do domu. Może by pan poszedł ze mną i zjadł z nami kolację?

Ogorzała twarz marynarza rozjaśniła się.

- Będę wielce zaszczycony - rzekł.

Odpowiedź ta wydała się Jackowi ździebko staroświecka, lecz zdążył już polubić tego młodzieńca. Ponadto Lew Cavour, będąc marynarzem, na pewno miał w zanadrzu wiele ciekawych opowieści. Jack niczego tak nie lubił, jak dobrej gawędy.

Alice Middleton usprawiedliwiała się, że posiłek nie jest dość wystawny, jednakże gość delectował się każdym kąskiem. Wielekroć kosztował angielskiego jadła w domach swoich znajomych - rodzice jedli tylko chińskie posiłki, zdecydowani nie wyróżniać się spomiędzy swych parafian - albo w europejskich hotelach, ale były one zawsze przyrządzane przez chińskich kucharzy. Lew co prawda nie miał materiału do porównań, natomiast rodowici Anglicy skarżyli się, że to "nie to samo". Teraz sam pojął różnicę. Żona Jacka podała pieczoną wołowinę w wielkich, grubych plastrach, polanych gęstym sosem, do tego yorkshirski pudding, marchewki, ziemniaki i cebule upieczone wraz z mięsem oraz gotowaną kapustę. Istotnie, danie to nie było wyszukane, pozbawione wszelkich przypraw i ziół, lecz smak miało niezły, gospodyni zaś nałożyła im kopiaste talerze, jak gdyby miał to być ostatni posiłek w tym tygodniu.

- Czy kiedykolwiek kosztowała pani chińskiej kuchni? - spytał.

- Nie, nigdy - wzdrygnęła się. - Podobno Chińczycy jedzą różne obrzydlistwa.

- Płetwy rekina i oczy słowika - dodała jej córka Perfy, najładniejsza młoda Angielka, jaką Lew kiedykolwiek spotkał.

- Nie bądź taka okropna - skarciła ją Alice. - Popsujesz nam apetyt.

- Czy mieliby państwo ochotę zwiedzić dżonkę? - zagadnął Lew.

- Ja chętnie - ożywił się Middleton. - Nigdy dotąd nie miałem takiej okazji.

- Wobec tego serdecznie zapraszam na kolację. Wypożyczę służących China Yinga, są doskonałymi kucharzami. Nie zdołają co prawda pani dorównać, pani Middleton - to był najlepszy obiad, jaki jadłem od wieków - ale być może zasmakują państwu ich dania.

- Czy ja wiem... - zawahała się Alice.

- No, matka - szturchnął ją w bok Jack. - Nie bądź taki kolek. Powinniśmy spróbować.

- Nie będzie płetw rekina? - upewniła się Perfy.

- Nie. - Lew uśmiechnął się do niej. - Obiecuję.

Udało mu się namówić China Yinga, żeby także został na pokładzie.

- To bardzo mili ludzie. Na razie poznałeś tylko ordynusów, będziesz miał przyjemną odmianę.

Dżonka i jej wyposażenie zdumiały gości. Lew podejrzewał, że pani Middleton spodziewała się raczej starej, zmurszałej balii pełnej skośnookich zbójceckich gąb; zachwycała ją nieskazitelna czystość panująca na statku. Był piękny, spokojny wieczór, toteż ucztę podano na pokładzie. Lew oprowadził Jacka i Perfy po statku, pozostawiając

China Yinga pogrążonego w uprzejmej pogawędce z panią Middleton. Dla obojga był to swego rodzaju debiut.

W czasie zwiedzania Lew wyjaśnił, że kadłub został podzielony grubymi drewnianymi ścianami na wodoszczelne przegrody, pokazał też zbiorniki na żywe ryby, które wieźli ze sobą, specjalne pojemniki na wodę, dwa kambuzy i bardzo wygodny salonik. Goście byli pod wrażeniem.

Kolacja upłynęła jeszcze przyjemniej, niż się spodziewał. Ying wyjaśniał skład każdego dania, różnych wersji wołowiny, wieprzowiny i kaczego mięsa, podawanych z drobnymi kluseczkami i korzennie przyprawionymi warzywami, a rodzina Middletonów kosztowała wszystkiego po trochu z niewielkich miseczek.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła Alice. - Ile dań podajecie u siebie w domach?

- Więcej niż tu mamy - uśmiechnął się Ying.

- Wasza kuchnia przynosi wam chlubę - stwierdził Jack. - Nigdy nie przypuszczałem, że polubię ryż w jakiegokolwiek postaci prócz puddingu.

- Myślałam, że Chińczycy jedzą przede wszystkim ryż - dodała Perfy.

Ying potrząsnął głową.

- Och, nie, panienko. Dobre jedzenie jest podstawą bytu.

Yingowi nie przyszło do głowy, a Lew nie trudił się, by mu o tym przypomnieć, że chińscy chłopci i kulisi żywią się wyłącznie skąpymi racjami ryżu i ryb.

Po mile spędzonym wieczorze goście zostali odwiezieni łodzią na brzeg. Chin Ying zdecydował się spędzić noc na dżonce.

- A zatem znalazłeś już damę swego serca - rzekł. - Napijmy się jeszcze wina, żeby to uczcić.

- Nic ci nie umknie, prawda? - zaśmiał się Lew. - Czyżby to było aż tak oczywiste? No, i co o niej myślisz?

- Dziewica. Niebrzydka, jak na Angielkę.

- Niebrzydka! Ying, ona jest piękna! Możesz sobie siedzieć na odkrywce, jak długo zechcesz. Nie będę się tutaj nudził.

Lew zabrał Perfy wraz z jej czarną pokojówką, żeby pożegnać China Yinga, który wyruszał na szlak prowadzący do złotonośnych pól. On i jego przewodnik, jeden z mieszkańców Bowen, podróżowali konno. Yuang Lu i Yuang Pan, dwaj słudzy Yinga, szli pieszo. Nieśli duże płócienne torby i bambusowe kije do poganiania kulisów. Ying z

wdziękiem podarował Perfy w prezencie maleńki jodeitowy amulet w kształcie kotka, co wprawilo ją w zachwyty. Mniej zachwycona była sposobem, w jaki traktował kulisów.

- Biedacy - rzekła do Lewisa. - Są objuczeni jak muły.

- Przywykli do tego - odparł lekko.

Ying, jak zauważył, zaczynał się adaptować do nowego otoczenia. Zamiast jaskrawej, niepraktycznej odzieży, którą zwykle nosił, miał na sobie ciemną tunikę i spodnie, i wyglądał w nich nadzwyczaj kompetentnie.

- Do widzenia i powodzenia! - zawołał Lew, gdy kolumna ruszyła zakurzoną drogą. - Ciekawe, jak będzie sobie radził - rzekł do Perfy.

- Czy on wie, że będą musieli zapuścić się w góry?

- Tak. Dlaczego pani pyta?

- Bo jego ludziom ciężko będzie wnieść to wszystko na plecach.

- Nic im nie będzie. Są mocni. Kulis może unieść do stu sześćdziesięciu funtów.

- Jak koń albo muł, czy tak?

Lew ujął ją za ramię.

- Perfy, wszyscy wiemy, że trudno tam o żywność. Muszą zabrać ze sobą zapasy i sprzęt. Kulisi przemieszczają się szybciej niż wozy, które bez przerwy gdzieś grzęzną.

- Ale wyciąga się je za pomocą koni.

- I ludzkich mięśni. Z tego, co slyszalem, Europejczycy także nie próżnują na tych szlakach.

- Ile zarabiają kulisi?

Pytanie zadała Diamond i Lew był nieprzyjemnie zaskoczony - nie tyle samym pytaniem, ile tym, że pokojówka wtrąca się do rozmowy. Wciąż jeszcze nie mógł się oswoić ze swobodą, jaką cieszyła się służba w tym kraju. Ta czarna dziewczyna nosiła się jak królowa Saby. Dziwne. Choć właściwie nawet ją polubił, była lotna i inteligentna.

- Dostają utrzymanie - odparł. - Podobnie jak ty, śmiem twierdzić.

Zauważył, że w jej ciemnych oczach błysnął gniew.

Z wysoka, z długiego rzędu kauczukowców, tworzących zielony wał na skraju wykarczowanego terenu, dolatywał śpiew ptaków, wspaniałe, wyciągane pełną pierśią nuty, których nie powstydzilaby się operowa sopranistka.

- Jak pięknie śpiewają - zauważył, chcąc zmienić temat. - Co to za ptaki?

- Srokacze - odparła Perfy.

- I dzierzbowrony - dodała Diamond.

- Naśladują się wzajemnie - powiedziała Perfy.

- I czasami ze sobą konkurują - uzupełniła Diamond.

- Jak wyglądają? - spytał rad, że zapomniały o kulisach.

Tym razem odpowiedziała Diamond.

- Dzierzbowrony to duże, szybkie ptaki, czarno-białe, bardzo pewne siebie. Srokacze są mniejsze, szare, trzymają się z dala od ludzkich oczu, więc nie widzi się ich często, za to mają wielką moc.

Uwaga ta brzmiała dość niewinnie, jednakże Lew miał uczucie, że w słowach Aborygenki kryje się coś więcej, czego on nie potrafi rozgryźć.

Perfy przyglądała się jadeitowemu kotu.

- Jest śliczny. Jakież to miłe ze strony pana China.

- Wyraźnie cię polubił - orzekł z zadowoleniem Lew. - Jadeit jest bardzo ceniony przez Chińczyków.

- Czy jest drogi?

- Bardzo, zwłaszcza w takim wyrobie jak ten.

- O, mój Boże, powinnam była odpowiednio mu podziękować. Czy to bardzo niegrzeczne z mojej strony, że powiedziałam tylko, że jest śliczny?

- Ying nie oczekiwał podziękowań. Obdarowując panią, sobie też sprawił radość.

Prymitywne miasteczko, jakim było Bowen, nie oferowało wielu rozrywek, toteż każda eskapada, jaką udało mu się wymyślić, cieszyła Perfy. Dla niego były to wakacje, nieustające radosne święto. Wzdragął się przed myślą o wyjeździe. Codziennie rano pływał w kryształowo czystych wodach zatoki, chodził na ryby, składał wizyty Middletonom tak często, jak tylko się ośmielił. Odwiedzał również gospody, gdzie przysłuchiwał się rozmowom o złocie, złocie i jeszcze raz złocie. Ten kraj wciąż jeszcze go zadziwiał. Perfy z kolei była szczerze zaintrygowana Anglikiem, który nigdy nie mieszkał na angielskim terytorium. Chciała wiedzieć o nim wszystko. Zachęcony tym, mianował ją swą przewodniczką. Chciał, by pokazała mu kangury, wallabi i emu, oraz wszystkie inne łagodne zwierzęta, które zamieszkują tę krainę. Mieli tak wiele tematów do rozmowy. To było wspaniałe.

Middletonowie zaprosili go na rodzinny piknik pod drzewami na skraju plaży, wzorowany na tych, które, jak sobie wyobrażał, urządzali w kraju.

- Ależ nie - wyprowadziła go z błędu Alice. - W Anglii nigdy nie jeździliśmy na pikniki, byliśmy zbyt biedni. Tam jest to rozrywka wyższych klas. Nie sądzę zresztą, by smażyli befsztyki na wolnym powietrzu, jak my tutaj. Prawdę mówiąc, bardzo w to wątpię.

Towarzyszył im jeszcze jeden dżentelmen, pan Herbert Watlington, wyszczekany Anglik, który przyczepił się do Perfy jak rzep. Kiedy Lew wreszcie zdołał przydybać ją na osobności, rzekł z zazdrością:

- Nie wiedziałem, że masz jeszcze jednego adoratora.

Spojrzała na niego spokojnie i odparła:

- Nie mam żadnego adoratora.

- O tak, masz - zaśmiał się. - Jednego możesz być pewna.

Miał na myśli siebie, lecz Perfy puściła to mimo uszu. Zastanawiał się, czy w ogóle go słyszała.

Rozpamiętywał tę rozmowę dziesiątki razy. W nocy chodził tam i z powrotem po pokładzie dżonki, rozmyślając o Perfy i doprowadzając się w ten sposób do szaleństwa. Korciło go, żeby wybrać się do jednego z licznych w Bowen burdeli, ale wolał nie ryzykować. Brakowało mu braci Yuang. W drodze na południe zawijali do wielu azjatyckich portów, gdzie Ying wysyłał swoich służących po "czyste" dziewczyny. Jakim sposobem bracia wyławiali takie spośród wielu kobiet różnych nacji, nie miał pojęcia, wiedział jednak, że zapłaciliby głowami, gdyby zawiedli swego pana. Ying łaskawie dzielił się z Lewisem owymi przymilnymi pięknościami.

Bowen zaczynało go drażnić. Było za małe, za ciasne. Kupił konia, żeby jeździć na spacerach z Perfy, lecz tu nie dało się zajechać daleko. O milę za miastem majaczył busz; tysiące szarych gładkich pni drzewnych, które robiły wrażenie pasiastej granitowej skały dopiero u góry zwieńczonej listowiem. Nie mógł zabrać tam Perfy, było to zbyt niebezpieczne, toteż następnego dnia pojechał sam. Ledwie przejezdny szlak doprowadził go do dziwnego, rzadkiego, parkowego lasu. Mijał wysokie mrowiska i martwe drzewa leżące w szorstkiej trawie niczym wyblakłe kości. Wielka ruda kangurzyca, żerująca w przesianym przez liście świetle, przystanąła, żeby mu się przyjrzeć. Uradowany zsiadł z konia. Najwyraźniej w ogóle się go nie bała. Z jej kieszeni ciekawie zerkał na niego malec. Fakt, że zwierzęta zaakceptowały jego obecność, przypominał mu, że nie jest cudzoziemcem w tym kraju; wszyscy tu akceptowali go tak łatwo, że pierwotny entuzjazm Lewisa szybko minął. Jechał dalej przez busz, po jakimś czasie wszakże monotonia krajobrazu zaczęła go nużyć. Uświadomił sobie, że od kilki godzin nie widział żywego ducha, ani jednej istoty ludzkiej. Zawrócił do Bowen. Przygnębiała go ta bezludna pustka.

W Bowen zaczął czuć się jak w potrzasku. Odszukał Jacka Middletona.

- Muszę wyprowadzić dżonkę z portu, żeby rozprostować żagle i utrzymać załogę w formie. Czy miałby pan coś przeciwko temu, żebym zaprosił Perfy? Wrócimy przed zmrokiem i przyrzekam, że będę się zachowywał jak przystało na dżentelmena.

Jack uśmiechnął się szeroko.

- Naturalnie. Rzecz jasna, jeżeli Perfy będzie miała ochotę. Spodobała się panu, co?

- Mało powiedziane. Jest zachwycająca.

- My też tak uważamy, synu, więc niech się pan nią dobrze opiekuje. I proszę jej nie poganiać. Przeżyła ciężkie chwile, nie chcielibyśmy, żeby ktoś ją zdenerwował.

- Jakie to ciężkie chwile?

- To jej sprawa. Sama panu opowie, kiedy będzie gotowa. A byłoby dobrze, gdyby wreszcie się wygadała.

Lew wiosłował, Perfy siedziała naprzeciw. Z niecierpliwością wyczekiwała przejażdżki dżonką, ranek był śliczny, mimo to miała nieco mieszane uczucia. Lew ją niepokoił, był taki... właściwie jaki? Męski. To nie łagodny, nieśmiały Darcy. Kiedy Lew jej dotykał, miała wrażenie, że gdyby dano mu szansę, zawłókłby ją do najbliższej sypialni. Wiedziała też, choć nikt jej o tym nie mówił, że jego życiowe doświadczenie nie obejmuje tylko morskiej nawigacji.

- Jeśli nie chcesz jechać sama - rzekł ojciec - Lew nie będzie miał nic przeciwko temu, abyś zaprosiła jeszcze kogoś. Na przykład Herberta.

Perfy roześmiała się.

- On nie cierpi Herberta.

- No to weź Diamond.

- Nie, dam sobie radę.

Celowo nie wzięła ze sobą Diamond. Lew przejrzałby ją na wylot. Kiedy się poznali, był zaskoczony, że młode damy w kolonii mogą wychodzić na ulicę bez przyzwoitek, oczywiście z wyjątkiem pory, kiedy pijacy wytaczają się z barów. Obecność Diamond równałaby się przyznaniu, że się go boi. Perfy miała swoją dumę. Nie wątpiła, że Lew zachowa się jak dżentelmen, zbijała ją tylko z tropu jego niepokojąca bliskość. Wciąż tęskniła za Darcym, nie wierzyła, iż kiedykolwiek pogodzi się z jego śmiercią. Poza tym nie chciała go zapomnieć. Jak mogłaby zapomnieć?

Załoga oczekiwała ich w szeregu na pokładzie, rozpromieniona, jak gdyby wydarzyło się coś niezwykle ważnego.

- Wyglądają na zadowolonych z siebie - zauważyła Perfy.

- Tak - odparł Lew. - Bardzo się cieszą.

- Z czego?

- Nadaliśmy imię dżonce. Popatrz.

Wskazał duże chińskie hieroglify, świeżo wymalowane na kadłubie obok dziobu.

- Co tam jest napisane?

- "Perfection". Załoga wie, że tak masz na imię, i wie też, że oznacza to: "doskonałość". Uznali, iż to piękne imię dla naszego statku.

- O - zawołała Perfy, mile polechtana. - Jak to ładnie z ich strony!

- Obiecałem im, że kiedy przybędziesz na pokład, odbędzie się specjalna ceremonia.

Co o tym sądzisz?

- To wspaniały pomysł - roześmiała się. - Powiedz im, że jestem zaszczycona.

Pożeglowali na południe, w niewiarygodny błękit cieśniny Whitsunday. Wielkie żaglerozpostarły się nad nimi jak wachlarze. Perfy spacerowała po pokładach podziwiając widoki i ciesząc się poczuciem swobody, jaką dawał jej fakt, iż jest jedyną pasażerką. Lew był zajęty wydawaniem komend, ona zaś, uwolniona z pęt codzienności, pozostała sama z swoimi myślami. Od śmierci Darcy'ego znajdowała się pod ciągłym nadzorem. Rodzice martwili się o nią i zadawali sobie mnóstwo trudu, by dostarczać jej rozrywek i zajęć. Dlatego też często zapraszali młodych ludzi, jak Herbert, Lew i inni potencjalni zalotnicy.

Zdumiewające, że matka tak szybko zadomowiła się w Bowen. Wykazywała teraz większą pewność siebie, zaprzyjaźniła się z wieloma ludźmi i wstąpiła nie do jednego, a do dwóch damskich stowarzyszeń: do kółka szycia oraz komitetu dobroczynnego, który usiłował pomóc licznym bankrutom, powracającym z terenów złotonośnych wraz z rodzinami. Perfy przypomniała sobie, iż wszystko to stało się możliwe dzięki Darcy'emu. Własny dom zmienił stosunek Alice do świata. Nie była już zastraszone, niepewna, nieśmiała wobec obcych, przeżywała najlepszy okres swego życia.

- Co powiesz na lunch? - zagadnął ją Lew.

- Czy już pora na lunch?

- Oczywiście. Wynająłem specjalnie na dzisiaj kucharza. Odkąd Ying wyjechał, byłem skazany na okrętowego kuka, który gotuje prawie wyłącznie ryż.

- Jak mężczyzna twojej postury może wyżyć na samym ryżu?

- Bez trudu - roześmiał się Lew - kiedy jest do tego zmuszony.

- Co to za wyspa tam w dali? - zapytała Perfy. - Wygląda tak ładnie.

- Wyspa Gloucester.

- Czy możemy ją zwiedzić?

- Absolutnie nie, panienko. Obiecałem twojemu ojcu, że odwożę cię bezpiecznie do domu. Wysepki te mogą być zamieszkane przez dzikich tubylców, a ja nie mam zamiaru ryzykować.

Lunch dla kapitana i jego towarzyszek podano pod płóciennym daszkiem na pokładzie. Perfy odprężyla się całkowicie, tak łatwo było rozmawiać z Lewisem. Jego rodzice, jak usłyszała ze zdumieniem, byli angielskimi misjonarzami, którzy dokonali żywota w Chinach. Kiedy jednak zaczęła o nich wypytywać, Lew zrobił się spięty i szybko zmienił temat.

Opowiedziała mu więc historię własnej rodziny; o tym, jak rodzice trafili do Australii, po latach spędzonych w Brisbane, kiedy to ojciec służył w armii, ona zaś pracowała w pałacu gubernatora. Słuchał jej z zaciekawieniem. Potem mimo woli opowiedziała mu też o Darcym, aż w końcu, ku własnemu przerażeniu, rozplakała się. Objął ją, a ona szlochała mu na ramieniu, czując, że robi z siebie straszliwą idiotkę i psuje tak piękny dzień. Lewisowi jednak chyba to nie przeszkadzało.

- Łzy są lekarstwem duszy - powiedział jej. - Ból nie minie, dopóki całkiem go nie wypłaczesz.

Później pozęglowali wokół wschodniego brzegu wyspy Gloucester, gdzie zarzucili kotwicę. Mogli teraz patrzeć w gładkie, kryształowe wody, przyglądać się śmigającym w toni barwnym rybom oraz fragmentom koralowego lasu daleko na dnie. Gdy słońce zaczęło zachodzić, opadając szybko niczym wielka złota moneta za ciemniejące góry, popłynęli z powrotem do zatoki Edgecombe, do ruchliwego, pełnego wrzawy i pośpiechu małego portu.

Nim dotarli na plażę, Perfy znów się śmiała, łzy poszły w zapomnienie.

- To był cudowny dzień, Lew. Bardzo ci dziękuję. Zabierzesz mnie jeszcze kiedyś na wycieczkę?

- Kiedy tylko zechcesz - odrzekł.

Przystanęli na piasku w cieniu pandanów. Lew otoczył ją ramieniem.

- Nie wypadało mi wykorzystywać sytuacji, kiedy byliśmy sami na dżonce - powiedział - ale tu, na łodzi, zawsze możesz uciec, jeśli zechcesz.

Perfy wywinęła się z jego objęć.

- Och, Lew, przestań. Nie psuj wszystkiego.

- Przepraszam. Nie chciałem cię urazić. Bardzo cię lubię i pomyślałem, że skoro tak mile spędziliśmy dzień...

- Nie przepraszaj, to moja wina, że wyplakiwałam ci się na ramieniu. Czy nie możemy być po prostu przyjaciółmi?

- Oczywiście że możemy. Muszę cię jednak ostrzec, że Lewis Cavour, kapitan tu obecnego statku, ma zamiar starać się o twoje względy. Powinien tylko najpierw nauczyć się reguł, jakie obowiązują w tym nieznanym mu kraju.

- Szkoda twojego czasu - wzruszyła ramionami Perfy. - Nie interesują mnie zalotnicy. Za to wokół jest mnóstwo innych dziewcząt.

- Tak, ale tylko jedna Perfy. Może w końcu ulegnie, kto to wie?...

- Och, dajże spokój, Lew - rzuciła niecierpliwie, ruszając dalej. - Chodź, komary zjedzą nas żywcem. O zmierzchu wylatują ich całe roje.

Middletonowie czekali na nich na werandzie.

- O, jesteście! - zawołał Jack. - Chodź i napij się piwa, Lew.

- Chętnie.

- Perfy, opaliłaś się - zauważyła Alice. - Nałóż na twarz trochę kremu.

- Do tego pocięły nas komary - roześmiała się Perfy, idąc za matką w głąb domu.

- Nie napastował cię? - wyszeptała z niepokojem Alice.

- Oj, mamó, nie wprawiaj mnie w zakłopotanie. Nie, nic takiego nie zaszło.

Alice uśmiechnęła się.

- Twój ojciec zna się na ludziach. Powiedział, że wszystko będzie jak należy. A teraz nakremuj twarz i ułóż włosy, wyglądają jak stóg siana. Ojciec ma dla ciebie nowinę.

Perfy śpiesznie wróciła na werandę.

- Jaka to nowina?

- Otrzymałem dziś pocztą akt własności. Jesteś teraz oficjalnie właścicielką połowy Caravale.

Perfy nie mogła usiedzieć z podniecenia.

- To cudownie! Myślałam, że już nigdy tego nie załatwię.

- Co to jest Caravale? - zainteresował się Lew.

- Majątek hodowlany na zachodzie stanu - odparł Jack.

- Darcy zostawił mi go w spadku - wyjaśniła Perfy, okrywając się rumieńcem, widocznym mimo opalenizny i kremu. Spostrzegła, że rodzice wymieniają spojrzenia, i to ją jeszcze bardziej rozdrażniło. - Podobno to ładna, duża posiadłość - dodała.

- Coś w rodzaju rancza? - zapytał Lew.

- Tak.

- Rozumiem - rzekł obojętnie, jak gdyby wyjaśnienie to w pełni zaspokoilo jego ciekawosc.

Gawędzili przez chwile, po czym Lew wstal, zeby sie pozegnac. Jak zwykle serdecznie wyrazil zadowolenie, ze Perfy dobrze sie bawila, i wyszedl z usmiechem. Perfy zalowala, ze tak prędko ich opuscil, chciala opowiedziec mu o Caravale.

Samotna błyskawica rozsrebrzyła mrok daleko nad morzem. Zapadła po niej złowieszcza, posepna cisza.

W ciągu przyszłych miesięcy Perfy miała nieraz wspominać ten dzień - ostatnią naprawdę beztroską chwile, nim zaczęły się prawdziwe kłopoty. Uchwycila sie tego wspomnienia, piastowala je jak talizman, jak malego kotka z jadeitu na szczescie.

W Bowen mieszkali ludzie z plemienia Bindal. Diamond odszukała ich, gdy tylko znalazła trochę wolnego czasu. Po mieście wałęsało się wielu Aborygenów, ubranych w zniszczoną odzież białych ludzi, nie wpuszczano ich bowiem za roгатki, jeśli nie mieli "odpowiedniego" stroju. Byli zdrowsi i mniej pokorni niż całkowicie już spacyfikowani tubylcy z okolic Brisbane, lecz niektórzy, jak ze smutkiem spostrzegła Diamond, zdążyli ulec wywoływanemu przez grog szaleństwu. Ciągący przez Bowen korowód poszukiwaczy złota zupełnie nie interesował się miastem. Może, myślała Diamond, kiedy gorączka złota wygaśnie, mieszkający tu Aborygeni zyskają większe możliwości, aczkolwiek nadzieja była nikła.

W wolnych chwilach Diamond ubierała się starannie i zwiedzała miasto. Wciąż nosiła przy sobie nóż, choć tutaj nie bała się tak jak w Brisbane. Bowen miało luźniejszą zabudowę i mogła uciec każdemu, kto by ją zaczepił. Mimo to wzorem białych kobiet nie wypuszczała się samotnie wieczorami. Po zmroku w ogóle nie wychodziła za próg, chyba że na spacer lub kościelny koncert z rodziną Middletonów. Alice z dumą chwaliła się nowym znajomym, że Diamond umie czytać, i to całkiem dobrze. Zdumiewało to ich i nawet odrobinę gorszyło, lecz po pewnym czasie Diamond zaczęła dostawać w prezencie książki, ściślej mówiąc, modlitewniki. Każda książka, którą otrzymała, była takim czy innym tekstem religijnym! Z dwojga złego wolała już gazety, które studiowała z uwagą. Wiele się można z nich było dowiedzieć, choć artykuły na temat "nieuniknionej eksterminacji dzikich tubylców" wprawiały ją we wściekłość. Gazety często wspominały o "poskromionych" tubylcach, zwanych inaczej "kolorowymi". Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że termin ten odnosi się również do niej. Był to kolejny problem, z którym musiała odważnie się uporać. Wyzwolona od otepiającej nudy gubernatorskiej pralni w Brisbane, Diamond stawała się coraz silniejsza na duchu.

Odszukała obozowisko ludu Bindal. Siadywała z nimi, przysłuchując się ich opowieściom. Przez wieki Bindalowie radowali się swym szczęśliwym losem. Nie byli wojownikami, lecz łagodnymi ludźmi, życzliwymi wobec całego świata. Cóż w tym dziwnego? Ziemia, którą zamieszkiwali, dostarczała im w obfitości jada i słodkiej wody. Często odwiedzały ich plemiona z gór oraz z głębi lądu. Diamond doszła do wniosku, że ta okolica musiała być czymś w rodzaju kurortu. Hrabina i jej znajomi często na całe tygodnie wyjeżdżali z miasta nad morze - "dla zdrowia", jak mawiała kucharka. Tubylcy zapewne robili to samo. To miało sens.

Pytała ich o szczep Irukandji, lecz nie umieli jej pomóc. W końcu, wśród chichotów, skierowano ją do kobiety imieniem Barrungulla.

- Gdzie mogę ją znaleźć?

Wskazali jej drogę na drugi brzeg zatoki. Diamond ruszyła plażą, niosąc buty w rękę i brodząc w przybrzeżnych płycznach. Przypominało jej to inną plażę, bardzo podobną do tej. Podróż z Brisbane do Bowen trwała ponad tydzień, lecz Diamond z coraz większym przynębieniem myślała o swoich planach. Może zapuścili się za daleko na północ? Wieść, że różne plemiona odwiedzały wybrzeże, do reszty zbiła ją z tropu. Czyżby w czasie gdy ją porwano, jej rodzina była na wędrownie lub wyprawie handlowej? Tak trudno było sobie cokolwiek przypomnieć! Wirowało jej w głowie, kiedy usiłowała zmusić tamte odległe obrazy, by przybrały wyraźny kształt. Od czasu do czasu majaczyły jej w pamięci jakieś słowa; próbowała je schwytać, lecz niczym pierzaste wodorosty wyślizgiwały jej się z rąk.

Szła długo; przemoczona spódnica oblepiła jej kostki zimnym okładem, spod turbanu za to spływały strużki potu, zdjęła go więc i zatknęła za pas. W dali ujrzała czyjąś postać. Przyspieszyła kroku. Na plaży stała buńczucznie kobieta podparta pod boki, jakby chciała zagrozić jej drogę. Przypominała czarny jak węgiel posąg, wzniesiony na połyskliwym morskim brzegu. Miała na sobie przepaskę biodrową i naszyjnik z muszli perłopławów. Zdawała się olbrzymką, prawdziwą górą mięśni ze zwicchrzoną posiwiąłą czupryną i twarzą, na której zastygła sieć gorzkich zmarszczek.

- Czego chce? - wrzasnęła.

Diamond zatrzymała się.

- Porozmawiać! - odkrzyknęła.

Czarne ramię wystrzeliło w przód jak włócznia, godząc ~~- nią wyciągniętym palcem. Diamond zmrużyła oczy. Ruch był tak gwałtowny; była pewna, iż kobieta naprawdę czymś w nią rzuciła.

- Ty idzie precz! - rozkazała kobieta.

Diamond zaniepokoiła się. Plaża stała się nagle groźna; Diamond słyszała pradawne głosy, szemrzące i mamroczące jej w głowie. Możliwe, że zapędziła się zbyt blisko świętego miejsca, lecz przecież niepodobna, by w takim miejscu obrała sobie siedzibę kobieta.

- Nie! - zawołała. - Chcę z tobą pomówić!

- Ty biała suka! - wrzasnęła kobieta, zbliżając się do niej z paskudną groźbą w oczach.

Diamond ogarnęło przerażenie. Bała się tak bardzo, że nogi wrosły jej w ziemię. Czowała spojrzenia mierzące ją z zielonego gąszczu poza pasem piasku, i przez jedną szaloną

chwile zerknęła na morze. Czy nie zrobiła już tego kiedyś... gdzieś"? Dziś wszakże miała na sobie grubą spódnicę i wszystkie te bieliźniane fatałaszkę, jakie noszą biali ludzie. Wykluczone.

- Nie! - powtórzyła, gdy kobieta zbliżyła się jeszcze bardziej. Diamond wyrzuciła ramiona w górę i krzyknęła: - Kagari!

Kukabura natychmiast podjęła zew, zakrzyzczała na trwoę. Przyłączyły się do niej inne, rozdzierając powietrze kaskadą dźwięków, ostrzegając wroga, że cała ptasia rodzina ma się teraz na baczności.

Kobieta zatrzymała się i uskoczyła ku drzewom, widząc, jak samotna kukabura wypada z buszu i zatacza wokół nich krąg nisko nad ziemią. Podobnie jak Diamond orientowała się, że ptasi krzyk był preludium do ataku, na tym obszarze zaś mogło gniazdować stado liczące do dwudziestu sztuk. Diamond widywała już, jak te wielkie zimorodki pikowały na iguany, próbujące ograbić ich gniazda. Ryzykując złamanie karku, zmuszały jaszczurki do rozluźnienia chwytu i strącały je z drzew. Kukabura była jej totemem, Diamond wiedziała o tym od dziecka. Te wszędobylskie, wyjątkowo lojalne ptaki potrafiły atakować nawet brunatne kanie i wielkie orły o klinowatych ogonach. Tym bardziej nie bały się ludzi.

Kobieta nagle usiadła na piasku, skrzyżowawszy nogi. Diamond na znak szacunku zrobiła to samo. Krzyk kukabury urwał się w pół tonu.

- Ty jaki lud? - odezwała się nieznajoma.

- Irukandji - odparła Diamond, po czym jeszcze raz powoli powtórzyła nazwę, lecz kobieta potrząsnęła głową.

- Czy ty jesteś Barrungulla? - spytała Diamond.

Kobieta zerknęła w stronę drzew, bojąc się znów spłoszyć ptaki. Na jej szyi, tuż nad pięknym naszyjnikiem, Diamond zobaczyła świeżo zabliznioną ranę.

- Czemu ty chce ze mną mówić?

- Potrzebuję twojej pomocy. Szukam rodziny.

- Rodziny - powtórzyła jak echo kobieta i rysy jej złagodniały.

Diamond wiedziała, że dla wszystkich ludów tej ziemi, w każdym języku słowo "rodzina" oznacza miłość. Zaczęła wyjaśniać swoje położenie, lecz Barrungulla wciąż była zdenerwowana. Ujęła dłonie Diamond i obróciła je wnętrzem do góry.

- Ty czarna. Ale czarni już tu nie ma. Lepiej ty nie idzie na wędrówkę, zgubi drogę.

- Nie - odparła Diamond. - Nie wolno mi jej zgubić. Twoi ludzie tutaj to Bindal? Dobrzy ludzie.

Barrungulla skrzywiła się.

- Dobrze ludzie nie ma. Umarli.

Diamond zaczęła rysować palcem po piasku.

- Jesteśmy teraz tutaj. Tu mieszka twoje plemię. Takie plemiona sąsiadują z wami?

- Tu siedzą Boorgaman.

- A tutaj?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Coogoon. Może Cullinaringo. Tu - wskazała dalej na zachód - są Ilba.

- A dalej kto?

Barrungulla przejechała dłonią po linii wybrzeża na północy.

- Tu kraj złe ludzie.

- Czyj?

- Ty nie idź tam, zabiją.

- Ale jak oni się nazywają?

- Newegi - szepnęła kobieta.

Diamond westchnęła. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, że istnieje tak wiele plemion, z których każde ma własne terytorium. Sądząc z tego, co mówili biali, kraj był nie zamieszkały. Śledztwo Diamond na razie objęło tylko mizerny skrawek lądu.

- Dziękuję - rzekła i dodała łagodnie: - Co ci się stało w szyję, Barrungulla?

Kobieta wyzywająco podniosła głowę.

- Wie, co to powiesić?

- Tak - Diamond wzdrygnęła się.

- Biali powiesić Barrungulla.

- O, mój Boże. Jak udało ci się przeżyć?

- Totem wielka moc. - Kobieta się roześmiała. - Drzewo wihra. Ono w złość. I trach!

- Klasnęła w wielkie dłonie, aby zobrazować trzask pękającej gałęzi. - Ja spada żywa.

Później Barrungulla opowiedziała jej o mordach i odwetach, jakie miały miejsce na terytorium ludu Bindal, nad tą małą uroczą zatoczką. Diamond zaczęła pojmować rozmiary cichej wojny szalejącej pomiędzy białymi a czarnymi; zrozumiała, że nie wszystkie ludy dały się "poskromić", że większość Aborygenów nie chce się poddać i gotowa jest zginąć w walce o swą rodzinną ziemię.

- Ty idź - rzekła Barrungulla. - Idź do domu!

- Ale gdzie jest mój dom? - szepnęła Diamond, zawiedziona tym, co usłyszała, i rozgoryczona, że nie ma rodziny. Ci ludzie przynajmniej wiedzą, kim są, łączą ich więzy krwi.

Barrungulla niecierpliwie potrząsnęła głową. Miała swoje własne kłopoty. Audiencja dobiegła końca.

Lew był zakochany w Perfy. Mówił jej to dziesiątki razy, mając nadzieję, że ona również go pokocha, jeśli tylko przestanie wspominać Darcy'ego Buchanan. Rywalizacja z nieżyjącym mężczyzną - ba, wręcz świętym, jeśli wierzyć temu, co mówiła Perfy - przekraczała jego możliwości. I to nie on starał się go zastąpić, a ona. Cóż za szalony pomysł, zatrzymać udział w ranczo. Próbował rozmawiać na ten temat z Jackiem, lecz dostał krótką odprawę; Jack zgadzał się z córką.

- Napisałam list do pani Buchanan - oznajmiła Perfy. - Dałam jej znać, że chcemy zwiedzić Caravale.

- Dlaczego nie napisałaś do Bena Buchanana? W końcu to on jest twoim wspólnikiem.

- Ale to ona jest panią domu. Tatuś powiedział, że lepiej będzie napisać do niej.

- A powiadomiłaś panią tego domu, że zamierzacie się do niego wprowadzić? - spytał gniewnie Lew.

- Nawet nie starasz się mnie zrozumieć. Ci ludzie zdają sobie przecież sprawę, że jestem teraz finansowo z nimi związana, nie ma potrzeby im tego tłumaczyć.

- To szaleństwo. Czy ty byłabyś zadowolona, gdyby obcy ludzie wprowadzili się do tego domu? Nawet jeśli w połowie mieliby do niego prawo.

Perfy uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Rancza są inne. Tam jest dużo miejsca. Sądźmy z ojcem, że najlepszym wyjściem byłoby podzielenie ziemi na pół. Mielibyśmy wtedy nasze własne ranczo i tam zbudowalibyśmy sobie dom. Chcemy jednak najpierw przedyskutować z Buchananami różne opcje.

- Trudno się z tobą teraz rozmawia, Perfy. - Lew podjął jeszcze jeden wysiłek. - Potrafisz myśleć tylko o tym przeklętym majątku.

- Nieprawda - sprzeciwiła się. - To ciebie nie interesuje to, co ja robię. Potrafisz być bardzo samolubny. Nie rozumiesz, jaki cudowny podarunek sprawił mi Darcy? To nie tylko kawałek ziemi, to styl życia. Darcy opowiadał mi, że dzieciństwo na ranczu było dla wszystkich wspaniałą przygodą. Mieli własne konie, psy i inne oswojone zwierzątka, a równocześnie uczyli się, jak zarządzać rodzinnym gospodarstwem.

- Zupełnie jak królowie Anglii. Oni również spędzają dzieciństwo w ten sposób.

- Oszczędź mi tego sarkazmu. Zaczynam wierzyć, że naprawdę jesteś zazdrosny.

- Na litość boską, nie jestem zazdrosny. Zrozum, że to nie jest aż tak proste. Nie masz zielonego pojęcia, jak prowadzić gospodarstwo hodowlane.

- Nie muszę. Wielu ranczerów zatrudnia brygadzystów i nadzorców. Ich praca jest zresztą o wiele ciekawsza niż w mieście. Zresztą, czy tobie powodzi się aż tak dobrze? W tym stanie ziemia wprost się prosi, żeby ktoś ją zagospodarował. Gdybyś miał choć trochę ambicji, sam wziąłbyś się za hodowlę bydła. Ludzie zbijają na tym fortuny.

Lew spojrzał na nią gniewnie.

- Chyba żartujesz!

- Wcale nie żartuję. Powinieneś się nad tym zastanowić.

- Nie mam najmniejszego zamiaru się nad tym zastanawiać, Perfy. Jestem marynarzem, nie farmerem. - Świadom był, że jeszcze chwila, i straci ją na zawsze, lecz nie dawał za wygraną, choć jego argumenty tylko ją rozwścieczały. - Czy twój najdroższy Darcy powiedział ci o niebezpieczeństwach, na jakie narażone jest to cudowne, sielankowe wiejskie życie? - wypalił.

- Nie, nie powiedział - odparowała Perfy. - Podobnie jak ty nigdy nie wspominasz o niebezpieczeństwach czyhających na morzu, które moim zdaniem są dziesięć razy gorsze. - Obróciła się na pięcie i szeleszcząc halkami wbiegła do domu.

Tylko Alice Middleton wydawała się podzielać jego zdanie, była jednak lojalna wobec męża. Jack nieugięcie obstawał przy tym, iż Perfy powinna objąć w posiadanie swoją własność.

- Co takiego jest w tej ziemi? - zapytał ją Lew. - Dlaczego koniecznie chcecie być ranczerami? Chodzi wam o pozycję społeczną? Chcecie wejść w tutejsze wyższe sfery? Na tym wam tak zależy?

- Oczywiście że nie. Uważam po prostu, iż życie na ranczo sprzyja wychowywaniu zdrowych, zaradnych dzieci. A przy tym pomyśl, jaki majątek odziedziczą.

Lew cofnął się o krok, bliski rozpacz.

- Nie wierzę ci. Gdybyś wyszła za Darcy'ego, to miałyby sens, ale on nie żyje. Nie zdołasz sama odtworzyć tego, co ci obiecywał. To ci się nie uda.

- Uda się, jeśli zechcę.

- Nieprawda. Myślę, że pchasz się w szeregi szacownych ranczerów, żeby zatuszować fakt, iż twoi rodzice byli przestępcami!

Perfy aż zatkało z wściekłości.

- Pozwól, że ci coś powiem, Lewisie Cavour - syknęła. - Możliwe, iż twoi rodzice byli dobrzy, przyzwoici, bogobojni i święci, podczas gdy moich zesłano tu przymusowo, ale ja się ich przynajmniej nie wstydzę!

Nie wierzył własnym uszom. Jak śmiała mu zarzucić, że wstydzi się rodziców! Pozostawił Perfy w ogrodzie i zamaszystym krokiem wrócił do portu. Nie potrafił odeprzeć jej oskarżenia; niestety, było prawdziwe. Po prostu nigdy dotąd nie spojrzał tej prawdzie w oczy. Zawsze się ich wstydził - ich biedy, ich ślepego posłuszeństwa rozkazom biskupa, nade wszystko zaś lekceważącej wzgardy, z jaką traktowali ich ludzie. Nachodząc sąsiadów, usiłując narzucić swe poglądy sceptycznym wieśniakom, nieprzywykłym do dominacji kleru, stali się pośmiewiskiem całej wioski. Chińczycy czcili przodków i codziennie składali ofiary bogom, lecz bardziej interesowało ich to, co tu i teraz, niż to, co po śmierci.

Lew nalał sobie rumu. Załoga rozsiadła się na rufie, skupiona nad jakąś hazardową grą. Na pobliskim luguze Finowie urządzili sobie popijawę. Lew zastanawiał się, czyby się do nich nie przyłączyć, lecz nie był w odpowiednim nastroju. Ci zręczni żeglarze i tędzy pijacy mieli zwyczaj serdecznie poklepywać człowieka po plecach, a dziś nie mógłby tego znieść. Ogarnęła go ogromna tęsknota: za matką, która nie zdążyła zobaczyć, jak dorasta jej syn, i za ojcem, który do śmierci toczył swą bitwę o Boga.

Z tego, co zaobserwował w kolonii, wynikało, iż Elizabeth i Joseph Cavourowie powinni byli raczej udać się w ślad za swymi nieszczęsnymi rodakami do Australii. Transporty więźniów ustały trzydzieści lat wcześniej, jednakże nędza wciąż jeszcze była w oczu. Skazańcy znosili tu okrutne poniżenia, jak opowiadali Lewisowi przygodnie poznani górnicy, misjonarze mogliby chociaż w pewnym stopniu przyczynić się do poprawy ich doli. Lew podejrzewał jednak, że pogańskie Chiny wydały się jego rodzicom o wiele bardziej egzotyczne i barwne niż kolonia żalonych, niechcianych wyrzutków.

Szukając własnej tożsamości, Lew odkrył, że więcej ma wspólnego z tymi, którzy nazywają siebie Australijczykami, niż z przybyszami z Ameryki lub kontynentu europejskiego. Ostatecznie on również jest Brytyjczykiem. Tutejsi osadnicy był to swarliwy, cyniczny ludek cechujący się wrodzoną nienawiścią do żołnierzy, policjantów i szpicli. Bez wątplenia wiązało się to z ich kryminalną przeszłością. Byli pełni sprzeczności, bandytów zwalczali nie mniej zaciekle niż regularna armia, a równocześnie czuli do nich szacunek. Lew niewiele dostrzegał w tym wszystkim sensu, podobnie jak nie widział go w determinacji Perfy, wspieranej i podsycanej przez jej ojca, aby wziąć w posiadanie ten wielki kawał ziemi w głębi ładu. Porywali się na coś, o czym nie mieli pojęcia, w tym

jedynie celu, tego Lew był pewien, by wejść między powszechnie znienawidzonych właścicieli ziemskich.

Perfy zapędziła go w kozi róg, zmusiła, by zrewidował własny pogląd na życie. Podziała. Teraz żałował, wyrzucał sobie, że był tak krytyczny w stosunku do rodziców. Może ojciec jednak go rozumiał?

Nigdy nie miał pretensji do syna, gdy ten zniknął bez słowa, w późniejszych zaś listach zachęcał go, by kontynuował swą marynarską karierę.

Lew nalał sobie następny kieliszek rumu i wziął do ręki jedną z książek Yinga. Brakowało mu towarzystwa tego wybrednego, irytującego, rozfilozofowanego chińskiego arystokraty. Nieraz zadawał sobie pytanie, jakże mu się powodzi w interiorze. Zaśmiał się na samo wyobrażenie Yinga w dzikim buszu. Gdy przerzucił książkę, wpadły mu w oko hieroglify oznaczające kobietę: miotła i burza.

- To właśnie ona - uśmiechnął się. - Cała Perfy.

Przeglądał dalej. Książka okazała się zbiorkiem poezji, natrafił na parę wersów Fu Hsuana: "Jakże smutny los kobiety! Niczego na świecie nie ceni się tak nisko"

Lew zerknął na swoje odbicie w lustrze zawieszonym tu przez Yinga.

- Może w Chinach - rzekł sam do siebie - lecz tu z pewnością panują inne reguły gry. Tutaj one same są dla siebie prawem.

Postanowił, że następnego dnia znów pójdzie odwiedzić Perfy. Zaniesie jej prezent. Ying miał w ładowni skrzynię cudownych jedwabi; kupon pięknej tkaniny będzie królewskim darem. Pomówi z Perfy, spokojnie i rozsądnie, nie da się wciągnąć w kłótnię, a potem formalnie poprosi o jej rękę. Kiedy wróci Ying, popłyną do Chin, następnie zaś wsiądą na pokład któregoś z tych wielkich liniowców i razem odwiedzą Anglię. Żadne jeszcze nie było w ojczystym kraju. Ileż radości sprawi im ta podróż! A później, jeśli Perfy zechce, mogą wrócić do domu... do Bowen. Tak, tu będzie jego macierzysty port.

Lew położył się spać szczęśliwy. W nocy z niewiadomych przyczyn śnił mu się pożar.

"Droga Panno Middleton!

Otrzymałam Pani kondolencje z powodu śmierci mego Ukochanego Syna Darcy'ego i przykro mi, że nie odpowiedziałam od razu, lecz Jego zgon był dla mnie straszliwym wstrząsem, z którego nigdy się już nie podźwignę. W odpowiedzi na Pani ostatni list wystosowuję niniejsze Zaproszenie dla Pani i Pani Ojca, abyście przyjechali z wizytą do Caravale. Oczekujemy tu Was z otwartymi ramionami.

W dzisiejszych czasach drogi nie są zbyt bezpieczne, po kraju kręcą się poszukiwacze złota i różne podejrzane typy, więc mój Syn Ben przyjedzie do Bowen, aby eskortować Panią do naszej Posiadłości. Obecnie jest On zajęty przeglądaniem bydła na nadrzecznych pastwiskach, po zakończeniu którego będzie na Państwa usługi.

Mój Syn zna doskonale wszelkie drogi, toteż dzięki Niemu unikniecie niewygody zatłoczonych szlaków".

Pozostaję z poważaniem

Cornelia Buchanan

- Widzisz? - rzekła Perfy. - Zaprosiła nas, Lew! Chce, żebyśmy ją odwiedzili.

- Nie wątpię - odparł Lew. - Żeby mogła ci wybić z głowy projekt osiedlenia się w ich posiadłości.

- Zapominasz - skontrowała wyniośle - że pani Buchanan i ja wspólnie bolejemy nad stratą Darcy'ego.

- Jakże mógłbym zapomnieć? - mruknął.

Perfy była uszczęśliwiona jego darem, kilkoma jardami błękitnego jedwabiu, lecz list od pani Buchanan zepsuł cały efekt. Przesłonił jej wszystko inne.

Lew odwołał się do Jacka Middletona.

- Możliwe, iż cierpię na urojenia, Jack, ale według mnie coś tu nie gra. Naprawdę wierzysz, że będziecie tam mile widziani?

- Nie - odparł Jack.

Lew spojrzał na niego zaskoczony.

- Więc po co jedziecie?

- Mamy od tego prawo. Poza tym nie lubię, kiedy ktoś mnie traktuje z góry.

- Kto cię tak traktuje, na litość boską?

- Nikt - odpowiedział Jack wymijająco. - Po prostu musimy tam jechać, Lew. Upomnieć się o swoje prawa. Dać im do zrozumienia, że nie jesteśmy tylko nazwiskami na kawałku papieru. Potem Perfy sama zdecyduje, co zrobić ze spadkiem.

- Nie poradzi sobie z prowadzeniem rancza.

- Może kogoś zatrudnić. Wielu ludzi tak robi. Dlaczego ciągle do tego wracasz?

- Bo chcę się ożenić z Perfy.

Jack uśmiechnął się.

- Tak właśnie myślałem. Ale najpierw musimy załatwić tamto.

Po tej rozmowie Lew nie widział już sensu w dalszej dyskusji na temat Caravale. Spędził tyle czasu, ile tylko mógł, z Perfy, lecz ich stosunki się ochłodziły i miał dotkliwą świadomość, że dziewczyna go unika.

Chin Ying przysłał mu list z odkrywek nad Cape. Donosił, że osiąga umiarkowanie dobre wyniki, co oznaczało, jak domyślił się Lew, iż jego ekspedycja trafiła w dziesiątkę. Żałował, że nie może na własne oczy obejrzeć tego cudu, lecz Ying pisał dalej, że Lew powinien wkrótce spodziewać się gości. Albo zatem wysła złoto do depozytu w miejscowym banku, albo też przyjeżdża sam. Obaj zdawali sobie sprawę, że ryzykownie byłoby napomykać o transporcie złota, nawet po chińsku. Wozy pocztowe również rabowano.

Równy miesiąc po nadejściu listu od pani Buchanan do Bowen przyjechał jej syn, Ben.

Część szósta

Perfy swobodnie siedziała na koniu i patrzyła za siebie, na zatokę. Z góry rozciągał się cudowny widok i było dużo chłodniej, bo wzniesienia chwytają wiejącą od morza bryzę, która przemykała nad nisko położonym miastem. Samo Bowen także wyglądało stąd o wiele ładniej. Dotychczas Perfy nie przyglądała się rosnącym w nim drzewom; różne gatunki palm, kauczukowców, gęsto ulistnione drzewa mango, potężne figowce gubiły się pośród białych budynków. Teraz ich zielone płaszcze dominowały w krajobrazie zatoki, spychając w cień ulice miasta. Herbert Street wydawała się wąskim, łysym, cętkowanym prążkiem, smuzką żółtego piasku wymieszanego z czerwonym pyłem.

- Jedziemy, Perfy! - zawołał do niej ojciec. - Nie zostawaj w tyle.

Szturchnęła konia kolanami i nim wjechała za następny garbek, rzuciła jeszcze ostatnie spojrzenie w stronę morza. Lew, wciąż na nią obrażony, pozostał w Bowen. Miał tak okropnie staroświeckie poglądy! Perfy roześmiała się. Cieszyła się nową przygodą, postanowiła, iż nie dopuści, by cokolwiek popsuło jej dziś humor. Zdawała sobie sprawę, że niektóre jej wypowiedzi szokowały Lewisa Cavoura, lecz jeśli zamierzał on pozostać w tym kraju, musiał pogodzić się z tym, że tutejsze kobiety mają prawo do własnych opinii i decyzji. Dobrze choć, że obiecał odwiedzać jej matkę. Na Herberta także można liczyć, często grywał na pianinie Alice i jej znajomym, tak więc mama nie będzie czuła się osamotniona.

Jak dotąd podróż była bardzo przyjemna. Co prawda mężczyźni traktowali ją jak trzyletnie dziecko, oczekując, iż na byle wyboju zleci z konia. Nie mogła im wyperswadować, że sama potrafi się przepawić przez płytki kamienisty potok, za każdym razem chwytała jej wierzchowca za wodze. Herbert jednak dobrze je wyszkolił: obie z Diamond bez trudu dawały sobie radę. W ostatniej chwili Herbert zdecydował, że nie pojedzie z nimi. Perfy nie miała mu tego za złe, musiał przecież pilnować interesów. Ben Buchanan uparł się, że osobiście skontroluje ich konie, siodła i tym podobne rzeczy. Nie uwierzył Herbertowi na słowo, że wszystko jest w porządku. Kiedy w końcu mruknął coś z aprobatą, Herbert uśmiechnął się ironicznie i szepnął do Perfy:

- Tym dzikusom z buszu się wydaje, że wiedzą wszystko o koniach, ale mógłbym ich nauczyć tego czy owego.

Ben Buchanan. Perfy obserwowała go w czasie jazdy. Był raczej krępy, nie dorównywał wzrostem Darcy'emu, choć rysy twarzy miał tak podobne do brata, że w pierwszej chwili poczuła gwałtowne ukłucie w sercu. Na tym jednak podobieństwo się

kończyło. Darcy był szczery i rozmowny, Ben humorzasty i zamknięty w sobie, a jego oczom brakowało tego gorącego entuzjazmu, który sprawiał, że Darcy był tak wyjątkowy. Darcy interesował się wszystkim, co go otaczało: ludźmi, przyrodą, widokami Brisbane. Perfy uświadomiła sobie ze zdumieniem, że Lew pod tym względem bardzo go przypomina. Wszystko w kolonii było dla niego czymś zupełnie nowym i egzotycznym. Nigdy nie spotkała mężczyzny, który zadawałby tyle pytań. Był nieomal dziecinny w swej odkrywczej pasji i ciekawości świata.

Ojciec powstrzymał się od komentarzy, lecz już od samego początku widać było, że Ben Buchanan nie przypadł mu do gustu. Perfy uważała, że jest niesprawiedliwy, lekceważąc Bena tylko dlatego, że nie dorównuje Darcy'emu. Młodszy Buchanan nie został zaproszony do ich domu. Spotkania odbywały się w hotelu Great Northern, gdzie się zatrzymał.

Pierwsza wizyta przebiegła w napiętej, pełnej skrępowania atmosferze. W końcu to Perfy musiała podtrzymywać konwersację, podczas gdy jej rodzice siedzieli w milczeniu, jak gdyby to, o czym była mowa, w ogóle ich nie dotyczyło. Ben jednak zachowywał się bardzo uprzejmie. Sam zaczął mówić o Darcym, o tym, jaką stratą była jego śmierć dla rodziny i przyjaciół, do których grona bez wahania zaliczył Middletonów. Od razu też i bez wstrętów uznał Perfy za swoją współpracowniczkę.

- Jestem pewien, że nie będziesz się nudzić na ranczo - powiedział. - W tej chwili jest raczej sucho, paszy jest niewiele, musimy więc pilnować bydła.

- Co robią krowy, kiedy pastwisko wysycha? - zapytała Perfy, rodzice bowiem nadal uparcie milczeli.

- Przenoszą się gdzie indziej. Albo zjadają wszystko w zasięgu wzroku. Drzewa, osty, gałęzie, rzeczy, których nie trawia, i które mogą im zaszkodzić. Dzikie zwierzęta mają więcej rozumu.

- Ile sztuk bydła macie w sumie?

- Trudno powiedzieć tak od razu - odparł Ben. - Chyba około trzydziestu tysięcy.

W drodze powrotnej Jack Middleton sarknął:

- Trudno powiedzieć, ile mają bydła! Uważa nas za idiotów, czy jak? Jego matka pisała, że ostatnio robili przegląd. Założę się, że ten drań zna pogłowie aż do ostatniego cielęcia! Powinien był podwoić liczbę, którą nam podał.

- Nie bądź taki zgryźliwy - rzekła Perfy, obawiając się, iż ojciec zmieni zdanie co do wizyty na ranczo. - Dlaczego nie zaprosiłeś go do nas?

- Ponieważ musimy zachować dystans.

- Nie nazwałabym odwiedzin u nich zachowaniem dystansu, Jack - odezwała się Alice.

- To konieczne - odparł. - Nie jedziemy z wizytą, jedziemy na inspekcję majątku Perfy. Oni o tym wiedzą. Muszą być grzeczni, dopóki nie dowiedzą się, jakie mamy zamiary.

- A jakie mamy zamiary? - spytała Alice. - Sama też chciałabym wiedzieć.

- Zobaczymy, kiedy się tam znajdziemy - odrzekł jej mąż. - Mówiłem ci już sto razy. Wszystko będzie zależeć od Perfy.

Jechali przez porośnięte skrubem wzgórze - Ben z przodu, Jack obok Perfy i Diamond. Kawalkadę zamykali dwaj poganiacze z Caravale, prowadzący juczne konie.

Poprzedniej nocy obozowali u podnóża gór. Kowboje upiekli mięso i ziemniaki, które podali z herbatą z kociołką, zupełnie jak na pikniku. Potem w mgnieniu oka rozbili namiot dla kobiet. Sami spali pod gołym niebem, owinięci w koce.

Perfy z niepokojem myślała o nocy. Bała się, że nie zaśnie, rozmyślając o Darcym. Planowali przecież odbyć tę podróż razem. Po całym dniu spędzonym w siodle była jednak tak zmęczona, że zasnęła natychmiast, rano zaś Diamond musiała długo nią potrząsać, nim ją dobudziła. Perfy cieszyła się, że jest z nią Diamond; czułaby się niezręcznie, będąc jedyną kobietą w towarzystwie, zwłaszcza gdy chodziło o sprawy bardziej... intymne.

- Pupę mam zdrętwiałą jak kłoc drewna - szepnęła do niej Diamond.

Perfy kiwnęła głową.

- Ja też, ale nie możemy dać tego po sobie poznać. Co prawda Ben powiedział, że jeśli jazda okaże się dla nas za ciężka, możemy wypożyczyć powóz w którymś z mijanych majątków.

- Poprośmy o powóz! - wtrąciła szybko Diamond, lecz Perfy pokręciła głową.

- Wszystkie młode kobiety w tych stronach jeżdżą konno, tylko stare baby używają powozów. Nie chcę, żeby ktoś mówił o nas: "mięczaki". Zresztą podobno mamy rozbić obóz, jak tylko dotrzemy do tamtych gór.

- Im prędzej, tym lepiej - mruknęła Diamond. W tej samej chwili Ben ściągnął wodze i zawrócił w ich stronę.

- Mamy teraz przed sobą kawałek wspinaczki. Konie bez trudu dadzą sobie z nią radę, na szczycie jednak lepiej będzie, jeśli panie zsiądą i oddadzą wodze chłopcom. Oni sprowadzą wasze wierzchowce na dół. Zbocze jest strome, nie chcę, żeby zdarzył się jakiś wypadek.

Kiedy dotarli na wierzchołek wzgórza - konie z trudem pokonały ostatnie parę kroków - Perfy była zadowolona, że się nie spierała, stok rzeczywiście opadał na złamanie karku. Daleko przed sobą widziała wielką rzekę, wijącą się zieloną wstążką przez upstrzony samotnymi drzewami step.

- Czy ta ziemia jest czyjąś własnością? - zapytała Perfy jednego z poganiaczy, oddając mu konia.

- O tak, panienko - odparł. - Tam w dole jest ranczo Glendale, a po drugiej stronie rzeki Strathaird.

- A co to za rzeka?

- Bogie, panienko. Przeprowadzimy się przez nią i ruszymy w stronę Burdekin, a potem wzdłuż doliny na południe. Jeśli spojrzysz tam, daleko na północny zachód, zobaczysz pani wozy. Widzi panienka?

- Tak. Czy to górnicy jadący nad Cape?

- Zgadza się, to górnicy. Jadą wołami, zaprzęgami konnymi, no a część zasuwa pieszo. Podróżujemy równolegle do nich, można powiedzieć, ale za dzień lub dwa my odbijemy na południe, a oni pociągną dalej.

Mężczyźni wzięli konie i ruszyli w dół, Perfy i Diamond zaczęły ostrożnie schodzić ze zbocza. Całe szczęście, że Darcy kupił jej spódnico-spodnie! Perfy była pewna, że znalazłaby się w nie lada tarapatach, przemierzając tę trasę bokiem w siodle i w długiej spódnicy. Dała jedne takie spodnie Diamond, matka orzekła bowiem, iż żadnej kobiecie, nawet czarnej, nie wypada jeździć na koniu w podkaszanej kiece. Kiedy Diamond dosiadła wierzchowca, Ben i obaj kowboje spojrzeli na siebie zaskoczeni. Perfy omal nie parsknęła śmiechem.

- Panno Perfy - szepnęła do niej Diamond z szelmowskim błyskiem w oku - nie sądzę, by ci panowie kiedykolwiek widzieli Aborygenkę na koniu.

- A więc teraz wreszcie zobaczyli! - zachichotała Perfy. Mężczyźni są tacy konserwatywni! O wiele mniej podatni na zmiany od kobiet - ot, weźmy choćby odzież. Wszyscy noszą ciągle takie same rzeczy, gdy tymczasem panie uwielbiają nowe fasony. Jej ojciec też jest taki. Ależ się zezłościł, kiedy wreszcie wyrzuciła jego stare, zniszczone pantofle! I wcale nie spodobały mu się nowe! Dumiała nad tym, ześlizgując się w dół zbocza, czepiając się krzaków i raniąc dłonie; trochę ją irytowało, że Diamond nie ma z zejściem żadnych problemów.

Kawalkada ruszyła dalej przez otwartą trawiastą równinę, gdzie było pasło się spokojnie, nie zwracając na nich uwagi, kangury natomiast, nie chcąc ryzykować

spotkania, uciekały w podskokach. Płochliwe emu także zrywały się do ucieczki, potem wszakże zatrzymywały się gwałtownie i ciekawie podążały za nimi. Stado czarnych kakadu zatoczyło krąg nad ich głowami, skrzecząc z rozdrażnieniem. Perfy przyglądała się ojcu. Cieszył się każdą minutą tej wyprawy. Fascynowała go dzika przyroda, zwłaszcza ptaki. Zawsze kochał ptaki, a teraz on i Diamond świetnie się bawili, rozpoznając liczne napotkane gatunki. Zatrzymali się na krótki popas przy źródle, wokół którego roilo się od papug - kakadu i mniejszych papużek falistych. Każda gałąź drzewa pełniła rolę grzędy dla setek papug, natomiast piękne różowawe czaple wyniosłe stały osobno w błotnistym rozlewisku. Odpocząwszy, podróżni pokłusowali przez suchą, łamliwą trawę i z powrotem wjechali w skrub, radzi nawet ze skąpego cienia rzucanego przez stare sękate kauczukowce.

Klacz Perfy, kasztanka o imieniu Pozłotka, prowadziła się cudownie. Perfy była zakochana w kasztance i uważała, że przewyższa ona inne wierzchowce z Caravale. Jej uwagę zwrócił wszakże fakt, iż kowboje szczególną troską otaczają konia, którego dosiada Ben, wielkiego czarnego ogiera, zwanego przez nich Kopciem, choć w rzeczywistości nosił inne imię i miał imponujący rodowód. Było to dzikie, aroganckie zwierzę i Perfy ostrzeżono, żeby się do niego nie zbliżała. Kopeć uznawał wyłącznie Bena, podobnie jak jego pies. Perfy podejrzewała, że na swoim wierzchowcu Ben przebyłby tę trasę dwukrotnie szybciej, gdyby nie był obciążony towarzysztwem, i że prawdopodobnie wolałby być sam.

Często go obserwowała. Zwykle galopował daleko w przodzie; zastanawiała się, o czym wtedy дума. Na pewno wiele razy przemierzał te szlaki z Darcym. Czy tęskni za bratem? I co myśli o niej, narzeczonej Darcy'ego? W czasie gdy obaj byli w Brisbane, Ben ani razu się z nią nie spotkał. Darcy był na niego wściekły. Pamiętała, że Ben interesował się polityką. Zapewne odniósłby sukces na tym polu, choć trudno było utożsamić eleganckiego młodego dżentelmena, będącego za pan brat z wieloma ważnymi osobistościami, gościa samego gubernatora, z tym samotnym jeźdźcem w kraciastej koszuli, wąskich spodniach do konnej jazdy i szerokim skórzanym kapeluszu, który prowadził ich przez dziką, nieznaną krainę.

Trzeciego dnia Ben zarządził postój około czwartej po południu.

- Tu się rozdzielimy - powiedział do Jacka. - Chłopcy jadą do Merri Creek, a my rozbijemy obóz i jutro ruszamy do Caravale.

- Na pewno dacie sobie radę, szefie? - upewnił się George, młodszy poganiacz.

- Gdybym powiedział, że nie, zaczęlibyście płakać rzewnymi łzami - roześmiał się Ben i wyjaśnił: - Jadą na tańce do sąsiedniego majątku. My go ominiemy, musielibyśmy zboczyć z trasy o trzydzieści mil.

- Czy to jest ta wielka rzeka? - zapytała Perfy. Zatrzymali się na skraju bardzo gęstych zarośli, co świadczyło, że w pobliżu jest woda.

- Nie, to tylko jej dopływ - odparł Ben. - Nazywa się ją Dziwną Strugą.

- Dlaczego?

- Proszę spojrzeć na listowie. Niżej jest wąwóz, zamknięty z jednej strony. Zatrzymuje on ciepłe powietrze i wilgoć, skutkiem czego rosną w nim tropikalne drzewa, inne niż wszędzie dookoła.

- Czy mamy zabrać ze sobą jucznego, szefie? - przerwał mu George.

- Nie, zostawcie go, będzie was opóźniał. Nie zapomnijcie tylko wziąć poczty do Merri Creek.

Diamond nie czuła się dobrze w tym miejscu. Patrzyła niepewnie, jak kowboje ruszają z kopyta, machając wesoło kapeluszami i pozostawiając za sobą smugę kurzu. Była rada, że Ben Buchanan zdecydował się rozbić obóz nieco dalej od miniaturowej dżungli, wiało z niej pleśnią. Pokryte wilgocią stare drzewa obrośnięte były mchem i oplątane lianami, grząskie podłoże ugięło się pod stopą.

Ben rozpałił ognisko i wznosił konstrukcję ze sztywnych palików, na której zawiesił kociołek. Diamond czuła, że powinna zaoferować mu swoją pomoc, lecz nie chciała się narzucać. Nie wiedziała, co o nim myśleć. Był bardzo atrakcyjnym mężczyzną, miał szerokie ramiona i przystojną opaloną twarz. Rzadko się do niej odzywał, zerkał tylko na nią od czasu do czasu, jak gdyby była jakąś osobliwością. Nie usłyszy jej uwagi znaczące mrugnięcia, jakie wymieniali między sobą poganiacze, kiedy ich mijała. Diamond знаła takie spojrzenia. Dla nich była tylko czarnuchą, na którą każdy mógł zapolować, jeśli zechciał. W obecności ich szefa i pana Middletona nie miała się czego obawiać. Skąd więc ten niepokój? Czuła wewnątrz nerwowe trzepotanie motyli skrzydeł zupełnie bez powodu.

Perfy usiadła w cieniu, zajęta upinaniem siatki na kapeluszu; wokoło roiło się od much. Ben napełnił kociołek wodą z bukłaka, potem wyjął z sakwy puszkę herbaty i przykucnął, czekając, aż woda się zagotuje. Palił fajkę, oparty pewnie na jednej nodze, podczas gdy drugą wyciągniętą miał w przód. Diamond uśmiechnęła się. Przywodził na myśl brodzące nad wodą ptaki, bociany i czaple, które często stawały na jednej nodze. Przypomniała jej się legenda, jaką opowiadali ludzie z plemienia Bindal: pewnego razu, dawno, dawno temu, bocian stracił nogę, odgryzł mu ją rzeczny potwór. Wszystkie ptaki bardzo mu współczuły, a ponieważ był kaleką, znosiły mu jedzenie. Wówczas inne bociany

wpadły na pomysł, że chowając jedną nogę pod brzuchem, będą mogły korzystać z darowanego jada, nie trudząc się polowaniem. Nie minęło wiele czasu, gdy...

- Gdzie jest pani ojciec? - odezwał się nagle Ben.

- Poszedł na spacer - rzekła Perfy, odganiając muchy i zawiązując siatkę pod brodą.

Sprawa była dosyć delikatna, Jack mógł po prostu pójść w zarośla, żeby się załatwić, toteż Ben umilkł, stęzał jednak i zaczął rozglądać się dookoła. Być może się bał, że Jack Middleton natknie się na jakiegoś węża. Diamond także dręczył niepokój: gęsta zieleń stanowiła wymarzone siedlisko dla tych gadów.

- Powiedział, że trochę się opluska, jeśli znajdzie dobre miejsce w strumieniu - dodała Perfy.

- Co? - krzyknął Ben. - Poszedł pływać?

W mgnieniu oka zerwał się na nogi, złapał strzelbę i ładując ją w biegu, runął w stronę potoku.

Diamond skoczyła za nim, sama nie wiedząc po co. Ben pędził przez zarośla, ślizgając się na wilgotnych paprociach, potykając w wykrotach...

I nagle powietrze rozdarł krzyk. Najstraszliwszy, najbardziej bolesny krzyk, jaki Diamond kiedykolwiek słyszała.

Ben natychmiast zmienił kurs i pognał w prawo.

- Tędy! - zawołał do niej.

Potworny krzyk przybrał na sile.

Jack Middleton miotał się w czerwonym od krwi strumieniu. Diamond rzuciła się naprzód, wyciągając ręce. Była po pas w wodzie, kiedy Ben złapał ją i odepchnął na bok, po czym wystrzelił.

W tej samej sekundzie Diamond ujrzała ogromnego gada. Trafiony prosto w łeb, krokodyl dziko uderzył ogonem o wodę, później cofnął się, pociągając za sobą Jacka, którego ramię tkwiło w podłużnej paszczy. Ben odrzucił karabin i wskoczył do wody, żeby podtrzymać rannego. Gad osuwał się bezwładnie, rozchylił szczęki, lecz jego łapy, wielkie sękaty szpony, wciąż ścisnęły ofiarę. Diamond podbiegła bliżej, dobyła noża i rozpruła odsłonięty biały brzuch potwora.

Ben wywlókł Jacka z zakrwawionej wody. Wokół Diamond rozpętało się tornado dźwięków. Jack wciąż krzyczał, Ben wyrzaskiwał coś niezrozumiale. Ujęła Jacka pod kolana i razem, potykając się, wynieśli go na brzeg.

- O Chryste! - zaszlochał Ben. - O Jezu Chryste!

Zdjął koszulę i podłożył delikatnie pod głowę rannego, po czym ściągnął podkoszulek i zaczął nim tamować krwotok.

Diamond także szlochała, tyle że bezgłośnie. Ręka Jacka była prawie całkiem oddzielona od barku, tułów lepił się od krwi. Dziewczyna mocno przycisnęła dłońią usta, żeby powstrzymać wyrywający się z nich krzyk. Zdarła z siebie przemoczoną bluzkę i podała ją Benowi.

- Spódnice też - rzucił nagląco. - Podrzyj ją na pasy, potrzebuję bandaży.

Zrobiła, jak kazał, szarpiąc gorączkowo mokrą, sztywną tkaninę, która jakby złośliwie stawiała jej opór. W końcu musiała nadepnąć ją stopą i obiema rękami darła z całej siły, pospiesznie wręczając każdy pas Benowi.

Jack stracił przytomność. Ben ciasno przykrępował mu ramię do ciała, po czym wziął się do bandażowania rozharatanej piersi. Łzy płynęły mu po policzkach. Wyciągnął rękę do Diamond po następny pas materiału, lecz dziewczyna potrząsnęła głową:

- Nie ma już więcej.

Spojrzał na nią. Diamond zdjęła przemoczoną koszulkę, którą Ben wziął od niej bez słowa.

- Trzymaj się, chłopie - szeptał. - Wyjdiesz z tego. Tylko się teraz trzymaj.

Trzęsącymi się dłońmi otarł twarz Jacka z krwi.

- Weź karabin - wychrypiał.

Diamond pobiegła z powrotem nad strumień, zerkając z przerażeniem na kłębiące się w nim krokodyle, które rozdzierały na strzępy trupa zastrzelonego gada.

W dali słyhać było nawoływania Perfy:

- Gdzie jesteście?

Diamond była zbyt przerażona, żeby odpowiedzieć. Schyliła się po karabin i wróciła do Bena.

- Co z nim? - zapytała.

- Nie wiem. Jest strasznie poszarpany. Musimy go stąd zabrać. Gdybym był zatrzymał chłopców... - Namacał puls na szyi Jacka i odgarnął mu włosy z czoła. - Całe moje życie składa się z takich "gdybym" - mruknął.

Diamond zerknęła na niego z niepokojem. Chyba mówił od rzeczy. Był w szoku, podobnie jak Jack.

Jack otworzył oczy. Przekręcił głowę, żeby spojrzeć na Bena.

- Ty... Darcy'ego... - szepnął, dławiąc się słowami i krzywiąc z bólu, lecz głowa opadła mu, nim dokończył.

- Bierze cię za Darcy'ego?

- Nie - uciął Ben. - Będziesz musiała zostać przy nim na chwilę. Skoczę po koce i parę innych rzeczy. Zaraz wracam. Nie możemy wlec go przez krzaki w tym stanie, trzeba zrobić nosze.

Zobaczył, że Diamond zerka na strzelbę.

- Nadal jest naładowana - rzekł. - Jeśli któryś z tych cholernych drani wystawi nos na brzeg, po prostu wyceluj i pociągnij za spust. Chryste! - jęknął. - Ona tu idzie.

Perfy w końcu odnalazła drogę nad strumień. Potykając się wyszła z zarośli.

- Co się stało? - zawołała. - Co się stało ojcu?

Podbiegła do nich i nagle stanęła jak wryta, patrząc ze zgrozą na przesiąkniętą krwią bandaże. Powoli przeniosła wzrok na Diamond, która zapomniała, że od pasa w górę jest naga i ma na sobie tylko ubłocone pantalone.

- Gdzie twoje ubranie? - zapytała Perfy, nadal niezdolna pojąć znaczenia tej sceny. Pochyliła się nad ojcem. - Tatusiu! Tatusiu, co oni ci zrobili?

- Miał wypadek, Perfy - odezwał się cicho Ben. - Postaraj się go ogrzewać, zanim wrócę. To ważne, słyszysz?

Kiwnęła machinalnie głową. Twarz miała równie szarą jak Jack. Dygotał, przytuliła się więc do niego całym ciałem. Przemawiała do niego beładnie, powtarzając pytanie:

- Co się stało?

Diamond drżała ze strachu. Jak przez mgłę przypominała sobie inną rzekę, pełną tych przedpotopowych stworów. Patrzyła na nie z góry, ohydne zębate gady leżały na brzegu, podstępnie udając nieszkodliwe pnie drzew. Nigdy dotąd jednak nie miała z nimi do czynienia. Stała z palcem na spuście, wypatrując żółtych oczu, nasłuchując, czy któryś nie gramoli się na brzeg. Bała się odpowiadać na pytania Perfy, to wszystko było zbyt straszne, żeby o tym mówić.

- Staraj się go ogrzać - powtórzyła słowa Bena. - Pan Buchanan poszedł po koce.

- Trochę zimno, córeczko - przemówił nagle Jack i Perfy odetchnęła z ulgą.

- Ben zaraz wróci, tatusiu. Czy możemy rozpalić ognisko, Diamond?

- Tak - skłamała - tylko musimy poczekać na pana Bena.

- Ale jest tak chłodno, a tatko wciąż krwawi, tu, z boku. Upadł? - Na szczęście Perfy nie czekała na odpowiedź. - Bardzo cię boli? - spytała ojca, a on uniósł zdrowe ramię, żeby dotknąć jej policzka.

- Nie - rzekł. - Już przestało. - Westchnął jakby ze zdziwieniem i dodał nadszpiewanie mocnym głosem: - Opiekuj się moją córeczką, Diamond.

W wystraszonych oczach Perfy błysnęły łzy.

- Na litość boską, tatusiu, nic mi nie jest. Co mogę dla ciebie zrobić? Diamond! Przynieś mu trochę wody!

- Ben przyniesie wodę - bąknęła Diamond z nadzieją.

Perfy spiorunowała ją wzrokiem. Dlaczego ta dziewczyna się nie ruszy?!

- Alice... - jęknął Jack. Próbował jeszcze coś powiedzieć, lecz Perfy położyła mu dłoń na ustach.

- Spokojnie, tatusiu. Musisz odpocząć.

Znów zamknął oczy, Perfy tuliła go w ramionach, dopóki Ben w końcu nie wrócił, objuczony kocami, bukłakiem, lampą, siekierą i mnóstwem innych rzeczy. Rzucił im koce i od razu zaczął rąbać gałęzie na nosze.

- Chodź tu! - zawołał do Diamond. - Oczyść je z odrostów.

Miał też liny i brezent. Razem szybko sklecili ramę noszy. Ben przerzucił brzeg plandeki w stronę Diamond, lecz dziewczyna zastygła w bezruchu. Wyczuła coś, może nawet nie ciszę, a nagłą pustkę; zdało jej się, że słońce, gorejące teraz czerwono na niebie, chce zatrzymać tę majestatyczną chwilę bolesnej zadumy. Delikatnie dotknęła ręki Bena. Spojrzał na nią, wściekły, że marnuje czas.

- O co chodzi? - spytał. - Zawień brezent pod spód. Prędziej!

Potrząsnęła głową. Ben odwrócił się szybko, żeby spojrzeć na Jacka. Potem cicho wstał i podszedł do rannego.

- Chwała Bogu, usnął - szepnęła Perfy.

Ben przyklęknął obok niej. Dotknął twarzy Jacka, potem dokładnie obmacał jego szyję, w końcu usiadł na ziemi, pokonany.

Jack Middleton nie żył.

Do Caravale dojechali późno w nocy, dygocząc w porywach zachodniego wiatru, który zaczął dąć nad równiną, gdy tylko zaszło słońce. Szum drzew nad głowami przypominał bardziej wzburzone morze niż odgłos suchego stepu. Po pniach kauczukowców pełzały widmowe ogniki.

Na widok domostwa rozpacz Diamond jeszcze się wzmogła. Ciemny zarys na wzgórzu znaczyły pomarańczowe punkty okien, podobne do złych, przyczajonych oczu. Dziewczyna wzdrygnęła się, słysząc żalobne wycie dingo.

Wraz z Perfy jechały bryczką pożyczoną z rancza Merri Creek. Powoził nią George, pracownik Caravale. Za nimi drugi wóz, pełniący rolę karawanu, wiózł ciało Jacka

Middletona. Skulona, opatulona kocem Perfy milczała, zbyt wstrząśnięta, by wiedzieć, co się dzieje. Kiwała się tylko bezwładnie, kiedy powóz podskakiwał na wybojach. W eskorcie jechało sześciu jeźdźców, żałobników w ciemnych płaszczach, z opuszczonymi pod wiatr głowami. Konie boczyły się, zdenerwowane powolnym tempem. Diamond była rada z towarzystwa ludzi. Większość poprzedniej nocy spędziła sama z Perfy nad tym strasznym potokiem, ponieważ Ben pojechał do Merri Creek po pomoc.

Przerażona, że ma zostać z trupem, Diamond błagała go:

- Czy nie może pan zaczekać do rana?

- Lepiej będzie, jeśli pojedę zaraz - odparł. - To potrwa kilka godzin. Nie dacie sobie rady konno w nocy na nieznanym terenie, a zresztą i tak nie możemy go tutaj pochować. - Wskazał ciało, owinięte w mocny brezentowy całun. - Potrzebny nam będzie wóz. Merri Creek to najbliższe domostwo.

Walcząc z zabobonnym lękiem, który nie opuszczał jej w tym odludnym, upiornym miejscu, Diamond starała się pocieszyć Perfy. W końcu musiała przyznać, że Jacka zaatakował krokodyl, i, jak można się było spodziewać, Perfy wpadła w histerię. Jej płacz poniósł się drżącym echem poprzez nocną ciszę. Perfy wykrzykiwała swój żal i gniew z powodu śmierci ojca, winiła Bena Buchanana za to, że ich tu przywiózł, że zrobił to celowo, próbując ich wszystkich pozabijać, i że na pewno już nie wróci. One też umrą, pozostawione bez opieki w tej okropnej dziczy, pożarte przez krokodyle albo inne dzikie zwierzęta!

Diamond wiedziała, że to nieprawda - Ben ryzykował własne życie, wyciągając Jacka z rzeczki, która, jak wiedział, roiła się od krokodyli - mimo to zadrżała ze strachu. Nie, Ben ich nie zostawi. Przecież to właśnie on odepchnął ją, gdy krokodyl, wciąż walcząc, mógł się na nią rzucić. Nie była pewna, czy wbiegłaby tak śmiało do mulistej wody, gdyby się orientowała, co w niej jest.

Noc pełna była niewysłowionej grozy. Diamond trzymała strzelbę w pogotowiu, dokładając do ogniska gałęzie, których Ben naciął przed odjazdem. Rzuciła nerwowo ukradkowe spojrzenia na owinięte w brezent ciało, którego również miała bronić, w razie gdyby zjawiły się żadne łupu dingo. Perfy nawet nie próbowała zasnąć. Diamond zachęcała ją do modlitwy, niezdolna odszukać w pamięci żadnej z legend, których tak wiele jej opowiadała w bezpiecznym zaciszu domu Middletonów w Brisbane. Sama też się modliła, o to, by ktoś się wreszcie zjawił, wszystko jedno kto, krajowiec, górnik albo nawet bandyta. Ktokolwiek, byle wyratował je z tego upiornego osamotnienia i ochronił przed złymi duchami, które - tego była pewna - wściekle snuły się wokół.

Usłyszała odgłos galopujących koni na długo przedtem, nim znalazły się w zasięgu wzroku. Rozpląkała się z ulgi. Gdy mijały godziny, ona także zaczęła się bać, że Ben nie wróci. Towarzyszyło mu trzech wysokich, obcych mężczyzn z rancza Merri Creek. Złożywszy Perfy wyrazy współczucia, wycofali się delikatnie poza krąg bijącego od ogniska światła, aby czekać do rana na przybycie wozu. Bryczkę wysłała za nimi żona właściciela rancza, która słusznie odgadła, że córka pana Middletona nie będzie w stanie jechać dalej konno do Caravale.

Z domu na wzgórzu wypadło kilku jeźdźców, naradzili się z Benem i pognali z powrotem. Zanim powóz minął rozmaite budynki i zajechał na duży dziedziniec na tyłach domu, otoczyli ich ludzie z latarniami.

Panowała nerwowa atmosfera; głosy wykrzykiwały polecenia, konie, spłoszone zamieszaniem, boczyły się w zaprzęgu. Czyjeś ręce schwyły lejce, inne pomogły wysiąść Perfy i jej pokojówce.

Diamond zobaczyła tłumek czarnych, którzy stojąc trwożnie na uboczu, przyglądali się temu dziwnemu zdarzeniu. Poprowadzono ją w stronę domu. W świetle lampy u szczytu schodów stała rudowłosa, czarno odziana kobieta. Na jej widok Diamond doznała fizycznego wstrząsu, jak gdyby zderzyła się z kamienną ścianą. Kobieta roztaczała wokół siebie aurę nieugiętej, władczej stanowczości, a choć usunęła się sztywno na bok, żeby ich przepuścić, zdawała się traktować to nieszczęście jako osobisty afront. Była to, jak usłyszała Diamond, pani Buchanan.

- Od śmierci Darcy'ego nic, tylko kłopoty! - wściekała się Cornelia. - Zakopcie rano te zwłoki i skończmy z tym wreszcie!

Ben upewnił się, że drzwi do salonu są zamknięte.

- Zachowujmy się przyzwoicie - rzekł. - Doktor już jest w drodze, wystawi świadectwo zgonu. Potem wyślę depeszę do policji w Bowen, żeby powiadomiła panią Middleton. To będzie dla niej potworny wstrząs.

- Biedaczka, też mi coś! Niezbadane są wyroki Boże. To kara za to, że próbowali ukraść nam majątek, do którego nie mają prawa. Pokazałeś tym ludziom, gdzie będą spać?

- Tak. Jak się czuje panna Middleton? - Ben wolał nie mówić o niej "Perfy" w obecności matki.

- Dziewczyna była bliska hysterii. Dałyśmy jej laudanum i położyłyśmy do łóżka. Tym miejskim pannicom zupełnie brak hartu, oto cały problem. Nie wiem, co takiego widział w niej Darcy. Ciepłe kluchy i tyle!

Ben stanął przy oknie. Był potwornie zmęczony i sam wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku.

- Nie lekceważ jej, mam. Jest teraz zupełnie załamana, czemu trudno się dziwić, ale miałem okazję przyjrzeć się jej w ciągu ubiegłych tygodni. To dość samowolna i uparta osóbką.

- Dlatego w końcu usidliła Darcy'ego.

- Nie chodzi tylko o to. Jest potwornie rozpieszczona. Jej rodzice świata poza nią nie widzą, stąd to imię, Perfection. Jeżeli chce gwiazdki z nieba, dostaje ją. Przyzwyczała się zawsze stawiać na swoim.

- Jeszcze zobaczymy - rzekła Cornelia. - Mam zamiar osobiście napisać do wdowy i złożyć jej w naszym imieniu kondolencje.

- To dobry pomysł. Wyjaśnij jej, co się stało. Nie chcę, żeby ktokolwiek obciążał mnie winą.

Mae zastukała do drzwi i zajrzała do środka.

- Panią już śpi, proszę pani. Gdzie mam umieścić pokojówkę?

- Tę Aborygenkę? Odeślij ją do obozu czarnych, oczywiście.

Mae westchnęła nerwowo.

- Tak jej powiedziałam, ale ona nie chce.

- Co ty wygadujesz? Co to znaczy, że nie chce?

- Mówi, że nie będzie spała w obozowisku. Powiada, że nie tam jej miejsce.

- A gdzie, u diabła, widzi inne miejsce? Może życzy sobie spać w moim domu? Skandal, do czego to dochodzi. Świat schodzi na psy, skoro czarnuchy myślą, że mogą nami rządzić. Wyrzuć ją na zbity pysk. Może spać na drzewie, jeśli chce.

- Zaczekaj - wtrącił Ben. - Nie powinniśmy robić sobie wroga z panny Middleton. Ta Aborygenka, Diamond, najwyraźniej przywykła do lepszego traktowania. Jest czysta i bardzo dobrze ubrana. Czy w starej mleczarni stoi prycza, Mae?

- Tak.

- Daj jej latarnię i zaprowadź ją tam.

Mae pospiesznie czmychnęła.

- Co za bezczelność! - fuknęła Cornelia. - Spodziewała się może, że będzie spać w domu?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Dowiedziałem się właśnie, że w czasie mojej nieobecności znowu dwóch poganiaczy uciekło nad Cape.

- Niewdzięczne psy! Co oni mogą wiedzieć o wydobywaniu złota?

- A czy ktokolwiek z tej hałustry się na tym zna? - mruknął Ben. - Napisz list do pani Middleton, wyślemy go razem z informacją dla policji.

Finowie zdecydowali się przenieść do Townsville, bo stamtąd mieli łatwiejszy dostęp do odkrywek. Połów ryb w okolicach Bowen był nader lukratywnym zajęciem, do tej pory zatem nie ruszali się z zatoki, teraz jednak uznali, iż pora na serio zająć się poszukiwaniem złota. Wieczorem w dniu poprzedzającym wyjście z portu wyprawili pożegnalne przyjęcie. Zaprosili wszystkich znajomych. Stoły uginały się pod górami jadła, wytoczono beczki piwa, skrzynki sznapsa i dżinu, toteż ochłaj był doprawdy niezmierny. Lew o świcie wrócił zygzakiem na dżonkę i udało mu się wytrwać w pozycji stojącej jedynie tak długo, by pomachać odpływającym kolegom. Potem zwałił się na koję, żeby przespać kaca.

O godzinie czwartej po południu wynurzył się z kajuty i wskoczył do morza, by w ten sposób dokończyć kuracji. Orzeźwiony, wspiał się z powrotem na pokład. Zastał na nim Honga z bardzo zmartwioną miną.

- O co chodzi? - zapytał Lew po chińsku. Hong był niezmiernie dumny ze swej angielszczyzny, lecz porozumiewanie się z nim w tym języku trąciło beznadzieją.

- Wielka draka w mieście zeszłej nocy, kapitanie. Biali chyba się wściekli, gonili Chińczyków po całym mieście i prali ich po pyskach! - Hong wyszczerzył zęby. - Ale tym razem nasi byli gotowi. Czekali przy tartaku, a kiedy nadbiegły białe diabły, synowie Niebios oddali im ich własną miarką. Bardzo ładna bitwa. Elegancko poderżnęli kilku z nich gardziołka.

- O Jezu! - jęknął Lew. - Powiedz załodze, żeby została na statku! Pod żadnym pozorem nie wolno im wychodzić do miasta. To nie nasza wojna, więc macie się trzymać od tego z daleka, zrozumiano?

Lew ubrał się i szedł na ląd, stęskniony za solidnym posiłkiem. Przywykł do sposobu żywienia się kolonistów: nawet na śniadanie stek wielki jak para butów, do tego trzy jaja, sos i pół bochenka chleba. Australijczycy byli zdecydowanie mięsożerni i woleli ziemniaki od ryżu. Jadali bardzo niewiele jarzyn, które zresztą gotowali tak długo, aż całkiem straciły smak. Wielu Chińczyków zaczęło już uprawiać warzywa na małych działkach za miastem. Nie mieli problemów ze sprzedażą plonów. Lew podejrzewał, że ci drobni farmerzy osiedlą się tu na stałe. Ich nację cechował stoicyzm, pozwalający znosić konflikty i nierówności rasowe, a także inteligencja, dzięki której pojmowali, iż mogą tu żyć całkiem nieźle z ogrodnictwa przy nieograniczonym dostępie do ziemi i bez kłopotów z irygacją.

W gospodach huczało, rozjuszeni górnicy pomstowali na Chińczyków, którzy napadli ich kolegów. Te wredne, podstępne żółtki posłużyły się najbardziej tchórzowską bronią, sztyletami, i dobyły ich na facetów, którzy chcieli się tylko zabawić. Lew usłyszał także, iż to Chinole ponoszą winę za wszelkie zło w tym mieście, że są siedliskiem najgorszych przywar i że żadna biała kobieta nie jest przy nich bezpieczna. Wkrótce znużyło go towarzystwo pieniaczy i poszedł odwiedzić panią Middleton. Z pijackich pokrzykiwań trudno było wywnioskować, jak poważne są rozruchy, a ponieważ Jack Middleton wyjechał, jego żona mogła się denerwować sama w domu.

Sama? Był już w połowie ścieżki, za daleko, by zawrócić, kiedy usłyszał dźwięki fortepianu. Herbert! Przeklęty Herbert, chyba zamieszkał tu na stałe!

- Lew! Jak to miło, że wpadłeś - powitała go Alice. - Wejdz, proszę. Jadłeś już kolację? Cóż, nie szkodzi, i tak musisz napić się z nami kawy. Słyszysz, jak nasz Herbert pięknie gra? Znasz panią Tolley, prawda... tak, oczywiście. Siadaj, zaraz przyniosę ci filiżankę.

- Byłem niespokojny - rzekł Lew. - Ubiegłej nocy w mieście doszło do zamieszek.

- Tak, i podobno polała się krew - odezwała się pani Tolley. - Na szczęście tym razem wszystko odbyło się na drugim końcu miasta. Ci Chińczycy to prawdziwe potwory.

Herbert odwrócił się od pianina.

- Moja droga pani Tolley, niech pani nie mówi takich rzeczy przy Lewisie. Ma w żyłach chińską krew.

- Nic podobnego - warknął Lew, gardząc sobą za to, że broni się w ten sposób. Wiedział, że Herbert poczynił tę uwagę tylko po to, by go zdenerwować.

- Nie wygląda pan na Chińczyka - zauważyła pani Tolley, zawijając na palcu mocno skrecony loczek i poprawiając sute fałdy fioletowej sukni.

- Znam język - wyjaśnił Lew, złoszcząc się w duchu jeszcze bardziej. Nie cierpiał się tłumaczyć.

- Ach, wy młodzi panowie jesteście doprawdy bardzo utalentowani! - odparła pani Tolley. - Słowo daję, Alice, wasza Perfy ma szczęście, że ma takich dwóch wspaniałych adoratorów.

- Niechże pani nie gada głupstw - syknęła Alice, zażenowana tą nietaktowną uwagą.

- Czy mógłbyś zagrać nam jeszcze jakiegoś walca, Herbercie?

Lew lubił Alice. Miała ściągniętą, ascetyczną twarz osoby nawykłej do ciężkiej pracy, twarz, która nigdy nie rozleje się w tłuszczu. Jej niebieskie oczy zbladły, zachowały jednak

blask dawnej urody. Perfy miała takie same, lecz jej uroda dopiero rozkwitała; wielkie oczy przykuwały uwagę swą cudowną barwą.

Poczuł ukłucie w sercu. Jakże za nią tęsknił! Wciąż był na nią zły, że uparła się na tę śmieszna pielgrzymkę do Caravale, bo tym w gruncie rzeczy była jej wyprawa: wizytą w świątyni zmarłego ukochanego. A Jack uległ tej zachciance. Może czuł się zobowiązany wobec świętej pamięci Darcy'ego Buchanana za hojny spadek, zapisany jego córce. Przeklęty Darcy! Dlaczego nie umarł cicho i bez zawracania głowy, nie komplikując Perfy życia! Lew celowo wykręcił się od spotkania z bratem Darcy'ego, Benem. Mimo woli żywił odrobinę współczucia dla tego faceta. To musi być cholernie irytujące, kiedy zupełnie obcy ludzie nagle roszczą sobie prawa do połowy twojego majątku. W bardziej cywilizowanym kraju, takim jak na przykład Chiny, ten numer by nie przeszedł. Zapis zostałby uznany za skandaliczny i niezgodny z prawem. Egzekwowanie go zaś w taki sposób, w jaki czyniła to Perfy, doprowadziłoby do krwawej rodowej waśni.

Jezu! Wzdrygnął się nagle. Czy Perfy będzie tam bezpieczna? Słyszał, jak mówiono tu, w Bowen, że hodowcy (miał wrażenie, iż jest to bardzo pojemny termin, aczkolwiek głównie odnosi się do wielkich właścicieli ziemskich) - że ludzie ci sami stanowią dla siebie prawa, są potęgą wyniesioną ponad resztę mieszkańców kolonii. Na szczęście Perfy towarzyszył Jack.

Lew wsłuchał się w muzykę. Musiał to przyznać Herbertowi, rzeczywiście gra dobrze, mimo iż poza tym jest zarozumiałym bubkiem. Lew spotkał już w życiu wielu jemu podobnych. Krążyli po Dalekim Wschodzie, jak ognia wystrzegając się tubylców, patrzyli tylko, jak się szybko wzbogacić na handlu opium albo - jeszcze lepiej - znaleźć sobie zamożną angielską narzeczoną. Herbert nie był dla niego rywalem, a tylko utrapieniem. Kiedy Lew uzna to za stosowne, przepłoszył go w mgnieniu oka. Na razie nie byłoby zbyt rozsądnie obrażać Alice, dając w łeb jej ulubionemu pianiście.

W jakiś czas później nadszedł Tolley, dyrektor banku, oraz parę innych osób. Lew czuł się w obowiązku odgrywać dżentelmena. Ostatecznie, kiedy ożeni się z Perfy, będą przyjmować u siebie gości właśnie tak, w angielskim stylu. Perfy na pewno tego po nim oczekuje. Perspektywa ta zbyt go nie zachwyciła, ale zgromadzą przecież towarzystwo w swoim wieku, ludzi, których będą lubić i wśród których będą się dobrze czuli.

Tuż po dziesiątej, kiedy zaczął się już zbierać do wyjścia, rozległo się głośnie bębnienie do kuchennych drzwi.

- Ja otworzę - rzekł Tolley. - Zostań tu, Alice. W dzisiejszych czasach nigdy nic nie wiadomo.

W pokoju zapadła pełna wyczekiwania cisza, która trwała, dopóki Tolley nie wrócił.

- To do ciebie - zwrócił się do Cavoura. - Jakiś Chińczyk chce się z tobą widzieć.

Był to Hong. Hong we łzach! Przemoczony na wylot, załamywał ręce, kłaniał się i przepraszał.

- Co się u licha stało? - spytał Lew.

- Och, kapitanie! Straszne nieszczęście. Wybacz, że przynoszę ci tragiczną wieść. Staraliśmy się, ale ich było zbyt wielu.

- O co chodzi?

Hong szlochał histerycznie. Lew potrząsnął nim zniecierpliwiony.

- Co się stało? Odpowiadaj!

- Dżonka. Nasza "Perfection", kapitanie. Spalili ją! Te białe diabły przyszły, rzuciły na pokład pochodnie i zapalone szmaty. Zbyt wielu ich było, kapitanie. Zbyt wielu! Spalili nasz statek!

Lew nie wierzył własnym uszom.

- Podpalili dżonkę? Jak duże są zniszczenia?

- Za duże, kapitanie. Wszystko spalone. Koniec. Spłonęła aż do linii wodnej. Nasza piękna "Perfection"! - Hong rozszołał się od nowa.

Lew zeszytniał z wściekłości. Nie był w stanie zmusić się do powrotu pomiędzy tych salonowców, którzy i tak go nie rozumieją. Hong miał nadpaloną odzież i rozległe oparzenia na ramionach, lecz Lew mimo to wciąż nie wierzył, musiał zobaczyć to na własne oczy.

- Chodźmy - rzucił, biegnąc w kierunku nabrzeża.

Hong był zażenowany, że czcigodny kapitan zniżył się aż do przeprosin. Znosił zabiegi angielskiego lekarza z tak nieszczęśliwą miną, że Lew omal nie parsknął śmiechem. Dżonka jednak rzeczywiście spłonęła aż do linii wodnej. Górnicy przeprowadzili dobrze zorganizowany atak na najbardziej rzucający się w oczy chiński statek w porcie, i choć marynarze ofiarnie walczyli z ogniem, w końcu nie mieli wyjścia, jak tylko wyskoczyć za burtę.

- Czy nikt nie zginął? - spytał doktor.

- Nie - odparł Lew, wciąż zawstydzony, że zlekceważył obrażenia Honga, pędząc jak szalony do portu. Biedaczysko miał poparzone ramiona, klatkę piersiową i szyję. Spoczywał teraz owinięty w bandażę jak mumia.

- Powinien iść do szpitala - mruknął doktor. - Obawiam się jednak, że z tym byłyby problemy.

Lew skinął głową. Wiedział, że w szpitalu nie przyjmą Chińczyka.

- Zawiozę go do jego rodaków - rzekł. - Oni się nim zaopiekują. Co z pozostałymi? - Załoga zbита w kupkę na molo wyglądała jak stadko zmokłych kur.

- Na szczęście tylko lekkie oparzenia. Przykro mi z powodu pańskiego statku. Często mu się przyglądałem. Miał bardzo szlachetną linię.

- Już po nim - mruknął Lew. - Będę musiał przeholować go na wrakowisko po drugiej stronie zatoki.

- I co potem?

- Załodze znajdę miejsca na innych statkach. To nie będzie trudne. Wielu marynarzy ucieka z pokładu w tutejszych portach i wyrusza na tereny złotonośne. Skutkiem tego prawie żadna jednostka udająca się na północ nie wypływa z pełną obsadą.

- A pan?

- Równie dobrze mogę sam udać się nad Cape i osobiście powiadomić właściciela statku o katastrofie.

Łatwiej było mu zwrócić się do China Yinga, z wielmożnym Cheongiem sprawa byłaby z pewnością bardziej skomplikowana. Statek został wysoko ubezpieczony, Cheong więc nie poniesie straty. Ying będzie musiał wykupić miejsca na innym statku, żeby przewieźć swoich ludzi i złoto z powrotem do Chin. Za to Lew wylądował na zielonej trawce. Wypłacano mu dotychczas połowę honorarium. O reszcie mógł zapomnieć, skoro stracił statek! A to dranie! Miejscowy sierżant policji, niejaki Ron Donnelly, został zawezwany na oględziny tłącego się jeszcze wraku, lecz nisko oceniał szanse wykrycia podpalaczy.

- Nawet jeśli pan ich znajdzie - ostrzegł - będą mieli żelazne alibi, dam głowę. Naprawdę niezmiernie mi przykro, kapitanie, ale dopóki trwa gorączka złota, rzucamy tylko grochem o ścianę, próbując tu utrzymać prawo i porządek. Zresztą jest nas raptem dwóch: ja i mój zastępca. Znamy tylko drobną część górników, z których połowa i tak posługuje się fałszywymi nazwiskami.

- Mimo to poproszę pana o poświadczony przez rejenta opis wypadku. Właściciel będzie go potrzebował, ubiegając się o odszkodowanie.

- Naturalnie; to żaden problem.

Słońce wschodziło właśnie długim ognistym rąbkiem daleko nad morzem: miało się wrażenie, że maleńkie płomyki tańczą wzdłuż horyzontu.

- Dziś znów będzie upał - zauważył Donnelly. - Nawet my niecierpliwie wyglądamy już deszczu, a na odkrywkach pewnie zebrzą o wodę.

- Dlaczego? - Lew był zaskoczony. - Czyż nie kopią wzdłuż rzeki?

- Nie wszyscy. Wiele jej dopływów też jest złotonośne, a te wysychają. Górnicy nie mogą wypłukiwać złota z piasku bez dużej ilości wody, więc zwalają go na kupę i czekają na deszcz. - Policjant parsknął grzmiącym, zaraźliwym śmiechem. - A potem, kapitanie, będą krzyżeć, że idzie potop. Kiedy w tym pasie lasów pada, to leje jak diabli! Nigdzie nie widziałem czegoś podobnego. Czy dobrze słyszę, że pan się tam wybiera?

- Tak.

- Wobec tego proszę przyjąć moją radę; niech pan wsiądzie na statek do Townsville i dopiero stamtąd ruszy konno. To łatwiejsza trasa. Kiedy ów fakt nareszcie dotrze do tych wszystkich tłuków, będziemy mieli Bowen z powrotem dla siebie. Miejscowe sklepy i gospody trochę na tym ucierpią, ale ja chętnie sobie odpocznę. - To rzekłszy, Donnelly odmaszerował, pogwizdując.

Lew spojrział posępnie na resztki dżonki.

- Cholerne dranie! - powtórzył. Pozostało mu kilka funtów w kieszeni i odzież, którą miał na grzbiecie. I to wszystko. Może odpracować rejs do Townsville, potem jednak musi kupić konia i żywność na drogę. Tymczasem jest bankrutem! Skąd tu wytrzasnąć pieniądze? W mieście byli co prawda chińscy lichwiarze, ale pobierali horrendalny procent i czepiali się człowieka jak wszy.

Do końca dnia udało mu się rozwiązać kwestię załogi, wysłać sprawozdanie o losie dżonki wraz z kopią policyjnego raportu do Makau oraz załatwić w Izbie Celnej holowanie wraku. Następnie zjadł obiad w hotelu "Grand View", nasłuchując miejscowych plotek, nie udało mu się wszakże ustalić, kto był odpowiedzialny za podłożenie ognia. Ruszył bez celu przed siebie główną ulicą, Herbert Street, i nagle przypomniał mu się Watlington. Zawsze chępnym był, ile to zarabia na handlu nieruchomościami. Mógłby pożyczyć mu trochę pieniędzy. Prosić Herberta - cóż za upadek! W tej sytuacji jednali Lew nie mógł sobie pozwolić na grymasy.

Zastał Herberta w biurze, gdzie ten usiłował przekonać starzawego Chińczyka, że powinien raczej wykupić cały przydział ziemi niż męczyć się na maleńkiej działce. Lew uznał to za łut szczęścia. Odezwał się do klienta po hińsku.

- Co mu powiedziałeś? - zainteresował się Herbert.

- Żeby niczego nie kupował, dopóki nie zweryfikuję dla niego tej transakcji.

- Masz tupet!

- To interes, Herbie. Potrzeba mi stu funtów. - Zastanawiał się, ile Chińczyk rozumie po angielsku. Pewnie o wiele więcej, niż daje po sobie poznać. Nie szkodzi, i tak by się nie spodziewał, że Lew zechce pośredniczyć za darmo.

- Na mnie nie patrz - odparował Herbert. - Słyszałem, że spalili twoją dżonkę. Myślałem, że załoga została odpowiednio wyszkolona, żeby bronić statku.

- Miała strzelać? Tu, w Bowen?

- Oczywiście.

- Gdyby którykolwiek z nich postrzelił białego człowieka, nawet bandytę, zawisłby na szubienicy.

- Ale być może uratowałiby statek.

- Wypchaj się, Herbercie. Przeklęta łajba poszła na dno i na tym koniec. Co z naszym tu obecnym przyjacielem?

- Nie dam ci setki, więc równie dobrze możesz już sobie iść.

Lew ponownie zamienił kilka zdań z Chińczykiem, po czym odwrócił się do Herberta.

- Jesteś cholernym głupcem. Ten facet chce się tutaj osiedlić. Stać go na kilka sporych posiadłości, nie tylko tę malutką farmę. Ma wielu synów. Ale nie kupi nawet cała kwadratowej ziemi bez mojej rekomendacji, kolego.

- Dziesięć funtów - rzekł Herbert.

- Daj mi dziesięć i pożycz dziewięćdziesiąt, bo inaczej powiem mu, że jesteś największym oszustem w tym mieście, i nigdy więcej nie pokaże się u ciebie żaden Chińczyk.

- Na co ci tyle pieniędzy?

- Wyjeżdżam.

- W normalnych okolicznościach nie byłaby to zła wiadomość, ale jak odzyskam forszę?

- Zadbam o to. Masz moje słowo.

- To niezbyt wiele - wzruszył ramionami Herbert. - Dobra, pogadaj z tym żółtkiem.

Chińczyk cierpliwie przeczekał tę wymianę zdań z kamienną twarzą.

- Twoi synowie mogą się spodziewać pomyślnego losu, jeżeli zakupią tutaj ziemię - rzekł do niego Lew. - To o wiele mądrzejsza i bardziej dalekowzrocza inwestycja niż pościg za złotem. Plony waszej pracy zyskają wam szacunek białych ludzi i dzięki temu nie będziecie narażeni na ataki tutejszego elementu przestępczego.

- To, co mówisz, jest bez wątpienia prawdą - odparł stary. - Naszą ojczyznę nęka głód i bandyci. Ta kraina natomiast zaiste płynie mlekiem i miodem. Osadzę tu synów, a potem wrócę do Chin, by tam umrzeć.

Lew obrócił się do Herberta.

- Ten dzentelmen gotów jest kupić.

- Dobrze. Powiedz mu, że jutro osobiście pokażę mu parcelę.

Lew przetłumaczył, a Chińczyk uklonił się na znak zgody. Wychodząc, skłonił się jeszcze raz przed Cavourem.

- Dziękuję ci, panie, za twoją radę. - Nie zmieniając wyrazu twarzy, dodał: - Pożyczka w kwocie stu funtów dla dzentelmena takiego jak pan to żaden problem, jeśli pan sobie tego życzy.

Lew uśmiechnął się szeroko.

- Będę o tym pamiętał - odparł.

Odprowadził Herberta do banku, wciąż spierając się z nim o wysokość pożyczki. W końcu Herbert zgodził się wyjąć dla niego z konta pięćdziesiąt funtów, w banku wszakże pojawił się pewien szkopał. Sam Tolley wyszedł ze swojego kantorku.

- Herbercie, nie możesz pobrać pieniędzy z tego konta. Zostało zlikwidowane.

- Jak to zlikwidowane? To niemożliwe! Przecież to jest rachunek mojej firmy!

- Zgadza się, tej, którą masz do spółki z panną Molloy.

- I na koncie jest w tej chwili prawie tysiąc funtów, z czego połowa należy do mnie.

- Będziesz musiał to omówić z panną Molloy, Herbercie. Wczoraj wycofała z konta całą gotówkę. I sprzedała biuro handlu nieruchomościami.

- Co takiego? - Herbert był ogłuszony. - Będę to musiał wyjaśnić.

- Najpierw musisz ją znaleźć. Sprzedała także swój lokal i wyjechała z Bowen. - Tolley zerknął na Cavoura i pokręcił głową. - Kiedy burdele zaczynają się zwijać, to znak, że dobre czasy się skończyły. Smutne. Mieliśmy nadzieję, że Bowen stanie się stolicą Północnego Queensland.

Herbert złapał go za klapy surduta.

- Pozwoliłeś jej to zrobić? Miałbym ochotę rozerwać cię na strzępy! Ta suka okradła mnie do ostatniego pensa! Przeklęta stara zdzira!

Lew musiał wezwać na pomoc Tolleya, żeby wywlec szamoczącego się i wierzgającego Herberta z banku. Kiedy drzwi zatrzasnęły się za nimi, Lew zgiął się wpół ze śmiechu.

- Witaj w klubie, Herbie, stary druhu - rzekł. - Chodźmy poszukać twojego chińskiego klienta, obu nam będzie teraz potrzebny. - Co ja mam zrobić?! - wykrzyknął Herbert.

- Nie mam pojęcia - odparł Lew. - Jutro odpływa stąd statek do Townsville i ja się nim wybieram.

- Muszę stąd wyjechać - mamrotał Herbert. - Mam długi karciane i nie zapłaciłem w tym miesiącu za hotel. Dobry Boże, właśnie wtedy, kiedy wszystko szło tak dobrze... - Przystanął i spojrzał na Lewisa. - Jutro, powiadasz? Jadę z tobą.

- O, nie, tylko nie to.

- Jeśli życzę sobie odpłynąć takim a nie innym statkiem, nie powstrzymasz mnie - oznajmił Herbert wyniośle, Lew jednak wciąż trząsł się ze śmiechu.

- Nigdy się nie przyznałeś, kolego, że masz taką szykowną współniczkę! Ni mniej, ni więcej, tylko Głorię Molloy, naszą irlandzką królową piękności! Słyszałem, że pobiera opłaty za wejście i za wyjście! Obłupiała i ciebie, stary, posłała z torbami! Ciekawe, komu też sprzedała twoją firmę?

- Nie wiem. Słuchaj, Cavour, mógłbyś delikatnie zasugerować żółtkom, że nowy właściciel to oszust.

- Jasne, czego się nie robi dla prawdziwego przyjaciela. Ach, Middletonowie będą zachwyceni, kiedy się dowiedzą o twoich interesach z zacną Głorią Molloy.

- Nie waż się!

- A dlaczegoż by nie?

- Nie jesteś dżentelmenem, Cavour.

- Jasne że nie!

Lew łatwo uzyskał pożyczkę od pana Fung Wu, Herbert musiał wszakże zastawić swój nowy złoty zegarek z dewizką. Następnie poszli obaj pożegnać się z Alice Middleton.

- Byłam zdruzgotana, kiedy usłyszałam, co stało się z pańskim pięknym statkiem, Lew - rzekła. - Toż to zbrodnia! Że też niewinni ludzie muszą cierpieć z powodu tych bandziorów. Pan Chin będzie zrozpaczony.

- Obawiam się, że tak - przyznał Lew. - Pozostawił na statku większość swoich rzeczy: książki, kufry z odzieżą i piękną porcelaną. Wszystko uległo zniszczeniu.

- Wyjeżdża pan?

- Tylko na jakiś czas. Zobaczę, co zadecyduje Ying, a potem wrócę. Do tego czasu Jack i Perfy będą pewnie już z powrotem w domu.

- Mam nadzieję. - Alice uśmiechnęła się z czułością. - Perfy to słomiany ogień. Ta wyprawa jest dla niej wielką przygodą, podróżowała w życiu tylko raz, do Bowen. Kiedy jednak już się tam rozejrzy, myślę, że będzie rada wrócić do domu.

Lew poczuł chłód. Co mógł teraz zaoferować Perfy? Ona jest kobietą zamożną, a on nie ma nic. Po powrocie powinien udać się do Sydney, które rzekomo jest teraz największym portem południowego Pacyfiku. Może tam dostałby jakiś statek. Akurat, sarknął w duchu, prędzej świnia pofrunie! Więcej szans ma u Chińczyków. Zna zasady ich działania, a ponadto chińska magnateria, bankierzy i kupcy stanowią olbrzymią potęgę finansową. Australijczycy stykają się tylko z lokajami, nie mają pojęcia o bajecznych bogactwach i luksusie, będącym czymś zupełnie zwyczajnym dla wysoko urodzonych Chińczyków. Odkąd Perfy wyjechała, Lew przestał oglądać Bowen przez różową szybkę. Minie wiek, może nawet więcej, zanim kraj ten stanie się cywilizowany w stopniu oczywistym dla wielu Chińczyków. I pomyśleć, że mieszkańcy tej kolonii pogardzają "żółtkami"! Dawno temu Lew marzył, że gdy porzuci już żeglugę, będzie miał dom wysoko na wzgórzu, nad portem w Hongkongu. Było to dla niego najcudowniejsze miejsce, w którym zawsze chciał zamieszkać i patrzeć stamtąd na morze. Znow opadła go tęsknota za Hongkongiem. Powinien był wyjaśnić to Perfy. Nienawidził tego kraju, nie byłby w stanie żyć z dala od morza. Ludzie dzielili się dlań na wilki morskie i szczury lądowe. Także w Chinach uznawano ów podział na ludzi morza i ludzi lądu, był on równie ważny jak data urodzenia, dobra wróżba czy linia zacnych przodków, sięgająca wiele pokoleń wstecz. Czy Perfy jest człowiekiem lądu? Jeśli tak, ich związek nie ma przed sobą przyszłości.

Herbert raczył właśnie Alice wyssaną z palca bajeczką o przyczynach swojego wyjazdu z Bowen. Townsville przeżywa rozkwit, perorował, człowiek przedsiębiorczy powinien trzymać rękę na pulsie, a handel nieruchomościami w nowych miastach to zyskowny interes.

- Będziesz się tym zajmował sam, Herbercie, czy znajdziesz sobie w Townsville wspólnika? - wtrącił Lew ze złośliwym uśmiechem.

Herbert skrzywił się.

- Spółki to zawracanie głowy - rzekł wyniośle.

- Święta prawda - roześmiał się Lew.

Nie napomknął o zmianie, jaka w nim zaszła, o chęci osiedlenia się w Hongkongu. Nawet zamiar, by odwiedzić Anglię, ostygł. Lew tęsknił za wyzwaniem, jakich nie szczydziło wyrafinowane, pełne humoru i skomplikowane chińskie społeczeństwo.

Część siódma

Na ranczo Caravale zapanował bezruch. Popołudniową ciszę mąciło tylko bzyczenie wielkich mięsnych much, zachęcanych przez upał do penetracji otwartych okien.

Diamond przeganiała je ze złością. W drucianej siatce, mającej zatrzymywać insekty, ziała dziura; zatkała ją szmatą. Niewielki kamienny barak, służący ongiś za mleczarnię, był chłodny, ale czuła się w nim jak w więziennej celi. Aborygenów w Caravale obowiązywało tyle zakazów i nakazów, że nie była pewna, co mogłaby robić. Przeważnie więc po prostu siedziała u siebie, czekając na polecenia, których nikt jej nie wydawał.

Między drugą a czwartą po południu pani Buchanan zwykle uciniała sobie drzemkę i wymagała, by wokół domu panowała wtedy absolutna cisza. Zapewne, gdyby miała choć cień takiej szansy, wystrzelałaby ptactwo, które zakłócało jej spokój. Tego wszakże popołudnia nawet ptaki były zajęte gdzie indziej. Diamond czuła, że powinna zajrzeć do Perfy, lecz nie dostała na to zgody.

- Nie martw się o pannę Middleton - rzekła Mae. - Zaopiekuję się nią, niczego jej nie braknie. Przykro mi, Diamond, sama wiesz, że dziewczęta wychodzą natychmiast po pracy. Pani B. nie życzy sobie, żeby czarna służba przebywała w domu, w czasie gdy ona odpoczywa.

- Nie będę jej przeszkadzać. Usiądę cicho przy paniencie Perfy, na wypadek gdyby czegoś potrzebowała.

- Nie - ucięła stanowczo Mae. - Pani B. nie widzi dla ciebie zajęcia. Naprawdę mamy wystarczająco dużo służby.

- Mogłabym usługiwać paniencie, dbać o jej ubrania.

- Widzę, że nie rozumiesz, więc powiem ci to bez ogródek: masz zakaz wstępu do domu i koniec. Osobiście nie mam nic przeciwko tobie, wydajesz się rozsądna i odpowiedzialna, ale dla twoich zalet nie poświęcę posady. Jeśli Cornelia Buchanan mówi mi: "skacz", skaczę. Dla mnie praca tutaj to istny dar niebios. Nie mam gdzie się podziać, a kobieta w moim wieku... Tak więc jestem gospodynią, robię, co pani każe, i pilnuję własnego nosa. Tobie radzę to samo. Korzystaj ze swobody, idź sobie na spacer czy gdzie tam chcesz, bylebyś tylko przestała się ciągle kręcić wokół domu. Nic na tym nie zyskasz, możesz najwyżej stracić.

Perfy martwiła się o matkę i pilno jej było wracać do Bowen, Ben jednak zapewnił ją, że pani Middleton została powiadomiona o wypadku - tak delikatnie, jak to tylko możliwe. Zajęli się tym państwo Tolley. Biedna, myślała Diamond, na pewno jest

załamana. Zupełnie jak pani Beckman. Cóż, Alice przynajmniej ma Perfy i pod dostatkiem pieniędzy.

Jack Middleton został pochowany w Caravale. Ostatnią usługę oddał mu doktor Palfreyman. Perfy, co zrozumiałe, była jeszcze w szoku, ale dzielnie wytrzymała do końca pogrzebu. Miała na sobie najlepszą granatową taftową sukienkę z dopasowanym stanikiem i szeroką marszczoną spódnicą, elegancko odprasowaną przez Diamond. Mae znalazła dla niej czarną woalkę, spod ciemnej mgielki złote włosy Perfy spływały luźną falą na ramiona.

Mały, ogrodzony białym płotkiem cmentarz mieścił się na zboczu nad rzeką. Oślaniały go dwa krzepkie rozłożyste buki. Był tam pochowany Edward Buchanan, zapewne ojciec Bena. Pośród innych grobów jeden, co dziwne, oznaczony był tylko gładkim krzyżem bez nazwiska.

Diamond spostrzegła z ulgą, że Perfy nie zwróciła uwagi na nowy marmurowy pomnik, stojący na lewo od bramy. Był on poświęcony pamięci Darcy'ego, którego pochowano w Brisbane. Zaraz po pogrzebie Perfy zemdląła i Diamond pozwolono odprowadzić ją do domu.

Doktor Palfreyman był bardzo uprzejmy i troskliwy. Mieszkał w Charters Towers, lecz nie spędzał tam zbyt wiele czasu. Objeżdżał po kolei wszystkie rancza, zwykle wszakże wiadomo było, gdzie go szukać. Miejscowy "telegraf bez drutu", jak określił to pastor, sprawiał, że wiadomości rozchodziły się lotem błyskawicy.

Diamond słyszała, jak mówił do pani Buchanan:

- Dziewczyna nie wygląda dobrze.

- Oczywiście że nie! - odparła Cornelia. - Czego pan oczekuje? Trzeba czasu, żeby doszła do siebie.

- Zajrzę znów do niej za kilka dni. Proszę ją tu zatrzymać. Wiem, że martwi się o matkę, ale nie jest jeszcze w stanie podróżować.

- Nigdzie nie znajdzie lepszego miejsca na rekonwalescencję niż Caravale - oznajmiła dumnie pani Buchanan.

- Naturalnie - mruknął lakonicznie doktor.

Diamond była innego zdania. W tym domu wyczuwało się stałe napięcie, które nieco słabło, gdy w pobliżu kręcili się pracownicy rancza. Zwłaszcza rano gwar i ruch rozpraszał jej obawy, mężczyźni pokrzykiwali i żartowali, ustawiając się w kolejce po śniadanie, potem dosiadali koni i ruszali do pracy. Diamond z utęsknieniem czekała wieczora, kiedy zjeżdżali się z powrotem. Miała uczucie, jak gdyby ona i Perfy były bezpieczniejsze w obecności wszystkich tych nieznanym ludzi.

Stan Perfy się nie poprawiał. Po powrocie Palfreyman stwierdził u niej żółtą febrę. Była bardzo słaba i doskwierały jej potworne bóle głowy, oprócz tego coraz bardziej chudła. I właśnie teraz, kiedy naprawdę potrzebowała Diamond, tej zakazano wstępu do domu.

- Jeszcze zobaczymy! - rzekła ze złością i pobiegła boso przez zakurzony majdan do sadu. Obeszła dom i cicho wspięła się na werandę pod otwartym, sięgającym podłogi oknem Perfy. Siatkowe firanki zwisały smętnie, jakby im także dokuczał upał. Perfy leżała nieruchomo na łóżku, przykryta tylko prześcieradłem.

- Gorąco mi - poskarżyła się głosem tak słabym, jakby mówienie sprawiało jej zbyt wielki wysiłek.

Diamond położyła jej rękę na czole.

- Owszem, ma panienka gorączkę. A poza tym dziś jest straszna duchota.

Zmoczyła ściereczkę w wodzie z dzbanka na umywalni i otarła twarz Perfy. Potem zauważyła na stole butelkę białego octu. Wiedziała, że biali używają octu do chłodzenia pacjentów w gorączce, toteż wlała pół butelki do miski z wodą i zabrała się do roboty. Obmyła całe ciało Perfy. Pani Beckman też tak robiła, kiedy Diamond była chora. Później wytarła Perfy do sucha ręcznikiem. Dziewczyna poczuła się nieco lepiej.

- Proszę, połóż mi mokry okład na oczach - rzekła. - Głowa mi pęka. Biedna mama, zupełnie sama w Bowen. Jak myślisz, czy już wie o tatusiu?

- Ona nie jest sama, panienko Perfy. Ma przyjaciół i sąsiadów. Zaopiekują się nią. Pani Tolley na pewno jej pomoże. Proszę też nie zapominać o Herbercie i kapitanie Cavourze.

- Gdybym się nie uparła, żeby tu przyjechać, tatuś wciąż by żył! - załkała Perfy.

- Proszę tak nie mówić. Pan Middleton sam chciał tu przyjechać. To nie wina panienki, ot, po prostu wola Boża.

Diamond powtórzyła to, co mówiły białe kobiety, choć nie bardzo rozumiała, co ma z tym wspólnego Bóg. Już prędzej złe duchy, a tych było tu mnóstwo.

Kiedy Perfy zapadła w nieco zdrowszy sen, Diamond wymknęła się z powrotem na werandę. Nagle podskoczyła ze strachu: czyjaś dłoń spadła jej na ramię. Pani Buchanan!

- Czego tutaj szukasz, ty czarna wywłoko! - Cornelia uniosła rękę, by uderzyć Diamond, tak jak nieraz karciła aborygeńskie służące. Diamond jednak wyrwała się. Była wyższa od Cornelii.

- Nie waż się mnie tknąć! - syknęła stłumionym głosem, nie chcąc obudzić Perfy. - Nawet nie próbuj!

Pani Buchanan cofnęła się odruchowo, nie przygotowana na taką reakcję, wkrótce jednak odzyskała rezon.

- Wynoś się i więcej się tu nie pokazuj! Nie wiem, co z ciebie za jedna, ale w moim domu nie będziesz rządzić. Trzymaj się z dala, bo inaczej każę cię wyrzucić z rancza!

- Jestem pokojówką panny Middleton - oświadczyła Diamond, przypominając sobie, że połowa rancza należy do Perfy. - Panienska oczekuje, że będę się nią zajmować. - Nie chcąc przedłużać sprzeczki, ruszyła w stronę schodków, lecz pani Buchanan poszła za nią.

- Będziesz robić, co mówię - wycedziła szyderczo - bo inaczej wyrzucę stąd was obie. Ją także! I co ty na to? To jest prywatny dom, nie szpital!

Diamond uciekła. Cóż to za kobieta? Nie może tego zrobić! Perfy jest naprawdę ciężko chora.

Wpadła do mleczarni i usiadła, dygocząc jak małe przestraszone zwierzątko w swojej norze. Co ona najlepszego zrobiła? Być może jej zachowanie przysporzy tylko Perfy kłopotów. Nie wiedziała, jak postępować z tymi dziwnymi ludźmi. Może powinna przeprosić... Czy wtedy pozwolą jej opiekować się Perfy? Mało prawdopodobne. Lepiej już udać się do obozu miejscowych Aborygenów i tam spytać o radę.

Jak dotąd zdołała zamienić ledwie parę słów z tubylczą służbą: pokojówkami, ogrodnikami, stajennymi, mimo że jadła z nimi posiłki, przycupnięta pod długą wiatą. Nie czuła się tym pokrzywdzona, miała okazję ich poznać. To jednak, co dawano im do jedzenia, przyprawiało ją o mdłości. Wielkie gary zawierały przemieszane resztki posiłków: zupę, kości, sos, skrawki mięsa, nawet słodki krem, wszystko razem. Na tacach leżał czerstwy, stęchły chleb, wokół kłębiły się roje much, choć nikomu to widać nie przeszkadzało. Niedojedzone zlewki służba zabierała ze sobą do obozu. Diamond odkryła, że aborygeńskim rodzinom wydawano racje mąki, herbaty i cukru, ale te pomyje uważane były za wielki rarytas.

Na szczęście wieczorami Mae wносиła dla niej na tacy trochę przyzwoitego jedła. Diamond brała je do swojego pokoju i to był jej jedyny posiłek w ciągu dnia. W szopie skubała tylko okruchy chleba, co zresztą zyskało jej wdzięczność pozostałych biesiadników.

Należeli do plemienia Ilba, mówili nieznanym jej językiem i tak samo jak inni nigdy nie słyszeli o Irukandjich. Domowa służba znała angielski na tyle, by móc się porozumieć, jak było z resztą, tego nie udało jej się ustalić. Mężczyźni w ogóle nie odzywali się do niej, najwyraźniej nie wiedząc, jak mają ją traktować. Dziewczęta z początku czuły się onieśmielone; ponieważ jednak intrygowała je odzież i wymowa Diamond, po pewnym czasie pokonały lęk. Okazało się wówczas, że odnoszą się do niej z mniejszą rezerwą, a

może po prostu nie tak wielką zawiścią, jak Aborygeni z Brisbane. Mimo to nie chciały odpowiadać na pytania: ani dotyczące Caravale, ani Buchananów. Wolały rozmawiać o swoich własnych sprawach, dzieciach, mężach, zwierzętach i garnkach. Chichotały i trącały się wzajemnie, wydawały się zadowolone z losu i nie miały zamiaru pozwolić, by ta nowa dziewczyna wprowadziła zamęt w ich życie.

Odczekała chwilę, słysząc, że kuchenne służące nadchodzą ścieżką od strony obozu. Zawsze szczebiotały niczym stadko szpaków, aż do chwili kiedy przekraczały próg domu. Wewnątrz nie wolno im było rozmawiać.

- Mary! - zawołała Diamond do najstarszej z trójki. Pozostałe dwie nazywały się Daisy i Poppy. Wszędzie, gdzie dotąd zdarzyło jej się trafić, aborygeńskim dziewczętom nadawano mniej więcej takie same imiona. Chłopcom powodziło się o wiele gorzej: nosili głupie, obraźliwe przydomki jak Jumbo, Kołek, czy Gałgan.

- Czego chcesz, pani? - odwrzasnęła Mary. Diamond westchnęła. Nie mogła ich odzwyczaić od nazywania jej panią.

- Czy mogłabym się przejść do waszego obozu? - zapytała.

Mary wzruszyła ramionami.

- Chętnie przywitałabym się z twoją mamą - dodała Diamond.

Mary zachichotała.

- Biała mowa za trudna dla moja mama.

- Moja mama mówi bardzo dobrze. - Poppy dumnie wysunęła się do przodu.

- To świetnie! Jak jej na imię?

- Jannali. Ty dać jej prezent?

- Oczywiście!

- Jaki?

Diamond uśmiechnęła się szeroko.

- To niespodzianka. Dowiesz się później.

Wróciła do siebie i wyjęła ładny czerwony szal, który zwykle upinała na głowie. Miała nadzieję, że spodoba się Jannali. Lepiej było znać kogoś w obozie, niż zapuszczać się tam bez zaproszenia, niczym złodziejasek.

Przeszła ponad milę drogą wiodącą przez suchy, twardy skrub. Rozpalona ziemia parzyła ją w stopy. Był listopad, pora upałów trwała już od dawna, w butach i pończochach czułaby się więc jeszcze gorzej. W końcu natrafiła na grupkę dzieci, pluskających się w rzece tuż przy brzegu. Zsunęła się do nich i zanurzyła w chłodnej wodzie obolałe stopy.

- Gdzie mogę znaleźć Jannali? - zapytała.

Dwaj malcy natychmiast skoczyli jej na pomoc. Ustawili się po obu jej bokach niczym dumna wojskowa eskorta. Ciekawe, gdzie też mogli widzieć żołnierzy.

Po drodze mijali grupki Aborygenów, którzy odpoczywali w skąym cieniu albo snuli się wokół wypalonych kręgów ognisk. Kilka kobiet siedziało na ziemi przed szalasem, zręcznie splatając sakwy z liści pandanu, ich palce śmigwały bez przerwy nawet wówczas, gdy kobiety podniosły głowy, by przyrzeć się nadchodzącej Diamond. Nagie niemowlę odpełzło śmiało od matki, badając kolejny jard szerokiego świata. Psy poszczekiwały, oswojone kangurzątko trwożnie czmychnęło w podskokach. Eskortujący Diamond chłopcy skoczyli pomiędzy półnagie kobiety niczym dwa rozbawione skowronki.

- To Jannali! - pisnęli, rzucając się na szyję kobiety w średnim wieku, która uśmiechnęła się do Diamond.

- Ty nowa służąca?

- Poniekąd. Przyjechałam w gości.

- A! W gości! - Najwyraźniej wyjaśniało to kwestię, która nie dawała im spokoju.

- Czy mogę usiąść? - zapytała Diamond.

Kobieta wzruszyła ramionami, Diamond usiadła więc obok niej, krzyżując nogi, i podała jej szal.

Jannali była zachwycona. Wszystkie kobiety oglądały kolejno podarunek wśród westchnień podziwu, w końcu Jannali zawiązała go sobie na szyi.

- Czego chce? - zapytała podejrzliwie.

- Niczego. To prezent dla mamy Poppy.

- Poppy dobra dziewczyna - uśmiechnęła się Jannali. - Ty jakie imię?

- Diamond.

Jannali z niesmakiem wypluła grudkę przeżutego tytoniu.

- To białe imię. Jak twoje czarne imię?

- Kagari.

- A, ładne!

Inne kobiety otoczyły je kręgiem, z zaciekawieniem przyglądały się nieznajomej, dawały jej do potrzymania swoje niemowlęta i paplały życzliwie we własnym języku, spodziewając się, że je zrozumie. Miażdżyły między kamieniami duże okrągłe orzechy, nazywane przez białych orzechami z Queensland, i wyluskiwały z nich smaczne jądra, którymi częstowały gości.

- To kraj Ilba? - zapytała Diamond.

- Tu wszędzie kraj Ilba - potwierdziła Jannali, zataczając ręką szeroki krąg.

- Lubicie mieszkać na ranczo?

Jannali wzruszyła ramionami.

- Czasem iść na wędrówkę - rzekła.

- Dlaczego wracacie?

- Tu nasze miejsce. Stare, święte miejsce. Tu umierać.

Diamond wiedziała, że dla jej pobratymców niezmiernie ważne jest to, by umierać na własnej, znanej ziemi. Dzięki temu duch mógł bez trudu znaleźć swoje miejsce we śnie. Poczula paskudny niepokój o własną duszę.

- My głodne - dodała Jannali. - Białe ludzie wszędzie zabijają czarne. My już nie polować. Tu bezpieczne.

Diamond uznała, że pora skierować rozmowę na rodzinę Buchananów.

- Pamiętacie Darcy'ego?

- Aaaach! - zawodziły kobiety unisono, ze łzami w oczach. Jannali westchnęła:

- Białe zabić i Darcy.

- Teraz szefem jest pan Ben, prawda?

Jannali zachichotała, pochyliła się i uszczypnęła Diamond w biust.

Ty uważa. Pan Ben lubi ładne czarne dziewczyny jak ty.

Diamond była zaskoczona i zażenowana. Od pogrzebu widziała Bena zaledwie kilka razy, on zaś chyba w ogóle jej nie zauważał. Istotnie, był bardzo pociągającym mężczyzną i ku swemu zdumieniu wiele o nim myślała, ale do czego piła Jannali? Czyżby Ben kochał się z którąś z czarnych dziewcząt? A może z kilkoma?

Kobiety zaśmiewały się teraz jak szalone.

- Ty lubi Ben? - Jannali żartobliwie trąciła ją w bok. - On robi dobrze, bardzo dobrze, ty zobaczy.

Diamond pośpiesznie zmieniła temat: -

- A pani? Pani Buchanan?

Śmiech urwał się jak ucięty nożem. Kobiety wymieniły spojrzenia. Znały to nazwisko.

- Ja myślę - poddała ostrożnie Diamond - że to niedobra kobieta.

Kobiety z powagą pokiwały głowami.

- Nie lubi mnie - dodała Diamond.

Wzniosły oczy ku niebu.

- Ty lepiej ucieka - oświadczyła Jannali. - Schowa się u twój lud.

- Nie wiem, gdzie jest mój lud - wyznała Diamond, a kobiety zdumione wytrzeszczyły na nią oczy, z niedowierzaniem potrząsając głowami.

Po drugiej stronie rzeki pasł się kangur. Diamond wskazała go i na próbę powiedziała we własnym języku:

- Gangarru.

Uśmiechnęły się cierpliwie, sądząc, że mówi po angielsku. Diamond uzmysłowiła sobie raptem, jak bardzo angielska nazwa tego zwierzęcia przypominała słowo używane przez Irukandji, nagle wydało jej się to bardzo ważne. Gdzie biali ludzie usłyszeli to słowo?

- Jak go nazywacie? - zapytała.

- Bundarra.

Zupełnie inaczej, pomyślała. W niczym nie przypomina "gangarru".

Jannali przeciągnęła się, wstała i ruszyła wzdłuż brzegu rzeki, odziana tylko w szal i przepaskę na biodrach. Jej ciemna natłuszczona skóra połyskiwała w słońcu. Diamond poszła za nią.

- Jaki ty totem?

- Kukabura - odparła Diamond, a Jannali skinęła głową z uznaniem.

- On wielki rybak, król między myśliwe. Słucha: ty iść na miejsce, gdzie białe grzebać swoje zmarłe. - Jannali wzdrygnęła się trwożnie na myśl o cmentarzu. - Nikt tobie tam nie zrobi nic złe.

- Po co mam tam iść?

- Słuchać. Iść tam i słuchać.

Rada ta nie wydawała się zbyt pomocna, mimo to Diamond przyrzekła, że pójdzie na cmentarz.

Zza zakrętu rzeki dobiegał szum, podobny do głosu morza. Wszystko przypominało jej morze.

- Co tak szumi? - zapytała.

- Woda, wielka woda spada - odparła Jannali. - Nie iść tam. Czarne tam nie idzie.

- Dlaczego? Czy to święte miejsce?

- Nie. Dobre miejsce. Za dobre dla czarne ludzkie, mówi pani. Tylko białe tam idzie, pływa i robi pik-nik. Ty wie, co to? - zapytała z dumą. - Pik-nik.

- Wiem - potwierdziła Diamond. - Świetnie znasz angielski, Jannali.

- Tak - mrugnęła do niej Jannali. - Pani zła, bije czarne ludzkie. Ty uważa na ta zła suka.

- I pan Ben jej na to pozwala?

Jannali wzruszyła ramionami, jak gdyby pytanie to było tak głupie, że nie zasługiwało na odpowiedź.

Po chwili Diamond pożegnała się i wróciła do majątku. Widziany z zewnątrz, robił wrażenie małego miasteczka. Niewielkie stado mlecznych krów truchtało w stronę koszar, spokojnie oczekując, iż służba spełni swój obowiązek i wydoi z nich po kilka pint mleka. Już na pierwszy rzut oka było widać, że nie jest to kraj mlecznego bydła. Wymiona były chude, nie napęczniałe jak u spasionych krów na wybrzeżu. Nikt też zbytnio nie dbał o te łagodne zwierzęta, co jakiś czas z labiryntu cieleńników i wygonów położonych po przeciwnej stronie tej miniaturowej osady słychać było żalosne ryki. Tak, tu rządziło wyniosłe, twardookie bydło mięsne, pasące się swobodnie na sawannie.

Gdy mijala zagrody dla koni, kowboje z zaciekawieniem odprowadzali ją wzrokiem. Dwaj mężczyźni z siodłami zarzuconymi na ramiona ruszyli za nią.

- Jak ci na imię, dziewczuszko?

- Diamond - odparła grzecznie.

- Strasznieś oblatana jak na dzikuskę, nie? - stwierdził jeden z nich, uśmiechając się czerwonymi wargami, widocznymi nawet poprzez gęstą brodę.

- Miło mi to słyszeć - bąknęła, zdecydowana nie obrażać się, choćby nie wiem co.

- Gdzie nauczyłaś się tak ładnie mówić? - spytał. - I ubierać się tak wytwornie?

- W Brisbane - odparła krótko i zdecydowała się zmienić temat. - Cały dzień spędziliście w terenie?

- Od świtu, niech to szlag.

- To ciężka praca?

- Czy ciężka? Trudno powiedzieć. Człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja. Ja tam nie narzekam.

Młodszy poganiacz wychylił się nieco, żeby na nią spojrzeć.

- Spędzaliśmy sztuki, które odbiły od stada - rzekł. - Niektóre z tych drani porobiły się strasznie chytre, człowiek mało sobie bebeczów nie wytrzęsie, zanim je połapie. Wpychają cię w chaszczę i tylko patrzą, kiedy zlecisz z konia. Można skręcić kark, jak się nie uważa.

- Brednie! - Jego towarzysz wypluł przeżuty kęs tytoniu.

- Dobrze ci mówić, Paddy! Twój koń umie się obrócić na pensowej monecie. Ta moja cholera jest ledwie ujeżdżona. Nie spuszczam go z oka, bo sam gotów zwiać.

Diamond była zadowolona. Przestali się nią interesować.

- No to odłóż z pensji i kup sobie porządnego wierzchowca - burknął Paddy. - Tom Mansfield ma parę na zbyciu. I lepiej zrób to szybko. Tak sobie rachuję, że wkrótce zaczniemy spęd. Deszcze przyjdą wcześniej w tym roku.

- Kto tak powiedział?

- Ja tak mówię, psiakrew! Czuję to w kościach. Co to teraz mamy, listopad? Stawiam dwa funciaki, że w grudniu zacznie padać.

- Ale tam, w grudniu! Prędeż już w lutym. Phi, skoro chcesz, zakład stoi.

- Dwa funty - powtórzył stanowczo Paddy. Zbliźali się do stajni.

- Przepraszam - wtrąciła Diamond. - Mam konia. Jak myślicie, czy mogłabym jutro się na nim przejechać? Chciałabym obejrzeć okolicę.

- Czemu nie? - zaśmiał się młodszy, ale Paddy spojrzał na nią z namysłem.

Nie ryzykowałbym na twoim miejscu - powiedział cicho.

- Nie zgubię się - argumentowała, lecz on potrząsnął głową.

- Nie o to chodzi. To byłby nierozważny krok.

Temat został zamknięty.

- A tak w ogóle, z jakiego jesteś plemienia? - zainteresował się po chwili.

- Irukandji.

- Pierwsze słyszę. Zjeździłem spory szmat tego kraju, ale o takich jeszcze się nie obilem.

Skręcili w stronę stajni, nie fatygując się nawet, by rzucić jej choćby zdawkowe "Na razie". Mimo to Diamond czuła się pokrzepiona. Przynajmniej zamienili z nią kilka słów.

Minęła kuźnię, wypełnioną donośnym dźwiękiem młota i kowadła, który zagłuszał pogwizdywania opartych o ścianę kowbojów. Skierowała się do kuchni.

- Gdzie byłaś? - powitała ją Mae. - Panna Middleton pytała o ciebie.

- Nie wolno mi wchodzić do domu - przypomniała jej Diamond.

- Wiem, ale dziś droga wolna. Pani B. wyjechała i na razie jej nie ma.

- Dokąd pojechała? - zapytała Diamond, mając nadzieję, że pani Buchanan wypadnie z dwukółki i skręci sobie kark.

- Krąży tu i ówdzie, pilnuje robót. Wiesz, pańskie oko... Pośpiesz się, bo lada chwila wróci.

Perfy wyglądała lepiej, choć wciąż była słaba, a jej skóra zachowała jeszcze żółtawy odcień.

- Czuję się okropnie - wyznała. - Strasznie mi głupio, że jestem dla wszystkich ciężarem.

- Nikt nie ma panience tego za złe - mruknęła Diamond.

- Wiem - odparła Perfy. - Pani Buchanan jest dla mnie taka dobra.

Diamond wytrzeszczyła oczy. Dobra? Pani Buchanan?

- Czyta mi na głos - ciągnęła Perfy - i sama przynosi mi zupę, bułeczki i herbatę. Na razie nie mogę jeszcze dużo jeść. Czy dobrze się tu czujesz, Diamond? Pani Buchanan mówi, że najlepiej będzie, jeśli zrobisz sobie wakacje, bo czarne służące byłyby zazdrosne, gdybyś podbierała im pracę.

- Jestem dobrze traktowana - powiedziała Diamond.

- Ben przyniósł mi te storczyki. - Perfy wskazała pęk gałązek obsypanych różowofioletowym kwieciem. - Tak mi wstyd, kiedy przychodzi, jestem żółta na twarzy jak dynia.

- Nieprawda, żółć już znika, oczy też ma panienska coraz bielsze. Wkrótce wyzdrowieje panienska całkowicie i będziemy mogli wrócić do domu.

- A, właśnie, o tym chciałam z tobą porozmawiać. Dostałam list od mamy. Chce, żebym tu została, dopóki zupełnie nie odzyskam sił. Sąsiedzi w Bowen są dla niej bardzo dobrzy, i choć wciąż oplakuje tatkę, najbardziej martwi się teraz o mnie. Biedna mama! Pani Buchanan odpisała w moim imieniu i dała jej słowo, że mnie nie wypuści, dopóki nie będę zdrowa jak rydz.

Diamond tępo pokiwała głową. Żałowała, że nie może wyjechać. Nigdy w życiu nie czuła się tak bezużyteczna. Miała dość siedzenia w pustej zatęchłej celi. Do dziś unosił się w niej obrzydliwy zapach zgliwiałych serów.

Tego wieczoru po kolacji wybrała się na spacer w stronę cmentarza. Podeszła do płotu, spoglądając na białe, lśniące w księżycowym świetle nagrobki. Pobliskie drzewa szeleściły cicho. Jack Middleton spoczywał teraz w pokoju, jego doczesne zmagania się skończyły. Diamond czuła jego obecność, która wlała w jej serce otuchę. Przeszła kawałek dalej i stanęła przed nie podpisanym krzyżem, zastanawiając się, kto pod nim leży.

Chyba stała dość długo, bo nagle zrobiło jej się chłodno. Zimny nocny wiatr zerwał się, gwizdząc na szczycie wzgórza. Odwróciła się, by odejść, kiedy w wietrze - albo w jej głowie, nie miała pewności - odezwał się gorączkowo, nagłaco jakiś głos. Ponownie spojrzała na drewniany krzyż. Głos był bezdźwięczny, lecz mimo to przenikliwy, ani męski, ani damski, pozbawiony jestestwa. Wykrzykiwał ze złością rzeczy zbyt przerażające, by ich słuchać. Diamond zakryła dłońmi uszy, głos wszakże nie ustawał, cedził niezrozumiałe groźby i wołał o zemstę. Na wskroś przesycony był złem.

Diamond uciekła. Zbiegła ze wzgórza na złamanie karku, przesadziła płot i pośpiesznie schroniła się w swoim pokoju, gdzie głos przycichł i wreszcie zamilkł. Cokolwiek kryło się na cmentarzu - Jannali musiała o tym wiedzieć - Diamond nie była jeszcze gotowa, by stawić temu czoło i wysłuchać, co głos ma jej do powiedzenia. Mimo to tej nocy spała spokojnie, a wcześniej rano obudziły ją słodkie dzwoneczki - głosy ptaków z buszu.

Była to niedziela. Najgorszy dzień tygodnia, dzień wolny od pracy. Mężczyźni zabawiali się, rzucając podkowy przed barakiem, grali w karty w cieniu, włóczyli się po rozgrzanych do białości majdanach z kapeluszami naciągniętymi na oczy, żeby nie raziło ich słońce. Tylko trzy czarne służące, chichocząc, wybiegały co chwilę z kuchni po wodę, po mleko, po warzywa do ogrodu. Wszystko to działo się pod czujnym okiem Mae, która gotowała niedzielny obiad dla "państwa": pani Buchanan i Bena, a zapewne także Perfy. W takie dni Diamond ogarniało wrażenie, że zewsząd śledzą ją czyjeś oczy, nie mając nic lepszego do roboty. Nie cierpiała wychodzić z pokoju w niedzielę, czuła się wtedy jak parias, niepotrzebna nikomu i niechciana. Dopiero głód zapędził ją do kuchennych drzwi, gdzie Mae wręczyła jej okrytą siatką tacę.

Pod wiatą krążyły tylko muchy, Diamond wróciła zatem do starej mleczarni i usiadła na schodku. Ze smakiem zjadła pieczeń i pudding z sosem. Chętnie napiłaby się jeszcze herbaty, lecz to oznaczało kolejną wyprawę do kuchni, więc zrezygnowała. Siedziała, wpatrzona w sad i stojące w pobliżu rzędy uli.

Upał był porażający, z pewnością przekraczał sto stopni Fahrenheita. Diamond z zazdrością myślała o Ilbach, którzy pewnie chłodzą się teraz w rzece. Nie ośmieliłaby się jednak do nich przyłączyć. Rozbieranie się przy czarnoskórych ludziach nie różniło się niczym od paradowania nago pośród białych; słowem, było nie dla niej. Postanowiła wybrać się na spacer w stronę wodospadu. Co z tego, że czarnym nie wolno tam chodzić? Powie, że nikt jej o tym nie uprzedził. Ktoś na pewno ją zobaczy... Diamond miała to w nosie. Musiała znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Rzadko widać ostatnio używana ścieżka szybko przegrywała walkę z rozrastającym się skrubem. Diamond przyszło na myśl, że Buchananie, a zwłaszcza Ben, niewiele rozrywek będą mieli w tym roku. Najpierw stracił jedyne brata, następnie okazało się, że Perfy przejęła pół jego majątku - dziwne, że jej nie znienawidził! - a teraz jeszcze jedna tragedia: śmierć Jacka Middletona. Ktoś musiał rzucić na Bena zły urok.

Na ścieżce znaczyły się szerokie koleiny. Diamond wyobraziła sobie sznur lekkich dwukólek, a w nich młode damy w białych sukienkach i wielkich kapeluszach, z koszami

pełnymi jadła na kolanach, którym towarzyszyli jeźdźcy w cienkich koszulach i jasnych flanelowych spodniach, roześmiani, żartobliwie uwodzący ukochane dziewczęta.

Opędzając się od czerwonych os, brnęła dalej. Aborygenka, uśmiechnęła się do siebie, o miękkich, delikatnych stopach białej dziewczyny. Musiała szurać podszwami po ziemi, żeby uniknąć sterczących w suchej trawie cierni. Drapała się bez przerwy, atakowana przez rój piaskowych muszek, których ukąszenia pozostawiały jej swędzące pęcherze na kostkach. W przyszłości, postanowiła, wybierając się tutaj, włożyć buty. I pończochy. Cóż to za afektowana głupota z jej strony, że ich nie nosi, próbując stać jedną nogą w każdym ze światów. Zaśmiała się z własnego kalamburu. Idiotka! W obozowisku Ilbów niemiłosiernie pocięły ją komary, bo nie mogła się zmusić, by podobnie jak oni wysmarować się cuchnącym tłuszczem.

Co by o tym wszystkim pomyślała pani Beckman? "Głuptasie! - westchnęła. - Mein Gott! Wracaj, gdzie też cię poniosło?" Ale dokąd miała wrócić? Nie mogła pokazać się w Bowen bez Perfy. To było wykluczone.

Na myśl o pani Beckman Diamond posmutniała. Posłała jej swój nowy adres i Gussie odpisała z zimnego, mglistego Hamburga, wlewając wszystkie swe serdeczne żale w długi list. Wciąż tęskniła za drogim Ottonem. Rozpaczała, że chyba już nigdy nie zobaczy słońca. Mimo podeszłego wieku w domu swego syna była nikim. Helga, synowa, nie cierpiała jej. Londyńskie towarzystwo Lloyda wypłaciło odszkodowanie za "White Rose", lecz teraz pieczę nad finansami Gussie przejął syn. Dochód ze sprzedaży domu w Brisbane wystarczył na opłacenie biletu do Niemiec i przewozu pięknych mebli, które Otto zrobił własnymi rękoma, resztę jednak musiała oddać na pokrycie kosztów swego utrzymania. Mieszkała więc teraz kątem w domu innej kobiety.

Odgłos wodospadu przybrał na sile i Diamond przyspieszyła kroku, ostatnie kilka jardów na skaliste wzniesienie pokonując biegiem. Tam stanęła jak wryta. Widok, który ujrzała, oszołomił ją swym pięknem.

Stała na poziomie strumienia, który nagle spadał długą srebrną wstążką z krawędzi urwiska. Klif wysoki był może na trzydzieści stóp - dostatecznie, by woda, spadająca kaskadą do zielonego zagłębienia w dole, nabrała czarodziejskiej mocy. Po gładkiej granitowej ścianie piał się mech, w szczelinach zuchwale jaśniały storczyki, bezpiecznie osłonięte skałą przed huczącą strugą.

Diamond zeszła na dół, odnajdując przezornie ułożone stopnie, mające ułatwić pokonanie stromego stoku. Wokół rosły wysokie drzewa, otulone kępami tropikalnych paproci, szerokimi nieraz i na sześć stóp. Niżej rozciągała się bajkowa polana, w środku

której lśniło kryształowe jezioro, pogłębione przez erozję. Przejrzysta, rozkosznie bulgocząca woda przelewała się przez krawędź i spływała dalej w dół wąskim żlebem. Przez ułamek sekundy Diamond poczuła strach, rozejrzała się, wypatrując żółtych ślepiów krokodyli. W głębi serca wiedziała jednak, że w takim miejscu nie mogą gnieździć się potwory. To był rajski zakątek. Ryby skakały triumfalnie, ptaki gwizdały i wyśpiewywały swe kantyczki. Serce Diamond przepełniła miłość do Matki Ziemi i wszystkich jej cudów. Nieco dalej w dół strumienia zobaczyła kosmatego dziobaka, przemykającego szybko przez płyciznę. Patrząc, jak zwierzę gramoli się na brzeg i ubija dziobem muł i drobne gałązki, uświadomiła sobie, że dziobak zamierza w ten sposób umocnić swe podobne do jaskini gniazdo położone wysoko ponad linią wody. Przypominała sobie słowa Paddy'ego: że pora deszczowa w tym roku przyjdzie wcześniej.

Na razie wszakże panował wściekły upał; popołudniowe słońce lało się na skały, z wilgotnego listowia unosiły się smużki mgły. Diamond zdjęła turban i otarła nim twarz, a potem ukradkiem rozejrzała się wokół. Jak okiem sięgnąć nie było żywej duszy. Zdjęła odzież i dała nura do wody, chroniąc się przed skwarem w przenikliwym chłodzie jeziora. Popłynęła na drugą stronę, by stanąć pod wodospadem. Jej długie rozpuszczone włosy poddały się strugom wody, trzepiąc ją krnąbrnie po twarzy, pobudzone piersi naprężyły się. Ciało Diamond, smukłe jak wąż wodny, uwolnione od kokonów, w których uwięzili je biali ludzie, nurkowało z pluskiem, przepełnione miłością do całego świata.

Widział, jak Diamond wychodzi z mleczarni i idzie przez sad... Był pewien, że znów wybiera się do obozu czarnych, doniesiono mu, że tam była. Wszedł na werandę, żeby mieć lepszy widok, i dostrzegł jej niebieski turban oddalający się w zupełnie innym kierunku. Przeskoczyła przez płot po drugiej stronie sadu i po chwili zniknęła na ścieżce, która kończyła się przy wodospadzie. Roześmiał się w głos. Ależ ta dziewczyna ma śmiałość! Trudno byłoby ją nazwać tuzinkową!

Pamiętał, jak rzuciła mu się na pomoc, kiedy Jack Middleton został ranny. Poczł ukłucie skruchy; nawet jej nie podziękował. Prawdę mówiąc, było mu trochę głupio. Nigdy nie spotkał się z kimś takim jak ona. Ani on, ani nikt na tym ranczu. Wszyscy mężczyźni, biali i czarni, wodzili za nią wzrokiem, i nie bez powodu. Wyjątkowa sztuka! Chodziła wyprostowana, z głową uniesioną dumnie i trochę wyzywająco. Poganiacze nazywali ją "Czarną Aksamitką", Ben jednak rozpuścił ostrzeżenie, żeby nikt nie próbował jej tknąć. Diamond nie była rozchichotaną aborygeńską służącą gotową iść na siano z każdym, kto uszczypnie ją w tyłek. Prędzej już poderżnęłaby zalotnikowi gardło. Ben widział nóż, który

nosiła przypięty nad kostką. Tam, nad Dziwną Strugą, wyciągnęła go w mgnieniu oka i wbiła w brzuch krokodyla jak w masło. Kowboje co prawda mało by się tym przejęli. Szef jednak powiedział: "Łapy precz!", a jego słowo było tu prawem. Przynajmniej tak daleko, jak daleko sięgał jego wzrok. Paddy powiedział mu, że ostrzegł Diamond, by nie wypuszczała się sama poza obejście. Miał rację. Gdyby któryś z tych napalonych drani przydybał ją samą w buszu, nie wróciłaby już do domu, żeby się poskarżyć. Zresztą i bez tego Ben miał dość kłopotów. Na razie matka skakała koło Perfy w nadziei, że zdoła jej wyperswadować zatrzymanie udziału w ranczo. Kazała mu zanieść jej bukiet orchidei.

- Rzeczywiście - przyznała - jest całkiem niebrzydka. Darcy wcale nie był taki głupi. Dobra angielska krew, nawet jeśli jej ojciec był przestępcą.

Kiedy przywieźli do Caravale ciało Jacka, Cornelia dobrze odegrała rolę wstrząśniętej pani domu, prywatnie wszakże uznała tę tragedię za szczęśliwe zrządzenie losu. Czasami Ben szczerze nienawidził matki. Jej kompletny brak współczucia doprowadzał go do szału, mimo iż nie mógł odmówić logiki jej rozumowaniu. Łatwiej było wywrzeć wpływ na naiwną, osieroconą dziewczynę.

Panna Perfy Middleton! Kiedy przed wyjazdem spotkali się w Bowen, Bena dręczyły wyrzuty sumienia z powodu Darcy'ego i rozmowa z Middletonami przychodziła mu z najwyższym trudem. Właściwie tylko Perfy starała się podtrzymać konwersację. Jack spoglądał na niego czasem z taką nienawiścią, że Ben wprost zapominał języka w gębie.

Na pozór Jack był miły i jowialny, zresztą widać było, że wyprawa do Caravale sprawia mu niekłamaną radość. Wszystko ciekawiło go i podniecało. Urodzony i wychowany w buszu, Ben nauczył się zachowywać czujność nawet wtedy, gdy odpoczywał przy ognisku. W pobliżu mogło czaić się niebezpieczeństwo: wąż, dzicy tubylcy, bandyci. "Oko nigdy nie spać" - jak określali to czarni. W takich właśnie chwilach, skoncentrowany na owej cichej warcie, Ben dostrzegł nienawiść Jacka Middletona. W głębi ducha bał się tego Anglika i zawsze trzymał broń pod ręką. Jeden strzał w plecy i jak przedtem Darcy, teraz on także zniknie ze sceny. Kto wówczas odziedziczy Caravale? W przeciwieństwie do brata, Ben nigdy nie zatroszczył się o to, żeby spisać testament. A, co tam! Gdyby zginął, niech ranczo bierze matka i wojuje o nie z Perfy. Stanowią dobraną parę! Na samą myśl o tym parsknął stłumionym śmiechem.

Tymczasem Ben zdążył polubić Perfy. Naprawdę ją lubił i to tylko jeszcze bardziej pogłębiało jego żal. Była taka naturalna - ani rozhukana jak córki ranczerów, ani chichocząca i wiecznie oblana pąsem jak dziewczęta z miasta.

"Dobra, Ben, co mam teraz robić?" - zapytała, kiedy zsiadli z koni na pierwszym postoju. Wkrótce zaczął się dobrze czuć w jej towarzystwie. Nie skarżyła się na niewygodę jazdy, chociaż wiedział, że po paru dniach w siodle pośladki ma pewnie sine. Wkrótce przestała udawać, że tak nie jest, kuśtykała wokół, dyskretnie rozcierając sobie pupę, jak gdyby brat Darcy'ego także należał już do rodziny.

Miał nadzieję, że zdołają jakoś rozwiązać problem rancza. Byłoby mu łatwiej, gdyby mógł porozmawiać z Perfy w cztery oczy. Niestety, matka wciąż tkwiła jak cerber w jej pokoju.

Pod wpływem impulsu zeskoczył z werandy i udał się do stajni. Przejedzie się nad wodospad i sprawdzi, co z Diamond. Ta dziewczyna, choć czarna, chowała się w mieście, łatwo mogła nadepnąć na węża albo... Chryste! Tego tylko brakowało! Najpierw ojciec, a teraz pokojówka! Perfy nigdy nie uwierzy, że to był wypadek! Strużki nerwowego potu pociekły mu pod wykrochmaloną niedzielną koszulą. Pośpiesznie schwycił siodło i uzdę i gwizdnął na konia.

W tej samej chwili na majdan wjechał zarządca, Tom Mansfield.

- Dobrze, że pana złapałem - rzekł, nie pytając, dokąd Ben się wybiera. Kiedy szef siodłał konia, nie musiał się nikomu opowiadać.

Cholera, zaklął w duchu Ben. Ten zawsze zjawia się nie w porę!

- Co cię sprowadza w niedzielę? - spytał.

- Jedzie tu czarny patrol. Są teraz o jakieś dwie mile stąd.

Ben kiwnął głową. Jakiś chytry drań wpadł na pomysł, by sformować oddziały wojskowe z czarnych ochotników i z ich pomocą utrzymywać spokój wśród żyjących w plemiennych grupach Aborygenów. Oddziały te sprawiały jednak więcej kłopotu niż pożytku. Renegaci z odległych plemion, uzbrojeni w karabiny i odziani w szpetne mundury, dalece przewyższali kolonialnych żołnierzy okrucieństwem, a fanatyczni biali dowódcy dawali im wolną rękę w "oczyszczeniu terenu", pozwalali torturować i mordować tubylców, nie troszcząc się, czy są winni przestępstw, czy też nie. Darcy i kilku innych hodowców złożyło w tej sprawie petycję do gubernatora. Postulowali rozwiązanie owych pogardy godnych wojsk, lecz jak dotąd nie podjęto w tym kierunku żadnych działań.

- Przepędź ich stąd - rzekł Ben. - Niech im się nie zdaje, że dostaną prowiant. Nie będziemy ich karmić. Jak dla mnie mogą zdechnąć z głodu.

- To nie takie proste - odparł cicho Tom. - Mają ze sobą kilkunastu jeńców.

- Jakich znowu jeńców? - zaniepokoił się Ben.

- Czarnych.

- A niech to szlag!

- Najdziwniejsza w świecie zbieranina, szefie, Bóg jeden wie, z jakiego dzikiego szczepu ich wyłuskali. Biedaki mają kajdany na rękach i nogach. Widzi mi się, że dostali solidne baty, za to nic do żarcia. Jeśli czarni w Caravale ich zobaczą, będziemy tu mieli bunt.

Mówił prawdę. Wzdłuż rzeki mieszkało w grupkach ponad stu Ilbów. Ostatnimi czasy zachowywali się dość spokojnie, ale nadal łatwo ich było postawić w stan wrzenia. Chłosta, wymierzana czasem za złodziejstwo lub awanturnictwo, nie oburzała ich, lecz czarni żołnierze budzili powszechną nienawiść.

- Ci więźniowie wyglądają trochę jak dzicy z Borneo - ciągnął Tom. - Mają długie włosy i brody pozlepiane mułem w strąki. Jest wśród nich kilku niedorostków, właściwie dzieci. Co robimy?

- Jeśli wpuścimy tu patrol, Ilbowie niechybnie się na nich rzucą. I tak dziw, że jeszcze się nie dowiedzieli.

- A zatem?

Ben zawahał się i nagle podjął decyzję.

- Skrzyknij ludzi, daj im broń i zawołaj kowala.

- Uwolnimy jeńców? - Tom uśmiechnął się szeroko.

- A mamy inne wyjście?

- To prawda.

Wyjeżdżając w asyście pracowników rancza, Ben tęsknie zerknął w stronę ścieżki, biegnącej do wodospadu. Uświadomił sobie, że sam się okłamuje, kwestia bezpieczeństwa jest tylko wymówką. W rzeczywistości chciał po prostu zobaczyć się z Diamond, porozmawiać z nią, dotknąć jej, poczuć pod palcami jej aksamitną, jedwabistą skórę, a potem... tak, potem kochać się z nią.

Galopem dotarli na miejsce i otoczyli kolumnę, mierząc z karabinów w białego oficera. Zakuci w żelaza nieszczęśnicy popadali na ziemię.

- Co to ma znaczyć? - wrzasnął oficer.

- Rzućcie broń! - rozkazał Ben. - Mamy tu was dosyć, łajdaki.

Kowboje go poparli. Oni także zdawali sobie sprawę, że jeśli wśród Ilbów wybuchną zamieszki, uśmierzenie ich potrwa kilka tygodni, o ile nie miesięcy.

- Pan też! - krzyknął Ben, kiedy czarni żołnierze porzucili strzelby na ziemię.

- Po moim trupie! - oburzył się oficer. Tom Mansfield podjechał do niego i najspokojniej zabrał mu pistolet i karabin.

- Dajcie im wody - rzekł Ben, wskazując jeńców.

Pili chciwie z podanych im bukłaków. Po chwili Ben skinął na kowala.

Uwolnieni z łańcuchów, oszołomieni więźniowie stali trwożnie, nie wiedząc, co ich teraz czeka.

- Możecie odejść! - zawołał Ben, lecz tylko wytrzeszczyli na niego zdumione oczy.

Poganiacze z Caravale ryknęli śmiechem. Okrzykami i gestami ponaglali jeńców, żeby uciekali, póki jeszcze mogą. W ciągu kilku minut czarne sylwetki zniknęły w buszu.

- Złożę na pana raport! - wrzasnął oficer.

- Wedle woli - odparł pogardliwie Ben.

- Nie możecie zabrać nam broni!

- Właśnie to zrobiliśmy - przypomniał mu Tom. - Zatrzymamy ją na kilka dni, żeby dać trochę czasu tym biedakom.

- To przestępcy! - pinił się oficer. - Mieli stanąć przed sądem.

- Nie znają nawet angielskiego, do krocset! - rozzłościł się Tom. - To pan korzysta z usług kryminalistów! Słuchajcie - zwrócił się do czarnych żołnierzy o parszywych gębach i oczach, w których płonęło okrucieństwo. - Nie pokazujcie się tu nigdy więcej, bo inaczej będziecie wisieć!

- Tak, szef, my już tu nie być - mamrotali.

Kilka strzałów w powietrze skłoniło ich do odjazdu. Powściągając spłoszone konie, skierowali się na wschód.

- Lepiej niech się pan pośpieszy, jeśli chce pan dogonić kolegów - zauważył kąśliwie Ben. - Aha, i jeszcze jedno: rozmyśliłem się. Nie wracajcie tu po broń. Prześlę ją do Bowen, będzie pan mógł ją odebrać na posterunku policji.

Zawrócił konia i ruszył w stronę domu.

- Rozdaj chłopcom po kielichu, Tom - powiedział. - Do zobaczenia później.

Diamond unosiła się na wodzie, pogrążona w marzeniach, zapatrzona w błękitne rozpalone niebo. Pora wracać. Niechętnie podpłynęła do akacji, której gałęzie zwisały nad wodą niczym koronkowa firanka, i wspięła się na brzeg. Jej ciało prawie natychmiast wyszło w słońcu. Pozbierała odzież, ubrała się i usiadła, żeby roztrzepać włosy.

- A więc tu się zaszylaś?

Zerwała się ze wstydem na widok Bena. Ciekawe, od jak dawna jej się przygląda. Niebieskousta jaszczurka przemknęła bezgłośnie przez pobliski głąz.

- Przyszłam popływać - rzekła Diamond nerwowo. - Jest tak gorąco...

- Dobry dzień na pływaniu - zauważył, schodząc nad jezioro.

- Piękny - przyznała. Ben patrzył na wodę takim wzrokiem, jakby chciał rzucić się do niej w ubraniu. Zamiast tego jednak odwrócił się do Diamond.

- Nie podziękowałem ci za to, że pomogłaś mi przy Jacku - rzekł.

- Nie szkodzi - bąknęła.

- Dla ciebie też musiał to być straszny widok.

- Tak.

Woda ciekła jej z włosów na koszulę, lecz Diamond siedziała jak sparaliżowana.

- Po raz pierwszy widzę cię bez turbanu - zauważył. - Nie zdawałem sobie sprawy, że masz takie długie włosy.

Wyciągnął rękę i przesunął po jej włosach, potem jego palce ześliznęły się na jej policzek głaszcząc go jak miękki jedwab.

- Jesteś inna, Diamond - powiedział. - Inna od wszystkich kobiet, jakie w życiu spotkałem.

Kiwnęła głową, oniemiała. Bała się odezwać i złamać czar. Chciała wyciągnąć rękę i dotknąć go, lecz nie miała odwagi. Jego dłonie pieściły teraz jej szyję i włosy, a gdy dotknął ustami jej ust, była gotowa oddać mu się teraz, zaraz, z całą miłością, jaka przepelniała jej duszę. Pociągnął ją pod akację, ułożył na mchu i zaczął rozpinać jej bluzkę. Rozbierał ją delikatnie, czule, tak powoli, jakby obawiał się, że go powstrzyma, ale ona nie była w stanie protestować. Koszula opadła na ziemię, plecy Diamond wygięły się w łuk.

- Jesteś taka chłodna - rzekł. - Masz takie rozkosznie chłodne ciało... Powinniśmy pójść razem popływać.

Zamiast tego znów zaczął ją całować, zrzucił odzież i położywszy się obok niej, zajrzał jej w oczy z uśmiechem.

- Później popływamy - powiedział.

- Tak - szepnęła, obejmując go. - Później.

Później rzeczywiście zanurzyli się w wodzie jak para beztroskich dzieci. Nurkowali w lustrzanej głębi, przekomarzali się, śmiali, pluskali pod spadającą z góry kaskadą, wreszcie przystanęli oparci o skały, by odpocząć. Głęboka do ramion woda obmywała ich ciała.

- Muszę iść - odezwał się nagle. - Nie mogę spotykać się z tobą tutaj. A gdybym tak jutro wieczorem przyszedł do twojego pokoju?

Skinęła głową, patrząc, jak wychodzi na brzeg i ubiera się. Podziwiała jego silne ciało, brąz pleców i biel pośladków. Kochała go.

- Nie siedź tu za długo - ostrzegł ją i poszedł.

Wkrótce usłyszała, jak odjeżdża. Jeszcze raz wspięła się na brzeg, marząc, by już na zawsze pozostać tu, pod drzewem, i śnić o nim. Duchy plemienia Ilba były dziś dla niej łaskawe.

Potem już czas biegł jak oszalały. Perfy szybko powracała do zdrowia i Diamond ze strachem myślała o dniu, w którym będą musiały wyjechać. Modliła się, by Ben ją zatrzymał. Przychodził do niej prawie każdej nocy. Kochali się w małym pokoiku, który stał się ich azylem, schronieniem uświęconym przez jego obecność. Kiedy Ben pracował w dalszych częściach rancza i nie wracał na noc, tęskniła za nim boleśnie. Siedząc na schodku, wyobrażała go sobie: wyciągnięty przy ognisku śpi pod tymi samymi gwiazdami co ona. Zastanawiała się, czy śni o niej.

Przed wyjazdem Lew napisał do Yinga, wyjaśniając mu kwestię dżonki. Wiedział, że Chińczyk nie przesłałby swego złota do Bowen za pośrednictwem białych ludzi. Jeśli nie przyjedzie sam, przesyłki z narażeniem życia strzec będą nadzwyczaj kompetentni bracia Yuang. Nawet gdyby list nie dotarł do Yinga na czas, chińska społeczność w Bowen doniesie im, co się stało z dżonką. Zresztą Fung Wu, jego nowy mecenas, obiecał, że będzie ich wypatrywał. Więcej Lew nie był w stanie zrobić, miał tylko nadzieję, że złapie Yinga na odkrywkach.

W przeciwieństwie do Bowen, Townsville było brzydką osadą, przylepioną do podnóża samotnej posępnej góry znanej pod nazwą Castle Hill. Wybrzeże pokrywało grząskie bagno, zarośnięte splątanymi mangrowcami, a mimo to zakurzona ulica biegnąca między pośpiesznie skleconymi chatami i szynkami wyglądała tak, jak gdyby od stu lat nie widziała deszczu. Nieliczne rosnące tu jeszcze drzewa miały smętne, pokonane miny, jak gdyby czekały tylko na kogoś, kto skróci ich mękę. Z portu widać było dużą zieloną wyspę. Owa Magnetyczna Wyspa, nazwana tak przez kapitana Cooka, wydawała się nie mieć żadnego związku z wyschniętym lądem.

- Nie podoba mi się ta dziura - brzmiał pierwszy komentarz Herberta. - Myślałem, że będzie tu ładnie i tropikalnie jak w Bowen.

Lew nie okazał mu ani krzty współczucia.

- Sam chciałeś jechać - uciał.

Drastyczna zmiana krajobrazu ciekawiła go. Okolice Townsville były bardziej płaskie, jeśli nie liczyć samotnego wzgórza, a powietrze suchsze. Już na pierwszy rzut oka widział, że będzie to o wiele łatwiejsza droga do terenów złotonośnych.

- Zdajesz sobie sprawę, że jesteśmy teraz o tysiąc mil od Brisbane? - poskarżył się Herbert.

- Co to ma do rzeczy?

- Mój drogi, nie spodziewałem się, że zostanę rzucony tak daleko od cywilizacji. Cóż miałbym tutaj robić?

- Sprzedawać nieruchomości, jak przedtem - roześmiał się Lew. Zerknął w głąb nędznej uliczki. - Nie widzę tu dla ciebie konkurencji.

- Ja nie widzę tutaj żadnych cholernych domów, a tej ziemi nikt nie zechce nawet za darmo.

Resztę pasażerów przybrzeżnego parowca stanowili bez wyjątku poszukiwacze złota - ze stażem i bez. Wysypali się po trapie zatłoczonego statku, i natychmiast wsiąkli w tłum sobie podobnych mężczyzn.

Lew i Herbert udali się do najbliższej gospody, pełnej górników i ciągnących za nimi rojem hałaśliwych, jaskrawo odzianych prostytutek.

- Fortepianu też nigdzie nie uświadczysz - uśmiechnął się Lew. Kupili sobie po butelce piwa i z trudem przepchnęli się z powrotem do wahadłowych drzwi, by usiąść na brzegu werandy zbitej z nie heblowanego drewna.

Herbert puścił tę uwagę mimo uszu.

- Nie uśmiecha mi się nocleg w którejkolwiek z tych szcurzych nor. Wolę spać na plaży.

- I dać się żywcem zjeść moskitom. To nie plaża, to bagno.

- O Jezu!

Tuż przed nimi przystanął wysoki chudy mężczyzna z grzywą białych włosów i równie białymi krzaczastymi bokobrodami.

- Wybaczcie, panowie, szukam kapitana Cavoura.

Lew zmierzył wzrokiem kraciastą koszulę i kamizelkę z czarnej serży, w które odziany był przybysz. Oceniał go w duchu jako podrzędnego kancelistę.

- Ja jestem Cavour - powiedział.

- Och, dzięki Bogu, że pana znalazłem - rzekł mężczyzna, wkładając okulary w drucianych oprawkach, żeby lepiej przyjrzeć się Lewisowi. - Nazywam się Weller i reprezentuję urząd celny. Mamy pewien problem. Powiedziano mi, że pan mógłby nam pomóc.

- W czym?

- W porcie stoi lugier, którego kapitan zachorował. Ściślej mówiąc, chorował. Dziś rano zmarł na atak serca. Statek został więc bez dowódcy i nie może wypłynąć.

- A to pech - mruknął Lew obojętnie.

- Jak rozumiem, zszedł pan właśnie z pokładu "Lady Belle".

- Zgadza się.

- Tak... - Weller poprawił okulary i otarł chusteczką spocone czoło. - Właśnie kapitan "Lady Belle" skierował nas do pana. Chcemy zaoferować panu dowództwo tego lugra. To dobry statek. Nazywa się "Pacific Star" i płynie do Brisbane. Jego właścicielem jest kapitan Towns.

- Co to za jegomość?

- O, proszę pana, to bardzo znany człowiek. Kapitan marynarki wojennej, sam pan rozumie. Ten port nosi jego imię.

- Coś podobnego - rzucił Lew bez odrobiny szacunku.

- Kapitanie Cavour, jeśli odprowadzi pan ten statek do Brisbane, mogę pana zapewnić, iż kapitan Towns poprze swoją wdzięczność hojnym wynagrodzeniem. Chcę powiedzieć, że na tym etapie pan może dyktować warunki.

- Kapitan się zgodzi - wtrącił uradowany Herbert. - Może pan uważać sprawę za załatwioną.

- Przemyśle to - rzekł Lew z naciskiem. Nie lubił, gdy decydowano o nim ponad jego głową. Przede wszystkim musiał skontaktować się z Yिंगiem. Wciąż świetnie się bawił, próbując sobie wyobrazić, jak też ów chiński arystokrata radzi sobie w dziczy. Ponadto, choć Lew z wielką niechęcią przyznawał się do tego sam przed sobą, korciło go, żeby spróbować szczęścia na złotonośnych polach. Tyle mówiono o zbijanych tam fortunach, że człowiek nie mógł się oprzeć pokusie.

- Rano może pan przeprowadzić inspekcję - powiedział urzędnik. - Przygotujemy wszystkie dokumenty.

- Skąd przyłynął ten statek? - zapytał Lew.

- Z Wysp Salomona, panie Cavour. To piękny dalekomorski frachtowiec.

- Załoga w formie?

- Naturalnie, proszę pana. Wszystko w najlepszym porządku. Brakuje tylko kapitana. A zatem jesteśmy umówieni na jutro, czy tak? Moje nazwisko Weller, proszę się na mnie powołać. Nasze biuro to na razie tylko zwykła szopa, ale doczekamy się lepszych czasów. Kiedyś będzie to ważny port.

- Z pewnością - rzekł Herbert entuzjastycznie.

- Do zobaczenia jutro - rzekł Lew, dopijając piwo. Wyspy Salomona... Nigdy nie wypływał tak daleko na Pacyfik. To była szansa, żeby zacząć od nowa, a przy tym zwiedzić masę nowych portów. Mógłby rzucić okiem na Tahiti i Nową Zelandię, dowiedzieć się czegoś o statkach handlowych, które pływały na tych trasach. Dawniej marzył, że pewnego dnia kupi własny statek i będzie nim żeglował od wyspy do wyspy. Własny statek...

Rzeczywistość zdeptała jego marzenia. Za co go kupi? Z kapitańskiej pensji długo będzie zbierał taką sumę. Tymczasem poznał Perfy. Jego sny o niej również się rozwiewały. Stracona sprawa! Dlaczego uparł się na dziewczynę, której twarz uparcie zwrócona jest na zachód, podczas gdy on patrzy na wschód, na morze? Ciekawe, co Perfy teraz robi? Panuje na swych włościach jak królowa wdowa na prowincjonalną skalę? Liczy cholerne krowy?

Pije sherry w towarzystwie żon znajomych ranczerów, realizując własne marzenie o tym, by wejść do elity?

- Jedno słówko, kapitanie - odezwał się za nim czyjś głos. Lew obrócił się i stanął nos w nos z mężczyzną opartym o ścianę za jego plecami. Ranczer z krwi i kości. W Bowen Lew nauczył się ich rozpoznawać. Poprawna składnia, brytyjski akcent, wysokie buty do konnej jazdy, dobrze odżywiona, opalona twarz, nie ziemistoblada jak u wiecznie śpieszących się górników. Mężczyzna miał na biodrach pas z nabojami i ciężki rewolwer.

- Czy każdy, kto tu przyjeżdża, z miejsca staje się powszechnie znany? - warknął Lew.

- Z tego, co wiem, to możliwe - odparł nieznajomy. - Przypadkiem słyszałem waszą rozmowę.

- A pan co ma z tym wspólnego?

- Nic a nic. Nazywam się Jardine. Jestem tutaj przejazdem, w drodze do domu. Hoduję bydło w Somerset na przylądku York.

- W Somerset? - zdumiał się Lew. Płynąc do Australii, zawinął do tego parnego, gorącego portu. - Jak udało się panu przetransportować tam dostateczną liczbę sztuk bydła?

- Pędziliśmy je łądem - odparł Jardine wesoło. - Mój brat i ja. Ale nie polecałbym tej trasy. Mieliśmy szczęście, że udało nam się ocalić własne skalpy, nie mówiąc już o stadzie. Przejście z Rockhampton na cypel zajęło nam prawie rok.

Lew zaniemówił z wrażenia. Słyszał to i owo o wyczynach tych nieustraszonych pionierów, lecz się nie spodziewał, że osobiście pozna jednego z nich. Uścisnął dłoń Jardine'a.

- Miło mi pana poznać - rzekł. - I przepraszam za moje grubiańskie maniery.

- Zaiste, to kraina cudów! - wtrącił Herbert, również się przedstawiając. - Zwykle nie przeprasza - dodał tonem wyjaśnienia.

Jardine zaśmiał się.

- Tutaj interesy to sprawa prywatna, nie zadajemy zbyt wielu pytań. Jednak w przypadku "Pacific Star" niech się pan ma na baczności. To ptasznik.

- Co takiego? - spytał Lew.

- Mówiąc wprost: statek niewolniczy.

- Jezu! - zachnął się Lew. - To przecież nielegalne!

- Przepisy można obejść - zauważył Jardine. - Porywa się mężczyzn i chłopców na Wyspach Salomona, zmusza ich do postawienia swoich znaków na umowach o pracę i

przewozi na plantacje trzciny cukrowej i bawełny w Queensland. Ich dalszy los zależy od tego, jaki plantator stanie się ich panem. Niektórzy z Kanaków, bo tak się nazywają, traktowani są względnie dobrze, ale większość kończy jako niewolnicy. Dlatego właścicielowi tak się śpieszy, żeby wyprowadzić "Pacific Star" z portu. Ładownia pełna jest tych biedaków.

- Nie tknąłbym takiego statku nawet czterdziestostopowym drągiem! - oznajmił Lew.

- To bardzo mądrze z pana strony - potwierdził Jardine.

Herbert był rozczarowany.

- Woziliś kulisów - prychnął. - Dlaczego tych nie?

- Kulisi są poddani własnym rodakom - odparł Lew gniewnie. - I rozumieją swoje położenie.

- Doprawdy? - wtrącił Jardine. - Ostatnio w pobliżu Somerset zatonął statek. Zapchany aż po burty kulisami. Wszyscy utonęli, nie mieli żadnej szansy ratunku.

- A, to już wina kapitana statku - wypalił Lew.

- W Anglii byłoby to niedopuszczalne - oznajmił wyniośle Herbert. - Nie wiem tylko, dlaczego plantatorzy zadają sobie tyle trudu i przywożą tu krajowców z Wysp Salomona, skoro mogliby zatrudnić Aborygenów.

- Panowie jesteście tu od niedawna? - uśmiechnął się ranczer, po czym zwrócił się do Herberta: - Czy Amerykanom udało się zmusić czerwonoskórych Indian do pracy? Za żadne skarby świata! Nasi Aborygeni są tacy sami. Prędzej poderżnęliby nam gardła i czy można ich winić? To dzielni wojownicy. - Jardine machnął ręką w stronę gospody. - Chodźmy, postawię panom kielicha.

Spotkanie z tym człowiekiem było dla nich uśmiechem losu. Znalazł im nocleg w na wpół wykończonym pensjonacie. Co prawda jednej z zewnętrznych ścian pokoju jeszcze nie było i od ulicy dzieliła ich tylko plandeka, ale upał był tak piekielny, że nie narzekali. Rano Jardine zaprowadził ich do handlarza końmi.

- Potrzebuję dobrego wierzchowca i jucznego - rzekł Lew.

- Nie, musimy kupić trzy konie - wtrącił Herbert. - Jadę z tobą.

- Od kiedy? - Cavourowi zrzędła mina. Nie miał najmniejszej ochoty dalej włączyć za sobą Herberta. - Myślałem, że nie znosisz poszukiwania złota!

- Owszem, ale tutaj za nic nie zostanę. Zresztą może tym razem mi się poszczęści.

Zasięgnąwszy rady Jardine'a, kupili żywność, sprzęt i broń. - Odwiedźcie mnie w Somerset, kiedy będziecie w pobliżu - rzekł na pożegnanie.

- Z przyjemnością - odparł Lew.

- Na mnie proszę nie liczyć - powiedział szybko Herbert. - Stąd już nie mam zamiaru posunąć się ani trochę dalej na północ, w tropiki. Wciąż powtarzam, że to nie jest kraj dla Anglika.

Pochód nad Cape przez surową równinę, na której rolę słupów milowych pełniły suche drzewa i wysokie szare mrowiska, sterczące jak ostre kły spośród kęp zwędłej trawy, sam w sobie godzien był epopei. Dołączyli do kolumny pełnych nadziei górników i mimo palącego, koszmarnego upału wszyscy byli w znakomitych humorach. Mijali setki pieszych, rodziny z dziećmi na wozach, bydłące zaprzęgi wiozące żywność, pary w lekkich dwukółkach, a nawet ciągniętą przez konie lorę, w której wymalowane damulki pod parasolami najwyraźniej także jechały po fortunę.

Powracający z terenów złotonośnych górnicy nie patrzyli im w oczy, ani przyznając się do pecha, ani chwając szczęściem. Przeprawy na rzece Ross, gdzie stan wody był niski, pilnowali żołnierze. Ostrzegali oni podróżnych przed krokodylami, przede wszystkim zaś eskortowali uzbrojone po zęby konwoje ze złotem, gdyż ten ostatni odcinek przed Townsville był ulubionym miejscem działań rabusiów.

Dwaj Anglicy zostali ciepło powitani przy ogniskach na szlaku. Lew z radością wdychał atmosferę braterstwa, buńczuczny optymizm, który przypominał mu nastrój na powracającym do macierzystego portu statku. Wszyscy dzielili się żywnością i opowieściami, palili tytoń, czekając, aż ugotuje się żarcie z puszek, i śpiewali skoczne pieśni. Melodie brzmiały swojsko, przypominały piosenki brytyjskich marynarzy, lecz słowa były nowe, miały w sobie żądło, podobnie jak buntownicze irlandzkie ballady. Rozgrzewały, burzyły krew niczym pieśni bojowe, i oto Lew uświadomił sobie, że w tym dzikim zakątku na samym dnie świata słyszy pierwsze porywy narodowej dumy.

- To dobra ekipa - rzekł do Herberta, lecz ten tylko prychnął.

- Może teraz. Zaczekaj, aż zaczną się bić o złoto. Widziałem, jak faceta skopano na śmierć pod jedną z tych brudnych tawern nad Cape. I nikt nie interweniował.

- Za co go pobito?

- Nie czekałem, żeby się dowiedzieć.

W pochodzie nie było nazwisk, tylko "ksywy". Lew od razu został przezwany Kapitanem, Herbert zaś Lalusiem, co niezbyt mu się spodobało. Byli tam Tyka i Mądrała, a także Bankier, Pigularz, Wieśniak, nazwani tak ze względu na swą powierzchowność lub to, czym się uprzednio zajmowali.

Samotni podróżnicy budzili współczucie. Nie mieć na świecie kumpla, który przyłączyłby się do ciebie w tej wyprawie, to gorzej niż gdybyś zbankrutował. Spora część górników ciągnęła tu z innych odkrywek, od nich Lew się dowiedział, że człowiek samotny ma niewielkie szanse - musisz mieć współnika lub choćby kobietę, która pomoże ci w pracy i dopilnuje działki. Zastanawiał się, czy Herbert, nauczywszy się tego na własnej skórze, nie zamierza go teraz wykorzystać.

- Musimy tylko wykupić licencję górniczą - oznajmił Herbert - i wytyczyć działkę. Jeśli ktoś pozostawi działkę bez dozoru na więcej niż dwadzieścia cztery godziny, można ją zająć.

- Szukam Yinga - odrzekł Lew. - Nie powiedziałem, że będę wydobywał złoto.

- Będziesz - roześmiał się Herbert. - Już złapałeś bakcyła. A w ogóle jak do tego doszło, że zostałeś kapitanem statku? Nie jesteś typem marynarza.

- Podpisałem kontrakt z firmą Meridian and Co. w Kantonie. W waszej marynarce nigdy nie dostałbym patentu. Ale byłem chętny i znałem kilka chińskich dialektów, więc pracowałem też jako tłumacz. Skontaktowali mnie z paroma urzędnikami, którzy pchnęli mnie we właściwą stronę. Flota handlowa to dla marynarza lepszy kąsek.

- Mnie nigdy nikt nie pchnął - mruknął zawistnie Herbert, zapalając jedno z cygar Lewisa.

- Miałeś pecha - odrzekł Lew bez krzty współczucia. - Za to ja dam ci dobrą radę. Nie graj tu w karty. Przyglądałem ci się na statku. Jesteś cholernym szulerem, bracie. Rób dalej takie sztuczki na odkrywce, a ja też nie zainterweniuję, jak będą cię kopać po głowie na ulicy.

Lew nigdy by się nie przyznał do tego głośno, lecz bez Herberta z trudem dałby sobie radę nad Cape. Nie wierzył własnym oczom, gdy ujrzał panujące tam zamieszanie, wrzawę i gorączkową ruchliwość. W buszu wyrosły maleńkie osiedla szałasów, wokół których rozpościerały się odkrywki - działki biegły wzdłuż rzek, strumieni, wąwozów i jarów. Poszukiwacze gonili za złotymi żyłami jak charty, zapuszczali się na wiele mil w dziki skrub. Aż po horyzont ziemia była rozkopana, przewrócona, spiętrzona w hałdy i pocięta rowami, jak gdyby zrył ją opętany berserkierską furią oracz. I wszędzie zginały się i naprężyły ludzkie grzbiety, dźwięczały misy do płukania piasku, łopotały namioty, chrapały konie ciągnące ładunki kruszywa... Najprędzej uwijali się Chińczycy, warkocze wystające spod spiczastych kapeluszy kołysały się niczym wahadła. Kulisi pocili się przy kołowrotach, kobiety w podkasanych wysoko spódnicach ładowały kosze. Wszędzie mozół, wszędzie pot

i wysiłek. Smród ludzkich odchodów wzbijał się pod niebiosa w straszliwym upale, chmary much przyćmiewały słońce.

- Jezu - odezwał się Lew słabym głosem. - Ja tu nie zostaję.

- Nie musisz - rzekł Herbert. - Możemy przenieść się trochę dalej.

- Gdzie?

- Podobno żyły ciągną się na dwadzieścia mil wokoło, więc przestań jęczeć.

- Najpierw muszę znaleźć Yinga - powtórzył Lew z uporem.

Zsiedli z koni i poprowadzili je przez usypane ludzką ręką wertepy, pozbawione wszelkiej roślinności z wyjątkiem paru ubłoconych drzew, krajobraz był zgoła księżycowy. Za każdym zakrętem Lew zagadywał napotkanych Chińczyków. W końcu skierowano go na działkę w głębi wąwozu Shamrock, zarejestrowaną pod nazwą "Złote Słońce".

Zastał tam kilku kulisów Yinga, zwijających się jak w ukropie. Powitali go niby dawno nie widzianego brata. Natychmiast otoczył go wianek kościstych mężczyzn, mówiących równocześnie, jeden przez drugiego:

- Pana China nie ma w tej chwili nad Cape. Pan Chin pojechał do Charters Towers. Ale pan Chin ma tu trzy działki, które przynoszą mu znakomity urobek.

- Kiedy wróci?

- Pan nie wyjawia nam swoich zamiarów.

Nie, naturalnie że nie. Lew wysłał jednego z kulisów do Charters Towers z listem, w którym powtarzał złe nowiny o dżonce i zawiadamiał Yinga, że jest nad Cape i tu będzie czekał na jego powrót.

Wytyczyli z Herbertem działkę w dolnym biegu strumienia Bracken i na wyraźne życzenie Herberta nazwali ją Waterloo, po czym natychmiast wzięli się do płukania. Kulisi Yinga polecili im to miejsce, ponieważ w korycie potoku wciąż była woda. Pokazali Lewisowi, jak wydobywać kruszec, jak odróżniać opłacalne żyły i jak ciągnąć wykop za krętym pokładem złotonośnej skały. Wkrótce musieli zbudować wyciąg i klatki do transportowania wymytego żwiru wyżej na brzeg. Na przemian kopali i płukali, i stopniowo ich zapas złotego piasku zaczął rosnąć, a poszukiwania robiły się coraz bardziej gorączkowe. Stawali do pracy o świcie, odzież, twarze i włosy splamione mieli żółtą gliną, lecz Lew bawił się jak jeszcze nigdy w życiu.

Oczekiwał, że gdy znajdą złoto, będą skakać z radości, po czym wyjadą stąd bogaci. Ten proces jednak był bardzo powolny, toteż wciągał górników w jeszcze gorszy nałóg niż alkohol lub hazard. Nie szkodzi. W cyrkowej atmosferze zbijali forszę i w żaden sposób nie mogli stąd odejść, nim złoto się nie wyczerpie. Kiedy ich skórzane sakiewki ze złotym

piaskiem nieco napęczniały, Herbert wpadł w ekstazę i zażądał, żeby wytyczyć następną działkę dalej w dół strumienia Bracken. Lew uznał, że ma to sens. Choć nie natrafili na złote samorodki jak inni, zarabiali przeciętnie piętnaście funtów dziennie, co w ich trudnej sytuacji stanowiło fortunę.

Rozbili swój namiot obok krytego wozu niemieckiego typu, którego właścicielem był farmer z Nowej Południowej Walii, Jim Bourke. Towarzyszyła mu żona Marjorie i córka Marie. Obie kobiety, ubrane w męskie koszule, moleskinowe spodnie i płócienne czepki z szerokim rondem, chroniące przed słońcem, pracowały wytrwale, nie skarżąc się na ciężkie warunki, i płukały rzeczny piach nie gorzej od samego Bourke'a. Ponieważ byli sąsiadami, Jim Bourke zaproponował, żeby zrzucić do spółki racje żywnościowe, skoro panie i tak codziennie gotują. Tak więc wieczorem Lew i Herbert zjadali z rodziną Bourke'ów gulasz, podpłomyki i placki z melasą.

Po zmroku cały obszar odkrywek usiany był światełkami latarni, stanowiącymi jakby kontynuację rozgwieżdżonego nieba. Ich obóz był spokojny, leżał dość daleko od samej Cape, nad którą często wybuchały awantury i bójki. Życie towarzyskie praktycznie nie istniało, pracując pospiesznie od świtu do zmierzchu człowiek był najszczęśliwszy, kiedy po kolacji padał na prycę, żeby ulżyć obolałym członkom i możliwie jak najprędzej zasnąć.

Pewnego dnia niespodzianie odwiedził ich Chin Ying. Miał na sobie ciemną koszulę i szerokie wutowane spodnie. Zrezygnował ze strojnych, haftowanych czapczek na rzecz szerokiego kapelusza.

Lew wytrzeszczył na niego oczy.

- Ledwie cię poznałem, kiedy zrzuciłeś piórka - rzekł, pomagając Yingowi zsiąść z dobrze utrzymanego konia.

Ying spojrzał na niego wymownie.

- To prawda, kapitanie, że obecnie przypominam człowieka z gminu, ty natomiast wyglądasz zaiste jak kulis.

- Wybacz, jestem ubłocony - odparł Lew - ale brakuje nam ostatnio wody. Trzeba jechać aż nad samą Cape, żeby się umyć. - Kątem oka dostrzegł na zakręcie ścieżki jednego z braci Yuang na wierzchowcu. - Boże miłosierny! Nie powiesz mi, że twoi słudzy jeżdżą teraz konno!

- To konieczne - uciał Ying.

- Chodź do namiotu, zrobię ci herbaty.

- Przywiozłem własną. Wywar z tych liści, które tu sprzedają, nie nadaje się do picia. Mam też trochę przyzwoitego wina.

- Dobra robota! Cieszę się, że cię widzę, niech mnie, jeśli kłamię.

Lew zaparzył herbatę i obaj usiedli przy topornym stole w jego namiocie.

- Przykro mi z powodu dżonki, Ying.

- Nie masz się czym martwić, należała do wielmożnego Cheonga, nie do mnie.

Dobrze mu tak.

Lew otworzył usta ze zdumienia.

- Cóż to? Czyżbym słyszał nutę buntu przeciwko twemu słynnemu panu i władcy? Temu, którego każdy czyn jest słuszny?

- Nie ma się z czego śmiać. Cheong wysłał za mną dwóch ludzi, na wypadek gdybym chciał go oszukać.

Lew wzruszył ramionami.

- Wcale mnie to nie dziwi. Z tego, co słyszałem o tym błaznie, kazałby śledzić nawet samego Budę.

- Nic nie rozumiesz. Trzymał moją rodzinę w straszliwym poniżeniu, żeby mieć pewność, iż odeślę mu złoto. Nie miał więc powodu, by mnie pilnować. Jestem człowiekiem honoru.

- Człowiek pozbawiony honoru, patrząc na innych, widzi tylko siebie.

Ying skinął głową.

- Obawiam się, że jest w tym sporo prawdy. Zatem, kapitanie, słuchaj uważnie. Nie mogę zostać tu długo. Dwaj ludzie Cheonga nawet mi się przydali, odesłałem ich do Chin z mnóstwem złota. Wyjeżdżając z kraju, byłem ignorantem. Dałem się przekonać, że muszę im przywieźć skrzynie pełne skarbów, ale teraz znam prawdziwą wartość tego kruszcu. Cheong i tak został hojnie opłacony.

- Twoi ludzie mają dobre wyniki?

- Bardzo dobre. Z moją znajomością metalurgii i geologii trafnie wybrałem działki.

- Pomoc pięćdziesięciu kulisów na pewno też nie była bez znaczenia. Żałuję, że sam nie mogę ich zatrudnić.

- Na razie - rzekł tajemniczo Ying. - Niepokoilem się o matkę i żonę - podjął - ale jeden z przyjaciół przywiózł mi nowiny. Nowiny, które Cheong przede mną zataił. Moja droga matka, nie mogąc znieść hańby, odebrała sobie życie. Żona zaś, obwiniając mnie za swój los, postanowiła wstąpić w konkubinaty. Zostali mi tylko bracia. Przekazałem im wiadomość, by czym prędzej uciekli z posiadłości Cheonga. Teraz nie ma już na mnie haka.

- To rozsądne.

- Właśnie wysłałem Cheongowi ostatnią ratę, a wraz z nią list, w którym go informuję, że spełniłem swe zobowiązania wobec niego. To chciwy człowiek, złoto uczyni go szczęśliwym. Zapomni o mnie.

- Masz taką nadzieję?

- Ba! Dlatego na razie nie mogę jeszcze wrócić do Chin.

- A gdzie się wybierasz?

- I tu przechodzimy do sedna sprawy. Mam tu wielu przyjaciół, nawet pośród białych, i słyszę wiele rzeczy. Chcę, żebyś był ze mną w kontakcie. Kiedy stąd wyjedziesz, odwiedź mój dom w Charters Towers.

- Więc nie wysłałeś całego złota do kraju?

Ying uśmiechnął się łobuzersko. Zapusił wąsy, sięgały mu teraz poniżej brody. Usztyniał je pszczelim woskiem, podgalał też czoło na trzy cale powyżej naturalnej linii włosów, wzorem chińskich wyższych klas.

- No? - nie ustępował Lew.

- Jestem teraz swoim własnym panem - oświadczył Ying. - I szlachcicem. Cheong musiał zapłacić za ruinę mojej rodziny.

- Słusznie - rzekł Lew, tłumiąc śmiech. - Mam nadzieję, że wyegzekwowałaś od niego honorowe zadośćuczynienie.

- Istotnie. Jestem teraz majątnym człowiekiem, bogatym wedle pojęć mej rodziny, ale mam zamiar stać się o wiele bogatszy. Ty zresztą też nie musisz tu tyrać. Słyszałem, że utrata dżonki zmusiła cię do zaciągnięcia długu u pana Funga Wu.

Lew nie był zaskoczony, że Ying wie o pożyczce; w okolicy było wielu Chińczyków, którzy plotkowali jak najęci, mężczyźni nie byli przy tym wcale lepsi od kobiet.

- Dług został spłacony - ciągnął Ying - możesz więc o nim zapomnieć. Wróćmy do meritum; spotkałem niezwykle miłego dżentelmena nazwiskiem Mulligan...

- Dajże spokój, Ying - roześmiał się Lew. - Nie pozwól się zbajerować Irlandczykom. Sprzedaliby ci nawet Chiński Mur.

- Nie pan Mulligan. Mam trudności z rozróżnianiem akcentów, lecz odnoszę wrażenie, że urodził się w kolonii. Ów czcigodny dżentelmen jest człowiekiem buszu, jak ich tu nazywają, czyli podróżnikiem i badaczem. Mówił mi, że uwielbia zapuszczać się tam, gdzie nie stanęła jeszcze stopa cywilizowanego człowieka, odkrywać nieznane nikomu ziemie. Rozumiesz?

Lew uprzejmie pokiwał głową. Ying zmienił się, nadal jednak był dostatecznie młody, by wpadać w entuzjazm.

- Pan Mulligan poinformował mnie - szepnął Ying - iż wedle jego przekonania w tym stanie znajdują się jeszcze wielkie pokłady złota. Więcej, powiada, niż dotąd wydobyto w Ballarat.

Lew słyszał o odkrywce Ballarat w Victorii. Górnicy nigdy nie przestawali o tym mówić. Tak wielkich samorodków, jakie tam znaleziono, nie widziano jeszcze dotąd na świecie. Niektóre ważyły ponoć po dwieście funtów. Nie wiadomo, czy była to przesada, jednakże skarby Ballaratu nie były wymysłem.

- I gdzie to znajdują się te bajeczne pokłady? - spytał.

- Czy znasz miejsce zwane Georgetown?

- Nie.

Ying cmoknął z dezaprobatą nad jego niewiedzą.

- Jak chcesz osiągnąć sukces, Lew, jeśli nie korzystasz z każdej dostępnej okazji, by się czegoś nauczyć?

- Może nie jestem typem naukowca, jak ty - odparł żartobliwie Lew.

- Nie usprawiedliwiał się. Nasze uzdolnienia się uzupełniają - rzekł Ying poważnie. - Georgetown jest najbardziej na północ wysuniętym przyczółkiem cywilizacji. Osada ta powstała w czasie gorączki złota sprzed kilku lat. Słuchaj dalej: pan Mulligan i kilku jego przyjaciół udali się daleko na północ. W trakcie wyprawy będą także szukać złota. W drodze powrotnej muszą przejeżdżać przez Georgetown.

Lew zapalił cygaro.

- Zapomniałeś dodać: jeśli wrócą. Kto zresztą twierdzi, że znajdą złoto?

- Ja tak twierdę - odparł Ying wyniośle. - Istnieją rzeczy wykraczające poza zdolność pojmowania naszych zmysłów, o czym ty, jako człowiek wychowany w Chinach, na pewno dobrze wiesz. Widziałem to. Wyczytałem to w jego oczach i przygotowuję ekspedycję. Obecnie mam w Georgetown człowieka, który czeka tam na Mulligana. Kiedy ten wróci, mój człowiek natychmiast przyjedzie do Charters Towers i zaczniemy działać.

- Jak?

- Moja pierwsza wyprawa nad Cape borykała się z problemami, których omawianiem nie będę cię teraz fatygował. Ekspedycja po złoto odkryte przez Mulligana będzie wzorem wyjątkowo sprawnej organizacji. Ponadto - Ying znów zniżył głos do szeptu, chociaż rozmawiali po chińsku - będziemy jednymi z pierwszych. Ci, którzy pojawiają się pierwsi, zbierają najobfitsze żniwo.

Była to prawda. Pierwsi górnicy nad Cape szybko się obłowili, pozostali, z wyjątkiem rzadkich szczęściarzy, musieli w pocie czoła przerzucać tony błota.

- I kiedy to nastąpi? - spytał Lew.

- Bądź cierpliwy, przyjacielu. Możesz tu kopać, dopóki nie otrzymasz ode mnie wiadomości. W odpowiedniej chwili prędko zlikwiduję tutejsze roboty i wycofam kulisów. Wyruszymy w wielkim pośpiechu.

- Jak sobie życzysz. Jeśli będę miał dość Cape, przyjadę do Charters Towers. I dziękuję ci, że spłaciłeś mój dług u pana Funga. - Wiedział, że Ying by się obraził, gdyby zaproponował mu zwrot pieniędzy. Dług został spłacony i na tym koniec.

Odprowadził przyjaciela do drogi i przywitał się z jednym z braci Yuang (nadal ich nie rozróżniał), wystrojonym jak mongolski wojownik w kimonową kurtkę, miecz i karabin. Już wcześniej zauważył, że Ying także ma lśniącego colta w kaburze pod kurtką. Świadomość, że zdają sobie sprawę z niebezpieczeństw, przyniosła mu ulgę. W tej zażartej walce o każdy cal ziemi konflikty były nieuniknione, a antagonizmy rasowe przybierały na sile. Chińczycy musieli stale mieć się na baczności.

- A przy okazji - rzekł Ying, wskazując na konia z niezwykłym u niego wigorem, który najwyraźniej zastąpił jego dotychczasową flegmę - w Charters Towers spotyka się wielu możliwych właścicieli ziemskich, a także poganiaczy z wielkich majątków.

- Nie wątpię.

- Dowiedziałem się, że twoja młoda dama o pięknym imieniu rezyduje obecnie na ranczo Caravale, którego jest...

- Wiem o tym - wpadł mu w słowo Lew. - A zatem Midletonowie wciąż tam tkwią, odgrywając farsowe role świeżo upieczonych hodowlanych baronów.

Migdałowe oczy Yinga zwięzły się z urazy.

- Ach, tak - wycedził. - Wobec tego zapewne wiesz także, że panna Perfection jest zaręczona z właścicielem rancza, panem Benem Buchananem.

Lew poczuł, jak fala krwi uderza mu do twarzy. Zdołał jakoś kiwnąć twierdząco głową i pomachać Yingowi na pożegnanie z pozorną beztróską, lecz był zdruzgotany. W pierwszej chwili miał ochotę jechać do Caravale, cóż jednak by na tym zyskał? Tylko zrobiłby z siebie głupca; odrzucony zalotnik na przekór oczywistym przeszkodom nadal usiłuje zdobyć względy damy. To Ben Buchanan trzyma atutową kartę, to on jest bratem "drogiego" Darcy'ego, następnym w kolejce do jej serca. Czy Perfy dostrzegła swoją pierwszą miłość w twarzy młodszego brata?

Być może nie docenił jej ambicji. Perfy pociągała go przede wszystkim dlatego, że była ciepła, bezpretensjonalna, obdarzona naturalnym wdziękiem i nie okłamywała go co do Caravale. Nie ukrywała determinacji, by obejrzeć i najchętniej zatrzymać swoją część

rancza, nie przypuszczał jednak, że poślubi współnika. Ten związek czynił ją jeszcze bogatszą. Czy o to tylko chodziło Middletonom? Zimna, twarda ambicja?

Lew rozczarował się co do Jacka. Chociaż, z drugiej strony, Jack powinien dbać o interesy córki, a jaką szansę ma morski obieżyświat w rodzaju Cavoura przeciw Buchananom?

Znad strumienia wygramolił się Herbert.

- Czego chciał ten żółtek? - spytał.

- Niczego - odparł Lew gwałtownie. - A jeżeli jeszcze raz nazwiesz go żółtkiem, dam ci w łeb.

Pani Buchanan była dla niej taka miła! Perfy nie wiedziała, jak się jej odwdzięczyć. Cornelia wszakże, jak kazała się nazywać, wyśmiała ją.

- Moja droga, nawet o tym nie myśl. Przeżyłaś ciężkie chwile, a my tu na wsi mamy zwyczaj pomagać sobie nawzajem. Prowincjusze, jak sama się przekonasz, są o wiele bardziej życzliwi względem siebie i gościnni niż mieszkańcy miast. Najważniejsze, że czujesz się lepiej.

W istocie, Perfy wreszcie zaczęła przychodzić do siebie. Kiedy mogła już wstać, sadzali ją codziennie na werandzie, gdzie było chłodniej niż w pokoju. Mae przynosiła jej tam posiłki, Cornelia dbała, aby Perfy miała pod dostatkiem książek do czytania. Było to wymarzone miejsce na rekonwalescencję.

Gdy wróciły jej siły, zaczęła spacerować po werandzie. Przyglądała się zabieganym kowbojom i słuchała fascynujących ją odgłosów ruchliwego gospodarstwa. Cornelia często jej towarzyszyła, tłumacząc różne wymogi właściwej hodowli bydła, i ze stojącego wysoko na wzgórzu domu pokazywała granice posiadłości.

Codziennie wieczorem, gdy Ben wracał do domu, siadali razem na werandzie, sącząc wino i gawędząc pogodnie o wydarzeniach dnia. Kolację także podawano na werandzie, przy świecach. Perfy uwielbiała te chwile. Imponowało jej, że Ben i Cornelia przebierają się do stołu, i żałowała, że ojciec nie zdążył się nacieszyć owym wytwornym i przyjemnym stylem życia.

Spacerowała po ogrodzie z Cornelią, od czasu do czasu siadała pod drzwiami, by odpocząć. Stamtąd mogła podziwiać wielki dom z piaskowca z czerwonym dachem z cedrowego gontu, zaprojektowany przez ojca Darcy'ego. Patrząc na ten dom, zdała sobie jednak sprawę, że wkrótce będzie musiała wyjechać. Nie mogła wiecznie siedzieć Cornelii na karku. Darcy miał rację, planując budowę własnego domu. Ten definitywnie należał do Cornelii. Ale teraz...

Perfy westchnęła. Teraz, po śmierci ojca, nie było tu dla niej przyszłości. Brakowało jej oparcia, jakie zawsze w nim miała. Wszelkie decyzje mieli podjąć razem, teraz będzie musiała podejmować je sama.

Na początek Perfy uczyniła wysiłek, by rozpocząć dyskusję z Cornelią.

- Chyba powinniśmy zastanowić się nad sprawą rancza - rzekła. - Nad tym, co powinnam zrobić.

- Na Boga, dziewczyno, nie wyzdrowiałaś jeszcze na tyle, żeby już się tym martwić. Poza tym nie widziałaś jeszcze posiadłości. Chcesz jutro przejechać się ze mną powozem i trochę się rozejrzeć?

- Z największą przyjemnością.

Dni mijały, one robiły sobie przejażdżki wzdłuż rzeki, aż do granicznej drogi. Zawsze towarzyszył im konno któryś z pracowników Caravale. Perfy była zaskoczona pustką tej krainy. Wyobrażała sobie, że wszędzie będą się pasły stada krów, ale ranczo było tak wielkie, że zdawały się one rozsiane na cztery wiatry.

Ben śmiał się, kiedy mu o tym powiedziała.

- Wkrótce je zobaczysz. Przed porą deszczową zawsze robimy przegląd.

Perfy zaczynała się tu dobrze czuć. Diamond, której z początku wyraźnie doskwierał pobyt w Caravale, też się uspokoiła i pogodziła z przymusowymi wakacjami na wsi, Perfy miała więc o jeden problem mniej. Cornelia zabierała ją na poranne inspekcje. Kontrolowały pracę czarnych kobiet robiących masło i sery, sprawdzały, czy solone mięso zostało obrócone w zalewie, odwiedzały obory i stajnie. Cornelia zawsze zaglądała w każdy zakątek tego wzorowego gospodarstwa. Potem piły poranną herbatę, podawaną w pięknej chińskiej porcelanie, jadły pyszne ciastka i bułeczki. Wyprawy te wciąż jeszcze bardzo męczyły Perfy, lecz nigdy by się do tego nie przyznała. Chciała zobaczyć tyle, ile się tylko da, nim wyjedzie. Nadal wszakże czekała ją trudna rozmowa o własności rancza.

Czwartego grudnia były urodziny Bena. Zjedli kolację w domu przy długim politurowanym stole, wyjątkowo starannie nakrytym z tej okazji. Cornelia otworzyła francuskiego szampana.

- Nie zawsze jest tu tak spokojnie. Zwykle zapraszamy wszystkich naszych sąsiadów - wyjaśniła. - Zatrzymują się u nas na kilka dni. Skoro jednak jesteś w żałobie, Perfy, pomyślałam, że byłoby to nie na miejscu. Ben też jest tego zdania.

- Och, tak mi przykro - rzekła Perfy, niepewna, czy nie jest to delikatna aluzja, że pora już, by wróciła do Bowen.

- Nie przejmuj się tym - wtrącił Ben. - O tej porze roku i tak przeważnie mamy mnóstwo pracy.

- Skoro siedzimy tu razem, powinniśmy się zastanowić, co począć z ranczem - odezwała się nieśmiało Perfy.

- Co proponujesz? - spytał Ben, uśmiechając się do niej, jak gdyby omawiali podział pudełka czekoladek.

- Sądzę, że doprawdy będzie najlepiej, jeśli sprzedam swój udział. Lubię Caravale, ale jest mi potrzebny własny dom.

- Co do tego masz rację, kochanie - rzekła Cornelia. - Niezależnie od tego, jak dobrze się rozumiemy, doświadczenie nauczyło mnie już, że dom nie może mieć dwóch gospodyń. Cieszę się, że i ty zdajesz sobie z tego sprawę. Ale sprzedaż twojej części komuś obcemu przysporzy nam tylko kłopotów. Następny nabywca może nie być tak wyrozumiały jak ty.

- Domyślam się - odparła Perfy. - Toteż sądzą, że mamy tylko dwa wyjścia: albo odsprzedam swoją część wam, albo będziemy musieli podzielić ranczo. Wtedy zachowacie swój dom, a ja sprzedam pozostałą połowę.

- Mamo - rzekł Ben cicho - Perfy ma rację. Chyba najlepiej będzie, jeśli to my odkupimy jej część.

Cornelia trzęsła się ze złości. Rozmawiali za dokładnie zamkniętymi drzwiami w gabinecie położonym w przeciwnym końcu domu.

- Słyszałeś tę idiotkę? - syczała. - Przeciąć ranczo na pół! Prędeż bym ją zabiła!

- Spokojnie - mitygował ją Ben. - Zgłosiłem naszą ofertę i będziemy musieli ją spłacić.

- Czym? Nie zdołamy zgromadzić takiej ilości gotówki bez obciążenia hipoteki.

- Nie możemy brać kredytu - uciął Ben sucho.

- No to co mamy zrobić? - Cornelia starała się mówić szeptem, lecz w jej głosie wibrowały przenikliwe nuty hysterii. - Trzeba to załatwić, zanim ona wyjedzie.

- Moglibyśmy dać jej jakiś zastaw, żeby zamknąć jej usta, a z resztą po prostu zwlekać.

- I jak myślisz, długo potrwa, nim Jauncy się zorientuje? Każe temu osłu Tolleyowi zasekwestrować ziemię i wtedy będziemy zmuszeni zaciągnąć kredyt. Spróbuj pogadać z tą dziewczyną, i to teraz, póki jest odpowiednia pora. Nie jest z nią tak dobrze, jak jej się wydaje, trzeba miesięcy, żeby dojść do siebie po żółtej febrze.

- O czym mam z nią rozmawiać, na miłość boską?

Cornelia przystanęła przy oknie, splótłszy ramiona na piersi.

- Będziesz się musiał z nią ożenić.

- O Chryste, nie zaczynaj znowu.

- Milcz! To jedyne wyjście z sytuacji. Dopóki jest tutaj i wszyscy się z nią cackają, zdaje jej się, że życie na ranczu to bajka. Ślub z Darcym miał otworzyć jej drzwi do lepszych sfer, bo o to tylko w gruncie rzeczy jej chodzi.

Ben opadł na fotel.

- Nie chcę się z nią żenić.

- Ale się ożenisz! - fuknęła Cornelia. - Chociaż raz spróbuj zrobić użytek z rozumu.

Dziewucha jest teraz zauroczona życiem na wsi, nigdy nie będziesz miał lepszej szansy. Skoro była dość dobra dla Darcy'ego, będzie dość dobra i dla ciebie.

- Zapominasz, mamó, że to Darcy wpakował nas w tę kabałę.

Cornelia stanęła przed nim.

- Nie. Winię za to ciebie. Gdybyś całej uwagi nie poświęcał rozrywkom towarzyskim, miałbyś oko na brata i dopilnowałbyś, żeby nie uwikłał się w ten związek.

Była zaskoczona, że Ben nie podjął sprzeczeki. I zadowolona. Przyszpiliła go, teraz robi, co mu każe. Nie miał wyboru. Później, gdyby się buntował, wyjaśni mu, że nie musi spędzić z Perfy reszty życia, zawsze może się rozwieść. Jako mąż przejmie jednak na własność jej udział, a co za tym idzie - całe Caravale.

- Jutro udam, że nie czuję się dobrze. Będziesz ją mógł zabrać powozem na piknik.

Mae spakuje wam koszyk z prowiantem.

- Nie mam czasu - mruknął.

- To go znajdź - ucięła. - Musisz poświęcić jej trochę uwagi, do diabła!

Nazajutrz rano Cornelia kazała ogrodnikowi oczyścić szlak do wodospadów, tak by powóz bez przeszkód mógł tamtędy przejechać. Poleciała Mae przygotować kosz z wykwinnym prowiantem, gospodyni zapakowała doń kurczęta na zimno, szynkę, świeżutki, jeszcze ciepłe rogaliki, ser, ptysie, bułeczki kukurydziane, lukrowany placek pomarańczowy oraz duży wybór świeżych owoców. Cornelia dopilnowała też, by w koszu znalazło się parę butelek dobrego białego wina.

- Planowałam dla ciebie niespodziankę, piknik, moja droga - rzekła do Perfy - ale czuję się dziś trochę słabo, poprosiłam więc Bena, żeby mnie zastąpił.

- To nie było konieczne - odparła Perfy. - Chętnie zostałabym z panią w domu.

- Nie, wszystko już przygotowane. Równie dobrze możecie jechać we dwoje. Ben za ciężko pracuje, wolny dzień wyjdzie mu tylko na zdrowie.

- Jest pani pewna, że nie będzie miał nic przeciwko temu?

- Z pewnością nie. Uwielbia pikniki. Często je urządzamy, kiedy przyjeżdżają goście.

Wszystkim bardzo się podobają wycieczki nad wodospad.

- Wodospad?

- O tak, Caravale nie składa się wyłącznie z kurzu i suchych ostów. Okolice wodospadów to prawdziwa atrakcja krajobrazowa.

I tak było w istocie. Perfy zazdrościła im tego, że mają na własność tak piękny zakątek z pianistym wodospadem, toczącym się trzema oddzielnymi kaskadami do jeziora wśród skał.

- Kiedy pada deszcz, łączą się w jeden duży wodospad - opowiadał jej Ben. - Wspaniały widok!

- Moim zdaniem i dziś jest urzekający.

Perfy zdjęła buty i pończochy i usiadła na skale, przebierając stopami w zimnej wodzie.

- Patrz! - zawołała. - W jeziorku są ryby! Jak one skaczą!

Ben był świetnym towarzyszem, sam nalegał na piknik i zanim wzięli się do jedzenia, usiadł obok niej na kamieniu z butelką wina i dwiema szklankami.

- Doskonały trunek - roześmiała się Perfy. - Czuję się niezmiernie dekadentko, pijąc wino na łonie przyrody.

- Bądźmy więc dekadentcy - odparł. - Wiesz, nawet się cieszę, że mama nie mogła przyjechać tu z nami. To moje ulubione miejsce, a bardzo dawno tu nie byłem. W dzieciństwie często pływaliśmy tu z Darcym.

Perfy milczała, przyglądała się rybom, które przemykały pod przejrzystą taflą.

- Mam nadzieję, że nie zasmuciłem cię, mówiąc o Darcym - dodał Ben.

- Nie, właściwie nie - odparła po namyśle. - Tu nie sposób się smucić. To takie radosne miejsce; wodospady szumią, ptaki i cykady śpiewają, życie wprost tu kipi.

- Wobec tego się cieszę, że cię tu przywiozłem. Jesteś zbyt piękna, by zasklepić się w żałobie. Przykro mi, że nie zdążyłem się z tobą zaprzyjaźnić w Brisbane, Perfy, ale byłem całkowicie pochłonięty propozycją kandydowania do parlamentu. To była taka sensacyjna nowina, taka nieoczekiwana...

- Z pewnością - przytaknęła Perfy.

Nie pierwszy raz Ben mówił jej, że jest piękna, robił to przy tym w taki sposób, jak gdyby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie.

Naprawdę dał się lubić. To zrozumiałe, był przecież bratem Darcy'ego.

- Kiedy jedziesz do Brisbane? - zapytała.

- Marzenie prysło - odparł ze smutkiem. - Darcy miał zarządzać Caravale, żebym ja mógł zająć się polityką. Teraz nie mogę opuścić rancza.

- Tak mi przykro...

- Niepotrzebnie. Czasem mam wrażenie, że to był tylko sen. Widać po prostu nie było mi to pisane. Zresztą gdy wróciłem, zdałem sobie sprawę, jak bardzo kocham ten kawałek ziemi. Nie mógłbym być szczęśliwy z dala od Caravale.

Podobnie Perfy myślała ostatnio o Darcym. Że to był tylko sen. Piękny sen, który nie miał się ziścić.

Ben jakby czytał jej w myślach.

- Czasem los decyduje za nas - dodał. - Ale wierzę, że Darcy chciał, żebyś mimo wszystko przyjechała do Caravale. Ta ziemia jest rzeczywista. My też jesteśmy prawdziwi.

Zanim Perfy zdążyła się nad tym zastanowić, wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Chodźmy, mademoiselle, poczęstunek czeka.

Wyłożył nakryte muślinową serwetką wiktuały na trawę pod dużą wierzbą.

- To najlepsze miejsce - stwierdził. - Uważaj tylko na te wielkie mrówki, tną mocno jak pszczoły.

Było to leniwe, rozkoszne popołudnie i z pewnością najlepszy posiłek, jakim od dawna Perfy miała okazję się delektować. Oboje jedli z apetytem, później Ben wyjął drugą butelkę wina ze strumyka, w którym się chłodziła. Rozmawiali beztrąsko o Brisbane, o Caravale, śmiali się, wspominając wyczyny z dzieciństwa. Perfy znów czuła się zupełnie swobodnie.

- Przykro mi z powodu twego ojca - rzekł po pewnym czasie Ben. - Chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo mi przykro. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy...

- Wiem - potwierdziła serdecznie, widząc, jak jest przygnębiony. - Powinnam cię przeprosić. Wpadłam wtedy w histerię. Diamond opowiedziała mi wszystko, kiedy się uspokoiłam.

- Rozumiem - rzekł cicho, choć wciąż był jakby czymś przybity. - Prawdę mówiąc - dodał, zmieniając temat - boję się myśleć o dniu, w którym stąd wyjedziesz.

- Naprawdę? - Perfy rozkosznie zakręciło się w głowie. Oszalał ją wino i bliskość Bena.

Skinął głową.

- Kiedy wyjedziesz, zostaniemy sami, mama i ja. Cornelia nie cierpi, kiedy mówię o niej "mama". Nie masz pojęcia, jakie to cudowne, kiedy człowiek wraca wieczorem do domu, a tam czeka na niego młoda śliczna dziewczyna. Jesteś taka radosna. Kiedy musiałem zostać na noc w sawannie, tęskniłem za tobą. Bardzo będzie mi ciebie brakować.

- Ładnie z twojej strony, że tak mówisz - szepnęła. Pochlebił jej, była nim oczarowana. Tak łatwo i przyjemnie się z nim rozmawiało, nie lubił się spierać i nie był tak

wymagający jak Lew. Łączyło ich coś więcej, nie tylko Caravale. Zresztą gdzie był Lew? Matka napisała jej w liście, że jego dżonka została zniszczona, on zaś wyjechał z miasta.

- Skończmy wino i w drogę - rzekł Ben.

Zaprzągnął konia do powozu, później z pomocą Perfy spakował koszyk. Gdy siedzieli pod drzewem, jej kapelusz potoczył się aż nad brzeg rzeki. Ben poszedł po niego i zawiązał jej wstążki pod brodą.

- Wyglądasz dziś prześlicznie. Tak jak dawniej.

- Dzięki. Zaczynałam się już bać, że na zawsze zostanę żółta.

- Niemożliwe.

Koń przebierał nogami, gotów do biegu, Ben więc podał jej ramię i pomógł wsiąść do powozu.

- Dobrze się bawiłaś?

- Wspaniale, Ben. To był cudowny dzień.

Uśmiechnął się.

- To ty jesteś cudowna. Czy dziwi cię, że kolejny Buchanan też się w tobie zakochał?

Perfy opuściła nogę, którą trzymała już na stopniu.

- Owszem - bąknęła. - Chyba mnie to dziwi.

Wzruszył ramionami.

- No, cóż... Uznałem, że mogę ci to powiedzieć, chociaż wiem, że nie mam szans.

Kocham cię, Perfy. I, na Boga, tak bardzo będę za tobą tęsknił!

Perfy spojrzała na jego gładką opaloną twarz, w łagodne smutne oczy, i nagle jej serce wyrwało się ku niemu - ku mężczyźnie, któremu naprawdę na niej zależało.

Ben umocował lejce i objął ją.

- Tu jest twoje miejsce - rzekł. - W Caravale. Przy mnie.

- Wiem - szepnęła. Nikt nie dał jej takiego poczucia bezpieczeństwa i nikt tak namiętnie jej nie całował jak Ben. Ranił jej usta, zostawił ślady na szyi, lecz nie dbała o to, jego mocne dłonie przesuwały się gorączkowo po jej piersiach, dotykając ich przez cienką bawełnianą tkaninę - szokująco, lecz nad wyraz przyjemnie. Przycisnął ją mocniej do siebie. Nigdy nikogo nie pragnęła tak bardzo jak jego, musiała zebrać wszystkie siły, żeby go odepchnąć.

- Lepiej już jedźmy - rzekła, wygładzając sukienkę.

- Tak - roześmiał się i cmoknął ją w policzek.

Kiedy dwukółka wytoczyła się na trakt, znowu ją objął.

- Powiedz mi, że mnie kochasz, Perfy.

Przytulila się do niego.

- Chyba rzeczywiście cię kocham, Ben. I jestem pewna, że Darcy by to pochwalił.

O czwartej po południu dał się słyszeć głuchy odległy łoskot grzmotu, błękit nieba na zachodnim horyzoncie jakby przybladł. Wciąż nie było chmur, niebo tylko straciło nagle barwę i pokryło się szarym nalotem. Grzmot rozległ się ponownie, tym razem bliżej, szarość pociemniała do czerni i zaczęła się rozlewać jak atrament. Rozwidlona oślepiająca błyskawica przecięła z trzaskiem niebo. Buk przy cmentarzu z rozpaczą wyrzucił w górę konary i zwałił się na ziemię. Suche liście natychmiast zajęły się ogniem.

Na padoku przy domu konie rżały i stawały dęba. Grzmoty i błyskawice przetaczały się nad ziemią, współzawodnicząc w tym zapamiętałym pokazie grozy. Diamond napawała się niecodziennym widokiem, nieświadoma, że w wyschniętym na pieprz buszu bezdeszczowa burza może skrzesać gwałtowny pożar, a pioruny kuliste zagrażają także domostwu.

Kiedy burza ucichła, zostawiając za sobą ołowianoszare niebo, z obozu nadbiegły czarne dziewczęta.

- Dużo wielkie "bum!", he? - zawołała do niej Poppy. - Niedługo wielkie corroboree. Idzie deszcz.

Diamond wiedziała, że burze są zapowiedzią pory deszczowej, mogły się jednak ciągnąć miesiącami, wabiąc obietnicą deszczu, lecz skąpiąc wody spragnionym rzekom i strumieniom. Zaczęła się zastanawiać, kiedy wróci do Bowen. Perfy napisała do matki, że będzie w domu na długo przed Bożym Narodzeniem - jeśli wszakże deszcze będą obfite, rzeki wyleją i nikt nie zdoła się przez nie przeprawić. Diamond bynajmniej nie tęskniła za Bowen, najchętniej w ogóle by tam nie wracała. Nie mogła znieść myśli o rozstaniu z Benem.

Ludzie z plemienia Ilba wiedzieli o wszystkim, orientowali się, że ona i Ben są kochankami. Diamond nie musiała pytać, skąd wiedzą - wszystko, co żywe, mówi. Kiedy pojawiała się w obozie, uśmiechali się z aprobatą i zerkali na nią figlarnie. Uwielbiali sekrety. Przebywając wśród nich, Diamond była dumna ze swojej miłości, na ranczo natomiast musiała wciąż mieć się na baczności. Nie chciała przysparzać Benowi kłopotów. Gdyby jego matka odkryła ich romans, wybuchłaby straszna awantura, której wynik trudno było przewidzieć. Diamond wołała w ogóle o tym nie myśleć.

Wokół wszyscy zdążyli się już do niej przyzwyczaić, mogła teraz wchodzić do kuchni, kiedy tylko chciała, pod warunkiem że nie będzie rzucać się w oczy pani Buchanan. Brudna

wiata, pod którą jadali posiłki czarni pracownicy rancza, wyprowadziła ją w końcu z równowagi. Diamond wysprzątała ją i za pozwoleniem Mae zainstalowała pod nią prowizoryczne ławy z desek i stoły z odwróconych skrzynek po herbacie. Namówiła Mae, by dała jej kawał moskitiery. Rozpięła ją po bokach, dolny brzeg przygwoździła kamieniami do ziemi. Teraz przynajmniej można się tam było opędzić od much.

Chmury wisiały nisko, noc była parna i gorąca. Kiedy Ben wymknął się z domu, czekała na niego na schodkach.

- Wewnątrz będzie duszno - powiedział. - Chodź ze mną.

Zabrał koc i cicho poprowadził ją do sadu. Kochali się pod gwiazdami. Został o wiele dłużej niż zwykle, niemal do świtu, a ich miłość była tak namiętna, że Diamond nie potrafiła uwierzyć, iż życie na ziemi może być tak cudowne. Człowiek, którego kochała, był tu, obok niej, z własnego wyboru, noc w noc. Ów piękny sen wszakże zbliżał się ku końcowi.

- Czy coś cię martwi, Ben? - spytała.

- Nie - wymamrotał, a potem jakby raptem zmienił zdanie. - W zasadzie tak. Nie wiem, jak ci to powiedzieć, Diamond... Będziesz musiała stąd wyjechać.

Ta chwila musiała oczywiście nadejść. Kiedy Perfy wyjedzie, jakąż wymówkę zdoła znaleźć Diamond, by zostać? Nie chciała jednak poddać się bez walki.

- Nie chcę wyjeżdżać. Nie ma dla mnie życia bez ciebie.

- Mówiłaś, zdaje się, że chcesz odnaleźć swoje plemię.

- To było, zanim cię poznałam - uśmiechnęła się. - Czy nie mógłbyś załatwić mi tu jakiejś pracy? Obojętne, jakiej.

- To niemożliwe.

Oboje chwilę milczeli. W mroku zamajaczyło lustro małego oposa, który przemieszczał się ukradkiem po gałęzi.

- Kiedy wyjeżdżamy? - spytała.

- Diamond, nic nie rozumiesz. Nie możesz tu dłużej zostać, musisz odejść. Nie ma dla nas przyszłości. Równie dobrze możemy zerwać ze sobą już teraz.

Zimna dłoń złapała ją za serce. Teraz. Powiedział: "teraz". Czy to jest koniec ich miłości? Niemożliwe, Ben nigdy nie powiedział, że ją kocha, upomniała się w duchu. Na pewno ją kocha, musi kochać!

- Nie przyjdiesz już do mnie? - zapytała, z trudem dobywając głos.

- Nasi ludzie jadą jutro rano do Charters Towers. Chcę, żebyś zabrała się z nimi. Wsadzą cię do dyliżansu jadącego do Townsville. Stamtąd możesz wrócić statkiem do

Bowen, do pani Middleton. Opłacę twój przejazd. Od kiedy zaczęły kursować dyliżanse, kobietom o wiele łatwiej podróżować w ten sposób niż łądem.

- O czym ty mówisz? - zawołała z gniewem. - Nie obchodzi mnie, jak jest łatwiej. Dlaczego muszę jechać? A co z panną Perfy?

Ben westchnął.

- Nie jesteś jej tu potrzebna, Diamond. Sama o tym wiesz. Poza tym mama zabiera ją na parę dni do Merri Creek. Mają się tam odbyć doroczne wyścigi.

- Nie mogę jechać z nią?

- Miałaś te same problemy co tutaj. Nie ma tam miejsc do spania dla... - zawahał się - pokojówek.

- Chciałeś powiedzieć: "czarnych"?

- No dobrze, czarnych! Ci ludzie by nie zrozumieli.

- Ty też jedziesz?

- Tak, zawsze biorę udział w wyścigach.

- Jedź więc - rzekła. - Ja tu zaczekam. Pracuję u panny Perfy i odejdę, kiedy ona każe.

- Wyjedziesz jutro - uciał, wstając i wpychając koszulę do spodni.

- Nie.

Spojrzał na nią z góry, wzruszył ramionami i odszedł bez słowa. Diamond nieraz wyobrażała sobie ich rozstanie: tkliwe pożegnania, słodkie pocałunki wymieszane z gorzkimi łzami. Roiała sobie, że Ben w ostatniej chwili nie zgodzi się na to, by ich miłość miała się skończyć. Nawet przez moment nie przewidywała, że tak zimno ją odepchnie.

Następnego dnia rano z nerwami w strzępach pomogła Perfy spakować kuferek na wizytę w Merri Creek. Słuchała jej pełnych emocji opowieści o czekających ją w ciągu najbliższych trzech dni rozrywkach.

- Będą wyścigi konne i tańce, i zawody w ujeżdżaniu byków, mają tam nawet trawiaste boisko do krykieta. Zjadą się wszyscy hodowcy z całej okolicy, alez będzie zabawa! Tak mi przykro, że nie możesz jechać ze mną, Diamond, ale wiesz, jacy są ci ludzie. Zresztą chyba dobrze się tu czujesz, prawda?

A zatem to nie Perfy chce się jej pozbyć. -

- Tak - odparła. - Zupełnie dobrze.

Tegoż ranka zauważyła czterech mężczyzn z tobołkami przy siodłach. Podejrzewała, że to oni mają stanowić jej eskortę. Udała, że ich nie widzi.

Benowi to minie, powiedziała sobie. Kilka dni z dala od niej tylko dobrze mu zrobi. Zateškni za nią. Kiedy wróci, na pewno zmieni zdanie i pozwoli jej zostać przynajmniej do wyjazdu Perfy. Wtedy jednak, uświadomiła sobie, i ona będzie musiała opuścić Caravale. Chyba że (istniała przecież taka nadzieja) Ben stęskni się za nią tak, że zapragnie ją zatrzymać.

Nie było ich całe cztery dni, nie trzy. Diamond codziennie po południu pływała pod wodospadem. Pożyczała książki od Mae, która zachowywała się o wiele przystępniej teraz, gdy pani Buchanan nie było w domu. Zrywała też owoce mango z wielkich starych drzew i nosiła je do kuchni, gdzie Mae robiła dżemy i marynaty.

- Cudownie spędziliśmy czas! - oznajmiła Perfy po przyjeździe. - W życiu tak dobrze się nie bawiłam! Ci ludzie są tacy weseli, bez przerwy się śmieją i żartują z siebie nawzajem. Wyobraź sobie, że codziennie wieczorem tańczyliśmy i śpiewali! Jednej nocy bawiliśmy się aż do rana i potem wszyscy w wieczorowych strojach usiedli do śniadania na trawniku w ogrodzie.

- Cieszę się, że panienka wreszcie miała trochę rozrywki - rzekła Diamond. Mówiła szczerze; Perfy dość wycierpiała, zasłużyła na to, by wreszcie zaznać trochę radości. - Wygląda teraz panienka dużo lepiej.

- Nic dziwnego - szepnęła Perfy. - Najlepszą wiadomość zatrzymałam na koniec. W sobotę wieczorem ogłosiliśmy z Benem nasze zaręczyny. To dlatego zostaliśmy o jeden dzień dłużej. Uparli się wydać na naszą cześć specjalne przyjęcie.

Diamond nie słuchała. Dalszy ciąg opowieści zmieszał się w jej uszach w szum, z minuty na minutę coraz głośniejszy i natrętniejszy. W końcu nie mogła go już dłużej znieść. Złapała parę sukienek do prania i uciekła.

Ben niczego jej nie wyjaśnił. Kobiety Ilbów, mijając ją, spoglądały na nią ze smutkiem. Przez trzy dni prawie nie wychodziła ze swojego pokoju, nazbyt załamana, by zdobyć się na jakikolwiek wysiłek. Codziennie po południu, jak gdyby na złość, burze urządzały ruchomy spektakl świateł i dźwięków, lecz nie spadła ani kropla deszczu. W powietrzu czuło się takie napięcie, że Diamond miała wrażenie, iż zaraz eksploduje.

Myśląc, że dziewczyna jest chora, Mae przyniosła jej wazę jęczmiennego kleiku.

- To ta przekłeta pogoda - stwierdziła. - Wszyscy wychodzą ze skóry. Mężczyźni pracują jak wściekli, żeby zdążyć nacechować cielaki i spędzić bydło przeznaczone na sprzedaż. Musieliśmy wysłać im więcej prowiantu, na wypadek gdyby te burze nie okazały się tylko straszakiem.

Jannali przysła ją odwiedzić. Stała skrepowana w drzwiach, pot spływał jej po obfitych piersiach.

- Dziś wielkie corroborree - powiedziała. - Dużo jeść i tańczyć. Ty przyjdzie?

- Dziękuję ci, Jannali, ale chyba nie.

Kobieta zajrzała do ciemnego pokoju.

- Ty dużo płakać. Niedobrze. Ty lepiej idzie stąd, Kagari. Słyszysz?

- Tak - odparła tępo Diamond.

- Niedobrze tu zostać - nalegała Jannali. - Białe, oni nie brać czarne dziewczyny za żony.

Diamond spojrzała jej w oczy.

- Ale się z nimi kochają, prawda?

Jannali zastukała niecierpliwie w drzwi, jak gdyby chciała przykuć uwagę Diamond.

- Nie kocha. Tylko obłapia. Szkoda płakać.

O zmierzchu rozpoczęło się corroborree. Diamond słyszała niosące się w powietrzu nucenie śpiewaków, lecz nie mogła się zmusić, żeby zejść do obozu i popatrzeć. Czuła się upokorzona, straszliwie zraniona i wściekła; po łzach przyszedł gniew, aż w końcu nie była już w stanie dłużej kulić się w samotności.

Umyła się i starannie ubrała - włożyła najlepszą bluzkę i spódnicę, pończochy i buty. Związała włosy jasną kwiecistą szarfą, po czym udała się do kuchni. Przystanąła na progu długiego korytarza wiodącego w głąb domu. Dotąd zawsze chodziła do pokoju Perfy przez werandę. Teraz uświadomiła sobie, że jest równie onieśmielona jak wszyscy Aborygeni, niezdolna zebrać się na odwagę, żeby bez zaproszenia zapuścić się na pokoje. To wprawiło ją w jeszcze większą złość.

Kiedy tak stała, nie chcąc się cofnąć, lecz bojąc się iść dalej, w holu pojawiła się pani Buchanan.

- Kto tam? - zawołała, zaglądając do ciemnej opustoszałej kuchni.

- To ja, Diamond.

- Czego chcesz?

- Chciałabym się zobaczyć z panem Benem - bąknęła Diamond, zzymając się w duchu. Dlaczego miałyby o nim mówić: pan Ben? Był jej kochankiem.

- Nie ma go w domu, został w terenie. Do czego ci jest potrzebny?

- To nieistotne. - Diamond już miała się wycofać jak niepyszna, kiedy sama świadomość, że ta kobieta zdołała ją spławić, kazała jej się zatrzymać. - A czy mogłabym zobaczyć się z panienką Perfy?

- Jest zajęta. Będziesz mogła zobaczyć się z nią rano.

Zajęta? W saloniku i frontowym holu wciąż paliły się światła. Perfy zapewne szła lub czytała, gawędząc z przyszłą teściową.

- Chcę pomówić z nią teraz - oznajmiła stanowczo Diamond.

- Precz! - rozkazała pani Buchanan i odwróciła się, by odejść.

Diamond ruszyła za nią.

- Proszę nie mówić do mnie w ten sposób. Muszę się widzieć z panią Perfy.

- Z nikim się nie zobaczysz! - wybuchnęła Cornelia. - A teraz wynoś się z mojego domu!

W drzwiach saloniku stanęła Perfy.

- O co chodzi? Ach, to ty, Diamond. Myślałam, że jesteś na corroborree.

- Chciałabym z panią porozmawiać.

- Także coś! - westchnęła pani Buchanan. - Przepraszam cię, Perfy. Mówiłam jej, żeby przyszła rano.

- To niekonieczne. Słucham, Diamond.

- W cztery oczy - oświadczyła dziewczyna.

Perfy spokojnie kiwnęła głową i przeszła w ślad za Aborygenką przez kuchnię na oświetlony ganek na tyłach domu.

- Co się stało? Wyglądasz na zmartwioną.

Ku swemu przerażeniu, Diamond wybuchnęła płaczem. Może to i lepiej, że Bena nie ma w domu. Pewnie przy nim też by się rozpląkała.

- No, co ty... - rzekła Perfy. - Chyba nie jest aż tak źle? Jesteś zmęczona pobytem tutaj? Ta pogoda potrafi być przygnębiająca.

- To nie to. Muszę coś panią powiedzieć... - Diamond urwała. Perfy była teraz taka wypoczęta, szczęśliwa... I taka niewinna. Czy może zadać podobny cios dziewczynie, która obdarzyła ją przyjaźnią? Diamond żałowała, że ojciec Perfy nie żyje. Co on by zrobił w tej sytuacji? To pytanie utwierdziło ją w przekonaniu, że czyni słusznie. Jack Middleton niczego by nie ukrywał! Powiedziałby córce prawdę i stawił czoło Benowi Buchananowi - tak jak ona próbuje to zrobić.

- Co się stało, Diamond? Mnie możesz powiedzieć - ponagliła ją delikatnie Perfy.

Diamond wzięła głęboki wdech.

- Przepraszam, panno Perfy. Naprawdę bardzo mi przykro. Ale Ben jest moim kochankiem. Już od dłuższego czasu - te ostatnie parę słów dodała szeptem.

Perfy spojrzała na nią. Otworzyła usta, lecz zabrakło jej tchu i wyrwał się z nich tylko stłumiony okrzyk. Po chwili odzyskała panowanie nad sobą.

- Diamond, nie mów takich rzeczy. To podłe kłamstwo, robisz to, żeby mnie zranić.

- To nie jest kłamstwo. Nie może panienka za niego wyjść. On przez cały ten czas ze mną sypiał.

Perfy zakryła dłońmi uszy.

- Nie wierzę ci! Nie wiem, co w ciebie wstąpiło, odkąd tu jesteśmy, ale nie pozwolę ci oczerniać Bena.

Wielkie krople deszczu zaczęły padać na schodki, zostawiając na nich ciemne plamy. Diamond wpatrywała się w nie, stojąc bez słowa przed Perfy. Cóż jeszcze mogła jej powiedzieć?

- Musisz stąd wyjechać, Diamond. Ben będzie wściekły, kiedy się o tym dowie.

- O, wyjadę! Sam kazał mi wyjechać. Chciał się mnie stąd pozbyć, żeby... - Zanim dokończyła zdanie, na ganek wpadła w furii pani Buchanan. Najwyraźniej podsłuchiwała pod drzwiami.

- Mówiłam ci, że ta dziewczucha to nic dobrego, Perfy, ale nie chciałaś mnie słuchać! - zawołała. - A ty - zwróciła się do Diamond - wynoś się stąd! Co za ohydna potwarz! Wszystkie jesteście takie same, rozparzone suki, nagabujecie białych mężczyzn i wymyślacie odrażające bezceństwa! Chodź do domu, Perfy, i to już.

- To pani jest odrażająca! - wrzasnęła na nią Diamond, wreszcie mając na kim wyładować swój gniew. - Perfy jest za dobra dla tej rodziny i im prędzej zda sobie z tego sprawę, tym lepiej! To ona żyje tu złudzeniem, nie ja!

Nagle zmitygowała się i spojrzała na Perfy, bladą i wstrząśniętą, którą pani Buchanan usiłowała wepchnąć do domu. Chwyciła ją za rękę.

- Nie - dodała. - Ja chyba też tylko śniłam. Przepraszam cię, Perfy.

Zeszła ze schodków wprost w siekące ziemię oczyszczające strugi deszczu. Zanim doszła do mleczarni, lało już jak z cebra. Ukochany, ciemny, krzepiący deszcz, w którym można się schronić przed smutkiem.

Rano Perfy zapukała do jej drzwi. Odzież miała przemoczoną do nitki, z włosów ciekła woda.

- Proszę wejść, schronić się przed deszczem - rzekła Diamond, lecz Perfy odmówiła.

- Nie, dziękuję. Chciałam zadać ci jedno pytanie. Tylko nie kłam, błagam, nie okłamuj mnie, Diamond. Czy to wszystko prawda?

- Tak.

Perfy skinęła głową.

- Tak też myślałam. Cóż, ja dziś wyjeżdżam. Możesz jechać ze mną albo zostać, wedle woli. Nie chcę go już nigdy więcej widzieć i nigdy nie przebaczę ani jemu, ani tobie.

- Dlaczego mnie? Nie sądzi pani, że ja też mam uczucia?

- Twoje uczucia mało mnie w tej chwili obchodzą. Gdybyś chociaż słowem napomknęła mi, co się dzieje, nie znalazłabym się w tak upokarzającej sytuacji.

- Doprawdy? - spytała kwaśno Diamond. - A gdybym powiedziała wcześniej? Na pewno by panienka tego nie pochwaliła.

- Oczywiście że nie, ale przynajmniej bym cię uprzedziła, że i tak cię rzuci!

Jej słowa zapiekły jak ogień, lecz Diamond nawet nie drgnęła.

- Pomóc się panience spakować? - spytała ze znużeniem.

- Nie, dziękuję, dam sobie radę sama. Idę powiedzieć pani Buchanan, że wyjeżdżam.

Co zamierzasz zrobić?

- Pojadę z panienką. Możemy udać się do Charters Towers, a stamtąd na wybrzeże.

- Wiem o tym - rzuciła Perfy ze złością. - Pojedziemy do Charters Towers i tam się rozstaniemy. Jesteś wolna, możesz iść, dokąd zechcesz.

Diamond wzruszyła ramionami. Reakcja Perfy była zrozumiała. Gniew na Bena, jaki obie czuły, nie wystarczał, by przezwyciężyć rozłam między nimi. Poza tym Diamond wciąż kochała Bena. Zastanawiała się, czy Perfy też go kocha.

Cornelia siedziała w swoim pokoju przy biurku i nerwowo przebierała palcami, pogrążona w myślach. Dzięki Bogu, że Ben jest zajęty z Tomem na zachodnich rubieżach majątku. Przy odrobinie szczęścia załatwi tę sprawę przed jego powrotem.

A to suka! Wyszczekana czarna zdzira! Pewnie łatwo jej przyszło uwieść młodego zdrowego chłopca, takiego jak Ben. Perfy po prostu nie rozumie tych rzeczy. Trzeba będzie wszystkiemu zaprzeczyć. Słowa tej czarnuchy mają niewielką wagę przeciw słowu Bena. Cornelia wyrzucała sobie, że nie wysłedziła wcześniej ich romansu. Widać tym razem Ben był wyjątkowo ostrożny. Ciekawe, czy Diamond jest w ciąży. Nie, gdyby tak było, w pierwszym rzędzie to właśnie rzuciłaby im w twarz.

Cornelia spojrzała w zalane deszczem okno. Nawet jeśli to tylko przelotna letnia burza, i tak chwala za nią Bogu. Potrzebowali wody, studnie zaczynały się już wyczerpywać i Ben musiał przepędzić bydło, tak żeby miało dostęp do tych paru strumieni, które jeszcze nie wyschły. Bywały lata, gdy po przejściu wczesnych deszczów na próżno czekali na obfite lutowo-marcowe opady. Wówczas mogli być pewni kłopotów. Cornelia zmusiła się, by

powrócić do bardziej palących spraw. Przede wszystkim trzeba się pozbyć tej awanturnicy. Każe ludziom wywieźć ją po cichu na graniczną drogę i tam dać jej kopa. Nie pierwszy raz musieli przepędzać kłopotliwych krajowców.

Rozległo się pukanie do drzwi. Cornelia obróciła się niecierpliwie. A to co znowu? Była piąta rano.

- Proszę! - zawołała.

W progu stała Perfy, ociekając wodą.

- Moja droga! - zawołała Cornelia. - Spójrz na siebie, jesteś kompletnie przemoczona. - Zerwała się na nogi i podała Perfy duży ręcznik. - Wytrzymaj się, na litość boską. Dobrze, że jest upał, inaczej zaziębiłabyś się na śmierć.

Perfy wzięła ręcznik i zarzuciła sobie na ramiona.

- Cornelio, przyszłam, żeby podziękować pani za gościnę i opiekę. Wyjeżdżam dziś z Caravale. Cieszę się, że pani nie obudziłam, chciałabym wyruszyć przed świtem.

- Perfy, na miłosierdzie Pańskie, nie możesz tak po prostu wyjechać! Zjemy razem śniadanie i wspólnie zastanowimy się, co dalej.

- Już podjęłam decyzję. Wyjadę natychmiast, jak tylko będzie to możliwe. Byłabym wdzięczna, gdyby dała mi pani eskortę do Charters Towers.

- Ależ, Perfy, a twoje rzeczy?

- Mój kufer przybył tu przede mną z karawaną wołów, może go pani odesłać do Bowen w ten sam sposób.

Cornelia uśmiechnęła się.

- Perfy, kochanie, nie to miałam na myśli. Chodziło mi o to, że nie możesz wyjechać tak nagle. Trzeba się przygotować do drogi. Ale na Boga, chyba nie opuszczasz nas z powodu tego, co powiedziała twoja pokojówka?

- Prawdę mówiąc, tak - odparła Perfy. - I chciałabym to zrobić jak najprędzej.

Cornelia wzięła ją za ramię i posadziła na krześle, świadoma, iż mokra suknia dziewczyny zniszczy brokatowe obicie.

- Posłuchaj mnie, dziecko. Nie znasz czarnych. To bardzo dziwni ludzie. Aborygenki zawsze umizgują się do białych mężczyzn. - Zaśmiała się. - Chyba nie wierzysz w te brednie, które plecie Diamond?

- Owszem, wierzę. I bardzo mi przykro, Cornelio, że to wszystko spadło na panią. Cóż, zapewne w ciągu spędzonych tu lat musiała pani stawiać czoło jeszcze gorszym problemom.

Dziewczyna mówiła tak stanowczo, że Cornelia nie wierzyła własnym uszom. Od pierwszej chwili uważała Perfy za ciepłą kluczę, a do tego histeryczkę, teraz jednak miała okazję się przekonać, z jakiej gliny ulepiona jest panna Middleton. Znadto się o nią troszczyli, kurując ją z febry, a wystarczyło parę naparów z makowego popiołu i mieliby z głowy tę pannicę. W pewnym momencie Cornelia całkiem serio brała to pod uwagę, uznała wszakże, że nie jest to konieczne. Ależ była głupia, nie doceniając tej dziewczyny! I jakim przeklętym głupcem okazał się Ben! Już ona mu pokaże, niech tylko dostanie go w swoje ręce!

- Nie widzę tu żadnego problemu - oświadczyła. - Możesz przynajmniej poczekać, aż Ben wróci do domu, i wysłuchać, co on ma do powiedzenia.

- Bardzo niechętnie.

- Nie sądzisz, że jesteś niesprawiedliwa? Jestem jego matką. Znam moich synów. Ani Ben, ani Darcy nigdy nie uganiał się za dzikusami.

- Z wyjątkiem Diamond. Ona jest inna. Potrafię zrozumieć, że go pociągała.

- Bzdura! Nie nazwiesz chyba tej dziewczuchy atrakcyjną! Przecież to całkiem inna rasa!

Spirały się dalej, lecz Perfy była twarda jak kamień. W końcu Cornelia udała, iż się poddaje.

- Dobrze. Zobaczą, co da się zrobić. Musisz jednak pamiętać, Perfy, że to nie ja tutaj rządę, tylko Ben. Mężczyźni mają dużo pracy. Poza tym to nieokrzesani ludzie. Nie mogę cię wysłać w drogę z pierwszym lepszym.

- Chcę wyjechać jeszcze dzisiaj.

- Twoja matka nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym wyprawiła cię w busz bez opieki przyzwoitego i odpowiedzialnego dżentelmena. Bóg jeden wie, co mogłoby ci się przydarzyć, boję się nawet o tym myśleć. Teraz odpocznij, a ja zobaczą, co będę w stanie zdziałać.

Godziny mijały, po południu duchota zrobiła się jeszcze większa. Diamond nie dostała żadnej wiadomości od Perfy, poszła więc do niej zajrzeć.

- Pani Buchanan załatwia dla nas eskortę do Charters Towers - poinformowała ją Perfy.

- Kiedy wyjeżdżamy?

- Najszybciej, jak to możliwe - brzmiała sucha odpowiedź.

- Panno Perfy, nie chcę panienki jeszcze bardziej martwić, ale wątpię, czy ona panienkę wypuści. Tylko mnie chce się pozbyć.

- I trudno się jej dziwić! Co do mnie, mogę stąd wyjechać, kiedy tylko zechcę.

Diamond milczała, zrozpaczona. Nie chciała się spierać, choć była pewna, że to ona ma rację. Perfy, która siedziała w wiklinowym fotelu, usiłując czytać - a raczej udając, że czyta - w końcu odłożyła książkę.

- Dobrze - rzekła. - Pójdę i dowiem się.

Cornelia nie zjawiała się na lunchu, a Mae bąknęła tylko, że pani B. odpoczywa. Jej bezczynność zaniepokoiła Perfy, skoro jednak pani Buchanan często wydawała polecenia za pośrednictwem Mae, możliwe, iż mimo wszystko poczyniła pewne wysiłki.

- Czy można, pani Buchanan?

- Tak, moja droga, wejdź.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Zastanawiałam się...

Cornelia leżała na łóżku w różowym bawełnianym szlafroku, podparta wysoko poduszkami. Na oczach miała okład z mokrej flaneli.

- Wiem, wciąż myślisz o wyjeździe do Charters Towers - jęknęła słabo, nie podnosząc głowy. - Doprawdy, tyle hałasu o nic! Zaraz wstanę i napijemy się herbaty. Powiedziałam już Mae, żeby przygotowała jakiś lżejszy obiad. Potem zagramy w wista, to nas rozweseli.

- Widzę, że pani mnie nie rozumie. Ja wyjeżdżam.

Cornelia westchnęła.

- Znów to samo. Za kilka dni zapomnisz o podłych kłamstwach tej dziewczuchy. Nie, moja droga, nie mogę dopuścić, żebyś zrobiła coś, czego będziesz żałować przez resztę życia.

Mimo ewidentnych starań Cornelii, by zabrzmiało to po matczynemu, Perfy dosłyszała w jej słowach ostry ton przywykłej do posłuchu pani na Caravale, i to ją ubodło.

W swoim pokoju nie zastała Diamond. Poczowała ulgę. Nie była w nastroju, by wszystko jej wyjaśniać. Zamiast tego poszła poszukać Mae.

- Jak daleko jest stąd do Charters Towers? - spytała.

Mae spojrzała na nią zaskoczona.

- Charters? Moment, niech pomyślę... Mężczyźni robią tę trasę w dwa dni. Wybiera się panienka na zakupy? Podobno to teraz całkiem ruchliwe miasto.

- No... owszem.

- Hm, paniom łatwiej będzie jechać do dworu w Twin Hills, następnego dnia do Ironbark, a stamtąd do miasta, to już tylko jakieś dwadzieścia mil. Pani B. nie była tam od wieków. Cieszę się, że znów zaczyna nabierać werwy. Nie ruszyła się na krok z domu,

odkąd Darcy... - Mae urwała raptownie. - Przepraszam. Nie chciałam sprawić panience przykrości.

- Nie szkodzi, Mae. Proszę na razie nie mówić pani Buchanan o wyprawie do miasta. Najpierw wybadam, czy w ogóle miałyby na to ochotę.

- Jasne. Pani B. pewnie będzie wolała powóz niż konną jazdę, to wypada o wiele wolniej.

Perfy ogarnęło wrażenie, że jest w pułapce. Wróciła do siebie, rozpaczliwie próbując ułożyć plan wydostania się z Caravale. Nie miała już wątpliwości, że gdy wyda jakiegokolwiek polecenia stajennym lub poganiaczom, pani Buchanan natychmiast je odwoła, bez męskiej pomocy zaś nie mogła się stąd ruszyć. Myśl o prowadzeniu od nowa tej samej dyskusji z Benem napęliła ją odrazą, podobnie jak perspektywa podróży w jego towarzystwie, gdyby zgodził się odwieźć ją do Charters Towers. Nienawidziła go. Dałaby wiele, by móc przestać o nim myśleć. W Merri Creek wszyscy podziwiali jego pewność siebie, nienaganne maniery. "Dżentelmen jak jego ojciec" - powiedziała o nim jedna z pań.

Z gardła wyrwał jej się zdławiony szloch. Zdusiła go w sobie, nie chciała płakać. W porównaniu ze śmiercią dwóch mężczyzn, których naprawdę kochała, zdrada Bena nie była warta łez. Ale to bolało, miała ochotę pytać, dlaczego akurat ją obrał sobie zły los. Odepchnęła od siebie tę myśl. Nie będzie się nad sobą użalać.

I do tego Lew Cavour. Jakby na przekór, na niego też była wściekła. Czy uczynił choć krok w jej kierunku? Nie. Nie lubił towarzyskich spotkań, posiadał zaledwie jedną przyzwoitą koszulę i nie umiał tańczyć. Był taki uparty, w ogóle nie chciał z nią rozmawiać o Caravale. Ben przynajmniej potrafił się dobrze bawić. Powie to panu Cavourowi.

Nie, uznała po namyśle, lepiej nie. Przelotna wizja Diamond w ramionach Bena sprawiła, że Perfy oblała się rumieńcem. Matka nie miała wiadomości od Lewisa, od chwili gdy wyjechał z Bowen, może więc dotąd nie wie o jej zaręczynach. W ogóle nie musi mu o niczym mówić. Boże, jakże nienawidzi Bena Buchanana! Nigdy mu nie wybaczy. Dołoży wszelkich starań, by gorzko pożałował, iż tak ją upokorzył. Myśl o zemście, jak ze zdumieniem odkryła, przyniosła jej pewną pociechę.

Wstała, wyszczotkowała włosy i związała je wstążką.

Myślą, że mają do czynienia z idiotką - rzekła do lustra.

Do drzwi zastukała Mae.

- Herbata gotowa. Czy wypije ją panienka razem z panią Buchanan?

- Tak - odparła. - Zaraz przyjdę.

Nie mogła bez końca ukrywać się w pokoju. Czy to jej się podoba, czy nie, Cornelia będzie musiała pogodzić się z faktem, że zaręczyny zostały zerwane.

Jannali dopadła Diamond w sady.

Szybko, idzie ze mną. Chowa się. -

- Dlaczego?

- Białe strasznie cię szukać.

Cicho przekradły się między drzewami. Diamond zobaczyła dwa konie uwiązane nieopodal mleczarni.

- Nie rozumiem - powiedziała.

- Tam dwa chłopcy. Siedzi. Łapać cię, dziewczyna. Pani im mówi: brać cię precz, mówi: ty awanturnica.

Diamond wytrzeszczyła na nią oczy.

- Są w środku? W moim pokoju? Co tam robią?

- Ma sznury. Czeka na ciebie, oba.

- To głupie - zdenerwowała się Diamond. - Nawet jeśli mnie schwytają, co mi zrobią? Odstawią mnie na graniczną drogę? Wrócę, a wtedy oni będą mieli kłopoty.

Oczy Jannali nieomal wyszły z orbit.

- Nie! Oni brać cię w busz, obali na ziemia i robi, co chce. Ty walczy? To oni ciebie bić. Bardzo bić.

Diamond zadrżała.

- Nie odważyliby się!

Jannali wzruszyła ramionami.

- Pani nie dba. Pani mówi: pozbyć się zła czarnucha. Jumbo słyszeć ich, jak się śmiać.

- Ależ pan Ben obdarłby ich ze skóry, gdyby mnie tknęli - upierała się Diamond.

Jannali nadal potrząsała głową. W końcu Diamond uprzytomniła sobie, że mówi głupstwa. Niezależnie od późniejszej reakcji Bena, niebezpieczeństwo grozi jej teraz i jest bardziej niż rzeczywiste.

- Pójdę do domu - zdecydowała. - Do panienki Perfy.

- Lepiej ty chować - nalegała Jannali. - Pani mówić ty kłamca, a chłopcy cię łap!

- Nie mogę się ukrywać bez końca.

- Ty czeka, aż słońce wstać. Mój brat Pitaja, on cię prowadzić daleko, bezpiecznie.

Diamond zawahała się. Poznała Pitaję, był to wielki ponury mężczyzna, który gardził białymi i nie godził się dla nich pracować. Miał dwie żony i kilkoro dzieci, mieszkał w

obozowisku, tolerowany przez Buchananów, i był sam sobie panem. Słyszała, jak kiedyś mówiła o nim Mae. Nie do końca mu ufano, trudno było przewidzieć, jak się zachowa. Diamond, choć nie odważyła się powiedzieć tego głośno, trochę się go bała. Chyba uważała ją za zdrajczynię.

- Pitaja dobry chłop - przekonywała Jannali. - On mówi: on mnóstwo dobrze bronić Kagari przed białe dranie. Ty chce, on cię zabrać do duży obóz, gdzie białe ludzie.

- Do Charters Towers?

- Tam. Pitaja dobry przewodnik - oświadczyła Jannali z dumą.

Diamond zadumała się nad tą propozycją.

- Czy mogłabym się ukryć w waszym obozie?

Jannali odparła, że to niemożliwe.

- Pani okrutnie karać wszystkie Ilba. Tam białe ciebie szukać naprzód, brać strzelby, straszyć ludzie. Ty idzie ze mną.

Zmierzch zapadał parną lawendową mgiełką. Pomaszerowały na cmentarne wzgórze. Diamond przypomniła sobie, że jeden z rosnących tam buków został powalony przez piorun. Miała nawet zamiar przyjść tu i go obejrzyć, lecz wypadło jej to z głowy. Teraz gruby pień i strzaskane konary zapewniły jej schronienie, małą, zakrytą przed ludzkim okiem jamę. Jannali wśliznęła się tam za nią, chrzęszcząc wśród łamliwych, opalonych gałęzi.

- Ty tu zostać?

- Tak - rzekła Diamond i ucałowała ją. - Jesteś dla mnie taka dobra. Dziękuję.

- Ty dobra dziewczyna. Mądra. - Jannali westchnęła, szukając w myśli słów. - Wszystkie czarne ludzie teraz płacze. Nie zapomnij o twoi ludzie.

Diamond zarzuciła ręce na szyję życzliwej kobiety i rozplakała się.

Księżyc dźwigał się w górę znad wału opuchniętych chmur. W jego świetle nagrobki zajaśniały w mroku, nabierając wypukłych zmienionych kształtów. Diamond starała się nie patrzeć w ich kierunku. Wydawały się teraz większe i groźniejsze. Przeszył ją zimny dreszcz. Zmieniła pozycję, na wypadek gdyby ktoś lub coś rzuciło się na nią z tyłu. Poczowała, że jest głodna, i zaczęła intensywnie o tym myśleć, żeby tylko oderwać się od tego wypełnionego ciszą miejsca. Żałowała, że Jannali nie została tu przy niej. Patrzyła ze wzgórze w stronę domu, zastanawiając się, czy już jej szukają.

W górze zahukała sowa. Diamond omal nie zerwała się na równe nogi, serce biło jej tak mocno, że z trudem złapała oddech. Zdecydowana nie dać się wystraszyć po raz drugi,

usadowiła się wygodnie, oparła głowę na omszałym pniu i próbowała zasnąć. Co chwila jednak otwierała oczy, by sprawdzić, czy nadal jest bezpieczna. A jeśli ci mężczyźni zapędzą się za nią aż tutaj? Powinna raczej czuwać.

Biały płot ze sztachet biegnący na wprost niej zdawał się fosforyzować, tworząc złudzenie ruchu. Diamond odniosła wrażenie, że znów słyszy głosy. Przerazona, wbrew woli, nastawiła uszu. I oto rzeczywiście znowu się rozległy. Mamrotały stłumionym chórem, zdawały się rozmawiać między sobą, żalić... Usłyszała, jak męski głos mówi: "Clem". I jeszcze raz, głośniejsze: "Clem".

Diamond nie wiedziała, co oznacza to słowo, głos jednak rozległ się tak blisko, że miała uczucie, jak gdyby dyszał jej nad karkiem.

- Clem! - krzyknął tak głośno, że zerwała się przerażona. Cokolwiek czeka ją tam, wśród ludzi, nie może to być tak straszne jak to, co dzieje się tutaj. Duchy wyraźnie nie życzyły sobie jej obecności. Powoli, trwożnie, wycofała się spomiędzy gałęzi i ruszyła wzdłuż płotu.

Jakaś biała postać wyskoczyła wprost na nią. Diamond omal nie wrzasnęła ze strachu, ale zobaczyła, że to tylko gałąź obsypana kwieciem, białymi "trąbami anielskimi", które kołysały się niczym dzwonki wśród zieleni. Zatrzymała się. Głosy umilkły. Wszystko ucichło, jakby czekając na jej następny ruch...

Diamond przyglądała się dumnym białym kwiatom i myślała o pani Buchanan, która od pierwszej chwili ją znienawidziła i która nasłała na nią owych mężczyzn. Ta kobieta była złem wcielonym. Diamond czuła, że duchy podzielają jej zdanie. Odgarnęła kwiaty i zerwała kilka długich płaskich liści podobnych do lśniących zielonych noży, które czaiły się za fałszywą słodyczą wspaniałego kwecia.

Po omacku znalazła na ziemi kilka płaskich kamieni i starła liście na miazgę, którą następnie zebrała w róg szala i zawiązała na supeł. Była tego ledwie łyżeczka, lecz to aż nadto.

Przed domem wciąż paliły się latarnie. Diamond na palcach przekradła się przez ogród i wśliznęła do kuchni. Taca z wieczorną przekąską dla pani Buchanan stała na zwykłym miejscu. Mae przygotowała kakao w dużym porcelanowym garnuszku, utarte już z mlekiem i cukrem. Wystarczyło tylko dolać gorącej wody z dużego czarnego czajnika, który grzał się na dogasającym ogniu. Diamond wzięła kilka szczypt zielonej miazgi i wymieszała z kakao, po czym otarła łyżkę końcem szala. Bezszelestnie poruszając się w ciemności, opłukała ręce nad żelaznym wiadrem na pomyje i wytarła w spódnicę.

Splamiony szal wepchnęła do kieszeni. Później wyszła na werandę i usadowiła się pod oknem pokoju Perfy, osłonięta wielkim wyściełanym fotelem.

Perfy jeszcze nie spała, słychać było, jak niestrudzenie krąży po pokoju. Światło lampy padało przez szydełkowe firanki, rysując ładny deseń na gładkiej podłodze werandy. Zapatrzona w ten delikatny azur, Diamond podciągnęła kolana pod brodę i zapadła w drzemkę.

Cornelia spała. We śnie widziała piękny zamek w oddali, błyszczał w słońcu niczym srebro, na strzelistych złotych wieżach powiewały lśniące proporce we wszystkich kolorach tęczy. Pobieгла ku niemu. Z wież wołały ją słodkie harmonijne głosy, opuszczono zwodzony most na powitanie. Im szybciej jednak biegła, tym bardziej zamek się oddalał, iglice się wydłużały, jak gdyby były z gumy i jakby naciągała je z całej siły czyjaś okrutna dłoń. W końcu jej się udało: wbiegła na most, który zdawał się nie mieć końca, żelazne rozżarzone belki paliły ją w stopy, lecz nie zważała na to, musiała dostać się do środka. Zbyt późno zdała sobie sprawę, że brama jest wielką, cuchnącą, rozdziawioną paszczą o ostrych rekinich zębach, które naraz zaczęły się zwierać. Krzyknęła, lecz z jej ust nie dobył się żaden dźwięk. Biegła, walcząc z bólem, wołała, żeby ktoś jej pomógł. Wyszli jej na spotkanie, wyciągając ręce. Cornelia rzuciła się naprzód. Jakiś mężczyzna złapał ją dłońmi podobnymi do szponów i nagle spostrzegła, że to Clem Bunn.

- Puść mnie! - wrzasnęła przerażona i podbiegła do następnego, lecz to znów był Clem, i następny także, każdy z tych ludzi był Clemem albo nosił jego maskę. Musiała znaleźć tego prawdziwego i zabić go. To jego sprawka. Jeśli go zabije, sobowtóry znikną. Czepiały się jej kocimi pazurami, drapały po twarzy, szarpały za włosy, darły w strzępy jej cienką koszulę. Pozbawione oczu twarze ociekały żółtym śluzem. Cornelia biegła z komnaty do komnaty, pędziła przez długie korytarze, szukając na przemian to Clema, to swojego karabinu, ale w zamku było ciemno jak w grobowcu, ze ścian sączyła się czerń. Nagle zwabiła ją smuga srebrzystego światła, sącząca się spod zamkniętych drzwi. Dopadła ich, załomotała w nie, krzycząc, żeby wyszedł.

- Ty szatanie! - wrzasnęła. - Wiem, że tam jesteś! Nie pozwolę ci zabrać mojego zamku!

To Clem jej to zrobił, on ukrył przed nią piękny srebrny zamek. Jeśli zdoła się go pozbyć, znów odnajdzie drogę do wyśnionych komnat...

Ubrania Perfy były spakowane. Dziewczyna siedziała na skraju łóżka, od niechcenia przerzucając strony starej gazety. Nie było sensu rozmawiać o wyjeździe. Cornelia najzwyczajniej uchylała się od wszelkich dyskusji na ten temat.

- Wszyscy pojedziemy do Bowen na Boże Narodzenie. Myślę, że twoja matka się ucieszy. Większość ranczerów spędza lato na wybrzeżu, bo jest wtedy za mokro, by cokolwiek robić. Wesele możemy więc urządzać w mieście. Twoja mama na pewno za tobą tęskni, moja droga, ale to już tylko kilka tygodni. Sama nie mogę się doczekać. Jak wyglądają teraz sklepy w Bowen?

Ta kobieta jest niemożliwa. Można zrozumieć, że Cornelia nie wierzy, by jej syn zrobił coś takiego, i to z Diamond. Perfy sama też nie miała ochoty rozmyślać na ten temat. Bez wątpienia Ben zaprzeczy. Znów wywiąże się okropnie żenująca sprzeczka. A w ogóle, gdzie jest Diamond? Cornelia przepowiedziała, że dziewczyna prędzej ucieknie, niż rzuci Benowi w twarz swoje kłamstwa. To martwiło Perfy. Mae powiedziała, że Diamond nie ma w jej pokoju. Gospodyni wyglądała na bardzo niespokojną. Może coś słyszała? Czy Cornelia powtórzyła jej oskarżenia Diamond? A jeżeli Diamond kłamie? Na pewno nie. W Perfy jednak zaczęły kiełkować wątpliwości.

W domu rozległ się nagle hałas, jakby wdarło się do niego stado spłoszonego bydła. Ktoś wrzeszczał, tłukł w ściany, miotał przekleństwa. Perfy zerknęła na otwarte, sięgające podłogi okno. Mogła to być droga ucieczki. Może któryś z Aborygenów wpadł w szal i włamał się do domu. Słyszała tłuczone szkło...

Firanki rozsunęły się i do pokoju weszła Diamond.

- O mój Boże! - wyjąkała Perfy. - Wystraszyłaś mnie jak nigdy w życiu. Co się dzieje?
- Ciii! - syknęła Diamond, usuwając ją na bok. - Nic nie mów!

Zanim wszakże zdążyła powiedzieć coś więcej, drzwi otworzyły się z trzaskiem i stanęła w nich Cornelia Buchanan w potarganej na strzępy flanelowej koszuli, rozczochrana niczym strach na wróble, z wściekle wykrzywionym obliczem.

- Gdzie on jest? - wrzasnęła obląkańczo.
- Tu go nie ma - odparła cicho Diamond.

Cornelia próbowała ją odepchnąć, lecz wysoka Aborygenka przytrzymała ją w miejscu.

- Nie ma go tu - powtórzyła. - Odejdź.
- Kłamiesz! - Cornelia zaczęła się wyrывać, wskazując Perfy skuloną po przeciwnej stronie łóżka. - To on! To Clem! Zabij go! Szybko! - Schyliła się, by przemknąć obok Diamond, strącając przy tym lampę z toaletki. Koronkowa firanka buchnęła płomieniem.

Perfy skoczyła na łóżko i poduszką próbowała ugasić ogień. Diamond szamotała się z Cornelią, usiłując wypchnąć ją z pokoju.

- Uciekaj! - zawołała do Perfy.

- Zabierz te łapy! - wrzeszczała Cornelia. - Ty nie jesteś Clemem! - Zobaczyła, jak Perfy wybiega na werandę. - Chwytać drania! Trzeba go powstrzymać!

W swoim obląkaniu złapała Diamond za włosy i zaczęła gwałtownie potrząsać. Dziewczyna była pewna, iż zostaną jej na głowie łyse placki. Paznokciami drugiej ręki Cornelia orała jej twarz do krwi.

- To maska! - krzyczała. - Brudna, czarna maska!

Diamond całym ciężarem odepchnęła ją od siebie, z taką siłą, że Cornelia przewróciła się na korytarz, Diamond zaś omal nie runęła w ślad za nią.

Upadek najwyraźniej wytrącił Cornelię z amoku. Chwyła Diamond za rękę.

- To mój mąż - jęknęła, składając błagalnie ręce. - Musimy go odnaleźć. Nie widzisz? - krzyknęła, znów wpadając w histerię. - To Clem!

- Wiem - powiedziała Diamond. - To Clem. Twój mąż.

- Pomożesz mi go znaleźć? - szepnęła Cornelia. - Oni nie mogą się dowiedzieć. - Zaczęła chichotać jak wariatka. - Nikt nie może się o nim dowiedzieć!

Diamond miała wrażenie, że znów czuje dymny zapach drzewa przy cmentarzu, pozostałość po uderzeniu pioruna. Gdy jednak wreszcie wyzwoliła się z uścisku Cornelii, spostrzegła snujące się wokół smugi dymu. We frontowym holu, do którego nigdy nie pozwolono jej wejść, tańczyły płomienie, sypały się snopy syczących pomarańczowych iskier.

Obok niej przebiegła Mae, za nią brygadzysta Paddy i paru innych mężczyzn. Wkrótce rozległy się krzyki, że cały dom płonie. Prąc przed siebie na oślep, Cornelia postrącała wszystkie lampy od sypialni aż do holu. Mężczyźni dźwignęli ją z podłogi i mimo jej wściekłych wrzasków wynieśli na podwórze. Z obozu nad rzeką przybiegli Ilbowie, żeby pomóc białym w walce z pożarem. Od cysterny pod dom ustawił się sznur ludzi z wiadrami. Diamond posłyszała, jak jeden z nich mówi:

- Czemu, do cholery, deszcz nie pada teraz, kiedy go potrzeba?

Księżyc lśnił wysoko na niebie, oprawiając chmury w jasne aureole, a dwór w Caravale płonął niczym olbrzymi ofiarny stos, widoczny w promieniu wielu mil.

Diamond nie czuła nic. Stała bez ruchu, patrząc na szalejącą pożogę. Strop załamał się i runął, ludzie pierzchali w bezpieczne miejsce, uciekając przed toczącymi się płonącymi belkami. Podawano mokre worki. Nie dało się już uratować domu, trzeba było chronić

pozostałe budynki. Na szczęście noc była parna i bezwietrzna. Na szczęście, wiatr bowiem podniósłby iskry i rozniecił dalsze ogniska pożaru.

Dzieci skakały wokół podniecone, ciskając w ogień garści piasku. Diamond zebrała je i odprowadziła na bok, ostrzegając, by nie pchały się zbyt blisko. Zdumiewała ją prędkość, z jaką ogień pochłonął dom. Gdy z syczących popiołów zaczął się unosić dym, uświadomiła sobie, że stoi przy niej Pitaja. Patrzył na nią. Jego czarna brodata twarz przybrała miedziany połysk od żaru pogorzeliiska.

- Teraz ty iść do dom - powiedział.

Diamond wzruszyła ramionami i powtórzyła to, co nieraz mówiła sobie w duchu.

- Nie wiem, gdzie jest mój dom.

- Kagari wie. - Pitaja postukał się po głowie. - Tu, w środku, wie.

- Zaprowadzisz mnie do miasta? - spytała.

Mężczyzna potrząsnął głową i wskazał na Perfy, która stała przygnębiona obok Mae.

- Nie trzeba. Teraz ty iść z biała panienka.

W Charters Towers Perfy wsiadła do dylizansu jadącego do Townsville. W towarzystwie czworga innych pasażerów jej przygnębienie nieco się rozproszyło. Oczekiwała tej nowej przygody z wytęsknieniem. Podniecała ją myśl, że będzie podróżować sama, wolna od pytań, względów i wścibstwa znajomych.

Kowboje z Twin Hills, zaalarmowani łuną pożaru w oddali, przyjechali galopem, aby pomóc w potrzebie, lecz było już za późno. Obeszli zabudowania z bronią gotową do strzału, ponieważ obawiali się, że Caravale zostało napadnięte przez bandytów lub czarnych. Poza tym mogli jedynie wyrazić swe współczucie, ponarzekać wraz z Paddym i czekać na powrót Bena i Toma Mansfielda.

Kiedy przyjechali, wszystkie oczy zwróciły się na Bena. Siedział na koniu, z niedowierzaniem wpatrując się w pogorzelsko, zbyt oszołomiony, by cokolwiek powiedzieć. Z zaciętymi ustami okrążył w milczeniu szczątki swego domu, po czym podjechał do Paddy'ego.

- Co się stało? - zapytał.

- Zapaliło się od lamp, szefie - odparł Paddy wymijająco.

- Gdzie moja matka? - Ben rozejrzał się po wyczekującym tłumie.

- Odpoczywa w kuchni - równie wymijająco bąknęła Mae.

Ben kiwnął głową i spojrzał na Perfy.

- Nic ci się nie stało?

- Nie, dziękuję. Nikt nie został ranny.

Poczyniono przygotowania, aby odwieźć Perfy wraz z Diamond do Twin Hills.

- Jedźcie - rzekła Mae. - Ja tu zostanę i zaopiekuję się panią B. Dałam jej sporą dozę laudanum, przez jakiś czas będzie spokój.

- Mae, co na Boga w nią wstąpiło? - zapytała Perfy.

- Nie wiem. Jakiś atak. - Mae rozejrzała się dokoła, żeby się upewnić, iż nikt nie podsłuchuje. - Wygląda mi to na delirium tremens. Pani czasem zanadto folguje sobie z dzinem. Wyjdzie z tego, więc proszę się o nią nie martwić. W spokojniejszej chwili wyjaśnię wszystko panu Benowi. Ale, panno Middleton, tak mi przykro z powodu pani rzeczy. Wszystkie śliczne suknie panienki spłonęły...

- To nic w porównaniu z tą katastrofą - odparła Perfy.

- Istotnie. No nic, wyposażą panienkę w Twin Hills. Chesterowie to duża rodzina, mają dwie córki w pani wieku.

- To Chesterowie tam mieszkają? Poznałam ich na przyjęciu w Merri Creek.

- Tym lepiej - stwierdziła Mae.

Perfy nie podzielała jej przekonania. Byli świadkami zaręczyn.

Kiedy osiodłano konie, Ben wziął Perfy na stronę.

- Jesteś pewna, że nie chcesz jechać powozem?

- Nie, wolę konno.

- Dobrze. Zaczekaj na mnie w Twin Hills. Przyjadę, jak tylko wstępnie uporządkuję tutaj sprawy.

- Nie zostanę tam - rzekła krótko. - Wracam do domu.

- Możemy jechać razem. I tak muszę wybrać się do Bowen, żeby zamówić materiały budowlane i zakontraktować budowniczych. Trzeba jak najszybciej odbudować dom.

Perfy czuła, że nie jest to najlepszy moment na wyjawianie przykrych nowin, lecz nie mogła dłużej zwlekać.

- Ben, sądzę, że nasze zaręczyny były błędem. Nie mogę za ciebie wyjść.

Ujął jej rękę.

- Nie mów głupstw. Jesteś teraz wytrącona z równowagi. Odbuduję dom, to naprawę nie potrwa długo.

- Nie o to mi chodzi - oznajmiła stanowczo. - Podjęłam decyzję już kilka dni temu. Po prostu nie chcę wyjść za ciebie za męża.

- Ale dlaczego? To śmieszne.

Zasługiwał na odpowiedź, powód zerwania wszakże jakoś nie mógł przejść Perfy przez gardło.

- Zapytaj matki. - Odwróciła się, by odejść, ale Ben chwycił ją za ramię.

- Dlaczego to ją mam spytać? Co ci powiedziała?

- Och, nic. - Perfy z zakłopotaniem próbowała wywinąć się z jego uścisku. - Po prostu porozmawiaj z nią. Ona ci to wytłumaczy, ja nie mogę. - Uwolniła rękę. - A teraz pozwól mi odejść.

Wokół nich zebrali się już ludzie, nie mógł jej więc powstrzymać. Odprowadził ją do koni.

- Zobaczymy się w Bowen. Tam porozmawiamy.

- Nie sądzę - odparła Perfy. - Żegnaj, Ben. Strasznie mi przykro z powodu domu.

Mówiła szczerze. Ben rzeczywiście godny był współczucia. Niemal równocześnie stracił dom i narzeczoną. Perfy zacisnęła zęby. I kochankę!

Prócz niej dyliżansem jechali Gus i Mary Hallam z nastoletnimi synami. Hallamowie mieszkali na ranczo, daleko nad rzeką Gilbert, i jechali na lato do Sydney. Była to ich pierwsza podróż dyliżansem.

- Moja też - przyznała się Perfy, zadowolona, że jest w towarzystwie zupełnie obcych ludzi. Kiedy dyliżans przetoczył się przez miasteczko i nabrał szybkości, zjeżdżając na równinę, poczuła chłodne zobojętnienie. Wsłuchała się w tętent koni, uwożących ją galopem daleko od wszystkich kłopotów, które ostatnio na nią spadły.

Podróż z Caravale do Charters Towers odbyły etapami, eskortowane z rancza do rancza przez sąsiadów, którzy byli dla nich niezmiernie uprzejmi. Gdy znalazły się w mieście, Perfy rozstała się z Diamond.

- Masz tu dwadzieścia funtów - rzekła. - Wystarczy ci na życie do czasu, kiedy znajdziesz pracę.

Diamond podziękowała jej i odwróciła się bez dalszych słów, po czym ruszyła przed siebie. Ludzie oglądali się za nią na ulicy. Perfy poczuła ukłucie zawiści. Nie chodziło tylko o to, że schludnie ubrana Aborygenka stanowiła rzadki widok tu, na zachodzie. Diamond poruszała się z płynną gracją kota i była równie jak on pewna siebie. Mimo koloru skóry, mimo skromnej odzieży sprawiała wrażenie, że jest kimś ważnym. Perfy podziwiała w niej tę cechę. Do niedawna.

Przez chwilę się zastanawiała, dokąd pójdzie Diamond i co ze sobą pocnie. Potem gniewnie odcięła się od tych myśli. Diamond i Ben, cóż za pożałowania godny, niesmaczny romans! I ta szalona kobieta, pani Buchanan! Perfy była teraz przekonana, że Cornelia jest niespełna rozumu. Pracownicy rancza też tak uważali. Kiedy szarpali się z Cornelią, wywlekając ją z płonącego domu, jeden z nich powiedział: "Wściekło się babsko jak ranny wąż". Cokolwiek miało to oznaczać, brzmiało, zdaniem Perfy, bardzo trafnie. Wszyscy ci ludzie byli obłąkani. Nie chciała ich już nigdy więcej widzieć.

Oparła głowę na twardym, wyściełanym skórą zagłówku i zamknęła oczy. Skończyła z Caravale. Sprzeda swój udział pierwszemu lepszemu, byle nie Buchananom. O, nie, nigdy nie dostaną w ręce jej połowy rancza. Perfy martwiła na myśl, że Ben mógł się jej oświadczyć tylko po to, by zagarnąć jej ziemię. Istniała taka możliwość - potworna,

upokarzająca hipoteza, będąca dla niej ostatecznym kamieniem obrazu. Co prawda nie miało to już żadnego znaczenia, uciekła im i postara się więcej o nich nie myśleć.

Dyżans skrzypiał i trzął się na nierównej drodze, uprząż brzęczała, bat trzaskał, zagłuszając głośny turkot okutych żelazem kół. Monotonny rytm końskich kopyt budził w niej uczucie, że ustrzegła się przed zgubą. Zostawiała daleko za sobą zmartwienia ubiegłych miesięcy. Popioły przeszłości rozwiewał wiatr.

Pasażerów powiadomiono, że przez rzekę przeprawią się promem, na drugim brzegu zaś wsiądą do innego dyżansu, który dowiezie ich już bez przeszkód do Townsville. Stamtąd Perfy miała płynąć sama statkiem do Bowen. To będzie ekscytujące. Łaknęła podniet, zajęcia, ruchu. Dlatego Caravale tak żywo przemówiło do jej wyobraźni. Caravale, miejsce ostatniego spoczynku ojca. Perfy przełknęła wzbierające od nowa łzy.

Teraz musi patrzeć przed siebie, w przyszłość. Dobrze choć, że tatko umarł spokojny o byt żony i córki. Wedle ich standardów Perfy jest bogata. Ona wszakże dość się napatrzyła na damy zjeżdżające w gości do pałacu gubernatora, na wspaniałe suknie i biżuterię, by wiedzieć, że nawet po sprzedaży udziału w Caravale stanie się posiadaczką znacznej sumki w banku, lecz nie bogaczką w pojęciu ludzi pokroju Buchananów.

I co potem? Wyjdzie za mąż i będzie prowadzić ciche, nudne, zaściankowe życie boweńskiego mieszczaństwa, urozmaicane od czasu do czasu koncertem orkiestry dętej? Zastanawiała się leniwie, jak to jest, kiedy człowiek jest naprawdę bogaty, ma domy na wsi, w mieście i nad morzem. Chodzi na bale, rauty i przyjęcia. Spotyka się z różnymi ciekawymi ludźmi...

Dyżans podskakiwał na wybojach, lecz mimo to Perfy zapadła w drzemkę.

Dwadzieścia funtów. Diamond westchnęła. Pani Beckman zostawiła jej dziesięć funtów z miłością, Perfy dała dwadzieścia z obowiązku, pogardliwie. Teraz Diamond nie miała już nikogo. Została sama w najbardziej ruchliwym mieście, jakie kiedykolwiek dane było jej oglądać. Słyszała, że w ciągu ubiegłych dwóch miesięcy zważyło się do Charters Towers ponad dwa tysiące ludzi. Nie wątpiła, że to prawda. Uliczki niewielkiej osady zatłoczone były tak, że stały się praktycznie nieprzejezdne. W okolicy odkrywano coraz to nowe żyły złota, skutkiem czego rankiem w Charters Towers panował większy ruch niż w sobotni wieczór w Brisbane. Zasadniczo jednak było to zwyczajne prowincjonalne miasteczko z szeroką główną ulicą, kilkoma sklepami i dużą liczbą szynków. To ostatnie uznała za dobry znak. Na pewno znajdzie pracę w którymś z nich.

Myliła się. Pukała do kuchennych drzwi kolejnych zajazdów, aż w końcu stało się dla niej jasne, że nikt nie zatrudni czarnej dziewczyny. Zmieniła więc plan i zaczęła szukać pokoju do wynajęcia. Każdy pensjonat, do którego trafiała, był zgodnie z jej ponurymi przewidywaniami całkowicie zapchany, choć dwukrotnie usłyszała, że i tak nie przyjęliby Aborygenki. W południe, stojąc zafrasowana na ulicy, zobaczyła szyld z napisem: "Placek i herbata lub kawa za 1/6 funta". Weszła do środka.

Kobieta za ladą wytrzeszczyła na nią oczy.

- A ty czego tu chcesz?

- Poproszę o placek i filiżankę herbaty.

- Masz pieniądze?

- Oczywiście.

Kobieta zawahała się.

- No dobrze - rzekła - ale nie możesz jeść tutaj. Idź na podwórze.

Diamond potulnie kiwnęła głową i przeszła na tył budynku, gdzie usiadła pomiędzy stosami skrzyń, żeby zjeść lunch. Podwórze przylegało do zaplecza sklepu, dwaj mężczyźni rozładowywali właśnie towar z wozu. Podeszła do nich.

- Przepraszam, czy zechcieliby mi panowie powiedzieć, gdzie mogłabym znaleźć nocleg?

- Obóz czarnuchów jest nad rzeką, Marysiu - parsknął siwy mężczyzna w przepoconej flanelowej koszuli.

- Nie rozumie pan po angielsku? - huknęła na niego Diamond. - Pytałam o pokój do wynajęcia.

Mężczyzna zarzucił worek mąki na plecy i mrugnął porozumiewawczo do kolegi.

- A! Pytasz o hotel? Niech pomyślę...

- Jakiś pensjonat albo dom noclegowy - poddała.

- Spróbuj u Chińczyka na Turpin Lane.

- To pensjonat?

- Można tak to ująć.

- Dziękuję - powiedziała - Jak tam dojść?

- Na następnym rogu skręć w lewo i potem znów w lewo - rzekł, wskazując w głąb głównej ulicy.

Dość łatwo znalazła piętrowy budynek z frontową werandą całkowicie oszkloną kolorowymi szybami. Wejście znajdowało się z boku, od zaułka. Wysoka tęga kobieta zamiatała hol, wzbijając więcej kurzu, niż go uprzątała.

- Czy mogłabym wynająć tu pokój? - zapytała Diamond.

Kobieta posłała kolejną chmurę kurzu w stronę drzwi wejściowych.

- Spytaj szefa.

- Gdzie mogę go znaleźć?

- Pierwsze drzwi za salonikiem. Tylko grzecznie, najpierw zapukaj.

Zapukała.

- Wejść! - odpowiedział męski głos. Otworzyła drzwi i tuż za nimi natknęła się na wysoki ozdobny chiński parawan. Zbita z tropu, wyjrzała zza niego. Zobaczyła ciemną sylwetkę przy biurku. Z okratowanego otwartego okna biło jaskrawe światło. Przymrużyła oczy.

- Proszę - rzekł mężczyzna i Diamond nieśmiało postąpiła krok naprzód, czując pod stopami miękki dywan.

- Szukam pokoju.

- Ach tak, pokoju - powtórzył z roztargnieniem. Miała wrażenie, że taksuje ją wzrokiem. Po obu stronach biurka stały zgaszone mosiężne lampy z ciemnoniebieskimi abażurami, przed mężczyzną leżało kilka ksiąg i rejestrów. - Nie pamiętasz mnie, Diamond? - zapytał nagle, całkowicie ją zaskakując.

- Przykro mi... - Przyjrzała się uważniej gładkiej twarzy z długim zwisającym wąsem.

- Dobry Boże! Ależ to pan Chin!

Wstał i uklonił się jej.

- We własnej osobie. Miło wiedzieć, że człowiek nie został całkiem zapomniany. Usiądź, proszę.

Posłał po herbatę i zaczęli rozmawiać. Pan Chin najwyraźniej dysponował mnóstwem czasu, a Diamond i tak nie miała dokąd iść. Chciał naturalnie wiedzieć, dlaczego nie pracuje u panny Middleton. Diamond powiedziała mu tylko, że Perfy nie są już potrzebne jej usługi.

- Wychodzi za mąż za tego dżentelmena z Caravale? - zapytał.

- Nie. Zmieniła plany. Pojechała do domu, do Bowen.

Na szczęście sprawy Perfy zdawały się go zbyt mało wzbudzać. Bardziej zainteresował się samą Diamond, kim jest, skąd pochodzi, jak zdobyła wykształcenie. Ku własnemu zdumieniu opowiedziała mu wszystko, także o tym, że szuka swego ludu. Kiwał głową ze zrozumieniem, gdy mówiła o swych bieżących problemach. Musi znaleźć mieszkanie i pracę, ale to ostatnie może okazać się trudne dla czarnej dziewczyny.

- Dochód jest podstawą bytu - mruknął.

- Jakbym o tym nie wiedziała! - prychnęła żałośnie. - Nawet jeśli znajdę pracę, zapewnię sobie tylko dach nad głową i jedzenie. Czarnym się nie płaci.

Po raz pierwszy Diamond wyraziła na głos to, co gnębiło ją od lat: niesprawiedliwość jej położenia, dyskryminacyjne zasady, spod władzy których nie mogła się wyrwać. Chin nie tylko cierpliwie ją wysłuchał, okazał się także chętny, by przedyskutować ten problem w sposób konstruktywny.

Zamówił więcej herbaty.

- Tak jak ja to widzę, w charakterze służącej nie zarobisz ani grosza, a poza tym masz bardzo niewiele możliwości - rzekł.

Ujęta w tak prostych kategoriach, przyszłość Diamond rysowała się w dość posępnych barwach.

- Praktycznie żadnych - przyznała smętnie.

- Dać ci trochę pieniędzy? - zapytał, lecz potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję panu, panie Chin. Nie mogłabym ich panu zwrócić.

- Ależ mogłabyś. Tu, u mnie, byłabyś w stanie zarobić całkiem sporo pieniędzy.

Diamond przypomniała sobie uśmieški mężczyzn, którzy ją tu skierowali. Spojrzała na Chińczyka.

- To nie jest pensjonat?

Uśmiechnął się, jak gdyby była jego ulubionym dzieckiem.

- Nie, panienko. To jest miejsce, w którym kilka pięknych młodych dam osiąga wyśmienite zarobki.

Diamond otworzyła usta, zawahała się i nagle wybuchnęła śmiechem.

- O mój Boże, ależ ze mnie idiotka!

Chin pociągnął łyk herbaty.

- Nie sądzę, abyś była idiotką. Jesteś rozsądną dziewczyną, która ma również to szczęście, że natura obdarzyła ją urodą ciała i oblicza. Powinnaś rozważyć, jak możesz wykorzystać te dary. - Ying położył wypielegnowaną dłoń na stole. - Sama musisz podjąć decyzję. Jeśli zechcesz tu zostać, zyskasz opiekę i ochronę. To jest dyskretny dom, nie dopuszczam do awantur.

Wsluchując się w jego śpiewny głos, Diamond nie wierzyła własnym uszom. Rozmawiali o prostytutce w taki sposób, jak gdyby chodziło o normalną posadę. Ale na jakąż inną posadę mogła liczyć? I jaki inny pracodawca zadałby sobie tyle fatygi, żeby zamienić choć parę słów z Aborygenką? Chin budził w niej sympatię. Czowała się przy tym bezpieczna. Wiedziała, że tu nic jej nie grozi.

- Przemyśl to - rzekł. - Nie musisz decydować się w tej chwili.

- Już się zdecydowałam - oświadczyła, postanawiając wyzwać los. - Zostanę. Przynajmniej na jakiś czas, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Oczywiście że nie. - Chin potrząsnął dzwonkiem. Do pokoju, szurając stopami, weszła młoda Chinka i skłoniła się głęboko. - To jest Fan Su. Zabierze cię do łaźni i zajmie się twoim uczesaniem. - Wydał krótkie instrukcje po chińsku. - Znajdzie też dla ciebie jakieś bardziej kobiece szatki. Potem pokaże ci twój pokój. - Uśmiechnął się. - Widzisz, jednak będziesz miała własny pokój. Czy nie po to tu przyszłaś?

Diamond wiedziała, że Chin stara się podtrzymać ją na duchu. Nagle ogarnął ją strach. W co ona się wdała? Seks dla pieniędzy? Co by na to powiedziała pani Beckman? Ci obcy mężczyźni... Wzdrygnęła się. Miała ochotę uciec. Ale dokąd?

- Potrzebne ci bezpieczeństwo - zauważył Chin - a jedynym, co naprawdę może ci je zapewnić, są pieniądze, Diamond. Tu je zarobisz. Potem nauczę cię, jak je inwestować i zarabiać jeszcze więcej.

- Dziękuję - wymamrotała. Wszystko to zdawało jej się snem. -

- Będziesz specjalną atrakcją mego domu - podjął. - Kimś szczególnym. Z twoim imieniem, Diamond - uśmiechnął się, prowadząc ją do Fan Su - zaiste będziesz lśnić niczym klejnot.

Edmund Gaunt czuł się nieco lepiej. Włóczęga po bezdrożach z Billym Kempem wykończyła go. Nie nadążał za Billym, który chwycił życie w locie. Dla Billy'ego każdy dzień był wigilią "strzału w dziesiątkę" - strzału, który nigdy im się nie udał. Wypłukali trochę złota nad Gympie, bez obaw, lecz Billy szybko wszystko przepuścił.

- Co za pożytek z paru funciaków? - mówił. - Trzeba korzystać z życia, Eddy. Dycha czy nawet pięć dych to małe piwo. My celujemy wyżej. Jeden dobry strzał i wrócimy do domu jako milionerzy. Nie mów, że tego się nie da zrobić, chłopie, na własne oczy widziałeś, że to możliwe.

Billy potrafił gadać, to mu trzeba przyznać. Zawdzięczali temu niejeden darmowy posiłek, kiedy byli pod wozem, ale gadanie nie pomogło im znaleźć zbyt wiele złota. Potem usłyszeli o Cape.

- Cumy rzuć, synu! Niech inni się babrzą w tej kupie mierzwy. Wiatr od rufy na północ! Firma Kemp i Gaunt odpływa na cieplejsze wody!

Oczywiście nie płynęli. Poszli pieszo, taszcząc toboły na plecach.

- To tylko jakieś dwieście mil - rzekł beztróska Billy.

Dwieście mil, a potem jeszcze trochę. Buty zdarte do cholew. Czasem podwoził ich jakiś wóz, częściej jednak maszerowali w palącym upale, a nocą dygotali z zimna na szlaku. Podłączali się do grup górników, żeby załapać się na dolę mięsa z kradzionych wołów lub owiec, szlachtowanych wprost na drodze, uciekali przed kulami rozwścieczonych hodowców. Przekłęte dranie! Jak gdyby brak jednego lub dwóch byków robił im jakąkolwiek różnicę!

Zanim dotarli nad Cape, Eddy padał z nóg i był chudy jak szkielet, lecz - to też trzeba mu przyznać - Billy okazał się dobrym kumplem. Zawsze udało mu się zdobyć trochę żarcia. Opiekował się Eddym jak matka, a gdy chłopak leżał w skleconym z gałęzi szałasie, Billy jakimś cudem wytrzasnął forszę na rejestrację działki. I znów wzięli się do roboty. Nazwali swą odkrywkę "Wąwozem Tajpana". Wariacka nazwa, tak przynajmniej uważał Eddy, dopóki Billy mu nie wyjaśnił, że ma ona odstraszać złodziei. Tajpany były najgroźniejszymi, najbardziej jadowitymi wężami w tych okolicach, a Billy rozpuścił wieść, że wąwóz jest ich pełen. Podziałało, nikt się do nich nie zbliżał.

I wszystko zaczęło się znów od początku. Wypłukane złoto nadal przeciekało im przez palce. Łatwo przyszło, łatwo poszło, wciąż czekali na bajeczną żyłę pełną najcenniejszych, wielkich samorodków. Później odkryli Charters Towers. Pokochali to

miasto od pierwszego wejrzenia. Nie była to zapadła śmierdząca dziura jak Gympie ani grzęznąca w błocie kupka oberż, jakie spotykało się w drodze na północ. Charters było prawdziwą małą metropolią. Tętniło życiem jak wielkie kafary, które kruszyły rudę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. I tak szybko rosło! Za każdym razem, kiedy przybywali do miasta, nie wierzyli własnym oczom. Nowe szynki, nowe burdele, nowe sklepy i młyny. Wnet pojawiły się sale koncertowe, domy gry, jadłodajnie, banki, a także stajnie, w których można było nabyć najpiękniejsze wierzchowce, jakie świat widział.

Położone w środku terenów złotonośnych, Charters objawiło się światu, eksplodując niczym wielki kawał dynamitu. Świat zaś sam przyszedł do jego drzwi, śpiesząc oddać hołd najbogatszemu miastu od czasów Salomona. Wszyscy nazywali Charters Towers "Światem". Cudowne miejsce, lecz zarazem niebezpieczna pułapka. Zawsze wracali na odkrywkę zupełnie splukani.

Eddy westchnął. Biadolenie nic nie da. Dobrze się zabawili, a jutro znów jest dzień. Krzepił się tą myślą, do chwili gdy nabawił się febrę. Rozłożyła go na amen.

Billy nie ufał konowalom, którzy wywieszali szyldy na odkrywkach i kazali sobie płacić jak wściekli. Wsadził Eddy'ego na wóz przewoźnika i zabrał do Charters, do prawdziwego lekarza. Eddy musiał zostać tam na długie miesiące, za słaby, by pracować, a Billy płacił rachunki. To nie była tylko febra, doktor stwierdził również suchoty. Cholerny pech, ot co! Eddy czuł się fatalnie. Billy tyrał na niego, a on sam nic, tylko przez cały dzień włóczył się po mieście, wygrzewał na słoneczku niczym węzeł na logu i wciąż nie miał dość sił, by wrócić na odkrywkę. Wyszukiwał więc sobie lżejsze zajęcia tu i tam, zmywał podłogi w knajpach, pomagał w stajniach, robił wszystko za parę szylingów. W poszukiwaniu pracy zajrzał też do burdelu Chińczyka i tam napatoczył się na samego szefa, niejakiego China.

- Mam dla ciebie robotę - powiedział żółtek - i zapłacę ci dobrze, o ile będziesz trzymać język za zębami.

- Nie pisnę ani słowa, proszę pana - obiecał skwapliwie Eddy. - Może pan na mnie liczyć.

I tak znalazł się w Georgetown, na najlżejszej posadzie w swoim życiu. Nie robił nic, siedział tylko i przysłuchiwał się, o czym mówią ludzie. Dostawał za to pięć szylingów dziennie, po powrocie zaś miał obiecaną premię. Chińczyk dał mu nawet dobrego konia i żywność na drogę do Georgetown, które było po prostu osadą wielkości pułapki na szczury, leżącą na szlaku do odkrywek nad rzeką Gilberta, daleko na zachodzie.

Oczywiście Chińczyk nie zaufał mu na piękne oczy. Przedstawił go dwóm najpaskudniejszym żółtkom, jakich Eddy w życiu widział. Byli to jego słudzy, prawdziwa para podrzynaczy gardeł.

- Jeśli wystawisz mnie do wiatru - oznajmił Chin - ci ludzie cię znajdą i nie dożyjesz szansy na kradzież następnego konia.

- Może mi pan zaufać - zapewnił Eddy gorąco. - Jestem uczciwym człowiekiem.

Była to prawda. Nawet Billy'emu nie dał znać, dokąd się wybiera, zostawił tylko wiadomość, że niedługo wróci.

Niedługo? Tkwiał w Georgetown już prawie od dwóch miesięcy. Co jakiś czas wpadał jeden z chińskich służących, żeby go skontrolować i zostawić mu trochę forsy. Poza tym miał święty spokój. Zadanie Eddy'ego polegało na tym, że miał wyglądać powrotu do Georgetown ekspedycji odkrywczej pana Mulligana, dowiedzieć się, czy Mulligan zlokalizował jakieś nowe złoża złota, i donieść o tym szybko Chinowi.

Tu, w Georgetown, wszyscy znali Mulligana, więc Eddy'emu nie pozostało nic innego, jak tylko siedzieć i czekać. Zaświtało mu w głowie, że Mulligan może w ogóle nie wrócić, ale to już było zmartwienie Chińczyka. On będzie tu tkwił tak długo, jak długo mu płacą. Wymuszony odpoczynek i regularne posiłki wyraźnie mu służyły. Zresztą podobała mu się praca w charakterze szpiega. Cholernie sprytni ludzie, te żółtki.

Drzemał właśnie na schodkach tawerny "Pod Rudym Psem", gdy usłyszał wrzask, że Mulligan jest w mieście. Nie wierzył własnym uszom. Miał nosa ten Chińczyk! Teraz trzeba wyniuchać, co w trawie piszczy. A jeżeli Mulligan wrócił z niczym? A kogo to obchodzi? On powinien złożyć żółtkowi raport, co też uczyni. I tak pora zbierać się w drogę, Billy pewnie już się o niego martwi.

Eddy wybiegł na drogę, mieszając się z tłumem, który rzucił się na powitanie odkrywców. Jeden rzut oka powiedział Eddy'emu, że ci trzej brodacze przebywali w prawdziwej dżicy. Ich potargane spodnie z jeleniej skóry przetrwały wyprawę, za to buty nie, stopy mieli omotane skórami kangurów. Eddy zadrzał z emocji. Tak, Mulligan i jego dwaj kumple byli autentycznymi ludźmi buszu. Uzbrojeni w karabiny, pistolety i wielkie myśliwskie noże, z pasami nabożów przewieszonymi przez pierś jechali ławą, pławiąc się w radosnych okrzykach mężczyzn, którzy maszerowali za nimi ulicą niczym dzieci za szczurołapem z Hammeln.

- Co nowego, Mulligan? - wołali, lecz podróżnicy zdawali się ich nie słyszeć. Jechali dalej, aż w końcu zsiadli z koni przed biurem inspektora terenów złotonośnych.

W tłumie zapadła cisza. Ludzie stali niczym figury wykute w kamieniu. Eddy pomyślał, że choćby w tej chwili uderzył cyklon, nikt nie ruszyłby się nawet o krok. Napięcie było większe niż w sali sądowej, w chwili gdy sędzia ogłasza wyrok.

Inspektor wyszedł z biura z kamienną twarzą i zaczął przybijać do ściany ręcznie wypisane obwieszczenie. Zdawało się to trwać wieki.

Eddy rzucił się naprzód i zdążył przez mgnienie oka dojrzeć starannie wykaligrafowany raport, nim został odepchnięty na bok.

- Co tam jest napisane? - rozległy się krzyki z tylnych rzędów tłumu, a po chwili zerwała się radosna wrzawa.

- Buźka, Mulligan!

- Złoto! Tak tu napisane!

- Gdzie? Gdzie?!

Oplącalne złoża nad rzeką Palmer!

- Gdzie to jest?

- Bóg jeden wie!

Z budynku wyłonił się bohater dnia we własnej osobie. W jednej chwili zapadła cisza. Nikt nie chciał uronić ani słowa z tego, co Irlandczyk ma do powiedzenia. Mulligan stanął u szczytu drewnianych schodków, zatknął kciuk za pas z nabojami i zmierzył zebranych ciemnymi oczyma, ledwie widocznymi zza krzaczastego zarostu, jak gdyby zastanawiał się, ile są warci.

- Słódko, chłopcy, zanim całkiem potracicie głowy - rzekł i uniósł w górę bryłę złota wielkości pięści. - Znalazłem to w rzece Palmer. Ja i moi kumple wytyczyliśmy dla siebie działki, ale jest jeszcze kupa wolnego miejsca. Pan inspektor oficjalnie ogłosił rejon Palmer polem złotonośnym.

- Gdzie jest ta cholerna rzeka? - czyjś głos wybił się nad radosne okrzyki, lecz odpowiedź utonęła w rozgwarze. Kapelusze fruwały pod niebo, całe zgromadzenie wrzeszczało i skakało. Jakiś mężczyzna odtańczył jiga, wzniesając tuman kurzu, inny złapał Eddy'ego i okręcił się z nim dookoła.

- Wolnego! - uśmiechnął się Mulligan. - Najpierw wysłuchajcie reszty. Palmer znajduje się mniej więcej trzysta mil na północny wschód stąd, ale słuchajcie mnie uważnie, chłopcy, to nie miejsce dla delikatnych. Droga nie jest bezpieczna. Tamtejsi Aborygeni, nasi czarni przyjaciele, prędzej nadzieją was na włócznię, niż uściskną wam dłoń.

- A tam, pieprzyć ich!

- Teraz tak mówicie - ostrzegł Mulligan. - Po drugie: nie ruszajcie w drogę bez dostatecznych zapasów żywności, bo inaczej nie wrócicie żywi. Georgetown jest ostatnią ludzką osadą na tej trasie. Po drodze musicie przepłynąć się przez cztery wielkie rzeki: Lynd, Tate, Walsh i Mitchell, a to oznacza, że nie zdołacie wrócić przed porą deszczową. Utkniecie tam, a bez żarcia wyzdychacie z głodu.

Tłum niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Nikogo nie interesowały ostrzeżenia. Niektórzy już zaczęli się przepychać do biura, żeby obejrzeć znajdujące się tam mapy, Mulligan podniósł więc głos do krzyku:

- Zorganizuję porządną wyprawę. Mogę zabrać ze sobą sto osób. Pewnie niektórzy z was zechcą wziąć rodziny, choć szczerze to odradzam. Muszę wypocząć, potem wyekwipuję ekspedycję w konie, co najmniej sto wołów, wozy z żywnością... - zawiesił głos, patrząc, jak mężczyźni wymykają się z tłumu. Wyścig do złota Palmer już się rozpoczął. Mulligan pokręcił głową. - I niech Bóg ma was wszystkich w opiece - dodał.

Eddy przysunął się bliżej. Irlandczyk zwrócił się do inspektora:

- Palmer to rzeka złota, nigdy w życiu nie widział pan podobnej. Ale dotrzeć do niej uda się tylko ludziom odważnym, zdecydowanym na wszystko i pozbawionym wyobraźni, a to przerażająca mieszanka.

Inspektor tymczasem dał się porwać powszechnemu entuzjazzmowi.

- Naprawdę to aż tak bogate złożę?

Mulligan westchnął.

- Próbowałem nieco stonować obraz dla ich własnego dobra. Ostrzec ich, żeby zczekali na porządnie wyekwipowaną ekspedycję. Ale... tak, to nie jest tuzinkowe znalezisko. Kiedy prawda się rozniesie, ten kraj ogarnie szaleństwo. Powiem panu, Palmer jest pełna złota. Przywieźliśmy tyle, ile zdołaliśmy załadować na konie. To rzeka błyszczącego, lśniącego złota, po które wystarczy się schylić.

W ciągu godziny Eddy był już na koniu i gnał na południe dwustumilowym szlakiem do Charters Towers.

Musiał stoczyć bitwę, żeby zdobyć niezbędne zapasy na drogę. Miejscowy sklep w błyskawicznym tempie wyprzedawał towar śmiałkom, zdecydowanym od razu ruszać nad Palmer. Znikały namioty, juczono konie, kilku jeźdźców już wyprysnęło z miasta. Tylko Eddy udał się w przeciwnym kierunku.

Galopując szlakiem, przeżuwał usłyszaną nowinę. Obiecał milczeć jak grób, lecz Billy'emu chyba może o tym powiedzieć? To był ów strzał w dziesiątkę, na który czekali. Czy jednak Billy weźmie pod uwagę przestrogi Mulligana? Najprawdopodobniej nie.

Sklepikarz twierdził, że przygotowania do ekspedycji Mulligana potrwać co najmniej dwa miesiące, musi najpierw ściągnąć niezbędne towary do tej odludnej dziury, jaką jest Georgetown. Nawet Eddy uważał, że tak długa zwłoka może mieć katastrofalne skutki, złoto zostanie wybrane do dna, zanim tam dotrą. A potem przypominał sobie słowa Mulligana. Odważni, zdecydowani na wszystko i pozbawieni wyobraźni!

Eddy bynajmniej nie należał do śmiazków, co się zaś tyczy buszu, z pewnością nie wyobrażał sobie nawet części czyhających w nim niebezpieczeństw. A czy był desperatem? Prawdę mówiąc, nie do tego stopnia, by dla złota walczyć z czarnymi dzikusami albo ryzykować głodową śmierć o setki mil od najbliższego sklepu, odcięty od cywilizacji czterema wielkimi rzekami. Może w ogóle nie wspomni o tym Billy'emu...

Chińczyk jednakże niczego nie zdawał na łut szczęścia. Podziękował Eddy'emu za solidnie wykonaną pracę, zapłacił mu pięćdziesiąt funtów, po czym zamknął w zakratowanej piwnicy.

- Nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo - rzekł. - Będziesz dobrze traktowany. Ale kluczowe znaczenie dla moich zamiarów ma to, żebyś nie mógł się z nikim skontaktować, do chwili gdy wieść o odkryciu złota nad Palmer dotrze do tego miasta. Potrzebuję czasu. Rozumiesz?

Nie, Eddy tego nie rozumiał i powiedział to otwarcie. Uważał, że zółtek jest cholernie niewdzięczny. Czyż nie zrobił tego, co doń należało? Pokazał nawet na mapie, gdzie dokładnie leży rzeka Palmer. On, Eddy Grant, był wykształcony, diablo dobrze umiał czytać mapy. Kapitan Beckman osobiście go tego nauczył.

Pan Chin wszakże zignorował jego tyradę i Eddy został więźniem w burdelu! Obiecywał, że nikomu nie powie, lecz to również nie odniosło skutku. Na dodatek zaś do wszystkich upokorzeń jeden z braci Yuang, tych bandziorów, z diabelskim błyskiem w oku przyłożył mu sztylet do gardła i ostrzegł, że jeśli będzie hałasował w piwnicy, to mu je poderżnie. Jezu! Wielkie dzięki!

Posiłki przynosiła mu czarna aborygeńska dziewczyna; zaproponował jej piątala, jeśli go wypuści. Potrzęsnęła tylko głową. Z początku traktowała go całkiem obojętnie, nie obchodził jej jego los. Potem jednak zaczęła mu się przysłuchiwać, przekrzywiając głowę jak jakiś cholerny ptak.

- Musisz mi pomóc - błagał - wydostań mnie stąd. Na co się tak gapisz?

Aborygenka przysiadła na schodach wiodących do piwnicy.

- Twój głos - rzekła. - Słyszałam już twój głos. Skąd pochodzisz?

I tak nie miał nic innego do roboty, opowiedział jej więc o służbie na morzu, o katastrofie statku...

- "White Rose" - przerwała mu. - Kapitan Beckman.

- Zgadza się. Skąd wiesz?

Podeksytowana, złapała go za koszulę i mocno nim potrząsnęła.

- Byłeś tam, kiedy wzięli na pokład czarną dziewczynkę?

- Jaką znowu dziewczynkę? - pisnął. - Puść mnie!

- Czarną dziewczynkę - powtórzyła z naciskiem. - Pani Beckman też była wtedy na statku.

- A, tak. To było kupę lat temu. Nigdy później z nami nie pływała. Jezu, ależ była schorowana. Ja też, to był mój pierwszy rejs, później mi przeszło. My, marynarze...

- Pamiętasz tę dziewczynkę? Była bardzo młoda. Wyłowiliście ją z morza.

Eddy podrapał się po głowie.

- Czy ja wiem... chłopaki porywali czasem na statek czarne dziewczyny... dostawali straszne baty, jeśli ktoś ich przyłapał! Ale czekaj no, faktycznie, była taka... Teraz sobie przypominam. Jezu!... - Jasne, jak mógłby zapomnieć, była całkiem goła i miała małe sterczące cycki. Omal nie powiedział tego na głos, lecz się wstydził, nawet przed dziwką. - Tak, masz rację. Wyłowiliśmy czarną smarkulę. I powiem ci coś jeszcze, jak już o tym mówimy: to ja ją wypatrzyłem.

- Gdzie?

- W wodzie. Prawie na pełnym morzu, na wpół utopioną.

Dziwka zerknęła na niego z niedowierzaniem.

- Jak mogła być na pełnym morzu? Nie wypadła przecież z okrętu. Kłamiesz! Na pewno porwali ją z jakiejś wioski.

- A kogo to teraz obchodzi? - Eddy napił się herbaty. - Cienka jak siki. Następnym razem zrób mocniejszą.

- Mnie obchodzi - wycodziła złośliwie - a ty odpowiadaj, bo inaczej przyprowadzę tu Yuang Pana i on cię przepytą.

- Chryste! - jęknął Eddy. - Wszyscy tu jesteście nienormalni. Mówiłem ci już, pływała w morzu, to wszystko.

- Więc dlaczego nie wysadzili jej na brzeg?

- Chyba żartujesz! Nikt nie odważyłby się tam zawrócić, cholerne czarnuchy zadźgały dwóch naszych marynarzy. - Eddy stopniowo przypominał sobie coraz więcej

szczegółów. - Tak, to było właśnie w tym rejsie. Dwóch ludzi z załogi zginęło. Szukali tylko wody, biedaki.

- Gdzie to było, Eddy? - Głos jej zmiękł, patrzyła na niego teraz jakby z większym szacunkiem. - Pamiętasz, gdzie to było?

- Jasne, jakżeby nie! Nigdy więcej nie zbliżaliśmy się do tamtych brzegów.

- Gdzie, Eddy?

- W cieśninie Whitsunday. Za każdym razem, kiedy musieliśmy ją przechodzić, wszyscy gubili portki ze strachu.

- Czy to miejsce ma jakąś nazwę?

- Pewnie, wszyscy ją znają. Rzeka Endeavour. To było u ujścia rzeki Endeavour.

- Rzeka Endeavour - powtórzyła kobieta. - Czy to na północy?

- Tak.

- Daleko od Townsville?

Eddy miał już tego powyżej dziurek w nosie.

- A co ja jestem, encyklopedia? Na pewno nie blisko. Wypuścisz mnie stąd? Dam ci dychę.

Aborygenka wstała.

- Zrobię tylko to, co ty robiłeś. Będę ci przynosić posiłki.

Eddy wybałuszył oczy, lecz kobieta zniknęła już za drzwiami. A to co miało znaczyć? Głupia dziwka. Pewnie próbowała podbić cenę. Następnym razem będzie musiał zaproponować jej więcej. Gdyby tylko mógł jakoś zawiadomić Billy'ego! Powie mu o Palmer. Odplaci w ten sposób Kitajcowi za wszystkie swoje krzywdy.

Chin Ying był zajęty. Bardzo zajęty. Wysłał Yuang Pana z wiadomością do Lewisa, by natychmiast przyjechał do Charters Towers i odwołał wszystkich kulisów. Nie było czasu do stracenia, Yuang Pan mógł poprowadzić kulisów wprost do Townsville. Ying przestudiował mapy i uznał, że najszybciej dotrze nad Palmer statkiem. Złotonośne tereny oddalone były tylko o sto mil od wybrzeża, zaś trudny i niebezpieczny szlak lądowy mierzył ponad pięćset mil. Yuang Fu zostanie w mieście do czasu, aż sprzeda oba domy i liczne działki na tutejszych odkrywkach, później ruszy za nimi na wybrzeże. Znajomy Chińczyk już czekał, by odkupić od niego burdel, a ze sprzedażą złotonośnych działek także nie powinno być kłopotów.

Burdel spełnił swoje zadanie. Konflikty rasowe stanowiły wciąż poważny problem, a ci spośród chińskich poszukiwaczy złota, którym się powiodło, narażeni byli na brutalne

ataki. Chciwość i zawiść rodziły nie tylko niesnaski, często pchały do zbrodni. Dwóch kulisów Yinga zginęło z rąk ludzi, którzy chcieli zagarnąć ich działki, dwóch innych ograbiono ze złota, zanim Yuang Pan zdążył je odebrać. Konieczna stała się akcja odwetowa, choćby tylko dla przykładu, bracia Yuang wytropili więc napastników i pozbyli się ich. Ale Ying wiedział też, że musi bronić własnego bezpieczeństwa, ponieważ chińscy bossowie byli głównym celem górników, przekonanych, iż jeśli pozbawią smoka głowy, jego złożone z kulisów ciało stanie się bezradne. W rzeczywistości wcale tak nie było, kulisów przejmował po prostu inny Chińczyk. Niemniej ludzie w rodzaju China Yinga nie mogli ruszyć się choćby na krok bez ochrony.

Wzbogaciwszy się, Ying postanowił więc otworzyć wysokiej klasy burdel, by odwrócić uwagę od swoich działek. Za towarzystwo zatrudnionych przez siebie pań pobierał horrendalne opłaty, lecz jego klienci nie mieli mu tego za złe. Chętni się, że stać ich na wizytę w najdroższym zamieszku na całym bożym świecie. Nie raziło ich, że Chińczyk zbija forszę na nierządzie, na tym polu nie stanowił dla nich konkurencji. Jego zakład świadczył usługi dla dżentelmenów, i to było w porządku. Ying uśmiechnął się. Złoto płynęło doń nie tylko z odkrywek, górnicy prześcigali się, by mu je dostarczać w zamian za względy zatrudnianych przez niego ośmiu uroczych pań.

Co więcej, mieszkanie w burdelu było o wiele przyjemniejsze niż zapchlony namiot na złotonośnych polach. Tamtejsze warunki życia stały się doprawdy nieznośne. Nad Palmer będzie inaczej. Pierwsi, którzy tam dotrą, zastaną czyste, nie skażone środowisko. Ying miał nadzieję, że nim poliszynel się dowie, jak tam trafić, on sam rozgości się już na miejscu ze swymi kulisami, zbierze tyle złota, ile zdołają udźwignąć, i opuści odkrywkę, pozostawiając ją do zanieczyszczenia tym, którzy przyjdą później. Wspaniały plan.

Nie wróci już do Charters Towers. Będzie wystarczająco bogaty, żeby przejść na zasłużony odpoczynek. Złoto z Palmer spełni rolę śmietanki na kapiącym bakaliami cieście.

Ying skończył przerzucać zawartość szuflad swego biurka i poświęcił uwagę dwu sejfom, puszczając mimo uszu irytujące stukanie do drzwi. Po chwili do środka weszła Diamond.

- Przepraszam najmocniej, panie Chin, ale muszę z panem porozmawiać, to ważne.

- Nie teraz - westchnął Ying. Lubił Diamond, cenił jej inteligencję, chociaż bywała trudna, nie tak uległa jak pozostałe kobiety. Rozkwitła w jego domu, wypielęgowana i ogładzona przez Fan Su, i cieszyła się wielkim powodzeniem pośród białych mężczyzn, którzy skądinąd twierdzili, że nie cierpią Aborygenek.

Diamond rozejrzała się wokół, zaskoczona.

- Pakuje się pan?

- Tak.

- Dokąd pan wyjeżdża?

Ying wydał wargi. Ta dziewczyna stanowczo za bardzo się spoufała. Jak śmie go indagować!

- Czego chcesz, Diamond?

- Przyszedłam panu powiedzieć, że muszę odejść.

- Cóż, dobrze. - Burdel już go nie interesował. - Dziś wieczorem będę wszystkim wręczał wypłatę.

- Dziękuję. - Wzrok Diamond padł na mapy rozłożone na stole. - Czy pozwoli pan, że zerknę? Chyba dowiedziałam się, gdzie mieszka moje plemię.

Kiedy postąpiła w przód, Ying chwycił mapy, na których uprzednio zaznaczył rzekę Palmer.

- Wybacz, ale to własność prywatna.

- Chciałam tylko rzucić okiem na linię brzegu. Chyba nie sprawi to panu kłopotu?

- Przyjdź później, teraz jestem zajęty.

Diamond stała bez ruchu.

- Panie Chin, to dla mnie bardzo ważne. Potrzebuję pańskiej pomocy. Jeśli nie chce pan, żebym do nich zaglądała, proszę samemu sprawdzić, gdzie jest rzeka Endeavour. To tylko chcę wiedzieć.

Ying był zaskoczony.

- Dlaczego?

- Bo tam właśnie żyją Irukandji.

- Naprawdę? - Ying usiadł przy biurku. Wiedział dokładnie, gdzie jest rzeka Endeavour. Nad nią właśnie mieli wylądować. Wyszukał czystą mapę i przez chwilę udawał, że jej się przygląda. - Tutaj - rzekł w końcu.

Diamond obiegła biurko dookoła.

Wyglądała teraz o wiele ładniej bez taniego turbanu, który kiedyś nosiła. Fan Su schludnie przystrzygła jej kręcone włosy wokół twarzy. Długie pasma z tyłu splecione były wstążką i upięte na czubku głowy. Bardzo elegancko.

- To tam! - wykrzyknęła, rzucając mu się na szyję.

- Cóż to znowu! - prychnął, starając się uwolnić.

- Przepraszam, panie Chin, ale jestem taka podniecona. Tam właśnie się wybieram.

- To dziki kraj - zauważył. - W większości nie zbadany. A jeśli ich znajdziesz, co wtedy? Potrafisz mówić w ich języku?

- Pamiętam część słów, reszta mi się przypomni, jestem pewna.

Ying skinął głową. On także był tego zdania. Jeśli miała rację i rzeczywiście zamieszkiwali tam Irukandji, jakimże atutem wówczas byłoby towarzystwo członka ich plemienia. Ktoś kto zna język, może zyskać przewodnika.

- Jutro wyjeżdżam do Townsville - mruknął. - Jeśli chcesz, możesz jechać ze mną.

Fan Su otworzyła drzwi i wpuściła Lewisa Cavoura, który obrzucił wzrokiem dżentelmenów siedzących wygodnie na pluszowych fotelach i sofach w holu, sączących drinki i palących cygara podawane przez ładne skośnookie dziewczęta.

- Życzy pan sobie szampana? - zapytała Fan Su. - A może whisky?

- Nie, dziękuję - odparł Lew, tłumiąc wzbierający w nim śmiech. - Pan Chin mnie oczekuje.

Nie miał pojęcia, że Ying mieszka w burdelu, albo, co bardziej prawdopodobne, jest jego właścicielem. Słyszał o tym lokalu, ekskluzywnym domu publicznym bez nazwy, o którym mówiono po prostu: "U Chińczyka". A więc owym Chińczykiem jest Chin Ying! Dobry Boże, niespodziankom nie ma końca!

Lew otworzył drzwi do mieszkania Yinga, ze zdumieniem natykając się na parawan. Potrzeba dyskrecji czy stary przesąd, że złe moce poruszają się po linii prostej, zatem parawan przed nimi chroni? Jedno i drugie, uznał w duchu.

- O, Lew. Bardzo dobrze. Miałem nadzieję, że nie będziesz zwlekać. - Ying najwyraźniej nie był skrepowany miejscem, w którym przyjmował gości. - Mam znakomite wieści.

- Jesteś właścicielem tego przybytku? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Po co? To bez znaczenia. Ot, sposób, by mieszkać w czystym lokum, gdzie nie napastują cię gbury.

- I zgarnąć trochę więcej forsy - roześmiał się Lew. - Słyszałem, że jest tu drogo.

- Oczywiście - Ying lekceważąco machnął ręką. - Napijesz się? Mam najlepszą szkocką whisky.

- Z przyjemnością. Po brudnym samogonie, którym poją nas nad Cape, moje kubki smakowe pewnie już szlag trafił. - Lew rozejrzał się. - Spakowany i gotów do wyjazdu! Czyli to naprawdę pilne.

Ying sam nalał whisky do kieliszków, co również rozbawiło Lewisa. Co się stało z chińskim arystokratą, który klaskał na służących, by podali mu każdy drobiazg?

- Czekałem na ciebie z wielką niecierpliwością - rzekł Ying. - Chcę, żebyś rzucił okiem na te mapy. Jak się spodziewałem, pan Mulligan rzeczywiście znalazł złoto, rzekę pełną złota, choć tutaj jeszcze nikt o tym nie wie.

Lew zafascynowany słuchał wyjaśnień i danych na temat położenia rzeki Palmer. Poczul, że od nowa ogarnia go gorączka złota, która zaczęła słabnąć podczas mozolnej harówki nad Cape. Wieść o nowej odkrywce brzmiała niemal zbyt pięknie, by mogła być prawdziwa.

- Jedziesz ze mną? - zapytał Ying.

- Jasne! - odparł Lew bez zastanowienia. -

- Co zrobiłeś ze swoją działką nad Cape?

- Scedowałem ją na swojego wspólnika, Herberta Watlingtona.

- Za darmo? Kiepski interes.

- Herbert to w gruncie rzeczy przyzwoity facet, całkiem miły, gdy się go bliżej pozna. Ma jedną wadę: nie znosi ciężkiej pracy.

- A kto ją lubi? - westchnął sentencjonalnie Ying.

- Dobrze ci mówić. Cóż, skoro w Palmer jest złoto, rzeczywiście powinniśmy go poszukać. Co do Herberta, jest szczęśliwy, że się mnie pozbył. Nareszcie nikt go nie będzie poganiać. Obok nas ma działkę rodzina, która w razie czego może mu pomóc.

- Wydobyłeś dużo złota?

- Mam na koncie w banku około tysiąca funtów, więc w sumie się opłaciło.

Sądząc z miny, Ying był innego zdania, lecz przez grzeczność powstrzymał się od komentarzy. Nachylił się znów nad mapą.

- W Townsville wynajmiemy lub kupimy przyzwoity statek, podobno jest ich mnóstwo w tym porcie, i udamy się na północ. Musimy zabrać konie i zapas żywności dla wszystkich.

- A co z kulisami? - przypomniał sobie Lew.

- Są już w drodze do Townsville.

Lew gwizdnął z uznaniem.

- Dobra robota. Naprawdę wierzysz w tę rzekę złota?

- Skoro pan Mulligan powiada, że tam jest, możemy mu wierzyć. - Ying pociągnął za brokatowy sznur od dzwonka. - Kazałem ci przygotować porządny obiad. Fan Su pewnie już z nim czeka.

Wkrótce potem rozległo się stukanie do drzwi i weszła Fan Su z tacą pełną naczyń, za którą inna dziewczyna niosła dwie parujące wazy. Lew wytrzeszczył na nią oczy.

- Diamond?

- Dobry wieczór, panie Cavour - odparła spokojnie i wyszła z pokoju w ślad za Fan Su.

Lew nie wytrzymał.

- Co ona tu, u diabła, robi? Tylko mi nie mów, że jest twoją kucharką. Jej strój na to nie wskazuje.

Istotnie, Diamond wyglądała bardzo ponętnie w kwiecistym jedwabnym kimonie morelowej barwy, zapiętym z boku na pętelki, bez szerokiej szarfy używanej przez Chinki. We włosach miała drobne kwiatki. Wszystko to podkreślało jej smukłą figurę i robiło nader zmysłowe wrażenie.

- Diamond pracuje tu z wyboru - zaznaczył Ying, urażony wybuchem Cavoura. - Od kiedy to jesteś wrogiem prostytutki?

- Nie jestem, ale to nie miejsce dla Diamond.

- Aha. Wobec tego gdzie jest dla niej miejsce? Gdzie indziej czarna dziewczyna może zarobić pieniądze?

- O Jezus, nie wiem. W każdym razie nie tutaj.

- Wasze anglosaskie zasady moralne nie przestają mnie zadziwiać. Każdy dżentelmen, który tu przychodzi, akceptuje prostytutkę, o ile oczywiście nie uprawia jej żadna z jego krewnych. Najwytrwalszy klient zarzeka się, że zabiłby własną córkę, gdyby została dziwką.

Lew nalał sobie następny kieliszek whisky.

- Oszczędź mi swojej filozofii. Mam zamiar zabrać stąd tę dziewczynę.

- Jesteś nader łaskawy. Domyślam się, że chcesz przywrócić jej uprzedni status służącej, której nie płaci się ani grosza? Nie bądź naiwny. Diamond nie przyjąłaby teraz takiej propozycji. Zresztą przeznaczenie cię ubiegło. Diamond chce towarzyszyć nam w drodze na północ, gdzie spodziewa się znaleźć swoją plemienną rodzinę.

Lew nachmurzył się.

- Do licha! Nie zgadzam się.

- Wobec tego proponuję, żebyś spierał się z nią, nie ze mną.

- Dlaczego nie została z Perfy na ranczu?

- Jak zrozumiałem, rozstały się za obopólną zgodą. Poza tym panna Perfection nie mieszka już na ranczo, wróciła do Bowen. - Ying zerknął spod oka na Lewisa, jakby zastanawiając się, czy mówić dalej. - Mam nadzieję, że nie wybierasz się tam w najbliższym czasie?

- Po co? Jest zaręczona z Benem Buchananem. Pewnie już za niego wyszła.

- Zaręczyny zostały zerwane.

- Co? - Lew był zdumiony. I uszczęśliwiony. - Dlaczego?

- Tego nie wiem. Intryguje mnie ta sprawa, ale Diamond nie chce o niej mówić. Po trosze domyślałam się, że rozstała się z panną Middleton w nie najlepszych stosunkach. Milczy jak grób na temat swojej byłej pani.

Lew również się nie odzywał. To wiele zmieniało. Gdyby miał choć trochę rozumu, natychmiast ruszyłby do Bowen. Być może marzenia Perfy o wielkiej idylli nareszcie się rozwiały. I dobrze. Roześmiał się.

- To najlepsza wiadomość, jaką w życiu słyszałem. Ciekawe, co tam zaszło? Zresztą to bez znaczenia, najważniejsze, że znów jest wolna. Chcę się z nią ożenić, cały czas jej to powtarzałem. Może teraz mnie wysłucha.

- Nie możesz teraz jechać do Bowen - rzekł Ying ostro. - Nie ma na to czasu. Polegałem na tobie.

- Wiem - odparł Lew z wahaniem. A jeśli złoto Palmer to tylko mrzonka? Będzie musiał poczynić pewne inwestycje przed wyprawą na północ. Czy w tej sytuacji powinien ryzykować utratę zgromadzonych funduszy? Poza tym wyprawa potrwa kilka miesięcy. A jeśli znów utraci Perfy? Myśl o złotej rzece jednak już burzyła mu krew. Musi jechać na północ, szaleństwem byłoby marnować okazję, jaka trafia się raz w życiu.

- Nie martw się - rzekł do Yinga. - Nie opuszczę cię.

Gdzie u diabła jest Eddy? Billy Kemp miał już dość czekania. Miejscowi skłonni byli sądzić, że pewnie dostał pracę jako poganiacz wołów i wozi ładunki od składu do składu. Ci cholerni przewoźnicy zbijali teraz fortuny, nawet nad Cape; liczyli dwadzieścia pięć szylingów za przewiezienie wozu kruszywa do najbliższego strumienia. Powoli człowieka przestawało być stać na cokolwiek. Działka się wyczerpała i Billy sprzedał ją jakiemuś nowicjuszowi za pięćdziesiąt funtów. Zrobił dobry interes, bo nie była warta złamanego szeląga. Większość spiętrzonych nad Cape skał była złotonośna, lecz łatwo dostępne złoża szybko się wyczerpały i teraz górnicy musieli drążyć głęboko w pogoni za żyłą kruszcu, co wymagało pieniędzy i sprzętu. Wiercenie szybów i wysadzanie dynamitem twardych skalnych ścian nie było łatwą pracą.

Wszedł do blaszanej szopy, służącej za sklep połączony z tawerną, i zamówił pintę ciemnego piwa. Przez cały zeszyły miesiąc lało prawie bez przerwy, co nielicho go zdumiało. Ta kraina wyglądała, jakby nigdy nie widziała deszczu, a tu nagle całe odkrywki zamieniły się w jedno bajoro. Billy gotów był przysiąc, że na butach ma warstwę blocka grubą na stopę.

- Cześć, Billy - zawołał do niego szynkarz. - Gdzież to się podziewa twój kumpel?
- Sam chciałbym to wiedzieć - rzucił Billy ze złością.
- Mam tu dla niego list. Wygląda, jakby jeździł do Chin i z powrotem.
- Daj mi go. Niech to szlag!

Oberżysta podał mu wyświechtaną kopertę usianą zaciekami rozmazanego atramentu. List był od ojca Eddy'ego - pewnie komuś go podyktował - i zawierał te same nic nie warte bzdury co zawsze. Staruszek miał nadzieję, iż Eddy pozostaje w dobrym zdrowiu, narzekał na pogodę i sarkał, że Eddy powinien wrócić na morze. I tak dalej. Potem wszakże Billy znalazł coś, co go zainteresowało. Ta dziewczyna z sąsiedztwa, Perfection Middleton - uśmiechnął się na wspomnienie ładnego dziewczątka, które kiedyś całował na pożegnanie - doszła do majątku. Była teraz właścicielką rancza w tych stronach. Nazywało się Caravale. Middletonowie zrobili się cholernymi snobami, przeczytał.

Usiadł na ubłoconych schodkach i zadumał się. Caravale. To niedaleko, tylko jakieś sto mil na wschód. Powinni złożyć Perfy wizytę. Sąsiedzka wizytę. Gdzie do licha jest Eddy? Jak zwykle zawieruszył się właśnie wtedy, kiedy jest potrzebny. To on był sąsiadem Perfy, nie Billy. A właściwie czemu nie? Może warto by się jej przypomnieć?

Dotarcie na miejsce zajęło mu kilka dni. Skierowano go w stronę głównych zabudowań rancza, ściślej mówiąc budynków gospodarczych, sam dom bowiem wypalony był do fundamentów. Billy ruszył ku stajniom, kiedy drogę zastąpił mu facet o wyglądzie typowego ziemianina.

- Hola! A ty dokąd?

- Napoić klacz, chłopie. Wyszła na wiór. Z kim mam przyjemność?

- Ben Buchanan. Jestem tu szefem. Szukasz może pracy?

- Nieszczególnie. Przyjechałem w odwiedziny do znajomej.

- A któż to taki?

- Panna Middleton. Jest właścicielką tego rancza, zgadza się?

- Ściślej mówiąc jego części, ale tu jej nie znajdziesz. Wróciła do Bowen.

- To dopiero pech! Bardzo chciałem się z nią zobaczyć. Znamy się od dawna, byliśmy sąsiadami w Brisbane. Ale z tego, co tu widzę, wy również mieliście ostatnio pecha.

- Owszem - przytwierdził ponuro Buchanan. - Oprócz tego brakuje nam rąk do pracy. Jesteś pewny, że nie chcesz się zahaczyć?

- Nie, chłopie. Niewiele miałbyś ze mnie pożytku przy bydle, nie potrafiłbym spętać nawet kolka w płocie.

- Potrzebni mi też cieśle. Budujemy chałupę na czas, zanim postawię nowy dom.

- Cieśle, powiadasz? W swoim czasie robiłem trochę w drewnie. Płaca i utrzymanie?

- Tak - rzekł Buchanan. - W baraku jest miejsce do spania. Możesz zacząć od jutra.

- Umowa stoi, brachu. - Billy uśmiechnął się szeroko.

Równie dobrze mógł tu przylgnąć na jakiś czas. Zawiadomi kumpli Eddy'ego z Charters Towers, żeby kazali cholernemu idiocie zbierać dupę w troki i przyjechać do Caravale, jak tylko się pojawi. Do tego czasu może Perfy Middleton już wróci. Nie dziwota, że wyjechała, skoro nie ma tu nawet gdzie mieszkać.

Właśnie kończyli budować czteroizbową chatę, która miała pomieścić gospodynię, Buchanana i jego matkę, tę cholerną piekielnicę, która potrafiła się wyklócać o każdy gwóźdź, kiedy zjawiał się Eddy. Przekłeta oferma! Oczywiście się zgubił, przejechał około pięćdziesięciu mil w złym kierunku przez pusty skrub, wyczerpał zapas żywności i wody, i w końcu jacyś tubylcy przydybali go, jak jeździł w kółko.

- Brakuje ci piątej klepki, czy co? - rozdarł się na niego Billy. - Gdzie do cholery byłeś?

Eddy chciwie pochłonął zupę i wyciągnął talerz po dolewkę.

- Tobie to się wydaje, że zjadłeś wszystkie rozumy - warknął - ale za to ja wiem coś, czego ty nie wiesz. Za taką informację wszyscy twoi kumple daliby sobie powyrywać przednie zęby.

- Tak? - roześmiał się Billy. - No to zdradź mi tę wielką tajemnicę. Odkryłeś, jakiego koloru pantalony nosi Kasia z Kerry?

Osoba zwana Kasią z Kerry była najbardziej osławioną burdel-mamą w Charters Towers. Maniery miała iście dragońskie, toteż niektórzy twierdzili, że jest to mężczyzna w damskim przebraniu.

- Bardzo zabawne - skrzywił się Eddy.

- No to o co chodzi? - ponaglił go Billy - Nie każ mi się domyślać.

- Nie tutaj. - Eddy zerknął na poganiaczy stłoczonych przy długim stole. - Powiem ci później.

- Nikt nie słucha - prychnął Billy. Istotnie, głodni mężczyźni byli zanadto zajęci pilnowaniem swych porcji wołowego gulaszu i pur~ee, będącego tworzona ad hoc przez kucharza mieszanką gniecionych ziemniaków, marchwi, pasternaku, cebuli i wszystkich innych warzyw, jakie wpadły mu w łapy. Danie to cieszyło się wśród poganiaczy nie słabnącym powodzeniem.

- Później - szepnął Eddy tajemniczo.

Kiedy w końcu wdał się w długą, nużącą relację ze swojej pracy u Chińczyka, Billy zaczął podrzemywać na długo przedtem, nim Eddy przeszedł do sedna sprawy. Była upalna letnia noc bez tchnienia wiatru, dlatego jak większość pozostałych wyciągnęli sienniki z baraku, żeby spać pod gołym niebem, gdzie było odrobinę chłodniej.

- Nie słuchasz - poskarżył się Eddy.

- Słucham, słucham. Pojechałeś do tej dziury zwanej Georgetown i brałeś forszę za siedzenie na dupie. A potem wróciłeś do domu i zamknęli cię w burdelu. Jaka szkoda, że mnie coś takiego nie spotkało.

- A tam, w ogóle nie widywałem dziwek. Tyle tylko że jedna taka przynosiła mi żarcie. No i pewnego ranka ten paskudny Chinol otwiera drzwi i powiada, że mogę iść, tylko żebym pary z gęby nie puścił, bo inaczej każe mi poderżnąć gardło.

- I ja mam uwierzyć w tę bajeczkę?

- Lepiej uwierz - Eddy szturchnął go w bok. - Teraz będzie najlepsze. Wypuścili mnie, bo już im nie zależało. Chiński szef wyjechał i zabrał ze sobą czarną dziwkę...

- Faktycznie, to bije wszystko.

Eddy puścił mimo uszu ten sarkastyczny wtęt.

- Tak czy owak, nie miałem zamiaru ryzykować. Wróciłem na działkę, odebrałem twoją wiadomość i dałem dyla z Charters Towers, żeby odsadzić się od tego złotego nożownika. I rzeczywiście, jak na razie nie puściłem pary z ust.

- To ładnie z twojej strony.

- Nie chcesz wiedzieć, co to za sekret, którego miałem dochować?

- Idź spać, Eddy.

- Znaleźli rzekę złota, Billy. Cholerną rzekę wysłaną złotym piaskiem! Płynącą złotem!

Billy otworzył oczy. Nie wierzył w ani jedno słowo, lecz mimo to słuchał. Wyciągnął z siennika jedno z cygar szefa, które zwędził ze składziku.

- Tak - mruknął, przytykając do niego zapalną. - I pewnie jeszcze wiesz, gdzie to jest. Nie uwierzę, że ci powiedzieli.

- Jezu! To ja im powiedziałem, gdzie to jest! Chińczyk wystartował z miasta jak błyskawica.

Gdzieś w tym potoku bredni Billy wyczuwał prawdę, już choćby dlatego że Eddy nie byłby w stanie sam tego wymyślić.

- Jak nazywa się ta rzeka?

- Palmer - szepnęła Eddy. - Pamiętasz, gdzie Bart Swallow i ten drugi zostali zabici przez czarnych?

Billy wzdrygnął się. Nigdy tego nie zapomni.

- To nie była Palmer, tylko Endeavour. I nawet nie myśl, że się tam wybiorę, choćby złoto rosło tam na drzewach.

- Nie musisz - rzekł Eddy z ulgą, że Billy wreszcie zaczął go uważnie słuchać. - Rzeka Palmer jest mniej więcej na tej samej szerokości geograficznej, jakieś sto mil od wybrzeża. Można dotrzeć tam łądem. - Powtórzył ostrzeżenia Mulligana dotyczące zapasów żywności, rzek i dzikich plemion.

Billy kiwnął głową.

- Co racja, to racja, musielibyśmy wziąć mnóstwo żarcia, broń, juczne konie... A na to trzeba forsy. Daj mi pomyśleć. No, nie utrzymają tego długo w tajemnicy.

Forsa! Nawet gdyby dołączyli do ekspedycji Mulligana, musieliby opłacić swój udział. Lepiej być niezależnym. Billy'emu przyszedł na myśl Ben Buchanan. Była to jedyna znana mu osoba, która mogła wyłożyć pieniądze na ten cel. Billy zdążył już wysłuchać wszystkich krążących po Caravale plotek. Należąca do Perfy "część" rancza, jak określił to Buchanan była jego połową. Ona i szef mieli się pobrać, co postawiłoby kwestię własności z

powrotem na równym kilu, ale Ben obłąkał jakąś czarną dziewczynę, Perfy się dowiedziała i zabrała manatki. I słusznie, śmiali się poganiacze, cały dowcip polega na tym, żeby nie dać się przyłapać. A potem spłonął dom i miało to coś wspólnego z tą starą megierą, panią Buchanan. Wniosek z tego był taki, że szef musi zdobyć forszę, aby spłacić Perfy, skoro pokazała mu figę.

Buchanan potrzebuje gotówki. I to prędko. A może by tak skaptować go na wyprawę nad Palmer? Szef zna się na buszu, byłby pierwszorzędnym przewodnikiem, wartym swej wagi w złocie na tego rodzaju szlaku. A Billy miał kapitalny plan, który pozwoli im zostawić w tyle konkurentów.

O zmierzchu czekał na Bena przed szopą z natryskami.

- Mogę zamienić z panem słówko, szefie?

Ben otarł twarz i przerzucił ręcznik przez ramię.

- Co się stało?

- Nic takiego. Mam dla pana propozycję.

- Jaką znowu propozycję?

- Przejdę od razu do rzeczy - rzekł Billy, widząc jego zniecierpliwienie. - Wiem, gdzie jest złoto, i to w dużych ilościach.

- To dlaczego sam się po nie nie wybierzesz? - roześmiał się Ben.

- Ponieważ to jest w buszu i sam nie dam sobie rady. Proszę dać mi parę minut, zaraz wszystko wytłumaczę.

Zanim Ben zdołał się wymknąć, Billy objaśnił mu sytuację, starając się mówić zwięźle i konkretnie: Mulligan znalazł złoto, Eddy Gaunt usłyszał o tym w Georgetown i przyjechał wprost tutaj, żeby zawiadomić kumpla.

- Wybieramy się tam, szefie, ale żeby wszystko było jak się patrzy, potrzeba by czterech do sześciu tęgich chłopów, tak sobie rachuję.

- Tak - mruknął Ben - chyba masz rację.

Zadał Billy'emu jeszcze parę pytań.

- Pomyślę nad tym - rzekł w końcu. - Muszę zerknąć na mapę. Wszystkie swoje straciłem w pożarze, ale Tom Mansfield ma kilka u siebie.

Billy wrócił do Eddy'ego jak na skrzydłach.

- Mamy go! Zgodzi się, zobaczysz!

- Tak. O ile tylko nie zabierze się sam, zostawiając nas tu jak dwie dupy w polu, skoro już wszystko wie.

- Nie zrobi tego. To sekret, głupku! Wie, że musimy utrzymać to w tajemnicy. A poza tym - dodał z uśmiechem - gdyby próbował wystawić do wiatru Billy'ego Kempa, rozpowiem wszystko po całym ranczu i nie zostanie mu tu ani jeden pracownik.

Budowniczy Joe Flynn, przybyły z Sydney, był zadowolony z dodatkowej pary rąk do pracy. Dał Eddy'emu robotę przy nabijaniu desek podłogowych.

- Tylko równo - upominał go - bo inaczej szanowna pani cię zastrzeli.

Billy parsknął śmiechem. On sam został skierowany do budowy cysterny na wodę nieco dalej od domu, gdzie nie dochodziły wrzaski starej sekutnicy. Niską platformę stawiano z pięknego cedru, co było szokującym marnotrawstwem dobrego drewna, lecz w swej gorliwości, by zadowolić starą, pracownicy rancza zwalili i pocięli prawie dwa razy więcej drzew, niż było trzeba. To jednak już nie jego zmartwienie. Billy pracował z uśmiechem na ustach, pewien, że jest to jego szczęśliwy dzień. Tak się też okazało, kiedy po południu przyszedł szef i zaczęli układać plany.

- Po drodze jest kilka dużych rzek - powiedział Ben. - Opóźnią nasz pochód. Konie umieją pływać, ale juczne będą miały kłopot z przeprawą, a nie możemy sobie pozwolić na stratę zapasów żywności.

- Nie tracimy jej, jeśli weźmiemy łódź - odparł Billy. - Co za różnica: ciągnąć wóz albo łódź na platformie z kołami? Chyba tylko ta, że łódź jest lżejsza. Niektóre z tych kolubryn, które widziałem na szlakach, ważą chyba z tonę.

- Łódź? - Ben spojrzał na niego zdziwiony.

- Czytałem - oświadczył Billy wyniośle - że prawdziwi odkrywcy, udając się w nieznaną, brali ze sobą łodzie, bo nie wiedzieli, co ich czeka na szlaku.

Ben kiwnął głową.

- Rzeczywiście, to prawda. Ale skąd weźmiemy łódź?

- Zbudujemy w trzy miga, już moja w tym głowa. Szef niech tylko zajmie się resztą. Może by tak popędzić ze sobą trochę wołowiny?

- To żaden problem. Wybiorę około pięćdziesięciu sztuk, to powinno wystarczyć, nawet jeśli część stracimy.

Ben zdawał sobie sprawę, że operacja niesie ze sobą spore ryzyko, lecz nie miał też wątpliwości, iż opowieść o złocie rzeki Palmer jest prawdziwa. Był zdecydowany tym razem się obłowić. Duże znalezisko rozwiąże wszystkie jego problemy.

- Wyjeżdżam na jakiś czas - oświadczył matce, z posępną miną rezydującej w mleczarni opuszczonej przez Diamond. - I tak nie zdziałamy wiele, kiedy przyjdą deszcze.

- Jeśli w ogóle przyjdą - odmruknęła zgryźliwie. - Trudno te kapuśniaczki nazwać porą deszczową. Wspomnisz moje słowa, w tym roku nie będzie uczciwie padać i dopiero znajdziemy się w tarapatach!

- Dlatego właśnie jadę. Na północy odkryto nowe złoża złota i tym razem ja również mam zamiar z nich skorzystać.

Cornelia potrząsnęła głową.

- Chcesz szukać złota? Zwariowałeś? Nie dość, że przez ciebie te wszystkie kłopoty, to jeszcze chcesz mnie tu zostawić samą.

- Mówiłem ci, mam, możesz zamieszkać na jakiś czas w Brisbane.

- To by cię uszczęśliwiło, prawda? Najchętniej pozbyłbyś się mnie z rancza i więcej tu nie wpuścił.

- Możesz zabrać ze sobą Mae, żeby dotrzymała ci towarzystwa, i poświęcić ten czas na kupowanie mebli do nowego domu.

- Jakiego domu? Nie wierzę, że zobaczę tu przyzwoity dom. I nie zgadzam się mieszkać w tym drewnianym kurniku, dobrym dla pastucha.

- Wobec tego siedź w mleczarni.

Miał dość matki, dość Caravale, dość wszystkiego. W pewnym sensie wyprawa na poszukiwanie złota była dla niego pretekstem do ucieczki. Od śmierci Darcy'ego waliły się na niego same kłopoty i Bena dręczyło niepokojące uczucie, że wciąż pokutuje za tamto. Billy Kemp nie miał pojęcia, jak wygląda daleka północ stanu, był niczym dziecko, które wybiera się na jarmark. Ben słyszał dość, by wiedzieć, że jest to dziki kraj i przebycie go będzie wymagać od nich wszystkich sił i zaradności. Bliżej równika deszcze na pewno nie zawiodą, prawdopodobnie już się zaczęły. Droga zmieni się w koszmar. Nie wzruszało go to, niemal tęsknie wyczekiwał udręk, które będzie musiał znieść. Może wtedy wreszcie oczyści się raz na zawsze z poczucia winy.

- Gdybyś się nie zadał z tą czarnuchą - wrzasnęła za nim matka - nie mielibyśmy teraz tych wszystkich kłopotów!

Ben udał, że nie słyszy. Twardo wypierał się romansu z Diamond, nie dlatego że miało to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie, ale żeby podtrzymać swój autorytet w oczach Corneli. Ostatecznie to ona spaliła dom. W dodatku wcale nie poczuwała się do winy, twierdziła, że to był po prostu zwyczajny wypadek, jaki może się przytrafić każdemu. Miała nawet czelność widzieć w tym pomyślny zbieg okoliczności, zapewniał on bowiem łatwą wymówkę, tłumaczącą nagły wyjazd Perfy. Wmawiała wszystkim, że ich zaręczyny pozostają w mocy. Co za cholerna kabała! Rozważał, czyby nie jechać za Perfy, lecz przy

pożegnaniu dostrzegł tyle wzgardy w jej oczach, że wiedział, iż jechałby na próżno. Znienawidziła go, prawie tak mocno jak on znienawidził Diamond. Chryste! Nigdy nawet nie zaświtało mu w głowie, że Diamond zacznie rozpowiadać o ich związku!

- Rozpowiadać? - prychnęła kiedyś Cornelia. - Ona się tym chełpiła. Bezcześnie rzuciła to Perfy w twarz!

Nic dziwnego, że Perfy wyjechała.

Krały plotki, że Diamond puszcza się w burdelu w Charters Towers. Nie był tym zaskoczony. W końcu okazała się taką samą szmatą jak one wszystkie. Do furii doprowadzała go jednak myśl, że robi z niego idiotę, sprzedając się byle hołocie w miejscowym zamtuzie. Co się zaś tyczy Perfy, w pewnym sensie zerwanie zaręczyn przyniosło Benowi ulgę. Nigdy jej nie kochał, a ona nie dała mu nawet szansy wytłumaczenia się. Przeklęta świętoszkowata zoła. To ona na tym straci, powiedział sobie. Sama odrzuciła szansę zostania panią na Caravale, a przecież od początku tego tylko chciała. Ślub z Darcym czy z nim, co za różnica, skoro dzięki temu mogła wejść w wyższe sfery? No cóż, będzie miała problem ze sprzedażą udziału komukolwiek prócz niego, nawet pod jego nieobecność. Cornelia tego dopilnuje. Od Buchananów zaś dostanie marne grosze. Kiedy on wróci ze złotem, wykupi udział Perfy za pół albo i ćwierć ceny i pozbędzie się jej raz na zawsze. To ona była przyczyną wszystkich ich kłopotów, począwszy od dnia gdy poznała Darcy'ego.

Ben wrócił myślą do złota. Nie wątpił, że wiadomość jest pewna, i podniecała go ta perspektywa. Caravale potrzebowało złota. Ranczo było o wiele ważniejsze od każdej kobiety, włączając w to Cornelię. O niej też wiele myślał. Mimo jej wykrętów zdawało się jasne, że spaliła dom w ataku pijackiego delirium. Dopilnuje, by nie miała następnej okazji. Po powrocie wyśle ją do Brisbane i niech już tam zostanie do końca życia. Może podpalić choćby i całe miasto, jego to nie wzruszy.

Powiedział pracownikom, że jedzie kopać złoto nad rzekę Gilbert, bojąc się napomykać o Palmer. Patrzyli na niego z rozbawieniem.

- Będzie pan żałował - śmiali się, kiedy mała ekspedycja wsiadała na konie. - To zakazane miejsce. Jeśli nie zeżrą was żywcem moskity, zrobią to węże.

- Nienawidzę węży - burknął Billy Kemp, zaprzęgając konie do platformy z łodzią.

Ben nie zwracał na niego uwagi. Węże to najmniejszy problem, z jakim się zetkną. Udawali się w samo serce półwyspu York! Billy Kemp i jego kumpel Eddy do tej pory nie mieli zielonego pojęcia o niebezpieczeństwach, jakie na nich tam czyhają. W strefie równikowej wszystko, co żywe, jest groźne.

Kilka dni wcześniej Ben pojechał w góry i odszukał starego Tinbina, sędziwego Aborygena, którego on i Darcy znali od dzieciństwa. Teraz miał już pewnie z dziewięćdziesiąt lat, jeśli nie więcej. Tinbin był szeroko znany jako starszy plemienia Mian, sąsiadującego z Ilbami. Powiadano, że dawniej był wodzem, i sławiono w nim mędrca obdarzonego wielką mocą. Chłopcom zdawał się po prostu zwykłym brzydkim czarnuchem z białą brodą, który zawsze miał na podorędziu garści jadalnych jagód i orzechów. Ben przypomniał sobie, że imię Tinbina znaczyło "wiatr nadchodzący od północy". Być może stary będzie mógł mu udzielić jakichś informacji o celu podróży.

Zastał go w tym samym miejscu co zawsze, przycupniętego przed jaskinią nad popiołami wygasłego ogniska. Skołtunione włosy starca pełne były rzepów i gałązek, lecz jego oczy, choć zaczerwienione, nie straciły nic ze swej bystrości. Tinbin uniósł na powitanie powykrcaną niczym szpon dłoń.

- Długo nie widzieć Ben.

- Rzeczywiście, długo - odparł Ben. Rozwinął kraciatą ściereczkę, prezentując gotowane kurczę, bochenek czarnego chleba i garść herbatników.

Tinbin zachichotał gardłowo, ułamując nogę kurczęcia.

- Chłopiec przyjsć, bo on kolega. Mężczyzna przyjsć, jak coś chce. Czego ty chce, pan Ben?

Ben roześmiał się.

- Widzisz na wskroś, stary draniu, co? Potrzebuję twojej pomocy.

Tinbin rozdarł kurczaka i gestem zachęcił Bena do poczęstunku. Ten wziął skrzydełko i zaczął je ogryzać.

- Jadę na północ - rzekł, wiedząc, że stary pustelnik nie da się zwieść ogólnikami. - Do obcego kraju.

Pomarszczone usta Tinbina rozciągnęły się w szerokim bezzębny uśmiechu.

- Ty płynie czółno na wielka rzeka. Szuka złote kamienie. Tinbin wie wszystko.

- Stary oszuście, ludzie ci donieśli - uśmiechnął się Ben. Tinbin nigdy się stąd nie ruszał, Aborygeni znosili mu żywność i plotki.

Nie speszony, Tinbin pokiwał głową.

- Wszystko żywe mówi - rzekł.

- Nie jadę nad rzekę Gilberta. Udaję się na północ, daleko na północ.

Tinbin ponownie pokiwał głową.

- Tak. Tam wielkie rzeki.

Ben uświadomił sobie, że udało mu się wyprowadzić w pole białych, lecz nie czarnych. Zdawali się mieć jakiś szósty zmysł, który pozwalał im patrzeć głębiej. Nigdy nie udało mu się tego pojąć.

- Racja - przyznał. - Chcę usłyszeć wszystko o tamtejszych ludach. Czarnych, jak ty. Jakie plemiona tam żyją? - Musiał wiedzieć, z kim będzie miał do czynienia; z przyjaciółmi czy wrogami.

- Lepiej ty zostać doma.

- Nie, muszę jechać. Jakie plemię mieszka za krajem ludu Mian?

- Kutjali - odpowiedział bez wahania stary.

- Dobrzy ludzie?

Tinbin zadumał się na chwilę, po czym odparł:

- Nic nie dotykać. Ty nie zabije nawet jeden opos, nie bierze ich miód, to oni puścić Ben żywy.

- Chodzi mi tylko o to, żeby przejść przez ich kraj. Nie tknę ich żywności, będę miał własną. - Ben narysował na ziemi mapę regionu. - Kto jest następny?

- Jangga. Uzdrawiacze. Czarowniki.

Ben słyszał już o Janggach, pradawnym pustelniczym plemieniu, zachowującym dystans wobec innych ludów, lecz darzonym przez nie wielkim szacunkiem. Janggowie byli mędrcami, kimś w rodzaju filozofów czarnej społeczności. Ci nie będą go zaczepiać.

- A za nimi?

- Tu Bahjin - wskazał Tinbin. - A tu Kalkadoon.

- Psiakrew! - syknął Ben.

Tinbin uśmiechnął się pobłaźliwie, oderwał kawałek kurzej piersi i zawinął resztę w ściereczkę.

- Tinbin mówić, lepiej ty zostać doma.

Ben zamyślił się. Stary nie miał mu za złe, że milczy, sam cały był milczeniem. Potrafił godzinami kontemplować jakiś dźwięk lub ciszę. Siedząc naprzeciw niego, Ben odnosił wrażenie, że znów się od niego uczy, jak kiedyś, w dzieciństwie - z Darcym. Siadywali po turecku po obu stronach Tinbina, udając Aborygenów, i bez słowa spoglądając w dolinę. Słyszeli wtedy wszystko, najlżejszy ptasi świergot. Koncentrując się, zmieniali ów dźwięk w ciszę. Oczarowani chłopcy chcieli wnikać w tajemniczy świat Tinbina.

- A gdybym biegiem przeszedł przez ich kraj? - rzucił Ben, aczkolwiek pytanie to pozbawione było sensu. Stado bydła nie będzie się poruszać szybko, a zostawić go nie

może, bo umarłby z głodu. Nawet ten marynarz Kemp zdawał sobie z tego sprawę. - Totem... - zadumał się. - Czego oni się boją?

Starzec wybuchnął głośnym rżącym śmiechem. Szturchnął Bena w ramię.

- Białe strzelby - zaskrzeczał. - Najlepszy totem.

Ben też się roześmiał. Robi się gorszy od Aborygenów. Zachciało mu się szukać magicznych rozwiązań! Stary Tinbin miał więcej rozumu od niego. Jasne, im lepiej będą uzbrojeni, tym większa szansa, że ujdą cało.

- Masz rację - rzekł. - Teraz patrz tutaj. Już niedaleko. Tę rzekę biali nazywają Walsh. Następną zaś Mitchell. Jakie ludy żyją pomiędzy tymi dwiema rzekami?

Tinbin powachlował się liściastą gałązką.

- Dawno, dawno, Tinbin iść na wędrowka w ten kraj. Wszędzie bezpieczny. Wielkie, silne czary. Tęczowy wąż totem Tinbina. - Stary puścił do niego oko. - Nieść dobre dary. Tinbin dawa im korale, muszle, oni dawa jemu toporki i noże.

Ben rozumiał, o czym mowa. Czarni mieli własne szlaki handlowe, ciągnące się przez cały kontynent, podobnie jak ongiś drogi handlowe Marca Polo, o którym uczył go guwerner.

- Mam zabrać dla nich dary? - zapytał. Mógłby rozdawać im wszystko prócz broni.

Tinbin splunął.

- Dary na nic. Kukabera złe. - Zamierzył się na Bena, imitując cios toporkiem. Blue zerwała się i warknęła, szczerząc kły.

Ben uspokoił psa. Coraz bardziej go to martwiło.

- Ileż tych cholernych plemion jest jeszcze po drodze?

- Tu czarne Kunjin - ciągnął Tinbin. - Miłe, ach, jakie miłe! Kobiety iść do obóz nowe ludzie, legać z nimi. Potem sza! - Tinbin przyłożył palec do ust i uśmiechnął się chytrze. Szeptem opisał nocny atak na uśpiony obóz.

- Czy którekolwiek z tych plemion jest przyjazne?

- Ani jedno. Tinbin wie. Zabijać wszystkie, co przyjsć. Tu Merkin - wskazał palcem rzekę Palmer.

Ben z zainteresowaniem pochylił się do przodu. Może uda mu się ominąć pozostałych, z tymi jednak na pewno będzie miał do czynienia.

- Mógłbym dać im parę dobrych wołów - zaproponował. - Wyprawić ucztę.

- Mógłby nabrać rozum - skrzywił się Tinbin. - Zostać doma. Te Merkin, one nosi pióra umurri. - Wskazał na drzewo, w którego koronie kilka białych kakadu krążyło napastliwie wokół stadka srokaczy.

- Noszą pióra kakadu? - upewnił się Ben.

- Tak. Ich wojownicy ciąć głowy.

Ben spojrzał na niego ze zgrozą.

- Chryste! - szepnął. - Łowcy głów!

Słyszał takie rzeczy o krajowcach z Nowej Gwinei, ale nigdy o Australijczykach.

Tinbin wzruszył ramionami.

- Dobre wojownika, broni swoja ziemia. Ty trzyma się z daleka. - Ujął obie dłonie Bena w swoje. - Tam w góry złe ludzie, gorsze nawet od Kunjin. - Uścisk zacieśnił się, powykręcane dłonie starca były zadziwiająco silne. - Wielkie ludzie. Żadne plemię nie powie o te ludzie. Oni sprowadzać złe duchy. Tabu.

- Muszę jechać - rzekł Ben, uświadamiając sobie, że trzeba zwiększyć liczebność grupy. Skaptuje paru górników w Georgetown. Wstał. - Nie martw się, wrócę.

Tinbin spojrzał na niego surowo.

- Ty wróci! - nakazał. - Inaczej Dar-say zgubiony!

Zawsze w ten sposób wymawiał imię Darcy'ego.

- Duch Dar-say już prędko wrócić do dom. Czeka na Ben. Mówi: już po płaczu. Wszystko lepiej.

- Co masz na myśli? - zaciekawił się Ben, lecz stary zamknął oczy i zaczął nucić pod nosem. W dzieciństwie śmiali się z tego "zamawiania", za pomocą którego Tinbin pozbywał się gości, kiedy znudziła mu się rozmowa. Teraz Ben miał nadzieję, że Tinbin wstawi się za nim do swoich duchów. Za nami wszystkimi, dodał w myśli.

Część ósma

Kiedy opuszczali Georgetown, grupa liczyła osiem osób. Zostali daleko w tyle za pierwszą gorączkową falą, choć i tak wyprzedzali Mulligana. Irlandczyk powoli i metodycznie przygotowywał się do wyprawy, doprowadzając tym do szału górników, którzy zainwestowali w jego ekspedycję. Ben postarał się o rozmowę z podróżnikiem, chcąc dowiedzieć się jak najwięcej o terenach, jakie będzie musiał przemierzyć.

- Nieźle pan to zorganizował - rzekł z aprobatą Mulligan - ale proszę pamiętać, że jest pan odpowiedzialny za swoich ludzi. Trzymajcie się razem i nie zostawiajcie stada w tyle, bo inaczej narazicie życie poganiaczy. Tak będzie wolniej, lecz bezpieczniej. - Roześmiał się. - Zajac i żółw. To właśnie bez przerwy powtarzam owym niecierpliwym dżentelmenom. Wieść już się rozniosła, telegrafy trzęsą się od nowin o złocie Palmer, ale ja powiadam, że nie ma pośpiechu. Powoli, synu, i tak dotrzemy tam pod koniec pory deszczowej. Mamy więc dobre pół roku, zanim zaczniesz się wyścig.

Ben zrozumiał. Widział kiedyś rzekę Burdekin, rozlaną na wiele mil wszcz. Na północy będzie tak samo, korytami spłynie ściana wody z tropikalnych deszczów. Buchananowie mieli przyjaciół nad zatoką Karpentaria. W porze deszczowej ich rancho było odcięte od świata przez wiele miesięcy, nie tylko tygodni. Planował wracać najpóźniej we wrześniu, wcześniej, jeśli to możliwe. Będą mieli szczęście, jeśli żywności starczy im do tego czasu. Wzdrygnął się. W razie gdyby utknęli pomiędzy rzekami, mogą żywić się mięsem dzikich zwierząt, dopóki starczy im amunicji. Nie chciał jednak tego próbować. Zwłaszcza z ludźmi, którzy nie mieli zielonego pojęcia o buszu.

Jego poganiacz, Jack Kennedy, pracował w Caravale od lat i Ben darzył go zaufaniem. Dopiero w Georgetown powiedział mu, że nie jadą nad rzekę Gilbert, tylko dalej na północ, gdzie odkryto nowe złoża. Jack postanowił ruszyć z nim. Następnie Ben skaptował jeszcze czterech ludzi: parę, która ongiś zarabiała na życie stryżeniem owiec w Nowej Południowej Walii, oraz dwóch górników znad Cape. Wszyscy chętnie skorzystali z okazji, by podróżować w grupie. Wydawali się odpowiedzialnymi ludźmi i wiązali z Palmer wielkie nadzieje. Martwił go tylko kolega Billy'ego, Eddy. Ben nie był pewien, czy to chuchro ma w sobie dość wigoru, by wytrzymać morderczy szlak. Kemp zapewniał go jednak, że Eddy da sobie radę. Wolne tempo marszu wywołało od razu protesty górników. Chcieli jechać w awangardzie, wyprzedzając stado, lecz Ben okazał się nieprzejednany.

- Każdy, kto się wysforuje, jedzie odtąd na własną odpowiedzialność. Nie wracajcie do mnie z płaczem po pomoc.

Ciągnęli szlakiem przepędu bydła, wiedząc, że w końcu zaprowadzi ich do jakiegoś wysuniętego na pustkowiu rancza. Bez większego trudu przeprawili się przez kilka rzek, za to Lynd była wezbrana, co uniemożliwiało przeprawę. Właściciel tych terenów, niejaki John Galbraith, w towarzystwie dwóch krzepkich synów odwiedził ich obóz, stwierdzając z ulgą, że podróżni mają własne zapasy.

- Kiepska sprawa - rzekł Benowi. - Trudno patrzeć, jak ludzie przymierają głodem, ale nie możemy ciągle karmić górników. Jeśli już tu brakuje im żywności, każemy im wracać.

- A jak z tubylcami? - zapytał Ben. - Nie widzieliśmy wielu w okolicy.

- Zwykle w porze deszczowej ciągną na wędrówki - odparł Galbraith. - Miejcie jednak oczy z tyłu głowy. W tej chwili trwa wojna o terytoria między Banjinami i Kalkadoonami, na razie więc są zajęci, co nie znaczy, że nie mogą na was napaść. To krwiożerczy dranie, atakowali nas już tyle razy, że straciłem rachubę. Trzymamy się twardo, oni też, ale w końcu ktoś będzie musiał ustąpić.

Galbraith pokazał im położony nieco niżej bród.

- Za jakieś dwa tygodnie woda opadnie - rzekł wesoło. - Wcześniej nie próbujcie przeprawy. Lynd wciąż jest wezbrana, choć to i tak pestka w porównaniu z tym, co było dotąd.

- Dwa tygodnie! - sarknął Billy. - Nie możemy siedzieć tu tak długo. Obejdziemy ją od wschodu.

- Gra niewarta świeczki - zgasił go Galbraith. - Straciecie ten czas później, przedzierając się przez góry.

Lecz i po dwóch tygodniach przeprawa była karkołomna. Stracili w wirującym nurcie dwa woły, a Jacka Kennedy'ego zmyło z siodła. Jako dobry pływak utrzymał się na powierzchni i po krótkim czasie wygramolił na brzeg.

Przed nocą wszyscy znaleźli się po drugiej stronie. Mimo że byli kompletnie wyczerpani, rankiem każdy z zapalem gotował się do dalszej drogi. Okolica podobała się Benowi, rosły tu wysokie drzewa gumowe, a podszycie było minimalne. Nic dziwnego, że hodowcy starają się tu utrzymać, z pewnością nie mają problemów z paszą. Po dwóch dniach Jack Kennedy ostrzegł Bena, że w ślad za nimi posuwają się Aborygeni. Chcąc ich udobruchać, zabili byka i zostawili na szlaku, lecz następnej nocy napadnięto ich, choć wystawili warty. Czarni podkradli się bezszelestnie i obrzucili ich włóczniami tak niespodziewanie, że nim złapali za broń, by odpowiedzieć ogniem, napastnicy zniknęli. Ben krzyknął do dwóch owczarzy, którzy stali na warcie, i z ulgą usłyszał ich głosy.

- Przepraszam, szefie! - zawołał Jim Forbes. - Nic nie zauważyłem. Chryste! Nie słyszałem nawet szmeru! Czy ktoś jest ranny?

- Chyba nie - odparł Ben, widząc, że inni się schodzą, lecz rozdygotany Eddy Gaunt złapał go za ramię.

- Fred, ten górnik, chyba został ranny, szefie. Jest w namiocie. Dzida przebiła brezent.

Zapalili latarnię i weszli do środka.

- Nie ma co zbierać - prychnął Billy. - Facet jest już zimny.

Ciężka włócznia trafiła Freda w plecy, przygważdżając go do ziemi. Billy miał rację. Górnik już nie żył.

Rankiem odkryli, że padło dziewięć wołów. Miały poderżnięte gardła.

- Niewdzięczni dranie - zauważył Billy zimno. - Więcej nie będziemy ich częstować.

- Nie ma się z czego śmiać! - osadził go Ben. Drugi górnik, Daniel Carmody, i Eddy Gaunt napomykali już o powrocie. Od Palmer dzieliło ich jednak nie więcej niż sto mil. Nie mógł im teraz pozwolić zawrócić.

W ciągu najbliższych dni dołączyli do nich inni poszukiwacze złota, niektórzy z rodzinami, zadowoleni ze względnego bezpieczeństwa, jakie dawała podróż w większej grupie. Oni także zostali napadnięci przez dzikich i stracili kilku ludzi. W ekspedycji Bena zapanował chaos. Rozwścieczało go, że nie panuje już nad grupą, że musi się użerać z ponad czterdziestoma obcymi narwańcami, którzy na moment nie spuszczają palca ze spustu i bez przerwy strzelają w las, płosząc mu bydło. Marsz zmienił się w wyścig. Gdzie powinna panować zgoda z uwagi na wspólny cel, przeważała polityka "każdy sobie", podsycana zaślepiającą rywalizacją o przyszły łup. W miarę jak przedzierali się przez nie kończący się skrub, brodząc w wysokiej po pas trawie, problemy narastały. Coraz częściej dochodziło do bójek o żywność, co rusz wybuchały kłótnie o kierunek marszu, zdarzały się kradzieże sprzętu i wypadki, czasem poważne. Kilka osób pokąsały węże; jedna z nich, kobieta, zmarła i została pochowana przy szlaku.

Parówka ustąpiła miejsca wściekłemu upałowi. Nawet Ben się nie spodziewał, że będzie aż tak prażyć. Wysokie drzewa o gładkich białych pniach prawie nie rzucały cienia. Codziennie witał ich ten sam monotony, usiany niskimi wzgórzami krajobraz, i Ben posępnie uświadomił sobie, że tak będzie już do końca podróży. Łódź i dwa wozy, które do nich dołączyły, stały się dodatkowym obciążeniem. Koła ciągle grzęzły w głębokich na parę stóp nieckach, wypełnionych pyłem ze zwiertzałej pradawnej gleby. Nie mogli jednak zostawić łodzi, aby bowiem dostać się nad Palmer, musieli jeszcze przeprowić się przez

rzekę Mitchell. Wciąż nadkładali drogi, okrążając wzgórza albo omijając wielkie powalone drzewa, które tarasowały przejście. Nieraz w ciągu dnia robili zaledwie pięć lub sześć mil.

Jack Kennedy gwizdnął na palcach i podjechał do Bena.

- Trzeba wprowadzić pewne zmiany, szefie.

- Co znowu? - spytał ze złością Ben.

- Ten cholerny upał. Wszystkich nas wykończy. Będziemy musieli robić kilkugodzinną przerwę w środku dnia, bo inaczej popadamy.

Ben jęknął, chociaż sam także zaczął już dochodzić do tego wniosku. Konie prawie całkiem straciły siły, a ludzie idący pieszo ślaniali się na nogach i błagali, żeby podwieźć ich choć kawałek na dostatecznie już przeładowanych wozach.

- Racja - rzekł w końcu. - Nigdy w życiu nie było mi tak gorąco. Musi być sporo powyżej stu stopni.

- I to całkiem sporo. - Jack wyciągnął termometr, z którego był niezmiernie dumny.

- Niech pan rzuci okiem.

Ben wytrzeszczył oczy. Słupek rtęci wskazywał sto dwanaście stopni Fahrenheita.

- Będzie jeszcze gorzej - stwierdził Jack. - Zbliżamy się do równika, więc nie ma co liczyć na ochłodzenie. Jeśli tak dalej pójdzie, mój termometr eksploduje. Musimy nabrać więcej wody, to cholerne słońce wysuszy nas na amen.

Decyzja, by odpoczywać w najgorętszej porze dnia, wywołała rozłam.

- Ja jestem za tym, żeby zostawić łódź i wozy, i iść dalej - zawołał jakiś mężczyzna. Większość go poparła, jeden z właścicieli wozów wyprzągnął konie i zapakował tyle, ile mógł, na luzaka.

- Może on ma rację - rzekł do Bena Billy. - Już i tak wystarczająco opóźnia nas bydło. Nie przypuszczałem, że łódź sprawi tyle kłopotu.

- Zatrzymamy ją - odparł Ben.

- Ale tym facetom udało się przeprowić przez rzekę na tratwach.

- Tak, i słyszałeś, co mówili, że kilku utonęło. Już o nich nie pamiętają. A żywność? Stracili jej sporo, a my ani uncji.

Wkrótce także piesi zniknęli za wzgórzem, pozostawiając Bena i jego małą grupkę własnemu losowi. Teraz miał przy sobie tylko Jacka Kennedy'ego, Billy'ego z Eddym oraz krępego Szkota, który wraz z żoną podróżował wozem.

Ów Szkot, Jock Mc\$feat, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie lubię marnotrawstwa. - Zeskoczył z kozła i zaczął przetrząsać zawartość porzuconego wozu. - Wciąż uważam, że pojazd jest najbezpieczniejszym miejscem dla

mojej małżonki, jeśli znów zaatakują nas dzicy - ciągnął, podając żonie kilka sztuk pościeli.
- Dlatego zostajemy z wami.

Następny atak wszakże przyszedł z najmniej oczekiwanej strony. Kiedy parę dni później Ben prowadził grupę dolinką pomiędzy dwoma wzgórzami, zajęchało mu drogę dwóch zamaskowanych ludzi. Jeden z nich celował do niego z karabinu.

- Rzuć broń - rozkazał. - I powiedz swoim kumplom, żeby zrobili to samo.

Eddy Gaunt, który jechał tuż za nim, szybko odtoczył strzelbę i upuścił ją na ziemię. Ben także pozbył się karabinu i pistoletu.

- Czego chcecie? - spytał.

- Chłopcy trochę zgłodnieli - odparł bandyta. Ben rozpoznał głos byłego towarzysza podróży, nie potrafił go tylko skojarzyć z nazwiskiem. - Wóz możecie zatrzymać. - Napastnik kiwnął głową w stronę Mc\$featów. - Zabieramy tylko bydło. Złazcie z koni, wy dwaj, bo inaczej któryś zarobi kulkę.

Jego kompan wolno podjechał do przodu z karabinem przełożonym od niechcenia przez kolana. Ben i Eddy zsunęli się z siodeł. Nie mieli wyjścia. Ben bardziej obawiał się o życie niż o bydło. Jeśli zostawią im konie, mogą wytropić rabusiów i zapewne odzyskać stado. O ile, oczywiście, wyjdą z tego cało...

Nagle rozległ się strzał. Mężczyzna, który trzymał Bena na muszce, zdążył jeszcze odruchowo nacisnąć spust, nim czerwona fontanna trysnęła mu z twarzy, i zwałił się na plecy na ziemię. Drugi napastnik cofnął się zaskoczony, po czym rzucił do ucieczki.

Ben rozejrzał się tępo. Wiedział, że Jack Kennedy prowadzi z tyłu stado. Z pobliskiego wzgórza zjechał stępa Billy Kemp.

- Dobrze, że pan Kemp trzymał wachtę - zaśmiał się. - Tak podejrzewałem, że prędzej czy później wrócą po prowiant. - Zsiadł, podszedł bliżej i czubkiem buta szturchnął nieruchome ciało. - Tego mamy z głowy - mruknął. - Nie żyje.

- Mogłeś mnie zabić! - wrzasnął Ben, wciąż nie wierząc własnym oczom. - Trzymał palec na spuście, ty cholerny głupcze!

- Musiałem zaryzykować - wzruszył ramionami Billy. - Zresztą pewnie i tak by cię zabił.

- Mogłeś go zająć z boku.

- Wątpię, czyby zdążył. - Jock Mc\$feat wziął Billy'ego w obronę. - Mamy u niego dług. To był dobry strzał, sam bym tego lepiej nie zrobił.

- Miał więcej szczęścia niż rozumu - burknął Ben.

Ciągnęli dalej, odpoczywając w palącym upale w środku dnia i trzymając warty w nocy. Po grupie, która pojechała naprzód, zniknął wszelki ślad, zupełnie jakby pochłonął ją ten pusty niezmierny pejzaż.

Zmarnowali kilka dni na brzegu rzeki Mitchell, szukając brodu, którym dałoby się przeprowadzić wóz. Ludzie klęli Mc\$feata w żywy kamień, lecz ten zrzędny, uparty Szkot miał w sobie determinację, której Ben mu zazdrościł. Nic nie mogło go odwieść z raz obranej drogi. Co do Bena, siły zaczynały go opuszczać. Miał kłopoty z zasypianiem, kiedy zaś w końcu usnął, nawiedzały go koszmary. Początkowo budził się zdezorientowany, później rozpaczliwie przygnębiony.

Kiedy w końcu przeprowadzili się na drugi brzeg, sam zaproponował, żeby odpoczęli kilka dni. Pozostali jednak go zakrzyczeli. Przed nimi była Palmer! Bajeczna Palmer! Tylko Agnes Mc\$feat wzięła jego stronę:

- Naprawdę powinniśmy odpocząć, Jock. Ben i Eddy są już na ostatnich nogach.

Ben omal nie spalił się ze wstydu, słysząc, że został wrzucony do jednego worka z Eddym, który przy każdej okazji kulił się na wozie i twierdził, że dolega mu wszystko od udaru słonecznego po żółtą febrę. Trudno było stwierdzić, czy chłopak rzeczywiście jest chory, ale i tak do niczego się nie nadawał.

- Nic mi nie jest - warknął Ben. - Jeżeli chcecie jechać dalej, jedźmy.

Zanim jednak ruszyli, pojechał naprzód z Jackiem Kennedym, żeby zbadać szlak i wyszukać łatwiejszą drogę. Wróciwszy do obozu kilka godzin później, zastali na posterunku radośnie uśmiechniętego Billy'ego.

- Szkoci mają gości - oznajmił wesoło. - Wygląda na to, że po tej stronie rzeki trafiliśmy wreszcie na przyjaznych dzikich. Czas najwyższy.

Mc\$featowie i Eddy Gaunt zabawiali grupkę rozchichotanych czarnych kobiet i dzieci. Częstowali je podpłomykami, pozwalali maczać palce w puszcze z melasą, uśmiechali się zachęcająco do nagich dzikusek.

- Spójrzcie! - zawołała półgłosem Agnes. - To mili, łagodni ludzie. Podejdźcie, tylko spokojnie, nie wystraszcicie ich.

Jack posłusznie zsunął się z konia, cały w powitalnych uśmiechach, i zarzucił wodze na gałąź drzewa. Kobiety drgnęły i cofnęły się jak spłoszone przepiórki, lecz nie uciekły.

Ben pozostał w siodle, zastanawiając się nad źródłem nękającego go niepokoju. Dlaczego ci tubylcy mieliby być inni od wszystkich pozostałych, nawet jeśli jeszcze nie zetknęli się z białym człowiekiem, bo i gdzie? Dlaczego akurat to jedno plemię jest przyjazne? Od przeprowy przez Mitchell nie spotkali jeszcze czarnych, za to widzieli liczne

ogniska w górach. Co takiego mówił mu stary Tinbin? Ben zsunął kapelusz na tył głowy i przejechał ręką po skołtunionych włosach. Wolał nie myśleć, jak teraz wygląda. Włosy sięgały mu już do ramion, broda zasłaniała pół twarzy. Agnes ofiarowała się, że ich ostrzyże, lecz zarost chronił skórę przed oparzeniami. Zdumiewało go, w jaki sposób ta przeszło czterdziestoletnia kobieta o jasnej piegowatej cerze zdołała uniknąć pęcherzy, osłaniając twarz tylko czepkiem. Dziwiło go także, że wygląda tak schludnie, że w ogóle to znosi. Agnes powoziła równie sprawnie jak jej mąż, a gotowanie nad ogniskiem nie sprawiało jej najmniejszych trudności. Nic jej nie przeszkadzało, ani hordy czepiających się skóry muszek, ani błotnista woda ze strumieni, z której często musieli gotować herbatę.

Co takiego mówił Tinbin?... Kobiety... Coś o kobietach. Jezu! Tinbin ostrzegał go przed okrutnym plemieniem Kunjin, które wysłała do przybyłych swe kobiety, aby uśpić ich czujność. Boże wszechmogący, a jeśli to pułapka?

Złapał karabin i wystrzelił w ziemię obok wozu, płosząc Aborygenki.

- Precz! - wrzasnął. - Przepędźcie je stąd!

Jego koń stanął dęba. Kobiety zaczęły krzyczeć, porwały dzieci i pierchnęły w las.

- Przestań, Ben! - Agnes podbiegła do niego. - Oszalałeś?

Ben wyjaśnił swe motywy, ale nikt się z nim nie zgodził, nawet Kennedy stwierdził, że powinni korzystać z każdej okazji, by nawiązać dobre stosunki z tubylcami, a nie prowokować ich.

- Naraziłeś nas na niebezpieczeństwo - oskarżył go Jock. - Nigdy więcej tego nie rób!

Ben czuł, że go zdegradowano do roli poganiacza, został więc z tyłu razem z Kennedym, żeby pilnować topniejącego stada.

Następnego dnia natrafili na opustoszały biwak. Namioty wciąż stały, kociołek wisiał nad wygasłym ogniskiem.

- Tu śmierdzi - zauważył Billy. Ben pokiwał głową. Znał odór rozkładających się zwłok.

W buszu znaleźli rozrzucone ciała sześciu górników poszukiwaczy, makabryczne corpus delicti, pozostawione przez krajowców.

- Gdybyś nie przepędził tych kobiet - wytknął mu Billy - mogliśmy się z nimi dogadać.

- To był podstęp - upierał się Ben. - Cholerny, zdradziecki podstęp!

Nie mógł jednak podać żadnych dowodów. Zaczynał mieć dość tej przeklętej bandy. Poza tym był chory. Bez przerwy bolała go głowa i zanadto się pocił. Pił tyle wody, ile tylko mógł, czuł jednak, że to za mało. O wodę było coraz trudniej.

Eddy wcale nie schodził już z wozu. Któregoś dnia Agnes napadła na Bena:

- Po co ciągnęliście ze sobą tego chłopca? Słyszeliście, jak kaszle? To suchoty. On pluje krwią, potrzebny mu lekarz!

Mnie też, pomyślał Ben. Najlepiej taki, który leczy wariatów. Bo też chyba oszalał, wyruszając na tę wyprawę. Jeśli nawet znajdą złoto, jak u licha się stąd wydostaną?

Schudł, musiał dorobić parę dziurek w pasku, spodnie opadały mu z bioder. Pomyślał o Caravale. Ranczo wydawało się teraz odległe o milion mil. Perfy także. Powinien był jechać za nią do Bowen i porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną... no, w każdym razie otwarcie. Wyłożyć karty na stół. Przeprosić. Zawrzeć z nią rozejm. Błagać, żeby dała mu czas na wykupienie jej udziału w Caravale. W imię Darcy'ego. Przez pamięć o Darcym. To by do niej przemówiło. A Diamond... Jechał za stadem, koń przyzwyczajony teraz do rygorów szlaku sam wybierał drogę przez lesisty skrub. Z dala wyglądało to jak ściana drzew, z bliska natomiast skrub okazał się zdumiewająco rzadki. To nie było złudzenie optyczne, wrażenie takie tworzył po prostu jego ogrom, zwieńczone przywiędłymi liśćmi, białe jak szkielety pnie, które strzelały wysoko w rozpalone niebo z morza szorstkiej poźółkłej trawy. Niezmienny, koszmarny pejzaż, taki sam, obojętnie w którym kierunku się obrócisz. Cholernie łatwo było się tu zgubić. Ben namacał swój kompas, żeby dodać sobie ducha.

Diamond. Została dziwką. Czemu nie? Tylko do tego się nadawała. Jednakże na myśl o tym, że inni mężczyźni obmacują ją, wykorzystują, robiło mu się niedobrze.

Jack Kennedy był twardy jak podeszwa. Codziennie wsiadał na konia z taką werwą, jak gdyby to był pierwszy dzień wyprawy. Spoglądał na swój cenny termometr, kręcił z dezaprobatą głową, troszczył się o bydło, wodę, pożywienie. Teraz stado pełniło rolę przewodnika, niestrudzenie prac naprzód przez skrub. Idące na czele byki rano wietrzyły wodę, wieczorem zaś zwalniały niczym krnąbrne dzieci, porykując żałośnie.

Zapadał zmierzch. Jack gwizdnął na palcach, by zwrócić uwagę Bena.

- Światła przed nami - mruknął. - Ogniska.

Zatrzymali stado, mrużąc oczy w pomarańczowym blasku zachodzącego słońca. W oddali migotały maleńkie jak szpilki światła ognisk. Ben westchnął ze znużeniem. Jeśli to czarni, znów trzeba będzie nadkładać drogi.

- Za dużo ich jest - zauważył z niepokojem Jack, gdy kolejne ogniki budziły się na nizinie. - Będziemy musieli rozejrzeć się jeszcze rano.

- Ciekawe, gdzie podziali się tamci? - wtrącił Jock. - Zupełnie jakby rozplynęli się w powietrzu.

- Sześciu znaleźliśmy - przypomniał mu Ben. W bezludnym obozie rozpoznali dobytek kilku byłych towarzyszy. Twarze trupów były wszakże zmasakrowane nie do poznania, a nikt nie miał ochoty zbyt dokładnie się im przyglądać. Dość, że pochowali ciała.

Zawracając po wóz i sfatygowaną łódź, posłyszeli dziwny dźwięk.

- Co to było? - spytał Ben.

Jack zatrzymał się. Noc była spokojna, w powietrzu niesło się tylko stłumione pomrukiwanie bydła, poprzez które przebijało się coś jeszcze: wysoki, ledwie słyszalny ton. Ponownie nastawili uszu. Temperatura, pomyślał półprzytomnie Ben, spadła pewnie tylko do dziewięćdziesięciu stopni, lecz gwiazdy błyszczały rześko na zimnym czarnym niebie. Żałował, że nie może wznieść się ku nim i zostawić tej ohydnej ziemi... Był ciekaw, czy gdzieś tam, w górze, jest Darcy i czy go żałuje. Czy żałuje, że uderzył go wtedy, całe wieki temu, w hotelu w Brisbane, kiedy Ben palnął coś głupiego na temat Perfy. Jakie teraz miało to znaczenie?

Jack naraz wybuchnął śmiechem. Klepnął Bena w ramię.

- Słyszysz? To muzyka! Posłuchaj, muzyka! Och, święta Matko Boża, niech będzie błogosławione twoje imię! To cholerna harmoszka! Jesteśmy na miejscu, szefie! To Palmer!

Nagle znów jestem szefem, pomyślał Ben, niezdolny docenić wagi tego cienkiego, wątego dźwięku, ale Jack nie marnował czasu. Gnał na oślep ze wzgórze, wykrzykując:

- To Palmer! - grzmiał echem jego głos. - To Palmer, ludzie, udało się!

Rano Ben próbował wykrzesać z siebie entuzjazm, lecz ledwie trzymał się na nogach. Maszerował obok swego konia, trzymając się siodła. Tylko drepcząca tuż przy nodze Blue czuła jego ból; skomlała, kiedy Ben się potykał, obszczekiwała woły, które podeszły zbyt blisko. Pozostali pruli do przodu jak statki na fali. Jock Mc\$feat jechał konno obok wozu, na którym Agnes radosnymi okrzykami poganiała strudzone konie. Eddy siedział okrakiem na łodzi z wesołą miną, choć nadal musieli się przedzierać przez kłujący skrub. Wszyscy byli w podniosłym nastroju.

Grupa jeźdźców wyjechała im na spotkanie. Dwudziestu silnych mężczyzn o twardych brodatych twarzach wiwatowało, ściskając dłonie Jockowi i Billy'emu i zdejmując kapelusze przed Agnes Mc\$feat.

- Czy to już Palmer? - zapytała bez tchu.

- Znaleźliście złoto? - wrzasnął Billy.

- Więcej, niż mógłbyś przepuścić przez całe życie - odparł jeden z mężczyzn, występując do przodu. W sercu Bena zakiełkowała iskierka radości. Gdy tylko wydobrzeje, będzie musiał to uczcić.

Komitet powitalny wyciągnął butelkę whisky i nawet Agnes pociągnęła tęgi łyk.

- Czemu by nie? - roześmiała się. - To wielki dzień!

- Czy grupa Mulligana już przybyła? - zapytał Ben.

- Mulligan! - rzecznik górników parsknął śmiechem. - Mulligan czeka, aż położą tu linię kolejową. A teraz do rzeczy, chłopcy. Czyje to bydło?

- Moje. - Ben wyprostował się i stanął przed nim, zastanawiając się, czy gwałtowny nerwowy skurcz w żołądku jest tylko skutkiem jego ogólnej niedyspozycji.

- Miło cię poznać, chłopie. - Nieznajomy zeskoczył z konia i wyciągnął rękę. - Moje nazwisko Dibble. Jim Dibble.

Ben uścisnął jego dłoń.

- Buchanan - rzekł ostrożnie.

- Moje uszanowanie, stary - rzekł Dibble. - To nie lada wyczyn, przejść ten szlak ze stadem. Jesteś pierwszy, któremu udało się doprowadzić woły nad Palmer, i wszyscy jesteśmy ci piekielnie wdzięczni. - Obrócił się do swych towarzyszy. - Nie, chłopcy?

Odpowiedziały mu niecierpliwie potakiwania.

- Przejdźmy więc do interesów - ciągnął Dibble. - Ile za nie chcesz?

- One nie są na sprzedaż - odparł sucho Ben.

- Dwadzieścia funtów za sztukę - zaproponował Dibble. - W złocie.

- Nie ma mowy. Mogę wam odpalić kilka sztuk, nie więcej. Planujemy zostać tu przez zimę.

- Nie potrzeba wam aż tylu wołów.

- Aż tylu? - wtrącił Jack Kennedy. - Zostało ledwo parę tuzinów.

Dibble zdawał się go nie słyszeć.

- Trzydzieści funtów - powiedział do Bena.

- Przykro mi - odparł Ben. - Nie sprzedam. Powinniście byli sami zaopatrzyć się w mięso.

- Chyba pan nie rozumie, panie Buchanan - rzekł cicho górnik. - Tu nie ma sklepów ani jatek, a potrzeba nam mięsa. W tej chwili, jako rzekłem, chętnie zapłacimy, toteż może się pan targować. Oferta wynosi trzydzieści funtów od łba, co daje panu niezły zysk. Dla siebie może pan zatrzymać cztery sztuki. Otoczcie ich, chłopcy.

- Sześć! - wrzasnął Billy Kemp.

- No dobra - zaśmiał się Dibble. - Niech będzie sześć. Jezu, patrzcie tylko! Oni mają łódkę! Nie chcecie jej sprzedać?

- Nie! - zawołał Billy pośpiesznie. - To moja łódka!

Ben nie dbał o łódź, za to był wściekły z powodu utraty bydła. Patrzył bezradnie, jak Billy egzekwuje zapłatę na miejscu, a Jock starannie waży złoty piasek. Nabywcy ustawili się w kolejce.

- Zarobiłeś osiemset funtów, chłopcze - rzekł wesoło Jock, wręczając mu ciężką sakiewkę. - Niezły dochód.

- Tak? Przypomnę ci to, jak będziemy wpieprzać zarobaczone kangury! - odwarknął Ben.

Ruszyli ścieżką do głównego obozu kopaczy, oczyszczonej polany na wzniesieniu nad rzeką. Palmer zdawała się niczym nie różnić od tuzina innych rzek, które mijali po drodze. Nad każdą myszkowali w nadziei, że znajdą złoto - bo właściwie dlaczego Palmer miałyby być wyjątkiem? Wzdłuż brzegu nachylali się ludzie z patelniami. Billy Kemp, jak zawsze z każdym za pan brat, biegał dookoła, ścisnął dłonie nieznajomym i pytał, ile złota już znaleźli. Nikt jednak nie chciał rozmawiać na ten temat. Uśmiechali się, gładzili brody i odchodzili.

- Najlepiej rozbijcie namioty tutaj - doradził im życzliwie Dibble.

- I jak? - zaciekawił się Ben. - Warto było tłuc się taki kawał drogi?

- Każdy z tych facetów wróci do domu bogaty... o ile w ogóle uda mu się wrócić - odparł Dibble. - Obozujemy razem dla bezpieczeństwa. Nie zostawajcie na swoich działkach na noc.

- Dzicy? - zapytał Ben.

- Nie tylko. Pamiętaj, że złoto nie nosi na sobie nazwiska właściciela. Już trzech ludzi poniosło śmierć w drodze do obozu, a ich złoto zniknęło. Aborygeni nie zabierają złota. Znaleźliśmy jednego starego szperacza przeszytego włócznią i omal nie doszło tu do wojny, dopóki ktoś nie zauważył, że włócznia została dla niepoznaki wepchnięta w dziurę po kuli. Tak więc każdy trzyma język za zębami, kiedy spytasz go o dzienny urobek. - Dibble parsknął śmiechem. - Ale jeśli ktoś napchał kieszenie kruszcem, żadna siła na ziemi nie zetrze mu z twarzy uśmiechu.

Skoro już mają złoto, dlaczego stąd nie odjadą, póki pora?

Dibble zmierzył go wzrokiem.

- Widzę, że naprawdę jesteś nowicjuszem. A czy ty sam zadowolilibyś się golonką, jeśli możesz mieć całego wołu? Mulligan się nie mylił, Palmer usłana jest złotem i nie ma takiego człowieka na ziemi, który zrezygnuje, zanim nie przeryje na wylot całej działki.

- Ja tak - rzekł Ben. - Potrzeba mi pewnej kwoty i kiedy ją zdobędę, znikam.

- Tak mówi z początku każdy nałogowy pokerzysta - parsknął Dibble. - To nie wygrana wciąga człowieka, tylko gra.

Ben podszedł do krawędzi wzniesienia i zerknął w dół. Jock Mc\$feat stanął obok niego.

- Niech nas Bóg ma w opiece, chłopcze - rzekł, wpatrując się w łańcuch gór za rzeką.

- Czy ten kraj się nie kończy?

Przyzwyczajony do wielkich przestrzeni, Ben przyglądał się brzegom. Po drugiej stronie widniał rudawy wilgotny zaciek, a podmyte urwisko przewieszało się jak antresola o piętnaście stóp wyżej od miejsca, w którym się znajdował. Kiedy przyjdą deszcze, zaleje cały obóz.

Rozchwiane po powodzi drzewa chyliły się nad płataniną chaszczy, z wody wystawały korzenie, czarne mangrowce połyskiwały mięsistym zielonym listowiem. Raj dla węży, ocenił w duchu Ben, wymarzone terytorium pytonów. W bystrym nurcie pluskały się ryby, na płyciźnie jakimś cudem zakorzeniła się kępa sztywnych wodorostów, wyciągając pędy ku środkowi rzeki. Dobre miejsce, żeby znaleźć kraby, homary i inne smaczne skorupiaki. Na przeciwległym brzegu, wśród wysmukłych eukaliptusów, rosła zadziorna żółta akacja, a tuż za nią zauważył charakterystyczne woskowate, podobne do ostrokrzewu liście orzecha. Odwrócił się, żeby pokazać je Jockowi, te orzechy były nie tylko pożywne, lecz i smaczne. Szkot jednak powrócił już do wozu. Ben wzruszył ramionami i kontynuował oględziny.

Bliższy brzeg był piaszczysty, tu i ówdzie przerośnięty skrubem, choć zdarzały się i szerokie połacie skały. Rzędy palików i liny znaczyły poszczególne działki, niczym stragany na jarmarku. Na każdym prowizorycznym płocie wisiały małe chorągiewki, a także koszule, miski, bukłaki, buty oraz mnóstwo innego domowego śmiecia, które kontrastowało ze smętną żółtawą barwą rzeki i jej otoczenia.

Ben poczuł ulgę, obawiał się, że natrafią na kanion w pustyni, lecz Palmer nie różniła się niczym od innych rzek, które dobrze znał. Może tylko drzewa były tu wyższe, starsze, busz gęstszy.

Kiedy patrzył na drugi brzeg rzeki, nie zajęty jeszcze przez poszukiwaczy, dostrzegł jakiś ruch, jak gdyby nagle lekko drgnęła ziemia i las prawie niedostrzegalnie się poruszył.

Wybrał jedno drzewo i przez chwilę nie odrywał od niego wzroku, starając się nawet nie mrugać. Wówczas ich zobaczył. Wysokie, ciemne, nieruchome ciała zlewały się z szarością drzewnych pni. Nie sposób było powiedzieć, ilu ich tam stoi, lecz Ben poczuł, że włos jeży mu się na karku. Wiedział, że nie są to zwykli natręci, którzy schodzą się do osad białych ludzi z ciekawości albo po jedzenie. To byli wojownicy. Nie potrzebowali żywności, własna ziemia zapewniała im jej pod dostatkiem.

Zdecydował się w ogóle nie wspominać o nich pozostałym. Nie było sensu. Cóż mogli zrobić? Strzelać na oślep w stronę buszu i dać czarnym powód do ataku? Wbrew temu, co mówił Dibble, Ben był zdecydowany, że gdy tylko zbierze dość złota, wyjedzie stąd. Modlił się, by kruszcu starczyło i dla niego. Chciał wykorzystać tę szansę.

Zawrócił, myśląc o tych głupcach, którzy w buszu umierali z głodu. Teraz, gdy przyjrzał się tej ziemi, uświadomił sobie, że da się tu przeżyć i bez wołowiny, sama rzeka mogła ich wykarmić. Co innego skorbut: górnikom tak było pilno położyć łapy na jego bydle, że nikt nawet nie spytał, czy ma jakieś warzywa.

- No cóż, panowie - mruknął pod nosem, obserwując mężczyzn wracających po całodiennej pracy - to już wasz problem.

Ben orientował się, gdzie szukać dzikiego szpinaku, jadalnych jagód, nasion, które miały smak śliwkowego puddingu (tak też nazywali je z Darcym) i strąków podobnych do zielonego grochu. Potrafił też znaleźć tłuste pożywne larwy o smaku orzechów. Takie zbieractwo było jednak czasochłonne, nie mógł zaopatrywać obozu tej wielkości. Uśmiechnął się wreszcie na myśl o pieniądzach, jakie zarobił na bydle. Nie będzie siedział nad Palmer tak długo, by zobaczyć, jak ta banda głupków zaczyna zdychać.

Zadowolony, że podróż dobiegła końca, i pełen nadziei na przyszłość, Ben tej nocy spał dobrze, lecz Billy Kemp zerwał go o świcie, zbyt podekscytowany, by pozwolić komukolwiek wypocząć. Zostawili Eddy'ego z panią Mc\$feat, zwlekli łódź nad rzekę i spuścili ją na wodę.

Billy i Jock chwycili wiosła. Ben siedział za nimi, pozornie beztroski, choć przez cały czas czujnie obserwował przeciwległy brzeg. Wibrujące brzęczenie owadów zapowiadało znów potwornie upalny dzień. Ben zanurzył rękę w przejrzystej wodzie, stwierdził z rozczarowaniem, że jest ona ciepła i bynajmniej nie zachęca do kąpieli. Minęli pas oznaczonych działek i dotarli do zakola rzeki.

- Wszędzie jest tak samo - powiedział Billy. - Zawracaj, Jock. Tracimy czas.

- Płynmy dalej - rzekł Ben. - Chcę zobaczyć, co jest za zakrętem.

- A kogo to obchodzi? - sprzeciwił się Billy. - Kim u licha jesteście, jakimiś cholernymi odkrywcami?

- Nie zaszkodzi się przyjrzeć - wtrącił Jock. - Miejcie oko na wszelkie wyrwy w brzegu, jeden facet powiedział mi kiedyś, że maleńkie jary i strumyki to nieraz prawdziwe skarbcce.

- Czego? Pijawek? - skrzywił się Billy.

Ben gwałtownie podniósł głowę.

- On ma rację! Zatrzymują cięższe bryły... - Zerknął na powierzchnię wody. - Aha, słuchajcie, panowie, uważajcie na krokodyle.

Wiosła równocześnie wyskoczyły z wody i obaj mężczyźni obrócili się do Bena.

- Krokodyle? - kwiknął Billy. Twarz Jocka przybrała chorobliwie szary odcień. - Nikt nie mówił nam o krokodylach!

- Może i nie, ale nie widzę żadnego powodu, dla którego miałyby ich tu nie być. Miejcie oczy otwarte, te dranie są cholernie szybkie.

- Jezu! - jęknął Billy.

Jock złapał go za ramię.

- Powoli, chłopcze, skręć tu w lewo.

- Po co? - Billy nie zamierzał ryzykować.

- Nie chodzi o gady - roześmiał się Jock. - Widzisz ten prąd, który odchodzi tu od głównego nurtu? - Wskazał ujście niewielkiej odnogi, niemal całkowicie zasłonięte nawisłymi gałęziami. - Zobaczmy, co zostawiła tu wysoka fala.

Rozgarnęli gałęzie, pomiędzy których zerwały się do ataku chmury komarów. Odganiając się od owadów, wprowadzili łódź do odnogi i przybili do usianego wyrwanymi pniami drzew brzegu. Posępny las rozpościerał się wysoko nad ich głowami. Po kolei ostrożnie wysiedli z łodzi rozglądając się wokół. Potem ruszyli kamienistym brzegiem, który przypominał brukowaną ulicę. Od czasu do czasu któryś schylał się, przewracając rzeczne kamienie, wypolerowane w czasie długiej wędrówki.

Ben był zdumiony, kiedy to zobaczył, zdumiony, że coś takiego w ogóle może się zdarzyć. Zauważył błysk w płytkiej wodzie przy brzegu i machinalnie szturchnął go patykiem. Mała lśniąca rybka wyprysnęła spod kamienia, dezorientując go na chwilę. Później jednak schylił się i podniósł żółty bezkształtny kamyk, nie większy od jego kciuka, lecz wyjątkowo ciężki. Ben przyjrzał mu się. Miał ochotę zawołać pozostałych, jednakże bał się, że zrobi z siebie głupca. Zwrócił wzrok w kamieniste koryto. Na tym odcinku strumień miał zaledwie stopę głębokości, płynąca woda marszczyła się łagodnie. Znów zobaczył żółty

błysk. Zbliżył się ukradkiem, jak gdyby to coś mogło uciec przed nim niczym ryba. Z niemal nabożną czcią podniósł następny okruch złota, tak twardy, że przetrwał więzącą go skałę, oparł się niszczącej wodzie i toczył się dotąd, aż osiadł w korycie potoku, połyskując w słońcu.

- Tutaj! - Zawołał ochryple Ben do odwróconych plecami towarzyszy, z trudem dobywając z siebie głos, lecz w tej samej chwili trochę wyżej Billy podskoczył jak oparzony.

- Niech to... Jezu Chryste! - krzyknął. - Panie Boże wszechmogący, chodźcie zobaczyć! - Triumfalnie dał susa, unosząc w górę złoty samorodek, a potem rzucił się w wodę, śmiejąc się histerycznie: - To złoto! Znaleźliśmy je! Jest go tu pełno! Jesteśmy bogaci!

Jego głos niósł się echem, aż Jock przybiegł, żeby go uciszyć.

- Chcesz, żeby nas usłyszeli?

- Nie usłyszą - roześmiał się Billy. - Są o parę mil stąd. Udało się, Jock, ty stara szkocka zrzędo, jesteśmy bogaci, psiakrew!

Kiedy uniesienie nieco opadło, jego miejsce zajęła czujność.

- Skoro zabrali bydło, mogą zabrać i złoto - stwierdził Jock. - Wytyczymy działki tutaj i inne nad główną rzeką, żeby nikt niczego nie zwęszył. Musimy być piekielnie ostrożni, chłopcy. Dopóki nie przybędą tu przedstawiciele prawa i normalny rządowy agent, nie wydostaniemy się stąd żywi.

- To racja - rzekł Ben. - Zakopmy to, cośmy dziś znaleźli, i wróćmy do obozu, jak gdyby nigdy nic. Powinniśmy też porządnie zamaskować wylot tego strumyka.

- Nadajmy mu nazwę - zaproponował Billy. - Proponuję, żebyśmy nazwali go Potokiem Szkota. W końcu to Jock pierwszy go wypatrzył.

Ben uśmiechnął się szeroko. Billy rzadko bywał równie wspaniałomyślny, dziś wszakże mógł sobie pozwolić na taki gest. Co za dzień! Bena ogarnęło uniesienie. Koniec kłopotów! A jednak było warto... Ile złota kryje ten strumień? Niemożność oszacowania wartości znaleziska przyprawiała go o katusze. Najchętniej by tu został, strzegł cennego strumyka i kopał tak długo, jak będzie to konieczne, bez ustanku. Nigdy w życiu nie doświadczył tak gorączkowego podniecenia. Billy także miał ochotę kontynuować poszukiwania, lekceważąc niebezpieczeństwo, Jock jednak nalegał, by wracali.

- Pomalutku, chłopcy - rzekł. - Teraz mamy wiele do stracenia.

Każdy po kolei stał na straży i patrolował brzeg, podczas gdy inni pracowali: kopali, płukali, przemywali, posuwając się w górę wąskiego kapryśnego ciek, zbyt płytkiego dla łodzi. Po każdym dniu ich zasoby kruszcu rosły. W owym czasie Ben nie orientował się

jeszcze, ile warte jest jego złoto, nie mieli nawet szalek do ważenia złotego piasku. Naśladował innych i napelniał złotem puszki - po dzemie, po tytoniu, wszystkie, jakie tylko udało mu się znaleźć. Od czasu do czasu rozlegał się radosny wrzask, gdy ktoś trafił na okazalszą bryłkę. Jak dotąd największą mógł się pochwalić Jock, ważyła dobre dziesięć uncji. Wieczorami przyglądali się rzece, zastanawiając się, którądy biegnie główna żyła. Planowali przenieść się wyżej, kiedy Potok Szkota zostanie wypłukany do cna.

Upał był teraz nie do zniesienia. Jack Kennedy oznajmił, że do południa temperatura osiągnęła sto czternaście stopni. Nikt nie podawał jego słów w wątpliwość; słońce paliło przez rzadkie suche listowie, ziemia twardniała na kamień.

- To nie ma sensu - stwierdził w końcu Jock. - Tu jest jak w piekarniku. Nie będę dziś pracował po południu. Młody Eddy też jest ledwo żywy.

Tylko Billy i Ben uparli się, że zostaną.

- Wszędzie jest tak samo gorąco - oznajmił Ben.

- Nieprawda, na górze jest chłodniej. A pod wozem leży uczciwy cień.

- On ma rację - odezwał się Jack. - Odwiozę ich do obozu i potem po was wrócę.

Ben zanurzył się w mętnej wodzie.

- Tylko żebyś zabrał nas stąd przed zmierzchem, bo inaczej żywcem zeżrą nas insekty.

- W porządku. - Jack zapakował swój sprzęt. - Do zobaczenia później.

Jak się okazało, widzieli ich po raz ostatni.

Obóz nad rzeką nie został zaatakowany w nocy, jak się obawiali, lecz o drugiej po południu, kiedy większość poszukiwaczy była nad rzeką, a reszta drzemała wyczerpana w namiotach lub pod drzewami. Wojownicy bezgłośnie wpadli na polanę. Świsnęły włócznie, zadudniły topory, od płonących gałęzi zajęły się namioty i wozy, a gdy krzyki ofiar rozdarły powietrze, ponad pięćdziesięciu wojowników błyskawicznie schroniło się w lesie. Biegli kilka mil w górę rzeki, gdzie ukryte były ich czółna, po czym przeprawili się na bezpieczny drugi brzeg. Białe pióra kakadu szeleściły triumfalnie nad pomalowanymi w szare pasy twarzami. Merkinowie rozpoczęli wojnę.

Nie było dość czasu, żeby zbierać skalpy białych ludzi na trofea. Poza tym ich wartość zmalała, odkąd się przekonali, że symbolizują jedynie brak męskości. W oderwanych potyczkach zdobyto trochę skalpów i nie były one już rzadkością, lecz młody Garangupurr z dumą nosił swe trofeum na szyi. Kobieta, którą powalił jednym ciosem, miała włosy jasne i błyszczące jak słońce. Zdarcie ich z czaszki, od karku do czoła, zajęło mu tylko chwilę, teraz cały świat mógł je oglądać. To była prawdziwa ciekawostka.

Ben i Billy słyszeli wystrzały w oddali, lecz nie przejęli się tym. Pewnie znowu jacyś narwani górnicy strzelają do puszek albo do siebie nawzajem - burdy wybuchały dosyć często. Kiedy jednak słońce przybrało jaskrawopomarańczową barwę i pochyliło się nad górami, Billy zaczął się niepokoić.

- Jack zaraz się zjawi - rzekł Ben. - Znasz go przecież, jest niezawodny.

Natarli błotem twarze i ręce dla ochrony przed milionami komarów i drobnych muszek, które o zmierzchu zajęły miejsce dokuczliwych gzów. Czekali na brzegu, lecz po łodzi nie było ani śladu.

- Dranie - burknął Billy. - Założę się, że jakiś sukinsyn ukradł moją łódź.

- Nie możemy tu zostać - oznajmił w końcu Ben. - Będziemy musieli iść pieszo.

Ruszyli wzdłuż rzeki w całkowitej ciemności, z trudem utrzymując równowagę na śliskim brzegu. Musieli po omacku przelażyć przez powalone drzewa, potykali się w jarach i wądołach, klnąc siarczyście. Kilka godzin później w potarganej odzieży, krwawiąc z podrapanych kończyn, dotarli do cichego, posępnego obozu.

Masakra nimi wstrząsnęła. Zginęło dziewięciu ludzi, w tym Jack Kennedy, pani Mc\$feat i młody Eddy Gaunt. Bena zaskoczyła rozpacz Billy'ego Kempa. Nigdy nie mógł do końca go rozgryźć; z pewnością nie był to człowiek, któremu można by zaufać, a jednak były w nim pokłady niewiarygodnej, wręcz zacieklej lojalności. Ben orientował się, że on sam nie jest zbyt lubiany w obozie. Nazywano go pogardliwie "dziedzicem". Kiedy jednak jakiś zabijaka rzucił się na niego, twierdząc, jakoby Ben ukradł mu tytoń, Billy bez chwili wahania huknął go po łbie strzemieniem. Później najspokojniej wyciągnął zza pazuchy zaginiony tytoń i zapalił.

- Biedny Eddy - szlochał. - Nigdy mu się nie wiodło. Słyszałeś, co mówił Jock? Powiedział, że biedny sukinsyn mógł zwiać, ale zawrócił do wozu, żeby ratować panią Mc\$feat. Próbował ją podnieść i wtedy dostał dzidą w plecy, a potem zatłukli go pałami. Jezu! Co za moment, żeby odgrywać cholernego bohatera! Jock wszystko widział. - Billy podniósł ku Benowi zalaną łzami twarz. - I wiesz co, psiakrew? Mówi, że ona już wtedy nie żyła!

Ben martwił się o Jocka. Szkot został ranny jako jeden z pierwszych. Kiedy wyszedł z za wozu, włócznia trafiła go w brzuch, wrywając wielką ranę. Zwalił się na ziemię, a mijający go Aborygen maczugą złamał mu prawą nogę. Po napadzie znaleźli go wśród niedobitków. Urządzono dla nich prowizoryczny szpital; większość rokowała dobrze, tylko obrażenia Jocka były poważne. Pewien był aptekarz, który podjął się roli chirurga,

ostrzegął przed infekcją: Jock miał już na nodze wrzód i nikłe szanse, by uniknąć zakażenia.

Górnicy pochowali zmarłych i wrócili do roboty, Ben i Billy natomiast pozostali przy Jocku, starając się go chłodzić, kiedy wywiązała się gorączka.

- Mam dość - oświadczył w końcu Billy. - Żadna ilość kruszcu nie jest tego warta. Proponuję, żebyśmy wzięli złoto i w nogi.

- Nie możemy zostawić Jocka - szepnął Ben, dając mu znaki, żeby mówił ciszej.

- Nie będzie mu potrzebna jego dola - rzekł Billy. - Chłop już patrzy na księżą oborę. Pochowamy go obok małżonki i pryśniemy nocką przy księżycu, żeby nikt nas nie zobaczył.

- Jezu, Billy, mówisz tak, jakby on już nie żył.

- Cud, że dotąd nie wykorkował z dziurą w brzuchu i całą resztą. Wyobrażasz sobie ten ból? Oddalibyśmy mu przysługę, gdybyśmy go dobili.

Ben spojrzał na niego ze zgrozą.

- Jak możesz w ogóle mówić coś takiego?

- Widziałem, jak skracałeś cierpienia swoich krów, ale dla kumpla nie chcesz tego zrobić, co?

- Milcz, bydlaku! - wybuchnął Ben. - Co za barbarzyński pomysł! To jest człowiek, nie zwierzę.

- Właśnie. Jak chcesz, to siedź i słuchaj jego krzyku. Ja nie mogę.

Potem Billy zniknął na kilka dni. Ben samotnie czuwał nad Jockiem. Zbudował szałas z gałęzi, żeby chory miał dach nad głową. Przemywał rany gotowaną wodą, walcząc z mdłościami na widok rozprzestrzeniającego się zakażenia. Pozwolił, by robaki pasły się na wrzodzie, wyżerając gnijące mięso, mimo to odór był przerażający. Jock cierpiał straszliwie, lecz zaciskał zęby i znosił to prawie bez jęku, a podziw Bena dla stoicyzmu Szkota rósł. Czasami czuł wstyd, że traktuje swe wysiłki jak swoistą wojnę z Billym; chciał udowodnić Kempowi, że się myli. Chwilami łapał się na tym, że w ogóle już nie myśli o swoim poprzednim życiu, o Caravale. Palmer zawładnęła nim do reszty, rzeczywistość zawierała się w tym koszmarnym miejscu, tak bliskim piekłu, że człowiek nie mógłby się już chyba bardziej do niego zbliżyć. Nawet przyroda sprzysięgła się, żeby podkopać jego kruche siły. Wyjące w nocy dingo wyprowadzały go z równowagi, chociaż dawniej w ogóle nie zwracał na nie uwagi.

Czasami Jock się modlił, jego wargi poruszały się w rytmie znajomych słów. Ben modlił się także, człapiąc nad rzekę i z powrotem po błocie, zmielonym na śliską maź setkami stóp. Zdawał sobie sprawę, że w takich warunkach nawet drobna ranka łatwo

mogła ulec zakażeniu. Wciąż jednak dźwigał wiadra wody, którą cedził przez moskitierę, a następnie gotował na niej rosoly z dzikich ptaków, rozpaczliwie usiłując odpędzić demony, które wyciągały już ręce po Jocka.

Pewnego popołudnia, ściągnając wiecznIE przemoczone buty, spostrzegł, że ma w nodze czarną ropiejącą dziurę. Dziwne, niczego nie czuł. Gąbczasty wrzód był już dobrze zasiedziały. Ben bez zwłoki rozgrzał w ogniu nóż i ciął głęboko, krzycząc z bólu, który sam sobie zadawał. Teraz wiedział już, co naprawdę przeżywa Jock. Nikt, kto obserwuje cudzy ból, nie jest w stanie ocenić jego natężenia, choćby mu się zdawało, że to potrafi. Ben był wściekły na siebie i - choć to zakrawało na obłąd - na starego dentystę, który wiele lat temu wyrwał mu zęba, mówiąc: "Siedź spokojnie, młodzieńcze, to wcale nie boli". Tej nocy w histerycznych koszmarach śniło mu się, że morduje dentystę rozpalonym nożem.

Nazajutrz zajrzał do nich Billy Kemp.

- Co z nim?

- Źle. - Ben zerknął na spoconą szarą twarz Jocka. Opatrunki robił mu z podartych koszul, które skupował i o które żebrał w całym obozie, ponieważ wóz Mc\$featów doszczętnie spłonął.

Billy kiwnął głową.

- Mogę mu jakoś pomóc?

- Nie.

- No dobra. - Billy znów był sobą. - Słyszałeś nowinę?

- Jaką nowinę?

- Górny bieg rzeki roi się od kopaczy. Podobno są ich setki, pojawili się praktycznie z dnia na dzień.

Ben miał trudności z przetrawieniem tej wieści. Znów nękały go ciągłe bóle głowy.

- Skąd się wzięli?

- Ha! To jest najlepsze! Przyszli przez góry z wybrzeża. Stąd nad morze jest tylko jakieś sto mil. Zawsze przysięgałem, że już nigdy w życiu nie zbliżę się do tej cholernej Endeavour, ale teraz nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę! Ci ludzie wycięli szlak. Możemy się stąd zabierać.

- Jak tylko Jock wyzdrowieje.

- Nie. Chłopcy organizują konwój, który poniesie złoto nową trasą. Podobno u ujścia Endeavour buduje się nowy port. Nazwali go Cooktown. Ja idę. Wyruszamy jutro. Możesz zatrzymać sobie łódź.

Ben zastanawiał się mgliscie, dlaczego Billy zawsze utrzymywał, że łódź należy do niego, skoro to Ben sfinansował całą ekspedycję. W tej chwili nie miało to już znaczenia. Był zmęczony, marzył o tym, żeby Billy wreszcie sobie poszedł. Jak tylko on i Jock poczują się lepiej, znów wezmą się do pracy. Teraz, kiedy nad Palmer przybyło ludzi, będzie tu bezpieczniej. Przysłuchując się innym górnikom, nauczył się oceniać wartość złota. Miał już prawie pełną kwotę na wykup Caravale. Lecz Palmer była wielka, na pewno zostało tu jeszcze mnóstwo złota. Ręce zaświerzbiałały go na tę myśl. Znajdowano teraz większe samородki, niektóre ważyły po sześćdziesiąt uncji. Gdyby znalazł takich parę... Zatkąło go z podniecenia. Billy to głupiec, cały kłopot w tym, że brak mu wytrwałości. Zawsze będzie włóczęgą, który nigdzie nie zagrzeje miejsca. Lecz on, Ben Buchanan jest inny. On wróci do domu jako bogacz. Zatrudni paru brygadzystów, postawi nad nimi Toma Mansfielda, sam zaś zajmie się działalnością, o której zawsze marzył. Wróci do polityki.

Ben wziął karabin i stanął na straży. Strzegł swego pacjenta oraz puszek złota, które były schowane pod jego pryczą, złota wydartego rzece przez Bena i Jocka, i świętej pamięci Jacka Kennedy'ego...

W sumie leżała tam fortuna.

Przybycie ekspedycji Mulligana wywołało poruszenie w codziennej monotonii panującej na odkrywcę, ale Ben ledwie je zauważył. Był zanadto zajęty, wypełniał swe zadania skwapliwie, wręcz zawistnie, nie zdając sobie sprawy, że ciągły wysiłek podkopuje mu siły i z biegiem tygodni coraz bardziej odbiera poczucie rzeczywistości.

Zostawiał psa na straży i zapuszczał się w busz, poszukując nie złota, lecz cennych jadalnych roślin. Chomikował gnijące jagody i dzikie winogrona pod stertą liści w kącie chaty. Ból rozprzestrzeniających się na nodze wrzodów przywoływał mu na twarz posępny uśmiech; były one dla niego czymś na kształt samobiczowania, pokutował za grzechy, ponieważ czasem widział na pryczy Darcy'ego, a czasami rannego Jacka Middletona, którego trzeba było opatrzyć. Coraz bardziej obłąkany, Ben wierzył, że może - i zdoła - ocalić ich obu.

Przez całą noc palił lampę i tępił nocnych gości: rozgniatał pająki, wyrzucał za drzwi zwinne jaszczurki, przepędzał pięknookie gekony, które przychodziły tylko po to, by popatrzeć. Kiedy trafiał się wąż, Ben miażdżył go z okrzykiem triumfu.

Stopniowo ubywało mu bydła, później znikły też konie, lecz półprzytomny "pustelnik", jak go teraz nazywano, nie protestował.

- Potrzeba im ruchu - tłumaczył Jockowi, zapominając, że nawet nie napoił zwierząt. Ci, co przywłaszczyli sobie jego konie, zasłaniaли się litością dla okulawionych zwierząt. W normalnych warunkach mało kto ośmieliłby się ukraść konia.

Ludzie, których znał, odeszli. Nowo przybyli zaś, owładnięci gorączką swoich pragnień, nie zwracali uwagi na obdartego zarośniętego pustelnika i jego pacjenta o gasnących oczach, ani nawet na zażartą srebrzystosiwą sukę, która obnażała kły na widok zbliżających się obcych. Omijali jego chatę i Ben Buchanan wkrótce przestał istnieć. Zapomniano o nim. Inni też tracili zmysły: z upału, z gorączki, z wygłodzenia na szlaku; czymże był jeden mniej, jeden więcej? Znowu zaczęło brakować żywności. W buszu znaleziono wychudłe jak szkielety ciała ludzi, którzy umarli z głodu, usiłując się przedostać na wybrzeże. Zwłoki wciąż miały przytroczone na plecach wyładowane złotem sakwy.

Herbert wrócił do Bowen. Miał teraz furę pieniędzy - dość, by spłacić długi i nie martwić się, skąd weźmie na życie, przynajmniej do czasu, dopóki się nie zdecyduje, co dalej. Spłata zaległych długów nie była co prawda jego ulubionym sposobem wydawania forsy i najchętniej by o nich po prostu zapomniał. W tym dzikim kraju jednak ludzie mieli dobrą pamięć i ani krzty litości dla "migłanców", jak ich nazywali. Potrafilo oszukiwać, bić się i okradać nawzajem, lecz nawet najszczerzy kompan miał poważne kłopoty, jeśli próbował się wymigać od spłacenia hazardowego długu. Po miesiącach spędzonych w buszu Bowen zdało się Herbertowi domem, nie było zresztą innego miejsca, które mógłby tak nazwać.

Wynajął przyzwoity pokój w hotelu "Palace". Właściciel, O'Keefe, powitał go niczym dawno nie widzianego druha.

- Jakże się cieszę, że znów cię widzę, Herbie. Słyszałem, że szukałeś złota. Jak poszło?

- Znakomicie, dziękuję.

- Podobno z Charters Towers nadal jeszcze wywożą złoto całymi wozami?

- To prawda, kłębią się tam tłumy górników, choć w tej chwili trzeba sporo szczęścia, żeby naprawdę zbić szmal. Pierwsi odkrywcy zgarniają śmietankę, reszcie przypada w udziale mozolna, ciężka orka. - Herbert spojrzał na swoje zgrubiałe dłonie i parsknął śmiechem. - Mój ojciec nigdy by w to nie uwierzył!

- To wstyd, żeby pianista tak zniszczył sobie ręce. Powinieneś o nie dbać, Herbie. Nikt już nie grywa tu na pianinie. Bowen się zmieniło. Zespokojniało, chłopcze.

- Rzeczywiście, to zdumiewające. Muszę odszukać paru dżentelmenów i spłacić to, co im jestem winien, aby, że tak powiem, zacząć nowe życie. - Herbert zapytał dyskretnie o miejsca pobytu dawnych partnerów od stolika.

O'Keefe uśmiechnął się szeroko.

- Patsy, ten, który rozdawał, nie potrzebuje już twojej forsy. Przegrał pojedynek na pistolety z Ryjcem Grimesem. Ryjec zaraz potem oddalił się pośpiesznie w nieznanym kierunku. Co się tyczy tego trzeciego, zamarzyły mu się jasne światła miast. Wyjechał do Sydney. Tak więc jego też możesz skreślić.

Cóż za miła wiadomość, stwierdził w duchu Herbert, z radością witając dodatkowe sześćset funtów w kieszeni. Zatem pozostał mu tylko Chińczyk. Podniósł tobole i zataszczył do pokoju. Najpierw musi zainwestować w przyzwoite odzienie.

Kiedy Lew zostawił mu działkę nad Cape, często przychodziła mu pomagać Marie Bourke. Herbert świetnie się czuł w jej towarzystwie. Dyrygowała nim prawie tak samo jak Lew, lecz jej żartobliwy, beztroski sposób bycia pociągał go o wiele bardziej. Marie była radosna nawet wtedy, gdy cały dzień ciężkiej pracy przyniósł mizerny efekt; jej postać, szczupła, lecz silna, o jędrnych pełnych piersiach, nie dawała Herbertowi spać po nocach. Gdyby ojciec tak jej nie pilnował, Herbert być może by ją uwiódł. Teraz pluł sobie w brodę, że nawet nie spróbował. Szczerze tęsknił za Marie.

Lew wysłał do niego konnego posłańca z listem, w którym informował, że na północy odkryto nowe złoża i jeżeli Herbert chce się z nim zabrać, musi prędko przyjechać do Townsville. Ostrzegł, żeby nikomu o tym nie mówić.

Wieczorem kilka dni później Herbert popijał whisky z Jimem Bourke.

Miałaś wieści od Lewisa? - spytał Jim.

- Owszem.

- Co u niego?

- Wybiera się na jakąś szaloną eskapadę. Zapraszał, żebym się do niego przyłączył, ale nawet nie chcę o tym myśleć. Boże, już tutaj jest wystarczająco paskudnie. Pchać się dalej na północ, to prosić się o kłopoty.

- Co to za eskapada?

- Miałem o tym nie mówić, więc zatrzymaj to dla siebie. Nowe złoża kruszcu, rzecz jasna. Gorączka złota opętała go bardziej, niż mnie kiedykolwiek.

- Słyszałem jakieś mętne pogłoski - rzekł Bourke. - Czy Lew wspominał, gdzie to jest?

- Nie, tyle tylko że wyrusza z Townsville.

Bourke spojrział na niego z namysłem.

- Townsville? Dlaczego akurat stamtąd?

- Mój drogi - uśmiechnął się Herbert. - Wystarczy dodać dwa do dwóch. Jeśli Lew rusza z Townsville, zamiast jechać prosto z Charters Towers, to znaczy, że nasz kapitan udaje się na północ drogą morską.

- Tak? - mruknął Bourke. - Ci kulisi, wiesz, pracownicy China, też odeszli. Zniknęli, jakby ich kto zdmuchnął.

- Lew i Chin to partnerzy. Od samego początku.

- Napij się jeszcze, Herbie. - Bourke nalał mu do kubka solidną porcję whisky. - Wiesz, te nasze działki zaczynają się kończyć...

- Owszem. Może byśmy tak wytyczyli nowe, bliżej Charters Towers?

Bourke wsadził kciuk do ust i zaczął go ogryzać.

- A nie lepiej dogonić Lewisa? Nowe złoża! I do tego podróż statkiem! To świetna okazja. Jak myślisz, zabrałby i nas?

- Nas? Ja nie jadę, bez obaw. Możesz mnie nie brać w rachubę.

- Powiedzmy zatem, że rodzinę Bourke'ów. Nie wierzę, żeby Lew nas spławił. Niech no pomyśle... Spakujemy się zaraz z rana i w te pędy lecimy do Townsville.

- Zwariowałaś, Jim. Równie dobrze możemy wytyczyć nowe działki i kopać tu, gdzie wiemy już, co i jak.

- I płukać nędzne resztki, zauważ. Tamto to coś ekstra. Jeśli Lew i ten Chińczyk wycofali ludzi, to znaczy, że znalezisko jest naprawdę cenne. Trzeba stanąć na głowie, żeby się tam dostać. Jedziemy do Townsville, chłopcze, i módl się, żebyśmy się nie spóźnili. Powinieneś był powiedzieć mi o tym wcześniej, straciliśmy parę dni.

- W ogóle miałem ci o tym nie mówić.

"Do diabła!" - zbeształ się w duchu. Po jaką cholere otwierał usta? Przemawiała przez niego whisky, to jasne.

W Townsville prawie natychmiast natknęli się na Cavoura i jego Chińczyków, zajętych załadunkiem szkunera wycarterowanego na rejs - dokąd? Lew z początku nie chciał im tego zdradzić, dopiero potem rozniosła się wieść o złocie rzeki Palmer.

Lew zgodził się zabrać Jima Bourke'a, mniej natomiast był zachwycony wieścią, że są z nim kobiety. Przekonała go dopiero Marie Bourke.

- Odkrywki to dla nas nie nowość, Lew. Mama i ja spędziłyśmy cały rok nad Cape.

- Gdzie mój mąż, tam i ja - dodała stanowczo Marjorie.

- Jeśli nas nie weźmiesz, będziemy musieli szukać innego statku - błagał Jim. - Wolelibyśmy jechać z wami.

- Jedziesz czy nie? - zapytał Lew Herberta, który zawahał się, widząc, że nad Palmer wybierają się wszyscy oprócz niego. Nie miał ochoty wracać nad Cape sam jak palec.

- Nie - odparł z uporem. - To wyprawa na wariackich papierach. Nie dam się na to namówić.

- A któż cię namawia? Zrobisz, co zechcesz.

- Właśnie tak. Zdecydowałem się wrócić do Bowen.

Była to podjęta pod wpływem chwili decyzja, która, jak wiedział, zdenerwuje Lewisa. Ze zdumieniem odkrył, że na pokładzie szkunera jest Diamond, nie uzyskał jednakże żadnych wyjaśnień. Dowiedział się tylko, że Perfy zerwała zaręczyny i wróciła do domu. Nie mógł się już doczekać, kiedy ją zobaczy.

- Przekażę jej od ciebie pozdrowienia - rzekł na odchodnym.

Dopiero w Bowen O'Keefe i miejscowy policjant zdali mu przy barze pełną zatrważającą relację z wypadku Jacka Middletona. Diamond ograniczyła się do stwierdzenia, że Jack został śmiertelnie raniony przez krokodyla.

- Ona nie lubi o tym mówić - powiedział mu Lew jeszcze w Townsville. - Zdaje się, że była przy tym. Natychmiast wysłałem nasze kondolencje pani Middleton i Perfy. Potworny wypadek! I straszna szkoda. Jack był porządnym człowiekiem.

Nowina ta spowodowała, że Herbert udał się do pań Middleton z duszą na ramieniu. Odwagi dodawał mu tylko wytworny tropikalny garnitur, nowa koszula w prążki i sztywny wykrochmalony kołnierzyk. Przekonał się wszakże, że obie panie doszły już do siebie, choć gdy tak nagle zjawił się z kondolencjami, pocięło kilka łez. Alice dzielnie radziła sobie z wdowieństwem.

- Bardzo nam go brakuje - rzekła - ale wiem, że oszedł do Boga. Nie możemy bez końca siedzieć i uzalać się nad sobą. Podjęłam pracę w szpitalu, oczywiście jako wolontariuszka. Pielęgnuję chorych. Nasz biedny doktor wprost pada z nóg. Klimat jest tu na pozór taki zdrowy, a jednak tyle mamy zachorowań na febrę, no i nieszczęśliwe wypadki... Wciąż huk roboty. Perfy też przychodzi od czasu do czasu.

Herbert wychwycił w ostatnich słowach krytyczną nutę, jak gdyby Alice oczekiwała od córki większego zaangażowania.

- Dostałyśmy list od Lewisa - odezwała się Perfy - ale nie mogłyśmy odpisać, bo nie podał adresu.

- Pojechał nad rzekę Palmer szukać złota. Znowu! Całkiem zwariował, powiedziałem mu to. Chciał, żebym z nim jechał, ja jednak grzecznie odmówiłem. To miejsce, o ile się orientuję, jest gdzieś na końcu świata, w zupełnej dziczy. Człowiek może co prawda znieść pewną ilość niewygód, ale bez przesady. Po powrocie dosłownie tarzałem się w wannie z czystą wodą w hotelu "Palace", a zasiąść do stołu, na którym jest obrus i sztuce, to czysta rozkosz.

- Czy znalazłeś złoto, Herbercie? - zapytała Alice.

- Tak. Tym razem powiodło mi się o wiele lepiej. Przywiozłem całkiem przyzwoitą sumkę. Zastanawiam się, czy nie kupić tu jakiejś firmy.

- Jakiej?

Herbert nie miał pojęcia. Powiedział to, bo wydawało mu się, że tak wypada.

- Najpierw trzeba by zbadać rynek - rzekł oględnie.

- Dżentelmen, który kupił twoją agencję, szybko zbankrutował - rzekła Alice. -
Widocznie brakowało mu twojego doświadczenia.

I poparcia Glorii Molloy, uśmiechnął się w duchu Herbert. Pamiętał, jak raz w ciągu trzech dni sprzedał ten sam kawałek ziemi trzem różnym facetom - wyłącznie dzięki wygadanej buźce Glorii.

- O'Keefe mówił mi, że w tej branży nie ma dziś dużych perspektyw - rzekł.

Gawędzili o tym i owym, Perfy wszakże prawie się nie odzywała. Herberta świerbiło, by dowiedzieć się czegoś więcej o zerwanych zaręczynach. W samym ich zawarciu wietrzył oczywisty podstęp ze strony Buchanana. Dobrze, że Perfy ocknęła się w porę. Herbert nie zapomniał pogroźek, jakie przekazał mu bankier Tolley. Ben Buchanan nie życzył sobie, aby Herbert próbował ułatwić jej sprzedaż udziału w Caravale, komuś, rzecz jasna, oprócz niego samego. Co za cholerny tupet!

- Wciąż masz udział w tym ranczo? - spytał.

- Jest na sprzedaż - odparła.

- Teraz wiążą się z nim smutne wspomnienia - wyjaśniła Alice. - Jack został tam pochowany.

Nie chodzi tylko o to, pomyślał Herbert. Zzerała go ciekawość. Musi pogadać z Perfy na osobności.

- Pani Middleton, czy miałaby mi pani za złe, gdybym zaprosił dziś Perfy na kolację do "Palace"? - spytał. - Myślę, że należy mi się uroczysty wieczór.

- Ja nie mam nic przeciwko temu. Powinnaś iść, Perfy, nie możesz przez cały czas siedzieć w domu.

- Dobrze. - Perfy obojętnie wzruszyła ramionami.

Herbert poczuł się urażony.

- Nie chciałbym sprawiać ci kłopotu - rzekł chłodno.

- Przepraszam cię, Herbercie - uśmiechnęła się. - To było niegrzecznie z mojej strony. Naprawdę z przyjemnością zjem z tobą kolację.

Zamówił najwytworniejsze dania - nie po to, by zaimponować Perfy, lecz dla własnej przyjemności. Tym razem było co świętować, na koncie w banku miał pieniądze, nie długi, i czuł się panem samego siebie, a było to doprawdy wspaniałe uczucie. Nie szkodzi, że sytuacja ta mogła nie potrwać długo, albowiem zawsze wydawał więcej, niż zarabiał. Coś się zawsze znajdzie. Po południu napisał list do rodziców, donosząc, że zjechał właśnie na odpoczynek do Bowen, odkrywszy złoto nad rzeką Cape. Za każdym razem kiedy o tym

myślał, zwijał się ze śmiechu. Rodzina będzie teraz wyłazić ze skóry z ciekawości, ile też złota "odkrył". Wyśmienicie dobrał to słowo, prawdziwe, a jednak wieloznaczne, obliczone na to, by wypuścić powietrze z nadętego balonu Wattlingtonów, którzy mimo arystokratycznych pozorów byli podłą bandą skner, obracających trzy razy każdy grosz. Gdy usłyszą, że nie kto inny, a właśnie Herbert znalazł złoto, to dopiero ich ubodzie. Tak, ubodzie ich boleśnie, i o to właśnie chodzi. Celowo nie rozwodził się nad szczegółami, zamiast tego zapewnił, iż pozostaje w dobrym zdrowiu. O, dniu szczęśliwy!

- Wybacz, jeśli pcham się z kopytami w twoje prywatne sprawy, Perfy - rzekł - ale właściwie co się z tobą działo? Słyszałem o twoich zaręczynach z Buchananem numer dwa. Widzę, że ci panowie nieodparcie cię pociągają.

Perfy wytrzeszczyła na niego oczy.

- Kto ci to powiedział?

Herbert miał powody, żeby na razie nie wspominać o Diamond.

- Lew gdzieś o tym usłyszał. Wiesz, sporo hodowców odwiedza Charters Towers...

- Lew wie? O Boże! A czy wie, że zerwałam zaręczyny?

- Tak. Powiedz, dlaczego zerwałaś? A przede wszystkim co cię opętało, żeby w ogóle rozważać ożenek z młodszym bratem?

- Sama nie wiem. Byłam taka załamana, kiedy tatko... umarł, a Ben był dla mnie bardzo miły. Jego matka, Cornelia, także. Długo chorowałam, a potem to wszystko wydało mi się takie naturalne...

- Nie wpadło ci do głowy, że mogą nim powodować mniej szlachetne pobudki? Na przykład chęć zagarnięcia twojego udziału w Caravale?

- Wtedy nie, ale teraz owszem - odrzekła ze złością. - Nigdy nie dostanie mojej części. Wolalabym o tym nie mówić, Herbercie, jestem taka uradowana, że cię widzę, naprawdę. Nudzę się tutaj i czuję się straszliwie samotna. Gdyby nie mama, wróciłabym do Brisbane, gdzie przynajmniej mam znajomych w moim wieku. Ale mama kocha Bowen i kocha ten dom. Mam potworne wyrzuty sumienia. Gdybym się nie uparła jechać do Caravale, tatko żyłby do dziś.

Herbert ujął ją za rękę.

- Nie mów tak, Perfy. Byłem przy tym, pamiętasz? Twój ojciec sam chciał zobaczyć ranczo. Dał mi do zrozumienia, że przykłada do tego wielką wagę. Jeśli mam być szczery, stwierdził bez ogródek, że nie pozwoli, aby Buchananowie cię wykiwali.

- Podejrzewam, że chciał sam uczciwie oszacować wartość rancza. Biedny tatko, próbował mi pomóc.

- Rozchmurz się, dziewczyno. - Herbert zamówił szampana. - Zdaje mi się, że szampan jest tu narodowym napojem, więc chyba postąpimy słusznie, także się nim racząc. Wyglądasz jeszcze piękniej niż zwykle. Na zdrowie, Perfy.

Przy najbliższej okazji spróbuje wydusić z niej historię pobytu w Caravale. Buchanan musiał popełnić jakiś błąd. Żeby doprowadzić dziewczynę prawie do ołtarza, a potem wszystko schrzanić! Herbert nie znajdował słów na określenie podobnej głupoty. Ciekawe, co sprawiło, że Perfy obudziła się za pięć dwunasta.

- Dlaczego się tu nudzisz? - podjął. - Chcę powiedzieć, moja droga, że masz śliczny dom, wspaniałą matkę. Wciąż płaczesz za Buchananem? Mam na myśli Bena.

Perfy aż podskoczyła.

- Oczywiście że nie! Nienawidzę go. Nigdy mu nie wybaczę. Szkoda, że w ogóle o nim wspomniałeś. Nie, Herbercie, po prostu nie mogę sobie znaleźć miejsca. Nie mam nic do roboty. I nie mów mi, że powinnam poświęcać więcej czasu na pracę w szpitalu, to tylko jeszcze bardziej mnie przygnębia. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Herbert roześmiał się.

- Ja wiem. Nie masz adoratora.

- Nie bądź śmieszny.

- Wcale nie jestem śmieszny. To normalne uczucie, nawet u miłych młodych panien. Będę musiał zapewnić ci jakieś rozrywki.

Pokiwała głową, niepewnie i bez wielkiego entuzjazmu, jak zauważył.

- Co słyhać u Lewisa? - bąknęła. Wreszcie. Był ciekaw, kiedy o to spyta.

- Wszystko w porządku. Zajęty wyprawą.

- Pewnie uważa mnie za idiotkę. Żeby dać się omotać Benowi Buchananowi! Co mówił?

- Niewiele.

- Ale co?

- Hm, mówiąc szczerze, nie był zachwycony.

Perfy przyjrzała się akordeoniście, który katował instrument na użytek klientów restauracji.

- Czy moje przeżycia tam, na ranczo, są już powszechnie znane?

- O nie, skądże znowu. Wiedzieliśmy tylko tyle, że jedziesz do Caravale. Pan Chin jednakże osiadł w tym czasie w Charters Towers... Czy wiesz, że udało mu się zgromadzić znaczną fortunę i to on sfinansował ekspedycję nad Palmer?

- Herbercie, zostaw w spokoju pana China. Do czego zmierzasz?

- A, tak. Otóż Chin słyszał o twoich zaręczynach od tamtejszych baronów hodowlanych. Ten żółtek obraca się w bogatych kręgach. Ale o tym, że zerwałaś z Benem i wróciłaś do Bowen, Lew dowiedział się od Diamond.

Perfy Zareagowała o wiele ostrzej, niż się spodziewał. Jej policzki oblały się pąsem, dłonie zadrżały, gdy ostrożnie odstawiła kieliszek.

- Diamond? - powtórzyła. - Gdzie widziałeś się z Diamond?

- Na szkunerze. Nie mówiłem ci? Popłynęła z Cavourem nad Palmer.

Zamknawszy za sobą drzwi swego pokoju, Perfy rozplakała się. Ze złości? Z żalu? A co za różnica? Każdy pretekst był dobry, byle się nie przyznać, że straciła Lewisa przez własną głupotę. Słyszał o śmierci jej ojca. Mógł przyjechać do Bowen, żeby się z nią zobaczyć, nie było to aż tak daleko. Nie przyjechał jednak. Po co miałby się fatygować? Z jego punktu widzenia Perfy dokonała wyboru: oddała swe serce Benowi Buchananowi, jego natomiast odtrąciła. Gdyby tylko mogła mu wytłumaczyć, jak czuła się w Caravale, jakie to wszystko było dziwne, nierzeczywiste... Gdyby mogła go przeprosić i błagać, by postarał się ją zrozumieć. Rozplakała się ponownie, modląc się w duchu, żeby Diamond nigdy nie zdradził Lewisowi, dlaczego zaręczyny zostały zerwane; utwierdziłoby go to w przekonaniu, że był tylko rezerwowym, drugim w kolejce. A jak było naprawdę?... Gdyby Diamond nie wyrwała jej z tego zakłętą kręgu, Perfy wyszłaby za Bena.

- O mój Boże! - rozszlochała się. - Jak mogłam być tak głupia?

Reszta wieczoru z Herbertem kosztowała ją mnóstwo nerwów. Z trudem dotrwała do końca kolacji. Nie mogła wymówić się bólem głowy, musiała udawać wesołą, bo przecież zadał sobie tyle fatygi, żeby spędzić z nią przyjemny wieczór. Potem przysiedli się do nich państwo O'Keefe, stawiając na stole wspaniałe biszkopt przekładany bitą śmietaną i polany ulubionym przez Herberta lukrem o smaku owoców passiflory.

Dlaczego Diamond popłynęła z Lewisem? Jak śmiała! Myśli Perfy krążyły gniewnie wokół tych dwojga, a im później w noc, tym bardziej jej wyobraźnia wymykała się spod kontroli, podsuwając jej coraz straszniejsze obrazy. Na próżno szukała ukojenia we śnie. Czy Diamond została jego kochanką? A czemu by nie? Najpierw Ben, teraz Lew... Perfy wyskoczyła z łóżka i zapaliła lampę. Powinna sama tam pojechać, ot co. Nie byłaby jedyna: Herbert mówił, że tym samym statkiem popłynął także jego znajomy Jim Bourke z żoną i córką. Wyglądało na to, że Herbertowi bardzo spodobała się panna Bourke, dwudziestoletnia, atrakcyjna dziewczyna. Lew nie mógł narzekać na brak kobiet, nawet w takiej kompletnej dziczy.

Postanowiła, że uda się nad Palmer, odnajdzie go i wszystko mu wyjaśni. Powie, że zamierza sprzedać Caravale, że od początku to on miał słuszość: w ogóle nie powinna była tam jechać.

Gdy wszakże koralowy świt zaczął wpełzać na niebo, emocje Perfy opadły. Nie mogła ni z tego, ni z owego wybrać się nad Palmer, to by była następna kretyńska decyzja, a dosyć już ich ostatnio podjęła. Herbert trafił w dziesiątkę, nudziło ją życie bez miłości. Zachowywała się jak głupia gęś. I gdy wreszcie nastał dzień, a zaaferowane ptaki rozśpiewały się radośnie pod oknem, Perfy uśmiechnęła się. Czas wziąć się w garść, zamiast obwiniać innych za swoje nieszczęścia. Czas dorosnąć, rozpocząć własne życie i przestać uganiać się za mirażami. Jeżeli Lew rzeczywiście ją kocha, wróci. Jeśli nie, to koniec, może o nim zapomnieć.

Uświadomiła sobie, że pogrążona we własnych smutkach nie była wielkim oparciem dla matki. Nie wspomniała jej o romansie Bena z Diamond, stwierdziła jedynie, że się z nim pokłóciła. Alice wysłuchiwała jej w milczeniu i ograniczyła się do rady, żeby Perfy postarała się już o tym nie myśleć. Kiedy Perfy nagle zdała sobie sprawę, jak wiele upokorzeń musiała znieść jej matka, przywieziona tu jako przestępczyni, poczuła wstyd, że tak małostkowo użala się nad sobą.

Samuel Tolley czytał list od Cornellii Buchanan. Buchananie byli teraz najlepszymi klientami jego banku. Stracił wielu ranczerów, którzy przenieśli konta do Charters Towers i Townsville, był więc gotów stanąć na głowie, byle tylko zadowolić panią Buchanan. Ale jak? Ta głupia Middletonówna makabrycznie skomplikowała wszystkie sprawy i rozpętała prawdziwą wojnę o Caravale. Tolley nie chciał się znaleźć po niewłaściwej stronie barykady, postanowił więc poprzeć tę godną podziwu damę przeciw Perfy.

Już od kilku tygodni biedził się nad tą sprawą. Perfy chciała sprzedać udział, lecz nie Buchananom. Musiała tam wyniknąć jakaś potężna kłótnia, w wyniku której zaręczyny zostały zerwane. Oprócz tego rozeszły się inne plotki. Niektórzy twierdzili, że śmierć Jacka Middletona nie była przypadkowa. Krążyły mętne pogłoski o Benie Buchananie i jakiejś Aborygence, choć tego akurat rodzaju wieści nie były niczym niezwykłym. Powiadano nawet, że pożar w Caravale został rozniecony celowo. Wszystko to było szalenie intrygujące, Tolley chętnie poznałby szczegóły, Perfy wszakże milczała jak zaklęta, Alice zaś, o czym dowiedział się od żony, wyrażała jedynie radość z powrotu córki do domu. Pani Middleton nigdy nie była zwolenniczką zatrzymania połowy Caravale na własność.

Udał się do niej, jako do rozsądniejszej z obu pań, chcąc ją nakłonić, by dały Buchananom prawo pierwokupu. Alice ostrożnie przyznała mu rację. Nie należała do ludzi, którzy chowają urazy. Perfy jednak była nieprzejednana. Nigdy w życiu, oświadczyła bez ogródek.

Tolleyowi żal było Corneli. Ben pojechał szukać złota nad rzekę Gilbert, zostawiając jej ranczo na głowie. To nieładnie z jego strony. Dobrze choć, że na wszelki wypadek udzielił jej pełnomocnictwa, mogła zatem wypłacać pensje pracownikom i regulować rachunki. Zdaje się, iż sama mu to zaproponowała, na polach złotonośnych mogło zdarzyć się wszystko. Mądra kobieta. Oczywiście Cornelia nie po raz pierwszy zarządzała Caravale. Zastępowała synów także owego tragicznego lata, kiedy obaj wybrali się do Brisbane. Teraz także nie zasypiała gruszek w popiele.

Z początku ona i Ben, powodowani staroświecką obawą przed zaciąganiem długów, odrzucili jego ofertę udzielenia im kredytu na spłatę Middletonów. Usiłował tłumaczyć, że w związku z gorączką złota hodowla bydła ma przed sobą ogromne perspektywy. Tolley bardzo ostrożnie udzielał pożyczek, lecz hodowcy byli stuprocentowo wypłacalni. Robili fortuny, wielu wykupowało na własność dzierżawioną przez wiele lat ziemię.

Cornelia była teraz gotowa zaciągnąć znaczny kredyt. Bank mógł nieźle zarobić na odsetkach - cóż z tego, kiedy ta przekłeta dziewczyna nie chce sprzedać jej ziemi! Tolley kłął w żywy kamień jej upór. Zwróciło się już do niego kilku hodowców, zainteresowanych podziałem wielkiego rancza, Cornelia jednak nie chciała o tym słyszeć. Zagroziła, że wystrzela geodetów, jeśli wtargną na jej ziemię. Do tego wszyscy sąsiedzi Buchananów twardo opowiadali się za Cornelią. Litowali się nad nią, oprócz połowy rancza utraciła starszego syna, a teraz jeszcze opuścił ją młodszy, podejmując desperacką próbę ratowania rodziny z upadku. Rancierom nie podobała się ta sytuacja i jasno dali temu wyraz - zarówno w stosunku do Tolleya, jak i do innych bogatych mieszczan z Bowen. Oczekiwali, iż problem zostanie prędko rozwiązany. Ziemianie, gdyby chcieli, mogli doprowadzić Bowen do ruiny, zmienić je w wymarłe miasto-widmo. Tolley wzdrygnął się. Nie chodziło tylko o bank, zainwestował też w nieruchomości przy głównej ulicy. Jeśli hodowcy, ich rodziny i zatrudniani przez nich pracownicy zaczną bojkotować miasto, ucierpią na tym wszyscy, począwszy od portu, a skończywszy na halach targowych.

I wszystko to z powodu jednej głupiej upartej dziewczuchy.

A więc dobrze: powie jej. Zakup domu i wydatki na życie wyczerpały gotówkowe zasoby Middletonów. Udzielał Perfy kredytu pod zastaw Caravale, ale dość tego. Ani grosza więcej. Pora zacząć płacić. Fakt, tę dziewczynę trudno było przegadać. Wytknęła mu,

słusznie, co musiał przyznać, że ma prawo do połowy rocznego zysku z rancza i że kwota ta już jakiś czas temu powinna była zostać przekazana na jej konto. Cornelia jednak miała na to gotową odpowiedź. Księgi prowadzi Ben, oznajmiła, i nie można zrobić rozliczenia, dopóki on nie wróci. Chcąc wcześniej wyegzekwować pieniądze, Perfy musiałyby podać ich do sądu.

Jej adwokat z Brisbane, Jauncy, wycofał się z interesów, a jego wspólnik Bascombe nie miał najmniejszego zamiaru angażować się w te spory. Doradził Perfy, by sprzedała udział, i podał dwanaście tysięcy funtów jako uczciwą cenę z zastrzeżeniem, że roczna dywidenda powinna zostać wypłacona natychmiast, gdy tylko księgi będą osiągalne. Ale co on tam wiedział, ten gryziptórek z Brisbane? Nawet nie licząc domu, Caravale było warte o wiele więcej niż dwadzieścia cztery tysiące, a bydło? A poczynione inwestycje? Jeśli Buchananom uda się odkupić pół rancza za cenę podaną przez Bascombe'a (z którą Perfy się zgodziła), zrobią świetny interes, aczkolwiek sama ta cena stanowiła zagrożenie. To była niebываła okazja - do wzięcia. Okazja, która mogła zagrozić żywotnym interesom miasta.

Ależ ta pannica ma tupet! Jak śmie się sprzeciwiać Corneli Buchanan? Tolley był dumny z Cornelii, bronił jej praw, jej ziemi, przeciw dorobkiewiczom w rodzaju Middletonów. Gdyby Jack żył, położyłby kres tej zabawie; on umiałby dostrzec szerszy aspekt sprawy. Bankier westchnął. Pozostał mu ostatni atut: Herbert, ten przygłupi znajomy Perfy. Odpowiednio zachęcony, być może zdoła przekonać dziewczynę do nowego projektu.

Herbert nie był skłonny do ulegania przeczuciom, mimo to idąc w stronę banku czuł dziwny niepokój. Czegóż Tolley mógł od niego chcieć - o tej porze? Nie zdążył przecież jeszcze narobić długów. Doprawdy, żeby budzić kogoś o świcie i wzywać do swego biura! Irytujące; ba, to mało powiedziane. Bankierowi najwyraźniej wydawało się, że posiadał na własność Bowen i wszystkich jego mieszkańców. Niech czeka. Herbert ubrał się starannie i bez pośpiechu zjadł śniadanie, po czym wychynął w poranny upał. Nieodmiennie błękitne niebo zaczynało już działać mu na nerwy. Tęsknił za prawdziwą zimą, za nawisłymi nisko chmurami, przenikliwym wichrem i ogniem huczącym w kominku. Jakże pragnął rozkoszować się wiosną! Tu nie było wiosny, a jeśli nawet - nic na nią nie wskazywało.

Ruszył główną ulicą, usiłując znaleźć źródło swego złego humoru. Może miało to związek z tym ranczem, Caravale. Co takiego powiedziała mu Alice Middleton? "Zdaje się, że chcą nas wysłać do Coventry, Herbercie".

Kobiety miewają zabawne pomysły, to wszakże biło wszelkie rekordy.

- Moja droga pani - roześmiał się. - Cóż za niezwykła idea! Wątpię, czy ktokolwiek z tych ludzi słyszał o Coventry.

- Wystarczy, że ja słyszałam. Wiesz, że nie jesteśmy już potrzebne w szpitalu?

- Nie ma czego żałować. Odwaliłyście tam masę roboty.

Alice potrząsnęła głową.

- Nikt nas nie odwiedza. Nie jesteśmy nigdzie zapraszane.

Przyglądał się przez chwilę, jak nakrywa do herbaty.

- Przypominam sobie, że moja owdowiała ciotka nieraz wypowiadała się na ten temat - rzucił pocieszająco. - Kiedy mąż opuszcza ten padół i żałobnicy się rozchodzą, wdowa nagle spostrzega, iż została wykluczona z towarzystwa. Powodem bywa głupi upór pań domu, by liczba gości była zawsze parzysta. Ciotka była bardzo drażliwa na tym punkcie. Złościła się, że traktują ją jak pół człowieka. - Herbert uśmiechnął się. - A kiedy moja ciotka Edith wpadła w gniew, było na co popatrzeć!

- I jak to się skończyło?

- Nie wiem. Mniej więcej w tym czasie wyjechałem z Anglii. Myślę, że ten sam syndrom ma miejsce i tutaj. Obie z Perfy jesteście bardzo urodziwe. Biedne boweńskie maskary pewnie ryglują drzwi, żeby ich mężowie nie potracili dla was głów!

Alice roześmiała się.

- Bardzo pan uprzejmy, Herbercie, aczkolwiek obawiam się, że jest o wiele gorzej. Wiem, nie powinnam się tym przejmować, ale nic na to nie poradzę, że się martwię. Było mi tak miło, kiedy miałyśmy krąg znajomych. Teraz już tylko pan składa nam wizyty.

- To minie. Prowincjusze nieraz miewają muchy w nosie, przecież pani wie.

Do salonu wkroczyła Perfy, która najwidoczniej słyszała ich rozmowę.

- Widzę, że znacie się na prowincjuszach; ja nie - warknęła. - Może mnie uświadomicie?

Herbert był zaskoczony, słysząc tyle goryczy w jej głosie. Wstał, gdy Perfy zajmowała swoje miejsce przy stole i zerknął na Alice, szukając u niej wsparcia. Pani Middleton jednak unikała jego wzroku.

- W niedzielę poszłyśmy z mamą na kościelny festyn - ciągnęła Perfy gniewnie. - Wszyscy nas bojkutowali. Nikt się do nas nie odezwał, nikt nie przysiadł się do nas w namiocie z przekąskami ani nas nie zaprosił do swojego stołu. Zupełnie jak gdybyśmy były niewidzialne. Czy mama mówiła ci o tym?

- Hm, nie... - zająknął się Herbert.

- I co powiesz na temat boweńskich prowincjuszy?

- Dosyć tego! - ucieła Alice. - Przepraszam, że w ogóle o tym wspomniałam, Herbercie. Na pewno tylko wyobrażamy sobie coś, co w rzeczywistości nie ma miejsca.

- Nie, żeby to było bardzo istotne - podjęła Perfy. - I bez tego mamy dość zmartwień. Mówiłaś Herbertowi, że zostałyśmy bez grosza?

Herbert zręcznie otarł wargi serwetką.

- Jak to możliwe? - spytał.

- Bank nie udzieli nam więcej kredytu pod zastaw Caravale. To, co miałyśmy, poszło na zakup domu i na życie w ciągu ubiegłego roku, bo nie mamy żadnych bieżących dochodów. Adwokat z Brisbane żąda honorariów, a żaden sklep w mieście nie sprzeda nam nic na krechę. Tak więc, mówiąc krótko, nie mamy co do ust włożyć, psiakrew!

- Perfy! Jak ty się wyrażasz? - upomniała ją Alice, lecz Perfy nie zwracała na nią uwagi.

- Tatuś nazwałby to "cholerną mizerią", nieprawdaż, Herbercie?

Kiwnął głową, żałując, że z taką przesadą opowiadał o zdobytym złocie. Jako dżentelmen powinien zaoferować pomoc, tylko że na koncie w banku miał teraz ledwie parę marnych setek. Kilka dni wcześniej zastanawiał się nawet pośepnie, czy nie powinien wrócić nad tę przeklętą Cape. Posłyszał własny głos, pytający:

- Czy sto funtów rozwiąże najpilniejsze problemy?

- Jestem ci bardzo wdzięczna - odparła Perfy. - Bądź pewien, że ci je zwrócę.

Ich tarapaty niewątpliwie wiązały się ze sporem o sprzedaż rancza. Kilka dni wcześniej grupa okolicznych hodowców z żonami zjechała do Bowen i zatrzymała się w hotelu "Bellevue". Była pośród nich, jak słyszał, słynna Cornelia Buchanan. Zastanawiał się, czy Perfy wie o jej obecności w mieście, postanowił jednak nie poruszać tego tematu.

Czyżby Tolley zamierzał ostrzec go po raz kolejny, aby nie ważył się dopomóc Perfy w sprzedaży rancza? Przekazać następną pogroźkę Bena Buchanana? Co za oburzająca bezczelność! Gdyby udało mu się znaleźć kupca, zaniósłby go do Perfy na własnych plecach. Być może nagły chłód, z którym spotkały się panie Middleton, wcale nie był tworem wyobraźni? Ci bydlęcy królowie, jak ich zwano, stanowili potęgę. Łatwo mogli wywrzeć nacisk na całe miasto, ziemianie w starym kraju też tak czynili. Nic dziwnego, że bank odmówił Perfy kredytu.

- Dobry Boże! - mruknął pod nosem, zły, że wcześniej nie poświęcił tej sprawie więcej uwagi.

Nie przeprosił Tolleya za prawie godzinne spóźnienie i z zaciekawieniem stwierdził, że bankier zdaje się nie być tym urażony. Kazał podać kawę i poczęstował Herberta dobrym kubańskim cygarem.

- Nie, dziękuję - potrząsnął głową Herbert. - W czym problem? Mam dzisiaj sporo pracy.

- Naturalnie - uśmiechnął się Tolley przymilnie. - Przejdę więc wprost do rzeczy. Potrzebuję twojej pomocy, Herbercie. Chodzi o pewną transakcję handlową, rozumiesz, w której twój udział zostanie hojnie nagrodzony.

- Jakiego rodzaju ma to być transakcja?

- No cóż... - Tolley zapalił cygaro. - Wiesz, że pani Buchanan jest w mieście? Cornelia Buchanan.

- Słyszałem.

- Dobrze. Sprawa jest prosta: Cornelia chce odkupić udział Perfy w Caravale, ale Perfy nie chce go jej sprzedać.

Herbert uśmiechnął się szeroko.

- Domyślam się, że Buchananie nie mają ostatnio dobrych notowań u Perfy.

- To śmieszne, sam przyznasz. A sprawa jest poważna. - Tolley zniżył głos. - Ranczerzy, przyjaciele pani Buchanan nie pochwalają postępowania tej dziewczyny.

- Nie? Jakież to smutne. Powiedz mi, Samuelu, czy jest jakaś różnica pomiędzy "ranczerem" a "hodowcą"?

- Nie ma żadnej - wyjaśnił z powagą Tolley. - Powiedziałem Perfy, że nasze miasto nie może sobie pozwolić na utratę przychylności hodowców, i wiesz, co na to odparła?

- Nie mam pojęcia.

- Oznajmiła, że nie możemy pozwolić pomiatać sobą ludziom pokroju Buchanarów. Ta dziewczyna nie ma pojęcia, jakie stwarza problemy. Jednakowoż rad jestem stwierdzić, że istnieje wyjście z tego impasu, na którym nikt nie ucierpi.

- Ach, tak? Byłoby to doprawdy mistrzowskie posunięcie.

- Chcemy, żebyś ty odkupił jej udział. Tobie sprzeda.

Herbert wytrzeszczył na niego oczy, po czym parsknął śmiechem.

- Za co? Wątpię, żeby z czystej sympatii Perfy była skłonna przyjąć zapłatę w guzikach.

- Fundusze się załatwi. Dopilnuję tego.

- Mam rozumieć, że w swej nieskończonej dobroci chcesz mi dać pieniądze na zakup połowy rancza?

- Pożyczyć - sprostował chłodno Tolley.

- To hojna pożyczka, przyjacielu. Jakaż to dobra wróżka natchnęła cię pragnieniem spełnienia tego dobrego uczynku?

Tolley zakasłał dyskretnie.

- To całkiem proste, Herbercie. Umożliwię ci przeprowadzenie tej transakcji. Mamy teraz w Bowen własny urząd ziemski, toteż tytuł własności zostanie wystawiony bez zwłoki. Potem ty z kolei odsprzedasz ziemię Buchananom. Oczywiście otrzymasz premię... odpowiednią premię.

Herbert uniósł brwi. A to stary chytry lis!

- Zysku z legalnej sprzedaży nie określa się mianem premii, drogi Samuelu. Jakiej kwoty mógłbym się spodziewać?

- Dwieście funtów - odparł skwapliwie Tolley.

- To niewiele przy tak ważnej transakcji.

- Dwieście pięćdziesiąt.

- Trzysta - rzekł Herbert.

- No dobrze, trzysta. Spisałem już umowę między panną Middleton a tobą. Podpisz tutaj, ja dam to do podpisu Perfy i sprawa będzie załatwiona. - Wręczył Herbertowi pióro. - Nie będziesz żałował, wierz mi.

- Jestem pewien, że nie - rzekł Herbert, podpisując dokument. - Lepiej jednak będzie, jeśli sam pójde z tym do Perfy. W przeciwnym wypadku zaczniesz się zastanawiać, dlaczego nie wspomniałem jej o tej transakcji.

Tolley zawahał się.

- Chyba masz rację.

- Oczywiście, że mam. Dziewczyna nie jest głupia. Nie możesz z nagłą ją tym zaskoczyć. Wypisz mi czek na dwanaście tysięcy. Kupię wam to wasze ranczo, bez obaw.

Samuel Tolley nie posiadał się z radości.

Perfy huknęła pięścią w kontrakt leżący na kuchennym stole.

- Masz mnie za idiotkę, Herbercie Wattlington? Ile płaci ci Cornelia Buchanan za to, że jutro odsprzedasz jej tę ziemię?

- Trzysta funtów - roześmiał się. - I wszyscy zyskują. Ty zachowasz twarz, miasto zostanie ocalone przed gniewem ranczerów, i tak dalej.

- Na miłość boską, Perfy, podpisz - wtrąciła Alice. - Mam już dość zmartwień z tym ranczem. Potrzebujemy pieniędzy, to nie pora, by zadzierać nosa.

- Nie podpiszę. Rezultat będzie taki sam, jak gdybym sprzedała je Cornelli. Przykro mi, Herbercie, mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

Herbert życzliwie pokiwał głową.

- Nawet przez moment nie myślałem, że dasz się nabrać. Proponuję jednak, żebyś na razie zostawiła u siebie ten kontrakt. Niech poleży na stole przez kilka dni, potem zobaczymy, co dalej. Nie pal za sobą mostów.

- Tak, będziesz musiała to poważnie przemyśleć, Perfy - dodała Alice.

Herbert wrócił do Tolleya, aby mu donieść, iż Perfy na razie wstrzymała się z decyzją. Cieszył się na myśl, że przyprawi bankiera o kolejny ból głowy. Co za czelność, próbować wykorzystać Herberta do wykołowania jego przyjaciółek? I to w imieniu faceta, który ośmielił się mu grozić! Herbert nie lubił, kiedy ktoś mu groził. Uśmiechnął się. Pod żadnym pozorem nie oszuka Perfy i Alice. Niech no tylko dostanie tę ziemię w swoje ręce, Tolley i jego kumple staną przed bardziej wymagającym przeciwnikiem niż dwie bezbronne kobiety.

- Tak, Tolley-matole! - zaśmiał się. - Potrzebna ci lekcja dobrych manier. Nie wysyła się przyjaciół do Coventry.

Uchylił lekko kapelusza, mijając jakichś znajomych.

- A ponadto, drogi panie Tolley - mruknął pod nosem - człowiekowi naprawdę czasem może się znudzić to, że jest niedoceniany. Szczególnie przez nadętych buchalterów.

Pobyty w Bowen nie sprawiał Cornelli radości, chociaż hotel "Bellevue" był na poziomie, a pokoje, zajmowane przez nią i znajomych ranczerów, miały wspaniały widok na morze. Dopóki kwestia Caravale nie zostanie rozstrzygnięta, nic innego się nie liczyło. Chesterowie z rancza Twin Hills byli mistrzami w organizowaniu przyjęć i pikników, a Aggie Lamond z Merri Creek z zapalem urządzała wystawne kolacje z tańcami. Nikt nie rozumiał, ile wycierpiała Cornelia. Ich wysiłki, by ją zabawić, odzwierciedlały tylko egoistyczną determinację, by miło spędzać czas pomimo jej kłopotów. Jim Chester stwierdził, że Tolley rozwiąże dla niej ten problem, wie przecież, u kogo może więcej zyskać. Zapewne tak. Ale kiedy? Byli w mieście już od tygodnia, a wciąż nic się nie działo. Tolley powtarzał tylko, że negocjacje są w toku.

Jak to: "w toku"? Jak długo może trwać podpisywanie umowy? Czy ktoś dał cynk tej dziewczynie? Nie, chyba nie. Tolley twierdził, że podstawiony nabywca jest wiarygodny. Taki typ zrobi wszystko dla pieniędzy, to oczywiste, skoro wyciągnął od Tolleya aż trzysta funtów, mimo że uprzedziła bankiera, by nie przekraczał dwustu. Było to dla Cornelli

kolejne źródło zgrzytot. Nie szkodzi, tym zajmie się później. Kiedy Anglik wydrze wreszcie Perfy jej udział i odsprzeda go Buchananom, da mu dwieście funtów i niech bierze albo nie. To i tak ogromna opłata za pośrednictwo, facet może za to kupić dwa domy w tym mieście. Kwota, której zażądał, była wprost skandaliczna.

Cornelia czekała w hotelu przez cały ranek na wieści od Tolleya. Bez skutku. Miała już dość polegania na tych krętaczach. Sama pójdzie do Perfy. Mężczyźni będą cackać się z nią w nieskończoność. Już ona wie, jak poradzić sobie z tą dziewczuchą.

Perfy otworzyła drzwi i omal nie zemdlą.

- Co ja widzę! Pani Buchanan!

- We własnej osobie, moja droga. Jak się miewasz? Nie gniewasz się, mam nadzieję, że zjawiłam się bez zapowiedzi, ale będąc w Bowen, musiałam przecież się z tobą zobaczyć.

- Cornelia zrobiła stanowczy krok naprzód i Perfy, chcąc nie chcąc, musiała się cofnąć.

- Zechce pani wejść? - zapytała z przymusem.

- Chętnie, moja droga. Cóż za czarujący dom! Ładne są te wysokie stropy. I doprawdy, zazdroścę wam wiatru od morza. Wprost padam z nóg, tyle mam towarzyskich zobowiązań, odkąd przyjechaliśmy na wybrzeże. - Nie przerywając, Cornelia wkroczyła do salonu. - Bowen to przemile miasto, tyle tu rozrywek, wciąż proszone śniadania, podwieczorki, bale... Dziwię się, że cię dotąd nie spotkałam, Perfy. Taka urocza młoda dama z pewnością jest wręcz rozchwytywana... - Cornelia pomacała mięsistą wyściółkę sofy i usiadła. - Jakież macie piękne meble. Doskonałe rzemiosło. Gdzie je kupiliście?

- Razem z domem - wymamrotała Perfy, z wysiłkiem biorąc się w garść. - Czym mogę pani służyć?

- Na Boga, Perfy, co za powitanie! Usiądź, zachowujesz się jak kłębek nerwów. Twierdzą stanowczo, że w Caravale wyglądałaś znacznie lepiej.

W drzwiach ukazała się Alice Middleton i na twarzy Perfy odmalowała się ulga.

- Mamo, to jest pani Buchanan.

- Proszę mówić do mnie Cornelia - wtrąciła słodkim głosem przybyła. - Jakże to miło, że nareszcie mogę panią poznać, droga pani Middleton. Tyle o pani słyszałam!

Matka Perfy odpowiedziała sztywno i przysiadła na brzeżku krzesła, jakby chciała zaznaczyć, że nie spodziewa się siedzieć na nim długo. Spojrzała na Perfy, lecz Cornelia odezwała się pierwsza.

- Obie zostałyśmy w tym roku ciężko doświadczone przez los, pani Middleton. Pani straciła męża, a ja, będąc już wdową, pochowałam mego drogiego syna. Uznałam więc, że

powinam złożyć pani uszanowanie. - Cornelia westchnęła. - Cóż, lży niczego nie odmienią... Szczególnie chciałam, aby Perfy wiedziała, iż nie mam do niej żalu za to nagłe zerwanie zaręczyn z Benem. - Uniosła obleczone w rękawiczki dłonie w geście niechętniej rezygnacji. - Takie rzeczy zdarzają się nawet w najlepszych kręgach.

- Z pewnością - odparła Alice głosem równie pozbawionym wyrazu jak jej kanciasta twarz.

Cornelia zwróciła się do Perfy.

- Moja droga, naprawdę musimy wreszcie porozmawiać o Caravale. Uciekłaś, nim zdążyliśmy to przedyskutować. Nie, żebym cię winiła, skoro domu już nie ma... Czy wiesz, że podpalił go jakiś zbuntowany dzikus? Proszę mi wierzyć, pani Middleton, wpadłam w rozpacz, widząc, jak mój ukochany dom płonie mi nad głową. Jesteście bezpieczniejsze w Bowen, Perfy. My, pogranicznicy, nauczyliśmy się już stawiać czoło zagrożeniom.

Odpowiedziało jej kamienne milczenie. Cornelia uznała, że ich zachowanie zaczyna być obraźliwe. Zaszło jej w gardle. Mogły przynajmniej zaproponować jej sherry, czego jednak można się było spodziewać po tych dwóch garkotłukach?

- Domyślam się, że jesteś gotowa sprzedać swój udział, Perfy - podjęła - i uważam, że tak będzie najlepiej. Darcy by to pochwalił. Mój biedny Darcy, wciąż tak mi go brakuje. - Cornelia otarła łzę koronkową chusteczką i poprawiła elegancki kapelusz. Widziała swoje odbicie w wiszącym naprzeciw lustrze. Uznała, że w tym nakryciu głowy bardzo jej do twarzy. Było z aksamitu przybranego czarną satyną i żorzetą, ożywiała je tylko ozdobna złota brosza, otoczona wiankiem lśniących czarnych pereł. - Czy masz tę umowę, którą pan Tolley dostarczył ci w moim imieniu? - zapytała.

- O tak - odparła zimno Perfy. - I nie tylko tę jedną.

- O innych nic nie wiem - odparła Cornelia, bacząc, by nie zdradzić swojego udziału w ofercie Anglika. Nierozważnie byłoby palić za sobą mosty. - Mówię o jedynym kontrakcie, jaki w ogóle powinnaś brać pod uwagę. Posiadłość musi przejść z powrotem w ręce Buchananów.

- Bena Buchanana, o ile sobie przypominam - dodała Perfy.

- Zgadza się. Gdybyś była tak uprzejma i podpisała teraz kontrakt, dopilnuję, byś jeszcze dziś otrzymała całą należność. Czek ma pokrycie. - Uśmiechnęła się promiennie. - To mnóstwo pieniędzy, Perfy. Ty i twoja matka zostanieie bardzo dobrze zaopatrzone.

To powinno ucieszyć jej matkę, lecz nie poskutkowało. Alice Middleton patrzyła na Cornelię zimnym wzrokiem indyczki strzegącej swego gniazda. Cornelia zachodziła w głowę, dlaczego ta kobieta wydaje jej się jakby mgliście znajoma. Może po prostu chodziło

o jej postawę. Przed Mae miała kilka innych gospodyń i większość z nich przejawiała tę samą zazartą wrogość w stosunku do lepszych od siebie. Siwe, proste włosy pani Middleton ściągnięte były w niezbyt twarzowy węzeł, ogorzała skóra najwyraźniej nigdy nie widziała kremu, tak niezbędnego damie w tym klimacie.

- Bardzo ładnie wyglądają te zasłony w wykuszowych oknach - zauważyła. - Brązowy aksamit podkreśla kremowy odcień firanek. Sama pani je robiła?

- Nie - odparła lakonicznie Alice.

- Pani Buchanan - odezwała się Perfy. - Wie pani doskonale, że nie sprzedam udziału Benowi.

- Czy mam przez to rozumieć, że oczekujesz wyższej ceny? - Cornelia przybrała rozmyślnie oskarżycielski ton. - Wiesz chyba, że nikt nie da ci więcej.

- Nie chodzi o pieniądze, a o jego zachowanie. Nie sprzedam mu. Chcieliście wystrychnąć mnie na dudka, teraz musicie ponieść konsekwencje. Zdaje się wam, że możecie traktować każdego, kto stanie wam na drodze! Otóż powiem pani, że jesteście w błędzie.

- Wątpię, bym to ja była w błędzie - odparowała gniewnie Cornelia. - Skoro upierasz się przy tym stanowisku, sama na tym ucierpisz. Przypadkiem wiem, że jesteście bez grosza, a ludziom w mieście zaczyna doskwierać wywoływane przez was zamieszanie. - Głos Cornelii brzmiał coraz ostrzej. Nie szkodzi, kilka prostych prawd wypowiedzianych w oczy nakłoni je do podpisania umowy z podstawionym kupcem, jeśli nie z Buchananami. - Wszyscy wiedzą, że prawie nie znałaś mego syna Darcy'ego. Moi chłopcy obracali się w najlepszych sferach Queensland, w otoczeniu gubernatora. Ludzie zachodzą w głowę, jak to się stało, że Darcy związał się z pokojówką? - Zobaczyła, że Perfy marszczy brwi i oblewa się rumieńcem. Dobrze. Wreszcie odplaci tej dziewczynie tak, jak na to zasłużyła. - Nasi przyjaciele pytają, i nie bez powodu, w jaki sposób nakłoniłaś mojego syna, by zapisał ci całe swe dziedzictwo? - Wycelowwała palcem w Perfy. - Uwiodłaś go? Mam powody przypuszczać, że nie jesteś taka niewinna, jaką udajesz, tym bardziej że podobno miałaś tu jeszcze innego kochanka, kapitana statku.

- Jak pani śmie! - wykrzyknęła Perfy.

Co dziwne, jej matka wciąż milczała. Zachęcona tym Cornelia zaczęła wierzyć, iż przyjęła właściwą linię postępowania.

- A Ben? Czy jego też uwiodłaś? Pod jednym dachem nie byłoby to trudne. Budzisz we mnie niesmak, moja panno, ot co. A ta sprawa z twoją czarną służącą! Nikt nie uwierzył

w ani jedno jej słowo, tylko ty. Dlaczego? Powiem ci dlaczego. Dlatego że sama sypiałaś z Benem. Wyjechałaś z Caravale w ataku zazdrości.

Perfy skoczyła na równe nogi. Twarz miała bladą z furii.

- Niech pani w tej chwili opuści mój dom! - krzyknęła. - Jest pani podłą, nędzną kreaturą...

- Nie, czekaj - wtrąciła Alice z dziwnym uśmiechem.

Podeszła do kominka i wzięła leżące na jego gzymsie okulary. Podczas gdy obie patrzyły na nią zdumione, nałożyła szkła i uważnie przyjrzała się Cornelii. Potem wybuchnęła głośnym wesołym śmiechem.

- Cóż za przedstawienie - rzekła. - Musiałaś ćwiczyć to przez wiele długich lat, Nellie.

- Nie rozumiem - odparła Cornelia wyniośle.

- Och, przede mną nie musisz zgrywać się na wielką damę, Nellie - prychnęła Alice. - Siedzę tu i przez cały czas próbuję dociec, skąd ja cię znam! No i wreszcie mi zaświtało. Nellie Crabtree! Doprawdy, najlepsze sfery! - Alice podeszła do Perfy. - To nie żadna dama, pochodzi z Bethnal Green tak samo jak ja. To najgorsza dzielnica nędzy w całym Londynie, Perfy, mam nadzieję, że nigdy nie zobaczysz podobnej. Tam właśnie, oprócz innych zajęć, Nellie trudniła się kieszonkowym złodziejstwem.

- Nie będę tego słuchać - oświadczyła Cornelia, chwytając torebkę. - Nigdy w życiu nie słyszałam podobnych łgarstw.

- Owszem, wysłuchasz mnie! Powiedziałaś to, co miałaś do powiedzenia, teraz moja kolej. Ty i Clem Bunn - dobrana para łajdaków! Wiem, co mówię, w końcu Clem był moim kuzynem. Łaziłaś za nim dotąd, aż się z tobą nie ożenił, a przynajmniej tak ci się zdawało, bo wcześniej Clem wziął ślub z Hetty Cornish. Rzucił biedaczkę, kiedy rozchorowała się na suchoty. Nie miał już z niej pożytku, dlatego wziął sobie ciebie. Chełpił się, że masz aksamitne paluszki. Kiedy go złapali, posłał po ciebie, żebyś wykupiła go z więzienia, ale ty zwiłaś z forsy. - Alice uśmiechnęła się szeroko. - Zwiłaś z jego pieniędzmi, a jego zostawiłaś, żeby zgnił w więzieniu. Nigdy więcej już potem o nim nie słyszałam.

Zdumiona Perfy spojrzała na Cornelie.

- Jest pochowany w Caravale, prawda? W tym bezimiennym grobie! Założę się, że to on!

Cornelia chwiejnym krokiem skierowała się ku drzwiom. Musi jak najprędzej stąd wyjść! Pod wpływem wstrząsu wywołanego słowami Alice, powód tej wizyty całkiem wyleciał jej z głowy. Clem Bunn był żonaty! Pamiętała kościstą i chorowitą Hetty Cornish.

Miał z nią ślub! O Boże! Zastrzeliła go bez powodu! Nigdy nie była jego prawowitą żoną, a jej małżeństwo z Teddym było legalne!

Jakiś mężczyzna wszedł właśnie przez furtkę, odepchnęła go i wypadła na ulicę. Biegła jak oszalała ze spuszczoną głową, w końcu zatrzymała się przy jakiejś tawernie i zapłaciła kręcącemu się w pobliżu chłopakowi, żeby kupił jej butelkę dzinu. Wepchnęła flaszkę do obszernej torebki i pośpieszyła do hotelu, ignorując pozdrowienia mijanych w holu ludzi. Zamknąwszy za sobą drzwi, wyrwała korek z butelki i wlała do szklanki potężną porcję trunku. Clem Bunn znów powrócił, by ją prześladować. Wszędzie czuła jego złośliwą obecność. Wiedziała teraz, że to on spalił dom - duch Clema Bunna. Lecz jej nie pokona. Po powrocie do Caravale każe zniszczyć ten grób. Trzęsącymi się rękami naląła sobie następnego kielicha.

- Któż to był, u licha? - zapytał Herbert. - Wypadła na ulicę, jakby ścigały ją wszystkie demony piekieł!

- Bo tak było w istocie - roześmiała się Alice. - Miał pan okazję poznać Cornelie Buchanan.

- Och. Domniemywam, że wciąż spieracie się panie o Caravale.

- Owszem - bąknęła Perfy, nadal usiłując przetrwać to, co przed chwilą usłyszała.

- Nic podobnego - oznajmiła Alice. - Nie chcę już więcej o tym słyszeć. Dobrze, że pan przyszedł, Herbertcie. Perfy jest gotowa podpisać pański kontrakt.

- Nieprawda! - zaprotestowała Perfy.

- Właśnie że tak - ucięła matka. - Cornelia przed chwilą dostała już po nosie, a co za dużo, to niezdrowo. Herbert był dla nas bardzo miły i możesz mu się odwdziaczyć przynajmniej w ten sposób, że sprzedasz mu tę ziemię i pozwolisz trochę na tym zarobić.

Nie zważając na zaciętą minę Perfy, Alice podjęła:

- Nigdy mi nie mówiłaś, co poróżniło cię z Benem Buchananiem, ale teraz zaczynam się już domyślać. Tak więc: albo sprzedaj to przekłete ranczo, albo na nim zamieszkaj. Ja wolabym zająć się na powrót własnym życiem. Jeśli nie będzie pieniędzy, znajdę sobie pracę. Korona mi z głowy nie spadnie, mogę się dorabiać od nowa.

Perfy zmiękła.

- Przepraszam cię, mamo. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo cię to wszystko martwi.

- Drogo zapłaciliśmy za ten twój spadek, Perfy. Nie mam pretensji do ciebie, nie ponosisz winy za to, co się stało, ale ta posiadłość przyniosła nam pecha i czas wreszcie się jej pozbyć.

Herbert odsunął się dyskretnie, gdy Perfy pochyliła się, by podpisać kontrakt.

- Mama ma rację - rzekła. - Od razu mi lepiej teraz, gdy już jest po wszystkim. Czy masz jeszcze ten czek?

- Oczywiście - odrzekł Herbert, wyjmując portfel. - Na twoim miejscu poszedłbym do banku natychmiast, zanim Buchananowie się rozmyślą. - Wręczył Perfy czek na dwanaście tysięcy funtów. - Jak to miło, prawda?

- Cudownie - stwierdziła Alice. - Boże, co za ulga.

Samuel Tolley był uszczęśliwiony. Poszedł, by oznajmić Cornelii dobrą nowinę, pani Buchanan wszakże była niedysponowana, podreptał więc do hotelu "Palace", gdzie zastał Herberta. Watlington od niechcienia grał na pianinie, otoczony zasłuchanymi klientami.

- Mam nadzieję, że O'Keefe płaci ci za ten występ - rzekł Tolley łaskawie.

- Nie śniłoby mi się nawet brać za to pieniądze - uśmiechnął się Herbert. - Poczęstuj się brandy, Sam. Jest wyśmienita.

- Nie teraz, muszę wracać do biura. Przyszedłem tylko, żeby ci pogratulować. Wiedziałem, że tobie się to uda.

- Nie miałem najmniejszych problemów, drogi chłopie. Co teraz?

Tolley przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Trzymałem dotąd tytuły własności jako zabezpieczenie. Teraz zaniosę je do urzędu ziemskiego, gdzie zostaną przepisane na twoje nazwisko. Pójdiesz tam za dwa dni - nalegałem, żeby zrobili to jak najszybciej - weźmiesz dokumenty i przyniesiesz je do mnie, a ja zorganizuję odsprzedaż rancza Buchananom.

- I wypłacisz mi trzysta funtów - przypomniał mu Herbert.

- Oczywiście. Z ręki do ręki. - Tolley wstał, tak zadowolony, że omal nie zmienił zdania co do brandy. Niestety, musiał najpierw zamknąć bank. Poklepał Herberta po ramieniu. - Ładna ta melodia, którą grasz. Co to takiego?

Herbert skupił się na ostatnich taktach walca Chopina.

- Och, to taki drobiazg, który sam skomponowałem. Cieszę się, że ci się podoba.

Pora wracać do domu. Tęsknił za Londynem i bliskością europejskich stolic, które zawsze go fascynowały. Australia była zbyt nieokrzesana, pozbawiona kultury. Herbert nie

cierpiał pożegnań. Obiecał sobie, że napisze do Perfy i jej matki list z życzeniami wszystkiego najlepszego, kiedy znajdzie się już w drodze.

Odkąd Tolley poruszył sprawę zakupu Caravale, Herbert pilnie śledził rozkład rejsów. Ustalił, że frachtowiec "Goodwill", udający się do Kalkuty przez Batavię, odpływa w terminie dającym mu dość czasu na zakończenie ostatniej australijskiej transakcji.

Kiedy "Goodwill" wypłynął z Bowen i obrócił dziób w stronę cieśniny Whitsunday, Herbert dla pewności poprosił pierwszego oficera, by ten wskazał mu rzekę Endeavour i nową osadę Cooktown.

- Nie zawijamy tam, proszę pana - uprzedził go oficer. - To nowy "złoty" port, miejsce wysyłki kruszcu znad Palmer. Powiadają, że ta rzeka dosłownie płynie złotem. Gdybyśmy się tam zatrzymali, połowa załogi zbiegłaby na ląd.

- Nieszczerólnie zależy mi na tym, by schodzić na ląd - mruknął Herbert. - Chcę tylko pomachać na pożegnanie, symbolicznie, rzecz można. Zostawiam tam przyjaciół. - Uśmiechnął się błogo. - Mam nadzieję, że trzymacie tu dobrą piwniczkę. Jestem przyzwyczajony do najlepszych trunków.

- O tak, proszę pana. Kapitan Baar dba o swój statek. To Holender, wie pan?

- Holender, mówi pan? To interesujące. Nie mogę się doczekać, kiedy będę miał okazję go poznać. Podobno Amsterdam to miasto pełne uciech.

- Jeśli ma się pieniądze, proszę pana.

Herbert pokiwał głową w zadumie.

- No tak, człowiek zawsze staje przed tym drobnym problemem.

Niedobrze by było, gdyby załoga zaczęła podejrzewać, że ma złoto. Ukrył je za ścianką w zamkniętej na klucz kabinie.

Oficer odszedł do swych obowiązków, Herbert zaś oparł się o reling, z uśmiechem patrząc na zieloną masę łądu, który mu się tak przysłużył. Szkoda, że nie zobaczy miny Tolleya, kiedy ten odkryje, iż jego "martwa dusza" zabrała dokumenty z urzędu i sprzedała udział w Caravale jeszcze tego samego dnia. Ten stary chiński lichwiarz, Fung Wu, od razu zwęszył dobry interes, mimo to przez kilka dni targowali się o cenę. Kiedy Herbert przedstawił dokumenty, Chińczyk wysłał jednego ze swoich podwładnych, żeby sprawdził ich autentyczność.

- Rozumiem - rzekł wyrozumiale Herbert, kiedy tamten przeproszał go za brak manier. - Nie mam nic przeciwko temu, niech pan mu tylko powie, żeby nie tracił czasu. - "Goodwill" odpływał jeszcze tego samego dnia.

W końcu ustalili cenę dwudziestu tysięcy funtów, płatnych w złocie, ponieważ Chińczycy nie ufali bankom.

Herbert patrzył wówczas z rosnącym podnieceniem, jak skośnoocy sładzy ważą złoto na małych mosiężnych szalkach i notują wyniki swym dziwnym pismem na zwitkach papieru. Potem, na życzenie Herberta, starannie spakowali bryłki kruszcu do niewielkiej skórzanej sakiewki. Umowa została sygnowana przez obie strony, Fung Wu napisał nawet czytelnie swe nazwisko po angielsku, wezwawszy wprzód dwóch białych przechodniów, by poświadczili złożenie podpisów. Herbert wysoko ocenił jego przezorność. Świadkowie podpisali bez wstrętów, radzi oddać przysługę, o którą ich proszono. Rozpromienili się jeszcze bardziej, gdy Fung Wu wręczył wszystkim małe okrągłe czarki wysmienitego likieru, aby przypieczętować i uczcić zawarcie transakcji.

Kiedy świadkowie wyszli, Fung Wu skłonił się Herbertowi.

- Nie będę pana dłużej zatrzymywać. Jeśli spóźniłby się pan na statek, mógłby pan popaść w poważne kłopoty, a ja nie życzę sobie żadnych komplikacji.

- Jak statek? - zapytał Herbert niewinnie.

- Panie Watlington - odparł z uprzejmą cierpliwością Fung Wu - wiedza na temat pańskich interesów leży w moim interesie. Niech się pan nie niepokoi. Dwóch moich ludzi odprowadzi pana do portu, aby bezpiecznie dotarł pan tam wraz ze złotem. Umówiłem się też z kapitanem, że podniesie kotwicę, jak tylko znajdzie się pan na pokładzie.

Chińczyk odprowadził Herberta na próg domu, stojącego w pobliżu Księżycowej Bramy.

- Nie zalecałbym tu wracać, panie Watlington - rzekł.

Herbert poczuł nagły przyływ wyrzutów sumienia. Polubił tego małego chytrego człowieczka.

- Mam nadzieję, że nie przysporzyłem panu żadnych problemów - bąknął.

- Nie musi się pan o mnie troskać. Jeśli wy, angielscy dżentelmeni, angażujecie się w dziwne posunięcia, to już wasza sprawa. Moje działania są całkowicie legalne. To wielki dzień dla mnie i mojej rodziny. Staliśmy się udziałowcami bardzo prestiżowego przedsięwzięcia. Zasięgnąłem informacji na temat rancza. Wątpię, czy w całych Chinach jest tyle bydła.

Oczywiście miał rację. Gdy tylko Herbert wkroczył na pokład, załoga statku rzuciła się do cum i "Goodwill" wypłynął z portu.

Część dziewiąta

Nie byli pierwsi - co to, to nie. Kiedy szkuner ostrożnie zajrzał w ujście Endeavour, Lew był pełen podziwu dla fachowości szypra, który wysłał przodem łódź wielorybniczą, by załoga sondowała dno. Niebezpieczna zabawa, ale Lew przyznał w duchu, że sam nie zrobiłby tego lepiej.

Południowy brzeg Endeavour pokrywały namioty i dziwaczne, naprędce sklecone budy. Niektóre ze statków zakotwiczonych w estuarium były chińskie. To zrozumiałe, powiedział sobie Lew. Żeglując wzdłuż wybrzeża, Chińczycy interesowali się każdym śladem osadnictwa, a to było pierwsze na południe od Somerset.

W głębi łądu majaczyły porośnięte lasem góry, których zarys dygotał w morderczym upale. Lew również zadrżał. Czuł, jak coś we wnętrzu wiruje mu z podniecenia na myśl o Palmer, płynącej tuż za tym łańcuchem. Cóż za subtelna ironia losu: już raz wiozł tędy China Yinga i jego świętę po złoto.

Krótki rejs wszyscy spędzili wygodnie. Kulisi, chudzi, żyłaści mężczyźni, skupili się na pokładzie, gawędząc z ożywieniem i przyglądając się kilku wybrańcom, którzy pilnowali koni, co było zajęciem godnym pozazdrosczenia. Ich wieczna pogoda ducha imponowała Lewisowi. W Chinach nigdy się nad tym nie zastanawiał, za to tutaj, w zupełnie obcym środowisku, ich stoicyzm, łatwość, z jaką przyjmowali wyroki losu, były godne podziwu i - jak sobie uświadomił - bardzo smutne. Nic dziwnego, że Perfy tak się oburzyła, spotykając po raz pierwszy ludzi, których traktowano jej zdaniem niczym juczne zwierzęta. Z drugiej strony, spierał się sam ze sobą w duchu, Perfy nie znała Chin. Nie rozumiała tej wielkiej ludzkiej rzeszy. Kulis uważał się za szczęśliwca, kiedy miał pracę. Awansowali tylko nieliczni, a alternatywą był głód.

Tutejsi Aborygeni nigdy nie zmieniają się w kulisów. Samo to pojęcie nie mieściło się w brytyjskich kategoriach, krajowcy zaś tak bardzo nienawidzili białych, że trudno było liczyć na to, iż zechcą dla nich pracować. Część wciąż walczyła, gotując najeźdźcom piekło w podjazdowej wojnie, która szalała wzdłuż granic. Zdumiewające, iż reszta świata w ogóle nie zdawała sobie sprawy, że w Australii trwa wojna. Lew zastanawiał się, kogo napotkają nad Palmer. Miał nadzieję, że tubylcy okażą się przyjaźni. Tutaj nie było wytyczonych szlaków, trzeba przedzierać się na własną rękę i w miarę możliwości nie zrażać do siebie pierwotnych mieszkańców tej ziemi.

Spojrzał na Diamond, która stała na dziobie statku, przyglądając się brzegom. Być może zamieszkiwało tu jej plemię. Ying chyba tak myślał, aczkolwiek sama Diamond nie

była już tego pewna. Krajobraz wybrzeża był tak jednostajny, że trudno jej było rozpoznać miejsca znane w dzieciństwie. Na temat Perfy powiedziała mu tylko tyle, że postanowiły się rozstać - a zatem z pewnością nie wszystko. Perfy nie porzuciłaby jej ot tak, bez powodu. Z drugiej strony, Ying uparcie twierdził, że prostytutka była dla Diamond szansą.

- Każdemu potrzebne są pieniądze - powiedział kiedyś - również czarnym. Dlaczego taka piękność miałaby potulnie harować jako służa, nie dostając za to ani grosza? Jest egzotyczna, podniecająca. W Chinach nie nazwano by jej diamentem, lecz cudowną czarną perłą; mogłaby zostać wielce poważaną konkubiną.

Lew zerknął w stronę, gdzie Chin Ying jak zwykle brylował w otoczeniu słuchaczy. Tym razem jego filozoficzne wywody chłonęła z zapartym tchem rodzina Bourke'ów. Ten człowiek powinien być zostać nauczycielem, pomyślał Lew. Uwielbiał "dyskursy", jak to określał, z nieznanymi. Lew wciąż był niemile zdziwiony tym, że kobiety Bourke'ów uparły się im towarzyszyć. Nie było to odpowiednie dla nich miejsce. Podejrzewał wszakże, iż bardzo szybko Cooktown stanie się kolejnym miastem zrodzonym z gorączki złota i że pojawi się tam mnóstwo innych kobiet.

Obserwując baraszkuje w wodzie żółwie, przesunął się w stronę dziobu, żeby mieć lepszy widok. W ten sposób przypadkowo znalazł się w miejscu, gdzie dolatywały do niego słowa pozostałych pasażerów. Usłyszał, że mówią o Diamond.

- Ta dziewczyna mnie przeraża - rzekła pani Bourke. - Nie chciałabym mieć w niej wroga.

- To niemądre - sprzeciwiła się jej córka Marie. - Ona jest bardzo miła i zawsze taka uprzejma.

- O tak - odparła Marjorie. - Jest uprzejma, ale ma też w sobie coś, co napawa zgrozą. Jakieś zło...

Chin Ying podniósł obie ręce.

- Nie, nie! "Zło" nie jest właściwym określeniem. To, co pani dostrzega, to odmienna etyka. Ona nie ma waszych chrześcijańskich skrupułów, jej reakcje są o wiele bardziej pierwotne.

- O to właśnie mi chodzi - przytaknęła skwapliwie pani Bourke. - To poganka.

Zwrócony do nich plecami Lew stłumił śmiech. Baba wpadła jak śliwka w kompot. Usłyszał westchnienie Yinga.

- Ja również nie wyznaję chrześcijańskiej etyki. Czy i mnie uważa pani za poganina?

Zażenowana nietaktowną uwagą, pani Bourke wymamrotała pośpieszne przeprosiny. Lew nie słuchał dłużej. Przeniósł się na dziób.

- Cóż, Diamond - rzekł. - Czy to twoje rodzinne strony?

Ciemne oczy dziewczyny lśniły z podniecenia.

- Chyba tak. Naprawdę, wydaje mi się, że to tu. Patrząc na plażę, nie dałabym głowy, wszystkie wyglądają tak samo, ale trochę dalej w głębi lądu powinien być wodospad. I jeśli mam rację, jeśli to ta rzeka, bądźcie bardzo ostrożni. Trzymajcie się z daleka od jej brzegów.

- Co masz na myśli? - Mieli z Yिंगiem zamiar zbadać najpierw Endeavour łodzią. Droga wodna mogła okazać się najszybsza, zwłaszcza jeśli górnicy, którzy ich wyprzedzili, nie wytyczyli wyraźnego szlaku. Lew podejrzewał, że na tym etapie poszukiwanie drogi w głąb lądu będzie się odbywać metodą prób i błędów.

- Krokodyle - wyjaśniła. - Jeśli to jest ta rzeka, żyje ich tu mnóstwo. - Wzdrygnęła się. - Po tym, co się stało z biednym panem Middletonem, wołałabym nigdy już ich nie oglądać.

- Cóż - westchnął. - Wkrótce się przekonamy.

Osada Cooktown wyrosła praktycznie z dnia na dzień dzięki telegraficznie przekazanej wieści o złocie Palmer. Parowiec "Leichhardt" wysadził tu prawie setkę kopaczy na parę dni przed przybyciem Yinga i Lewisa, a i dziś, w czasie gdy przenosili się na brzeg, do estuarium wpłynął szkuner marynarki wojennej Jej Królewskiej Mości "Pearl". Rząd działał szybko, władze Queensland miały doświadczenie, jak radzić sobie z gorączką złota. Komisarz, Howard St. George, był już na miejscu, wsparty oddziałem konnej policji, lecz mimo obecności przedstawicieli prawa nastrój w osadzie był bliski paniki. Odkryto właśnie, że tubylcy bynajmniej nie są przyjaźni. Niewidzialni napastnicy pozbawili życia kilku górników, którzy popełnili błąd, oddalając się zbyt od obozu.

O zmroku na wzgórzach można było zobaczyć setki ognisk - niedwuznaczne wyzwanie dla przybyszów.

Gdy kulisi Yinga rzucili się do pracy, rozstawiając namioty, Lew zebrał całą grupę i ogłosił, że pod żadnym pozorem nie zabierze kobiet w dalszą drogę i że to dotyczy również Diamond. Niebezpieczeństwo, rzekł, jest o wiele większe, niż sobie wyobrażał.

- Nie mogą przecież zostać tu same - sprzeciwił się Bourke.

- Zostań z nimi, Jim. To twój problem, nie mój.

Inspektor górniczy, który dowodził pierwszą grupą, mającą wytyczyć szlak z Cooktown nad Palmer, także nie zgodził się zabrać pań Bourke. Rodzina została więc tymczasowo unieruchomiona w Cooktown.

Lew przyglądał się wymarszowi pierwszej ekspedycji, rad, że sam będzie podążał przetartym już szlakiem. Najpierw musieli wyładować wszystkie zapasy i sprzęt i posortować je. Inspektor Macmillan zniknął w buszu wraz z innymi jeźdźcami i sporą liczbą pieszych. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby w karabiny Snidera i rewolwery Colta, a każdy mężczyzna taszczył ciężki toból i narzędzia. Lew martwił się, że nie ma dość broni palnej, by rozdzielić ją pomiędzy kulisów. Teraz było już za późno na zakupy.

Ying był niewzruszony.

- My będziemy ich bronić. Zresztą każdy ma nóż. Bardziej martwi mnie kwestia żywności. Zastanawiam się, czy mamy jej dosyć? -

- To tylko sto sześćdziesiąt mil - rzekł Lew. - Możemy pokonać tę odległość w tydzień. W ślad za poszukiwaczami złota ciągną sklepikarze, oberżyci i cała reszta. Będziemy mogli uzupełniać zapasy. Dziś znów zawinęło tu parę nowych statków, estuarium zaczyna przypominać ruchliwy port.

Wspomniawszy sobie swój ówczesny optymizm, kiedy brnęli tym koszmarnym szlakiem. Tydzień, także coś!

- A co z Diamond? - spytał Ying. - Cieszę się, że nie bierzemy pozostałych kobiet, ale Diamond musimy wziąć ze sobą, to ważne.

- Nigdy w życiu. Ona też zostaje.

- Muszę iść z wami - wtrąciła Diamond. - Nie możesz mnie teraz powstrzymać, Lew.

- Nie pleć bzdur, Diamond. Nawet nie wiesz, gdzie jesteś. Nie możesz sama zwiedzać okolicy, żeby się przekonać, czy ją rozpoznajesz. Potrzebna ci eskorta tak samo jak nam, a nie mamy czasu na zabawy.

- Gdybym tylko napotkała jakichś tubylców...

- Na litość boską, Diamond, rozejrzyj się wokół. To nie jest Townsville ani Charters Towers. Aborygenów nie ma w zasięgu wzroku, a to oznacza, że jedyni, jakich masz szansę ujrzeć, będą mierzyć w ciebie włócznią. Dla ciebie jest już za późno, nawet jeśli to twoi pobratymcy. Lepiej stąd im pomachaj i przygotuj się do powrotu do domu.

Tej nocy Diamond siedziała przy ognisku z potężnych kłód drzewa żelaznego.

Wolała być sama ze swymi myślami. Bała się, potwornie się bała, nie tylko o siebie, lecz i o wszystkich mieszkańców tych gór. Słyszała rozmowy białych, kiedy czyścili broń i pakowali amunicję, śmiejąc się, że już zawczasu mogą karbować na lufach ustrzelonych tubylców. Chełpili się: "Żaden czarny sukinsyn nie wejdzie mi w drogę! Pokażemy draniom, do czego służy strzelba, będą sobie mogli wetknąć te dzidy w tyłek!"

Nienawidziła ich, Lewisa Cavoura także. Chin okazał się mądrzejszy od nich wszystkich. Był gotów pertraktować za jej pośrednictwem, starać się osiągnąć porozumienie, na mocy którego uzyskaliby zgodę na przejście przez plemienne terytorium, nie robiąc nikomu krzywdy. Można to było osiągnąć, Diamond w to nie wątpiła. Jednakże Lew jej nie wierzył.

Poskarżyła się Chinowi, lecz nie chciał słuchać krytyk pod adresem przyjaciela.

- Chodzi mu tylko o twoje bezpieczeństwo - rzekł. - Byłem naiwny. Myślałem, że zastaniemy tu czarnych ludzi, jak w innych osadach, i będziemy mogli spytać o twoje plemię. Ale sama widzisz, tu nie ma żadnego punktu odniesienia. Nie zdołamy się z nimi porozumieć. To smutne, ale moim zdaniem prawdziwe. Zostaniesz z Bourke'ami, do czasu, kiedy dowiemy się więcej o ludziach, do których należy ta ziemia.

Diamond uśmiechnęła się. Powiedział: "do których należy ta ziemia" i była mu za to wdzięczna. Po raz pierwszy ktoś, kto nie był Aborygenem, wypowiedział na głos całą prawdę. Ta ziemia należała do jakiegoś plemienia, może do Irukandji, może do innego ludu, a Chin uznawał ich prawo do swego kraju. Rozumiał to, nie tak jak inni. Chciał tylko zabrać złoto, które nie było im potrzebne, i zostawić ich w spokoju. Reszta tej spragnionej krwi hordy była godna pogardy. Nie myśleli nawet o miłosierdziu i nie mieli zamiaru go okazywać, byli gotowi całą drogę nad Palmer przejść po trupach.

Kiedy księżyc wzeszedł, białe namioty zalsniły na ciemnym tle gór. Stanowiły tu obcy element, nie na miejscu w gorącej wilgotnej dżungli. Obozowisko ucichło.

Ludzie byli wyczerpani, pracowali ciężko przez cały dzień, rąbiąc i pilując drzewa, nosząc ładunki ze statków na brzeg, upał męczył ich szybciej niż czarnych. Diamond nasłuchiwała odgłosów lasu: popiskiwania drobnych zwierząt, skrzeczenia rozszoszczonych spłoszonych ptaków i pieśni żab. Jacyś pijani górnicy zabłakali się w pobliżu i Diamond znieruchomiała z dłonią na rękojeści noża, lecz jej nie zauważyli.

Z oddali dobiegał łoskot fal przyboju, łamiących się na przybrzeżnej rafie. Co dziwne, wydawał się bliższy i nieco inny. Przybój odzywał się przeciągłym rykiem, jakby demony morza rzucały nim o brzeg, natomiast szum, który teraz słyszała, był stały i natrętny. Diamond odwróciła głowę, nasłuchując. To był odgłos pędzącej pośpiesznie wody, którego nie zagłuszały już hałasy dnia. Dlaczego wcześniej nie pomyślała o tym, żeby wsłuchać się w noc? Przecież wszystko, co żyje, mówi! Tak, to wodospad, olbrzymia kaskada, spadająca z dwóch siostrzanych skał. Wstała i wyciągnęła ręce w stronę tego dźwięku, znajomego dźwięku wodospadów ludu Irukandji.

Cicho podkraǳła się do namiotu, który kazał dla niej rozstawić Chin. Nawet tu była sama, nie mogła mieszkać wśród mężczyzn, rzecz jasna, ani tym bardziej pośród białych kobiet. Teraz była z tego rada. Opróżniła z ubrań swą płócienną torbę i zabrała ją do namiotu służącego jako skład zapasów. Tam wpadła wprost na Yuanga Fu, który wycelował do niej z karabinu.

- To ja! - zawołała, odskakując ze strachem. Wyglądał groźnie niczym orientalny zawodowy bokser. - Potrzebuję żywności - dodała, spostrzegając z ulgą, że opuszcza broń. Wciąż jednak zagraǳał jej drogę. - Proszę powiedzieć panu Chinowi, że odeszłam na poszukiwanie swego ludu. Nie trzeba go teraz budzić. Wystarczy, jeśli przekaże mu pan to rano. On zrozumie. Czy pan mnie słucha, panie Yuang? - zapytała, patrząc w jego wyzutą z wszelkich emocji twarz.

- Tak, panienko.

- Więc mogę zabrać trochę jedzenia?

- Jakie jedzenie, panienko?

- Mój Boże, nie wiem - westchnęła, rozglądając się po wielkim namiocie, zastawionym po dach stosami skrzyń i pak. W końcu wybrała trochę solonego mięsa, jabłek i pomarańcz, bochenek chleba, a także, ponieważ miała jeszcze miejsce w torbie, suchary w puszkach. Przynajmniej te puszki miały wieczka. Mężczyźni umieli otwierać konserwy nożem, lecz Diamond nie zdołała opanować tej sztuki. Zresztą to powinno jej wystarczyć. Czuła lekki podniecający zawrót głowy, jak gdyby wybierała się na piknik, choć przecież zdawała sobie sprawę z czyhających na nią niebezpieczeństw.

- Wrócę najszybciej, jak tylko będę mogła - rzekła na pożegnanie, lecz po chwili odwróciła się jeszcze raz. - Jeśli nie wrócę, czy podziękuje pan w moim imieniu panu Chinowi za jego dobroć dla mnie?

- Tak, panienko.

Zanim jeszcze Diamond zniknęła w buszu okalającym samotny port, Chin Ying został powiadomiony o jej odejściu. Stanął przed namiotem, z którego Yuang wywołał go na tyle dyskretnie, że śpiący na drugiej pryczy Lew niczego nie usłyszał. Patrzył na ostrzegawcze ogniska w górach, które przypominały teraz gwiazdy, wiszące nisko na czarnym niebie. -

- Sama wzięła w ręce swój los - powiedział. - Dobrze zrobiłaś. Może nigdy się nie dowiemy, jak jej poszło.

Rano Lew odkrył, że Diamond zniknęła. Przeszukał obóz, wyciągając z namiotów zręcznych marynarzy i wściekłych górników, których posądzał o porwanie jej, w końcu jednak musiał przyznać, że dziewczyna najpewniej na własną rękę wyruszyła w busz.

- Nie ma żadnych szans! - biadał. - Zabiją ją na miejscu! Gdybym wiedział, w którym kierunku poszła, spróbowałbym ją odnaleźć, ale gdzie mam jej szukać w tej cholernej dżungli?

- Może tak będzie lepiej - odezwała się Marie Bourke, chcąc go pocieszyć. Lew zawsze pociągał ją silniej niż Herbert, był o wiele bardziej interesujący.

- Tak wcale nie jest lepiej - warknął na nią. - Ona może tam zginąć!

Wówczas to Marie Bourke uświadomiła sobie, iż popełniła straszliwy błąd. Zamiast trzymać się Herberta, który naprawdę miał na nią ochotę, uwzięła się na kapitana Cavoura.

Jej matka miała rację. Powiedziała: "Trzeba naprawdę wyjątkowej kobiety, żeby takiego usidlić, jeśli to w ogóle możliwe. Na twoim miejscu zadowolilibym się Herbertem. To dżentelmen, nie tak wymagający jak Lew".

Ciekawe, pomyślała, gdzie też jest teraz Herbert?

Samotny jastrząb unosił się leniwie na rozpostartych skrzydłach, z rozbijającą obojętnością dryfując w ciepłych prądach powietrza po bladym porannym niebie. Bystre oczy ptaka dostrzegały jednak najdrobniejszy szczegół jego terytorium. Nic nie umykało spojrzeniu jastrzębia, Diamond wiedziała o tym. Wędrowała przez deszczowy las w stronę wodospadów, stąpając ostrożnie po paprociach i mchu. Zastanawiała się, jak długo potrwa, nim równie bystre ludzkie oczy dostrzegą jej obecność, wyśledzą kroki intruza.

W nocy, wyszukując drogę przez nizinny skrub przy blasku księżyca, wystraszona podrywała się za każdym szmerem. Gdy wszakże świt przesączył się przez listowie i zaczęła wspinać się pod górę, napełniło ją cudowne radosne podniecenie. Ona, Kagari, rozpoznawała znajome zapachy, słodycz powietrza. Ze swobodą omijała zapadliska i głębokie wykroty, ukryte pod maskującymi liśćmi paproci. Przypominała sobie, jak często dzieci wpadały z wrzaskiem w jedną z takich pułapek. Ratowano je szybko z ciemnej nory, będącej nieraz schronieniem chytrookich węży. Biedne konie, pomyślała ze smutkiem, które ktoś zechce przeprowadzić przez ten las.

Kukabury pokrzykiwały wesoło i Kagari radowała się wraz z nimi. Nareszcie wraca do domu. Trwało to bardzo długo, lecz wkrótce odnajdzie bliskich: ukochanych rodziców i wszystkich pozostałych. Jakież wspaniałe zgotują jej powitanie! Wyobrażała sobie wyciągnięte ramiona, poruszenie, łzy, radość i zdumienie. Skręciła, by obejść dookoła wielkie głazy, zrzucone na ziemię dawno temu, we Śnie. Każde dziecko wiedziało, że w tym miejscu krzyżują się drogi: jedna wiodła w dół, ku potworom mieszkającym w rzece, druga do morza.

Szare granitowe olbrzymy onieśmieliły ją swym milczącym ogromem; potknęła się z wysiłku, starając się przejść górą, zdumiona, ile trudu ją to kosztuje. Czuła, jak jej pewność siebie pierzcha, wyparta przez nerwowy chłód. A jeśli natknie się na obcych? Czy ją zrozumieją? Czy zechcą wysłuchać? W tym odzieniu mogą wziąć ją za białą kobietę. Cóż oni wiedzą o kolorze skóry? Z dotkliwym zażenowaniem zdjęła bluzkę, spódnicę i obuwie i ukryła między korzeniami starego figowca, na którego pniu zrobiła znak nożem. Oderwała szeroką koronkę z rąbka halki i wstała, rozglądając się niepewnie. Nie, zostanie w płóciennej koszuli bez rękawów i pantalonach, nie ma śmiałości rozbierać się dalej. Owszem, kiedyś zdierała z siebie odzież i jej strzępy wręczała Benowi, usiłując ratować pana Middletona. Obnażyła wtedy piersi; zarumieniła się na to wspomnienie. Lecz sytuacja była wyjątkowa.

Ben. Serce wciąż jej pękało z tęsknoty za nim. Jej ciało szukało tej samej namiętności u wszystkich mężczyzn w domu China, lecz na próżno. Ruchy Diamond stały się mechaniczne, oni zaś pospiesznie brali w posiadanie jej ciało, jakby szukali ulgi - niczym krowy, które trzeba wydoić. Co dziwne, bardziej niż sam akt podniecało ich patrzeć, jak Diamond się rozbiera. Wytrzeszczali oczy na jej nagość. Każdy z nich był niczym, głupim zerem. Każdy, lecz nie Ben, on kochał się z nią z taką pasją, że na pewno mu trochę na niej zależało. Musiało mu zależeć.

Zjadła jabłko i ruszyła dalej, chwytając za pnie drzew, by podciągnąć się na stromym stoku. Teraz szła ostrożniej, za każdym krokiem wypatrując śladów ludzi. Kierowała się ku wodospadom, prowadził ją ciągły szum wody. Stamtąd pójdzie do jaskiń. Jadło i schronienie to wszystko, czego trzeba Aborygenom, dumiała, podczas gdy w świecie białych do życia konieczne jest tyle innych rzeczy, przede wszystkim pieniądze. Odepchnęła na bok ciężkie pnącza i krzyknęła. Patrzyła na nią pomalowana na białą twarz.

Mężczyzna złapał ją brutalnie za ramię i wyciągnął spośród lian, po czym przygwoździł do drzewa, złapał wielkimi dłońmi za koszulę i zaczął potrząsać jak szmacianą lalką.

- Przestań! - krzyknęła odruchowo po angielsku, odpychając od siebie zbitego z tropu młodzieńca. - Irukandji! - zawołała władczo.

Zamrugnął oczyma i odstąpił o krok, żeby na nią spojrzeć.

- Irukandji! - zaczął ogarniać ją strach. A jeśli mężczyzna pochodzi z innego plemienia? Jeśli on także nigdy nie słyszał tego słowa? Jak zdoła mu uciec?

Chłopak obliznął nerwowo wargi i kiwnął głową.

- Irukandji - powtórzył i dodał pytająco: - Irukandji?

- Tak, tak, tak - zawołała Kagari ze śmiechem, zarzucając mu ręce na szyję. - Irukandji. Jestem Kagari!

Cofnął się, zgorzony. Miał dopiero około szesnastu lat, był za młody, żeby ją pamiętać, i niezbyt pewny, jak się zachować w tej bezprecedensowej sytuacji. Wkrótce jednak odzyskał rezon i wymierzył w nią włócznię.

Uśmiechając się, żeby go nie spłoszyć, Kagari rozłożyła szeroko ramiona w geście poddania, lecz to niewiele pomogło. Pchnął ją mocno, upadła na plecy, a wtedy złapał ją za nogę i brutalnie wykręcił, żeby zabrać jej nóż. Ramię Kagari przeszył ból od upadku, a gdy spróbowała poruszyć kolaniem, piekące łzy napłynęły jej do oczu.

- Niechże cię - wymamrotała po angielsku. - Patrz, co zrobiłeś!

Postawił ją na nogi i obserwował, jak kuśtyka, chwytając się pni drzew. Uświadomiła sobie, że okaleczył ją celowo, żeby zapobiec ucieczce. Dorównywał jej wzrostem, miał smukłe, żyłaste ciało, odziane jedynie w plecioną siatkę, chroniącą genitalia. Jego pierś i twarz wysmarowane były mułem i poznaczone dużymi białymi plamami. Teraz nie wydawał się już tak rozwścieczony, lecz wiedziała, że musi być bardzo ostrożna. Wystraszyła go, oczyma wciąż przeszukiwał zarośla, na wypadek gdyby nie była sama.

Kagari uczyniła wysiłek, by przemówić, ale umysł stawiał jej opór, nie mogła przypomnieć sobie słów w tym języku. Utykając, szła pod górę, włócznia dźgała ją w plecy, ból w kolanie przyprawiał o męki, zaciskała zęby za każdym razem, kiedy musiała oprzeć ciężar ciała na tej nodze. Kilka razy potknęła się, jednakże jej towarzysz nie uczynił nic, by jej pomóc. Zdenerwowanie Kagari przerodziło się w panikę. Jakże była głupia! Powinna była zaczekać, aż ktoś inny nawiąże kontakt z tubylcami. Ten młody niecierpliwy zwiadowca nie powiedział właściwie, do jakiego szczepu należy, a tylko rozpoznał nazwę. Możliwe, że prowadzi ją do obcych ludzi. Musiała odnaleźć rodzinę, kogoś, kto ją rozpozna.

Dłonie jej krwawiły, kaleczone przez cierniste pnącza i krzewy, które łapała dla utrzymania równowagi. Zatrzymała się, żeby zaczerpnąć tchu.

- Wogaburra - rzekła, patrząc na chłopca z góry, i nagle jej napięcie zniknęło, słowa zaczęły płynąć same. - Zaprowadź mnie do Wogaburry. Jestem jego córką, Kagari.

Nie zdziwił się, że przemawia w jego języku.

- Ten człowiek nie żyje. Idź dalej.

- O nie - jęknęła. Liczyła się z taką możliwością, lecz mimo to przeżyła wstrząs. - A moja matka, Luka? Znasz Lukę?

- Tak. Luka żyje.

- Zabierz mnie więc do Luki.

Potrząsnął głową.

- Kłamiesz.

Wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Wobec tego chcę się widzieć z Tajatellą - poinformowała go wyniośle, mając nadzieję, że wódz jest jeszcze pośród żywych. - Jestem jego przyjaciółką, ukarze cię, jeśli zrobisz mi krzywdę.

To wywarło na nim wrażenie. Przystanął z wahaniem i wydał przenikliwy ptasi gwizd.

Z lasu zaczęli się wyłaniać niczym widma inni mężczyźni, grubo okryci farbą. Niektórzy mieli zatknięte w nosie drobne kostki, symbolizujące ich rangę. Stanęli wokół, przyglądając się jej, potem oddalili się na szeptaną naradę, i wkrótce Kagari i jej dozorca ruszyli w dalszą drogę.

Siedziała w chłodnej, mrocznej jaskini, gdy nagle w przesłoniętym listowiem wejściu ukazał się wódz ze swoją świtą. Wszyscy wyglądali groźnie, lecz on szczególnie. Szttywne siwe włosy związane miał w nawoskowany węzeł na czubku głowy, który jakby uwydatniał twarde, okrutne oczy, patrzące na nią gniewnie spod przepaski zdobiącej czoło. Jego twarz i pierś znaczyły szerokie blizny po obrzędzie inicjacji, pomalowane białą i ochrową farbą. Miał na sobie skąpą przepaskę biodrową z futra. Przeguby i kostki zdobiły mu grube skręcone bransolety z trzciny, w rękę trzymał długą zębatą włócznię, którą wycelował w Kagari.

Wstała, żeby okazać mu szacunek. Miała nadzieję, że to jest Tajatella, zapomniała już, jak wyglądał.

- Kim jesteś? - spytał. Idący za nim ludzie stłoczyli się, chcąc usłyszeć odpowiedź.

- Jestem Kagari - odparła. - Córka Wogaburry.

Błyskawicznym ruchem zdzielił ją w twarz.

- Ośmielasz się mówić o umarłych, zły duchu!

Zatoczyła się od siły ciosu. Rozcierając obolałą szczękę, stanęła przed nim i oświadczyła:

- Kagari nie umarła. Ja jestem Kagari. Wróciłam do domu.

Wśród słuchaczy rozległ się szmer dezaprobaty. Kimkolwiek była, ośmieliła się sprzeciwić wodzowi.

- Byłam małą dziewczynką - ciągnęła, podkreślając swe słowa gestem. - Zagubiłam się na morzu i biali ludzie zabrali mnie w daleki świat. To było dawno, tego dnia biali ludzie wyszli tu na brzeg. - Spojrzała na niego błagalnie. Po tylu latach trudno jej było mówić w tym języku.

- Wielu białych ludzi wyszło z morza - odparł gniewnie. - Jesteś złym duchem, zesłanym przez nich.

- Nie, spójrzcie na mnie. Jestem jedną z was, z ludu Irukandji.

Do przodu wypchnięto pulchną nagą kobietę, której splątane włosy zasłaniały prawie całą twarz. Początkowo Kagari nie była pewna, czy ją poznaje, lecz po chwili wyciągnęła rękę z uśmiechem.

- Powiedz im - odezwała się. - Jestem Kagari, twoja córka.

Kobieta cofnęła się przed nią, ze strachem potrząsając głową. Wódz zdawał się zadowolony. Wyszczrzył zęby i splunął.

- Wypędźcie stąd to złe.

Wówczas to szeregi gapiów rozstąpiły się, by przepuścić jakiegoś mężczyznę.

- Tajatella jest wielkim wodzem - rzekł - ale ja jestem obdarzony szczególną mocą słuchu. Słyszę jej głos i ja jeden go poznaję. To jest Kagari, która powróciła z martwych. Dowiodę tego. Jak brzmi moje imię, kobieto?

Kagari westchnęła z ulgą.

- Ty jesteś Meebal, mój brat - odrzekła. - Ten, którego oczy zostały oślepione trucizną.

Pozostali szemrali i mruczeli, niektórzy ze zdumienia, inni ze strachu.

- Nie jestem duchem, Meebal - zapewniła żarliwie. - Nie jestem duchem. - Tym razem zdecydowała się podać nieco ubarwioną wersję zdarzeń. - Zostałam schwytana przez białych, kiedy ty byłeś ledwie chłopcem, ale uciekłam od nich.

Luka, jej matka, podeszła bliżej, marszcząc brwi. Tajatella miał już tego dość. Ostatecznie chodziło tylko o kobietę.

- Niech tak będzie - oznajmił i wyszedł wraz ze swą siostrą.

Tak przeraźliwych kwików Lew nie słyszał jeszcze nigdy w życiu. Wraz z innymi pognął nad rzekę, uskakując po drodze spod kopyt rozszalałego konia, który pędził wprost na niego. Na wypadek gdyby Diamond miała rację co do krokodyli, ulokował obóz dość daleko od brzegu, za to inni rozłożyli się nad samą wodą.

Posłyszał wystrzał, po chwili z nadbrzeżnych zarośli wynurzył się mężczyzna.

- Nie schodźcie tam! - zawołał. - Trzymajcie się z dala od rzeki!

- Na miłość boską, co się stało? - zapytał Lew.

- Okropność! - wzdrygnął się nieznajomy. - Nagle, dosłownie znikąd, pojawiły się wielkie krokodyle. Złapały konia mojego kumpla. Biedne zwierzę wierzgało i rżało wniebogłosy, ale nie byliśmy w stanie go ocalić. Błyskawicznie wciągnęły go do wody. Kumpel go zastrzelił, żeby skrócić jego mękę. Właśnie w tej chwili bestie rozszarpują go na strzępy.

Chin Ying zbladł ze zdenerwowania.

- To zły omen - powiedział.

- Nic podobnego! - stanowczo zaprotestował Lew. Nie mógł pozwolić, by chińskie zabobony zakłóciły wyprawę. - Musimy tylko bardzo uważać przy pojeniu zwierząt. Nie przypuszczałem, że są na tyle duże, żeby porwać konia.

Następnego dnia zaczęli się piąć pod górę, trzymając się przesieki, wyciętej przez pierwszy oddział poszukiwaczy złota. W oddali słychać było wyraźny szum wodospadu. Lew zastanawiał się, czy to ten sam, o którym mówiła Diamond. Gdzie ona się podziała? W tym kraju wodospady na pewno nie należą do rzadkości. Możliwe, że szła tym samym szlakiem, choć z pewnością nie prowadził on w stronę kaskady.

Przewidywania, że marsz potrwa tydzień, wkrótce okazały się zbyt optymistyczne. Teren był trudny, porośnięty gęstą dżunglą i pocięty wieloma potokami, przez które musieli się przeprawiać u podnóży wzniesień. W miarę jak posuwali się naprzód, góry stawały się coraz wyższe, a strumienie szersze. W ciągu czterech dni przebyli zaledwie sześćdziesiąt mil.

- Wedle moich obliczeń - rzekł Ying - zboczyliśmy za daleko na północ. To bardzo niepokojące.

- Ci ludzie mają doświadczenie - sprzeciwił się Lew. - Nie możemy wypuszczać się na własną rękę. Musimy iść ich śladem.

Tej nocy zostali napadnięci przez dzikich. Włócznie i płonące gałęzie leciały ze wszystkich stron, powodując kompletny chaos. Górnicy strzelali na oślep, nie byli w stanie dojrzeć atakujących. W ciągu piętnastu minut potyczka dobiegła końca, lecz te piętnaście minut zdało się Lewisowi wiekiem. Ryzykując, że stanowi wyśmienity cel, wziął latarnię i przeszedł przez obozowisko, by policzyć ofiary. Dwóch górników z namiotu na skraju lasu zostało zabitych, dwóch innych rannych, padł również jeden kulisi, co widząc, jego towarzysze podnieśli straszliwy lament. Lew ruszył na poszukiwanie braci Yuang i ku swemu zdziwieniu zastał ich w namiocie, pochylonych nad Yingiem.

- Co tu się dzieje? - zapytał.

- Nasz pan został trafiony włócznią, panie - odparli. - W ramię. Wielkie nieszczęście.

- Kiedy to się stało? - Stał tuż obok Yinga pod osłoną drzew, strzelając do napastników, lecz nie słyszał, by ten choćby jęknął. - Puśćcie mnie, chcę obejrzeć ranę.

Rana na ramieniu Yinga była głęboka i poszarpana.

- Na szczęście - wyjaśnił Chińczyk - włócznia traciła już impet, kiedy natknęła się na moje ramię, które bardzo niemądrze stanęło jej na drodze, toteż zdołałem ją wyrwać, co było nader nieprzyjemne.

- Założę się, że tak - zauważył Lew. - Pilnuj, żeby nie wdało się zakażenie. A, i kiedy skończą zakładać ci opatrunek, każ im zająć się innymi rannymi.

Od owego dnia ich położenie ciągle się pogarszało i Lew nieraz się zastanawiał, czy ten marsz do ziemi obiecanej nie był z góry skazany na porażkę. Bez przerwy nękały ich nadlatujące pociski, rozciągnięte w poprzek ścieżki skręcone pnącza, o które potykali się ludzie i konie, a także zwieszane z drzew gałęzie trujących krzewów. Powodowały one silną wysypkę, która piekła jak ogień. Zrzucano na nich z wysoka wielkie głazy, raz nawet węże, przez co konie wpadły w panikę, a kulisi rzucili ładunek i z krzykiem uciekli w skrub.

Wzdłuż całej trasy czyhali czarni. Jedna rzecz niepokoiła Lewisa: na szlaku wały się porzucone przez górników dobra, busz usiany był puszkami z jedzeniem, namiotami i sprzętem, nawet cennymi workami soli i mąki. Minęli także kilka grobów, co jeszcze bardziej przeraziło kulisów. Po incydencie z węzami bracia Yuang za pomocą batów zmusili ich do ponownego sformowania kolumny, Lew czuł jednak, że kulisi są bliscy buntu.

W przeciwną stronę schodziło dwóch mężczyzn, niosąc rannego na skleconych z gałęzi noszach.

- Wracaj, kolego - poradzili Lewisowi. - Nie warto. To droga po śmierć. Musicie pokonać granitowy łańcuch górski. Nie ma innej drogi. Tam właśnie zaatakowali nas dzicy.

Setki cholernych dzikusów, pełnowymiarowa bitwa. Mówiono nam, że to pusty kraj. Jak diabli pusty! Są tu ich tysiące!

Lew zagadnął go o zapasy porzucone na szlaku.

- Maruderzy. Musieli je zostawić, inaczej nie daliby rady utrzymać tempa, a wlec się z tyłu jest zbyt niebezpiecznie. Zresztą grupa i tak już się rozdzieliła - dodał gorzko. - Ci na koniach pognali w przód, nie chcieli na nas czekać, dranie. Straciliście już jakichś ludzi?

Lew kiwnął głową.

Chin Ying także przysłuchiwał się rozmowie, aczkolwiek posępne ostrzeżenia nieznanym nie zrobiły na nim większego wrażenia.

- Musieli zawrócić - stwierdził. - Ich kolega ma złamaną nogę. Przejaskrawiają niebezpieczeństwo, żeby pokryć własną porażkę.

- Nie jestem taki pewien - rzekł Lew. - Dowody porozrzucane są wszędzie dokoła nas. Ludzie muszą być naprawdę doprowadzeni do ostateczności, żeby wyrzucać zapasy i gnać naprzód.

- I głupi. Logiczniej już byłoby uciekać z powrotem do Cooktown, jako że tam, w dziczy, nie zdobędzie się żadnych towarów. Nie, sędzę, że zabrakło im sił lub ochoty, żeby nieść swe bagaże. Nas ten problem nie dotyczy.

- Nadal nie jestem przekonany. Czuję się odpowiedzialny za tych ludzi. Nie chcę ich prowadzić na śmierć.

- Nic podobnego. Ci, co przyłączyli się do nas, zrobili to na własną odpowiedzialność, a o Chińczyków już ja się zatroszczę. Ty musisz się martwić jedynie o własną skórę.

Szli więc dalej. Droga wiodła koło pięknego dużego jeziora, okolica którego wprost kipiała od zwierzyny, tam też urządzili sobie ucztę złożoną z ryb i dzikich kaczek. Potem zagłębili się na powrót w dżunglę, ostatni już chyba jej odcinek. Lew miał nadzieję, że po drugiej stronie gór roślinność będzie rzadsza.

Mieli tylko trzy konie, dla niego i Yinga, oraz jednego jucznego. Jechali przodem, wypatrując oznaczonych drzew, bracia Yuang zaś trzymali pieczę nad główną grupą. Wróciwszy z krótkiego rekonesansu, Lew stwierdził, że kolumna zatrzymała się. Górnicy narzekali, chcieli iść dalej, lecz Ying zarządził postój, żeby przeprowadzić śledztwo w sprawie zniknięcia dwóch kulisów, zamykających pochód.

Niektórzy kulisi, jak Lew zauważył już wcześniej, zaczęli tracić siły pod ciężkimi brzemionami, w tym piekielnym upale stawy nabrzmiwały im boleśnie. Postanowił, że gdy dotrą na wierzchołek grzbietu, będzie nalegał na kilkudniowy odpoczynek.

Zsiadł z konia i ruszył pieszo z powrotem wzdłuż szlaku w towarzystwie Yuanga Fu, ale przeszli ponad milę i nigdzie nie dostrzegli śladu zaginionych kulisów.

- Może po prostu uciekli z powrotem w stronę brzegu? - poddał Lew, lecz Yuang Fu pokręcił głową.

- Nie zabieraliby ze sobą koszy, panie. - Chińczyk rozejrzał się czujnie. - Bardzo ciężko jest walczyć z nieprzyjacielem, którego się nie widzi.

- To prawda - przyznał Lew. Nic dziwnego, że biedak był zbity z tropu. Yuang, ekspert w sztuce walki, tutaj nie miał jak spożytkować swych talentów. Zauważali jedynie niewyraźne postaci, przemykające szybko pośród drzew. Nigdy dotąd krajowcy nie stanęli z nimi twarzą w twarz.

W końcu dali za wygraną i wrócili do obozu.

- Musimy ich znaleźć - perorował Ying. - Ci nędznicy prawdopodobnie dali nogę i kryją się w lesie, czekając, aż ruszymy dalej. To rodzi zły przykład. Trzeba ich schwycić i ukarać. - Zarządził przerwę w marszu i nazajutrz rano rozkazał braciom Yuang, by przetrzasnęli gąszcz w poszukiwaniu zbiegów.

Bracia wrócili w południe i zaczęli półgłosem konferować z Yिंगiem. Kiedy Lew się do nich zbliżył, rozmowa raptownie się urwała.

- Nie da się ich odnaleźć - oznajmił Ying. - Najwidoczniej zeszli z gór pod osłoną ciemności.

- Koszyków też ani śladu? - spytał Lew.

- Nie, panie - odparł Yuang Fu.

Lewisowi wydawało się dziwne, że bracia powrócili tak wcześnie. Sam słyszał, jak Ying kazał im szukać aż do zmierzchu, a jeszcze nigdy się nie zdarzyło, aby zlekceważyli jego polecenie.

Nazajutrz po południu, kiedy przedzierali się krętym odcinkiem szlaku, zniknęli następni dwaj kulisi, znów ostatni w kolumnie. Pozostali zbili się w ciasną grupkę, szlochając histerycznie i wskazując w dół ścieżki. Nikt nic nie widział ani nie słyszał, dwaj tragarze przepadli tak samo bez śladu jak poprzedni. Ostatnich dziesięciu górników, którzy wciąż szli wraz z nimi, spakowało manatki i odeszło, nie chcąc słuchać ostrzeżeń Lewisa, że powinni trzymać się razem. Utrzymywali, że towarzystwo Chińczyków przynosi pecha.

- Chryste! - jęknął Lew. - Teraz dla odmiany tych opętały jakieś zabobony!

Chin Ying zdawał się nie przejmować, że górnicy ich wyprzedzili.

- Wątpię, by miało to większe znaczenie - rzekł. - Może następnym razem dzieci zaatakują właśnie ich, a nas zostawią w spokoju. Są bardzo sprytni. Igrają z nami jak kot z myszą.

Rzeczywiście tak było. Powoli, lecz skutecznie ciągle ataki podkopywały morale i siły fizyczne grupy, dość już wyczerpanej pokonywaniem naturalnych przeszkód. Kąsały ich owady, atakowały roje pszczoł, psy dingo nie dawały spokoju koniom, upał wykańczał ludzi i zwierzęta. Nie było dnia bez jakiegoś wypadku i przynajmniej drobnych obrażeń. Lew zaczął o jadowity krzew i piekły go szyja i ramiona, oprócz tego w wykrocie zwichnął sobie kostkę. Wciąż utykał, choć nogę zasznurował mocno w wysokim bucie. Dziękował Bogu, że ma konia.

Wstrząsy, zmartwienia i nie kończący się psychiczny dyskomfort w połączeniu z niedostatkiem snu stwarzały ciągle napięcie między Lewisem a Yingiem. Coraz trudniej im było osiągnąć kompromis nawet w najbliższej sprawie, kiedy zaś Lew ogłosił zakrojone na wielką skalę poszukiwania zaginionych kulisów, Ying kategorycznie odmówił zgody, by wzięli w nich udział jego ludzie.

- Czy mógłbyś się wreszcie na coś zdecydować? - wrzasnął na niego Lew. - Ostatnim razem kazałeś ich szukać do skutku, tym razem znów uważasz, że szkoda fatygi. To przecież twoi ludzie, musimy ich znaleźć! Na miłość boską, Ying, oni mogli wpaść w jakąś dziurę i czekają na ratunek.

- Żadnych poszukiwań - oznajmił twardo Ying. - Idziemy dalej.

- Nigdzie nie pójdziemy, do diabła! Daj mi swoich ludzi, tylko na dzisiaj. Może ich znajdziemy.

- Nie.

- W takim razie powiem kulisom, że jesteś złym szefem. Że nie obchodzi cię ich los. Poproszę ich o pomoc.

- Nie zajdziesz daleko ze zwichniętą nogą.

- Mogę i pójść.

Ying westchnął i skinął na braci Yuang, którzy stali nie opodal.

- Idźcie z kapitanem szukać naszych zaginionych braci - rzekł, po czym odwrócił się do Cavoura: - Pójdą z tobą moi słudzy, nikt inny. Ale najpierw rozstaw silne stráže wokół obozu.

- O, ma się rozumieć - rzucił Lew sarkastycznie. - Naturalnie, że w pierwszym rzędzie zatroszczę się o twoje bezpieczeństwo.

Wszyscy trzej, solidnie uzbrojeni, zawrócili, zataczając kręgi najpierw z jednej strony ścieżki, potem z drugiej. Kulisów znalazł Yuang Pan. Zamiast wystrzelić w powietrze, jak ustalili, podszedł cicho do Lewisa i wskazując kierunek ruchem głowy, poprowadził go na małą polanę przed wyjściem do jaskini. Żaden z braci nie odezwał się ani słowem. Lew patrzył ze zgrozą.

- Wiedziałeś! - wrzasnął na Yinga, wpadając po powrocie do jego namiotu. - Wiedziałeś, draniu! To samo stało się z tamtymi dwoma, prawda? A ty siedzisz tu na dupie i nie robisz nic!

- A co mam zrobić? Poinformować resztę, co zaszło? Chcesz doprowadzić ich do obłędu? Napij się whisky, dobrze ci zrobi. Chyba że masz zamiar zademonstrować swoje współczucie, mówiąc prawdę tym biedakom, którzy już i tak są śmiertelnie przerażeni.

Trzęsącymi się rękami Lew ujął kubek i przełknął łyk trunku.

- Mogłeś mi powiedzieć - wymamrotał.

- Oddałem ci przysługę, trzymając język za zębami. Od tamtego razu Yuang Pan pilnował tyłów, ale musiał przejść na przód kolumny, żeby pomóc tragarzowi, któremu pękł koszyk.

Lew wypił resztę whisky, jeszcze bardziej zdruzgotany. Gdyby Yuang Pan tam był, może by uratował życie tym nieszczęśnikom.

- Dobrze się złożyło - ciągnął Ying. - Nęka nas niewidzialny wróg. Yuang Pan mógł zginąć. To zaś byłaby niepowetowana strata.

- Chryste! - jęknął Lew, ponownie napełniając kubek. Jak to możliwe, że wpuścił się w ten koszmar? Wyprawa, prowadzona przez dwóch przywódców, których poglądy na kwestie życia i śmierci nie mogłyby się już chyba bardziej różnić, brnie na oślep przez tę dzicz, przez to parne zielone piekło...

Alkohol pociekł stróżką na podłogę. Kubek zaczął wymykać mu się z ręki.

- Połóżcie go na pryczy - usłyszał głos Yinga przez gęstniejącą mgłę i nim zaczął tracić władzę w członkach, uświadomił sobie, że Chińczyk dołał mu czegoś do whisky.

Z biegiem dni Luka nabrała śmiałości w stosunku do córki. Pozwoliła Kagari się dotykać, brała ją za rękę i opowiadała łagodnie o przeszłych czasach. Nie chciała jednak słuchać wyjaśnień Kagari, dotyczących jej zniknięcia. Inne kobiety gromadziły się wokół nich, płonąc z ciekawości, Luka zaś chełpiła się przed nimi swoją córką, czarodziejką, która powróciła ze Ścieżki Snów. Czyż jej ojciec nie był potężnym szamanem?

Kagari wiedziała teraz, że popełniła poważny błąd, wspominając jego imię. Nikt nie wymawiał imion zmarłych; w innych plemionach, z którymi się zetknęła, obowiązywał ten sam zakaz. Jakaż była głupia! Nic dziwnego, że Tajatella ją uderzył.

Pradawni ludzie, pradawne obyczaje... Fascynowali ją, a zarazem odstręczali. Zastanawiała się, czy Aborygeni w Brisbane albo nawet w Caravale pamiętają jeszcze takie właśnie życie. Ostatecznie biali władali ich ziemią już od stu lat, od pokoleń. Dzikie plemiona z północy wszakże nie pojmowały europejskiej cywilizacji. Ci ludzie wiedzieli tylko, że biali zaczynają lądować na ich terytorium, i byli źli. Kobiety chichotały i plotkowały o nowej wojnie, pierwszej od wielu pokoleń. Dla Irukandji znów nadeszły ciekawe czasy. Mieszali farby, zbierali specjalną żywność dla wojowników i od nowa uczyli się legendarnych wojennych pieśni. W tym niezmiernie ważnym okresie pojawienie się Kagari stanowiło ledwie trzydniową sensację. Kagari zresztą starała się nie rzucać w oczy, w jaskini trzymała się blisko Luki i Meebala i częściej słuchała, niż mówiła, toteż wkrótce przestali się nią interesować.

W ogromnej zadymionej grocie mieszkało wielu ludzi, w większości krewnych lub przyjaciół Luki albo też członków tego samego klanu totemowego, trudno było to stwierdzić. Luka miała teraz innego męża, którego dzieliła z dwiema innymi kobietami. Jej głównym obowiązkiem było wyżywić go, ponieważ był za stary, żeby polować. Z początku Kagari myślała, że dym z ognisk ją zadusi, lecz siłą woli przyzwyczaiła się do zatęchłego powietrza i smrodu palonej sierści - mniejsze zwierzęta wrzucano w ogień, nie obdzierając ich ze skóry. Wiedziała już, że nie może tu zostać na zawsze, ale łagodna serdeczność tych ludzi zatrzymała ją na dłużej.

Byli niezmiernie dumni ze swych silnych nagich ciał; kobiety, jak wszędzie, wzdychały na widok smukłych młodych mężczyzn i dziewcząt. Na nieszczęście Luka dokładała starań, żeby zareklamować wdzięki swojej córki. Odebrano Kagari płócienną bieliznę, lecz odzyskała ją i wyprała w strumieniu ku uciechu przyjaciółek Luki.

Wszystko to było niczym dziwny sen. Kagari dryfowała przez krainę, w której czas nie płynął. Luka stawała się coraz bardziej zaborcza, jej miłość do córki przybierała na sile z każdym dniem, aż w końcu na jej twarzy malowała się taka radość, że Kagari wiedziała, iż warto było wrócić. Iskała włosy Luki, nacierała jej twarde ciało olejkami kokosowymi i z uśmiechem siadywała przy niej po turecku, miażdżąc korzenie na mąkę lub sortując zebrane tego dnia orzechy i jagody, żeby sprawić matce przyjemność.

Nie cierpiała jaskini, natomiast dni, spędzane na wędrówce przez las z dala od wojennych szlaków, były dla niej czystą rozkoszą. Zawsze towarzyszyli im bliscy, w trakcie wędrówek poznawały też innych ludzi. Kagari oglądano i głaskano jak nowo narodzone dziecko. Prawdziwych, tłusciutkich dzieci było mnóstwo, podróżowały w nosilkach lub beztrudnie dreptały w ślad za dorosłymi, pilnowane jak źrenica oka i nigdy nie karane. Choćby dziecko było wyjątkowo niegrzeczne lub natrętne, nikt nie uderzył bezbronnego malca. Twarda szkoła życia zaczynała się dopiero w wieku dojrzewania. Kagari rozumiała teraz, dlaczego zareagowała tak gwałtownie, kiedy ochmistrzyń gubernatora ją spoliczkowała. Wzruszyła ramionami. Obie postąpiły źle, tamta przypłaciła to życiem. Kagari miała ochotę opowiedzieć o tym matce, lecz było to zbyt skomplikowane. Większość tego, co próbowała przekazać Luce i Meebalowi o świecie białego człowieka, nie dała się nawet wyrazić w ich języku. Łatwiej było jej występować jako ta, która wróciła ze Ścieżki Snów. Meebalowi śpiewała jednak piosenki, te, których nauczyła ją pani Beckman, i te, które śpiewano przy pianinie w domu Perfy w Bowen. Ukochana twarz brata rozjaśniała się z radości. Wierzył, że słyszy cudowną muzykę Snu, którego kiedyś dostąpi, ponieważ mimo upokarzającej ślepoty starał się być wartościowym członkiem swego plemienia.

- Zawsze bałem się umrzeć - wyznał siostrze - bo tak trudno jest ślepcowi zdobyć sobie miejsce. Nie jestem wojownikiem ani nawet zwiadowcą, żadna kobieta mnie nie zechce. Na co duchom taki bezużyteczny człowiek? Ale teraz, kiedy słyszę twój śpiew, siostrze, wiem, że wstawiałaś się za mną u duchów. Powiedz mi prawdę, czy i dla mnie będzie miejsce we Śnie?

Odpowiedziała mu ze łzami w oczach, starając się, by jej głos brzmiał pewnie i spokojnie:

- Jest dla ciebie miejsce, bracie, bardzo zaszczytne miejsce, ponieważ wiele wycierpiałeś i zachowałeś dobre serce. Światu potrzeba nie tylko ludzi czynu, lecz również słuchaczy, którzy podchwycą i docenią cudowną muzykę rozbrzmiewającą wokół nas - muzykę zapomnianą przez tych, którzy widzą. Tylko ty jeden rozpoznałeś mój głos. Zaprawdę, obdarzono cię wielką miłością.

Gdzieś w tej przemowie brzmiało echo słów pani Beckman, która często mawiała, że cierpienia zesłane są po to, by poddać nas próbie.

To wszakże nie było takie ważne. Meebal uściskał siostrę. Kiedy nadejdzie jego czas, umrze w spokoju.

Luka zabrała ją na wierzchołek góry, z którego niczym władczyni mogły spoglądać na rozpościerającą się niżej równinę. Przypominała brzydką, usianą tu i ówdzie drzewami i mrowiskami okolicę Townsville - twardą jak kamień ziemię, zarośniętą po pas ostrą trawą.

- Tam w dole - splunęła Luka z pogardą - są ludzie Merkin. Nic dobrego. Ale teraz oni też walczą z białymi ludźmi. Biali są brudni. Zostawiają wokół siebie odchody, nigdy ich nie zakopują. - Roześmiała się nagle. - Łatwo ich wytropić, nie? Wystarczy iść za smrodem.

Kagari usiadła obok matki na wysokiej granitowej skale.

- Czy wiesz, dlaczego biali ludzie tu przyszli?

- O, tak - odparła Luka wyniośle. - Żeby skraść nam żywność i porwać nasze kobiety. Kobiety Irukandji rodzą najlepsze dzieci na świecie, wszyscy o tym wiedzą. Ale my bronimy im wstępu w góry. Jesteś tu bezpieczna.

- Ta dolina w dole... co to za kraj?

- Kraj Merkinów - powtórzyła Luka z lekkim zniecierpliwieniem. - Nazywają tę rzekę swoją Rzeką Słońca. Mylą się, bo to jest nasza rzeka. Zrodziła się w naszych górach, z dwóch sióstr.

- Mogłabyś mnie tam zaprowadzić?

- Gdzie?

Czasem Kagari doznawała objawień. Fakty stawały się tak jasne, tak przejrzyste, jakby krzyczały do niej w głos. Nie była pewna, czy przemawia przez nią pamięć pokoleń, wiedza wrodzona tym pradawnym ludom, czy też po prostu logika powiedziała jej, że patrzy na górny bieg rzeki, której szukali Lew i Chin. Oglądała ich mapy.

- Dlaczego nazywają ją Rzeką Słońca?

- Nie wiem - odparła matka. - Ich język jest bardzo prymitywny, trudno go zrozumieć. Nie chcesz iść aż do samych źródeł, prawda?

- Nie, tylko na jej brzeg, gdziekolwiek.

Luka roześmiała się.

- Kiedy ta rzeka pęcznieje od deszczów, jakie spadają w górach, wali się na lud Merkin potężną ścianą wody, przesłaniem od Irukandji. Powiada im ono, żeby trzymali się

od nas z daleka, albowiem jesteśmy niezwycześni. Muszą wtedy uciekać, by schronić się przed rzeką.

- Luko, czy wiesz, co to jest złoto?

- Nie znam tego słowa.

Wędrowały nieskończenie długo. Luka musiała pokazać i objaśnić córce tajemnice ziemi, wiedząc, że przyda jej się ta nauka, gdy matka odejdzie na Ścieżkę Snów. Musiały odpowiadać z szacunkiem na nawoływania kukabury, ich totemowego opiekuna, i zostawiać dary dla ptasich rodziców, tłuste robaki i małe jaszczurki. Wiadomo było, że dzieci kukabury nie opuszczają gniazda, dopóki nie staną się tak ciężkie, że aż trudno im latać. Biedni rodzice muszą pracować bez wytchnienia, by wykarmić pisklęta.

W końcu przybyły nad rzekę. Zsunęły się na dno wąwozu, wyżłobionego na przestrzeni eonów przez pozornie leniwe meandry.

- Tu zanocujemy - oświadczyła Luka. - To bardzo ładne miejsce. Cieszę się, że tu przyszlęśmy.

Kagari spodziewała się grzmiącego wodospadu, lecz zobaczyła tylko niezbyt głęboką rzekę, która wiła się w zagłębieniach pomiędzy górami. Jej nurt bulgotał miękko na skalnych płytach.

Napiły się chłodnej krystalicznej wody. Kagari zanurzyła się w skalistym jeziorku, wspominając Bena. Znów Ben... Podczas gdy matka łowiła ryby na kolację, Kagari rozglądała się za złotem, za owymi żółtymi kamieniami, dzięki którym świat stawał się znośny. Wiedziała, że je znajdzie. Jeśli Palmer w dolnym biegu niesie złote bryłki, to musiały one zostać wymyte z jakiejś żyły tu, w górze. Biali mówili wyłącznie o złocie, każdy mężczyzna uważał się za eksperta. Zobaczyła grubą porowatą żółtą smugę tuż nad lustrem wody i podpłynęła bliżej, żeby się jej przyjrzeć.

Glina? Nie, za twarda. Za krucha. Smuga lśniła, tańczące iskierki odbijały się w wodzie. Kagari powiodła palcem wzdłuż żyły i uśmiechnęła się, a potem roześmiała na głos. Zanurkowała, fiknęła kozła w wodzie jak zółw, po czym zaczęła skakać jak ogłupiała ryba, wystawiając nagie ciało na widok całemu cudownemu światu.

- Patrzcie tylko! - wykrzyknęła po angielsku błękitnemu niebu i czerwonoszyjemu kazuarowi, który wytknął łeb znad brzegu. Spłoszony jej wybuchem, wielki ptak odskoczył i rozgdakał się z oburzeniem. Ciekawe, dlaczego emu są takie szare, pomyślała, podczas gdy podobne do nich kazuary ubarwione są jaskrawo jak pawie. Matka z pewnością zna przyczynę, wywodzącą się ze Snu, lecz Kagari nie miała teraz czasu jej wypytywać.

Wzięła nóż i zaczęła wydłubywać okruchy złota.

- Co robisz? - Luka ześliznęła się do wody obok niej.

- Mamo, to złoto. Muszę je mieć. Tylko błagam, nigdy nie opowiadaj o nim ludziom, bo ściągnie na wszystkich wielki kłopot.

Luka uśmiechnęła się. Skoro jej biednej bezdzietnej córeczce tak na tym zależy, niech to będzie ich sekret. Zastanawiała się, kiedy Kagari będzie musiała wrócić na Ścieżkę Snów. Przypuszczała, że nastąpi to wkrótce, i przygotowywała się na nieuniknione. Duchy wielce ukochały Kagari, to było widać. Dobrze się nią opiekowały, zadbały o jej ciało i umysł. Obdarzyły ją inteligencją, w pięknych oczach dziewczyny odbijała się mądrość jej ojca. Może to on posłał córkę z powrotem, by złamać okowy żalu, które pętały serce Luki, od chwili gdy straciła swoją małą córeczkę. Po tylu latach dobre duchy ziemi zlitowały się nad nią. Była im za to wdzięczna.

Wróciwszy do jaskini, dowiedziały się, iż straszliwe nieszczęście spotkało ich lud. Kobiety szlochały i krzyczały, raniły sobie piersi ostrymi kamieniami, posypywały się pyłem, który lgnął do ich twarzy, mieszając się ze łzami. Nad świętym jeziorem odbyła się wielka bitwa. Tajatella wysłał kwiat swoich wojowników przeciw intruzom, aby zniszczyć ich raz na zawsze. Atak się nie powiódł, ogromna liczba mężczyzn poległa w boju. Ojcowie, bracia, synowie - każda rodzina utraciła kogoś z ukochanych krewnych. Luka padła bez zmysłów na ziemię na wieść, że jej brat oraz drugi syn, których imion nikt już nie wymówi, także zginęli. Nigdy w dumnych dziejach ludu Irukandji nie zdarzyła się tak wielka tragedia. Kiedy umierał jeden człowiek, oplakiwało go całe plemię, lecz gwałtowna śmierć tyłu na raz przekraczała zdolność pojmowania.

Tajatella zwołał wiec na płaskowyżu, by zagrać swoich ludzi do boju. Kagari poszła tam w ślad za swoją zapłakaną rodziną, serce pękało jej ze współczucia. Rozpalono wielkie ogniska, mężczyźni przytupywali i kołysali się posepnie. Twarze mieli pomalowane białą farbą, która symbolizuje śmierć. Kobiety śpiewały, bębniarze uderzali owiniętymi w skóry kijami w wydrążone pnie, co dawało stłumiony, złowieszczy pomruk, zmieniający żal w gniew.

Tajatella budził jeszcze większy postrach niż zwykle w wysokiej tiarze z gliny i naszyjniku z zębów rekina. Na jego czarnym połyskującym ciele jaśniał wymalowany biały zarys szkieletu. Zaciekle potrząsał włócznią na wszystkie strony świata, obiecywał zemstę, wzywał cały lud, by przyłączył się do niego i wygnał nieprzyjaciół z ich ziemi.

Po ceremonii plemię zebrało się wokół ognisk na wielką ucztę, która miała dodać im sił. Setki mężczyzn tłoczyły się po swoją porcję. Kagari czekała z kobietami z tyłu, aż nadejdzie ich kolej. Otaczające ją kobiety, chociaż wciąż pochlipywały, pociągały też

łakomie nosami, w nadziei że starczy i dla nich. Podeszła wraz z nimi, choć nie była głodna. Serce ścisnęła jej trwoga o ich przyszłość. Nie mieli szans przeciwko broni palnej. Lepiej by zrobili, ukrywając się w górach i pozwalając górnikom swobodnie dostać się nad Palmer. Istniała możliwość, że biali odejdą sami, gdy gorączka złota wygaśnie. Kagari wiedziała jednak, że na próżno starałaby się przekonać o tym Irukandjich. Zostali skrzywdzeni, będą zatem walczyć. Tak nakazywał zwyczaj. Nic nie mogło zmienić tej tradycji.

Kobiety porwały łakomie resztki mięsa z gorących węgli i usiadły na uboczu. Myśliwi mieli chyba pełne ręce roboty, pomyślała Kagari, żeby dostarczyć taką ilość kangurzego mięsa. Po chwili wszakże wytrzeszczyła oczy i cofnęła się ze zgrozą. To nie był kangur, opos ani nawet ryba. To, co jedli z takim smakiem, było bez wątpienia ludzkim ciałem. Jego odór był przerażający. Kagari powiodła wokół siebie dzikim wzrokiem i uciekła w panice, przepychając się przez tłum. Wbiegła w busz, targana suchymi wymiotami, szlochając histerycznie. Powróciły do niej wspomnienia, wiedza ukryta w najgłębszych zakamarkach mózgu. Irukandji zjadają swoich wrogów, czyż nie? - pytały natarczywe głosy. - Wiedziałaś o tym. To dla pokonanych ostateczna zniewaga. Stąd brała się budząca grozę reputacja niezwyciężonego szczepu.

Próbowała wymazać z umysłu tę potworną scenę, lecz nie była w stanie. Pochlipując, ukryła się w miękkiej leśnej ciemności.

- O, mein Gott! - wykrzyknęła, nieświadomie naśladowując panią Beckman. Ogarnęła ją tęsknota za dobroduszną Niemką i szczęśliwymi latami, jakie spędziły w Brisbane za życia kapitana. Jakże chciałyby znów spotkać swoją dobrą panią...

Gdy następnego dnia rano oznajmiła matce, że musi odejść, Luka spokojnie skinęła głową.

- Odfruniesz teraz z wiatrem - uśmiechnęła się. - Doprawdy, duchy wyświadczyły mi wielki zaszczyt.

Weszła do jaskini i wyniosła z niej ciężką sakwę ze skóry oposa.

- Masz, to twoje żółte kamienie. Dowiodą one duchom, że tu byłaś.

- Dziękuję - wymamrotała Kagari. Pod wpływem szoku zupełnie zapomniała o złocie. Sakwa zdawała się teraz ważyć tonę. Uścisnęła najpierw matkę, później posmutniałych członków klanu. Pożegnania przerwał nadbiegający Meebal.

- Musisz odejść - rzekł nagłoco. - Mówią, że jesteś wcieleniem złego ducha, że to ty sprowadziłaś na nas przekleństwo. Pośpiesz się, oni chcą cię zabić!

Kagari zawahała się. Zdawała sobie sprawę, że to nie czas na spory, lecz bała się, że gdy ucieknie, gniew plemienia spadnie na Lukę.

- Nie - rzekła głośno, tak by wszyscy mogli ją usłyszeć. - To nieprawda. Ja idę do dobrych duchów, do mojego ojca, aby zyskać pomoc dla sprawiedliwych tego ludu.

Miała nadzieję, że ta naprędce wymyślona opowieść ochroni matkę, wzbudzi dość wątpliwości, by powstrzymać karę.

Luka z dumą złożyła ramiona na piersiach.

- Słyszycie? - zawołała. - Moja córka wstawi się za nami!

- Chodź! - syknął Meebal, łapiąc Kagari za rękę. - Pokażę ci krótszą drogę. - Pewnym krokiem poprowadził ją w dół po stoku, roztrącając listowie, omijając wykroty i pokonując w bród strumienie. Ślepiec zdawał się widzieć nie gorzej od niej.

- Muszę znaleźć wielkie głazy na rozdrożu - odezwała się.

- Po co?

Mam tam ubrania, które muszę włożyć. -

- Jakie ubrania? Po co?

Potrząsnęła głową ze znużeniem, bo szli już przez cały dzień. Wątpiła, czy zdoła mu to wyjaśnić.

- To konieczne - rzekła krótko.

W końcu się zatrzymali.

- To moje obozowisko - rzekł Meebal. - Mieszkam tu, w miejscu gdzie mogę z góry patrzeć na świat.

- Patrzeć? - zdziwiła się. Znajdowali się na wyniosłej, niedostępnej półce, z której rozpościerał się widok na wybrzeże.

- Czuję dotyk wiatru - uśmiechnął się. - Czuję zapach morza. Teraz wyczuwam też węchem obozowiska białych ludzi i słyszę huk, o których już wiem, że są głosem strzelb. Ci ludzie przybywają tak szybko i jest ich tak wielu, że nasi wojownicy nie są w stanie ich powstrzymać, ale tu, w górach, jesteśmy bezpieczni.

Kagari też miała taką nadzieję.

- Tu jest moja strażnica - ciągnął. - Tam, poniżej, są głazy, wśród których bawiliśmy się jako dzieci. Kiedy wrócisz, przybądź w to miejsce i zawołaj mnie. Wszystko, co żywe, mówi. Będę wiedział, że tu jesteś. - Poklepał ją po policzku. - Wrócisz jeszcze raz za mojego życia. A i w przyszłych latach będziesz wracać po żółte kamienie. Ich magia cię ochroni, prawda?

- Tak, Meebalu, istotnie, będą mi obroną. Masz w sobie wielką mądrość. Jestem szczęśliwa, że znów cię odnalazłam, i dumna ze swojego brata.

Chin Ying stał przed namiotem i patrzył, jak czarne kurawongi usiłują przepędzić z drzewa rozwrzeszczane białe kakadu. Cały świat urządzony jest tak samo, westchnął w duchu, obserwując z zainteresowaniem powietrzną bitwę. Ptaki wzbijały się i pikowały ryzykownie, aż w końcu stado kakadu, głośno protestując, przeniosło się gdzie indziej, kurawongi zaś triumfalnie wleciały pod niebiosa. Ying niechętnie zmusił się do powrotu na ziemię.

Okrążyli północny skraj gór, skręcili na południowy zachód i zeszli na równinę. Teraz, aby dostać się nad Palmer, musieli jeszcze przemierzyć pięćdziesięciomilowy szmat otwartej płaszczyzny, zamieszkaney z pewnością przez kolejne plemiona dzikich, którzy mieli na nich chrapkę. Miał ochotę zaproponować Lewisowi, żeby wsiedli na konie i pognali naprzód, pozostawiając braciom Yuang troskę o doprowadzenie kulisów, lecz wiedział, że Lew się nie zgodzi. Wciąż pienił się na wspomnienie zaginionych tragarzy. Znaleźli ich powieszonych za warkocze na drzewie; z kończyn i pośladków wycięto im płyty mięsa. Biedacy, pomyślał. Ciała twarde jak koźle nogi, kiepski z nich będzie posiłek. Odnotował to w swoim dzienniku, poświęcając nieco miejsca dywagacjom na temat różnych aspektów kanibalizmu. Fascynujący temat. Zastanawiał się, ilu też białych podróżników skończyło w kotle.

Poprzedniego wieczoru napotkali kilku jeźdźców wracających znad Palmer. Ci poważni, zatroskani mężczyźni zrezygnowali na jakiś czas z kopania, by z Cooktown za pośrednictwem marynarzy poinformować władze w Townsville, że brakuje im żywności. Jak można się było spodziewać, pierwsi poszukiwacze, którzy ruszyli na północ, natychmiast gdy tylko Mulligan rozgłosił nowinę, znaleźli złoto, lecz musieli zjeść konie, gdy zaś tych zabrakło, gotować własne buty. Ying uznał to za cudny paradoks: bogaci w złoto krezusi przymierają głodem na tych dzikich, pustych równinach. Wieść, że złota jest pod dostatkiem, była jednak krzepiąca.

Wiedział jedno: nie ma zamiaru skończyć jako kotlet po chińsku. Kiedy już - z woli bogów - dotrą do owej długiej i wspaniałej rzeki Palmer, nie będą wracali ze złotem taką samą drogą. Statek dobrze im się przysłużył, pozwalając wyprzedzić większość poszukiwaczy, lecz wycofywać się będą lądem, z dala od krainy ludożerców. Potem znajdzie czas, by rozważyć własną przyszłość. Tęsknił za Chinami, swoim ukochanym krajem. Cheong wciąż stanowił dlań zagrożenie, niezależnie od miejsca pobytu, pozostanie w tym

barbarzyńskim kraju wszakże równałoby się trwającemu do końca życia poniżeniu. Yingowi chodziła po głowie całkiem inna możliwość: zmiana nazwiska.

Układanie planów niosło mu pociechę, pozwalało zapomnieć o strachu i rozpacz, o tej koszmarnej ziemi. Groźby wielmożnego Cheonga były niczym, ot, muśnięciami motyli skrzydeł, wobec niebezpieczeństw australijskiego interioru, które prześladowały go nawet we śnie. Tak, wróci do Chin pod innym nazwiskiem i zostanie dżentelmenem na nową, angielską modłę. Nie będzie jak Cheong wiązać sobie rąk koniecznością obrony swych włości i zapewnienia bytu rzeszy totumfackich, to przestarzały styl życia, na dodatek ciągle źródło zatargów. Wycieczka w brytyjskie środowisko sprawiła, że zapoznał się z europejskim systemem finansowym; czytał prasę, dyskutował z personelem banków. Angielscy dżentelmeni inwestowali swoje środki i pozwalali, by pieniądz sam pracował dla nich, podczas gdy oni miło spędzali czas w swoich dworach.

Lew zdyszany wdrapał się pod górkę.

- Jesteśmy gotowi do wymarszu. Yuang Pan poprowadzi, a jego brat będzie zamykał pochód. Ty i ja patrolujemy kolumnę na koniach. Kulisi są już całkiem wyczerpani, ale powiedziałem im, że wkrótce będziemy u celu i każdy otrzyma wynagrodzenie w złocie.

- Jak sobie życzysz - zgodził się Ying, zły, że zdegradowano go do roli konnego wartownika. Skoro jednak Lew miał być jego współnikiem, fasadą przedsiębiorstwa, jakie Ying planował założyć w Hongkongu, niech będzie, jak on chce. Ying modlił się, by zdołali przetrwać tę ciężką próbę i wrócić do cywilizacji, zanim jacyś przedsiębiorczy Aborygeni nie pozbawią ich głów.

Dzicy zaczęli podpalać trawy. W lesistej krainie rozszalały się pożary, przez co musieli nadkładać drogi i okropny marsz wydłużał się o kolejne dni. Przy jednej z takich okazji Ying na własne oczy ujrzał potężnych czarnych mężczyzn z białymi piórami kakadu, sterczącymi we włosach niczym kołyszące się latawce. Było ich trzech, nagie ciała lśniły w blasku ognia. Stali wyzywająco nie dalej niż o sto jardów. Ying zamarł ze strachu. Miał uczucie, że chcą go sprowokować do ataku. Zanim oprzytomniał i wrzasnął do Yuang Pana, żeby strzelał, zniknęli w niewytłumaczalny sposób.

Aborygeni byli dziwni, mieli w sobie coś zgoła nadprzyrodzonego. Nie mógł opędzić się wrażeniu, iż owe pradawne ludy, nietknięte przez obcą cywilizację, władają magicznymi siłami. Usiłował wyjaśnić to Lewisowi, ten jednak się nie zgodził.

- Nie ma w nich nic osobliwego - stwierdził - z wyjątkiem tego, że oni znają kraj, a my nie. No i jeszcze jedno: to ludożercy! Wystarczy, żeby poczuć zgrozę.

Kiedy w końcu dowlekli się nad rzekę Palmer, przedstawiali sobą żaloszny widok. Ying wychudł, sfatygowana europejska odzież wisiała na nim tak, że czerwienił się ze wstydu. Był wyczerpany i doskwierały mu odparzenia od siodła. Lew za to zdawał się mieć rezerwy sił proporcjonalne do jego wzrostu. Kiedy słudzy Yinga przynieśli mu świeżą wodę i zabrali się do rozstawiania namiotu, Lew pojechał, żeby się przekonać, czy Palmer istotnie zasłużyła na swą legendę.

Ying ze znużeniem zajął się bardziej palącymi problemami. Czterech kulisów zasłabło i trzeba ich było nieść na zaimprovizowanych noszach, co opóźniało pochód. Stali się bezużyteczni, toteż pod nieobecność Lewisa Ying przedyskutował ich sprawę z Yuang Panem. Najlepiej będzie skrócić cierpienia dwóch z nich za pomocą ziół, pozostałej dwójce zaś dać do zrozumienia, że czeka ich to samo, jeśli szybko się nie pozbierają. Kiedy sługa odszedł, by wypełnić polecenie, Ying uśmiechnął się posepnie. Była to jedna z metod, jakimi wielmożny Cheong leczył maruderów. Jej skuteczność była dowiedziona.

Ying położył się w namiocie i czekał na powrót Cavoura. Chwila prawdy nadeszła. Palmer stanie się linią graniczną między cichym dostatkiem a bajeczną fortuną. Czekając, pił kubek za kubkiem mocnego wina, żeby odpędzić nękającą go niepewność. Jeśli pomylił się w swoich kalkulacjach, odbyli tę straszliwą podróż na próżno. Będzie musiał pozostać w tym kraju, pewnie jeszcze przez wiele lat, zanim odmieni swój los. Bezpiecznie wrócić do Chin może tylko jako bogacz, samowładca, ukryty za górą pieniędzy anonimowy finansista, jakich wielu było w Hongkongu.

Z depresji wyrwał go Lew. Marynarz omal nie zwałił namiotu, wpadając doń w podnieceniu.

- Udało się, Ying! Miałeś rację! Tu jest złoto, złoto wysokiej próby, całe stopy! Rzeka jest go pełna! Inspektor mówi, że będą je pozyskiwać na tony! Wyobrażasz to sobie? Nie na uncje, a na tony!

Ying wciąż nie był przekonany.

- Tyle tu już ludzi... Miałem nadzieję, że dotrzemy tu jako jedni z pierwszych. Co będzie, jeśli nic dla nas nie zostało?

- Bez paniki, na razie jest tu tylko parę obozowisk, a rzeka jest długa. Złoto jeszcze jest, co do tego nie ma wątpliwości. Zbierają je wiadrami. Zbierają spod nóg! Słyszysz mnie?

Ying wyprostował się i uśmiechnął.

- Napij się wina. Zdaje się, że ja już jestem trochę pijany. Zamierzam upić się jeszcze bardziej, bo trzeba to uczcić. Jutro pojedziemy obejrzyć ten cud. Naszą złotą rzekę. Ach, niechże bogowie błogosławią Mulligana!

- Amen! - wyszczerzył zęby Lew, wznosząc kubek. - Za pana Mulligana!

Wspólnie wyliczyli, że mają dość ludzi, by zarejestrować dwadzieścia działek na różne nazwiska. Cztery z nich stanowiły udział Lewisa Cavoura. Gdy każda działka odda już całe złoto, wytyczą nowe.

- Jeden facet mówił mi, że łowił na płycznach bryłki złota wielkie jak groch! - gorączkował się Lew. - To niewiarygodne!

Następnego dnia zgłosili prawa do pustego odcinka rzeki i wzięli się do pracy. Lew płukał z zapalem, nawet Ying osobiście zbrudził sobie ręce, przewracając łopatą rzeczne kamienie, radośnie machając sitem i brodząc boso w ciepłej wodzie.

Podjął już decyzję. Wróci do Hongkongu jako pan Wong Sun Lee, dżentelmen; dokumenty nabędzie w odpowiedniej dzielnicy Brisbane. Potem zakupi rezydencję i zgromadzi wokół siebie finansowych doradców, którzy pomogą mu założyć wielką firmę przewozową. Nazwie ją Pan Pacific Company. Na jej czele stanie godzien zaufania człowiek, obyty zarówno z chińskim, jak i brytyjskim stylem życia. Pozostawało mu tylko nakłonić Lewisa Cavoura, żeby pojechał z nim do Chin. Któż lepiej od niego pokieruje nową firmą?

Kiedy Diamond powróciła do Cooktown, zastała je odmienione. Estuarium zatłoczone było statkami, na brzegach piętrzyły się stosy ładunków, marynarze i robotnicy mozolili się, zwożąc materiał budowlany i żywność do rozrastającego się miasta. W powietrzu niósł się klang siekier i zgrzyt pił, konne zaprzęgi ściągały z lasu pnie drzew, których pełno było nawet na głównej ulicy. Wszędzie kłębili się podnieceni ludzie. Diamond była zdumiona, jak wiele koni już tu sprowadzono. Choć jeszcze bardziej dziwiła ją mnogość Chińczyków. Przewyższali liczebnie białych. Widziała setki ludzi ubranych podobnie jak pan Chin i tysiące kulisów dźwigających tobołki i kosze.

Znalazła niewielkie, sklecone z desek biuro rządowego agenta i przepchnęła się do środka przez spocony tłum. Wewnątrz panował niewiarygodny wprost ukrop. Zerkając w górę, Diamond zrozumiała dlaczego: budynek pokryto dachem z blachy falistej, która nagrzała się tak, że można było usmażyć na niej befszytk. Ci ludzie nigdy niczego się nie nauczą, pomyślała, wspominając szalasy pokryte liśćmi gunyah, które widziała na ziemi Irukandji. Zauważyła, że nie wyróżnia się spośród tłumu. Jej odzież, kiedy wyjęła ją z jamy pod drzewem, była spleśniała; uprała ją w potoku, toteż ubranie miała teraz niemiłosiernie wygniecione. Tu również wszędzie unosił się zapach pleśni.

Biuro pełniło jedynie rolę punktu informacyjnego. Zdołała ustalić, że Lew i Chin opuścili Cooktown już jakiś czas temu, ruszyła więc na poszukiwanie rodziny Bourke'ów. Jim Bourke budował sklep, doszedłszy do wniosku, że to najprostsza droga do majątku w nowo powstającym mieście. Żonę wysłał statkiem do Townsville, żeby zakupiła tyle towaru, na ile tylko starczy jej pieniędzy.

Marie Bourke ucieszyła się na jej widok.

- Diamond! Co się z tobą działo? Tak bardzo się martwiliśmy. Gdzie byłaś?

- W górach - odpowiedziała Diamond wymijająco. Jej złoto leżało tam dobrze ukryte, z dala od wścibskich oczu.

- To cud, że nikt nie odrąbał ci głowy - wtrącił Jim Bourke. - Podobno tubylcy to okrutne bestie.

- I jak? Odnalazłaś swoje plemię? - dopytywała się Marie.

Diamond potrząsnęła głową. Mogłaby napytać sobie biedy, trudno było przewidzieć reakcję białych, gdyby się przyznała, iż łączy ją więzy krwi z owymi "bestiami".

- Nie - zaprzeczyła. - Ale spotkałam wielu innych tubylców i byli dla mnie bardzo mili. Nie wiem, o co robicie tyle krzyku.

- Masz właściwy kolor skóry, ot co - mruknął Jim.

- Nie potrzebuje pan kogoś do pomocy, panie Bourke? - zapytała. - Wygląda na to, że ma pan tu mnóstwo roboty.

- Przydałaby się dodatkowa para rąk, tylko że nie mógłbym ci zapłacić.

- Nie chcę pieniędzy. Wystarczy, jeśli będę mogła u państwa mieszkać. Potrafię łowić ryby...

- Zgoda - rzekł entuzjastycznie.

W tej chwili złoto było dla niej bezużyteczne. Na razie. Do czasu kiedy ludzie zaczną wracać znad Palmer. Gdyby teraz pokazała swoje złoto, rzuciliby się na nią jak stado dingo, chcieliby wiedzieć, skąd je ma. A to byłoby niebezpieczne; orientowali się, że nie była na odkrywkach. Najlepiej jeśli zaczeka na China, dla czarnej dziewczyny samotna podróż statkiem jest zbyt ryzykowna. Potrzebowała ochrony.

Marie Bourke przechowała jej torbę, Diamond miała więc odzież na zmianę oraz portfel z pieniędzmi, które zarobiła u China. Było ich dość, by utrzymać się przez jakiś czas.

Jim Bourke pokrył dach swego sklepu łupkiem, a nie blachą. Wdeptał w polepę ziemię z rozkruszonych mrowisk, skrapiając ją kilkakrotnie wodą. Zastygła w twardą gładką powierzchnię. Potem Jim zabrał się za malowanie szyldów. Przed powrotem żony wszystko było gotowe. Z dumą pokazał Marjorie sklep i małe mieszkanko na tyłach budynku, ta wszakże, zamiast się ucieszyć, krzyknęła ze złością:

- Ty głupcze! Jak mogłeś do tego dopuścić!

Wskazywała sąsiedni, również nowy budynek z długą werandą, nad którą wisiał szyld z jednym słowem: "Pokoje".

- A o co chodzi? - spytał Jim niewinnie.

Diamond zachichotała. Jim wiedział równie dobrze jak ona, że kobiety siedzące w tej chwili leniwie na ławkach przed domem są prostytutkami, dom zaś należy do hałaśliwej brunetki nazwiskiem Gloria Molloy.

- Masz mnie za idiotkę, Jim? Wiesz, kim są te baby. Żądam, żebyś się ich stąd pozbył.

- Jakim sposobem? Nie mogę im niczego narzucić. Zresztą wszystkie będą robić u nas zakupy.

Od tego dnia zaczęła się święta wojna między Głorią Molloy a panią Bourke. Burdel pozostał jednak na miejscu i prosperował znakomicie - podobnie jak sklep.

Wieczorami do szopy na tyłach sklepu, gdzie mieszkała Diamond, dolatywał gwar z naprzeciwka. Mężczyźni chodzili tam i z powrotem, dziewczyny śmiały się i śpiewały, a

Gloria siedziała na werandzie i kasowała pieniądze. Czasem Diamond wpadała uciąć sobie pogawędkę z panną Molloy, którą uważała za bardzo zabawną osobę.

- Nie pojmuję, dlaczego tkwisz tam jak worek mąki - dziwiła się Gloria. - Babka z twoją urodą mogłaby pracować u mnie i zbijać forszę. Mężczyźni lubią kolorowe dziewczęta.

- Wiem - zaśmiała się Diamond - ale nie, dziękuję, nie zamierzam pozostać tu długo. Czekać tylko na kogoś, kto będzie mi towarzyszył w drodze.

- Mądra dziewczyna - przyznała Gloria. - Tym cholernym marynarzom wydaje się, że jesteś do wzięcia, kiedy tylko zechcą, i ani im się śni płacić.

Pewnego wieczoru usłyszała śmiech. Ten sam śmiech, który dzwonił jej w uszach od dzieciństwa. Był to klient, dobry klient, jak mówiła Gloria. Wrócił znad Palmer z workiem pełnym złota. Diamond słuchała, zaciskając zęby, usiłując zapanować nad furią. Dołożyła starań, żeby się z nim spotkać. Pieszczotliwie musnęła przytroczony do łydki nóż, by dodać sobie odwagi. Wciąż jeszcze się go bała; kiedy ją zagadnął, zadygotała, lecz musiała się upewnić.

- Billy Kemp - uśmiechnął się szeroko. - Billy Kemp, jeden z pierwszych wygranych znad Palmer. Ty wiesz, Gloria, że ta mała jest pierwsza klasa! Tylko mi nie mów, że taka apetyczna sikorka nie pracuje dla ciebie. Ile? Stać mnie na nią.

- Czy zawsze był pan poszukiwaczem złota, panie Kemp? - spytała cicho Diamond.

- Słuchajcie, ludzie! - zaśmiał się. - Gada jak dama! Nie, proszę szanownej pani - uklonił się lekko. - Byłem marynarzem. Rzuciłem to w diabły, cholerna łajba zatonała pode mną, więc powiedziałem sobie: "Dość tego, Billy". Reki nie przyjdą za tobą do domu, więc nie wypuszczaj się na morze.

- Został pan rozbitkiem! - powiedziała Diamond. - Ach, jakie to szczęście, że uszedł pan z życiem! Co to był za statek?

- Statek? "White Rose". Cholernie dobra łajba, słowo daję. Byłem na niej pierwszym oficerem. Kapitan Beckman, niech spoczywa w pokoju, kochał mnie jak brata...

Diamond nie słuchała dalszego ciągu tej perory. Studiowała każdy rys twarzy człowieka, który na nią napadł. On i jego kolega omal jej nie utopili. Wyszedł cało z katastrofy statku, lecz zemsta Kagari go dosięgnie.

Gloria przerwała potok jego wymowy. Musiała zaholować go z powrotem do swoich dziewcząt, zanim Diamond do reszty zawróci mu w głowie. Wsunęła Billy'emu dłoń pod ramię i przycisnęła się do niego kusząco.

- Zapewne miałeś wiele przygód, mój złoty, ale opowiedz Glorii, w jaki sposób dostałeś się tak szybko nad Palmer.

- Trzeba mieć tu, pod sufitem, kochana. Szare komórki! Spiknąłem się z jednym takim hodowcą, bardzo ważnym gościem, możesz mi wierzyć. Nazywał się Buchanan. Urządziliśmy ekspedycję jak się patrzy! Zbudowałem łódź, żebyśmy nie utknęli nad którąś rzeką. Z początku wszyscy myśleli, że zwariowałem, ale to ja śmiałem się ostatni.

Uwieszona u jego ramienia Gloria zdołała już go doprowadzić na sam próg, kiedy Diamond ocknęła się i zerwała na równe nogi.

- Kim był ten hodowca, Billy? Buchanan powiedziałaś? Z Caravale?

- Ten sam. Ben Buchanan. Znasz go? - Billy trącił Glorię w bok. - Podobno facet lubi czarne dziewczyny.

- Tak, znam go - odparła Diamond z bijącym sercem. - Gdzie on teraz jest? Wrócił z tobą?

- Nie, został tam, biedny palant. Ci faceci to mięczaki - wyjaśnił, zwracając się do Glorii. - Miał za łatwe życie na tym tłustym ranczo. Palmer była dla niego za wysokim progiem, nie doskoczył.

- Biedak - bąknęła cicho Gloria, udając zainteresowanie. - Umarł?

- Nie, mówiłem przecież, że jeszcze tam tkwi. - Billy się roześmiał. - Żyje, ale nie fika, że tak powiem. Zbikował. Nie chciał ze mną wrócić. Zadołował się w buszu, nawet już nie szuka złota. Zresztą, czy ja wiem... Do tej pory mogli go już pogrzebać. Ale wiecie, jak to jest: nie można komuś pomóc, jeśli on sam tego nie chce. W końcu machnąłem na niego ręką.

W tym momencie Gloria stanowczo wprowadziła Billy'ego do środka.

Diamond siedziała bez ruchu na werandzie. Ten bezczelny, nieokrzesany marynarz właśnie ocalił życie: wieść o Benie była o wiele istotniejsza. Łzy zakłuły ją w oczy. Był sam, nikogo nie obchodziło nawet, czy jeszcze żyje... Musi mu pomóc. Ale jak? Droga nad Palmer prowadziła przez terytorium Irukandji, na samą myśl o tym Diamond poczuła dreszcz zgrozy. Jeśli ją złapią, czeka ją pewna śmierć - okrutna, powolna śmierć. Meebal miał rację, ponaglając ją do odejścia. Starsi plemienia nie okażą jej litości, zwłaszcza teraz, kiedy nie kończący się korowód górników ciągnął przez ich ziemie.

Meebal. Mówił, że siostra powróci jeszcze raz za jego życia. Przepowiedział to. Tak, Meebal ją poprowadzi.

- Ślepe oczy mogą być pożyteczne - zauważył Meebal. - Noc i dzień są dla mnie jednym.

Nie pochwalał jej eskapady, lecz potraktował ją jak wyzwanie. Szli szybko, głównie nocą, we dnie poruszali się tylko wówczas, kiedy Meebal miał pewność, iż ominą oddziały

wojowników wysłane dla powstrzymania nieproszonych gości, którzy przedzierali się przez ich terytorium. Czasami przecinali szlak górników i raz czy dwa widzieli z daleka grupy mężczyzn targających ciężkie toboły. Meebal przeprowadził ją na skróty przez góry ścieżkami i przełęczami, które bardzo ułatwiłyby drogę poszukiwaczom, gdyby wiedzieli o ich istnieniu. Trasa białych okrążyła góry od północy, oni zaś szli po cięciwie łuku. Po trzech dniach Meebal wyprowadził siostrę na równinę.

- Tam jest kraj Merkinów - rzekł. - Nie mogę iść dalej. Nie znam tej ziemi, Merkinowie i w lepszych czasach byli podstępni i źli, a teraz z powodu białych cierpią jeszcze bardziej niż nasz wielki lud.

- Może powinnam dołączyć do poszukiwaczy - bąknęła, choć ten pomysł także ją odstręczał.

- Ich szlak wiedzie daleko na zachód stąd, musiałabyś przebyć szmat drogi na przełaj. - Uśmiechnął się ze smutkiem. - Zgubiłabyś się jeszcze przed wieczorem. Ponadto płynie tamtędy mniejsza rzeka, przez którą musiałabyś się przeprawić, aby dotrzeć do tej, której szukasz.

- Będę musiała się pospieszyć. Szkoda, że nie wzięłam strzelby.

- Wiesz, jak się nią posługiwać? - zdumiał się.

- To nie jest trudne.

- Jakichże cudów się nauczyłaś! - westchnął. - Wydaje mi się, że jedna mała osoba może ująć uwagi Merkinów. Nasłuchują hałasu, jaki czynią najeźdźcy i ich zwierzęta; polują na lepszą zdobycz niż dziewczyna Irukandji. Ich język jest podobny do naszego. Jeśli ich spotkasz, mów, że jesteś córką wielkiego wodza Tajatelli z gór, i nigdy nie odwracaj się do nich tyłem. Będą dla ciebie grzeczni, jeśli ty będziesz dla nich grzeczna, ale przy pierwszej okazji uciekaj!

Przygotowała się do wymarszu.

- Słońce bardzo praży - ciągnął Meebal. - Przy każdej okazji pij mnóstwo wody i jedz tylko orzechy, które dadzą ci sił.

- Zanim pójdę, Meebal, powiedz mi jeszcze raz: czy matka jest bezpieczna?

- Mówiłem prawdę. Luka nie boi się twoich prześladowców, plwa na nich, a ma liczną rodzinę.

- Całe szczęście.

- Zostanę w tej okolicy - rzekł. - Zaczekam na twój powrót.

- Jesteś dla mnie taki dobry, Meebalu. I cieszę się, że jeszcze raz będziesz oczekiwał mojego bezpiecznego powrotu.

Potrząsnął głową.

- Tym razem niczego nie wiem na pewno, Kagari. Boję się o ciebie, ale czas jest niczym. Będę czekał, dopóki głosy nie powiedzą mi, bym nie czekał dłużej.

Rozpoczęła marsz nago, odziana tylko w rzemień lap-lap na biodrach. Krępujące ubrania niosła w plecionej sakwie na szyi. Jej długie nogi same przyjęły swobodny rytm, kiedy skierowała się w stronę słońca, nie myśląc o niczym prócz konieczności zachowania spokoju, zignorowania upału i utrzymania tempa.

Cały czas bacznie przypatrywała się otoczeniu, dzięki czemu zawczasu dostrzegła daleko przed sobą idące na północ kobiety Merkinów z dziećmi. Schroniła się w rzadkiej kępie drzew i poczekała, aż znikną jej z oczu, wykorzystując ten czas na odpoczynek. Zanurzała się w kałużach, pozostałych na dnie wysychających potoków - w zetknięciu z rozgrzanym ciałem woda wydawała jej się lodowata - i mokra szła dalej. W nocy chroniła się w wysokiej trawie i spała, zbyt zmęczona, by bać się węży. Budziło ją wołanie kukabury i jeszcze przed świtem ruszała w dalszą drogę.

W końcu dotarła do pierwszej rzeki. Przepłynęła ją i powędrowała ku łańcuchowi wzgórz, który biegł wzdłuż doliny Palmer. Tej nocy nie zmrużyła oka, zbocza jarzyły się ogniskami Merkinów. Skuliła się, wystraszona, w wypróchniałym pniu starego drzewa. Rankiem skradała się powoli, ostrożnie, starając się pozostawać w ukryciu. Nie miała ochoty na próby dogadania się z Merkinami. Słyszała, jak się gromadzą, dyskutują, potem głosy ucichły gdzieś w labiryncie buszu.

Pierwszym znakiem, że zbliża się do Palmer, było rzenie koni. Zdała sobie sprawę, jak niewielkie szanse mają biali ludzie, by ukryć się przed krajowcami. Ten dźwięk co prawda zdziwiłby wojowników, dotąd nie znali koni. Diamond włożyła spódnicę i bluzkę, związała włosy rzemieniem i pomaszzerowała w stronę zagrody dla zwierząt, przypuszczając, że wygląda jak każda "oswojona" Aborygenka w znoszonym europejskim odzieniu.

Nikt nie zwrócił na nią uwagi, gdy mijała namioty rozbite nad brzegiem rzeki. Każdy przypuszczał, że jest tu z którymś z górników.

Na odkrywkach stały w sumie setki namiotów; to skupisko nazywano Górnym Obozem, co oznaczało, że nie jest ono jedynym. Diamond była zawiedziona. Wyobrażała sobie, że złotoносne działki znajdują się w jednym miejscu.

W namiocie inspektora górniczego wiedziano o grupie Lewisa Cavoura, która obozowała w górze rzeki, nikt natomiast nie słyszał o Benie Buchananie.

- Może być w Palmerville - stwierdził jakiś mężczyzna. - Obozują tam ci, którzy przybyli łądem.

- Gdzie jest Palmerville?

- Mniej więcej trzydzieści mil w dół rzeki.

Kiedy namioty zniknęły jej z oczu za zakrętem szlaku, zwątpienie zaczęło ją kąsać niczym jadowite żądło. Czy Ben jeszcze żyje? Jak ją przyjmie? Czy będzie się złościł i krzychał? Czy w ogóle tu jest? Billy Kemp mógł przecież kłamać.

Słońce prażyło, splątane chaszczki i ciężkie jak ołów liany zagradzały jej drogę. Głosy w jej głowie ostrzegały, by porzuciła ten szalony zamysł i zawróciła. Syczały, wabiły, drwiły. "Wracaj - mówiły. - Tam są pan Chin i Lew Cavour. Z nimi będziesz bezpieczna. Będziesz mogła odpocząć, jak długo zechcesz. Wiele dni albo nawet tygodni". Jeden głos wydawał się znajomy - ostry, przenikliwy głos pani Buchanan: "Trzymaj się z dala od mego syna, ty czarna wiedźmo!" To właśnie ten głos popchnął ją naprzód. Bunt wyparł strach i dodał jej sił.

Niespodziewanie wyszła wprost na jakąś odosobnioną działkę. Wesół brodaty górnik na jej widok uśmiechnął się szeroko:

- No, patrzajcie, co też tu kot przyniósł! Zgubiłaś się, dziewczuszko?

- Chyba nie - odparła. - Idę do Palmerville.

- Wyglądasz mi na zmęczoną. Chodź, napij się ze mną herbaty. Właśnie robię sobie przerwę na fajkę i nie pogniewam się, jeśli ktoś dotrzyma mi towarzystwa.

Herbata była pyszna, mocna i słodka; Diamond wypila ją jednym tchem.

- Sam muszę się dziś wybrać do Palmerville - rzekł górnik. - Jeśli chwilę zaczekasz, zaprowadzę cię tam. Nie jest to bynajmniej piękne miejsce, a te ceny! Mówię ci, moja panno, obdzierają człeka ze skóry. Nigdy nie myślałem, że doczekam dnia, kiedy gwoździe będą sprzedawać na wagę złota. - Possał fajkę. - Co więcej, nie przypuszczałem, że będę skłonny tyle zapłacić. Ta rzeczulka, powiadam ci, okazała się dla mnie łaskawa. Wiesz, jestem londyńczykiem. Sprzedałem wszystko, co miałem, żeby się tu dostać i szukać złota. Ludziska mówili, że straciłem rozum. Pękali ze śmiechu, tak było, ale nie będzie im do śmiechu, jak wrócę. Jeśli wrócę. Spodobało mi się, powiadam ci, miasto Brisbane...

Siedząc w liściastym cieniu przed jego namiotem, oparta o pniak, Diamond usiłowała słuchać, lecz głowa co chwilę opadała jej na piersi.

Po jakimś czasie poczuła, że ktoś delikatnie nią potrząsa.

- Obudź się, dziewczuszko, przespałaś pół dnia. - Górnik zarzucił sobie tobołek na plecy. - Pora iść. Mamy przed sobą kawał drogi.

Wszyscy znali Pustelnika, wskazali Diamond drogę do jego szałas.

- Był tu z kumplem - powiedział jej jeden górnik. - Tamtego ranili dzicy. Pustelnik odwalił kawał dobrej roboty, próbując kurować biedaka, ale rana była za ciężka. Kumpel umarł, a ten jakby nie zauważył, dalej koło niego chodził, aż w końcu ocknęli się sąsiedzi. Jak by to powiedzieć... No, kumpel zaczął trącić. Musieli się tam wdrzeć i siłą zabrać ciało. Pustelnik wrzeszczał jak opętany i wyzywał ich od morderców.

- Nie lubi gości - ostrzegł ją inny górnik - ale teraz już jest niegroźny. - Roześmiał się. - To znaczy, odkąd zabrakło mu amunicji. Przez cały dzień siedzi w chacie. Gada do siebie i do tego swojego cholernego psa.

To właśnie psa Diamond zobaczyła najpierw. Blue, słysząc ją, wybiegła z szałas, gotowa do ataku. Diamond przykucnęła i wyciągnęła rękę, lecz suka cofnęła się, szczerząc kły. Najwyraźniej jej nie rozpoznała. Diamond zaczęła się przesuwać powoli, po kilka cali. Wewnątrz chruścianej chaty ktoś się poruszył.

- Ben! - zawołała. - Buchanan odwołaj psa! Jesteś tam, Ben?

Wykuśtykał na zewnątrz, wymachując kijem, przez co jeszcze bardziej rozwścieczył psa, który zaczął zajadle szczekać. Diamond wytrzeszczyła oczy ze zgrozą. Wcale nie była pewna, czy ta brudna, nieszczęsna istota, której skołtunione włosy i broda prawie całkiem zasłaniają twarz, rzeczywiście jest Benem Buchananiem.

- Czego chcesz? - wrzasnął. - Wynoście się stąd, złodzieje!

Najwyraźniej myślał, że nie jest sama.

- To ja, Ben - rzekła cicho. - To ja, Diamond. Nie zrobię ci krzywdy.

Obejrzał się. Wzrok miał rozbiegany i dziki.

- Nikt mnie nie skrzywdzi. Żaden z was mi nie podskoczy. Niech no tylko ktoś wtargnie na moją ziemię, już ja mu pokażę. - Nagle, wykazując zupełny brak logiki, odwrócił się i wszedł do chaty, przemawiając głośno, jak gdyby relacjonował komuś ten incydent.

- Siad, Blue - zakomenderowała Diamond, ruszając za nim.

Pies zignorował rozkaz, zerknął na nią spode łba, lecz pozwolił jej przejść.

Chata przypominała wysypisko śmieci. Po kątach rosła trawa. Pod jedyną litą ścianą stała prowizoryczna prycza. Ben przykucnął obok niej. Mamrotał coś niezrozumiale, zwracając się do niewidzialnej osoby na pryczy. Nie zwracał uwagi na Diamond, która stała w progu, wstrząśnięta tą sceną.

- Jestem Diamond - powtórzyła. - Przysłali mnie, żebym ci pomogła.

Nie zaprotestował. Powoli zaczęła sprzątać, uznawszy, że szaleniec musi najpierw przyzwyczać się do jej obecności. Z czasem może pozwoli, by zajęła się nim samym. Dobrze, że go znalazła. Wkrótce zabierze go z tego straszego miejsca - jeśli Ben tego dożyje. Był bardzo chory i upiornie wychudzony.

Dopiero po wielu tygodniach odzyskał zmysły. Diamond poila go odurzającym naparem, który kupowała u chińskiego zielarza. Chciała najpierw Bena uspokoić i wprowadzić nieco porządku w jego życie. Stopniowo zaczął akceptować ją w roli swojej służącej, pozwalał się myć i karmić, później dał się nawet ostrzyć i ogolić. Rozpacz Diamond wzrosła, kiedy zobaczyła jego twarz, zapadniętą i kościstą, niezdrowo bladą. Narkotyk zastąpił agresję apatią, toteż zaczęła zmniejszać ilość ziół w herbacie.

Pewnego dnia się ocknął i zmierzył ją wściekłym wzrokiem, rozpoznając ją po raz pierwszy.

- Co tutaj robisz? - spytał ostro.

- Opiekuję się tobą, rzecz jasna - odparła radośnie. - Wy, Buchananowie, nie potraficie się obejść bez gosposi.

- Buchananowie - powtórzył, jak gdyby musiał wygrzebać to nazwisko z odległej przeszłości. Nagle zerwał się z pryczy i wpełzł pod nią, gorączkowo macając rękoma po ziemi. - Przyszłaś po moje złoto! - krzyknął. - Moje złoto! Ukradłaś mi złoto! - Złapał kostur i zamierzył się na nią, lecz Diamond wyrwała mu kij i odepchnęła go. Nadal był bardzo słaby.

- Wracaj do łóżka - ucięła tonem, jakim matka wydaje polecenie dziecku.

- Moje złoto - załkał. - Ukradłaś mi złoto, dziwko.

- Gdzie je schowałeś? - nie widziała w chacie żadnego złota.

- Tu, pod łóżkiem - wyszłochał.

Jeżeli rzeczywiście miał tam jakieś złoto, dawno już go nie było. Być może zabrali je ludzie, którzy przyszli po ciało jego przyjaciela. Mógł je ukraść ktokolwiek, w czasie gdy Ben chodził po wodę. Nie mogła pojąć, co doprowadziło go do takiego stanu. Pewnie choroba, pomyślała, napady gorączki, której biali ludzie nie wytrzymują w tym upale. A upał panował nieznośny, w dolinie w ogóle nie było wiatru. Diamond musi stąd zabrać Bena, nim przyjdzie następny kryzys. Wyjadą, jak tylko Ben będzie w stanie utrzymać się w siodle. Sama też marzyła o chwili, kiedy opuści to miejsce.

Ben boczył się na nią przez cały dzień, choć gdy wieczorem przyniosła mu smacznie przyrządzoną rybę, zjadł ją łapczywie.

- Czuję się już trochę lepiej - stwierdził. - Jutro zaczniemy kopać, pomożesz mi. Znajdziemy więcej złota. - W podnieceniu złapał ją za ramię. - Będę bogaty. Darcy może zarządzać ranczem, nie jestem mu potrzebny.

Zawiedziona Diamond uświadomiła sobie, że jego umysł wciąż wędruje po manowcach, i to jeszcze bardziej umocniło ją w postanowieniu, by wywieźć go znad Palmer tak prędko, jak to tylko możliwe. Jego noga jednak stanowiła poważny problem. Diamond codziennie przemywała ropiejące wrzody, mimo to w ciele pozostały wielkie, ziejące dziury. Z czasem się zagoją, pomyślała, ale na razie nie zajdzie daleko. Potrzebował laski, żeby kuśtykać po chacie. Chiński zielarz był tak uprzejmy, że przyszedł zbadać stopę Bena. Wręczył Diamond sproszkowane lekarstwo do zasypywania ran.

- Baldzo źle, panienko - oznajmił. - Złapała w samą połę. Ma chłop szczęście, innym nogi ciach!

- Amputowali im nogi? Tutaj? - Przeraziła się. Nie zdawała sobie sprawy, że wrzody są aż tak groźne.

- Inaczej by umalli - rzekł i uklonił się z uśmiechem, przyjmując od niej zapłatę.

Diamond poszła się zobaczyć z Johnem Perrym, zastępcą inspektora górniczego. Ów wysoki długonogi młody człowiek zgodził się porozmawiać z nią w cztery oczy.

- Sam jestem z Charters Towers - rzekł. - Znam Buchananów ze słyszenia i bardzo mi przykro z powodu Bena. Nie miałem pojęcia, że to on jest Pustelnikiem. Ale co mógłbym dla was zrobić?

- Potrzebne mi dwa konie - wyjaśniła - żeby dojechać do gór.

- Dwa konie! Nie udałoby mi się zdobyć nawet jednego, za żadne pieniądze. Nikt nie rozstanie się z wierzchowcem.

- Chcę je tylko pożyczyć. Wszystko obmyśliłam. Jeśli zgodzi się pan dać mi eskortę, która przeprowadzi nas przez równinę, żołnierze będą mogli zabrać konie z powrotem.

- Przykro mi, to niemożliwe. Górnicy by mnie zlinczowali, gdybym przydzielił eskortę dwojgu ludziom. Musicie zaczekać na konwój ze złotem.

- I iść za nim pieszo? To na nic. Ben nie zajdzie tak daleko.

- Wobec tego pójdziecie wtedy, kiedy będzie mógł chodzić.

Diamond usiadła, zdając sobie sprawę, że Perry zaczyna się niecierpliwić. Dla niego rozmowa dobiegła już końca. Spróbowała jeszcze raz.

- A jeśli pokażę wam krótszą drogę do Cooktown? - zagadnęła. - Przełącz, położoną dużo bliżej na południe, dzięki której nie będziecie musieli obchodzić gór dookoła?

Perry parsknął śmiechem.

- I gdzie niby jest ta przełęcz?

- Na południowej granicy terytorium plemienia Irukandji. Ten szlak byłby o wiele bezpieczniejszy. Irukandji wolą siedzieć w swoich górach, moglibyście więc uniknąć wielu kłopotów. Trasa, którą chodzą teraz wasi górnicy, biegnie dokładnie przez sam środek ich terytorium i naturalnie bardzo ich to złości.

Perry oparł się głębiej w wyplatany krzesło.

- Rozumiem - uśmiechnął się. - A skąd to wszystko wiesz?

- Pochodzę z tego plemienia.

Omam nie zerwał się na równe nogi.

- To niemożliwe!

- Słyszał pan o górskim plemieniu Irukandji?

- Tak - rzekł sztywno. - Zdołaliśmy uzyskać informacje na ich temat od innych krajowców. Wiemy, na przykład, że są kanibalami.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że nie obchodzi nas, czy się złością. To bestie, które nie zasługują na litość. Powinni zostać wytepieni do nogi.

- Tak? A jaka wymówka posłużyła wam za pretekst do wytepienia łagodnych plemion z południa? - wypaliła i ugryzła się w język. Ostatnim na czym jej zależało, było zrobienie sobie wroga z Perry'ego. Przywdziała na twarz ciepły, uwodzicielski uśmiech. - Doprawdy, panie Perry, mogę wam pomóc. Naprawdę jestem Irukandji i sam pan widzi, że nie jesteśmy tacy straszni, jak nas malują. - Przeciągnęła się, aż piersi naprężyły jej się pod bluzką. Omam nie parsknęła śmiechem, widząc, jak Perry oblewa się pąsem.

Anglik wyjął chusteczkę i udał, że ociera pot z szyi.

- Skąd mam wiedzieć, że naprawdę jesteś jedną z nich? I jak to możliwe, że mówisz tak dobrze po angielsku?

- Zostałam wychowana przez białych ludzi w Brisbane. Zabrano mnie stąd, gdy byłam dzieckiem.

- Rozumiem - powtórzył.

Diamond wstała, tłumiąc śmiech. Nic nie rozumiesz, pomyślała. Ale patrz, napatrz się do woli.

Perry nie mógł oderwać od niej oczu. Gdyby dla uzyskania jego zgody musiała mu się oddać, zrobiłaby to. Na szczęście był zbyt naiwny, żeby wykorzystać sytuację.

- Cieszę się, że mnie pan wysłuchał - rzekła cicho. - Buchananowie będą panu bardzo wdzięczni za wszelką pomoc, jakiej nam pan udzieli. I oczywiście jeśli wytyczy pan nowy, krótszy szlak, pewnie dadzą panu medal.

- Gdzie jest ta przełęcz? - skapitulował.

Już miała mu powiedzieć, lecz w ostatniej chwili zdecydowała się nie ujawniać przedwcześnie swej jedynej atutowej karty.

- Pokażę wam - przyrzekła.

- Przeprowadziłaś tu białych ludzi - denerwował się Meebal. - Słyszałem, jak jadą na swoich zwierzętach.

- Nie, mój bracie. Przeprowadzili mnie bezpiecznie przez kraj Merkinów. Czekają na dole, aż pozwolisz im przejść przez przełęcz, która wyprowadzi ich na wybrzeże, z dala od naszych ludzi.

- Po co w ogóle tu przyszli?

- Meebalu, nie zdołamy ich zatrzymać. Nikt nie może ich zatrzymać. Tak będzie lepiej. Chcę, żebyś zszedł ze mną i powitał ich, udowodnił, że Irukandji to dobrzy ludzie.

John Perry był na siebie wściekły.

- Jeden obłąkany, a drugi ślepy - rzekł z niesmakiem do swoich żołnierzy. - Nie wiem, jakim cudem dałem się namówić na tę wariacką eskapadę. Inspektor urwie mi głowę.

Żołnierze rechotali z uciechy. To fakt, Buchanan miał kompletnego bzika. Kilkanaście razy zatrzymywał ich po drodze, zeskakiwał z konia i zaczynał szukać złota, choć ledwo trzymał się na nogach. Ta czarna dziewczucha troszczyła się o niego jak kwoka. "Mamy mnóstwo złota, Ben - powtarzała bez przerwy. - Jest w Cooktown, czeka tam na ciebie". Biedny wariat jej wierzył, tylko że po jakimś czasie zapomniał i cała zabawa zaczynała się od nowa. Dziewczyna miała świętą cierpliwość. Do tego była całkiem niebrzydka: wysoka, smukła jak węgorz, z wielkim cycem. Nie było wątpliwości, że Perry miał ją w łóżku. Ślinka mu ciekła, kiedy na nią patrzył; widać chciał więcej. Nic dziwnego, że całkiem go skołowała.

A teraz jeszcze na dodatek z krzaków wylazł ślepy dzikus! Cały wymalowany i ustrojony w pióra na przyjęcie gości! Diamond wyjaśniła, że jest to jej brat z plemienia Irukandji. Żołnierze mieli to w nosie. Nie cierpieli tego kraju, tego zadupia, którego klimat przypomina piekielny kocioł. Zgłosili się na ochotnika, ponieważ była to jedyna szansa powrotu do Cooktown, zanim deszcze całkowicie odetną Palmer od świata. Przy odrobinie szczęścia ten wypacykowany czarnuch mógł znać jakiś skrót.

Zaskoczony i zaintrygowany cichymi głosami białych ludzi, których wyobrażał sobie jako wyjące diabły, Meebal przestał się bać, skosztował ich jadła, dał się nawet skłonić do pogłaskania gładkiej sierści wielkich stworzeń, które nazywali końmi. Dotąd nie zetknął się z istotami tych rozmiarów, choć kilkakrotnie słyszał grzmiący tętent ich kopyt. Teraz był oczarowany delikatnymi muśnięciami aksamitnych chrap i pełną szorstkich przydechów mową tych zwierząt.

Diamond nauczyła go paru słów po angielsku, by w przyszłości mógł się obronić przed napaścią. Żałowała, że nie zrobiła tego wcześniej, teraz trudno było skupić jego uwagę. Meebal zakochał się w koniach. Mówił tylko o nich, przesiadywał przy nich, przysłuchiwał się im i kazał sobie o nich opowiadać. Diamond uśmiechnęła się na wspomnienie gości gubernatora z Brisbane. Ci z kolei nie posiadali się z zachwytu, widząc koala na drzewach, i błagali, żeby pokazać im kangury.

- Biali ludzie - rzekł do niej Meebal - ostatecznie niczym się od nas nie różnią. Ale te zwierzęta, które niosą ich po ziemi tak szybko jak wiatr, mają wielką magiczną moc. Będę ronił łyzy, kiedy przyjdzie mi się z nimi rozstać.

Ku zdumieniu Perry'ego ślepiec pewnie przeprowadził ich przez bory.

- To nie ta sama droga, którą przyszliśmy - szepnęła Diamond.

- Nie - odparł Meebal. - Ta jest łatwiejsza dla wspaniałych zwierząt. Miałem pokazać twoim ludziom przełęcz. Pokazałem, czyż nie?

John Perry i jego żołnierze wznieśli okrzyk radości, kiedy wyszedłszy z buszu, zobaczyli przed sobą cudowne szafirowe wody cieśniny Whitsunday. Poklepywali Meebala po plecach, obsypali go podarunkami: resztkami żywności, monetami, chustkami, zapalkami i guzikami. Tą trasą droga nad Palmer skracała się co najmniej o cztery, pięć dni. Meebal poprosił tylko o jeden dar: aby pozwolono mu końcowy odcinek przebyć konno. Perry, uradowany odkryciem przełęczy, które z pewnością przyniesie mu awans, wsadził Meebala na własnego wierzchowca i osobiście prowadził konia z zachwyconym ślepcem w siodle przez ostatnie parę mil.

- To najwspanialszy dzień mojego życia! - zawołał Meebal do Diamond, która jechała za nim z Benem. - Pozostałe prezenty dam Luce, będzie z nich zadowolona. Prosiła, bym ci powiedział, że jeśli kiedykolwiek zechcesz więcej tych żółtych kamieni, ona ci je przyniesie.

Zapominając, że inni nie mogą ich zrozumieć, Diamond nerwowo obejrzała się za siebie, zaraz jednak się odprężyła.

- Podziękuj mej kochanej matce - odrzekła. - Być może pewnego dnia będą mi potrzebne. Tylko pamiętaj: nie wolno ci nikomu o nich mówić, zwłaszcza tutaj. Te kamienie sprowadziłyby na waszą ziemię wszystkie plemiona białych. Muszą pozostać ukryte na zawsze.

- Jesteś dobrą kobietą, moja siostró - rzekł, gdy rozstawali się po raz ostatni. - Duchy hojnie cię obdarzyły. Bądź dobra dla białych ludzi. Nie wywieraj na nich swojej zemsty.

Przed oczyma Diamond, niczym chmury gnane wicherem, przemknęły twarze: ochmistrzyń gubernatora z Brisbane, Cornelia Buchanan, a także Billy Kemp, który niebezpiecznie zbliżył się do skraju przepaści. Zobaczyła mężczyzn, których jej nóż dosięgnął w ciemnej uliczce Brisbane, i wielu innych, którzy wyrządzili jej mniejsze krzywdy, i na których z ukrytą radością brała odwet.

- Przestań się mścić, Kagari - powtórzył Meebal. - Rozumiesz?

- Tak - odparła pokornie. - Spróbuję.

Chłodne wiatry od morza oraz spokój i wypoczynek, zalecone przez doktora, ukończyły w końcu szaleństwo Bena. Wciąż jednak był otepiały i bał się obcych. Pływali razem w morzu, potem Diamond sadzała go na piasku i zbierała orzechy kokosowe, przyniesione na tę plażę z odległych wysp. Kazała mu je rozłupywać tak, by nie wylać mleka. Zadanie to, które wcale nie było proste, rozbawiło go; po raz pierwszy usłyszała, że się śmieje. Dzielili się kawałkami kokosu niczym dzieci pudełkiem czekoladek, przycupnięci w cieniu drzew pochutnika.

Stopniowo zaczął się interesować Cooktown i hordami podnieconych górników, które wylewały się na brzeg z każdym nowym dniem.

- Szkoda, że nie mogę jechać z nimi - rzekł. - To straszne, tkwić tutaj, wiedząc, że oni zbijają fortuny nad Palmer.

- Nie możesz tam wrócić - powiedziała cicho. - Nie jesteś jeszcze zdrowy.

- Wiem. I pomyśleć, że miałem złoto i straciłem je. Jakiś drań skradł mi je sprzed nosa.

- Nie tobie jednemu to się przytrafiło. Nie wolno ci o tym myśleć. Jesteś teraz bezpieczny i powoli zaczniesz dochodzić do siebie.

- To prawda. - Uśmiechnął się, podał jej rękę i pociągnął za sobą na łóżko. - Kochaj się ze mną, Diamond. Przysięgam, że to najlepsze lekarstwo dla mężczyzny.

Ten czas, spędzony razem w jednoizbowej chacie na plaży, zdał się Diamond rajem. Teraz nie musieli się już ukrywać jak dawniej. Mieli mnóstwo czasu, mogli się kochać, leżeć obok siebie, drzemać leniwie przez całe popołudnia, a nocami oglądać gwiazdy. Mimo że Ben wciąż ulegał napadom rozdrażnienia i depresji, Diamond była cierpliwa, pogodna, przekonana, że ta beztroska egzystencja uzdrowi go zarówno psychicznie, jak fizycznie. Stracił wiele miesięcy z życia; powrót do Cooktown przypominał sobie tylko we fragmentach, że swego pustelniczego bytowania nad Palmer nie pamiętał prawie nic.

W miarę jednak jak wracała mu pewność siebie, stawał się w stosunku do niej coraz bardziej drażliwy. I krytyczny. Znow zaczęły go gnębić troski związane z ranczem. Diamond zdawała sobie z tego sprawę, nie miała więc do niego żalu. Szkoda, że nie mogli zostać w Cooktown na zawsze.

Coraz częściej mówił o Caravale.

- Czy matce się to podoba, czy nie - mówił - będę musiał zaciągnąć kredyt w banku i spłacić Perfy.

Po raz pierwszy wspomniał o Perfy. Diamond poczuła ulgę, że mówi o niej tak lekko.

- A jeśli już sprzedała swoją część? - zapytała.

- Nie ośmieliłaby się jej sprzedać nikomu obcemu - mruknął i dodał ze złością: - Gdybyś nie wypaplała o nas jej i matce, nie znalazłbym się w tej paskudnej sytuacji.

Diamond puściła mimo uszu tę uwagę. Ostatecznie nic takiego się nie stało. Nie wspomniała o swoim złocie. Bała się o nim mówić. Ben chciałby wiedzieć, gdzie je znalazła, ściągnąłby kłopoty na jej plemię, a oprócz tego nie mogła dopuścić, żeby znowu zaraził się gorączką złota. Nic by go nie powstrzymało: udałby się na ziemię Irukandji, a wojownicy by go zabili. Uśmiechnęła się do siebie. Kiedy znajdą się daleko stąd, w Bowen, da mu złoto. Był jej największą miłością, oczyma duszy widziała już jego zdumienie i radość. Nie wróci jako bankrut, pokonany przez Palmer. Oboje wjadą triumfalnie do Caravale. Ben nie musi już liczyć się z Perfy, stać ich na to, by wykupić jej udział niezależnie od ceny. Luka, jej kochana matka, obiecała w razie potrzeby dostarczyć więcej żółtych kamieni. Może spotkać się z nią przy wodospadach, nie musi ponownie zapuszczać się na terytorium Irukandji i narażać na gniew Tajatelli.

Był to piękny sen, który rozwił się już następnego dnia.

- Właściwie czyj to dom? - spytał Ben.

- Doktora. Zbudował go po przyjeździe, ale miasto rozrosło się tak szybko, że musiał zamienić go na większy.

- Wszyscy oprócz mnie robią tu fortuny - zasępił się Ben. - Jestem cholernym bankrutem.

- Nieprawda - bąknęła Diamond ostrożnie.

- Łatwo ci mówić. Zajadę do domu na swoim nazwisku; tutejszy bankier sam zaproponował mi pożyczkę na bilet, ale poza tym jestem kompletnie spłukany.

- Byłeś w banku? - spytała niespokojnie Diamond. Powiedział: "bilet". A co z nią?

- Jasne. Doktor mnie przedstawił. Wiesz, co mnie najbardziej wkurza? Ci dorobkiewiczze litują się nade mną, kiedy kuśtykam po mieście. I rozmawiają ze mną jak z wariatem. Biedny Ben Buchanan, lepiej odeślijmy tego żalostnego dupka do mamusi!

- To nieprawda. Doktor cię szanuje. Był bardzo uprzejmy.

- Co ty powiesz! - głos Bena nabrzmiał sarkazmem. - Wiedząc, że jestem bez grosza?

- Tylko czasowo - mruknęła, chcąc go uspokoić. Walczyła z pokusą, żeby powiedzieć mu o złocie.

- Oczywiście, że tylko czasowo. W końcu wiadomo, kto jest kim, nie? Nazwisko Buchananów jeszcze się liczy, nawet na tym przeklętym śmietniku. Ale ludzie wiedzą też, kto płaci rachunki.

- Jakie rachunki? - powtórzyła z zamierającym sercem.

- Och, dajże spokój, Diamond! Nie jestem taki głupi. Nie wyżylibyśmy samym powietrzem. Kto kupuje nam żarcie? Odzież? Kto opłacił cholernego doktora? Założę się, że ten konował nie świadczy usług za darmo. I nie mów, że twój kolega Bourke zaopatrzył cię w prowiant z dobroci serca. No, kto za to wszystko płaci?

- Ben, nie bądź niegrzeczny. Cieszę się, że mogłam zapłacić.

- Oczywiście. Tylko skąd wzięłaś forszę? Skąd czarnucha może mieć pieniądze?

Diamond próbowała się uśmiechnąć.

- Jakie to ma znaczenie? Najważniejsze, że jesteś zdrowy.

- Jasne. Ale nie odpowiedziałas mi na pytanie. - Złapał ją za ramię i szarpnął ku sobie. - No, skąd masz forszę?

- Zarobiłam - szepnęła.

- Zgadza się. Myślałaś, że nic nie wiem? Zarobiłaś ją, kurwiąc się w Charters Towers. Zauważyłem, jak bardzo się przyjaźnisz z tą dziwką Molloy. Dla niej też pracujesz?

- Nie! Nie, przysięgam.

- Dlaczego nie? Paru klientów więcej, co za różnica?

Odwróciła się do niego i delikatnie go objęła.

- Nie mów tak, Ben. Czy to ważne? - Pocałowała go i zaczęła rozpinać mu koszulę. - Nie cierpiałam tego, ale to już przeszłość. Nie rób z tego tragedii. Nie wolno ci się denerwować.

Zaczęła go pieścić, a on poddał się jej obojętnie. Wtedy ze zgrozą uzmysłowiła sobie, że uwodzi go tak samo jak opornych lub nieśmiałych klientów w burdelu. Zrzuciła ubranie powolnym zmysłowym ruchem, kusząc go swoim smukłym ciałem, dopóki się nie podniecił, lecz nawet wtedy posiadał ją zimno i szorstko. W taki sposób, w jaki wzięłby dziwkę.

- Kocham cię, mój miły - szeptała, próbując odzyskać jego dawną czułość. Bezskutecznie. Kiedy Ben w końcu odwrócił się od niej, rozplakała się.

- No - rzekł. - Pora ruszać. Przepraszam, że byłem wczoraj niemiły, Diamond. To wszystko przez gorzałę. Naprawdę jestem ci wdzięczny, że wyciągnęłaś mnie z tego piekła. Bóg jeden wie, jak ci się to udało. Za cholerę nic nie mogę sobie przypomnieć.

Był w lepszym nastroju. Dowiódł tego w nocy, gorącej i parnej, natrętnie penetrując jej ciało, podczas gdy ona na próżno szukała klucza do jego serca. Dawała z siebie wszystko i znosiła wszystko, obsypywała go pocałunkami, by już zawsze jej pragnął.

Ben klepnął ją w pośladek.

- Jezu, ależ będzie mi ciebie brakować - roześmiał się. - Chyba nikt na całym świecie nie dorówna ci w łóżku.

- Nie musisz mnie zostawiać - rzekła ostrożnie. - Pasujemy do siebie, Ben, wiesz o tym. Jestem twoja.

Ben zdawał się jej nie słyszeć.

- Muszę iść do portu i wykupić koję na jakimś statku. Z tym nie będzie problemu, wszystkie wracają stąd puste.

Diamond zaczerpnęła głęboki wdech. Teraz albo nigdy.

- Nie zostawiaj mnie tu. Chcę jechać z tobą.

- Chryste, Diamond, nie zaczynaj od nowa. Było nam dobrze, ale się skończyło. Dlaczego nie chcesz mnie zrozumieć?

Siedziała w milczeniu, wsłuchana w szum morza. Żałowała, że nie ma dość odwagi, by się utopić, teraz wszakże nie była już odpowiedzialna wyłącznie za siebie. Cykl ziemi powiedział jej, że wykiełkowało w niej nowe życie. Wnuczek Luki. Diamond histerycznie powtarzała sobie, że Luka musi się o tym dowiedzieć - Luka, która tak współczuła córce, że wciąż jest bezdzietna, choć już dawno dojrzała do macierzyństwa.

- Słuchaj - mówił Ben - dlaczego nie potrafisz spojrzeć prawdzie w oczy? Nie mógłbym przywieźć do domu białej dziwki, a co dopiero czarnej. Białe przynajmniej potrafią to zrozumieć, nigdy nie robią afer. Zapytaj Glorii, jeśli mi nie wierzysz. Może jej się uda przemówić ci do rozumu.

- To co ja mam zrobić? - zapytała, wiedzona nieodpartą chęcią, by ujrzeć tego człowieka takim, jakim był naprawdę. Wiedziała, co odpowie, lecz ból był jej potrzebny, żeby raz na zawsze go z siebie wypalić.

- Dlaczego nie miałabyś zostać tu, w Cooktown? Złotko, z twoją urodą nie cierpiałabyś głodu - uśmiechnął się szeroko. - Górnicy walą tu z worami złota.

- Chcesz, żebym znów była dziwką?

- Och, dajże spokój. Rób, co chcesz, to twoja sprawa. Nie jestem twoim opiekunem.

- Nie, nie jesteś - splunęła. - Zwyczajny bękart!

- Hola, hola! - zaśmiał się. - Tego nie możesz mi zarzucić.

- Owszem, mogę! Pamiętasz ten nie oznaczony grób w twoim ukochanym Caravale? Zapytaj matki, kto w nim leży.

- To stara historia. Jakiś facet, który napadł na Cornelię.

- Nazywał się Clem Bunn i był jej mężem.

- Bzdura! Kto ci to powiedział?

- Ona sama! Nieraz się zastanawiałam, jak w takim razie mogła być żoną waszego ojca?

Ben zerwał się z miejsca.

- Ty kłamliwa suko! - wrzasnął, rzucając się na nią.

Wywinęła mu się. Kiedy znów się odwróciła, miała w ręku nóż - nowy ostry nóż, który kupiła, by bronić się przed napaścią na zatłoczonych ulicach Cooktown.

Ben odskoczył. Była w takiej furii, że miała ochotę zatopić ten nóż w jego ciele, lecz przypomniała sobie słowa Meebala: "Przestań się mścić". Wiedziała też, że jeśli zabije Bena albo nawet tylko go zrani, zniszczy siebie samą, raz na zawsze zatrzaśnie przed sobą i swoim dzieckiem drzwi do białego świata.

- Wynoś się stąd! - syknęła.

Odzyskując kontenans, Ben wziął kapelusz i skierował się ku drzwiom.

- Nigdy więcej nie machaj mi tym przed nosem, bo rozwalę ci łeb - warknął. - Czas, żebyś nauczyła się, gdzie twoje miejsce. Idę teraz do miasta, a jak wrócę, obiad ma być gotowy, słyszysz?

Diamond opuściła nóż.

- Słyszę - powiedziała.

- Tak już lepiej. - Ben wyjął cygaro i zapalił, przedłużając moment swego triumfu. - Cały kłopot z tobą, Diamond, polega na tym, że jesteś po prostu czarna, a uparcie nie chcesz tego przyznać. Mówiłem poważnie: powinnaś zostać w Cooktown. To miejsce w sam raz dla ciebie, zresztą dokąd miałabyś pójść?

Kiedy wyszedł, spakowała swoje szmatki i ruszyła do miasta, brnąc przez gorącą plażę, żeby go nie spotkać. Dziwne, tym razem nie zranił jej aż tak mocno, ten ból był niczym w porównaniu z chwilą, kiedy bezlitośnie odepchnął ją w Caravale. Może po prostu czuła, że tak będzie... Teraz jednak miała sporo do zrobienia. Zostawi swoją torbę u Marie Bourke i ukradkiem pójdzie do lasu po tamtą drugą, mocną sakwę, którą zrobiła dla niej matka. Nikt nie zwróci uwagi na czarną kobietę z niezgrabną pleciana torbą przewieszoną przez ramię. Nikt nie zainteresuje się, co w niej ma. Wykupi sobie kajutę na przyzwoitym statku, jednym z tych dużych liniowców, które rzucają kotwicę pod Cooktown, zwożąc tu tysiące poszukiwaczy złota. Na takim statku bezpiecznie dopłynie do Brisbane, ponieważ w końcu uświadomiła sobie, gdzie jest jej dom. W Brisbane, w mieście, w którym się wychowała, które znała tak dobrze. Brat Jannali miał rację, pukając się w głowę. Rzeczywiście, przez cały czas wiedziała, gdzie jest dom, musiała tylko przebyć daleką drogę, żeby do niego trafić.

Brodziła w miękko osuwającym się pod stopami przybrzeżnym piasku, wspominając, jak wiele lat temu mała czarna dziewczynka łowiła tu ryby...

Bowen! Kipiące zielenią miasto przedstawiało piękny widok. Lew niecierpliwił się, że statek tak niemrawo wpływa do portu. Padał deszcz, ciepła mżawka zmywała kurz i polerowała liście niczym świeżo zatrudniona gospodyni. Czegóż by nie oddali za tę niebiańską wilgoć w ciągu ubiegłych miesięcy? Wracali znad Palmer lądem do Charters Towers i dalej na wschód do Townsville. Ostatni odcinek był najgorszy, przemierzili spieczony, pokryty czerwonym pyłem step, aby odkryć, że w Townsville także brakuje wody. Dziwny zaiste kaprys natury sprawił, że te dwa nadbrzeżne tropikalne miasta tak dalece się od siebie różniły. Townsville modliło się o kroplę deszczu, podczas gdy Bowen, obdarzone ponadto licznymi źródłami, miało pod dostatkiem opadów i teraz się w nich pławiło.

Chin Ying podszedł do niego z parasolem.

- Domyślam się, że po zejściu na ląd od razu pognasz na złamanie karku, żeby zobaczyć się z panną Middleton?

- Nie. Tym razem załatwię to jak należy. Perfy imponował Herbert, bo zawsze był wyświeżony i zapięty na ostatni guzik. Najpierw pójdę do miasta i dam się ostrzyć u przyzwoitego fryzjera. Potem sprawię sobie elegancki garnitur i najlepsze buty, jakie da się tu kupić.

Ying uśmiechnął się.

- Czy to ten sam marynarz, który kpił z mego zamiłowania do wytwornych ubrań?

- To mus, przyjacielu. Mam zamiar wziąć ją przez zaskoczenie.

- A czy zastanawiałeś się już nad moją propozycją?

- Tak. Czuję się zaszczycony, że zapraszasz mnie do spółki o równie wspaniałych perspektywach, i pochlebia mi, że pokładasz we mnie tak wielką ufność, że chcesz mianować mnie dyrektorem. Mówię szczerze, Ying. Niezależnie od tego, jaką podejmę decyzję, mam zamiar inwestować wraz z tobą.

- Wybacz, ale to mnie nie zadowoli. Jeśli nie zechcesz zostać dyrektorem firmy, lepiej idź własną drogą. Stać cię na to. Planuję stworzyć cywilną spółkę dwóch osób, niepotrzebne mi komplikacje z większą liczbą inwestorów. Jeśli odmówisz, będę musiał poszukać innego mówiącego po chińsku Anglika, cieszącego się dobrą opinią i dodatkowo obeznanego w sprawach żeglugi morskiej. Mówiąc szczerze - potrząsnął głową Ying - potrzebny mi ktoś o twoich kwalifikacjach.

- To dla mnie wspaniała szansa - przyznał Lew zmieszany. - Prawdę powiedziawszy, ze zdumieniem stwierdzam, że tęsknię za Chinami. Brakuje mi tamtejszego gwaru i pośpiechu, i złożoności tego kraju. - Roześmiał się. - Ba, będzie mi brakować nawet ciebie i twojej pokrętnej logiki! Ale mam zamiar poprosić Perfy, żeby została moją żoną. Moja odpowiedź zależeć będzie od niej. Tym razem nie możemy ciągnąć każde w swoją stronę, nasze plany na przyszłość będą rezultatem wzajemnej zgody. Panna Middleton może nie zechcieć zamieszkać w Hongkongu.

Ying otrząsnął wodę z parasolki.

- Trudno mi uwierzyć, że moje plany zawisły od kaprysu dziewczęcia. Świat jest pełen pięknych kobiet.

- To prawda - rzekł Lew - ale ja pragnę właśnie tej.

- Widzę, że wciąż nie pojmujesz, co ci proponuję. Będziesz tajpanem.

- Tajpanem... - powtórzył szeptem Lew. Słowo to uderzyło go niczym obuch. Tajpanem! Oczywiście! Głową spółki z kapitałem zagranicznym działającej w Chinach był tajpan, wielki i szanowany kupiec. Czy mógłby odrzucić taką propozycję?

- Mimo to muszę porozmawiać z Perfy - rzekł stanowczo.

- Na Boga! Toż to pan Chin! - wykrzyknęła Alice Middleton. - Proszę, proszę do środka. Niechże pan da mi swój parasol. Perfy! Chodź, zobacz, kto przyszedł! Jakże nam miło, że nas pan odwiedził. Co za uroczą niespodzianka.

Panie wprowadziły go do saloniku i podały herbatę. Była zbyt mocna i miała nieprzyjemny aromat, Chińczyk wszakże powstrzymał się od komentarzy. Z wielką swadą opowiedział im o wyprawie nad Palmer, nie pomijając jej przykrych stron, wygłosił też hymn pochwalny na cześć Lewisa Cavoura i z zadowoleniem stwierdził, że śliczna córka pani Middleton przyjęła to entuzjastycznie.

- To niesamowite! - szepnęła. - Zapewne było wam bardzo ciężko.

- Najgorszy był upał - odparł. - Niezmiernie wyczerpujący. Temperatura nieraz przekraczała sto dwanaście stopni.

- Boże wszechmogący! - wykrzyknęła Alice. - Nigdy w życiu nie słyszałam o czymś takim! Mieliście szczęście, żeście uszli z życiem. A... jeśli wolno spytać, panie Chin, czy znaleźliście złoto?

Był rad z jej bezpośredniości, pozwoliła mu ona bowiem gładko przejść do relacji z ich wielkiego sukcesu bez ryzyka, że zostanie to uznane za przechwałki. Panie były

wniebowzięte. Nie dodał, że to kulisi, pracując bez wytchnienia, uczynili go jednym z najbogatszych poszukiwaczy nad Palmer.

Następnie oznajmił, iż ma zamiar powrócić do Chin, i przy okazji opisał wspaniałości Hongkongu i cudowny widok na port, jaki rozpościera się z okien posiadłości na zboczu góry.

- To chyba najwspanialszy widok na świecie - dodał.

Panna Middleton dojrzała, nie była już płochą, paplającą bez ustanku dziewczeczką. Jej rysy nabrały wyrazistości, błękitne oczy głębi, a jasne włosy uczesane w koronę dodawały jej powagi. Przeciwności losu natchnęły ją nowym spokojem ducha. Ying przyjrzał jej się z uznaniem. Obie panie miały dość taktu, by nie przerywać, gdy rzeczowo i - jak ufał - z należnym poszanowaniem dla ich inteligencji nakreślił cel swej wizyty.

Po zakończonej naradzie Perfy poszła się odpowiednio ubrać na powitanie dżentelmena, który, jak się właśnie dowiedziała, miał niebawem poprosić ją o rękę.

- A pani, pani Middleton? - zapytał Ying. - Jak pani sądzi, czy spodoba się pani Hongkong?

- To nie dla mnie, panie Chin. Ja zostanę tutaj, gdzie jest mój dom. Mieliliśmy kłopoty z tubylcami, ale jak rozumiem, zostali przepłoszeni. Widzi pan, człowiek musi w końcu gdzieś osiąść.

Chin Ying był zaskoczony.

- Ależ tak się nie godzi! To pani jest matką rodziny. Pan Cavour w ogóle nie ma żadnych krewnych.

- Wkrótce to nadrobią - uśmiechnęła się Alice. - Ja będę szczęśliwa, powolutku starzejąc się tu, w Bowen. Zawsze mogę przecież ich odwiedzać. Pan też musi iść naprzód, całe życie przed panem. Będę niecierpliwie wyglądać wieści od pana. Ufam, że niedługo się pan ożeni i doczeka potomków. Chińczycy są bardzo oddani swym rodzinom, a jednak nigdy nie słyszałam, by mówił pan o swojej. Myślę, że i pan cierpiał przeciwności losu, jak my wszyscy.

Łzy zapiekły go pod powiekami. Ta kobieta była bardzo spostrzegawcza.

- Boli mnie to, że musiałem odwrócić się od moich przodków - przyznał. - Borykałem się z tym przez wiele nocy, ale człowiek musi poświęcić wiele, by przeżyć. Mój ojciec przysporzył mi wrogów, którzy nigdy nie zapomną. Chin Ying musi zniknąć.

Alice Middleton milczała. Powstrzymała się od wyrazów współczucia czy dobrych rad. Była Angielką, a jednak mimo upokorzeń, jakie w życiu zniosła, biło od niej to samo dostojęstwo, co od mądrych, starych, wysoko urodzonych chińskich matron.

- Może zechciałby pan obejrzeć moją oranżerię? - zapytała. - Jest na tyłach domu. Mam piękne orchidee, tyle tu najróżniejszych odmian. Myślę, że pan jako znawca je doceni.

- Z pewnością - rzekł, wstając z ukłonem.

Perfy usadowiła się w wyplatany fotelu na werandzie. Miała na sobie najlepszą niedzielną suknię, której fałdy pieczołowicie ułożyła wokół siebie. Delikatny biały muślin, wykończony u dołu bogatą ruszka, obejmowała w talii zielona aksamitna szarfa. Stanik, mocno wcięty w pasie, miał wielki dekolt, skromnie przysłonięty sztywną, wycinaną w ząbki kryzką z angielskiego haftu. Perfy rozpuściła włosy, kaskadę skręconych żelazkiem loków podtrzymywały kokardy z tego samego aksamitu co szarfa. Suknię zdobiła jedyna posiadana przez nią sztuka biżuterii: jadeitowa broszka, którą Chińczyk ongiś podarował jej na szczęście.

Powstrzymała śmiech, gdy Lew, wystrojony w nowe eleganckie ubranie, nadbiegł w ulewnym deszczu, przyciskając do piersi panamę, która najwyraźniej ważniejsza była od rozwianej czupryny, ujarzmionej zwykle wyświechtaną marynarską czapką.

- Jezu! - sapnął, pędząc z łomotem po schodkach, żeby schronić się na werandzie. - Psiakość! Nowe ciuchy i patrz, przemoczone do nitki! Głowę dam, że się zbiegną.

Cóż za romantyczne wejście, pomyślała z rozbawieniem. Wyglądał wspaniale, opalony i męski jak zawsze. Jak mogła mu dać kosza?

Wstała, żeby go powitać.

- Och, Perfy! - wykrzyknął, porywając ją w ramiona i mocząc jej suknię. Oczywiście nie zwrócił najmniejszej uwagi na jej starannie zakomponowaną pozę. - Boże, jak ja się za tobą stęskniłem! Słuchaj, jeżeli masz jeszcze jakichś adoratorów w zanadrzu, pozbądź się ich natychmiast, słyszysz? - Pocałował ją mocno. - Nie masz pojęcia, jak mi cię brakowało. Kocham cię, na Boga. Zawsze cię kochałem, przecież o tym wiesz...

Nie dał jej okazji do wygłoszenia żadnej z powitalnych mówek, które sobie przećwiczyła. Stali objęci na werandzie, lał ulewny deszcz, a nowy surdut Lewisa się zbiegał.

- Kochasz mnie, Perfy? - spytał gorączkowo.

- Oczywiście, głuptasie - odparła. - Czy inaczej sterczałabym tutaj, robiąc z siebie widowisko dla wszystkich sąsiadów?

- Wobec tego muszę z tobą poważnie pomówić. Jesteś sama, prawda? Chodzi mi o to, czy Herbert nie tkwi na krześle w salonie?

- Herbert? - Perfy wybuchnęła śmiechem. - Och, Lew! Nie słyszałeś jeszcze o Herbercie?

- Nie, i w tej chwili mnie to nie interesuje. - Ujął ją pod ramię i wprowadził do holu.

- Muszę ci o czymś powiedzieć. Widzisz, Chin Ying wpadł na pomysł...

- Masz na myśli pana Wonga Suna Lee?

Lew stanął jak wryty.

- Co? Skąd znasz to nazwisko?

Perfy roześmiała się.

- On tu jest. Dyskutuje o urodzie rzadkich orchidei z moją matką. Chodźmy do nich, kochanie. Na pewno będę zachwycona Hongkongiem.

Pulchna Niemka śpieszyła w stronę trapu, wiodącego na pokład zgrabnego nowego klipra "Bremen". Z zadartym nosem przepychała się przez tłum, poganiała tragarza wydawanymi przez ramię rozkazami. Wokół rozbrzmiewały gorączkowe pożegnania. Pozostający na brzegu zwlekali z odejściem do ostatniej chwili, obracali się jeszcze niczym żałobnicy rozchodzący się znad grobu, rzucając za siebie rozpaczliwe spojrzenia. Gdy okrzyki marynarzy obwieściły, że pora rzucać cumy, setki niemieckich emigrantów udających się do Nowego Świata eksplodowały podnieconym gwarem i zaczęły się przepychać do relingu, by jeszcze raz pomachać pogrążonym we łzach gapiom na nabrzeżu.

Nikt nie machał na pożegnanie Auguście Beckman, toteż od razu udała się do swojej kabiny w ślad za stewardem, korzystając z okazji, by złapać go teraz, nim zacznie się ruch.

- Czy kabina zadowala szanowną panią? - spytał, zerkając na nią z zaciekawieniem, gdy lustrowała bagaż.

- Piękna. Bardzo luksusowa!

- Na statku są tylko cztery kajuty pierwszej klasy - odparł z dumą. - To będzie długi rejs, a wygoda go pani ułatwi.

- W moim wieku? - uśmiechnęła się Augusta. - Nie trap się o mnie, młody człowieku. Mój świętej pamięci mąż był kapitanem żeglugi morskiej, bardzo znanym i szanowanym w całej Australii.

- Ach, więc chce pani zwiedzić kraj, który opłynął?

- Nic podobnego, młodzieńcze. Ja tam wracam. Żeglowałam już po tamtych morzach.

Steward był pod wrażeniem.

- W razie potrzeby proszę po mnie zadzwonić. Poczytam to sobie za łaskę, jeśli opowie mi pani co nieco o tym nowym kraju, ponieważ, prawdę mówiąc, ja również noszę się z myślą o emigracji.

- Zatem będziemy mieli mnóstwo do omówienia w ciągu nadchodzących miesięcy. Swego czasu cierpiałam na chorobę morską, ale zdołałam to przezwyciężyć. Teraz trochę odpocznę. Czy zbudzi mnie pan na kolację?

- Oczywiście, szanowna pani.

Kiedy odszedł, radosna mina spelzła Auguście z twarzy. Przysiadła na brzegu koi i zmarszczyła brwi. Mimo że statek wypływał z Hamburga, jej bezczelna, podła synowa nie odprowadziła jej do portu. Nie pozwoliła też przyjść dzieciom, co najbardziej zabolalo

Gussie. Wnuki chętnie by obejrzały najwspanialszy niemiecki liniowiec. Ale nie, Helga, która od lat żałowała jej każdej okruszyny chleba, która zesłała ją do maleńkiej służbówki jak ubogą krewną, była szczęśliwa, że wreszcie straci z oczu teściową.

- No i dobrze - oznajmiła Augusta czterem ścianom kajuty. - Nie ma co do tego wracać.

Zaczęła grzebać w swojej opasłej torbie, przerzucać chusteczki, buteleczki pigułek, portmonetki i papiery, aż wreszcie odnalazła list. Westchnęła, podbródek jej zadrżał jak zawsze, kiedy go czytała.

List był tak sfatygowany, że na zgięciach miał już postrzępione dziurki, ale to nie szkodzi, i tak znała go na pamięć. Odczytywanie go wciąż od nowa dawało jej taką satysfakcję, taką radość! List nadszedł niczym dłoń wyciągnięta na ratunek w chwili, kiedy zaczynała już się zastanawiać, czy warto dalej żyć. Właśnie wówczas gdy uznała, że lepiej ruszyć wprost przed siebie w morze, aż fale uniosą jej kapelusz. Odebrali jej pieniądze i traktowali jak pomiotło, jak zrzucone im na głowy utrapienie. Augusta nie mogła tego ścierpieć, nigdy jednak się nie spodziewała, że będzie jeszcze gorzej, że zostanie jej tylko Helga, odgrażająca się, że wyrzuci ją z domu.

Jeszcze raz przebiegła oczyma każde słowo:

Dom numer 4

Kangaroo Point

Miasto Brisbane

Droga Pani!

Piszę do Pani ze smutkiem, otrzymałam bowiem Pani ostatni list, w którym donosi mi Pani, iż Jej syn opuścił ten świat. Podzielam Pani smutek, domyślam się również, jak jest Pani nieszczęśliwą, pozostając w rękach tej kobiety Helgi, która nie traktuje Pani z należnym szacunkiem. Proszę jednak, by nie pogrążała się Pani w rozpacz. Pani dobroć sprawiła, iż żywię dla Pani wielką miłość i szacunek, i zawsze je żywić będę.

Fortuna uśmiechnęła się do mnie. Trudno mi to teraz tłumaczyć, albowiem zajęłoby to zbyt wiele czasu. Pani przybrana córeczka jest zamożna, jak tu powiadają. "Bogata" to lepsze słowo, ale niech to pozostanie między nami. Miły pan z banku upewnił mnie, że załączony tu dokument to list kredytowy, który uprawnia Panią do otrzymania kwoty Jednego Tysiąca Funtów.

Mam nadzieję, że przeznaczy Pani część tych pieniędzy na kupno biletu na statek do Brisbane. Kupiłam dom pod powyższym adresem i byłabym szczęśliwa, gdyby zamieszkała w nim Pani wraz ze mną. Dom jest bardzo ładny, ma mnóstwo pokoi i stoi nad rzeką. Na pewno się Pani spodoba. Na pewno też polubi Pani mojego synka Bena: to śliczny chłopczyk, podobny do ojca. Potrzebna mi Pani pomoc w wychowaniu mego syna, który - podobnie jak Pani dziewczynka - stoi jedną nogą w każdym z dwóch światów. Czy pamięta Pani, jak świętej pamięci Kapitan powtarzał, iż jest Pani wspaniałą nauczycielką? Miał słuszość. Ben będzie miał wiele szczęścia, jeśli zechce mu Pani zastąpić babcie.

Jeśli zaś woli Pani pozostać w Niemczech, będę wówczas wiedzieć, że ma Pani własny kąt i niczego Pani nie braknie. Mimo to modlę się, by przyjechała Pani do nas, tak byśmy znów stali się prawdziwą rodziną.

Pozostaję z poważaniem

Diamond

Posłowie

W walce o złoto rzeki Palmer zginęło co najmniej pięciuset chińskich i europejskich górników oraz dziesięciokrotnie większa liczba Aborygenów.

W ciągu trzech lat przez komorę celną w Cooktown przeszło trzydzieści ton złota znad Palmer. Znajdowano je i później na tym obszarze. Ilości złota przemyconego z tego regionu nie da się oszacować. Spis ludności z 1877 roku wykazał, że na polach złotonośnych Palmer pracowało siedemnaście tysięcy Chińczyków, co równa się liczbie całej białej ludności stanu Queensland w owym czasie.

Cooktown rozkwitło, stało się trzecim co do wielkości portem Queensland z niewiarygodną liczbą hoteli i banków. Bogaci mieszkańcy budowali tam piękne domy w brytyjskim stylu kolonialnym i zatrudniali chińską służbę. Po wygaśnięciu gorączki złota wszakże miasto zaczęło się chylić ku upadkowi. Pożary, powodzie i niszczycielskie cyklony zebrały swoje żniwo, a gdy mieszkańców ewakuowano w czasie drugiej wojny światowej, miastu groziło wymarcie.

Teraz jednak owo stare miasto odżywa jako wspaniała atrakcja turystyczna u ujścia Endeavour. Można tam znaleźć czyste piaszczyste plaże, bujne lasy i wspaniałe wodospady. Okolica obfituje w dzikie zwierzęta, wśród nich, przez jasna, krokodyle. Niedaleko brzegu rozciąga się Wielka Rafa Barrierowa. Większość plemion aborygeńskich została zdziesiątkowana lub wręcz wybita, dziś ich potomkowie odzyskują swój status społeczny i z dumą dostarczają przybyszom unikalnych danych na temat swoich starożytnych tradycji.

Somerset, ów pionierski przyczółek Johna Jardine'a na przylądku York, nie utrzymał się.